

Krawczyk 🐾 Lingas-Łoniewska 🐾 Kalicińska 🐾 Wilczyńska
Przybytek 🐾 Sońska 🐾 Lis 🐾 Olejnik 🐾 Szarańska 🐾 Wala
Kraśńska 🐾 Gawrych-Skrzypczak 🐾 Mroczkowska

Przytulajka



Krawczyk 🐾 Lingas-Łoniewska 🐾 Kalicińska 🐾 Wilczyńska
Przybytek 🐾 Sońska 🐾 Lis 🐾 Olejnik 🐾 Szarańska 🐾 Wala
Kraśńska 🐾 Gawrych-Skrzypczak 🐾 Mroczkowska

Przytulajka



Spis treści

JEŻOWE LATO

- Agnieszka Krawczyk KOCIA MIŁOŚĆ
Agnieszka Lingas-Loniewska POCZET UKOCHANYCH
Małgorzata Kalicińska GDY ZWIERZĘTA MÓWIĄ LUDZKIM GŁOSEM...
Karolina Wilczyńska OSWÓJ SWÓJ STRACH
Agata Przybyłek ZOSTAŃ ZE MNĄ
Natalia Sońska SPACER
Agnieszka Lis WSZYSTKO PRZEZ KAZIKA
Agnieszka Olejnik KARMEL
Joanna Szarańska UWIĘZIONA
Magdalena Wala SZCZĘŚCIARZ
Izabela M. Krasieńska UCIECZKI LORDA JIMA
Joanna Gawrych-Skrzypczak POWRÓT DO DOMU
Małgorzata Mroczkowska POLECAMY

Jeżowe lato

Agnieszka Krawczyk

Drzwi uchyliły się lekko i do gabinetu zajrzała asystentka.

– Pani mecenas... Mąż dzwoni...

Luiza Semper podniosła głowę znad dokumentów, a potem założyła okulary – miała akurat taką wadę, że nie potrzebowała ich do czytania. Spojrzała na pracownicę karcącym wzrokiem, więc ta od razu zaczęła się tłumaczyć:

– Wyjaśniałam, że nie wolno pani przeszkadzać, ale to jakaś niezwykle pilna sprawa. Dotyczy państwa syna...

Luiza odruchowo zerknęła na wyświetlacz komórki. Rzeczywiście, Radek dobijał się do niej już cztery razy, ale zawsze, gdy pracowała nad sprawą, wyciszała telefon. Teraz też tak zrobiła, dodatkowo zapowiadając asystentce, żeby jej pod żadnym pozorem nie niepokojono. Sprawa rozwodowa Wiśniewskich zapowiadała się na długą i skomplikowaną. A ona była specjalistką od trudnych rozstań. Mówiąc ściślej – od bardzo kosztownych zerwań. Skoro jednak chodziło o jej syna, wszystko wyglądało inaczej.

– W porządku, pani Paulino, zaraz oddzwonię do mojego byłego męża – te dwa ostatnie słowa podkreśliła tak dobitnie, że asystentka skuliła się w drzwiach ze zdenerwowania. Wiedziała aż nazbyt dobrze, jak może się skończyć wyprowadzanie szefowej z równowagi podczas przygotowań do ważnej rozprawy. Nie było to zbyt roztropne.

– Ma pani jeszcze jedno spotkanie po południu... Prywatne – napomknęła, zamykając drzwi, a Luiza zmarszczyła brwi i na chwilę oderwała się od wybierania z pamięci telefonu numeru Radka.

Rzeczywiście. Teraz sobie o tym przypomniwała i niezbyt jej to było na rękę. Niestety, odwołanie spotkania raczej nie wchodziło w grę. Gośka Kulicka, dawna przyjaciółka ze studiów w Krakowie, odnalazła ją parę dni temu na Facebooku. Zamieniły kilka słów przez komunikator i postanowiły spotkać się, by pogadać przy kawie. Tyle lat się nie widziały! Luiza była pewna, że Gośka wyjechała do Stanów i tam ułożyła sobie życie. Z tego, co pamiętała, koleżanka wzięła dla żartu udział w losowaniu i wygrała zieloną kartę. Zawsze miała niewiarygodne szczęście w życiu, a do tego była najlepszą studentką na roku. Przepowiadano jej świetlaną karierę. Ciekawe, jak sobie teraz radzi. Pewnie ma własną kancelarię w Nowym Jorku...

Luiza przestała myśleć o przyjaciółce sprzed lat, bo w słuchawce odezwał się głos byłego męża.

– Dzwoniłem kilka razy, nie odbierałaś – stwierdził obrażonym tonem.

– Ja także mam swoje obowiązki – rzuciła wściekła. Radek, jak nikt inny, potrafił ją błyskawicznie rozdrażnić. Mógłby prowadzić kursy zatytułowane: *Jak wkurzyć kogoś w dziesięć sekund* i na pewno nie narzekałby na brak chętnych.

– Nie wątpię, ale u mnie czas to pieniądz – zaśmiał się, czego ona już nie skomentowała, bo po prostu nie było warto. Po raz kolejny tylko zaczęła się zastanawiać, jak mogła wyjść za męża za kogoś takiego jak on. Czy zawsze był takim dupkiem, czy też powodzenie w palestrze sprawiło, że stał się tak odrażającym i samolubnym typem? Miała nadzieję, że jednak to drugie, a ona zakochała się w kimś innym, i że wtedy, gdy go poznała, miał jeszcze w sobie cień człowieczeństwa. Jeremi jednak uwielbiał tatę i przez wzgląd na dziecko musiała zaciskać zęby. Chodziło przecież o wspólne wakacje ojca i syna. Wymarzony czas, na który chłopak cieszył się przez cały rok. Już od miesiąca nie dawał jej spokoju i zamęczał opowieściami, jak wspaniale będzie na Malcie. Mieli wyjechać na Gozo, drugą co do wielkości wyspę, i spędzić tam wspaniałe lato. Jeremi nie mógł przestać mówić o tym, jak będą nurkować, pływać jachtem i buszować po dzikich plażach.

– Szkoda, że ty nie jedziesz. Podobno tam kręcono wiele znanych filmów – błysnął erudycją jej dwunastoletni syn. – Także ten z tą twoją ulubioną aktorką, Angeliną Jolie.

Tak. To zresztą był film, który zakończył małżeństwo gwiazdy z Bradem Pittem, więc sceneria chyba by nawet pasowała, biorąc pod uwagę napięcie pomiędzy nią a Radkiem.

– Chodzi o wyjazd? – zapytała więc teraz byłego męża, żeby od razu przejść do rzeczy. Jeremi był przygotowany do wylotu od kilku dni. Nawet zaszczepiła go dodatkowo, choć wcale nie musiała, no ale – strzeżonego pan Bóg strzeże, jak to mówią, a ona wolała być ostrożna.

– Tak, właśnie o to. Nagle zmieniły mi się plany, trzeba to przełożyć. Przykro mi, Luiza, ale nie mogę go zabrać w lipcu. Zorganizujcie coś sobie, a ja wymyślę na sierpień jakąś atrakcję, wiesz, w ramach rekompensaty. Może Mauritius albo Bali...

– Chyba żartujesz! – przerwała zdecydowanym tonem, nie wierząc własnym uszom.

– Absolutnie. Dopinamy ważny kontrakt, terminy się przesunęły, muszę wszystkiego dopilnować. Niestety, życie to nie jest bajka, maleńka, mamy obowiązki...

– Obowiązki to ty masz wobec swojego syna, któremu coś obiecałeś, a chłopak wyskakuje ze skóry, że spędzi wakacje z tatą.

– Nie dramatyzuj, Luiza. Wakacje będą, pierwsza klasa, tylko trochę później. To przecież bez różnicy, lipiec czy sierpień, nie zachowuj się jak pani z opieki społecznej. Nie jestem potworem. Kocham Jeremiego, tylko mam po prostu bardzo poważny kontrakt do obrobienia. Nie rób scen, dobrze?

Oczywiście. Zawsze w ten sposób próbował postawić sprawę. Jego zawałanka nie stanowiła problemu. Były nim jej pretensje. To, że on rujnował wszystkie plany Jeremiego, zawodził nadzieje i oczekiwania syna, można było skwitować wzruszeniem ramion. Cóż – zdarza się, takie jest życie. Natomiast jakakolwiek uwaga Luizy na ten temat, jej niezadowolenie, o to już był asumpt do uwag. Czepia się, jest niewyrozumiała,

zazdrości sukcesu byłemu mężowi, jest małostkowa, wredna i co tu ukrywać – ma, na co zasłużyła. Właśnie dlatego się rozwiedli: z powodu jej upierdliwego charakteru.

Wzięła głęboki oddech. Mogła mu wygarnąć i naprawdę miała ochotę, by tak zrobić. Wiedziała jednak, jak niewiele to da. Radek był odporny na wszelkie argumenty.

– Nie będę cię tłumaczyła przed nim – warknęła jeszcze do słuchawki. – Sam mu to wyjaśnij.

– Oczywiście. Na pewno zrozumie – odpowiedział były mąż takim tonem, jakby chciał wykazać, że dwunastolatek jest dojrzały od niej. Rozłączyła się z poczuciem porażki. Jednak powinna mu nawtykać. Może wtedy poczułaby się lepiej. Trzeba było powiedzieć, że to ona poleci na to Gozo z Jeremim zamiast niego, a co? Wiedziała doskonale, że to nierealne. Musiała pracować nad sprawą Wiśniewskich, nie mogła opuszczać kraju na dwa tygodnie. To byłoby nieodpowiedzialne.

Rzuciła okiem na papiery. Zestawienia finansowe i wyciągi z kont. Wiśniewska walczyła ostro o majątek i Luiza mściwie pomyślała, że na pewno nie pozwoli oskubać klientki. Pan prezes nie wykręci się łatwo z tego małżeństwa po dwudziestu latach – stwierdziła z satysfakcją, a potem na powrót opanowało ją zwątpienie. Czy ona nie projektuje jakichś swoich frustracji na pracę? Stanowczo powinna już dzisiaj odpocząć. Przypomniała sobie o spotkaniu z Goską Kulicką. Wyciągnęła z szafy w pokoju wygodniejsze buty i zmieniła biurowe szpilki. Poprosiła asystentkę o przygotowanie ostatecznego bilansu finansowego Wiśniewskich i umówienie klientki na jutrzejsze popołudnie. Jeżeli mieli zaproponować ugodę, to należało się pospieszyć.

Gdy wyszła z pracy, zaczęła się rozkoszować ciepłym słonecznym dniem. Zaskoczył ją fakt, że jest tak przyjemnie, ponieważ była przyzwyczajona do spędzania czasu w klimatyzowanym biurze. Niespodziewanie dla samej siebie zrezygnowała z samochodu i postanowiła pójść pieszo. Spacer rozświetlonymi słońcem ulicami sprawił jej nieoczekiwaną radość. Przyglądała się ludziom – rozchichotanym długowłosym gimnazjalistkom ze smartfonami w dłoniach, matkom z wózkami, starszym paniom z zakupami, kobietom w średnim wieku wracającym z biur. Wszyscy ci ludzie mieli swoje sprawy, własne życie, gdzieś dążyli.

„A ja? Dokąd ja zmierzam?” – zadumała się niespodziewanie. Miała wrażenie, że w tłumie dostrzegła postać Gośki, a w każdym razie osoby poruszającej się w podobny sposób jak ona. Bo to nie mogła być przecież dawna przyjaciółka. Luiza wyobrażała sobie Goškę jako elegancką damę z Ameryki, w świetnych ciuchach i z nienaganną prezencją, natomiast kobieta, która mignęła na ulicy, miała na sobie trekkingowe obuwie i kurtkę z drelichu. Pomyłka.

Prawniczka weszła do kawiarni, w której były umówione, i bacznie rozejrzała się po sali. Przyjaciółka najwyraźniej jeszcze nie przyszła, więc postanowiła zająć stolik przy wejściu, by od razu ją zauważyć. Nagle ktoś spod okna zaczął do niej machać.

– Luiza!

Postać w drelichu. A więc jednak.

– Gośka – wypowiedziała imię dawnej koleżanki z pewną rezerwą. A przecież właściwie wcale się nie zmieniła. Wciąż miała te same lekko falujące kasztanowe włosy i wesołe oczy. Dalej młoda i beztroska, nie widać po niej było upływającego czasu.

Niesamowite.

– Nic się nie zmieniłaś – stwierdziła Małgorzata.

Semper roześmiała się skonfundowana.

– Zabawne. Pomyślałam dokładnie to samo o tobie.

– O, ja się bardzo zmieniłam. Wręcz diametralnie. Zamówimy coś?

– Jasne. Mają tu świetną kawę. Jeżeli chcesz, możemy zjeść lunch.

– Brzmi dobrze, jestem nieziemsko głodna. Cały dzień biegałam po urzędach w sprawie dotacji na swoją działalność. Prowadzę gospodarstwo ekologiczne...

– Żartujesz! – Luiza aż odchyliła się na krześle i patrzyła na przyjaciółkę szeroko otwartymi oczyma. Jasne, Gośka przyszła na to spotkanie dziwnie ubrana. Owszem, zniknęła kilka lat temu i nie dawała znaku życia. Ale żeby coś takiego? I co niby robi? Hoduje kozy i wyciska ręcznie sery? A może wyrabia swetry z owczej wełny? Gęsi pasie i przygrywa im na fujarce? Przez głowę prawniczki przemknęło jeszcze kilka równie absurdalnych scenariuszy, zanim Gośka zaczęła opowiadać:

– Kupiłam ziemię na Podkarpaciu. To już prawie Bieszczady. Mam starą stuletnią chałupę, którą udało się wyremontować, i robię różne fajne rzeczy. Dbam o pszczoły, wytwarzam świetne nalewki, soki, przetwory. Teraz na przykład zakończył się sezon syropu z kwiatów czarnego bzu. Mówię ci, ile ja się napracowałam przy zbieraniu i robieniu tego. Ale efekt jest znakomity. Podobnie sok z pędów sosny...

– Zaraz, zaraz – przerwała Luiza. – A wyjazd do Stanów? Przecież miałaś zieloną kartę? Myślałam, że tam osiadłaś po studiach, być może wyszłaś za męża i pracujesz dla jakiejś korporacji albo masz własną firmę. Byłaś przecież najlepsza z nas wszystkich.

– O, dziękuję ci bardzo! Nie wiedziałam, że tak mnie cenisz. Zawsze wydawało mi się, że to ty jesteś z nas najlepsza i zajdziesz najdalej. Tak się zresztą stało, jak widzę. – Małgorzata przyjrzała się przyjaciółce. – Byłam w Ameryce, to prawda. No i przywiozłam stamtąd męża, nie zaprzeczam.

– Twój mąż jest Amerykaninem? – zdziwiła się. Na Facebooku koleżanka występowała wciąż pod panińskim nazwiskiem. Nie przyznała się też do zmiany stanu cywilnego podczas ich pierwszej krótkiej rozmowy.

„Cicha woda” – pomyślała o dawnej przyjaciółce Luiza. „Taka życiowa zmiana, a ta się nie pochwaliła...”

– Ian jest Holendrem. To artysta i ekolog – kontynuowała Małgorzata. – Właśnie on wpadł na pomysł prowadzenia tego gospodarstwa. Mnie się też to spodobało. Wiesz, coś własnego, innego, wolność, niezależność...

No tak. Teraz Luiza już była pewna, że z Gośką albo z jej mężem jest coś nie w porządku. Być może zresztą z obojgiem. Rzucić wszystko i uciec w Bieszczady – tak, to było modne w czasach młodości ich rodziców, ale teraz? O takich historiach czytało się wyłącznie w książkach, w życiu kończyły się zawsze tragicznie, jak każda mrzonka.

– Długo już tak żyjecie? – zapytała więc ostrożnie.

– Prawie dwa lata – pochwaliła się Gośka. – Bardzo dobrze nam idzie. Właśnie staramy się o certyfikaty na nasze produkty. W tym sezonie po raz pierwszy poprowadzimy dla chętnych warsztaty z wypieku chleba i garniarstwa metodami tradycyjnymi. Myślę, że to był strzał w dziesiątkę. Zupełnie się nie widziałam w

kancelarii, wśród tych wszystkich papierów. Ty to co innego, zawsze byłaś dziewczyną z wielkiego miasta.

Luiza spojrzała na nią z troską. Naprawdę martwiła się o koleżankę. Czy aby na pewno nie dzieje się jej jakaś krzywda?

Małgorzata poklepała ją po dłoni.

– Powinnaś mnie kiedyś odwiedzić i zobaczyć, jak pięknie nam się żyje. Nie zwariowaliśmy, jeżeli się tego obawiasz. No i nie pójdziemy z torbami. Ten biznes się opłaca. Z pewnością nie jest tak dochodowy jak własna kancelaria, ale można z niego spokojnie wyżyć.

Semper westchnęła. Gdzie się podziała ta przebojowa dziewczyna, która miała zawojować świat? To prawda, Gośka zawsze była postrzelona. Jako pierwsza wkręciła się na praktykę do znanej kancelarii, trafiając tam praktycznie z ulicy. Potem dostała kolejną świetną propozycję w podobny sposób. Zwykle wszystko się jej udawało. A teraz coś takiego?

– Całkiem dobra sałatka – pochwaliła przyniesione danie przyjaciółka. – Ale spróbowałabyś naszych warzyw albo chleba. Niebo w gębie. Moje sosy ziołowe nie mają sobie równych. To jest dopiero smak, mówię ci.

Prawniczka spojrzała na nią przeciągle, ale się nie odezwała.

Gdy po godzinie przekraczała próg swego apartamentu, Jeremi siedział w pokoju i czytał. Komputer był wyłączony, muzyka ściszona. Niedobrze.

– Rozmawiałeś z tatą? – spytała ostrożnie, a on skinął głową. Czyli już wiedział.

– Myślałam, że moglibyśmy pojechać na to Gozo razem... – zaczęła.

– Daj spokój, wiem, że miałaś przez te dwa tygodnie przygotowywać się do rozprawy – zauważył jej syn, a ona nie posiadała się ze zdumienia, na jak rozsądnego człowieka wyrastał. – Szkoda, że dziadek wyjechał do sanatorium, bo wybrałbym się do niego.

To prawda – ojciec Luizy, korzystając z nieobecności wnuka, postanowił podreperować zdrowie przed sierpniowym wspólnym pobytem na Mazurach.

– Właściwie jest jedna możliwość – stwierdziła, sama nie wierząc w swoje słowa.

– Spotkałam dzisiaj przyjaciółkę ze studiów. Prowadzi gospodarstwo na Podkarpaciu. Mówiła, że zawsze będziemy tam mile widziani.

– Naprawdę? – ucieszył się chłopak. – Moglibyśmy pojechać? Zabrałbym namiot, który dostałem od dziadka. Ta koleżanka zgodzi się, żebym go gdzieś tam rozbił? To mogłaby być wspaniała przygoda!

– Mówisz poważnie? Przecież to jakaś zabita dechami wiocha. Daleko od szosy. Podała mi adres. – Luiza wygrzebała kartkę z torebki. – Matko Boska, gdzie to w ogóle jest. Góry Słonne, co to za nazwa.

– Moim zdaniem cudowna. Mamo, jedźmy tam. Wezmę namiot, lornetkę, wędkę. Czy tam jest jakaś rzeka? Będę łowił ryby.

– Przecież nie umiesz. Dziadek miał dopiero cię uczyć.

– Spróbuję.

Luiza westchnęła i zmarszczyła brwi. Alternatywą dla wyjazdu do Gośki było spędzenie dwóch tygodni w Warszawie. Po chwili stwierdziła, że naprawdę nie wyglądało

to na aż taki zły pomysł. Skinęła głową i wyjęła z torebki komórkę, żeby uprzedzić przyjaciółkę.

„Będę musiała wcześniej iść do fryzjera i umyć się na zapas” – pomyślała z przykrością. Dwa tygodnie na zapadłej wsi. Sama myśl napawała ją przerażeniem. Z drugiej jednak strony – była to szansa, aby w spokoju popracować nad sprawą Wiśniewskich. Szybko zatelefonowała do asystentki, żeby wszystko zaplanować. Jeżeli wyjadą z Jeremim za trzy dni, zdąży się jeszcze spotkać z klientką i wstępnie omówić najważniejsze kwestie. „Może to jest naprawdę dobre rozwiązanie?” – dumiała w duchu. Nic jej nie będzie rozpraszało, a ten rozwód zapowiada się na trudną batalię.

– Pani Paulino – rzuciła szybko do słuchawki, gdy pracownica już się odezwała. – Proszę wziąć terminarz i notować. Będziemy trochę zmieniać plan działania na najbliższe dwa tygodnie...



– Źle jedziemy – stwierdziła Luiza, z niezadowoleniem uderzając dłońmi w kierownicę.

– Dobrze. Nawigacja pokazuje, że skręciliśmy prawidłowo i trzeba jechać tą drogą.

– Jeremi bezkrytycznie ufał nowoczesnej technologii.

– Jesteśmy w środku niczego i od pół godziny przedzieramy się przez jakiś las. W dodatku pod górę.

– To dobrze, że pod górę. Sama mówiłaś, że to jest w górach. W Górach Słonnych.

– No, ale nie na szczytach. Wręcz przeciwnie. Z tego co mi Gośka przekazała przez telefon, to jest jakaś dolina rzeczna. Dlatego uważam, że źle...

– Mamo, popatrz jaki widok – przerwał jej syn. – Unosimy się w powietrzu jak ptaki!

Rzeczywiście. Wyjechali właśnie na szczyt pasma górskiego, skąd roztaczał się niesamowity, zapierający dech w piersiach widok. Miało się złudzenie szybowania w przestrzeni, ponad górami, lasami, wśród chmur. Krajobraz ciągnął się aż po horyzont, ogromny, nieprzenikniony, poznaczony łagodnymi wzniesieniami i wyższymi szczytami. Drzewa rysowały się w nim strzeliście, a ciemne plamy lasu nadawały całości malarskiego wykończenia. Ta precudowna panorama poprzecinana cieniami przefruwających ptaków kojarzyła się ze swobodą, wolnością i nieskalanym pierwotnym pięknem.

Zjechali w dół i nawigacja poinformowała ich, że znajdują się w pobliżu celu podróży. Wkrótce zaczęli się rozglądać za domem Gośki.

– Przepraszam, gdzie znajduje się gospodarstwo Małgorzaty de Bueren? – zagadnęła jakąś kobietę, która szczęśliwym zbiegiem okoliczności pojawiła się na bocznej bitej drodze.

– Organistówka? – upewniła się miejscowa. – Będzie z pół kilometra, od zakrętu za kapliczką, w tamtą stronę. – Machnęła ręką.

– Dobra, jedziemy. – Prawniczka westchnęła. – Żebym sobie tylko zawieszenia nie

urwała na tych wybojach. Jak oni tutaj się przemieszczają? Furmanką?

– Może mają samochód terenowy? – roześmiał się Jeremi.

Za kapliczką droga jeszcze się pogorszyła i Luiza zaczęła się poważnie obawiać o stan samochodu.

– Mamo, może ja wysiądę i zobaczę, jak tam dalej jest? – zaproponował chłopiec.
– Bilbo chce wyjść.

Faktycznie, ich jamnik potrzebował spaceru, więc Luiza chętnie się zgodziła. Chłopiec i pies wysiedli, a następnie ruszyli w kierunku domniemanego domu Gośki. Luiza natomiast wyciągnęła butelkę z wodą mineralną i zamyśliła się nad swoją głupotą. Rany boskie, co ona zrobiła? Jak powiedziała ta kobieta? Organistówka? Czy to oznacza, że Małgorzata mieszka na terenie kościelnym? Tylko tego jeszcze brakowało.

– Mamo, mamo, zobacz, co znaleźliśmy z Bilbem! – wyrwał ją z zamyślenia zaaferowany głos syna. Chłopak biegł, niosąc coś w podkoszulku, który zdjął z siebie.

– Co tam masz? – spytała z niepokojem i nachyliła się nad zawiniątkiem. Dwa oczka jak brązowe paciorki, nos jak kulka i śmieszne kolce. Jeż.

– Jeremi, natychmiast odnieś tego jeża! Jego nie można zabierać. To jest dzikie zwierzątko i musi żyć w lesie!

– Ale on jest chory, mamo!

– Chory? Tym bardziej go wyrzuć! Możesz się czymś od niego zarazić – przeraziła się Luiza, odruchowo odsuwając się od zawiniątka, z którego jeż wysuwał ciekawski łeppek.

– Nie bądź śmieszna mamo. On ma coś z łapą. Nie może chodzić. Tak jakoś nią powłóczy. Zginie tam, jeśli mu nie pomożemy. Trzeba go zabrać do weterynarza.

– Skąd ja ci tu wezmę weterynarza na tym odludziu. Bądź poważny.

– No to co mamy zrobić? Zostawić go na pewną śmierć? Sam sobie przecież nie da rady. Siedział tam w rowie i nawet się nie ruszył, jak Bilbo na niego szczekał. Nie miał siły. Nie sądziłem, że jesteś bez serca.

– Nie mów tak. Po prostu nie wiem, jak mu pomóc.

– Może ta twoja koleżanka będzie umiała? Mieszka tam, za rogiem. Sprawdziliśmy, droga się poprawia, jest asfalt.

Westchnęła. Gośka się na pewno ucieszy, że przyjeżdżają z jamnikiem i jeżem.

Ale koleżanka się ucieszyła. Wyszła na ich spotkanie w roboczym fartuchu, wycierając ręce w lnianą ściereczkę.

– Witajcie! Właśnie wstawiłam chleb do pieca.

– Pani Gosia? Jestem Jeremi, znalazłem przed chwilą jeża – pochwalił się chłopak.

– Super. Mów mi po imieniu, Gośka, jestem starą przyjaciółką twojej mamy, ale to pewnie już wiesz. Pokaż no tego znajcę. – Przyglądała się zawiniątku z uwagą i po chwili zawyrokowała: – Świetna robota, chłopie. Jeż ma chyba złamaną łapę. Trzeba go zaraz włożyć do pudełka z butelką gorącej wody. One się szybko wyziębiają. Zawołam Iana. – Odwróciła się w kierunku ogrodu i krzyknęła: – Ian, chodź tutaj, goście już przyjechali!

– No widzisz, mamo, dobrze zrobiłem. – Jeremi aż pokraśniał z zadowolenia. Luiza tymczasem patrzyła na dom. Był to naprawdę stary, urokliwy budynek ze śliczną przeszkloną werandą. Niewielki, piętrowy i wybudowany w całości z drewna. Przed

domem zasadzono krzak jadalnej róży, która choć już prawie przekwitwała, to wciąż pachniała upajająco i przywodziła Luizie na myśl wspomnienia z dzieciństwa i wakacje u ciotki na wsi. Kiedy to było? Tak łatwo o tym zapomniała. Róże i ich słodki zapach aż spowodowały u niej zawroty głowy. Tuż obok werandy zaczynał się otoczony niskim płotkiem ogródek pełen wiejskich kwiatów. Rosły tu wysokie kolorowe malwy, ostróżki i peonie. Mnóstwo stokrotek i innych roślin, których po prostu nie potrafiła nazwać, ale ich barwy cieszyły wzrok i sprawiały, że miejsce to wprost kipiało kolorami i zapachami.

– Cześć, jestem Ian, mąż Gosi – usłyszała niespodziewanie i odwróciła się. Stał przed nią wysoki, ogorzały mężczyzna z jasną brodą. Miał wesołe niebieskie oczy i kapelusz ze słomki. Wyglądał jak Vincent van Gogh, brakowało mu tylko fajki.

– Luiza. Bardzo mi miło.

– Przywieźliście jeża? Trzeba go zaraz odwieźć do Jeżowego Dworu. Jest tu taki jeden facet, świetny człowiek, który opiekuje się jeżami. Zwożą mu je z całej okolicy, nawet z odległych miejsc. Ja nie mogę z wami pojechać, bo właśnie okadzam pszczoły, ale pokażę, jak trafić, to niedaleko. – Ian mówił świetnie po polsku, choć z silnym obcym akcentem i czasami zastanawiał się przez moment, zanim użył jakiegoś słowa.

Luiza westchnęła. Myśl, że znowu będzie musiała błędzić po bezdrożach, nie wydawała się atrakcyjna, ale Holender od razu zaczął majstrować przy nawigacji samochodu i ustawiać koordynaty.

– To bardzo blisko – tłumaczył. – Na tamtym wzgórzu, ale lepiej podjechać, będzie szybciej.

Gośka przyniosła pudełko i butelkę z gorącą wodą. Jeż włożony do środka wyglądał tak sympatycznie i bezbronne, że prawniczka mimowolnie uśmiechnęła się do zwierzątka, które spojrzało na nią mądrymi oczkami.

– Jest fantastyczny – przyznała.

– Racja, jeże są świetne. W Jeżowym Dworze mają ich sporo. Dawaj torby, zaniosę je do pokojów. Jak wrócicie, kolacja będzie już na stole, w sam raz zdążycie – stwierdziła Gośka.

– I świeży miodek – dodał Ian, machając kapeluszem, gdy odjeżdżali.

Jeżowego Dworu rzeczywiście nie dało się przegapić. Był to imponujący budynek z surowych bali wybudowany na sporym wzniesieniu wśród drzew. Jeremi wyskoczył z samochodu natychmiast, gdy Luiza się zatrzymała.

– Trzymaj psa! – rozległ się rozkazujący głos, a chłopak stanął jak wryty. Polecenie wydała dziewczynka w jego wieku, szczupła, opalona, o długich zgrabnych nogach i z dwoma jasnymi warkoczami przerzuconymi do przodu przez ramiona. Luiza złapała Bilba, który merdając przyjacielsko ogonem, aż się wrywał w kierunku nowo poznanej osoby.

– Przywieźliśmy rannego jeża – wyjaśnił Jeremi, a jego policzki zapłonęły.

– Świetnie. Tata na pewno pomoże. Dzień dobry pani – grzecznie przywitała się dziewczynka, co bardzo spodobało się Luizie.

– Psy straszą jeże – dodała jeszcze, gdy prawniczka zapinała jamnikowi smycz. Bilbo był niepokieszony. Miał widocznie nadzieję, że pohasa sobie w tym pięknym miejscu.

– Mam na imię Aniela, a ty? – zwróciła się do Jeremiego dziewczyna, ale on najwyraźniej całkiem zapomniał języka w gębie, bo tylko wpatrywał się w nią nieprzytomnym wzrokiem.

– Nazywa się Jeremi. Chyba upał mu zaszkodził, zwykle jest bardziej rozmowny – rzuciła Luiza z humorem.

– Mamo! – zgromił ją syn.

Na ich spotkanie wyszedł mężczyzna w sportowej bluzie. Miał ciemne, lekko poprzetykane siwizną włosy i nosił okulary. Luiza musiała przyznać, że jego przystojna twarz przykuwała uwagę, a inteligentne spojrzenie budziło zaufanie.

– Witam w Jeżowym Dworze. Jestem Maciej Stachowski, państwo w sprawie jeża?

– Tak. Nazywam się Luiza Semper, a to mój syn, Jeremi...

– Zaraz, zaraz... Pani jest przyjaciółką Greta?

– Jakiej Greta? – zdziwiła się prawniczka.

– Małgorzaty de Bueren, nazywam ją tak dla żartu: Margareta, czyli Greta.

– Ach tak, już rozumiem. Owszem, studiowałyśmy razem, teraz przyjechałam do niej w odwiedziny.

– Na wakacje do Umilenia – uściślił Maciej. – Greta ciągle o pani mówi. Niesamowicie panią lubi. Ale to nic dziwnego, były panie najlepszymi koleżankami. Zawsze podkreśla, jaki z pani dobry człowiek.

Luiza spojrzała na niego ze zdumieniem. Różne rzeczy na swój temat mogłaby powiedzieć, ale że jest dobrym człowiekiem? To chyba akurat nieprawda. Gośka trochę przesadziła w tym względzie. Co tak naprawdę mogła o niej wiedzieć? Nie widziały się przecież tyle lat!

– Tato, oni mają jeża – przypomniała Aniela.

– Właśnie. Syn go znalazł w rowie. Chyba jest ranny, ale nie bardzo się na tym znamy – tłumaczyła Luiza, a Maciej skinął głową.

– Bilbo go wytropił – wtrącił się Jeremi, patrząc na dziewczynkę pełnym zachwytem wzrokiem. Aniela odrzuciła swe grube warkocze na plecy i razem z ojcem zajrzała do pudełka.

– Proszę ze mną do środka. Zobaczycie pani nasze królestwo. – Stachowski zaprosił ich gestem dłoni.

Jeżowy Dwór naprawdę mógł się podobać. Był obszernym domem, w stylu dworkowym, wzniesionym z pełnych bali i przykrytym dachem z prawdziwej strzechy. Całość robiła niezwykle zachęcające i swojskie wrażenie. Ale jeszcze większą uwagę zwracało otoczenie budynku – wiele małych zagródek, w których buszowały jeże.

– Po co im te kolorowe obrączki na łapach? – zapytał Jeremi. Luiza przyjrzała się uważniej. Istotnie, zwierzątka miały założone niewielkie znaczniki, dobrze widoczne z bliższej odległości.

– Musimy je jakoś odróżnić. Niektóre przybyły do nas wcześniej, inne później. Gdy się wymieszają, nie wiemy, który jest który. Chodźmy do szpitalika, zobaczę, co z waszym pasażerem.

Weszli do niewielkiego budynekczku na granicy z lasem. Luiza zachwycała się wysokimi majestatycznymi drzewami, które rosły tuż za domem. Las był niesamowity nie

tylko ze względu na nasycone barwy liści, upajające żywiczne zapachy, ale również śpiew ptaków, który dobiegał z każdej strony. Bajkowa kraina, niczym z zapomnianej opowieści. Pełna driad, rusałek i obietnic. Aż chciało się wejść pomiędzy te mchy, wysokie trawy i paprocie, żeby przekonać się, jaką tajemnicę kryją.

– Dobra nasza – usłyszała tymczasem głos Macieja ze środka szpitalika i zajrzała tam. – Jeżynka wygląda całkiem nieźle, jak na taką kontuzję. Szybko ją znaleźliście, a to jest kluczowa sprawa. Złamanie można wyleczyć. Musi ją jednak zobaczyć nasz weterynarz, ja nie potrafię pomagać w tak skomplikowanych urazach.

– To jest pani jeź? – zainteresował się Jeremi, a Stachowski skinął głową.

– Tak, i w tym jest problem.

– Jaki?

– To karmiąca mama. Trzeba jak najszybciej znaleźć gniazdo.

– Małe nie przeżyją bez matki – wyjaśniła Aniela. – Musimy od razu iść szukać, prawda, tato?

– Koniecznie tak zróbcie. Jeremi, pamiętasz, gdzie znaleźliście tę panienkę?

– Oczywiście, proszę pana. Przy zjeździe do domu Gosi. Wysiedliśmy na chwilę zobaczyć, jak dalej wygląda droga, i wtedy Bilbo zaczął ujadać. To bardzo dobry pies, czujny.

– Znakomicie. Możecie więc pomóc sobie węchem Bilba, ale nie spuszczajcie go ze smyczy.

– Jasne, tato, wiemy, co robić – stwierdziła z wyższością Aniela.

– Małe jeże są delikatne – wytłumaczył Maciej. – Trzeba je znaleźć i od razu ogrzać. Pod żadnym pozorem nie wolno im dawać mleka, starszym jeżom zresztą również. To może je zabić.

– Naprawdę? – zdumiała się Luiza. – To czym je pan karmi?

– Preparatami mlekozastępczymi. Jak się znajdzie jeża, to trzeba kupić specjalny preparat w sklepie weterynaryjnym. Nawet jednorazowe podanie zwykłego mleka może być tragiczne w skutkach. Ich żołądek tego po prostu nie przyswaja. Musi pani wiedzieć, że również obrazek jeża z jabłuszkiem na kolcach jest fałszywy. Jeże to mięsożercy, nie żywią się owocami.

– Nie miałam pojęcia, naprawdę. – Luiza pokręciła w zdumieniu głową. Tego popołudnia dowiedziała się o jeżach więcej niż przez całe życie. I co tu kryć – polubiła te małe kolczaste stworzenia. Gdy się patrzyło na nie w Jeżowym Dworze, widać było ich inteligencję i społeczne zachowania.

– Ludzie mało wiedzą o jeżach. Teraz mam dwudziestu podopiecznych. Ofiary różnych wypadków, znajdy. Zwożą je do nas z całej okolicy. Doprowadzamy zwierzątka do dobrej kondycji, a potem wypuszczamy lub oddajemy ludziom, którzy je znaleźli, by wypuścili u siebie.

– Nie żal panu? – zaśmiała się, a on uśmiechnął się do niej.

– Jasne, ale takie jest życie. Jeże są bardzo potrzebne w ekosystemie. To niezwykle pożyteczne zwierzęta. Bez nich przyroda nie działa tak, jak powinna.

– No i są niezwykle sympatyczne – stwierdziła Luiza, patrząc na uratowaną jeżynkę. Maciej skinął głową.

– To prawda. Jeżeli macie szukać, to już jedźcie, robi się późno.



– I jak to wszystko się skończyło? – dopytywał Ian, gdy Luiza z niezwykle zaaferowanym Jeremim wrócili wreszcie do Umilenia. Wokół ich nóg kręcił się i poszczekiwał bardzo z siebie dumny Bilbo. W końcu to on był bohaterem wieczoru.

– Bilbo je wyniuchał, w takiej kępie traw. Aniela od razu powiedziała, że bez psa nie udałoby się ich znaleźć.

– To i Aniela z wami była. – Gośka domyślnie kiwnęła głową, a Jeremi się zaczerwienił.

– Tak, była. Powiedziała, że jeże się znajduje najczęściej w kompletach, nie pojedynczo. Jestem ciekawy, czy to prawda? Bo my znaleźliśmy akurat cztery. Wszystkie w bardzo dobrej kondycji, tak mówił pan Maciek.

– Niesamowity człowiek, że mu się tak chce opiekować tymi zwierzakami – stwierdziła niespodziewanie Luiza. – Jest jakimś leśniczym?

– Nie. To przyrodnik z Warszawy. Osiadł tu po śmierci żony. Zajmuje się różnymi rzeczami, przede wszystkim robi piękne zdjęcia natury.

– Umarła mu żona? Była na coś chora? – zainteresowała się, może mało dyskretnie, Luiza. Małgorzata spojrzała na nią bystro.

– Nie mam pojęcia. Nie mówi o tym, a ja nie wypytuję. Bardzo go lubię, to człowiek o złotym sercu.

– I jak kocha te jeże – wtrącił Ian. – Jak własne dzieci!

– Właśnie – dodał Jeremi. – Mamo, czy ja mogę jutro pójść, żeby pomóc w jeżowym żłobku? Chciałbym zobaczyć, jak się chowają te nasze.

– No jasne. Na pewno każda para rąk się tam przyda. – Uśmiechnęła się. – Dwadzieścia pięć jeży to nie byle co.

– Siadajcie – ponagliła ich Gośka. – Już wszystko mamy na stole.

– Co tak pięknie pachnie? – zainteresował się Jeremi.

– To taka nasza pizza z Umilenia – wyjaśniła gospodyni. – Robimy ją z miejscowych produktów na chlebowym cieście.

– Myślę, że będzie nieziemsko – stwierdził chłopak, sadowiac się przy stole i rozglądając ciekawie. Gośka nakryła na werandzie, skąd widać było całe wnętrze domu, czyli spory salon z przejściem do kuchni i mniejszego saloniku. Wszystko było tu urządzone gustownie, ale prosto i w stylu wiejskich domów sprzed stu lat. Na podłodze leżały zabawne kolorowe kilimy i dywaniki. Wszędzie pachniało suszonymi roślinami i jedzeniem w taki sposób, że człowiek od razu się uśmiechał.

– Dla młodzieży jest domowa lemoniada, a my napijemy się winka – odezwał się Ian.

– Ojej, jaki ma dziwny kolor – zauważył Jeremi, wpatrując się w karafkę. Rzeczywiście, trunek miał intensywną słoneczną barwę.

– Tak, to jest *dandelion vine*. Jak to będzie po polsku? Zapomniałem tego słowa – zmartwił się Holender.

– Wino z mniszka lekarskiego – podrzuciła Gośka, stawiając na stole sałatkę. – Ta sałatka to także mój własny wynalazek. Szpinak, kozi ser, pestki i tajny składnik sosu. Wam jednak zdradzę, że jest to sumak, bardzo rzadka przyprawa, stosowana we wschodniej kuchni.

– A mnie nigdy nie chciała powiedzieć – zdumiał się jej mąż, nalewając wino do kieliszków.

– Mniszek lekarski? – dziwiła się tymczasem Luiza, oglądając lampkę pod światło.

– Czy to aby zdrowe?

– Nawet bardzo. Wino z mniszka jest ogromnie polecane. Na przeziębienia i na stresy. Po prostu złoty środek: w przenośni i dosłownie – dodał Ian.

Luiza odetchnęła głęboko i rozejrzała się po ślicznym wnętrzu domku przyjaciółki. Jeśli obawiała się, że będzie tu jak w skansenie wsi polskiej, to bardzo się pomyliła. Pomieszczenia pachniały przyjemnie drewnem, słońcem i macierzanką. Okna, a było ich tutaj dużo, bo gospodarze specjalnie zadbali o to, by znakomicie doświetlić każdy pokój, udekorowano kretonowymi zasłonkami w zabawną kratkę. Na szerokich parapetach z sosnowych desek stały naftowe lampy z wielkimi kloszami z kolorowego szkła oraz koszyki pełne aromatycznych ziół i kwiatów. Na półkach Gośka przechowywała swoje skarby – przetwory z domowego ogródka.

– Jeremi, ty będziesz spał na górze – obwieściła gospodyni. – Mamie pościeliłam tutaj, żeby miała większy spokój.

Luiza poczuła, że chętnie by się już położyła. Dokończyła kolację i wzięła ze sobą filiżankę z dziwnie wyglądającą herbatą.

– Aż boję się zapytać. – Mrugnęła do Iana.

– To *honeysuckle* – odpowiedział.

– Wiciokrzew – wyjaśniła Małgorzata. – Ma miodowy zapach i smak. Bardzo dobry napar, możesz pić bez strachu. Chodź, pokażę ci pokój, wyglądasz na zmęczoną.

Z okien rozpościerał się widok na rzekę, więc Luiza od razu je otworzyła. Poczuła zapach mgły i mokrej trawy. Trochę ją to niepokoiło, podobnie jak dziwna cisza, która tutaj wydawała się wręcz dojmująca, gdy w domu wszyscy już ułożyli się do snu i ustała krzątania. Kilka razy nawet wstała z łóżka, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Było przy tym tak ciemno, że musiała uaktywnić latarkę w komórce, by znaleźć włącznik nocnej lampki. Dziwne. W Warszawie zawsze gdzieś paliło się jakieś światło, które rozjaśniało nocny mrok. Tutaj było zupełnie inaczej. Jak w innym świecie. Fascynującym, ale trochę jednak obcym.

Kolejne dni w Umileniu płynęły szybko. Słońce budziło ją o świcie, a wraz z nim ptaki, które wyśpiewywały swoje czarodziejskie trele. Ian zwykle wówczas szedł odwiedzić zwierzęta, a Gośka zabierała się do rozpalania ognia pod kuchnią, by postawić wodę na kawę. Zaparzała ją w bardzo tradycyjny sposób, ze świeżo zmielonych ziaren i źródlanej wody. Jeremi jadł na stojąco, przekomarzając się z Gosią, a potem biegł do Jeżowego Dworu. Codziennie przynosił nowe rewelacje na temat swoich podopiecznych. Nauczył się je karmić strzykawką i bardzo zaangażował w tę pomoc. Pokazywał filmiki

kręcone komórką – jak jeżatka szybko biegają, jak potrafią się bawić i naśladować starsze jeże. Był zachwycony Maciejem, który naprawdę wiedział wszystko o tych zwierzętach. Znał ich przyzwyczajenia i potrafił leczyć choroby, przywożono mu trudne przypadki z bardzo odległych zakątków województwa.

Luiza i Gośka często szły na łąkę, gdzie zbierały kwiaty do ziołowych mieszanek herbacianych, które wyrabiała gospodyni Umilena. Wspinały się na rozłożystą lipę, żeby pozbierać pachnące kwiatostany. Semper czuła się czasami jak mała dziewczynka na wakacjach. Prawie wyzbyła się wszystkich trosk, przypominał o nich tylko stos dokumentów, do którego wracała popołudniami rozgrzana słońcem i pachnąca wiatrem z pól.

Czasem, kiedy zbierały zioła o poranku, spotykały na łąkach Macieja z nieodłącznym aparatem fotograficznym. Robił właśnie cykl zdjęć przedstawiających letnie kwiaty do jakiegoś kalendarza.

– Przyjemne zlecenie – tłumaczył Luizie, która zatrzymała się, żeby popatrzeć na jego pracę. Gośka akurat była zajęta ścinaniem dziurawca. – Bardzo lubię takie fotografowanie o świcie.

– Chyba pana rozumiem. Nigdy bym nie przypuszczała, że będę się tak rankiem zrywać i czerpać z tego przyjemność, ale owszem, to jest cudowna pora dnia.

– Zapraszam na nasze wzgórze. Z tarasu Jeżowego Dworu widać wschód słońca w taki sposób, że człowiek prawie odczuwa ruch ziemi – stwierdził, nastawiając aparat. Spojrzała na niego z uwagą, ale nie skomentowała.

Te dni miały dla niej nieodmiennie barwę czystego miodu. Takiego, jaki Ian wybierał z uli i który Gosia dodawała do swoich potraw. I mleka od kóz będącego składnikiem „eliksiru na dobry sen”, który koleżanka przygotowywała z uśmiechem, kiedy Luiza nie mogła zasnąć. Mgieł znad rzeki i rosy osiadającej na trawie o złotym poranku.

Niestety, już w pierwszym tygodniu zadzwoniła asystentka z informacją, że zdenerwowana klientka poszukuje kontaktu ze swoją prawniczką. Najwyraźniej czuła się zaniepokojona nieobecnością Semper w Warszawie, mimo iż omówiły wszystko dokładnie przed jej wyjazdem.

– Dobrze, pani Paulino, oddzwonię do pani Wiśniewskiej – stwierdziła Luiza z dziwną niechęcią. Sprawa rozwodowa była naprawdę zawikłana. Kiedyś nie miałyby skrupułów, żeby przycisnąć pozwanego i wydusić z niego więcej, niż się należało. Teraz niespodziewanie dostrzegała różne okoliczności łagodzące. Owszem, nie dogadywali się. Rzeczywiście, facet miał sporo za uszami i na pewno nie był bez winy. Ale może jednak spróbować mediacji?

Zaproponowała to klientce w rozmowie telefonicznej.

– Pani mecenas, ale mówiła pani, że będziemy walczyć i po prostu puścimy go w skarpetkach. – Aneta Wiśniewska była wyraźnie zdumiona nagłą zmianą frontu.

– Zawsze zdążymy, prawda? Mam wrażenie, że pani jednak chciałaby się z mężem dogadać, dobrze myślę?

– Sama nie wiem. On nie chce szukać żadnej pomocy, wyśmiał mnie, gdy proponowałam terapię małżeńską, uważa, że to tylko dla mięczaków i ludzi z problemami.

Ja jednak nie potrafię żyć jak teraz, z zupełnie obcym człowiekiem, którego nie rozumiem...

– No właśnie, ale wciąż chyba coś was łączy?

– I tak, i nie. Sama pani wie, że nadal pozostaje kwestia tej jego młodej kochanki. Niby to już skończone i podobno się nie powtórzy, ale ja mu nie wierzę. Po prostu nie wiem, co o tym myśleć, pani mecenas. Chyba nie chce się pani wycofać?

– Absolutnie nie. Zastanawiam się tylko, co będzie dla pani najlepsze, pani Aneto. Nie chcę, żeby popełniła pani jakiś błąd, którego ostatecznie zacznie pani żałować. Wie pani, są takie drogi, z których trudno zawrócić.

– Ma pani rację, również o tym myślałam, szczerze mówiąc. Byliśmy razem przez dwadzieścia lat, tego się nie da tak po prostu przekreślić. To co zrobimy?

– A co pani powie na taką propozycję: skontaktuję się z pełnomocnikiem pani męża i zaproponuję spotkanie. Na neutralnym gruncie, to nie musi być konieczne kancelaria. W naszej obecności oczywiście. Państwo sobie pewne kwestie wyjaśnią, pani przedstawi oczekiwania, warunki. Jeżeli mąż się nie zgodzi na wizytę u specjalisty, psychologa, nie przemyśli sobie tego, no to cóż... Wtedy już będziemy wiedziały na pewno, że nie ma czego ratować.

– Dobra myśl, pani mecenas, proszę działać. Wiedziałam, że robię właściwie, zwracając się do pani. Intuicja mi podpowiadała, że z pani jest bardzo dobry człowiek.

„Dobry człowiek?” – medytowała Semper, wybierając numer do adwokata strony przeciwnej, żeby zaproponować spotkanie. – „Skąd oni mają takie zdanie o mnie?”

– Kończ już te rozmowy – wtrąciła się Gosia. – Zaraz Maciek przychodzi z Anielką. Mamy uroczystą kolację z okazji waszych jeży.

– U was jak zwykle smacznie i aromatycznie – pochwalił Stachowski, gdy po półgodzinie pojawił się wraz z córką w Umileniu. Luiza zauważyła, że włożył porządną marynarkę i koszulę. W ogóle przy stole zrobiło się odświętnie, bo nawet Jeremi się przebrał i – co zauważyła ze zdumieniem – starannie uczesał.

– Dziękuję za uznanie – odpowiedziała Gośka. – Jak tam jeże?

– Te wasze znakomicie sobie radzą. Bardzo szybko zaczęły samodzielnie jeść. Były już wystarczająco duże, żeby sobie poradzić.

– A ich mama? – zainteresowała się Luiza.

– Polubiła ją pani? Nasz weterynarz ładnie złożył łapkę i wszystko będzie dobrze. Jeże często mają takie urazy – przede wszystkim są to efekty ugryzienia przez psa lub lisa, kiedy nie zdążą się zwinąć w kulę. Czasami też wypadki mają miejsce przy przeciskaniu się przez ogrodzenie. Choć oczywiście niestety najczęściej ich ginie pod kołami samochodów. Teraz trzeba szczególnie uważać na drogach, bo na początku lata jeże mają młode i wędrują w poszukiwaniu pokarmu.

– Jeże są fantastyczne – stwierdził Jeremi, spoglądając spod oka na Anielę. Ona kiwnęła głową z aprobatą, a chłopiec się rozpromienił i nabrał odwagi: – Nie myślałem, że to takie ciekawe zwierzęta.

– I mądre – dodała dziewczynka.

– Jak pani się tutaj czuje? – zainteresował się niespodziewanie Maciej. Semper lekko wzruszyła ramionami.

– Jestem zaskoczona.
– Czym? – Nie rozumiał.
– Że jest mi tutaj tak dobrze. Przyznam, że przyjeżdżając tu, nie spodziewałam się wiele. Wiejskie rozrywki nigdy mnie nie bawiły, ale Umilenie jest inne...
– To prawda. W naszej wiosce można się zakochać – dorzuciła Gosia, podając sałatkę.
– Nawet nie chodzi o fakt, że tutaj jest ładnie, to oczywiste, ale o całą atmosferę. Przyroda, niespieszne życie. Wiem, że to dziwne, ale zdumiało mnie, że tak można i że tak bardzo mi się to podoba – zakończyła Luiza z nieśmiałym uśmiechem.
Maciek kiwnął głową.
– Rozumiem, co pani ma myśli. Człowiek zazwyczaj nie zdaje sobie sprawy z tego, co jest mu naprawdę potrzebne. A pragnie ciszy i spokoju. Wtedy budzi się jego dusza.
– Pięknie powiedziane – szepnęła z uznaniem.
– Proszę koniecznie przyjść, odwiedzić swojego jeża – zachęcił Maciej. Spojrzała mu w oczy. Malował się w nich wyłącznie dobry blask, były pełne ciepła i budziły zaufanie.



Przyszła z bukietem polnych kwiatów. Przygotowała go podczas spaceru po łąkach. Nie mogła się oprzeć, bo rośliny wyglądały tak pięknie. Teraz pola były pełne białej gryki, która z daleka przypominała śnieg. Brodate fioletowe trawy kołysały się lekko na wietrze, gdy przechodziła ścieżką do lasu na granicy Jeżowego Dworu. Głęboka zieleń i oślepiająca biel – takie były kolory tego popołudnia.

– O, proszę, jeszcze mi kobiety nie przynosiły kwiatów – zażartował Maciej, otwierając jej drzwi.

– Już dawno nie robiłam takich bukietów, ale tym razem po prostu musiałam: polne kwiaty były takie piękne – wytłumaczyła, czując się niezręcznie, ale on tylko uniósł kąciki ust. Miał sympatyczny uśmiech, zachęcający do tego, aby się otworzyć.

– I niesamowicie pachną, a to oznacza, że będzie burza – zauważył. – To niedobrze.

– Dlaczego? – zainteresowała się.

– Bo chciałem później namówić panią na spacer nad rzekę. Muszę zrobić kilka zdjęć, a to idealna pora dnia. Zanim zajdzie słońce, powietrze się uspokaja, cienie łagodnieją i fotografie nabierają czarodziejskiego klimatu.

Roześmiała się. Miała nadzieję, że nie będzie padać, bo bardzo chciała pójść nad rzekę.

– A to jest pani jeżynka. Ma na imię Kolczatka, tak ją nazwał Jeremi.

Luiza nieśmiało wyciągnęła rękę, ale jeżyk się nastroszył.

– Jest nieufna, to w końcu dzikie zwierzątko. Już prawie z nią dobrze, łapka świetnie się zrasta, myślę, że znaleźliście ją we właściwym momencie.

– Bardzo się cieszę. Zanim tu przyjechałam, nie wiedziałam zbyt wiele o jeżach. W

ogóle poza naszym psem, zwierzęta nie bardzo mnie obchodziły – stwierdziła ze wstydem. – U Gosi jest jednak tyle ciekawych stworzeń.

– To prawda. Nie tylko mają te kozy i pszczoły, ale co roku pojawia się u nich stadko kotów. Chyba dowiadują się od innych z okolicy, gdzie można najlepiej zjeść i znaleźć przytulisko.

– O tak, z pewnością. W tym roku pojawiły się już chyba ze trzy.

– Spokojnie, wkrótce dołączą do nich rodziny: ciocie, wujkowie i dalsi kuzyni. Będziecie mieć wesoło.

– Już mamy.

– Chce pani obejrzeć nasze wybiegi dla jeży?

– Bardzo. Mam jednak prośbę: proszę do mnie mówić Luiza, dobrze?

– Z przyjemnością. Ja też wolę, jak się do mnie mówi po imieniu, czuję się trochę młodszy.

Teraz ona się roześmiała.

– To mnie się wydaje, że jestem strasznie stara.

Maciek spojrzał na nią uważnie.

– Twój syn powiedział mi, że jesteś bardzo przemęczona pracą.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

– Owszem, stwierdził też, że odkąd założyłaś jeansy i zaczęłaś wspinać się po drzewach z Goską, zmieniłaś się nie do poznania.

– Co też ten chłopak wygaduje. – Niezadowolona Luiza zmarszczyła brwi. Wyglądało na to, że jej syn bardzo zżył się z Maciejem i jego domownikami. Skoro rozmawiali na takie tematy, musiał mu zaufać. Przeraziło ją, co jeszcze mógł opowiadać – może o ojcu i ich niełatwych relacjach, nieudanym małżeństwie rodziców? Stachowski jakby słyszał te myśli.

– On jest bardzo skryty – wyjaśnił. – Opowiedział mi tę historię, gdy wypytywałem o ciebie.

– Wypytywałeś? A po co?

– Byłem ciekawy. Wydajesz się niezwykle interesującą osobą, a jednocześnie jakby zamkniętą w bańce ze szkła. Nikogo do siebie nie dopuszczasz. Obserwowałem was na łąkach, gdy fotografowałem. Greta jest już jak prawdziwa wieśniaczka, ty natomiast wciąż się kontrolujesz. Jakbyś za wszelką cenę próbowała upilnować własne myśli.

– To znaczy?

– Żeby cię nie zdradziły – zakończył, wprowadzając ją do zagrody. Jeże przyciągnęły całą jej uwagę i nie miała nawet czasu, by zapytać, co dokładnie chciał powiedzieć.

Jeremi nie przesadzał, mówiąc, że biegają bardzo szybko. Zasuwały po trawie, zabawnie kołyszac się na krótkich łapach. Wystawiały ciekawskie nosy i węszyły z wielką uwagą. Węch był bowiem ich najczulszym zmysłem.

– To nasza młodzież, są prawie gotowe do wypuszczenia w naturalne środowisko. Jeżą się o byle co i stają się dosyć nieufne. To dobrze, jeśli mają poradzić sobie same.

– A te nasze? Rozpoznamy je?

– Oczywiście, po to właśnie oznaczamy je kolorami. Proszę bardzo, tamte z

seledynowymi opaskami na łapkach są od was.

Luiza z czułością spojrzała na kolczaste stworzonka przebierające szybko łapami i machające wesoło krótkimi ogonkami, jakby do rytmu kroków. Spieszyły się do jedzenia, które właśnie wyniósł im Jeremi.

– Mamo, zobacz, jak je karmię – zawołał do matki, najwyraźniej ucieszony, że ją tu zastał. Bardzo chciał się pochwalić swoją znajomością rzeczy.

– Trzeba nalać odrobinę mleka na zakrętkę od słoika, żeby nie zamoczyły sobie nosów. Potem już się nauczą.

Prawniczka była dumna z syna. Pomagał, czuł się potrzebny i robił tyle dobrego. Praca ze zwierzętami sprawiała mu przyjemność i dawała satysfakcję.

„A ja?” – pomyślała niespodziewanie. „Co mnie uszczęśliwia?” Złapała się na myśli, że właściwie to nie chce stąd wyjeżdżać. Miała ochotę zobaczyć, co przyniesienie kolejny dzień, jakie ptaki zaśpiewają o świcie. Pragnęła spędzać czas z przyjaciółmi. Tymi starymi, ale także poznanymi ostatnio. Zwłaszcza Macieja życzyłaby sobie poznać lepiej.

– Radzicie sobie? – zapytał dla pewności młodych pomocników.

Długowłosa Aniela, która moczyła starszym jeżom kocie chrupki w preparacie mlekozastępczym, tylko skinęła głową. Nietrudno było zauważyć, że para nastolatków doskonale ogarnia wszystkie tutejsze sprawy.

– Chyba jednak nie będzie padać – uznał Maciek. – Może zatem pójdziemy nad rzekę? Skoczę tylko po aparat.

Luiza przyzwalająco kiwnęła głową. Miała ochotę na ten spacer. Chwilę przyglądała się jeszcze synowi, jak z ożywieniem coś mówi do Anieli, która słucha go ze zmarszczonymi brwiami. Potem razem zabrali pokarm dla jeży i poszli do kolejnej zagrody.

– Jestem gotowy – usłyszała głos Stachowskiego. Wyszedł z domu z aparatem fotograficznym przewieszonym przez ramię.

– No to idziemy. – Semper poczuła niepewność. Zupełnie jakby wybierała się na pierwszą w życiu randkę. Krajobraz nad rzeką zmieniał się. W środku dnia urzekał ją zapach młodych wierzbowych pędów. Kiedy nad wodą panował upał, świeże gałązki pachniały tak słodko jak miód. Było coś niezwykłego w tej nadrzecznej gorzkiej woni. Zmieszanej ze słońcem, ostrym aromatem błota i świeżo skoszonej łąki, bo właśnie na pobliskim wzgórzu trwały sianokosy. Ptaki śpiewały. Teraz jednak było już późne popołudnie.

Wieczorna mgła opadała nad zakręt rzeki jak gęsty dym. Luiza miała przez chwilę wrażenie, że jest to chmura, która niespodziewanie nadleciała znad lasu i jakimś niewiarygodnym sposobem dotarła tak nisko. Potem nagle rozwinęła się jak obrus i otuliła sobą powierzchnię wody, pełzną w kierunku mostu. Była perłowa, lekko opalizująca i aż wibrowała, gdy w niektórych miejscach jeszcze prześwitało ją zachodzące słońce.

– Takie efekty świetlne można dostrzec jedynie o tej porze dnia – wytłumaczył Maciej. – Dlatego czas przed zachodem słońca jest najcenniejszy dla fotografa.

Milczała, przyglądając się wodzie. Mgła osiadła i rzeka po raz kolejny się zmieniła. Światło padało na taflę w taki sposób, że podkreślało wszystkie kształty, tworząc zupełnie nowy obraz. Po powierzchni płynęły płatki kwiatów, liście, puch podbiału czy ostu,

skrzydełka lipy. Wyglądało to niesamowicie, jakby woda się wzburzyła. Na rzece unosiła się puszysta fala.

– Widzisz to? – emocjonowała się Luiza. Maciek skinął głową i nastawił obiektyw aparatu. Szybko wykonał kilka zdjęć.

– Botanik by ci to od razu nazwał. Anemochoria. Wiatrosiewność. Niektóre rośliny wyposażone są w aparaty lotne, które pozwalają ich nasionom przemieszczać się na duże odległości. To taka strategia przetrwania.

– Strategia przetrwania – powtórzyła.

– Tak. Każdy z nas ma jakąś. Również my, bo jesteśmy częścią przyrody. – Zapatrzył się na wodę, jakby zapominając, że przyszedł tu również robić zdjęcia. A rzeka wyglądała po prostu bajkowo. Ostatnie promienie słońca odbijały się w niej niczym złocista smuga lub przepływające pod powierzchnią stadko lśniących ryb. Drzewa rysowały się czernią w połyskliwej falującej tafli.

– Ja też tak sędzę – powiedziała cicho, po dłuższej chwili milczenia. – I jednocześnie wiem, że byłam po prostu głupia. Myślałam, że wszystko da się załatwić pracą. Jeśli będę więcej pracować, zapewnię Jeremiu lepsze życie, a swoje myśli odwrócę od pustki, którą mam w sobie.

– A masz w sobie pustkę? – spytał miękko.

– Ty tak nie uważasz? Mam wrażenie, że od początku bierzesz mnie za płytką i ograniczoną paniusią z miasta – wybuchnęła niespodziewanie. Maciek się uśmiechnął.

– Ciągle martwisz się o to, jak ktoś cię ocenia i za kogo cię bierze. Zauważyłem, że przede wszystkim zależy ci na swoim wizerunku w oczach innych. W ogóle nie myślisz o tym, kim jesteś sama dla siebie. A chyba to powinno być dla ciebie ważne, prawda?

– Nie bardzo rozumiem.

– Luizo, wydaje mi się, że ty sama nie wiesz, co jest dla ciebie najistotniejsze, czemu chciałabyś się poświęcić. To znaczy myślę, że jednak wiesz, tylko boisz się to sobie uświadomić. Sama się ograniczasz. Wynajdujesz jakieś przeszkody i usprawiedliwienia, żeby nie żyć naprawdę i pełnią życia. Dlaczego to robisz? Jeżeli chcesz wrzeszczeć i nawet powiedzieć brzydkie słowo, po prostu to zrób, na Boga! Uwolnij swój umysł i duszę.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. I roześmiała się serdecznie. Ona miałaby przeklinać? Absurdalny pomysł. A jednak coś w tym było, Maciej miał rację. Już od pewnego czasu odnosiła wrażenie, że potrzebuje czegoś nowego. Powinna wpuścić do swej egzystencji więcej światła. Odważyć się robić wszystko inaczej. Może nawet się zakochać?

Spojrzała na niego trwożliwie, jakby bojąc się, że odgadł myśli, które od razu ją zawstydziły.

Na jej ramieniu przysiadła ćma o długich różowych skrzydłach i różowym odwłoku. Spacerowała po ręce Luizy, zupełnie bez strachu, a ona przyglądała się owadowi ze zdumieniem.

– Zmrocznik gładysz – stwierdził Maciek, nastawiając aparat. – Poczekaj, aż ci wejdzie na palec i nie ruszaj się. Będziemy mieli piękne ujęcie.

Wstrzymała oddech, gdy fotografował nocnego motyla. Potem zmrocznik odleciał,

a ona podążyła za nim wzrokiem.

– Dziwna nazwa – podsumowała. – Mało romantyczna.

– Niestety ómy mają bardzo prozaiczne nazwy. A wcale na takie nie zasługują, jak chociażby ta, bo są bardzo ładne. Może łacińska bardziej ci się spodoba: *Deilephila elpenor*. Wylatuje o zmierzchu i lubi wiciokrzewy.

– Jest ich mnóstwo u Goški... – szepnęła Luiza urzeczona usłyszaną opowieścią. W Macieju zachwycił ją to, że tyle wiedział o przyrodzie, o otaczającym ich świecie, po prostu stąpił się z nim w całość. I było to tak niewiarygodnie naturalne.

– Lubisz swoją koleżankę? – zapytał znieczeka, a ona automatycznie skinęła głową. Tak, teraz lubiła Gosię bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Gdy ją tak dobrze poznała, zrozumiała, jak świetną jest osobą.

– Bardzo. Mam wrażenie, że wcześniej wcale jej nie znałam. Dopiero tutaj...

Zgodził się.

– Ona też cię lubi. Zawsze powtarza, jakie masz dobre serce.

– Nie mam dobrego serca. Jestem... przeciętna – mruknęła z przykrością.

– Raczej nie. – Maciek majstrował przy aparacie, a potem nastawił go na wieczorny portret. – Greta podkreślała zalety twego charakteru, ale nie mówiła, jaka jesteś piękna...

– Piękna? Nigdy nie myślałam o sobie w ten sposób. Chciałam być profesjonalna, kompetentna, ale piękna? To dobre dla innych, nie dla mnie.

– Mylisz się. – Zrobił serię zdjęć, nawet nie pytając jej o zgodę. Potem pokazał jedno na podglądzie. Nie mogła poznać samej siebie. Miała tak niebywałą słodycz w oczach, że odniosła wrażenie, jakby patrzyła na kogoś obcego.

– Nie sądzisz, że mogłabyś tu zostać na dłużej? – spytał po chwili milczenia. Podniosła wzrok i w napięciu patrzyła na jego twarz, a potem przytaknęła.



– Ale cię długo nie było! Udana randka? – spytała otwarcie Goška, gdy Luiza wróciła do domu. Była podekscytowana jak licealistka. Znowu zaskoczyło ją własne zachowanie. Miała wrażenie, że wraca do niej młodość, czarodziejski czas, gdy wszystko jest możliwe i nie ma żadnych przeszkód.

– To nie była randka – sprostowała, ale takim głosem, że wiadomo było, iż uważa inaczej. Goška się uśmiechnęła.

– Wiedziałam, że przypadniecie sobie do gustu. Ty i on.

– A więc to twoja robota, intrygantko – roześmiała się Luiza.

Nie potrafiła sobie znaleźć miejsca, krążyła po jadalni jak nakręcona zabawka. Koleżanka śledziła ją wzrokiem.

– Jaka tam intrygantka – westchnęła. – Po prostu na pierwszy rzut oka widziałam, że każdemu z was czegoś brakuje.

– Niby czego?

– Siebie.

Luiza wreszcie usiadła i zapatrzyła się w sierp księżycy wiszący za oknem.

– Obawiam się, że jestem żałosna. Nie mówiłam ci o tym, ale z mężem za bardzo mi nie wyszło. Obiecałam sobie, że nie popełnię drugi raz tego samego błędu...

– No i nie robisz tego. Maciek to nie jest twój były mąż. Myślę, że sama to już zauważyłaś.

Semper skinęła głową. Tak, Maciej w niczym nie przypominał Radka. Przede wszystkim umiał słuchać. Chyba to podobało się jej najbardziej. Potrafił też milczeć w taki sposób, że człowiek nie czuł przy nim skrępowania.

– Naprawdę nie masz pojęcia, jak wyglądało moje życie – zaczęła ponownie, a Gośka powstrzymała ją ruchem dłoni.

– Jestem w stanie to sobie wyobrazić. Gdy się spotkałyśmy, byłaś kłębkim nerwów. Wiesz, że ciągle przestawiałaś sztuce na stole? W taki sposób, żeby leżały symetrycznie. Doszłam do wniosku, że jesteś na skraju wyczerpania. A teraz? Znowu bije od ciebie wewnętrzne światło, nabrałaś dystansu do obowiązków, tego, co trzeba, wypada, czy myślisz, że powinnaś zrobić.

Luiza skinęła głową. Uświadomiła sobie, że doszła do podobnych wniosków. Co więcej, gdy rozmyślała o powrocie do pracy w Warszawie, nagle robiło się jej smutno i żal. Jakoś nie chciała opuszczać tego miejsca. Myślała o tym wręcz z przykrością.

– Powinnaś organizować wczasy regeneracyjne zatytułowane: *Wewnętrzny balans w weekend* – zażartowała, a przyjaciółka spojrzała na nią z przyjemnością.

– Cieszę się, że jesteś zadowolona. Ta okolica wszystkich odmienia. Pamiętam, jaki był Maciek na początku. Po prostu smutny, przygaszony.

– Naprawdę? Wygląda na niezwykle spokojnego i pogodzonego ze światem.

– Nie zawsze tak było. Po śmierci żony chyba zupełnie się załamał. Ten dom był dla niego odskocznią, stał się chyba wybawieniem. Wszystko poświęcił córce. Sam mówił, że żyje głównie dla niej.

– To przykre – stwierdziła cicho Luiza i radość uleciała z niej jak z przekłutego balonika. Maciek to facet po przejściach, który musi się uporać ze swoimi problemami. Chyba źle odczytała jego intencje, a Małgorzata niepotrzebnie zaczęła ich swatać. Jemu był potrzebny spokój, a nie kolejna kobieta. Kładła się spać przygnębiona, a potem nie mogła zasnąć i nawet słynny eliksir Gośki nie pomagał.

Zapadła już głęboka noc, gdy przestała bezsensownie przewracać się z boku na bok i wstała. Podeszła do drzwi balkonowych i otworzyła je na oścież. Księżyc oświetlał cały ogród, nadając mu tajemniczego piękna. Było coś niesamowitego w jego złudnej poświacie. Lśnił srebrzyście na liściach, napełniając sad widmowym blaskiem. Czuła się tak, jakby weszła do niezwykłego obrazu przedstawiającego krainę czarów.

Po trawniku coś się przemieszczało.

Mysz? Nie, to stworzenie było dużo większe, a szło wolno, z wysiłkiem. Luiza wzięła z pokoju komórkę i poświeciła. To był jeź. Patrzył na nią brązowymi guziczkami oczu i wystawiał szpiczasty nosek. Coś mu jednak dolegało. Był bardzo chudy, a jego boki wyglądały na zapadnięte.

„Chyba trzeba mu pomóc” – uświadomiła sobie. Wiedziała od Jeremiego, że jeża, nawet takiego w potrzebie, nie należy niepotrzebnie straszyć. Zwierzątko na pewno

wymagało opieki – gdy oświetliła je telefonem, a potem lekko dotknęła kolców, nie zwinęło się w kulkę.

„Jak to było?” – medytowała Luiza. – „Trzeba włożyć do pudełka i ogrzewać butelką z wodą”. Wróciła do domu i po chwili przyniosła potrzebne akcesoria. Jeż siedział w tym samym miejscu co przedtem, nawet nie starając się uciekać. Było bardzo późno, ale mimo to wybrała numer Macieja.

– Przepraszam cię bardzo, ale znalazłam jeża – powiedziała bez wstępów.

– Teraz? W środku nocy?

– No tak, nie mogłam spać, wyszłam do ogrodu i natknęłam się na niego. Jest strasznie chudy, prawie się nie rusza i nie zwija się w kłębek.

– Na pewno jest głodny i odwodniony. Dasz radę go przywieźć czy przyjechać do ciebie?

– Ja przyjadę – zadeklarowała i obleciał ją strach. Ma w środku nocy jechać po tych bezdrożach? No trudno, raz kozie śmierć. Nie mogła przecież sprawić zawodu temu jeżowi. Bez niej nie miał szans.

Ostrożnie wsunęła go do pudełka, starając się nie pokaleczyć o kolce. Przykryła go szmatką i położyła obok niego butelkę z wodą. „Jeszcze kluczyki i dalej w drogę” – dodawała sobie odwagi. Umieściła jeża na przednim siedzeniu i ostrożnie wyjechała spod bramy domu Gosi.

Droga zajęła jej więcej czasu niż za dnia, bo dokładnie oglądała każdy wybój, żeby nie uszkodzić zawieszenia. A w nocy każdy bity trakt wygląda po prostu groźnie, jest pełen wykrotów i kamieni.

Gdy dojechała, zaniepokojony Maciek stał już przy bramie. Miał na sobie sweter i sportowe spodnie.

– Martwiłem się. Nie chciałem dzwonić, żeby cię nie denerwować, ale już myślałem, że trzeba będzie jechać cię szukać.

– Spokojna głowa. Po prostu rzadko jeżdżę w nocy przez las. Masz tu tego jeża. – Podała mu pudło.

– Będziemy go nawadniać, chcesz zobaczyć?

– Jasne, jestem bardzo ciekawa.

Poszli do szpitalika, gdzie Maciej ostrożnie wydobył jeża. Rzeczywiście był chudy i zabiedzony.

– Chcesz zobaczyć, jak się sprawdza, czy są odwodnione? Trzeba chwycić ten fałd skóry na karku, razem z kolcami. Jeżeli wraca do poprzedniego stanu, wszystko jest w porządku. Tutaj, jak widzisz, odkształcenie się utrzymuje.

– I co teraz zrobisz? – zainteresowała się.

– Będę mu podawał wodę z cukrem i solą. Musi być ogrzana do temperatury ciała ludzkiego, żeby mu dodatkowo nie zaszkodzić, bo odwodnione jeże często cierpią z powodu hipotermii.

Luiza przyglądała się, jak Maciek poi jeża ze strzykawki. Zwierzątko piło chciwie i widać było, że tego właśnie potrzebuje.

– Teraz trzeba go odłożyć do klatki. Musi dojść do siebie. Potrzebuje jednak pokarmu co kilka godzin.

– Tyle wiesz o jeżach, to po prostu niesamowite – uznała.

– Zawsze je lubiłem i się nimi interesowałem. Wiesz, że jeżowe oseski mają zupełnie miękkie białe igły? Potem wyrastają im grubsze, a w końcu te ostateczne kolce.

– Nie miałam pojęcia.

Maciek spojrzał na nią z sympatią.

– Dobrze się sprawiłaś. Może wstąpisz na herbatę?

– A nie obudzimy Anieli?

– Ona śpi na górze i można przy niej strzelać z armaty.

Weszli do domu i Luiza zachwyciła się jego urządzeniem w stylu dziewiętnastowiecznego dworku. Bardzo ładne meble były z wycuciem porozmieszczane na zabytkowych dywanach.

Maciej przyniósł herbatę i dwie filiżanki.

– Piękny dom – pochwaliła. – Wyposażony z dużym smakiem.

– Dziękuję. Staralem się. To miał być wakacyjny dom dla naszej rodziny. Wyobrażałem sobie, że będziemy tu przyjeżdżać na lato i na święta. Wszystko jednak potoczyło się inaczej.

– Przykro mi, że straciłeś żonę. Gosia mi o tym wspomniała.

Maciek poruszył się niespokojnie na fotelu.

– Tak, bardzo mnie to zmieniło. Po wypadku Aldony zrozumiałem, że nic nie trwa wiecznie. Wydaje nam się, że jesteśmy nieśmiertelni, ale życie to tylko krótka chwila. Nie ma więc sensu marnować tych chwil na sprawy nieistotne. Wszystko jest tak kruche, że liczą się wyłącznie sprawy najważniejsze. Dla mnie na przykład – moja córka.

– Bardzo mądrze powiedziane. Ja też zrozumiałam, że pośpiech i ciągła pogoń za czymś, czego i tak nie jesteśmy w stanie schwytać, nie nadają naszej egzystencji sensu. Wręcz przeciwnie, coś nam odbierają.

– Zabierają radość, która pozwala cieszyć się z drobnych, zwykłych momentów. Nie mamy czasu na zachwyty. To jest w tym wszystkim najgorsze.

Chwilę milczeli, a Luiza wpatrywała się w księżyc za oknem. Z Jeżowego Dworu położonego na wzgórzu wydawał się bliższy i jeszcze bardziej tajemniczy.

– Naprawdę uważam, że powinnaś tutaj spędzić więcej czasu – dodał niespodzianie.

– Też o tym marzę – wyznała. – Mam jednak pracę, do której niedługo muszę wrócić.

– Jeremi wspominał mi o tym. Jesteś adwokatem, prawda?

– Prowadzę sprawy rozwodowe. Zwykle wyklócam się o jak największe pieniądze dla moich klientów. Teraz jednak, po raz pierwszy, zaproponowałam mediację. Czy to nie dziwne?

– Raczej bardzo słuszne, skoro coś jeszcze udało się uratować. Kiedy masz tę sprawę?

– Mediacja za kilka dni. Jeżeli się powiedzie, zakończę wszystko z dużą ulgą.

– I wtedy wrócisz?

Popatrzyła na niego pytającym wzrokiem. Wstał z fotela i stanął przed nią. W księżycowym świetle jego postać rysowała się ciemnym, lekko rozmytym kształtem.

– Wróć... Jeżeli tego chcesz – powiedziała bez tchu, zaskoczona swoją odwagą. „Narzucić się jakiemuś facetowi? Luizy, co ty wyprawiasz!” – pomyślała w panice.

– Oczywiście, że tak – jego cichy głos wypełnił pokój. – Przecież o tym wiesz.

Tak. Wiedziała o tym, czuła to przez skórę, że teraz zaczyna się dla niej inny, niezwykły czas. Czy warto zaryzykować? Po tym wszystkim, co sobie przemyślała i o czym rozmawiała z Maciejem i Gošką, wiedziała jedno. Znalazła swoją drogę i chciała nią podążać. Nawet jeżeli miałyby to być tylko to jedno niesamowite lato, nie wahała się ryzykować.

Do salonu wszedł jeź. Głośno tupiąc, przeszedł przez całą długość pomieszczenia i opuścił go drugimi drzwiami.

– To Jeźysław, nasz wędrowniczek. Lubi tak sobie spacerować po nocy – wyjaśnił Stachowski.

Oboje odprowadzili go wzrokiem, gdy zniknął w zagrodzie dla młodych jeży. A potem odwrócili się ku sobie i roześmiali. Był to śmiech radości oraz wzajemnego zrozumienia. Tak mogli patrzeć na siebie ludzie, którzy wreszcie się odnaleźli w mroku. Odnaleźli i rozpoznali.

– Nie wyjeżdżaj na długo i wracaj szybko – powiedział Maciek, biorąc ją za rękę.

– Mamy wiele do nadrobienia. Przed nami tyle rozmów, spacerów...

– Przed nami całe lato – szepnęła, patrząc mu w oczy, a on skinął głową z uśmiechem.

Kocia miłość

Agnieszka Lingas-Łoniewska

Wszystko się sypało. Mieliśmy zdobyć bardzo ważnego klienta, ale wyszło na jaw, że gnojek z konkurencyjnej agencji zabrał go na wycieczkę do Lizbony i skutecznie przekupił. Oczywiście prezes miał pretensje do mnie. Jak mogłam „nie rozpoznać potrzeb” i nie odkryć, że klient lubi nocne imprezki z roznegliżowanymi tancerkami w lizbońskich klubach nocnych.

– Joanna, musisz mieć otwarty umysł, musisz myśleć jak mężczyzna! Nie daj się pokonać testosteronowi, sama się nim stań!

O tak, byłam cholernie męska... Pulchny rudzielec, z piegami na nosie (maskowanymi przez korektor) i zielonymi oczami. Naprawdę musiałam ciężko zapieprzać, by osiągnąć sukces. Wygląd mlecznobiałej panny z dużym biustem i szerokimi biodrami nie ułatwiał mi awansowania w krwiożerczej agencji reklamowej, gdzie liczył się look, design, długie nogi i zrobione przez najlepszych ortodontów w Warszawie zęby, których biel niemal oślepiła. Ale to ja przyciągnęłam największych klientów do naszej agencji i dzięki mnie firma zarabiała rokrocznie krocie, co pozwoliło nam uplasować się w czołówce najlepszych agencji reklamowych. Jednak wiedziałam, że muszę pracować dwa razy więcej niż piękna Karola, długonoga Martyna czy bezkompromisowa Wiktoria. Ja byłam tylko Aśką, Joanną, jak zawsze mówił do mnie szef, która musiała stać się facetem w spódnicy. Nie zawracałam sobie tym jednak głowy.

Kochałam moją pracę, Warszawę, szybko bijący puls miasta. Mieszkałam na Żoliborzu, pracowałam w Mordorze na Domaniewskiej, miałam trzydzieści dwa lata, dwa dłuższe związki za sobą (jeden trwał rok, drugi siedem miesięcy, ani tego, ani tamtego nie warto wspominać), zero dzieci, zero zwierząt, zero kwiatów. Było mi z tym najwygodniej, z tą moją samotnością, której aż tak bardzo nie odczuwałam (w samookłamywaniu się byłam rewelacyjna). Czasami, gdzieś tak późnym wieczorem, gdy kołysałam w dłoniach pusty kieliszek po czerwonym winie i oglądałam jakąś naiwną komedię romantyczną, przez chwilę krótszą niż mgnienie oka wyobrażałam sobie, że nie jestem aż taka samotna i aż taka przez nikogo niekochana. A potem wyłączałam telewizor, wsadzałam pusty kieliszek do zlewu i szłam spać. Po to tylko, aby następnego dnia z samego rana jechać do firmy i dawać z siebie wszystko, co oni z ochotą i bez mrugnięcia okiem przyjmowali. Dopóki coś poszło nie tak.

– Spieprzajcie wszyscy! – burknęłam, dodając gazu.

Przez to wszystko zapomniałam o pierwszeństwie prawej strony. I gdy dotarło do

mnie, że jadę za szybko, nacisnęłam hamulec, ale było już za późno. Mój czerwony fordzik zahaczył o lewy bok wyjeżdżającego z bocznej uliczki czarnego auta, zostawiając na błotniku piękne wgniecenie urozmaicone czerwonymi rysami mojego lakieru.

– Cholera jasna! – zakląłam głośno.

Wzięłam kilka głębokich oddechów i wyszłam z pojazdu. Z czarnego samochodu wysiadł facet w garniturze. Z marsową miną obejrzał szkody i spojrzał na mnie. Jego niezadowolony wyraz twarzy nie zmienił się, a nawet przybrał na sile. Ciemnobrązowe oczy wpatrywały się we mnie z niepokojącą intensywnością i mogłam sobie tylko wyobrazić, co dzieje się w głowie tego przystojniaka. A tak, to też zakonotowałam. Był wysoki, szczupły, ciemnowłosy, na policzkach miał ślad ciemnego zarostu, który pewnie rano zgolił. Pachniał wspaniale i miał na sobie elegancki garnitur. Był pewnie jednym z tych młodych gniewnych, których często widywałam w czasie robienia własnej kariery.

– Przepraszam – wyjąkałam, bo co w sumie mogłam powiedzieć.

– Mogłaby pani jeździć trochę wolniej. Tu wszędzie trzeba ustępować pierwszeństwa jadącym z prawej strony.

– Wiem, mieszkam tu. Ale się zamyśliłam, spieszyłam. Spiszemy oświadczenie? – spytałam z nadzieją.

– Nie ma wyjścia. Mam druczki. – Otworzył tylne drzwi i wyciągnął wyglądającą na drogą skórzaną teczkę z włoskiej skóry.

– Na szczęście – mruknęłam, a pan garnitur ponownie spojrzał na mnie z uwagą. Ale tym razem w jego wzroku nie było złości, lecz zaciekawienie. – Proszę, to mój dowód. – Podałam mu dokument.

Szybko uporał się z wypełnieniem rubryk, zrobił kilka zdjęć i było po wszystkim. Oddał mi dowód i już mieliśmy wsiadać do swoich pojazdów, które wcześniej zaparkowaliśmy na chodniku, kiedy z pobliskiego skwerku doszło do nas głośne, żalosne miauczenie. Chwilę później przy moich nogach zmaterializował się mały rudy kociak. Właściwie kociątko. Był cały rudy, a na nosku miał małą białą plamkę. Patrzył na nas niebieskimi oczkami, a ogonek poruszał się miarowo, to w prawo, to w lewo.

– Malutki, skąd się tutaj wziął? – Podeszłam do kociaka i wyciągnęłam w jego kierunku rękę. Maluch nie uciekał, za to zaczął bawić się listkiem.

– Niech pani go zostawi, może ma tu matkę gdzieś w pobliżu.

– I co? Tak sobie sam poszedł?

– No może. – Mężczyzna wzruszył ramionami, ale patrzył na kota z uwagą. Potem zaczął rozglądać się po skwerku, podszedł do żywopłotu i zajrzał w krzaki. Odwrócił się i popatrzył na mnie z bezradną miną. Wzruszył ramionami. – Musiał się znacznie oddalić.

– To matka raczej zostawia małe, bo rusza na łowy. On chyba się zgubił. Ile może mieć?

– Nie wiem, nie znam się na kotach.

– Ja też nieszczęśliwie. – Westchnęłam. – Nawet kwiatki mi usychają.

– Może znajdzie się matka? – Facet wyglądał na niezdecydowanego. Jak on miał na imię? Zerknęłam na trzymane w ręku oświadczenie. Aha! Julian. Julian Bugaj.

– Panie Julianie, nie mogłabym go tu zostawić. A pan? Mógłby? – Spojrzałam mu w oczy. Miały intensywnie czekoladową barwę. Lubiłam czekoladę, co można było z

łatwością rozpoznać po moich biodrach. Ech... Skupmy się na oczach pana Juliana. Zauważyłam też, że okalają je długie rzęsy. Nagle opamiętałam się. Serio? W takim momencie skupiam się na jego oczach? Joanno Karewicz, weź się w garść!

– No ja też nie, ale spieszę się. Cholera...

– Może go gdzieś zawieziemy? – Zerknęłam na małego rudzielca, ten bawił się w najlepsze trawą. Chciałabym mieć w sobie trochę jego beztroski.

– Niech pani posłucha. Ja naprawdę muszę jechać. Dam pani adres do Leśnego Przytuliska, to taka fundacja pod Warszawą. – Wyjaśnił, jak tam dojechać. – Będzie pewnie przyjmował doktor Marcin, proszę mu powiedzieć, że jest pani moja... znajomą. On zbada kociaka i weźmie go na tymczas.

– Na tymczas?

– Dom tymczasowy. – Mężczyzna machnął ręką. Zauważyłam, że ma silne dłonie i długie palce. Obrączki nie widziałam. Zamieniałam się w niewyżytą starą pannę. Zamrugałam i utkwiałam wzrok w kocie.

– Dobrze, pojedę tam. – Ponownie westchnęłam.

– Pechowy dzień, cholera.

– Za często powtarza pan to słowo.

– Jakie? – Zmarszczył brwi.

– Cholera.

Spojrzał na mnie dziwnie, pokręcił głową, schylił się i wziął kociaka na rękę.

– Proszę.

– Jak mam go tam zawieźć? Będzie mi skakał po samochodzie. – Trzymałam rudzielca, który wczepił się we mnie pazurkami ostrymi jak igiełki.

– Moment! – Ten cały Julian otworzył bagażnik swojego auta, widziałam, jak wyjmuje z pudełka butelki wina, i po chwili podał mi kartonik. Wciąż trzymałam wiercącego się kota, więc machnął wolną ręką, otworzył drzwi obok kierowcy i postawił pudło na siedzeniu.

– W tym będzie bezpieczny.

Spojrzałam sceptycznie na prowizoryczny transporter. Wówczas Julian podszedł bliżej i z kolei popatrzył na mnie, jakby coś analizował. Jego brązowe oczy śledziły mnie jak jakiś ciekawy okaz, a ja poczułam dziwne, trudne do sprecyzowania mrowienie gdzieś w okolicach żołądka. Wtedy uniósł dłoń, dostrzegłam niebieski mankiecik koszuli wychylający się zza rękawa garnituru, złoty zegarek, opalony nadgarstek i serio, zaschło mi w gardle. Zupełnie nie wiedziałam, co jest grane. Kot wbijał mi pazury w piersi, czułam, jak jego małe serduszko bije w szalonym tempie, a moje serce wybijało podobny rytm. Julian chwycił mój jedwabny szal, który miałam na ramionach, ściągnął go, zwinął i wyościł nim pudełko. Mnie zatkało zupełnie. Wtedy zabrał ode mnie kociaka, posadził w zwojach szala i przykrył pozostałą częścią mojej eleganckiej ozdoby.

– Tu będzie czuł się dobrze. Da pani radę dojechać.

– Wie pan, że to był jedwabny szal?

– Zapewne. – Uśmiechnął się kącikiem ust. – Ale proszę spojrzeć. – Wskazał głową na pudełko. Kociak ugniatał pracowicie materiał przednimi łapkami, mruczał jak traktorek i wyraźnie szykował się do spania.

Westchnęłam. Ponownie.

– No dobrze. W takim razie jadę do tego przytuliska.

– Zadzwońię do pani.

– No tak, w sprawie samochodu, znaczy ubezpieczenia.

– W sprawie kota. – Julian zerknął na pudełko z rudą zawartością, potem przeniósł wzrok na mnie i, cholera, zatrzymał na chwilę swoje spojrzenie na moich ustach. Zmrużył oczy, miałam wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale tylko potrząsnął głową, wymamrotał coś, co było chyba pożegnaniem i udał się do swojego samochodu. Ja usiadłam na miejscu kierowcy i popatrzyłam na kota.

– No i co? Ale się nam zaczął dzień? – Kot lizał łapę i nie przejmował się zapewne sytuacją. A właściwie był chyba zadowolony z takiego obrotu sprawy. – Jasne, masz to gdzieś.

Wpisałam do nawigacji w telefonie adres tego całego przytuliska i ruszyłam na przedmieścia, mając nadzieję, że zdążę wrócić na Żoliborz, zanim utknę w jednym z licznych warszawskich korków. Udało mi się dojechać do Leśnego Przytuliska, jak głosił drewniany drogowskaz, w trzydzieści pięć minut. Kot przez ten czas smacznie spał. Zawinął się w mój jedwabny szal i wyglądał jak te wszystkie słodkie rude kuleczki z reklam karmy dla zwierząt. Uśmiechnęłam się pod nosem, mały wyraźnie wiedział, jak ująć człowieka za serce. Bzdura, oczywiście, że nie miał o niczym pojęcia. Po prostu... był kotem. Którego, na szczęście, znalazłam. I w sumie dobrze, że był tam ten cały Julian, przynajmniej doradził, co mam zrobić z tym niespodziewanym znaleziskiem. A zaraz potem przypomniałam sobie, dlaczego w ogóle doszło do tej sytuacji, firma, przymusowy urlop, moja szybka jazda, stłuczka. Zaparkowałam koło wejścia do niskiego białego budynku z zielonym dachem i oparłam głowę o kierownicę. Miałam dość. Byłam taka zmęczona. Spojrzałam na pudełko, coś się w nim poruszyło. Kociak przebudził się, chyba jazda go uspiła, ale gdy auto przestało pracować, mały się obudził. Usiadł, ziewnął i spojrzał na mnie.

– Miau! – Miauknął jakby z pretensją.

– Sorry, Rudzik. – Nieopatrnie go nazwałam. – Jesteśmy u celu. Tutaj ci pomogą.

– Wysiadłam, okrążyłam samochód i wzięłam pakunek z rudzielcem, który ciekawie patrzył na otaczający go świat. Weszłam do środka, pachniało tu zwierzętami i lekarstwami. Było sporo ludzi, a także mnóstwo zwierząt. Różnych. Dostrzegłam psy, króliki, koty, chomiki, świnki morskie, węże. Pełna menażeria. Podeszłam do recepcji. Za ladą siedziała młoda dziewczyna w białym fartuchu. Dostrzegłam naszywkę: „Doktor Anka”.

– Dzień dobry, znalazłam kotka. Chciałam go tutaj...

– Proszę poczekać. Mamy dzisiaj urwanie głowy, jak pani widzi.

– Miałam się zgłosić do doktora Marcina.

– Pojechał na interwencję. Odbierają suczkę ze szczeniakami z dramatycznych warunków. Powinien niedługo być. Proszę poczekać, tam jest karma dla małych kotków, może pani nakarmić malucha. – Wskazała mi pomieszczenie dla kotów, gdzie stały miseczki i kuwety. Wzięłam pudełko i udałam się we wskazanym kierunku. Mały, na sam zapach jedzenia, wyskoczył ze swojej bezpiecznej kryjówki, w której do pory grzecznie

siedział, podbiegł do jednej z misek i zaczął zajadać mokrą karmę. Potem napił się wody i zainteresował się kuwetą. Wszedł do środka, obwąchał i zaczął kopać łapką dziurkę. Następnie elegancko załatwił obie pilne potrzeby i z wielką starannością zakopał swoje skarby. Posprzątałam po nim, żeby było wolne miejsce dla innych potrzebujących, i pogłaskałam malucha. Wtulił łepkę w moją dłoń i mruczał cicho. Wzięłam go na rękę, swoim zwyczajem wbił we mnie ostre pazurki, nie przestając mruczeć jak mały traktor.

– To jest to małe znalezisko? – Usłyszałam niski głos tuż nad uchem. Obróciłam się, obok stał wysoki facet w zielonym fartuchu, na lewej kieszonce na piersi miał wyszyte: „Doktor Marcin”.

– A tak, dzień dobry. Znaleziliśmy go w krzakach, na Żoliborzu. Znaczy... ja i pan Julian. On polecił mi przywieźć kotka tutaj. – Wpatrywałam się w niebieskie oczy lekarza. Wyglądał jakoś znajomo.

– Julek zainteresował się kotem. No patrzcie. – Wziął ode mnie kotka i zaczął go oglądać. – Mój brat zainteresował się czymś innym niż sąd i klienci. Niebywałe. – Uśmiechnął się i wówczas dostrzegłam ich podobieństwo. – Długo się znacie?

– Znaczy ja i Julian? Nie, wjechałam w niego samochodem. – Ruszyłam za doktorem Marcinem, który wszedł do swojego gabinetu. Może i miał fizjonomię podobną do swojego brata, ale był całkiem inny. Energiczny, uśmiechnięty, sprawiał wrażenie, jakby już był myślami gdzieś tak z godzinę do przodu. Miałam coś takiego, że nawet po krótkim spotkaniu i zamienieniu z kimś kilku słów, już wiedziałam, jaką ten ktoś jest osobą. Julian był zdecydowanie introwertykiem, Marcin ekstrawertycznie ujmował swą bezpośredniością.

– Jeszcze lepiej. Stuknęła pani w jego czarną mambę i znalazła kota, którym on się zainteresował. Ciekawe, no, no... – Trzymał kotka, który miauczaco protestował, gdy doktor osłuchiwał go słuchawkami. – Wszystko dobrze, kolego. Jesteś w niezłej formie. Ma jakieś dziesięć tygodni. – Lekarz spojrzał na mnie.

– Jest zdrowy? – Niespodziewanie z rozmów na temat Juliana przeszliśmy na kocie sprawy.

– Tak, odrobaczę go dzisiaj. Zakropię mu też oczy. Wprawdzie nic nie wskazuje, żeby jakiś koci katar miał nam się przyplątać, ale profilaktycznie podam mu krople. Proszę za tydzień przyjechać na szczepienie. No, chyba że ma pani gdzieś... – Mówiąc to, kazał mi przytrzymać kotka, a sam przygotowywał specyfiki do podania malcowi.

– Ale, moment. – Potrząsnęłam głową i uśmiechnęłam się. – To nie jest mój kot. Ja go tylko znalazłam i przywiozłam... Oczywiście zapłacę za wizytę, ale nie mogę go zabrać.

– Jest pani pewna? Jesteśmy trochę przepełnieni. – Sprawnie zakropił kotu oczy, a zaraz potem zaaplikował mu tabletkę wprost do pyszczka. Zrobił to tak szybko, że maluch nawet nie zdążył zaprotestować. – Ludzie nieodpowiedzialnie nie kastrują i nie sterylizują swoich kotów, wypuszczają je na dwór, a potem wywalają na śmietnik wraz z potomstwem. Gdzieś panuje jakieś średniowieczne przekonanie, że kotka musi mieć małe. Jasne. A potem albo zagryzie je pies bądź lis, albo umrze taki maluch na koci katar, wypłyną mu oczy...

– Jezu, niech pan przestanie. Rozumiem. Jakbym miała kota, na pewno bym go

wysterylizowała, czy tam wykastrowała, zadbała o niego.

– Koty się kastruje, kotki sterylizuje – poprawił mnie mechanicznie.

– Dobrze, zapamiętam.

– Sorry. – Zerknął na mnie, dostrzegłam w jego oczach skruchę. – Bardzo mnie to wkurza, tyle nieszczęść naoglądałam się w mojej pracy.

– Domyślam się i naprawdę podziwiam. Ale nie mogę go zatrzymać.

– Okej. – Lekarz westchnął. – Zatem chodź, mały. Poznasz kumpli.

– Mogę zobaczyć, gdzie będzie teraz mieszkał? – spytałam, zerkając na kotka, który już się uspokoił, za to patrzył na mnie i... czy ja widziałam w jego oczach wyrzut, czy to moja wyobraźnia płatała mi figle?

– Jeśli pani chce. Zapraszam. – Wyszliśmy z gabinetu i ruszyliśmy długim korytarzem. Po chwili znaleźliśmy się na podwórku, z którego kilka alejek prowadziło do niskich zadaszonych budynków.

– Tu po prawej mamy psy, po lewej zwierzęta różne, a tam prosto koty.

– Wielkie to jest.

– Pełnimy też funkcję schroniska dla zwierząt. Niestety.

– Kocha pan zwierzęta.

– Oczywiście. Zwierzęta czują tak jak ludzie. Chociaż czasami myślę, że o wiele bardziej niż ludzie, przynajmniej niektórzy.

– Czasami mam wrażenie, że ludzie to jeden z najgorszych gatunków, jaki żyje na tej planecie – powiedziałam cicho, jakby do siebie, ale lekarz to usłyszał. Pokiwał tylko głową i wszedł do budynku przeznaczonego dla kotów. W milczeniu otworzył pierwsze pomieszczenie, było tam kilkanaście klatek z kotkami. Klatki wyłożono gazetami, w miseczkach leżały chrupki, woda. Kociaki miauczały żałośnie. Na ten widok serce skurczyło mi się i już wiedziałam. Nie będę w stanie tego zrobić.

– Wie pan co... – Odchrząknęłam. – W sumie. Mogłabym go przechować.

– Chce pani zostać DT? – spytał, używając niejasnego dla mnie skrótów.

– To znaczy?

– Domem Tymczasowym. Tymczasem. Mamy kilka osób, które w ten sposób z nami współpracują i pomagają.

– Dobrze. – Kiwnęłam głową. – I tak mam teraz urlop. Będę mogła się nim zająć.

– Szczerze mówiąc – kamień z serca. To fajny, zdrowy kociak. A widzi pani, co się u nas dzieje. Teraz, wiosną, jest najgorzej.

– Okej.

– To chodźmy do mnie, wypiszę mu książeczkę, wyznaczę termin przyjazdu na szczepienie. Chyba że ma pani weterynarza gdzieś bliżej siebie.

– Nie wiem, może mam. Ale wolę tutaj. – Uśmiechnęłam się.

– Nie ma sprawy. A z moim bratem... Spotka się pani jeszcze? – Popatrzył na mnie uważnie.

– Raczej nie, chyba nie chce oglądać osoby, która wgniotła zderzak w jego eleganckim samochodzie.

– Niech panią nie zmylą pozory. Mój brat może wygląda na oschłego, ale tak naprawdę ma wielkie serce.

– To dobrze. Ostatnio spotykam ludzi, którzy serca nie mają.

– To nie w rodzinie Bugajów. Dobrze, że ten kawaler trafił na was. – Oddał mi kota, który wtulił się we mnie i znowu zaczął mruzczeć. Sprawiał wrażenie, jakby doskonale wiedział, co zamierzałam zrobić i co go ominęło. Poczułam dziwną radość, drżenie serca, usta rozciągnęły mi się w uśmiechu. Doktor Marcin spojrział na mnie i także się uśmiechnął.

– One tak działają. – Mrugnął do mnie. – Szkoda, że mój brat w to nie wierzy – dodał jakby do siebie, ale usłyszałam. Nie skomentowałam, bo i dlaczego miałabym to zrobić? Nie znałam tego Juliana i zapewne nie będę miała okazji, aby go poznać.

– Dziękuję. Przyjadę za tydzień. – Uściłam należność w recepcji i spojrzałam na lekarza, który przypatrywał mi się, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Będziemy tutaj. Proszę wziąć pakiet startowy dla malucha. – Podał mi paczkę z mokrą karmą, wysokomięsną, i mały worek żwirku. – To dobra karma, proszę nie kupować karm marketowych, robią dużo szkody w organizmie kota. I nie dawać suchego. My tutaj dajemy, bo też dostajemy sporo karmy z darowizn, ale zalecamy w domach podawanie mokrej karmy. Włożyłem tam też ulotki. Do zobaczenia.

– Do widzenia. Dziękuję za wszystko.

– W razie czego proszę do nas dzwonić. Pracujemy tu całą dobę. – Doktor Marcin uśmiechnął się i poszedł do swojego gabinetu.

W samochodzie zapakowałam kota do pudełka. Zwierzak od razu ułożył się wygodnie na moim szalu.

– No to, Rudzik, jedziemy do domu.



W sądzie się wynudziłem. Nie wiem, dlaczego tak twierdziłem, skoro do tej pory to było moje życie. Zasypiałem z głową w papierach, nic nie śniłem, a rano budziłem się, układając w myślach mowy końcowe. Zostałem adwokatem od spraw karnych. Bronilem ludzi, którzy podchodzili do ludzkiego zdrowia i życia w sposób nieakceptowany przez większość członków społeczeństwa. Tymczasem ja byłem z nimi za pan brat i często wybraniałem zatwardziały przestępców albo sprawiałem, że dostawali niskie wyroki.

Wiedziałem, że ten zawód budził szereg sprzecznych uczuć u wielu ludzi, a zwłaszcza u mojego starszego brata. Do Marcina najlepiej pasowało chyba słowo: praworządny. Chciał zbawić świat przez uratowanie od strasznego losu i chorób jak największej liczby zwierząt. Ceniłem go za to i szanowałem, ale też byłem dobry w swojej pracy. A po tym wszystkim, co przeżyłem pięć lat temu, stałem się jeszcze lepszy.

Lecz od trzech dni działo się ze mną coś dziwnego. Od tej cholernej stłuczki jakoś poranki mnie już tak nie cieszyły, patrzyłem na moje niemal sterylne mieszkanie, urządzone w futurystyczno-minimalistycznym stylu i miałem wrażenie, że mieszkam w chłodni. Wszystko było takie czyste i zimne. Takie samo jak moje serce. Do momentu, gdy ta ognista babka we mnie wjechała. Dlaczego ognista? Jej rude włosy, apetyczne

kształty, zielone oczy... Cholera! Czy ona mi się dzisiaj śniła? Przecież zawsze byłem tak zmęczony, że nawet nie miałem siły śnić. Ale tak... Śniła mi się ta... Joanna. I rudy kot. Poczulem dziwnie ukłucie, gdzieś w okolicy, gdzie powinienem mieć serce.

Wróciłem do kancelarii, którą prowadziłem z moim współnikiem od pięciu lat. Posegregowałem mechanicznie papiery, wiedząc, że dzisiaj nie będę w stanie skupić się na pracy. Naprawdę nie pamiętałem, żebym przedkładał cokolwiek innego nad moje sprawy. Tymczasem myślałem, co stało się z rudym kotem i jak się ma Joanna. Zauważyłem co prawda kilka nieodebranych połączeń od Marcina, ale nie miałem czasu, aby z nim porozmawiać.

Poczulem coś na kształt wyrzutów sumienia. Brat był dla mnie wielkim wsparciem, a pięć lat temu, gdy stało się to, co się stało, wyciągnął mnie z dołka, zapoznał z moim obecnym współnikiem i pomógł wyjść na prostą. Nie przypuszczałem zapewne, że zamienię się w kawał zimnego drania, ale ja przekonałem się, że nie warto ani okazywać, ani nawet mieć uczuć. Lepiej traktować świat, a przede wszystkim ludzi z rezerwą i panować nad emocjami. Jeśli coś się stanie, nie będziemy czuć cholernego rozczarowania i wszechogarniającego bólu.

Wyszedłem z kancelarii, informując moją asystentkę, że już mnie dzisiaj nie będzie. Aneta zrobiła duże oczy, bo rzadko się zdarzało, abym opuszczał biuro przed dziewiętnastą, ale nie skomentowała tego faktu. Była doskonałą asystentką, chodziła jak w zegarku. Wsiadłem do mojego auta z odrapanym błotnikiem i ruszyłem na przedmieścia stolicy.

Gdy dotarłem do Leśnego Przytuliska, było po osiemnastej. Cholerne korki! Przypomniałem sobie twarz rudowłosej kobiety z pięknymi rdzawymi piegami na małym nosku. Próbowwała te piegi maskować (co było kompletną bzdurą), ale i tak je dostrzegłem. I jej usta, czerwone, pełne. Przypomniał mi się moment, gdy zwróciła mi uwagę, że za często używam słowa „cholera”. Uśmiechnąłem się do siebie. Cholera jasna! Wiedziałbym, co zrobić z tymi pięknymi ustami, gdyby była teraz obok mnie. Naprawdę, uczucia, jakie mnie ogarnęły, były zupełnie nieoczekiwane. Zaparkowałem przed wejściem głównym i wszedłem do środka. W recepcji siedziała młoda lekarka. Była współniczką mojego brata, poznałem ją kiedyś na jakiejś imprezie, na którą zaprosił mnie Marcin.

– Dzień dobry, panie Julianie. Marcin jest u siebie.

– Dzień dobry, dziękuję.

Pamiętam, że byłem na tej imprezie chyba z godzinę. A potem Marcin powiedział, że nie uda mi się przeżyć życia, skoro przed nim uciekam. Pokłóciliśmy się, ale on oczywiście niewiele sobie z tego robił, zadzwonił za dwa dni i zaprosił mnie na grilla. Na którego nie poszedłem. Jak zwykle. Potem zaprosił mnie na wypad z jego kumplami w góry. Oczywiście nie pojechałem. Nic nowego. Ale mój brat wciąż i wciąż pracował nad tym, aby wyciągnąć mnie ze skorupy, którą się otoczyłem, a ja wciąż i wciąż brnąłem w nią coraz głębiej. Do przedwczoraj. To mnie trochę zaniepokoiło. Nie, inaczej. To mnie przeraziło.

– Julek? Nie wierzę! – Marcin zerwał się zza biurka i podszedł do mnie z szerokim uśmiechem.

– Przejeżdżałem obok.

– Tutaj?

– Klienta miałem – mruknąłem.

– Jasne. – Mój brat uściskał mnie, ja stałem sztywny jak kołek. – Fajnie, że wpadłeś.

Mam chwilę, możemy coś zjeść.

– W sumie spieszę się. Chciałem... – Wziąłem głęboki wdech, sam nie wierząc w to, co zamierzam powiedzieć. – Chciałem wziąć kota.

– Kota? – Marcin popatrzył na mnie, jakbym właśnie oznajmił, że zamierzam zmienić płęć.

– Kota. Rudego. Kilka dni temu przywiozła go do was ruda babka.

– Ruda babka, rudy kot. – Marcin mrugnął, a ja pokręciłem głową z politowaniem.

– Mówisz do mnie jakimiś hasłami.

– Jak zawsze, braciszku. Niestety, jeśli chodzi ci o małego trzymiesięcznego rudzielca z plamką na nosie, to mam złe wieści. Ma już dom.

Poczułem ukłucie rozczarowania.

– Tak szybko?

– Yhym. – Marcin podszedł do komputera i stuknął w klawiaturę. – Niejaka pani Joanna wzięła go na tymczas. Wiesz, pasują do siebie kolorem... umaszczenia powiedzmy.

Zmrużyłem oczy. Nie wiedzieć czemu, poczułem radość. Ale oczywiście moja twarz przypominała maskę. Byłem w tym naprawdę dobry. A mój starszy brat był jeszcze lepszy w odczytywaniu moich prawdziwych uczuć.

– O, widzę, że cię to uradowało!

– Jeśli wzięła go na tymczas, to zapewne nie zatrzyma go na stałe.

– Wiesz, mamy mnóstwo innych kotów. Rudych też.

– Chcę tego.

– No tak. Akurat tego.

– Akurat tego.

– Dobrze, dam ci adres do tej pani Joanny.

– Nie trzeba. Mam wszystko. – Zacząłem zmierzać do wyjścia.

– Serio, bracie. Dzisiaj masz zamiar ją napastować? – Marcin uniósł brew i patrzył na mnie tym swoim spojrzeniem niegrzecznego chłopaka z Pragi.

– Nikogo nie zamierzam napa... – Machnąłem ręką. – Zapytam od razu o sprawy związane ze stłuczka.

– No oczywiście.

– Marcin, ile ty masz lat?

– Zawsze o trzy więcej niż ty. Chociaż czasami nie wiem, jak mógłbym mieć osiemdziesiąt trzy.

Pokazałem mu wyciągnięty środkowy palec, a on roześmiał się gromkim głosem.

– W sobotę robię grilla. I błagam cię. Nie zamykaj się w swojej lodówce na Żoli, tylko przyjeżdż.

– To nie żadna lodówka, tylko moje eleganckie mieszkanie.

– No oczywiście. Tam nawet piekło by zamarzło. – Marcin machnął ręką. –

Przyjedziesz? Możesz zaprosić tę Joannę. Bardzo fajna babka. Ruda, ładna.

– Oszalałeś?! Nie znam jej.

– To jedź do niej i ją poznaj!

– Jadę tylko w sprawie kota. – Zmierzałem ku drzwiom. Mój brat był nie do zniesienia.

– Myślałem, że w sprawie auta. – Uśmiechnął się złośliwie.

– Na razie, Marcin.

– Do soboty, Julek! – usłyszałem jego głos, a potem śmiech.

Też się uśmiechnąłem pod nosem, a on oczywiście tego nie widział. Był chyba jedyną osobą, która potrafiła mnie rozbawić. No prawie jedyną. Bo ta Joanna... Też miała coś w sobie, co mnie w jakiś sposób bawiło. Wsiadłem do auta i ruszyłem w drogę powrotną. Okazało się, że niepotrzebnie straciłem tyle czasu. Ona przecież mieszkała niedaleko mnie.

Zaparkowałem pod jej blokiem – niskim domem z lat dwudziestych. Wszędzie były założone bramki, zapewne przez wspólnoty. Zadzwoiłem pod numer z oświadczenia. W ostatniej chwili złapałem się na myśli, że ona wcale nie musi mieszkać pod adresem, który miała w dowodzie, i że powinienem najpierw zadzwonić, ale w tym momencie usłyszałem zdyszany głos. Jej głos. Poznałem go od razu. Z taką lekką chrypką, która sprawiała, że przeszedł mnie dreszcz.

– Tak?

– Hm... Dzień dobry, tu Julian Bugaj, ja w sprawie kota – powiedziałem najidiotyczniej, jak tylko mogłem.

– Kota? A, kota! Właśnie ten kot robi sobie jaja, proszę, niech pan wejdzie, pierwsze piętro! – rzuciła i wyłączyła się, po sekundzie usłyszałem brzęczyk domofonu.

Pokręciłem głową, utwierdzając się w przekonaniu, że ta kobieta na pewno potrafi mnie rozbawić i wszedłem na podwórko. Odnalazłem odpowiednią bramę i po chwili znalazłem się pod drzwiami jej mieszkania. Musiała chyba słyszeć moje kroki albo miała szósty zmysł, nie wiem, w każdym razie w momencie, gdy chciałem zapukać, drzwi otworzyły się gwałtownie, mignęła mi jej ruda czupryna i usłyszałem:

– Proszę wejść! Łapię kota!

Wszedłem zatem i zamknąłem za sobą drzwi. Poszedłem za nią do małego salonu i moim oczom ukazał się nader interesujący widok. Joanna (ładne imię, swoją drogą) kuciała w ciekawej pozie, wypinając kształtną pupę odzianą w szaro-fioletowe spodnie od dresu w moim kierunku. Jej głowa skierowana była w dół, pod skórzaną kanapę, a z ust wydobywały się błagalne dźwięki.

– Rudzik, kici, kici, wyjdź, błagam cię. Patrz, mam pyszne jedzonko, kici, kici!

Niewiele myśląc, zdjąłem marynarkę, podwinąłem rękawy koszuli, uprzednio wyjmując z mankietów spinki, i kucnąłem obok dziewczyny.

– Kiedy tam się wcisnął?

– Jakieś trzy godziny temu. Sąsiad wiercił, Rudzik się przestraszył i schował pod kanapę. Nie mam siły unieść tego potwora. Znaczy tej kobyły. Kanapy znaczy.

Uśmiechnąłem się. Widziałem, że Joanna jest zdenerwowana, a nawet na granicy hysterii. Podniosłem ją za ramiona. Spojrzała na mnie, a od zieleni jej oczu zakręciło mi

się w głowie. Czy to możliwe, żeby mieć takie oczy?

– Zaraz go wyjmę. Ty się denerwujesz, on to wyczuwa i pewnie się boi. – Przeszedłem na „ty”, zanim zdążyłem się na tym złapać.

– Bo ja się boję, że coś mu się stanie.

– Nic mu się nie stanie. Jeśli chcesz pomóc, to zrób mi coś do picia.

Zerwała się, jakby przypominając sobie, że jestem tutaj, a ona nie zachowała się jak gospodyni.

– Czego się napijesz?

– Może być herbata. Na kawę za późno.

– Zielona?

Skrzywiłem się.

– Okej, czarną też mam. – Uśmiechnęła się, a ja zamknąłem na moment oczy. Ona była... cholernie intensywna. O tak!

Pochyliłem się, złapałem za dół kanapy i uniosłem. Kot wyszedł, miaucząc głośno. Faktycznie ta kanapa to była kobyła. Mały zrobił sobie tam niezłą kryjówkę.

– No chodź, Rudolfie – powiedziałem cicho, a kot zaczął ocierać mi się o nogi.

– Wyszedłeś. Niedobry kot! – Joanna wzięła go na ręce i zaczęła obdarzać pocałunkami. – Nie rób mi tego więcej, Rudziku.

– Rudolf bardziej do niego pasuje – powiedziałem, patrząc na rudą dziewczynę i rudego kota.

– Ale nazwałam go Rudzik.

– Ja właśnie w tej sprawie. – Objąłem się ramionami.

– No właśnie. O co chodzi? – Joanna puściła kota i także objęła się ramionami. Gest obronny. Mam cię!

– Chciałem go zabrać. Postanowiłem go adoptować.

– Teraz, tak nagle? – Zmrużyła oczy.

Zielono mi, chciałem zaśpiewać. Cholera jasna! Co się ze mną działo?!

– Stwierdziłem, że powinienem się zająć jakimś biednym zwierzakiem. I może będę przez to wcześniej wychodził z pracy. A tego kota znalazłem...

– Znaleźliśmy. A właściwie to ja znalazłam.

– Razem, jak już. Przecież Rudolf i tak jest u ciebie na tymczasie.

– Rudzik!

– Rudzik to imię dla ptaka.

– Znaczący imion dla zwierząt się znalazł.

– W sumie o zwierzętach wiem pewnie więcej niż ty.

– Niby czemu? Bo twój brat jest weterynarzem?

– Oczywiście musiał już się zwierzyć?

– Wcale się nie zwierzał. Po prostu rozmawiał. Wiesz, ludzie rozmawiają ze sobą.

– Ależ ona była pięknie zła!

– Ludzie gędzą niepotrzebnie. Gadulstwo wiele razy przyniosło wiele szkody, powściągliwość niestety jest ciągle niedoceniana.

– Kim jesteś z zawodu?

– Adwokatem, a co to ma...

– Sam siebie słyszysz? Adwokat, żyje z gadulstwa i kłamstw – parsknęła, a ja miałem ochotę przerzucić ją przez kolano. Aby nie zachować się jak niebezpieczny wariat, wziąłem Rudolfa na rękę. Od razu zaczął mruczeć.

– Czym go karmisz? – wołałem zmienić temat.

– Dostałam karmę od twojego brata.

– Trzeba karmić mokrą.

– Wiem, panie wszechwiedzący. Mam karmę bez zbóż, wysokomięsną. Poczytałam to i owo. A zdaje się, że mówiłeś, że nie znasz się na kotach.

– Ale mój brat jest świetnym weterynarzem, który żyje swoją pracą.

– A ty nie żyjesz pracą?

– Niestety – odparłem poważnie.

– No dobrze... – Westchnęła i udała się do aneksu kuchennego. Był mały, ale przytulny. Meble z kolorowego drewna nasuwały skojarzenia z wnętrzem jakiejś górskiej chatki, gdzie można odpoczywać z dala od cywilizacji. Całe jej mieszkanie było pełne kolorów. Takie... ogniste. Całkiem jak ona.

– Jak Rudolf radzi sobie z kuwetą? – Widziałem, że rzuciła mi mordercze spojrzenie, ale nie zareagowałem na nie.

– Dobrze. Doskonale wręcz. Kupiłam żwirek, który można wyrzucać do toalety.

– Okej, to podasz mi nazwę.

– Posłuchaj. – Postawiła na niskim stoliku herbatę. Puściłem kota, a on zaczął ganiać za puchatą piłeczką z ogonkiem, która chyba miała udawać mysz. – Ten kociak to jedna z niewielu rzeczy, jaka mi się udała w ostatnim czasie. Nie chcę go oddawać. W przyszłym tygodniu jadę do Leśnego Przytuliska na szczepienie i dopełnię formalności adopcyjnych. Czytałam u nich na stronie, jak to się odbywa. Muszę jeszcze zabezpieczyć okna i balkon siatką. Na razie ich po prostu nie otwieram.

– Uwierz mi, dla mnie ten kot też jest zupełnie nieprzewidzianym... dobrym znaleziskiem, jeśli mogę to tak nazwać. Przemyślałem sprawę i chcę go adoptować. Okna mam zabezpieczone, bo mój brat ma dwa koty, które kiedyś u mnie zamieszkały, razem z nim zresztą, gdy zmieniał mieszkanie. Przez miesiąc miałem Marcina, Kulkę i Drapichrusta na głowie. Uwierz mi... z tej trójki Marcin był najbardziej upierdliwy.

– Rudzik jest mój. – Joanna zacisnęła mocno usta. A ja znowu powstrzymałem się całą siłą woli od tego, aby te jej usta zająć czymś innym, niż tylko zaciskaniem ich w wąską linijkę. Co było pewnie niezłym wyczynem, biorąc pod uwagę fakt, że miała pełne i pięknie wykrojone wargi. Czy zaczynałem przypominać cholernego fetyszystę?

– Pójdiesz ze mną w sobotę na grilla? Do mojego brata? – spytałem, zanim zdążyłem ugryźć się w język.

– Czy ty się dobrze czujesz? – Na jej śliczną twarz wypłynęło zdumienie.

– W sumie średnio. Jestem głodny i nieco zmęczony, a także podminowany, ale to już twoja zasługa.

– Bardzo mi z tego powodu wszystko jedno.

– Ale jesteś niemożliwa. – Pokręciłem głową.

– Moi byli też tak mówili, a potem znikali. Weź z nich przykład.

– Byli idiotami. Bali się wyzwać. – Uniosłem brew i wypilem herbatę do końca. –

Sobota? Siedemnasta? Przyjadę po ciebie, mój brat mieszka teraz u rodziców w Piasecznie.

– Ty naprawdę mówisz serio? – Wpatrywała się we mnie zdumiona. Wzięła wędkę ze sznureczkiem i piórkami i bawiła się z kotem, który przyczajał się na przednich łapkach, a następnie rzucał na zdobycz, niczym tygrys na swoją ofiarę. Zorientowałem się, że mnie to bawi, wolałbym patrzeć na te kocie zabawy niż na jakikolwiek film na mojej wielkiej plazmie w moim wielkim apartamencie. A jeszcze bardziej chciałem obserwować, jak ONA bawi się z tym kotkiem.

– Zawsze mówię serio. Nie wypowiadam słów, które nie mają znaczenia.

– Nie wątpię w to.

– Siedemnasta?

– Ale najpóźniej na dwudziestą drugą muszę być z powrotem. Nie zostawię go samego na tak długo.

– Posłuchaj, możemy go zabrać ze sobą.

– Bez sensu.

– Mój brat nauczył swoje koty chodzenia na smyczy i jeżdżenia samochodem.

– Ale może miał na to więcej czasu. – Joanna pokręciła głową i widziałem, że tym razem nie ustąpi. W sumie musiałem przyznać jej rację. Pomysł był może i dobry, ale wszystko działo się zbyt szybko. Nie należało narażać malucha na kolejne stresy. I tak chciałem go zabrać do siebie, więc jeszcze jedna zmiana go czekała.

– Masz rację. Ale trzeba będzie o tym pomyśleć.

– Może o tym pomyślę – zaakcentowała ostatnie słowo, dając mi do zrozumienia, że tylko ona tutaj podejmuje decyzje w sprawie kota.

– Zobaczymy – mruknąłem, a jej zielone oczy wysłały mi ponure ostrzeżenie. – To do zobaczenia w sobotę.

– Niech ci będzie. Ale tylko dlatego, że polubiłam doktora Marcina.

– W to nie wątpię – odparłem poważnym tonem, a w jej oczach dostrzegłem znaki zapytania. Miała rację. Mnie nie można było polubić.

Pożegnałem się z Rudolfem, zabrałem marynarkę, którą rzuciłem, gdy walczyłem z kobyłą, znaczy z kanapą, i poszedłem do drzwi. Joanna złapała mnie za ramię.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłam.

– Nie martw się, prawnicy nie mają serca, a gruba skóra skutecznie chroni przed chłodem.

– Mówię serio.

– Ja też. Do soboty, Joanno. – Pochyliłem się, jakbym chciał ją pocałować, ale w porę zreflektowałem się, uśmiechnąłem i wyszedłem. I gdy jechałem do swojego domu, zastanawiałem się, czy dobrze zinterpretowałem to, co ujrzałem w jej oczach? Ona chciała, abym ją... pocałował?



Do końca tygodnia siedziałam praktycznie cały czas w domu i zajmowałam się Rudzikiem. Byliśmy już niezłe zaprzyjaźnieni. Uczyliśmy się swoich zachowań. Nigdy nie przypuszczałam, że kot może być taki... psi. Jako dziecko miałam psa. Odszedł, gdy skończyłam siedemnaście lat, bardzo to przeżyłam. Mówi się, że koty chodzą własnymi drogami, Rudzik chodził cały czas za mną. Byłam jego mamą i koleżanką do zabaw. Na pewnej grupie na Facebooku „Koty – nasza pasja” przeczytałam radę, żeby się jak najszybciej „dokocić” (nie wiedziałam nawet, że jest takie określenie!). Bo gdy pójdę do pracy, a kotek zostanie sam, może broić, ale przede wszystkim będzie samotny. Wszystko działo się tak szybko, nie byłam jeszcze gotowa na drugiego kota. W tej chwili, oprócz Rudzika, moje myśli skutecznie zaprzętał pewien wysoki adwokat. Wtedy, gdy przyszedł do mnie... kłóciliśmy się, owszem, ale czy to nie był przypadkiem... flirt? Fakt, dawno nie bawiłam się w „te rzeczy” (w tamte też nie), ale czułam, że ten facet mnie pociąga i co lepsze, ja pociągam jego. Gdy wychodził, zrobił taki ruch, jakby chciał mnie pocałować. Serio? Po naszych słownych utarczkach i moich niezbyt przyjemnych uwagach on chciał mnie całować! Musiałam przyznać sama przed sobą (no i przed kotem), że nie miałabym nic przeciwko temu. Wtedy, w tamtym momencie. Ale on się zachował jak trzeba (albo jak nie trzeba), pożegnał i wyszedł.

Tymczasem nadeszła sobota i zaczynałam wątpić w słuszność mojej decyzji, aby iść z nim na tego grilla. Z drugiej strony przypominałam sobie jego brata. Wyglądał na naprawdę fajnego i pogodnego gościa. W opozycji do radosnej miny Marcina przywołałam poważną twarz Juliana... Może naprawdę nie był to głupi pomysł? Poza tym nie zapraszałby mnie ot tak. W sumie patrząc na jego sposób bycia, mogłoby to być ciekawe doświadczenie. Dlatego nakarmiłam Rudzika i poszłam się szykować.

Skoro zaprosił mnie na grilla, ubrałam się niezobowiązująco. Włożyłam dzinsowe rybaczki, tunikę oraz trampki. Włosy związałam w kitkę i byłam gotowa. Wcześniej dostałam od Juliana wiadomość (bo przecież miał numer mojej komórki), że będzie u mnie o 16:30. Tak więc teraz czekałam na jego telefon, sygnalizujący, że mam już schodzić. Starłam się opanować zdenerwowanie, które nie wiedzieć czemu mnie ogarnęło.

Rudzik najedzony spał, kuweta była wysprzątana, świeża woda stała w trzech miseczkach umiejscowionych w kuchni, salonie i sypialni. Uznałam, że do 22 powinno wystarczyć, ale zostawiłam trochę jedzenia w miseczce, gdyby mały zgłodniał. Okna pozamykałam. W przyszłym tygodniu miał przyjść facet z firmy montującej siatki i zabezpieczenia na okna, bo teraz nawet nie mogłam otwierać ich na skos podczas mojej nieobecności. Koty miały tendencję do zakleszczania się w uchylonych oknach i kończyło się to dla nich śmiercią w męczarniach. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że posiadając kotka, trzeba zwrócić uwagę na tak wiele rzeczy. Tylu spraw należało przypilnować. Właściwe żywienie, dobra mokra karma, nie sucha, zabezpieczenie okien, balkonu. Niedawanie kotu mleka! Kolejny mit, który jest tylko mitem. Mleko w każdej postaci kotu szkodzi i najdurniejszą rzeczą, jaką zobaczyłam w telewizji, była reklama lodów zrobionych ze świeżego mleka i obrazek oblizującego się kota. Teraz to wiedziałam. Posiadanie zwierzęcia nie jest zabawą. To wielka odpowiedzialność za drugą żyjącą i czującą istotę. Szkoda tylko, że tak wiele osób ma zwierzaki, a kompletnie się do

tego nie nadaje. Odkąd byłam członkinią „kociej” grupy, naczytałam się tylu okropnych rzeczy o zaniedbanych, porzucanych, bitych, mordowanych zwierzętach, że już rozumiałam, dlaczego doktor Marcin tak się nakręcał i wkurzał na ten świat i nieodpowiedzialnych ludzi. Zaczynałam mieć takie samo zdanie jak on.

Dzwonek domofonu skutecznie wyrwał mnie z ponurych, a nawet krwiożerczych myśli. Julian oznajmił mi przez słuchawkę, że czeka na dole w aucie. Zajrzałam do Rudzika, spał zawinięty w mój jedwabny szal. Obiegnęłam wzrokiem mieszkanie i wyszłam, mając nadzieję, że dobrze robię.

Julian, gdy podeszłam do jego auta, wysiadł z samochodu i otworzył mi drzwi od strony pasażera.

– Dziękuję – powiedziałam, wsiadając.

– Ładna fryzura – odpowiedział, patrząc na mój „koński ogon”. Zastanawiałam się, czy on się naśmiewa, czy to naprawdę komplement. Ale nie skomentowałam jego słów. Ruszyliśmy, grała jakaś ostrzejsza muzyka, a Julian wyglądał... No, wyglądał świetnie. Niebieskie dżinsy, jasny t-shirt, zmierzwione włosy, jakby ich właściciel dopiero co wyszedł spod prysznic. Chyba tak, bo pachniał mydłem i swoimi perfumami, których zapach już znałam. Lewą dłoń trzymał na kierownicy, prawą oparł o podłokietnik. Biegów nie musiał zmieniać, bo oczywiście miał automatyczną skrzynię. Zerknęłam na niego. Był niezłe zbudowany, te jego ramiona... Uśmiechnęłam się pod nosem, byłam nienormalna, naprawdę.

– Co cię bawi? – spytał, nawet na mnie nie patrząc. Skąd...

– A nic takiego.

– Jak Rudolf?

– Ty nigdy nie odpuszczasz?

– Nie w tym życiu.

– No właśnie widzę. Jeśli pytasz o Rudzika, to ma się dobrze. We wtorek jadę z nim na szczepienie.

– O której będziesz jechała?

– Pewnie rano, mam teraz urlop. Około dziesiątej. Dlaczego pytasz?

– Może pojedę z tobą.

– Zwolnisz się z pracy?

– To moja kancelaria.

– Nie robisz tego zbyt często, prawda? – Spojrzałam na niego.

Zerknął na mnie.

– Czego?

– Nie wychodzisz z firmy bez potrzeby.

Westchnął, wpatrując się w drogę.

– Nigdy.

– Zmienił nas ten kot.

– Człowiek zaczyna dostrzegać kogoś, kto może go potrzebować, kogoś słabszego. Zaczyna widzieć, że jego życie jest jak odrysowane od jakiegoś arkusza. Puste i monotonne. To, że wtedy wjechałaś w mój samochód, jest jedną z lepszych rzeczy, jakie mnie spotkały w ostatnim czasie.

– Naprawdę? I nie żal ci tego pięknego, błyszczącego czarnego lakieru?

– Może trochę. – Uśmiechnął się kącikiem ust. Cholera. Lepiej żeby tego nie robił.

– Powiem ci szczerze, że ja do tej pory też poświęcałam się pracy w dwustu procentach. Jestem menadżerką w agencji reklamowej. Wszystko podporządkowałam robocie. Ale okazuje się, że nie jestem niezastąpiona.

– Joanna. – Mruknął niby spokojnie, ale słyszałam gdzieś nutkę humoru w jego głosie. – Powiedzieć ci coś ważnego?

– Proszę.

– Nikt z nas nie jest niezastąpiony. Niezastąpieni leżą wiesz gdzie.

– Wiem, wiem. Czasami człowiek tak się wciągnie w ten świat, zacznie drałować do przodu jak ten koń w Wielkiej Pardubickiej, a życie ucieka gdzieś bokiem, nawet nie wiemy kiedy. Mnie tak minęło sześć wiosen.

– Ile masz lat?

– Trzydzieści dwa. A ty?

– Trzydzieści sześć. Od pięciu lat prowadzę kancelarię.

– I oprócz pracy nie masz nic innego?

– Cały ja.

– Witaj w moim świecie. – Oparłam się o skórzane siedzenie i westchnęłam.

– Teraz masz mojego kota – powiedział cicho.

– To mój kot.

– Może być nasz?

Spojrzałam na niego, uśmiechnęłam się, ale już nic nie odpowiedziałam. Podjeżdżaliśmy pod wielki dom, przed nim stało zaparkowanych już kilka aut.

– To dom twojego brata?

– To nasza rodzinna chałupka. Rodzice mają osobne mieszkanie z tyłu ogrodu, a brat urzęduje tutaj.

– Musi mieć dużą rodzinę.

Julian pokręcił głową.

– Ani ja, ani Marcin nie znaleźliśmy jeszcze tej właściwej osoby, z którą moglibyśmy stworzyć cokolwiek. Nie mówiąc o rodzinie. Chodźmy.

Gdy wysiedliśmy, w naszą stronę pognał czarny wilczur, który wyglądał tak, jakby chciał się nam rzucić do gardeł. Owszem, rzucił się na Juliana, wydając cienkie szczeknięcia radości.

– Bond, uspokój się! Wariacie, no już! – Julian przywitał się z psem, którego ogon zataczał coraz szybsze kółka. – Poznaj Bonda, psa, którego mój brat rozpuścił do granic możliwości.

– Hej, piesku! – Pochyliłam się i pogłaskałam wilczurka, który nie przestawał popiskiwać i poszczekiwać.

– Julek, a kto z nim spał w łóżku? Ja go rozpuściłem? – Marcin szedł w naszą stronę z szerokim uśmiechem na twarzy. – Dzień dobry, pani Joanno – przywitał się ze mną, pocałował mnie w policzek. – Jak nasz rudy pasażer na gapę? Nie pytam o ciebie. – Wyszczrzył się w uśmiechu, a Julian swoim zwyczajem przewrócił oczami.

– Rudzik ma się dobrze, we wtorek przyjadę do Leśnego Przytuliska na szczepienie.

– Super. Co braciszku strzelasz miny? Fajnie, że przyjechałeś. – Marcin klepnął brata w plecy. – Bałem się, że zaszyjesz się w tej swojej lodowej grocie i będziesz słuchał trash metalu dla odmiany.

– Zamknij się i prowadź nas do ogrodu.

– Jasne, jasne, panie mecenasie. – Gromki śmiech Marcina rozległ się w całej posiadłości. Julian też się uśmiechnął, a już wiedziałam, że, cholera jasna, on mi się bardzo, ale to bardzo podoba.

W ogrodzie, w okrągłej altanie siedziało już kilka osób. Marcin przedstawił mnie towarzystwu, oczywiście Julian już ich wszystkich znał. Nie dało się nie zauważyć pełnych zainteresowania spojrzeń kierowanych na mnie i zerkania na mojego towarzysza. Gdy usiedliśmy i dostaliśmy coś do picia, ja wino, Julian sok pomarańczowy, sapnęłam z ulgą, bo czułam się jak jakiś oryginalny obiekt do obserwacji.

– Nie zwracaj na to uwagi. – Julek pochylił się do mnie, prawie dotykał czołem mojej głowy. – Od pięciu lat nie przyprowadziłem na żadne spotkanie kobiety. Więc jesteś wielkim wydarzeniem tego wieczoru.

– Super, dzięki – mruknęłam, aż dotarło do mnie to, co powiedział. – Nie miałeś nikogo przez ten czas?

Odsunął się i spojrzał mi w oczy. Potem zerknął na moje usta, westchnął i znowu utkwiał swoje czekoladowe spojrzenie w moich oczach.

– Nie było nikogo, kogo chciałbym przyprowadzić na takie spotkanie.

– Rozumiem. To... miło mi.

– Mnie bardziej.

Potem było mnóstwo jedzenia, dobre wino, inne trunki, ktoś włączył muzykę, zaczęły się tańce. Julian siedział zamyślony i często łapałam go na tym, że kątem oka zerkał w moją stronę. Wówczas robiło mi się jakoś tak miło, gdzieś w okolicach żołądka coś mnie ścisnęło i uciekałam wzrokiem. Czułam się o dwadzieścia lat młodsza. Podszedł do nas Marcin i szturchnął brata.

– Obudź się, panie Bugaj. Jakiś przystojniak zabiera ci dziewczynę do tańca! – Ukłonił się i podał mi rękę. – Chodźmy, pani Joanno, mój brat nie wie, co traci. – Pociągnął mnie do ogrodu, gdzie już kilka par tańczyło w rytm jakiegoś klubowego kawałka.

Poskakaliśmy trochę, śmiałam się z tekstów Marcina, już tak dawno po prostu się nie bawiłam, było mi niespodziewanie dobrze. Gdy zerkałam w stronę altany, widziałam uważne spojrzenie brązowych oczu, które śledziło niemal każdy mój ruch. Nie powiem, czułam się z tym wyśmienicie. Kilka lampek wina zabiło we mnie poczucie wstydu, winy, niepewności, nazwijmy to, jak chcemy. Zaczął się wolniejszy kawałek i Marcin objął mnie i przysunął do siebie. Był wysoki, także dobrze zbudowany, jak jego brat, prowadził nieźle w tańcu. Czułam lekki zawód, bo Julian nie podniósł się, kiedy zaczęli grać wolną piosenkę.

– Bardzo się cieszę, że dzięki tobie mój brat zaczyna trochę topnieć.

– A był zamrożony? – Uniosłam głowę i spojrzałam na mojego partnera.

– Od pięciu lat na pewno.

– A co było wcześniej?

Marcin odwrócił wzrok i spojrzał w kierunku altany.

– Wolałbym, aby on sam ci to opowiedział. Ale nie było to nic dobrego.

– Nie znamy się aż tak dobrze.

– Czas jest względny. Liczy się pokrewieństwo dusz. Wierzę, że to właśnie znaleźliście. Ja wciąż szukam.

– Na pewno znajdziesz, jesteś fajnym facetem.

– O! Pan góra lodowa nadchodzi. – Marcin obrócił mną w tańcu i w tym samym momencie znalazłam się w objęciach Juliana.

– Mój brat jest okropnym gadułą. – Julian spojrzał znacząco na Marcina, a ten zaczął robić meksykańską falę.

– Po prostu jest zabawny.

– Lubisz zabawnych? – Jego czekoladowe oczy wpatrywały się we mnie z jakimś błyskiem, od którego poczułam ucisk w żołądku.

– Lubię ciebie – powiedziałam cicho. A on wówczas... po prostu mnie pocałował. Tak bez żadnych fajerwerków, bez ostrzeżenia czy pytania. Po prostu. Przycisnął mnie do siebie, a jego usta dotknęły moich, lekko je zagarniając. Smakował miętą i pomarańczą. Pachniał obłędnie. Zacisnęłam dłonie na jego ramionach, aby się nie przewrócić, co było mało prawdopodobne, bo trzymał mnie mocno i pewnie. Pocałował mnie jeszcze raz i odsunął, patrząc mi w oczy.

– Pokazać ci mój pokój? – spytał cicho.

– Zwabiasz mnie do swojego pokoju?

– Jasne, wyrywam cię na wspomnienia z przeszłości.

– Okej. – Uśmiechnęłam się. A on zacisnął dłoń na mojej ręce i pociągnął w kierunku werandy, przez którą wchodziło się do domu od strony ogrodu. Zerknęłam na Marcina, który pił piwo i spoglądał na nas oparty o jabłoń. Widziałam w jego oczach i radość, i niepokój. Zastanawiałam się, o kogo z nas się martwił.

Julian poprowadził mnie na piętro, tuż przy wejściu na poddasze otworzył kolejne drzwi i weszliśmy do pokoju, który pozostał w stanie nienaruszonym od momentu, kiedy wyprowadził się stąd młody mężczyzna. Pojedyncze łóżko, zabudowana szafa, niski stolik, plakaty na ścianach, Metallica, Led Zeppelin, Scorpions. Puchary z zawodów strzeleckich. Spojrzałam na Juliana. Stał oparty o ścianę i wpatrywał się we mnie.

– Strzelałeś?

– Yhym.

– Już tego nie robisz?

– Teraz strzelam w sędzie.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

– Chciałem ci powiedzieć, że od tygodnia dostrzegam małe przyjemności. Wczoraj kupiłem sobie lody czekoladowe.

– Lubię czekoladę. – Uśmiechnęłam się.

– Zjadłem też zapiekankę, kiedyś w liceum ciągle obżeraliśmy się zapiekankami.

– Co się stało, Julian? Co tobie się stało?

– Marcin coś ci mówił? On na siłę chce mnie ratować.

– Wspomniał tylko, że coś wydarzyło się pięć lat temu. Posłuchaj... – Złożyłam

dłonie jak do modlitwy i podeszłam do niego. – Znamy się bardzo krótko. Ale w moim życiu też wiele się zmieniło, odkąd się poznaliśmy. Czuję się tak... jak nigdy się nie czułam. Mam kota... w głowie też. – Machnęłam ręką, uśmiechnęłam się nerwowo. On był poważny i oczywiście wpatrywał się we mnie. – Wszystko się zmieniło. To tylko niecały tydzień. A wszystko jest inne. Nowe. Wspaniałe – powiedziałam już szeptem. – Dlatego, jeśli ty też tak czujesz... możemy z wszystkim poczekać.

– Czuję. Nawet nie wyobrażasz sobie jak bardzo, Joanno. – Jego niski głos wwiерcił się w moją głowę. Podeszedł do mnie i poczułam ciepło bijące od jego ciała. – Ale muszę ci to powiedzieć. Wszystko wraca, a ja już tego nie potrzebuję. Chcę zacząć żyć.

– Dobrze. – Kiwnęłam i usiadłam na łóżku. Julian patrzył na mnie przez chwilę i powoli usiadł naprzeciwko mnie w fotelu.

– Pięć lat temu broniłem bossa mafii narkotykowej. To była duża sprawa, w sumie dzięki niej wypłynąłem. Stałem się młodą gwiazdą palestry. On miał córkę. Wybroniłem go, a ona... zaczęliśmy się spotykać. Marcin ostrzegwał mnie, że nie powinienem, ale ja... Ona była inna, jakby nie pochodziła z tamtego świata. Kończyła architekturę. Była zabawna, miała poczucie humoru. Dobrze się przy niej czułem, zaczynałem się zakochiwać. Jej ojciec nie był zadowolony z tego, że się spotykamy. Pracowałem dla niego, wybroniłem go, byłem od czego innego, a nie od tego, żeby chodzić z jego córką. Zmusił ją, aby wyjechała, chciał wysłać ją do Francji. Lecz ona miała swój plan. Zabrała samochód matki i jechała do mnie, była zdenerwowana, roztrzęsiona. Na trasie toruńskiej wbiła się w boczną balustradę estakady. Zginęła na miejscu. Jej ojciec chciał mnie zabić, postrzelił mnie. Ja wylądowałem w szpitalu, on w więzieniu. Zmarł tam na zawał. Nie mogłem się pogodzić z jej śmiercią. Nie umiałem żyć, nie umiałem czuć. Zapomniałem, jak to jest. Pochłonęła mnie praca, bronienie przestępców. Przecież byłem w tym dobry. Oddaliłem się od rodziny, od brata. Dopiero stłuczka z tobą, ten kociak... Coś się we mnie obudziło. I, cholera, chciałbym na nowo nauczyć się czuć. Jak zwykły człowiek, a nie jak pieprzona maszyna.

Skończył mówić. Patrzyłam na niego spokojnym wzrokiem, chociaż jego opowieść, rodem z sensacyjnego filmu, mocno mną wstrząsnęła. I to ja myślałam, że mam życie pełne zawirowań! Ale cieszyłam się, że zechciał się otworzyć. Ufał mi. Czułam to. Pochyliłam się ku niemu i złapałam go za rękę. Zacisnął dłonie obu rąk na mojej.

– Dziękuję, że mi to opowiedziałeś. Myślę, że jeśli nawet czuleś się winny, to dość już tego samobiczowania. Każdy z nas dźwiga jakiś ciężar mniejszych lub większych win, ale na każdego przychodzi pora ich odkupienia. Ty już swoje wycierpiałeś. I wiesz co? – Uśmiechnęłam się i zacisnęłam drugą dłoń na jego rękę. – Obiecuję ci, że ja i Rudolf zrobimy wszystko, abyś znowu zaczął czuć.

Coś błysnęło w jego oczach.

– Rudolf? – Uniósł jedną brew.

– To może być jedno ustępstwo z mojej strony.

– Tylko jedno?

– Póki co.

– A więc we wtorek pojedziemy razem do Leśnego Przytuliska?

– Musimy jechać razem. – Pochyliłam się i pocałowałam go w usta.

- Dlaczego? – szepnął.
- Adoptujemy kota. Potrzebne będą nasze podpisy.
- To prawie jak akt małżeństwa. – Przyciągnął mnie do siebie i posadził na kolanach.
- To dopiero kocia miłość. Ale wszystko przed nami, Julianie.

Poczet ukochanych

Małgorzata Kalicińska

Pies po raz pierwszy

Budrys był ogromnym bernardynem. Mój tatko, Zdzisław Kaliciński, uwielbiał psy. Mama uwielbiała tatę, więc i na Budrysa się zgodziła. Działo się to w latach pięćdziesiątych, powojennych, biednych zwłaszcza w mieszkaniu. Moi rodzice dostali przydział na pokój u pewnej pani P., na ulicy Krynicznej. Była to mała uliczka z taką wewnętrzną częścią, w której stały niewielkie szeregowce z ogródkami na Saskiej Kępie. Warto dodać, że te domki cudem przetrwały czasy wojennych ostrzałów.

Pani P. mieszkała w jednym z nich. Był malutki jak z bajki. Ona, pani P., ze swoją mamą zajmowały parter. A moja mama, jej siostra Teresa, mój tatko i pies (ważący więcej od mojej drobnej mamy) dostali piętorko, czyli łazienkę z wanną i kibelkiem oraz pokój z balkonem. Pokój o powierzchni szesnastu metrów! Rolę kuchni pełniła łazienka, w której gotowało się na maszynie elektrycznej ustawianej na desce leżącej na wannie. Na jednej maszynie dla trzech osób! Oczywiście nie było lodówek, pralek... Kto w to uwierzy? Prało się w misce na cynkowanej tarze.

Czytający to dzisiaj młodzi ludzie mogą zachodzić w głowę – jak tak można było mieszkać? Ale wówczas można było, ważne że miało się dach nad głową, a wojna dobiegła końca.

W pewnej chwili zmieściło się tam jeszcze, na tym piętorku, rozkładane na noc łóżko dla, mówiąc dzisiejszym językiem, niani, bo mama musiała pracować, a gdy ja się urodziłam, żłobków w okolicy nie było. Jasia – przyjezdna ze wsi panna – opiekowała się mną do chwili, gdy po romansie z jakimś „miastowym” zaszła w ciążę.

Na szesnastu metrach spała więc na rozkładanym fotelu Teresa, moja młoda ciotka, moja mama i tatko na tapczanie, Jasia na rozkładówce i jakimś cudem zmieścili łóżeczko dla mnie, a Budrys chyba urzędował w przedpokoju, koło łazienki.

Nie pamiętam go rzecz jasna bezpośrednio, ale mama mi opowiadała, że był psem o anielskim usposobieniu. Jak już nauczyłam się pełzać, pełzałam za nim, spałam na nim, bawiłam się jego uszami, okiem, nosem. Gdy moje zabawy go wkurzały, wstawał z głębokim westchnieniem i przenosił się o metr dalej. Lazłam za nim. Chyba kochałam tę jego kudłatość, miękkość i to, że był cierpliwy i duży. Taka ogromna maskotka!

Przychodził jeszcze kot rozbójnik z jednym okiem, ale omijał Budrysa z

wyższością. Wskakiwał z parteru na balkon i tam pałaszował to, co mu ciotka Teresa dawała. Pił wodę czy mleko, zjadał jakieś reszeczki, ale po świeżynkę wyprawiał się nocami na łowy w znane tylko jemu miejsca. Po jakimś czasie dostaliśmy wreszcie mieszkania. Ciotka osobne i my osobne. Nadal bez szaleństw. Nowa ulica – Międzynarodowa, parter, pokój z kuchnią. Rodzicom to nowe lokum wydało się ogromne! Sam pokój miał 19,5 metra! Była osobna łazienka i jasna kuchnia! Tam też na rozkładanym łóżku sypiały kolejne nianie, zanim poszłam do przedszkola.

Budrys zmarł na jakąś psią chorobę i tatko zatęsknił za następnym psem. Pojawiła się u nas Kira – piękny owczarek alzacki. Pracowała wcześniej na granicy. Brała udział w jakiejś trudnej akcji i dano jej rentę, bo przeżyła traumę, psi stres pourazowy. Kira była przyjaciółką taty. Mało mam związanych z nią wspomnień, poza tym że zawsze jeździła z nami na wakacje, na wieś białostocką, w której ludziska z trudem znosili fakt, że pies jest arystokratą i mieszka z państwem „na pokojach”, chodzi na smyczy albo przy nodze pana, przybiega karnie na wezwanie, a nie głoduje zapchlony na krótkim łańcuchu, koło budy jakiej budy. Różne rzeczy zadziwiały ludzi w tej wsi, ale musieli przywyknąć, że „warsiawiacy dziwni som”, bo jeździliśmy tam na wakacje przez długie lata. Tak. Kira była arystokratką!

Gęsi, krowy, świnie...

To właśnie ta mała wieś leżąca nad wstęgą Biebrzy nauczyła mnie wszystkiego, co dzisiaj przydaje mi się w życiu poza miastem. Już dwadzieścia lat mieszkam na wsi, bo miasta nie lubię. Dzięki owej wiosce i wakacjach tam spędzanych mówię, nieco niegrammatycznie, ale z rozmysłem, że „umiem wieś”.

Zaczęłam tam przyjeżdżać z rodzicami, gdy miałam niespełna roczek.

Mieszkaliśmy u gospodarzy w takiej samej biedzie jak oni. Solidarnie. Stare drewniane albo metalowe łóżka, sienniki wypchane słomianą sieczką, skromne jedzenie i fantastycznie spędzone lato. Do jedzenia ryby, raki, drób, warzywa z ogrodu gospodyni, jajka, mleko, twaróg i ziemniaki „amerykany” – pyszne i wysokoskrobiowe. No i dary lasu – grzyby, jagody.

Mama odważnie puszczała mnie niemal samopas. Chodziłam w obciętych od dołu śpioszkach i lekkiej koszulce, łepetynę miałam ostrzyżoną na krótko i bardzo często zdejmowałam z nóg buciki, bo wołałam hasać po okolicy boso. Gdy wlałam w jakieś kacze czy inne gówno – opłukiwałam stopy w kałuży i szłam dalej.

Kiedy byłam takim ledwo chodzącym maluchem, zaprzyjaźniłam się podobno z małym gęsiakiem. Był dziobany przez siostry i braci, pozbawiony piórek na grzbiecie oraz szyi. Trzymał się z daleka od stada, więc jakoś tak przyłgnęliśmy do siebie. Mama pouczyła, żebym była delikatna i nie udusiła z miłości tego ptaka. Łaził za mną albo siadywał blisko, uważając mnie chyba za siostrę.

Tamte wakacje były upalne i beztrioskie. Z opowiadań mamy wiem, że dwa razy wpędziłam ją w stan lękowy, gdy nagle znikłam jej z oczu. Podwórze otaczały jakieś płociny, zagony pokrzyw i licha brama wjazdowa, zamknięta oczywiście. Łaziłam sobie

sama, ale z okna kuchni czy pokoju mama zawsze miała mnie na oku. Wyjście za stodołę, gdzie znajdowały się rozlewiska Biebrzy, zastawiano deskami. Zresztą stała tam psia buda i pies też nie pozwalał mi wychodzić poza podwórko. Nie żeby się rzucił, ale zagrażał drogę łańcuchem.

Znikłam mamie... Gdzie jest Gosia?! Ani na podwórzu, ani w sadziku, ani w warzywniku! Olaboga!

Za pierwszym razem dość szybko zostałam odnaleziona. Mój „brat” gęsiak paradował przed drzwiami do chałupy, jakby... pełnił wartę. To znaczyło, że znajdowałam się blisko i to chyba w domu. Ale gdzie?! Sprawdzono wszystko, łącznie ze strychem, do którego była przystawiona drabina. A nuż?! Nie. Nie było mnie i tam.

Mamę zwabił mój pomruk radości dobywający się z sieni, w której za drzwiami, latem przez cały czas otwartymi, stał stary nocnik, do którego wlewano resztki dla podwórkowego psa. Siedziałam tam sobie na ziemi, ów nocnik trzymając między nogami i wyjadałam ziemniaki z obiadu, które w mleku pozostałym ze śniadania czekały na popołudniowe karmienie psa. Podobno byłam cała upačkana tym delikatesem i na mojej twarzy malował się autentyczny zachwyty.

Następne moje zaginięcie trwało dłużej i doprowadziło mamę niemal do hysterii. Nie tylko ją. Pani Albina, jej starsze dzieci, mój tatko i mąż Albiny – Hipolit – też odchodzili od zmysłów.

– Gdzie jest Małgosia?!

Przecież mogłam jakoś sforsować zabite lichymi deskami wyjście za stodołę, pognać przed siebie i utonąć w płytkich wodach zalewiska Biebrzy! O, a może wpadłam do studni?! Do ziemniaczanej piwnicy? Wlazłam na sąsiek w stodole?!

Ponownie to właśnie gęsiak pomógł mi zlokalizować. Mama co prawda go zlekceważyła, ale syn gospodarzy Sławeczek zobaczył, jak gęsiak śpi w pokrzywach, niebezpiecznie blisko psiej budy. Dlaczego aż tak blisko? I dlaczego mimo upału pies też śpi przed budą na piasku, a nie w budzie? Wszak w środku jest cień! Sławeczek tam zajrzał. Prawdopodobnie wygonił psa z budy, bo się go nie bałam albo wlazłam do środka, gdy niczego nieświadoma psina siedziała sobie spokojnie na zewnątrz. Ponieważ zostałam wychowana z Budrysem i Kirą, uważałam psy za swoich kolegów. Zaległam w cienistej budzie na zapchlonej słomie i zasnęłam snem sprawiedliwego.

– Pani Kalacińska! A tu Małgosia jezd, patrzy pani!

Mama popłakała się z radości, obiecując sobie, że „już nigdy nie spuści mnie z oka”, co oczywiście było niewykonalne.

Rosłam. Gęsiak też. Już się ładnie pokrył pierzem! Łaziliśmy wolni wszędzie i wizytowaliśmy sąsiadów. Stara Bujnowska zazwyczaj skarmiała mnie kromką chleba z cukrem albo jajem na miękko. Upaprana tym jajem chodziłam z gęsiakiem do sadu i za stodołę pogapić się na tatarak.

Można było ewentualnie uwiązać mnie na łańcuchu jak podwórkowego Burka, spętać nogi jak koniowi na pastwisku albo chodzić za mną trop w trop. Ale przecież mama musiała się skupić na życiu – pranie, obiad wspólnie gotowany z panią Albina...

Nadto ona, Albina, gospodyni, sama mając piątkę dzieciaków, nigdy tak nie robiła. One w jakiś sposób WIEDZIAŁY, co można, a czego nie. I ja też to szybko pojęłam.

Za rok, gdy przyjechałam ponownie do Szafranek na wakacje z rodzicami, mój gęsiak, który wyrósł na ładną gęś, z radością mnie powitał, trzepocząc rozłożonymi skrzydłami i gęgając radośnie. To było zaskakujące dla wszystkich. Na wsi gęsi nie cieszyły się wielkim szacunkiem. Traktowano je jak chodzące mięso i pierze. Nikt tam się nie zastanawiał nad mądrością ptaków i ich uczuciami. A już nikomu nie przyszło na myśl rozważanie gęsiego przywiązania do tych, którzy przebywali blisko nich, zwłaszcza za młodu.

Gęś, nazwana na moją cześć Małgosią, żyła sobie zdrowa, bo stadko ją wreszcie przyjęło i zimą już jej nie dokuczało. W wakacje nadal łąziła za mną, następnego lata też. Gospodynię tak wzruszała ta zażyłość, że Małgosia nie stała się pieczenią. Oddawała Albinie pierze i jajka. Miała ponoć dośmiertną wolność.

Niestety później zamieszkaliśmy u innych gospodarzy i zapomniałam o Małgosi. Przyznaję to ze wstydem.

Stawałam się starsza, byłam w wieku córek nowej gospodyni, pani Adeli.

Już na tyle starsza, że latem po sianokosach gospodarz, pan Mieczysław, pozwolił nam na wielką frajdę – spanie na sianie, w stodole.

Nie podobało mu się to, straszyl nas wężami i pajakami, ale myśmy się upierały, więc w końcu skapitulował.

– A śpijta! – sapnął i machnął na nas ręką.

Kiedy zbliżał się wieczór, a my pokończyłyśmy wszystkie przewidziane dla nas zajęcia, zabawy i baraszkowanie w rzece, dostawałyśmy szmaty – kapy, stare powłoczki i prześcieradła. Tuż po kolacji łązłyśmy na sąsiek po drabinie i – bach! – w sienne piernaty! Ile tam było śmiechu, opowiastek i straszenia duchami! Ale spało się świetnie! Mocno i „do dna” – jak mawiał brat dziewczynek, Stasiek.

O świcie gospodarz otwierał stodołę, wpuszczał światło i hałasował, biorąc potrzebny sprzęt, rychtując wóz, bo zaraz ze Staśkiem i koniem Gniadym wybierał się do prac polowych.

Gniady był koniem Mieczysława. Jedynym zwierzęciem z obejścia, z którym się nie zaprzyjaźniłam. Ogromnym perszeronem. Mieczysław podczas wojny był kawalerzystą i miał dla koni specjalną szufladkę w sercu. Konia uznawał za swojego przyjaciela i pracownika, któremu niemal przysługiwały prawa współgospodarza. I słusznie gospodarz pilnował, żeby na linii dzieci – koń nie dochodziło do spoufalania. Właściwie do Gniadego, oprócz Staśka, nikt nie podchodził blisko.

Co innego krowy, świnię i drób, którym rządziła Adela.

Mnie ogromnie ciągnęło do zwierząt gospodarskich. Niemal co wieczór uczestniczyłam w karmieniu świń, w dojeniu krów. W wiadrach Adela niosła ugotowane w łupinach i obierkach ziemniaki, którymi świnię uprzejmie się ze mną dzieliły. Nie miały wyjścia. Wybierałam z dwa, trzy kartofle i zjadałam z lubością. Albo razem z córkami Adeli i Mieczysława wyjmowałyśmy je z wiadra, zanim Adela zdążyła zanieść jedzenie świniom. Były pyszne!

Chyba dlatego do dzisiaj lubię żółte ziemniaki o mocnym smaku.

– Pani! Żółte? To jak pastewne, dla świń! Pani te weźmie, kremowe albo tamte, bieluchne! – zalecają sprzedawcy, a ja się upieram, że chcę żółte.

No NIE. Ziemiaki muszą mieć zapach tamtych, wsiowych z wiadra. :)

Specjalnym narzędziem duźdało się te ziemiaki w kotle, po wrzuceniu do niego siekanych pokrzyw, wsypaniu „ospy”, czyli otrąb i dolaniu wody. W ten sposób przygotowaną „zupę” wlewano do koryta. Tak się kiedyś karmiło świnie. Gdy pałaszowały z apetytem jedzenie, można było je drapać między uszami. Oczywiście największej radości dostarczały małe warchlaki. Pamiętam pierwsze rozczarowanie, gdy takiego małego prosiaczka dostałam do rąk. Był... szorstki! A wyglądał na takiego miłego prosiaczka o aksamitnej sierści. Jednak szczecina to szczecina!

Wieczorami chodziłam do krów z Adelą, ale bez jej córek. Zbierałam do kosza świeżą i kwitnącą czerwoną koniczynę, grube łądygi tataraku rosnącego za stodołą, resztki kapusty, sałaty, powykęcane ogórki czy ogryzki jabłek, a i same kwaśne jabłka z dzikiego sadu koło drogi. Obie krowy to uwielbiały i chrupały, zagarniając rarytasy z mojej dłoni szorstkim i twardym jęzorem.

Muśka i Luśka – jedna ruda, druga zwykła łaciata, czarno-biała. Adela nauczyła mnie doić. Nie było to łatwe. Należało posmarować dłonie smalcem i usiąść pod krową, przy wymionach, zapierając się głową w słabiznę. Gdy to wparcie się w bok było silne, krowa wiedziała, że ma stać spokojnie, bo zaraz jej ulży. Początkowo nie umiałam tego zrobić porządnie. Adela doiła takim specjalnym ruchem. Dłonie przesuwiała wzdłuż strzyków, szybko zaciskając i rozluźniając chwyt. Ja nie miałam ani siły „wparcia się”, ani odpowiedniej techniki.

– Za strzyki nie ciągnij! – pouczała. – To ją boli. Mleczko trzeba ładnie wycisnąć, ale nie tak, że zaciśniesz palce i ciągniesz. Tak się nie da. Patrz, mam zaciśniętą dłoń i robię taki... robaczkowy ścisk, że mleczko samo wypływa. No, spróbuj!

Złapałam! Udało się! Już nie strzykałam poza wiadro, na spodnie i do kaloszy. Pięknie strzelałam do wiadra, robiąc na mleku piankę.

Mój tato podchodził z kubkiem, bo lubił mleko prosto od krowy, a ja mu osobiście strzykałam „małe, białe, z pianką”.

Ja takiego ciepłego nie lubiłam. Schłodzone, gdy już straciło biologiczne ciepło – tak, szczególnie z pająką chleba z masłem i miodem. W ogóle wychowałam się na zdrowym mleku. Zupy mleczne lubiłam, zwłaszcza ryż na mleku i mannę. Koniecznie z cukrem. Dzisiaj to skandal i dramat – „mleka nie należy”, „cukru nie należy”... A myśmy niczego innego nie mieli. Z tego mleka też robiło się zsiadłe do obiadu i pyszny twaróg na śniadanie.

A po jajka to się biegło do kurnika!

Wchodziłam tam z obrzydzeniem, bo kurze gówna okropnie śmierdzą. Kurnika nikt nie czyści tak często jak obory czy chlewu. Nie mówiąc o stajni Gniadego, który zawsze stał w suchej, codziennie zmienianej słomie. Arystokrata!

Po wejściu do kurnika zostawiałam otwarte drzwi, żeby coś widzieć, bo ciemno tam było, choć oko wykol! Kury zazwyczaj nie uciekały. Czasami jednak miały najwidoczniej do załatwienia jakiś interes na podwórku i wtedy korzystały z tej okazji. Nas, dzieci, nie bały się zanadto. W koszach, na sianku leżały już zniesione jajka. Świeżusieńkie, ponieważ codziennie podbierane. Jajecznicza, sadzone czy na miękko były pyszne, bo i kury dostawały witaminy w postaci siekanych pokrzyw i sałaty. Adela siała

mnóstwo sałaty w ogrodzie warzywnym, dla nas i dla kur. Niby była prostą gospodynią, ale u niej sałatę albo ogórki ze śmietaną, z cukrem, solą i odrobiną octu serwowano do każdego obiadu musowo! Słuchała radia i wiedziała, że zielone to podstawa zdrowego żywienia. W podobnej, śmietanowej polewie podawała pomidory, które kupowało się na targu, bo na początku lipca nikt gruntowych jeszcze nie miał. Uwielbiałam te pomidory, podane ze zwykłą gospodarską śmietaną, grubym szczypiorem i solą. Zwłaszcza tę śmietaną pozostałą w misce po zjedzeniu pomidorów. Tatko się ze mną dzielił, bo też ją uwielbiał. Była pyszna, a najlepiej smakowała z fasolką szparagową, zbieraną oczywiście na polu za stodołą, gdzie Adela miała warzywnik.

Pracowałam z Adelą chętniej niż jej córki. Karmiłam kury, gęsi, krowy, doilałam i pomagałam wywalać gnój, który Mieczysław ładował na wóz i układał za stodołą w przymę. Już wtedy wiedziałam, że krowi nawóz ma niezbyt piękny zapach, ale do wytrzymania, koński pachnie ładnie, świński ohydnie, a najgorzej śmierdziało w sławojce. No bo wówczas na wsi białostockiej nikt nie miał łazienki ani szamba. Nie dałoby się go nawet zbudować, bo co roku Biebrza wylewała aż pod samo domostwo, to i szambo by wywalało.

Adela nauczyła mnie też... zabijania drobiu na obiad. Dzisiaj to taki rodzaj hipokryzji – wzdrygamy się i oburzamy na to, a przecież mięso nie jest produkowane fabrycznie wprost na tacki.

Łapałyśmy kurę i Adela jednym, szybkim ruchem siekiery pozbawiała ją głowy. Musiałam tę kurę trzymać za tors, bo nawet bez głowy odruchem nerwów jeszcze się szamotała. Adela wtedy mówiła:

– Kura ma mały mózg i nie wie jeszcze, że jej głowę odrąbano, to i biega nadal.

Wiem, brzmi to jak mały horror, ale tak wyglądało życie na wsi od zawsze. Żeby człowiek zjadł rosół, kura musiała być zabita, oskubana, wyflaczona i sprawiona. Nie mogło być inaczej. Podobny los spotykał ryby.

Ryby i raki

O! Na ryby chodzić lubiłam. Najbardziej z tatą. Siedzieliśmy w szuwarach, na łódce i cicho rozmawialiśmy. O wszystkim!

Gapiliśmy się na nasze spławiki. Ręczna robota! Wówczas żaden wędkarz nie kupował spławików! Tylko haczyki. Spławik robiliśmy z korka od wina i dudki z piórka gęsi. Dudka to ta rurka biegnąca wzdłuż pióra.

Malowaliśmy korek na zielono-czerwono. Zielona część była wykonana farbą olejną do metalu, a czerwona powstawała dzięki użyciu lakieru do paznokci. Potem z wędkami zrobionymi własnoręcznie (tata miał swoją z kija bambusowego, a ja z leszczynowego) szło się w załomy Biebrzy. Tam robiło się kulki z chleba albo szykowało nakopane spod krowich placków robaki i wsadzało przynętę na haczyk. Zarzucało się wędkę i czekało, aż spławik drgnie. Złowione ryby trzeba było pozbawić głów, oskrobać i sprawić, czyli wyflaczyć. Potem wieczorem, smażone na smalcu i jedzone z wiejskim chlebem i kiszonymi ogórkami Adeli, były znakomitą kolacją.

Dwa razy podczas wakacji odbywały się też rakowe uczyty. Póki woda na

rozlewiskach Biebrzy stała, robiło się z wygiętych pałków i siatki specjalny przyrząd do łowienia raków. Niosło się go, a raczej ciągnęło, szorując nim po dnie. Niewiele czasu to kosztowało, bo raków wówczas było zatrzęsienie! Na podwórku rozsiadaliśmy się na ławkach, a w ognisku albo w domu w dwóch wiadrach z wrzącą wodą i koprem gotowały się raki. Krótko.

Adela wysypywała czerwone raki (bo tak się barwi ich chitynowa skorupka) na wielką miednicę i zaczynała się ucztą.

Smak pamiętam do dzisiaj, zarówno „szyjki” rakowej, czyli mięsa z odwłoka, jak i tego co wysysałam ze szczypiec. Komary gryzły, owszem, ale jaka to była frajda! Wszak to polskie krewetki.

Ponownie krowy i konie

Wracam do krów. Na tej wsi istniał taki zwyczaj, że co dwa dni inna rodzina zbierała wszystkie krowy ze wsi i pędziła raniutko w ten sposób utworzone stado na osowieckie łąki. Jakies dwa, trzy kilometry od wsi. Tam koło fosy Twierdzy Osowiec krowiny pały się cały dzień, a dzieciaki (zazwyczaj dzieciaki) nudziły się niemiłosiernie do siedemnastej. Wieczorem pędziło się to stado z powrotem i rozdzielało do poszczególnych obejść.

Lato ma to do siebie, że bywa podczas niego gorąco i nudno. Łaziliśmy więc po drzewach morwowych, po starych okopach, potem na zmianę do pobliskiego lasu na jagody, maliny i poziomki. Czas dłużył się niemiłosiernie. Chleb z masłem i plastrami wilgotnego, kwaśnego twarogu, jajka na twardo smakowały niebiańsko z ciekawą herbatą słodzoną i zakwaszaną kwaskiem cytrynowym.

Czasem był to wystudzony kompot z rabarbaru albo podpiwek. Ten sam, który brało się w dużych kankach do siana albo do żniw.

Tak się tam mówi – „DO” – do siana, do żniw, do ziemniaków.

Tam też, na owej wsi, jeździłam na oklep na koniu. Oczywiście nie na Gniadym pana Mieczysława. Sławek od Wróblów jeździł na takim zgrabnym siwku, to i mnie uczył. Tyłek miałam poobijany i żadnej indiańskiej Apanaczi ze mnie nie zrobił.

Uwielbiałam te wakacje nad Biebrzą. Nauczyłam się tam życia na wsi. Zwierzaki traktowaliśmy z szacunkiem, ale bez przesady i bez czułości. To twarde życie – zwierzęta pomagają albo karmią. I od stuleci tak było.

Jak będzie w przyszłości? Zobaczmy.

Znów psy, ale też szczur i... koty

Minęły lata.

W moim rodzinnym domu, jak wspomniałam, zawsze był pies. Od Budrysa i Kiry przez Kubę, Sarę, Korka, Łajdka, Gape, po obecną jamniczkę Fiškę.

Nie wszystkie opiszę, bo miejsca mam na to za mało.

Gdy zmarł mój tatko, a ja dorosła, zostałam żoną i mamą, powiedziałam mężowi, że dziecko znakomicie się wychowuje z psem. Nie protestował, więc pojechałam do Konstancina, do przychodni weterynaryjnej, by zapytać o psa. Znaleźli mi w mig ślicznego... śliczną owczarkę mazowiecką.

Z początku była zdziwiona i nieco wystraszona, siedziała cicho, ze spuszczoną głową, młoda i zdezorientowana. Dałam jej na imię Gapa. Ale ona już po kilku dniach u nas zorientowała się, że TU ją kochają i karmią, i że wobec tego jej rolą jest chronić tych karmiących, drapiących za uchem i czochrających po głowie. Strzec jak oka w głowie! Wbrew imieniu taką gapą wcale nie była. Stała się naszą najwierniejszą obrończynią. Kochała całą sobą. Najbardziej mojego męża, bo wyczuła, że on jako jedyny nie jest wielkim entuzjastą zwierzęcia w domu. Nigdy nie miał psa, bo moja teściowa za młodu została pogryziona przez jakiegoś wrednego psiaka na warszawskiej Woli, co zaowocowało jej trwałym lękiem do czworonogów.

Gapa, zwyczajnie i po prostu, postanowiła uwieść tego człowieka, od którego wyczuła największy dystans. Gdy tylko pojawiał się w domu po pracy, emablowała go jak arabska tancerka. Witaa tak niezwykle gorąco, piszcząc i tańcząc, że faktycznie topniało mu serce. Czasem nawet z tej radości popuszczała, sikając w przedpokoju, gdy tam skakała w tańcu radości, mimo że przed półgodziną była na spacerze. Potem nie odstępowała pana na krok, a gdy siadał do obiadu, kładła pysk koło jego uda i cierpliwie czekała na małego głaska.

Z czasem owinęła go sobie wokół ogona.

Kiedy zaczęła mieć silne reakcje uczuleniowe na jedzenie (np. wołowiny), tylko on mógł ją delikatnie gładzić po zaognionej skórze brzucha, który pokazywała mu w geście głębokiego zaufania, gdy miała swędzącą wysypkę. „Pokaż brzuszek, Gapciu” – mówił mój mąż, a ona zaraz bach!, na plecy i pokazywała, gdzie boli i swędzi. Rozkochała go w sobie tak bardzo, że płakał po jej śmierci. Zmarła na „żółty zanik wątroby”. Tak to nazwał weterynarz. Niewykluczone że po zjedzeniu jakiejś trutki...

Pracowałam w szkole na Gocławiu. Uczyla biologii w podstawówce.

Na święto nauczyciela czy moje imieniny, nie pamiętam, dzieciaki przyniosły mi kwiatek i pudełeczko. W nim spała mała, czarna mysia.

– Co to jest?!

– Pani tak pięknie opowiadała o szczurach... – powiedział niewysoki blondynek.

„O matko” – jęknęłam w duchu. Tego to już mąż nie zdierży!

Podczas lekcji (chyba jeszcze były lekcje, czyli pewnie moje imieniny, a nie Dzień Nauczyciela) otworzyłam pudełeczko. Mała Mysia popatrzyła na mnie czarnym oczkiem. Nie bała się. Nie byłam w stanie zamknąć jej w tym pudełeczku. Jakoś... nie. Od razu wzbudziła we mnie uczucia macierzyńsko-opiekuńcze. Wzięłam ją do... rękawa. Miałam na sobie bawełnianą bluzę. Mysia dotrwała w nim do końca lekcji, śpiąc tam sobie jak w hamaku. Gdy przyszłam do domu, moje dzieci, syn i córka, były zachwycone.

– A tata? Co powie tata? – krzyczały zupełnie jak w piosence Kukulskiej.

– No co powie tata?! – nie ustępowały.

Mąż wszedł do domu, a ja z mety mu powiedziałam, co jest i jakiego to nowego lokatora mamy. Mysia ruszała wąsikami. Ściągnął brwi i udawał nieprzejednanego.

Powiedział surowo:

– ...walizki macie na górze!

Ja na to:

– Ale takiej maciupęńskiej walizeczki to nie mamy!

Nakarmiliśmy tatę i pojechaliśmy (z Mysią w rękawie) po willę dla niej. Bajeczna, spora klatka, piętrowa, z domeczkiem, bo szczurki lubią mieć własną „norkę”. Niestety, nie dała się nauczyć sikać do słoiczka jak pewien chomik, którego mieliśmy miesiąc. Uciekł. I dobrze, bo dzieci same się przekonały, że chomiki są nudne.

Miała na imię Szczurzanka, czasem mówiliśmy Mysia. Nie nazywaliśmy jej ludzkim imieniem. Tak już mamy. Tylko psy noszą u nas ludzkie imiona. Wyrosła na piękną samiczkę. Czarną z białym brzuszkiem. Była szalenie zdyscyplinowana i elegancka. Wiedziała, że po wyjęciu z klatki nie powinna nam uciekać. Korzystała z tych chwil i zabawiała się z nami, skacząc z kolan na kolana, siadała na ramionach, wspinała się po rękawach i po własnym ogonie. Taka fajna sztuczka, którą pokazał nam weterynarz. Bardzo lubiła ciepłe kąpiele i była kąpana często. Woleliśmy, gdy nie śmierdziała moczem :) i ona to rozumiała.

Podczas kolacji stawialiśmy ją na stole. Ja wiem, wiem... niektórzy się wzdrygną, ale ludzie kochający swoje domowe zwierzaki rozumieją. Chodziła wdzięcznie między talerzami i zbierała jakieś smaczne kąski. Potem stawała pod ścianą (stół stał przy ścianie) między wazonem na kwiaty a butelką z oliwą, kucąła przodem do nas i jadła. Szczury mają takie... rączki. Są jak małe ludzkie dłonie. To było wzruszające. Jaka ona była dystygowana w tym jedzeniu! I nigdy, ale to nigdy nie weszła na żaden talerz! Myślę, że gdy ją o to poprosiłam za pierwszym razem, zrozumiała po prostu.

Czasem siadywała mężowi na ramieniu, gdy on pisał coś na komputerze.

Po prostu siedziała i śledziła, co robi. Może czytała? ;)

Kiedyś bardzo go zaskoczyła. Miał gorączkę i pilną pracę. Siedział i klikał. Posadziłam mu Mysię na ramieniu. Był naprawdę chory, osłabiony. Wtem jakoś dziwnie mnie zawołał. Cicho, jakby przez zęby.

Mysia wzięła go łapkami za policzek i pociągnęła ku sobie. Odwrócił twarz w jej stronę, wówczas dotknęła łapkami jego splekanych ust i... zrobiła mu ząbkami depilację warg z zeschniętych, spierzchniętych skórek. Potem przestała i siedziała nadal grzeczna i cicha.

Byliśmy zdumieni.

Umarła na raka. „Tak czasem mają”, powiedział weterynarz.



Było jeszcze jedno piękne wydarzenie ze zwierzakiem, zanim wynieśliśmy się z bloku na Gołławiu.

Pamiętam, że wydarzyło się wczesną wiosną.

Wcześniej niż należy, zrobiło się ciepło na kilka dni. I może właśnie to sprawiło,

że na szybie w kuchni, od kuchennej strony pojawiła się mała osówka. Osówka, nie pszczoła, nie osa, a osówka – owad osopodobny. Zawołałam dzieci, Stasia i Basię.

– Patrzcie, obudziła się za wcześnie.

– O, jaka jeszcze śpiąca! – powiedział Staś, spoglądając z bliska na owada.

Szła po szybie niezgrabnie, niemal ziewając. Rozprostowywała skrzydełka, przystając co chwila, a potem dreptała dalej. Wzięłam ją ostrożnie na kawałek papieru, bo szyba wydawała mi się zbyt zimna. Na stole było o wiele cieplej. Osówka stała zdziwiona, ospała.

– Może głodna? – przytomnie zapytała Basia.

– Fakt! – powiedziałam. – Gdzie nasza gościnność?

Przed osówką zrobiłam zapałką dwie krople – jedną z dżemu, a drugą z wody.

Poruszyła czułkami i jakby się obudziła.

– O, jedzenie – mówiłam za nią, ku radości dzieci. – Dziękuję ci, moja droga!

Stasiek parsknął śmiechem, ale zaraz znów pochylił się nad owadem.

– Jedz, jedz moja droga. – Tym razem przemówiła Basia.

Osówka podeszła do kropli dżemu i zanurzyła w niej czułki.

– O! Jadalne! Pyszne! – Teraz ja ją imitowałam, a ona zaraz się zabrała za zjedanie słodkości.

– Ale się napchała. – Stasiek był bardzo przejęty.

Potem osówka czyściła ubrudzone dżemem czułki, podeszła do wody i ugasiła pragnienie. Znieruchomiła.

Zostawiliśmy ją tam, by pospała po jedzeniu.

Nadszedł wieczór, więc włożyłam ją ostrożnie do dużego klosza w kuchni – koło żarówki z pewnością było jej ciepło. Następnego dnia rano zastaliśmy ją na boazerii, nad kuchennym stołem i znów ją karmiliśmy. Tam się jej podobało, więc właśnie tam dostała dżem i wodę. Wodę w kropli stawiałam nad nią. Ta spływała i już jako mała kropelka dotykała jej czułków. Osówka dawała się kropli obmyć niemal w całości. Nie odlatywała. Potem tylko długo się wycierała.

Trzeciego dnia wyleciała w świat. Nigdy jej już nie widzieliśmy. Uchyliłam okno, a ona najedzona z pewnością doczekała już na zewnątrz kwitnienia mniszków na trawnikach.

Później nadszedł czas zmian i przeprowadzki pod Warszawę. Gapy nie było, Szczurzanki już też. W domu ewidentnie brakowało zwierzaka. Moja córeczka miała sześć lat i ogromnie chciała... kota. Mieszkaliśmy już w bliźniaku, był ogródek, więc od biedy może jakiś kot podwórzowo-półdomowy?

Nie miałam pojęcia, że ta opcja słabo się sprawdza w rodzinie czułych psiarzy. Że kota się pokocha jak członka rodziny, a nie żadne tam „na przychodne”, mimo że kot to zupełnie inny temat niż pies! Mąż był sceptyczny.

Musiałam znaleźć sposób na przemycenie nowego lokatora do domu. Pojechałam do psiego przytułku.

– Macie tu też może koty?

– Koty? Niiieeee, ale jakby pani chciała, to nasza miejscowa kotka się okociła, tam pod tym drewnem ma gniazdo, se pani weźmie jednego!

Se wzięłam! Kocię malusie, czarno-białe i już na tyle duże, że „mисeczkujące”.

Ja mam wrażenie, że koty to jednak Marsjanie.

Żyją swoim życiem, a nas najwyżej wpuszczają na chwilę. Mają zapewne własne imiona, więc nazywanie ich jakimiś Mruczkami czy innymi jest nietaktem. Mówiliśmy po prostu: „Kotek”.

Mąż wrócił z pracy. Jadł obiad, gdy akurat Kotek się obudził i taki ledwo obudzony, senny paradował do miseczki z ogonkiem w roli antenki. Mąż zamarł z widelcem w paszczy.

– Szoto jeszt? – zapytał.

Wówczas na jednym wdechu opowiedziałam mu wyspany z palca horror:

– Ach, bo ty nic nie wiesz?! Jechałam samochodem, a tu nagle wybiega mi pod koła to kocię! Samobójca no!!! Zahamowałam, a on taki... zapłakany, nieszczęśliwy, trząsał się. Uciekł zapewne od śmierci w paszczy jakiegoś napastnika czy co? Nigdzie nie widziałam matki, no to wzięłam. Jakoś wiesz, noooo, znajdziemy jakiś przytułek i oddamy!

Mąż nie skomentował.

Wieczorem Kotek zlaźł z rąk Basi, mojej córki, i po kanapie przelazł na męża, gapiąc się na niego z zainteresowaniem. Ten podparł włochatą kulkę i przytulił. Kulka się ukokosiła pod podbródkiem męża i rozmruczała rozkosznie.

– O, Boże, ten kot choruje! – jęknął mąż przestraszony nie na żarty.

– Bo?

– Posłuchaj, jak mu coś w krtani gra, to płuca czy co? Ma bronchit? Jakby miał zapalenie czy coś...

– Jakie zapalenie?! Nigdy nie słyszałaś, jak kot mruczy?

– Mruczy? No mrau-mrau? Ale jemu tu tak coś furczy!

– To mruczenie. Gdy kotu jest dobrze, to tak właśnie mruczy.

– Aaaa. OK. Znaczy, że mu u mnie dobrze?

Nie muszę dodawać, że o żadnym oddawaniu już mowy nie było. Kocisko także owinęło nas sobie wokół ogona!

Miesiąc później moja mama zobaczyła, a był to zimny listopadowy, mokry dzień, jak jakieś psisko biegnie wprost w stronę kałuży, w której ledwo żyje i telepie się malutkie kocię. W ostatniej chwili chwyciła mokrą kuleczkę w górę i pies tylko kłapnął zębiskami.

Pani weterynarz orzekła, że to panienka. Kicia była szaro-grafitowa, z białym ociepleniem. Znaczy to najmniejsze futerko, przy skórze, było białe, a dłuższe – grafitowe. Była cicha i bardzo zgrabna. Mama wbrew naszemu obyczajowi nazwała kicię Hurysa.

Jednak dwa koty to zbyt wiele. Hurynię wziął kolega.

Pokochali się. On łysy, więc ona spała mu na głowie. Było pięknie, do czasu.

Kicia zaczęła sikać panu do łóżka. Ni stąd, ni zowąd! Zadzwoił do mnie, a ja do kocięj behawiorystki. Doszliśmy po nitce do kłębka. Okazało się, że Kicia-Hurysa nie umiała się pogodzić z jego pracą. Co tydzień wyjeżdżał na dwa dni. Czasem na trzy. Zostawiał jej specjalny dozownik na jedzenie i picie, a ja jak tylko mogłam, to wpadałam wyczyścić kuwetę, podrapać za uchem i nakarmić.

– Proszę pana – rzekła behawiorystka – ona tak protestuje. Pan znika, a ona cierpi,

tęskni, złości się i demonstruje to, sikając panu do łóżka!

Mieszkaliśmy w niewielkim, ale jednak domku z ogródkiem, więc po naradzie Hurynia wróciła do nas. I żadnego sikania już nie urządziła. Kotek, wówczas już „odjajczony”, stał się miłym kolegą, zaprzyjaźnili się. Wkrótce i ją trzeba byłoby wysterylizować.

Zanim o tym pomyśleliśmy, Hurynia poczuła zew natury i czmychnęła, by oddać się romansom.

Kotek w tym czasie dał niezły popis! Boszsz! Jak on tęsknił, jak się denerwował, jak stał w drzwiach balkonu na taras (którędy czmychnęła) i czekał, czekał! Tak czekał ponad dwa dni. Nie jadł, wychodził i szukał, wracał, czekał, patrzył w dal i był smutny. Czasem podenerwowany, wtedy rzucał na nas gniewne spojrzenia, że my tacy spokojni, a Kici nie ma! Zapatrzony w przestrzeń zaokienną, w której zniknęła, stał i wzdychał! Naprawdę.

W połowie trzeciego dnia Hurysa wróciła lekko sponiewierana, ale usatysfakcjonowana i spokojna. Z pewnością głodna oraz spragniona. Kotek powitał ją z wielką radością. Ocierał się swoim pyszczkiem, mruczał i ewidentnie się uśmiechał. Był poruszony i zadowolony. Poprowadził ją do miseczki z jedzeniem i... zanim Kicia się nad nią pochyliła, Kotek fuknął i wytrząsał ją po pysku! Przednimi łapami! Serio! Dopiero wtedy usiadł i jakby wskazał jej miseczkę. Nieco zdziwiona, ale niereagująca gniewem Hurysa pochyliła się i zaspokoila głód jak zwykle – elegancko. Potem poszła spać do swojego koszyczka. Kotkowi spadł kamień z serca. Aż było słycać. ;)

Jej pierwszy (i ostatni) poród odebrałam osobiście. Urodziły się dwa kociaki – chłopiec i dziewczynka, używając ludzkiego języka. Kotek zachowywał się jak najczulszy tatek. Wychował je, zanim poszły do innego domu. I ku naszemu zdumieniu zupełnie inaczej „wychowywał” panienkę, a inaczej chłopca. Z nią bawił się delikatnie, jego nauczał walk i napaści.

Kotek był mądry i wiedział, że w lodówce jest zawsze opakowanie świeżej, drobiowej wątróbki. Wychodził na dwór i zniknął. Czasem pojawiał się z czymś w pysku. Obok nas była stara, niewielka hala, w której ktoś hodował kurczaki. Na podłodze leżały dosłownie hałdy starego ziarna. W nim łaziły tłuste myszy, przejedzone i leniwe. Kotek łowił je znudzony. Czasem dla rozrywki łapał ptaszki. Ze zwłokami ptaszka lub myszy przychodził i siadał koło lodówki. Głośnym „miau!” zawiadamiał, że jest i czeka na wymianę. Wówczas ja albo mama pobierałyśmy zdobycz, a wydawałyśmy kawałek wątróbki. Za słowiczka dawałam mu burę, no bo ostatecznie wróbelek, ale słowiczek?! Ale on jak to kot, mrużył oczy, co znaczy w kocim języku: „Odwał się. Mękolisz. Słowik, wróbel, co to za różnica?!”.

Zaskoczył mnie jeszcze raz, gdy wróciłam ze szpitala po operacji dłoni.

Obciąłam wtedy włosy na baaardzo krótko. Na języka. Kotek wskakiwał na oparcie kanapy, na której siadywałam, i łapą starał się odwrócić moją twarz ku sobie. OK, co dalej, Kotku? Otóż dalej kot swoim szorstkim językiem wylizywał mi włosy znad czoła tak, żeby stały w... pionie. Tak mu się wydawało, że jest dobrze. Gdy już miałam tak postawioną do pionu moją minigrzywkę, zaprzestawał. Siedział jeszcze chwilę i zeskakiwał. Robił to codziennie niemal przez miesiąc, aż moja grzywka stała się zbyt

długa, miękka i nie dawała się „spionizować”. O co chodziło? Nie wiem.

Oczywiście też oba koty zawsze wiedziały, gdzie i kogo co boli – gardło albo brzuch – i tam się układały u domownika, który akurat cierpiał. U kotów to normalka!



Minęły lata.

Dzieci wydorosłały. Nasza firma kupiła majątek na Mazurach, żeby budować tam ośrodek konferencyjno-szkoleniowy. Zostałam inwestorką, bo ktoś musiał być na miejscu i zarządzać. „Skończyłaś SGGW – masz pojęcie, działaj!”.

Firma w Warszawie zarządzała ogólnie, a ja na miejscu wklelałam się w szczegóły. Między innymi w ogrodnictwo, rolnictwo i hodowlę.

Wymyśliłam dla przyjeżdżających mieszczuszków minizoo, więc z ogłoszenia kupiłam niewielkiego konia rasy konik polski o wdzięcznym imieniu Szachmat. Pojechałam dogadać się co do kupna pod Grunwald, do wioski, w której hodowca owe koniki miał. Tak mu było spieszno, że zażądał, żebym zwierzaka zabrała już teraz. I tak fordem windstarem, w którym były wyjęte tylne siedzenia, wiozłam owego źrebaka siedemdziesiąt kilometrów do majątku pod Dźwierzutami. Całą drogę z nim rozmawiałam, żeby się nie denerwował. Udało się. Zachowywał się dość spokojnie, bo ja jechałam bardzo delikatnie, a jedyny kłopot był taki, że kupę walnął, o co nie mogłam mieć przecież do niego pretensji.

Był młody, więc zalecono mi, żeby go dużo przytulać i głaskać. Zatem codziennie na jego padok szłam ja, a potem moja pomocnica Ewa, żeby konia głaskać, drapać i tulić. Z czasem też kupiłam osła, którego nazwaliśmy Osio. Tulenie już nie było potrzebne. Szachmat i Osio pokochali się jak bracia.

W poniemieckim domu, w którym mieszkałam, pojawiła się pewnego dnia łaciata kocica. To ona zadecydowała, że chce ze mną mieszkać. Ja się tylko zgodziłam. Była już dorosła i niezależna. Imię zyskała dopiero później, gdy się oswoiła i pokazała charakter. Otóż za każdym razem, gdy w pałacyku nocowali goście, kotka wskakiwała do łóżka... mężczyzn. Nazwałyśmy ją Lafirynda. Kociaki, które urodziła po romansie z wielkim, rudym kotem, były piękne i długowłose. Z mamy nie miały nic! Jedno kocię wyglądało jak moja Hurysa, -niemal czarne z szarym podbiciem, inne było czarno-biało-rude. Tri kolor! Oczywiście Lafiryndę też trzeba było pozbawić możliwości rodzenia, bo i z tymi pięcioma jej kociętami ledwośmy sobie z Ewą dały radę. Kotów na wsi nie brakuje!

Kocica stała się stateczniejsza, spokojniejsza i wzbudziła głębokie zainteresowanie... Osia. Latem koń i osioł bywały puszczane luzem. Lubiły przyjść pod pałacyk, bo tam, w cieniu pod drzewami rosła szmaragdowa i soczysta trawa. Idealny deser na koniec dnia! Niejednokrotnie zdarzało nam się widzieć zaloty Osia do Lafiryndy. Był ewidentnie nią oczarowany. Podchodził, gdy zwinięta w kocią kulę siedziała na wysokim słupku przy schodach i dotykał jej delikatnie wargami. Ona prychała, ale tylko odsuwała się nieco, prowokując go do dalszych karesów. Robił brrrrrr wargami i gapił się

w nią jak w obraz. Miłość! :) <3

Gdy zbankrutowaliśmy i musiałam towarzystwo rozsprzedać, popłakiwałam w poduszkę, bo nielekkko mi było zrozumieć, że MUSZĘ. Bo niby co zrobić z nimi, skoro wszystko zabierze syndyk?

Po osiołka przyjechał miły pan prowadzący agroturystykę na Kaszubach, a Szachmat stał się urodzinowym prezentem dla pewnej miłej osiemnastoletniej panny spod Szczecina, która jeździła konno, znała się już na koniach i marzyła o własnym. Kiedyś, później wysłała mi informację, że Szachmat wygrał jakieś zawody. Voilà!

Jakoś właśnie wtedy, jeszcze przed bankructwem, przypomniało mi się moje dawne marzenie. Otóż tak jak mój tata uważałam, że pies to pies. Ma być spory, a nie pomponik kanapowiec. Żadne malutkie rasy mnie nie uwodziły poza jednym, „charakternym” psem. Zapragnęłam mieć jamnika. Z opisów jamników Jerzego Waldorffa i Melchiora Wańkowicza jednoznacznie wynikało, że owe psy są tylko ciałem małe. Puzon Waldorffa i Wańkowiczowski Dupek miały swoje charaktery! A propos Wańkowiczowskiego Dupka – to imię nadał psu pan Melchior po przegranej niestety walce o słowo DUPA, które chciał wprowadzić do obiegowego języka polskiego jako słowo naturalne i potoczne. Niestety nie udało się, więc przynajmniej tak, wołając na psa „Dupek”, chciał wywołać małe zgorszono w parku, wśród starszych, zacnych pań. Przynajmniej tak to opisywał Krzysztof Kąkolewski.

Po jamniczkę pojechałyśmy z córką do Olsztyna, do starszej pani prowadzącej minihodowlę. Z racji urodzenia w rodowodzie psina miała wpisane dramatycznie efektowne imię: Alissa Perła Jezior. Psineczka mała i szalenie grzeczna już była ciężko doświadczona przez los (dwa razy adoptowana i dwa razy oddawana – dzisiaj tak można), leżała na kolanach mojej córki cicha i wylękniona.

– Mamo, to jak ją nazwiemy? Przecież nie Alissa...

– Czekaj. Popatrzymy jej w oczy i ona nam telepatycznie powie, jak chce się nazywać!

– OK, jak uważasz.

Kucnęłam koło kolan Basi i spojrzałam w ciemne oczy psinki. Na samym dnie, pod warstwą traumy, jaką przeżyła, zobaczyłam ukrytą psią wesołość. Taka jamnisia nie będzie długo smutna! Kochając ją bardzo, odczarujemy złe wspomnienia!

– I co widzisz? – dopytywała mnie córka.

– Ona się nazywa... Fiśka!

– Ach tak? – Basia uniosła brew z uśmiechem – Fiśka? Od Fisiec? Czy Fiżka od Fizi?

W psiej książeczce zdrowia wpisana jest jako Fizia. Ale zdrabniamy ją Fiśka z miękkim „ś” – od fisienia.

To pewnie mój ostatni pies. Dlaczego ostatni? Bo jeszcze pożyje z nami, ma czternaście lat i zapewne wyprowadzi się na Wielkie Łowy wcześniej niż my, ale później branie psa jest niezbyt odpowiedzialne, bo nie młodniejemy. Co zrobić z psem, gdy poumieramy? Oczywiście można wziąć starzejącego się psa, ale jak mówiła Scarlett O’Hara – „Pomyślę o tym później”.

Póki co jest z nami Fizia, nazywana też Fizjonellą, Fichą. Mój nowy od dziesięciu

lat mąż polubił ją, choć sam nigdy psa nie miał. Nie zaakceptował tylko spania z psem, więc zrobił jej zgrabny tapczanik, a właściwie kanapę, która stoi tuż przy naszym łóżku. Taką formę bliskości Fiśka przyjęła z trudem, ale i ze zrozumieniem.

Mój były mąż, nazwany Pierwszym, wpada do nas czasem, a to na święta, a to w weekendy, gdy są wnuczki, syn z synową, i zawsze mówi: „Wpadnę do Fiśki”. :) Że niby ona najważniejsza. Fica szaleje z radości, gdy on (na przykład na święta) zostaje na noc. Ona mu towarzyszy stale i nareszcie śpi z panem w łóżku.

Moje zwierzęce historie zakończę klamerką.

Dwa lata temu byłam na targu. Przypadkiem trafiłam do alejki zwierzęcej, w której handluje się drobiem i gołębiami. Zajrzałam do pojemnika, w którym chłopisko miało małe gęsi. Polskie, owsiane. Jedna z nich była na grzbiecie i głowie łysa. Wydziobana. Oczywiście kupiłam ją. I dwie kaczki, zwyczajne, białe. Kaczki od razu wskoczyły na wodę w stawie, a gęsiątko póki co bało się. Nazwałam je Małgosia, nie wiedząc jeszcze, czy to chłopak czy dziewczyna. Dwa dni później Krzysiek, sąsiad ze wsi, pomagający mi czasem, przyniósł gęsiaka chłopaka, „żeby Gosia smutna nie była, bo co ma z kaczkami gadać?”. I polecił, żeby postawić „babę”, to będzie im lepiej.

– Jaką „babę”, panie Krzyśku?

– A one gęsi, to lubiom, jak są małe, żeby mieć matkę czy cuś, a jak ni ma, to się robi „babę”. Na małym krzyżaku jaką koszulę pani rozepnie, weselej im wówczas. Spokojniejsze są.

– A skąd pan to wie, panie Krzyśku?

– Mamusia tak mówiła.

No, skoro mamusia tak twierdziła, to i ja wyniosłam kraciastą starą koszulę na podpince, Krzysiek zrobił krzyżak i ubraliśmy go (ten niski krzyżak) w tę kubrako-koszulę. Małgosia i jej kumpel Wacek (tak dostał na imię) siedzieli zawsze koło koszuli, niemal wtuleni w nią. Faktycznie była to dla nich taka bezpieczna przystań. Szybko ich uwagę przykuła woda w stawie. Zaczęło się pływanie.

Małgosia pokryła się białym pierzem i zapuściła lotki. Wyrosła na piękną gęś! Wacek, szarobiały, też wyprzystojniał. Nadszedł czas zalotów. Kaczki i gęsi bzykają się w wodzie, to ładny widok, bo najpierw się pluszczą, kąpią, prowokują pióropusze wody i hałasują, a potem – mówiąc drewniano-zoologicznym językiem – kopulują.

Kilka dni po akcie Gośka złożyła pierwsze jajko, ale podmienialiśmy je, nie chcąc hodować gęsiny. I tak stale była oszukiwana. Na zimę zabrała ją sąsiadka, młoda i miła Mariola, która miała kurnik. Wkrótce też musiała zabrać do siebie więcej gęsi, bo zadzwoniła do mnie koleżanka, redaktor Teresa Drozda, że wielka nasza artystka scenografka i kostiumolożka Xymena Zaniewska jest umierająca i kłopotczy się bardzo o swoje przyjaciółki gęsi. Zająłam się nimi. Pojechaliśmy po nie i wszystkie znalazły u Marioli miejsce. Szczególnie piękne okazały się bernikle.

Wiosną Gośka i Wacek znów wróciły na nasz staw. „Baby” już im nie stawiałam, bo oboje dorośli i nie potrzebowali namiastki ludzkiej mamy. Gosia chodziła za mną jak tamta, z czasów, gdy byłam dzieciakiem. Kiedy biegłam, ona rozkładała skrzydła i truchtała za mną, trzepocząc nimi jak anielica. Za nią z donośnym gęganiem leciał zawsze czujny Wacek. Czasem, gdy siadałam na brzegu stawu, Gosia przysiadła blisko,

zaglądała mi w oczy i rozmawialiśmy. Wacek bywał opryskliwy, bo był... zazdrosny. Nie rozmawiał ze mną bezpośrednio. Pomrukiwał, coś tam bąkał – gęgał cicho. Ona lubiła powtarzać za mną słowa. Gdy ja mówiłam: „Tak, tak, tak” – Gosia powtarzała zawsze, dodając jedno „tak”. Czasem tylko słuchała, przechylając głowę.

Gdy w trzcinach kaczka doczekała się kacząt, Wacek okazał się znakomitym ojcem zastępczym. Był bardzo opiekuńczy, a Gosia nie czuła zazdrości.

Któregoś dnia przyszedł Krzysiu i powiedział, że chyba jakiś lis zadusił Małgosię. Wacek był smutny, osowiały i oszołomiony. Pewnie wszystko widział...

Rozpłakałam się.

Mąż powiedział:

– Pewnie cię to nie pocieszy, ale wiesz, w naturze wszyscy są głodni!

Zawsze mi to powtarzał, gdy ktoś podbierał kaczkom jajka albo zjadał małe kaczaki. Na wsi tak właśnie bywa – niezbyt sielankowo, za to naturalnie. Bez upiększeń.



Fiśka ciągle jest z nami. Wacek został na stałe u Marioli. Ma drugą żonę. Wokół domu lata mnóstwo ptaków, zwłaszcza że je dokarmiamy zimą. Mąż powiesił budki lęgowe, a kaczkom na stawie zamontował pływający domek, żeby bezpieczniej im było z tymi jajkami. Obce koty przychodzą tu jak na swoje, ale głównie nocami i wieczorami. Lekceważą nas, to ich teren. Fiśka, mimo że ma legowisko ze specjalną pochylnią usytuowane na parapecie okiennym, nie dostrzega kociska, nawet gdy ten łązi tuż pod oknem. Pewnie już niedowidzi. Za to widzi konie i ciągniki jadące drogą – wówczas pokrzykuje głośno. Ożywia się.

Bywa, że pobiega szybko dookoła stawu. Jak sprinter, uszy jej wesoło powiewają. Ale tylko wówczas, gdy jest z nią ktoś z nas i zachęca: „Fiśka, biegnij!”, „Oooo! Fich! Ale biegasz? Przybij piątkę!”, wtedy dostaje skrzydeł! Wiosną napada na żaby i tarmosi je. Potem rzyga, bo niektóre to ropuchy, mają w skórze toksyny. Jakiś gen psi jej to podpowiada, żeby tarmosić. Czasem się wytarza w czymś śmierdzącym i wraca dumna. Pokornie znosi kąpiel odsmradzającą. Nie lubi podcinania pazurów, ale wytrzymuje czyszczenie uszu. Ale najwspanialsza jest w podróży. Jak długa nie byłaby trasa – Fiśka grzecznie siedzi w specjalnym na te okazje koszyczku. Gdy się wybieramy z nią i mówię: „Fiś! Do koszyczka”, mknie jak strzała do samochodu i już wie, że musi atakować tylne drzwi. W podróży nic nie je. Latem tylko na postoju siusia, pije. Nigdy w samochodzie nie szczeka, nie wierci się i nie niepokoi. Zadziwiająca bywa! Jest pogodnym, kochanym psem. I tak się razem starzejemy my i ona, razem na wsi, koło lasu, łąk i stawów.

Teraz przez otwarte okno słyszę drozda śpiewaka i czuję zapach siana z pobliskich łąk. Mąż w warsztacie toczy z drewna czereśniowego kolejną piękną miseczkę, Fiśka pochrapuje jak stary chłop, śpi blisko moich nóg, pod biurkiem, bo ma w domu cztery posłania. Piąte na tarasie. :) Nie choruje. Nie utuczyłam jej, nie jest parówką, zachowała naprawdę ładną figurę! Ma szczęśliwe życie i pogodną starość, a my z nią.

No, to kończę ten spis zwierzków z mojego życia.
Świetnie było wspomnieć je wszystkie.
Świetnie było je spotkać i kochać.

Gdy zwierzęta mówią ludzkim głosem...

Karolina Wilczyńska

Pamięci wszystkich tych, które są już za Tęczowym Mostem...

Leżał wyciągnięty na miękkiej kanapie. Promienie wiosennego słońca wpadały przez otwarte okno i napełniały pokój ciepłem. Lekki wietrzyk poruszał firankami. Właściwie trochę denerwowała go ta poruszająca się tkanina, ale nie chciało mu się wstawać. O wiele przyjemniej było po prostu odpoczywać. Dość się już w życiu nabiegał, nie raz marzył, żeby wreszcie odpocząć.

Nie był już młody, miał swoje lata i doskonale wiedział, że życie nie zawsze jest przyjemne. Nauczył się wykorzystywać każdą lepszą chwilę i cieszyć się nią, póki trwała. Bo przecież nigdy nie wiadomo, co będzie jutro. A czuł się bardzo zmęczony i z obawą myślał o czekającej go wędrowce. Odpoczynek był mu potrzebny i wykorzystywał każdy moment, żeby nabrać sił.

Dlatego nawet się nie poruszył, gdy do pokoju wszedł mały. Jedynie śledził jego ruchy spod przymkniętych powiek. Prawdę powiedziawszy, nie lubił dzieci. Wiedział z doświadczenia, że mogą być okrutne. Podczas swoich wędrowek przekonał się o tym wiele razy. Dorośli najczęściej bywali wobec niego obojętni. Dopóki się nie zbliżał, udawali, że nie widzą idącego drogą samotnika. Co innego dzieci – one często zaczepiały go, wyśmiewały, a bywało, że nawet musiał uchylać się przed rzuconym w jego stronę kamieniem. Cóż, brudny, wychudzony wędrowiec nie wzbudzał respektu. Wiedział o tym i w takich chwilach starał się skryć między drzewami albo ukryć w jakimś podwórku. A potem nauczył się ich unikać.

Ten mały jednak był inny. Na początku trzymał dystans, ale wędrowiec widział, że mu się przygląda. Miał takie duże brązowe oczy, w których wcale nie było złości. Powoli przyzwyczajali się do siebie. I teraz, po kilku miesiącach, musiał przyznać, że lubił, kiedy mały był blisko. Niechętnie myślał o rozstaniu, ale rozumiał, że to nieuniknione. Czuł to, wiedział, że ten moment nadchodzi.

Chłopiec podszedł do kanapy i popatrzył na leżącego wędrowca.

– Dzisiaj byliśmy z klasą na wycieczce w lesie – powiedział.

Wędrowiec podniósł powieki i spojrzał na małego. Lubiał las. Wiedział o nim wiele. Ale jeśli miałby wybierać, to uważał, że kanapa w ciepłym domu jest dużo lepsza. Zwłaszcza dla kogoś, kto, tak jak on, wiele lat spędził, przemierzając leśne ścieżki. Tylko co ten mały mógł o tym wiedzieć? Nie rozumiałby tego, więc wędrowiec jedynie ziewnął i przeciągnął się.

– Zmęczony jestem. – Chłopiec delikatnie usiadł na brzegu kanapy. – Przesuniesz się trochę?

Zrobił miejsce małemu, a ten ułożył się obok i wtulił w jego bok. To było dziwne uczucie – ciepło ludzkiego ciała i ręce obejmujące go tak delikatnie. Odruchowo napiął mięśnie, gotowy do natychmiastowej reakcji. Nie przywykł do przytulania i dotyku, w jego dotychczasowym życiu nie znalazło się na to miejsce. Odkąd pamiętał, zawsze był obcy, niechciany i nikomu niepotrzebny. Tutaj, co prawda, czuł się inaczej, ale stare przyzwyczajenia pozostały. Były silniejsze od niego, ciało reagowało szybko i tak, jak zostało wytrenowane przez wiele lat.

– Jesteś taki ciepły – usłyszał dziecięcy głos tuż przy swoim uchu.

Bał się poruszyć. Zerkał tylko ukradkiem na małego i widział, że tamten przygląda się jego nodze.

– Masz tu bliźnę – stwierdził chłopiec. – Mama mówiła, że widziała też inne. Na brzuchu i na szyi. Musiałeś mieć ciężkie życie, tak mówiła. I że dlatego jesteś taki nieufny.

Wędrowiec westchnął. Tak, mieli rację. Nie było lekko. Trzeba przyznać, że ludzie nie dali mu zbyt wielu powodów, żeby im ufać. Dlatego wolał samotność, nauczył się nie liczyć na nikogo, radził sobie sam.

– Wiesz, bardzo się cieszę, że u nas zamieszkałeś. – Mały jeszcze mocniej przycisnął się do jego boku.

Po chwili powieki dziecka zaczęły opadać. Wędrowiec zaczekał, aż równy oddech chłopca da mu sygnał, że mały zasnął. Dopiero wtedy, bardzo delikatnie, żeby go nie obudzić, przesunął lekko głowę w taki sposób, by widzieć całe pomieszczenie. Zamknął oczy, ale nie spał. Czuł zapach chłopięcego ubrania i napawał się tą nową formą bliskości. Tak, dobrze mu tu było. I tak jak mały, cieszył się, że mógł zamieszkać z nim i jego matką.

Pamiętał doskonale tę noc, kiedy się spotkali...



Zmierzch zapadł szybko, jak to zimową porą. Pola i łąki spowiły ciemności, ale zbłąkany wędrowiec bez trudu znalazłby drogę do najbliższych zabudowań. Mieszkańcy wsi, mimo że od miasta dzieliło ich ponad trzydzieści kilometrów, doskonale wiedzieli, jak w nowoczesny sposób przygotować się do Bożego Narodzenia. Chociaż w ramach oszczędności zlikwidowano większość kursów i autobus pojawiał się tutaj dwa razy dziennie, to w większości gospodarstw był przynajmniej jeden samochód, którym całe rodziny jeździły na zakupy do wielkich galerii handlowych. Mieszkańcy wiedzieli więc, jak powinny wyglądać prawdziwe święta w zachodnioeuropejskim czy amerykańskim stylu. Każdy dom ozdabiała dziś migające lampki, a bogatsi gospodarze stworzyli nawet, z pomocą zakupionych w hipermarketach dekoracji, całe bożonarodzeniowe scenki, pełne mikołajów, krasnali i reniferów ciągnących sanie. Tak, zbłąkany wędrowiec z łatwością odnalazłby tę wieś.

Przyznać trzeba, że w tym roku nawet natura sprzyjała mieszkańcom. Kilka dni

przed świętami spadł śnieg i przykrył puchową warstwą wszystko to, co mogłoby popsuć niepowtarzalną atmosferę tej jedynej w roku magicznej nocy. Stare części maszyn, resztki cegieł czy połamanych desek, a nawet wrak syrenki u Maciejaków – wszystko to, pokryte białym kobiercem, traciło swoje szare i nieprzyjemne oblicze. Nie trzeba było nawet wiele wysiłku czy wyobraźni, żeby uznać okolicę za malowniczą i sielską.

Mróz malowałby z pewnością wspaniałe wzory na szybach, dopełniając bajkowego obrazka, gdyby nie fakt, że w większości domów dawno zapomniano o kaflowych piecach. Grzejniki zasilane gazem lub elektrycznością nie dopuszczały chłodu do wnętrza, zapewniając mieszkańcom komfort obserwowania malowniczych zimowych krajobrazów bez chuchania w szybę i owijania się w ciepłe koce. Niektórzy miłośnicy tradycji malowali co prawda na szybach świąteczne motywy śniegiem w sprayu lub ozdabiali okna naklejkami imitującymi oszronione szkło, jednak większość wolała obserwować okolicę przez niczym niezmacone szklane tafle.

Wróćmy jednak do zbłąkanego wędrowca. Tak, znalazł się i on, niezbędny choćby po to, aby dopełnić obrazu wigilijnego dnia. Z początku obserwował wieś z daleka, później, zachęcony smakowitymi zapachami, które rześkie powietrze niesło po okolicy, podszedł bliżej. Nie przepadał za ludźmi, ale noc zapowiadała się mroźna, więc postanowił znaleźć schronienie. Liczył też na posiłek, bo kiszki grały mu marsza, a nie była to najlepsza muzyka do zimowych wędrówek.

Z obawą minął pierwsze zabudowania. Nadzieja na pełny brzuch i ciepły kąt była silniejsza od rozsądku i dotychczasowych doświadczeń. Starał się przemykać blisko ogrodzeń, zawsze unikał środka drogi, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Już nie raz doświadczył ludzkiej kpiny, zdarzało się nawet, że oberwał. Tak, poczuł na własnej skórze, jak traktuje się obcych, i nie tęsknił za powtórką. Wiedział, że najpierw musi popatrzeć i wybrać dom, który wyda mu się przyjazny. Bo takie też bywały, rzadziej, ale jednak. W takich domach witano go serdecznie i chociaż zwykle nie wpuszczano za próg, to przynajmniej odchodził najedzony i żegnany dobrym słowem. Takie wspomnienia dodawały otuchy i pozwalały zachować nadzieję na lepszą przyszłość.

Na szczęście nikt nie zwracał na niego uwagi. Zresztą większość dorosłych mieszkańców nie wychodziła z domów. Widział przez okna, że chodzą szybko z jednego pomieszczenia do drugiego, nakrywają stoły i przynoszą na nie talerze z potrawami, których zapach mile łęchał w nosie. Wszyscy byli odświętnie ubrani, w każdym domu na honorowym miejscu stała bogato zdobiona choinka. W taki wieczór nikt nie miał czasu nawet zerknąć na drogę. Zresztą po co? Wszyscy goście byli już na miejscu i nikt nie oczekiwał kolejnych, choć na każdym stole zostawiono wolne miejsce. Taki zwyczaj, a tradycja rzecz święta.

Na zewnątrz pozostało jedynie kilkoro dzieciaków, ale zajęte lepieniem bałwana i obrzucaniem się śnieżkami nie zauważyłyby nawet, gdyby obok przemaszerował pułk wojska. Jedna samotna istota bez większego trudu mogła uniknąć ich zainteresowania. A to było na rękę naszemu wędrowcowi. Rozglądał się czujnie, wypatrując przyjaznego miejsca na nocleg. Sprawa wydawała się o tyle łatwiejsza, że w świąteczną noc nikomu nie będzie się chciało skrupulatnie sprawdzać wszystkich kątów. Święta to dobry czas, nawet dla bezdomnych wędrowców.

Mniej więcej w połowie wsi jego uwagę przykuło jedno z gospodarstw. Duży dom świadczył o zamożności gospodarzy, a zabudowania gospodarcze okalające podwórze były solidne – murowane i ocieplone. To oznaczało, że nadal hodują tu zwierzęta – niby rzecz oczywista na wsi, ale z doświadczenia wiedział, że coraz częściej gospodarze rezygnowali z żywego inwentarza. „Nie opłaca się” – mówili. – „Taniej można wszystko kupić w sklepie i roboty mniej...” Coraz rzadziej spotykał na swojej drodze zwierzęta. Jeśli już, to psy lub koty. Te pierwsze były często podobne do właścicieli – nie lubiły obcych i z zajądłością starały się jak najszybciej ich pozbyć ze swojego terytorium, więc wcale nie tęsknił za spotkaniem z nimi.

Tutaj było inaczej. Mimo intensywnej woni jedzenia czuł wyraźny zapach siana i parującego nawozu. Dla kogoś wybrednego nie byłoby to miłe wrażenie, ale jemu kojarzyło się z ciepłą oborą i miękkim posłaniem. Podjął więc decyzję i przez niedomkniętą furtkę wślizgnął się, najciszej jak potrafił, na podwórko, a potem wielokrotnie wypróbowanym wcześniej sposobem otworzył drzwi do obory.

Zwierzęta zastrzygły uszami i zaczęły rozglądać się wokół, zaniepokojone nieznanym zapachem. Dostrzegły wędrowca i omiotły go zaciekawionymi spojrzeniami. Widząc, że nie chce zrobić im nic złego, milcząco zaakceptowały jego obecność. I tylko od czasu do czasu zerkały, obserwując, jak mości sobie posłanie w stercie siana złożonej w rogu pomieszczenia. Wigilijny wieczór objął swą mocą także te istoty.



– Pierwsza gwiazdka! Jest już pierwsza gwiazdka! – zawołała dziewczynka. Z niecierpliwością wypatrywała już od godziny tego znaku, dzięki któremu była coraz bliżej prezentów. Kolorowe opakowania ułożone pod choinką nęciły i wabiły od rana.

– Siadamy do stołu – zdecydował gospodarz, zacierając zgrubiałe od codziennej pracy dłonie. Lubił dobrze zjeść i myśleć o smakołykach przygotowanych przez żonę i córkę była mu bardzo miła.

– Najpierw podzielimy się opłatkiem – przypomniała gospodyni, przyglądając odświętną fryzurę. Była z niej dumna, wszystkie sąsiadki zazdrościły wizyty w znanym salonie fryzjerskim. Kosztowała niemało, ale w końcu stać ich. Ciężko pracują cały rok, to święta muszą być wyjątkowe. – I życzenia. To tradycja.

– Tradycja – święta rzecz – poparł żonę gospodarz.

Poluźnił węzeł krawata, następnie sięgnął po stojący na białym obrusie talerzyk z opłatkiem. Odchrząknął i pierwsze słowa skierował do żony:

– Życzę ci, abyśmy cały kolejny rok byli zdrowi, żebyś ci nie brakło, żebyś mogła cieszyć się wnuczką, a mnie i dzieciaki wspomagać. I żebyś nie zapomiała, jak się ruskie robi, bo bez nich to rodzina, jak nic, kolejnych świąt nie dożyje – ten dowcip powiedział po raz pierwszy już kilkanaście lat temu i był tak zadowolony z wybuchów śmiechu, które wzbudził, że powtarzał go teraz w każdą Wigilię, oczekując uznania dla prezentowanego poczucia humoru. Tradycji stało się zadość – żona, córka i zięć roześmiali się, a

zadowolony gospodarz pogłaskał się po wąsach.

– Teraz babcia – popędzała dziewczynka, zerkając na największą paczkę pod choinką. Prosiła o interaktywnego pieska, który szczeka, podaje łapkę, a nawet siusia, i liczyła, że właśnie to znajdzie po odpakowaniu błyszczącego, kolorowego papieru.

– Sandra ma rację. – Gospodyni pokiwała głową i zrobiła krok w stronę męża. – Wiesiu, życzę ci, a właściwie nam obojgu, żebyśmy mogli kolejne Boże Narodzenie spędzić tak rodzinnie jak to. Bo zdrowie i kochająca się rodzina są najważniejsze. Wszystko można stracić, byle rodzina była. I wzajemnie się wspierała. Bo bez tego nawet największe bogactwo szczęścia nie da.

Kiedy przełamali się opłatkiem, ucałowała męża w oba policzki i otarła palcem łzę wzruszenia.



Pierwsza nie wytrzymała maciora.

– Zobacz, co oni robią – kwiknęła do konia. – Ty dasz radę coś dojrzeć przez okienko na górze. Szybciej! – poganiała niecierpliwie. – Co oni jedzą? Tak ładnie pachnie...

Stary ogier nie kwapił się do spełniania zachcianek współlokatorki. Nie był już młody, a lata pracy sprawiły, że nie mógł też być pewien swojej sprawności. „Kopyta na ścianę?” – myślał. – „To się może źle skończyć...”

Na relacjonowanie wydarzeń zdecydowała się bura kotka. Z gracją wskoczyła na żerdzie drewnianego boksu, a z nich na gzyms obok okienka. Zerknęła w dół, oczekując pochwały. Ogier zarżał z uznaniem, co zaspokoilo kocią próżność.

– Na razie nie jedzą. Będą składać sobie życzenia. O, rybę widzę... mniemam. A teraz gospodarz coś mówi – przerwała, żeby podrapać się za uchem.

– Ryba to nie dla mnie. – Świnia nie była zadowolona z tego, co słyszy. – Popatrz dobrze!

Kotka zerknęła przez przybrudzoną szybę.

– Teraz mówi gospodyni... A teraz się całują...

– Tak, pewnie, całują! – zarżał z pogardą koń. – Kochają się bardzo, myślałby kto! A jak zwozimy siano z łąk pod lasem, tych, co tam traktor nie dojedzie, to Mazurowa zawsze przybiega i znikają z gospodarzem w stogach. Chociaż odpocznę, ale za to potem tak mnie gna, żeby na czas do domu wrócić, jakby zapominał, że mam swoje lata i wóz już bardziej mi ciąży niż dawniej. Pewnie chce, by się gospodyni nie dowiedziała, nad czym tak ciężko na tej łące pracuje – parsknął z wyrzutem i zajął się zawartością żłobu.

– Gospodyni to chyba wie – odezwała się krowa, która w zamyśleniu kręcąc pyskiem, przysłuchiwała się narzekaniom ogiera. – Bo jak Mazurowa ma przyjść po świeże mleko, to nie precedza go tak dokładnie. I kiedyś widziałam, jak naplula do butelki. Powiedziała: „Masz, to specjalnie dla ciebie, ty krowo!”. – Przeżuła kilka kęsów, intensywnie się nad czymś zastanawiając. – A ja myślałam, że to dla mnie. I nawet się

zdziwiłam, bo mi potem tego mleka wcale nie dała. A teraz... – zamilkła w pół zdania, oddając się ponownie swojemu ulubionemu zajęciu.

– Już ona by ci mleka dała! – miauknęła kotka z wysokości. – Przecież wszystko wylicza i tylko patrzy, żeby sprzedać. Nawet od córki za jajka bierze. Słyszałam, jak się młoda mężowi żaliła. „Co to za babcia, co własnej wnuczce jajka darmo nie da” – tak mówiła.



– Teraz wy, młodzi – zachęcała gospodyni. – Wiem, że wam całowanie nie dziwne, ale dzisiaj to takie specjalne, żeby tradycji stało się zadość. My wam z ojcem życzymy, żebyście dalej zgodnie żyli, dzieciaka na porządnego człowieka wychowali, no i może kolejnego wnuka nam za rok pod choinkę dali w prezencie. – Zaśmiała się z własnego konceptu i ponownie dodała: – Bo rodzina najważniejsza.

Młodzi, niczym wywołani do odpowiedzi uczniowie, wyprostowali się i podeszli do siebie.

– Życzę ci, żebyś zawsze była tak piękna jak do tej pory i żeby nam się dalej dobrze wiodło – powiedział zięć, niepewnie przestępując z nogi na nogę. Nie lubił składania życzeń, bo nigdy nie wiedział, co powinien powiedzieć, żeby zadowolić teściów.

– A ja tobie, żebyś był zadowolony i szczęśliwy. – Żona popatrzyła mu w oczy i obciągnęła lekko marszczącą się na bokach sukienkę. Pod pachami też ją uwierała, ale uparła się, że kupi taki sam rozmiar jak w zeszłym roku. I jakoś się zapięła, chociaż matka w to wątpiła. A tu proszę, nie jest tak źle.



– Jak to: wnuczce jajka nie chce dać? – przemyślenie ostatnich słów kocicy zajęło krowie trochę czasu. – Przecież to jest dziecko jej dziecka. Chyba każde stworzenie dba o swoje potomstwo? – Popatrzyła pytająco na stojącego obok niej konia.

– Na mnie nie patrz – zarżał ogier. – Ja się akurat na tych sprawach nie znam. Ale gospodyni raczej młode lubi. Pamiętam, jak się cieszyła, kiedy miałaś się cielić. Albo jak ona – machnął łbem w stronę maciory – ośmioro młodych miała.

– To prawda – zgodziła się maciory. – Zagrode mi powiększyli i więcej do koryta dawali. Nie mogę powiedzieć, dobrze miałam.

– Tak, bardzo się cieszyła – miauknęła kotka pod nosem. – Szkoda, że nie myślicie, co się z tymi waszymi młodymi potem stało...

Ale nie powiedziała tego głośno. Nie chciała rozdrapywać starych ran. Może lepiej, że o tym nie myślały? Sama aż za dobrze pamiętała pięć swoich kociąt. I szary worek, do którego gospodarz włożył cztery jeszcze ślepe maluchy i wyniósł gdzieś, żeby nigdy nie zwrócić. Piąte udało jej się ukryć w zaroślach pod lasem. Wykarmiła, ogrzewała nocami

własnym ciałem, gotowa chronić małe przed lisem czy kuną, nawet za cenę własnego życia. I wyrósł dzięki temu piękny rudy kocur. Znalazł dom na drugim końcu wsi. On jeden, a było pięć...

– A może i córka gospodyni będzie miała młode? – zastanawiała się świnia, marszcząc ubrudzony ryjek. – Bo ostatnio jakby brzuch jej urósł...

– E tam, nie wydaje mi się. – Koń potrząsnął grzywą.

– Świnia może mieć rację. – Krowa pokiwała powoli łbem. – Przybyło jej tu i tam.

– Przybyło, bo za dużo je – skwitował ogier. – Jej mąż kiedyś rozmawiał o tym z kolegą. Zaprzęgał mnie akurat do wozu i słyszałem, jak opowiadał. Tamten się pytał, kiedy syn będzie, a on mu na to, że nigdy, bo na swoją babę to patrzeć nie może. Bo żre za dużo i spała się jak świnia. O! – Spojrzał z satysfakcją na maciorę, która chrząknęła z urazą.

– Niby ja za dużo jem? Nie powiedziałabym! Owszem, co dadzą, to zjadam, ale żeby zaraz za dużo... – I obrażona odeszła w najdalszy kąt zagrody.



– Mamo, tato, szybciej! – Dziewczynka podskakiwała niecierpliwie między rodzicami. – Bo wszystko wystygnie, nawet prezenty!

Szczerłość dziecka rozładowała napięcie. Młodzi zaszepotali jeszcze coś do siebie, pocałowali się i przytulili.

– Jak oni się kochają – westchnęła wzruszona gospodyni.

– W porządnej rodzinie wychowana córka to i męża dobrego wybrać umiała – skwitował gospodarz. – A teraz wreszcie do stołu, bo zgłodniałem, a i kielicha nie odmówię.

– Tata to zawsze mądrze mówi – ucieszył się zięć. – Wypijmy pod te święta, żeby za rok tak samo dobre były. Mamo, żonko, to co? Po jednym pod śledzika? – Sięgnął po stojącą na stole butelkę.

Kobiety skinęły głowami. Wiadomo, rybka lubi pływać. A w taki dzień się nie odmawia, w końcu święta to święta.

Zaszczękały sztucce, kolejne porcje jedzenia zniknęły z talerzy i półmisek.

– Może jeszcze pierogów? – proponował żonie młody. – Albo kawałek karpia w galarecie? Przecież wiem, jak lubisz...

– Jedzcie, jedzcie, kochani – zachęcała gospodyni. Tyle przygotowań, tyle starania. Ręce urobiła, a krzyż to już wczoraj chciał pęknąć od tego stania przy kuchni. No, ale wiadomo, że tradycja najważniejsza i trzeba zrobić, żeby nikt jej nie zarzucił, że świąt nie potrafi odpowiednio przygotować. – Przecież dla was to wszystko. Trzeba zjeść, bo grzech byłoby wyrzucić.



– Co jedzą? Co jedzą? Zobacz! – niecierpliwiła się świnią. – Musisz się tak wylizywać dokładnie? Nic ci nie będzie, jak trochę odpuścisz – przekonywała kocicę.

– Jutro w swoim korycie zobaczysz, co jedli – pogardliwie zamruczała kotka. Mogła sobie na to pozwolić, bo chociaż maciora była potężna, to okienny parapet nie znajdował się w jej zasięgu. Kocica, by pokazać, kto kontroluje sytuację, przeciągnęła się jeszcze niespiesznie i dopiero po tym pokazie gibkości zerknęła w stronę domu.

– Jeszcze nie jedzą. Teraz przytulają się młodzi. Nuda – podsumowała i ziewnęła.

– Ciekawe, kiedy przejmą gospodarzę – zastanowił się koń. – Młody ciągle się kłóci z gospodarzem, żeby kredyt wziąć na maszyny. Dobrze byłoby – rozmarzył się. – Może wtedy mógłbym odpocząć...

– Tak, odpocząć, akurat! – miauknęła ironicznie kotka. – Wtedy to na kielbasę byś poszedł. Kto darmożjada będzie trzymał? Nie raz mi to gospodyni powtarzała. No to jej przynoszę od czasu do czasu na próg jaszczurkę jakąś albo mysz. Jak nie będzie z ciebie pożytku, to cię trzymać tu nie będą. – Machnęła pogardliwie ogonem. – Taki masz wielki łeb, a nie myślisz!

Jednak widząc przerażone spojrzenie ogiera, dodała szybko:

– Ale nic się nie bój. Gospodarz kredytu nie weźmie. I gospodarki nie przepisze.

– A skąd ty to możesz wiedzieć? – Koń nerwowo strzygł uszami. Nie podobała mu się wizja bycia darmożjadem. Zawsze starał się i pracował ile sił, gospodarz często go chwalił, klepiąc po grzbiecie. A teraz miałby się go pozbyć?

– Jakbyś słuchał, zamiast tylko obrok jeść, tobyś wiedział. Nie raz do żony mówił, że niczego nie odda zięciowi. Jakby wnuk był, to na niego przepisze. Ale jest wnuczka, więc nic z tego.

– Może młody sam zarobi? – zastanawiała się świnią. – Słyszałam, jak rozmawiał z żoną, tu, w oborze. I ona kazała mu się do roboty brać, bo pieniądze potrzebne, a ona już nie może więcej matce podbierać, bo się tamta połapie. To pewnie się weźmie i kupi w końcu te maszyny.

Krowa zajęta przeżuwaniami tylko zamuczała, potwierdzając słowa maciory. Też to słyszała, trudno było nie słyszeć.

– Nie weźmie się do roboty, bo mu się nie chce – skwitowała kotka z pewną siebie miną. – Bywam w domu, to wiem więcej niż wy. Młody popija. Piwo najczęściej, ale też wódkę. Chowa przed żoną i teściami, ale ja wiem gdzie – w szafie, w kuchni za szafką i w łazience pod wanną. Zresztą kłóci się o to picie z żoną, ale cicho, żeby gospodarze nie słyszeli.

– No to nie mam się czego bać – ucieszył się koń.

– Tak, masz mnóstwo powodów do radości. Zamiast być kielbasą, padniesz ze starości i zmęczenia – mruknęła kotka, ale nie podzieliła się z ogierem swoją refleksją. Niech się staruszek cieszy, po co psuć mu humor.



– Można już? – Sandra szturchnęła matkę i spojrzała wymownie w stronę choinki.
– Mamo, chyba można?

– Poczekaj cierpliwie. Wiesz, że dziadek zdecyduje – upomniała ją kobieta. – Taka jest tradycja.

– Nie lubię takiej tradycji – orzekła dziewczynka, marszcząc czoło. – Jest głupia.

– Tradycję trzeba szanować – włączył się do rozmowy gospodarz. – To święta rzecz. Gdyby nie ona, bylibyśmy dzikusami. – Odsunął się z krzesłem od stołu i wyciągnął przed siebie nogi, bo wypełniony smakołykami brzuch domagał się więcej miejsca.

– O, to, to! – potwierdziła gospodyni. – Bez tradycji żylibyśmy jak zwierzęta. Zapamiętaj sobie, dziecko!

– Zapamiętam. – Mała posłusznie pokiwała głową. – To teraz już można?

– Można – łaskawie pozwolił dziadek. I tak miał już dość siedzenia na twardym krześle i chciał przesiąść się na wygodną wersalkę przykrytą miękkim kocem. Skoro jego pozycja głowy rodziny została podkreślona, nie widział przeszkód w wyrażeniu zgody.

Dziewczynka z piskiem pobiegła do przyozdobionego bogato świątecznego drzewka. Od razu chwyciła największą paczkę i rozerwała kolorowy papier.

– Mój piesek! – krzyknęła radośnie. – Taki jak chciałam! W telewizji był ten sam!

Gospodyni, która razem z gospodarzem zajęła miejsce na wersalce, popatrzyła na męża z satysfakcją. Kolejny raz ich prezent przyćmił wszystkie inne. Mała na pewno pochwali się w przedszkolu, że od nich dostała. Mąż odpowiedział spojrzeniem pełnym aprobaty, a potem popatrzył na córkę.

– Zobacz, co tam jeszcze jest, bo mała już chyba świata poza tą zabawką nie widzi.

Młodsza z kobiet bez słowa rozdała pozostałe podarunki. Woda po goleniu i nowy kaszkiet dla ojca, chustka i srebrne kolczyki dla matki, flanelowa koszula i slipki w mikołaje dla męża. Sama dostała wodę perfumowaną i koszulę nocną.

Wszyscy wyrazili radość z prezentów i odłożyli je na bok.

– Podam makowiec – zdecydowała gospodyni. – A potem zobaczymy, co tam w telewizji dzisiaj dają.

– Dobra myśl – przytaknął gospodarz.

Ekran rozbłysnął sztucznym światłem i dorośli w milczeniu zaczęli wpatrywać się w kolorowe obrazki. Tylko dziewczynka nadal pochylała się nad nową zabawką. Piesek wyszczeniwał mechanicznie wciąż te same trzeszczące dźwięki, aż wreszcie gospodarz zniecierpliwiony syknął:

– Ciiii!

– Sandra, idź z tym do kuchni – nakazała szeptem gospodyni. – Nie słyhać, co mówią.

Dziewczynka posłusznie wykonała polecenie.



– Skończyli? – Świnia uniosła łeb i patrzyła wyczekująco na kotkę.
– Prawie. Teraz dają sobie prezenty.
– Co to są prezenty? – zainteresowała się krowa.
– To niepotrzebne rzeczy, które ludzie dają innym, a ci drudzy udają, że jest im przyjemnie – wyjaśniła kotka
– Dlaczego udają? – Maciora zmarszczyła ryj.
– Żeby tym pierwszym było przyjemnie.
– Nic z tego nie rozumiem. – Krowa pokręciła łbem.
– Ja też nie, ale chcecie wiedzieć, to wam mówię – prychnęła kocica. – Potem te prezenty leżą zamknięte w szafach i szufladach.
– Jeśli o mnie chodzi, to zamiast tych... prezentów, wolałbym, żeby mnie gospodarz dobrze wyczyścił – zarżał koń. – Wtedy jest mi przyjemnie i wcale nie muszę udawać. Albo jak mnie po boku poklepie i pochwali po skończonej pracy.
– Albo pogłaszcze za uszami i po grzbiecie. – Kocica wyciągnęła się i zamruczała na samo wspomnienie pieszczot.
– Miłe słowo też jest przyjemne – zdecydowała po namyśle krowa. – Koń dobrze mówi. Ale klepanie po boku też lubię.
– Ludzie chyba wolą rzeczy – stwierdziła kotka.
Rzuciła ostatnie spojrzenie w stronę budynku i lekko zeskoczyła na ziemię.
– Dzisiaj i tak nic nie dostaniemy. Nie wiem jak wy, ale ja idę spać – mruknęła i z wysoko postawionym ogonem odeszła w upatrzone wcześniej miejsce, które wydało jej się idealne na drzemkę.
Pozostałe zwierzęta też zajęły się swoimi sprawami. Koń przysypiał ze zwieszonym łbem, krowa przeżuwała, a maciora uparcie poszukiwała czegoś smacznego, ryjąc pod ścianą.



– Zasiedzieliśmy się – powiedział młody mężczyzna. – Pora spać – zdecydował. Podnosząc się, wychylił jeszcze stojący przed nim kieliszek.
– A pójdziemy sprawdzić, czy zwierzęta mówią ludzkim głosem? – prosiącym tonem zapytała dziewczynka. Interaktywny piesek leżał porzucony pod stołem. – Puszczki wyczerpały się baterie i już nie szczeka – dodała rozżalona.
Ojciec spojrział groźnie i dziecko zamilkło. Niespodziewanie z pomocą przyszła babcia.
– Północ lada chwila, my i tak idziemy na pasterkę, bo jakżeby nie iść, to możemy małą na chwilę do zwierząt zabrać.
Przeszli przez podwórko, zmrożony śnieg iskrzył się tysiącem srebrnych drobinek i skrzypiał pod butami. Weszli do obory.
– Koniku, krówko, co mi dziś powiecie? – radośnie zawołała dziewczynka.
Zwierzęta milczały. Koń parsknął cicho, krowa beznamiętnie ruszała pyskiem.

– A ty, świnko? Opowiedz coś! Musisz, dzisiaj Wigilia! – w głosie dziecka pobrzmiwały nutki zniecierpliwienia. – Kotku, mów, bo powiem babci i nie dostaniesz więcej mleka!

Żadne ze zwierząt nie zareagowało. Kot spał zwinięty w kłębek, a maciora kwiknęła niespokojnie.

– Chodź, dziecko, tłumaczyłem ci, że zwierzęta nie mówią. To tylko pogańskie przesady. – Gospodarz chwycił wnuczkę za rękę i pociągnął w stronę wyjścia – Zresztą co mogłyby mówić, pojęcia nie mają o świecie, to tylko głupia gadzina...

Wyszli na zewnątrz i odeszli szybkim krokiem. Zwierzęta usłyszały jeszcze tylko rozżalony głos dziecka:

– Nie lubię ich! Wolę Puszka, bo szczeka, kiedy ja chcę. Dziadku, a kupisz mi baterie do Puszka?

– Kupię, kupię. Ale dopiero po świętach, bo teraz sklepy pozamykane.

– Ja chcę teraz! – złościła się dziewczynka. – Co to za zwierzątko, co nie mówi?! W reklamie mówi! Jak nie mówi, to ja go już nie chcę!

– Dziecko ma rację – poparła wnuczkę gospodyni. – Tyle pieniędzy poszło na zabawkę, a jeszcze tak baterie zużywa. Kto na to wyrobi!

Głosy cichły, więc wędrowiec zdecydował, że już może się poruszyć. Wstał z posłania i otrząpał z siebie resztki siana. Pora na niego. Ogrzał się, a teraz musi znaleźć jeszcze coś do jedzenia, zanim nadejdzie poranek. Podszedł do drzwi, a gdy zwierzęta spojrzwały w jego stronę – skłonił głowę, dziękując w ten sposób tym, którzy w wigilijną noc udzielili mu schronienia. Po chwili wyślizgnął się w ciemność.



Zbyt wcześnie. Tym razem intuicja go zawiodła. Chociaż, wiedziony instynktem i doświadczeniem, od razu próbował skryć się w cieniu, z dala od części podwórza oświetlonej lampą wiszącą nad drzwiami domu, to jednak nie udało mu się zrobić tego dostatecznie szybko.

– Tam! Widziałeś go?! – kobiecy krzyk uświadomił mu, że został zauważony.

– Jasna cholera! – zawtórował męski głos.

– Wynocha stąd! – krzyczała gospodyni.

– Dawaj wiatrówkę, kobieto! Nie będą mi się obcy po obejściu kręcić!

– Pewnie kury przyszedł kraść. – Głos kobiety był coraz bardziej piskliwy. – Albo, nie daj Boże, perliczki!

Wędrowiec znieruchomiał przy ścianie. Miał nadzieję, że uda mu się ukryć, że mrok go skryje i przeczeka najgorsze.

– Babciu, ja się boję! – zapiszczała dziewczynka. – A jak on mi zrobi krzywdę?

– Dziadek zaraz pozbędzie się intruza – uspokajała gospodyni.

– Zabierz dzieciaka do domu – nakazał gospodarz.

– Co się tu dzieje? – Zięć stanął na progu.

– Mamy nieproszonego gościa. Bierz widły i zachodź z tamtej strony – wydał polecenie. – Gdzieś przy stodole się ukrył. Trzeba go wypłoszyć.

Wędrowiec wiedział, co teraz będzie. Czuł ich złość i chęć walki. Zdawał sobie sprawę, że nie da rady się z nimi zmierzyć. Nie miał szans, nawet gdyby był w pełni sił. Mógł się poddać, ale na to nie pozwalała mu jego natura. Pozostała więc ucieczka. Wiedział, że to ogromne ryzyko, ale innego wyjścia nie było.

Ocenił odległość dzielącą go od uchylonej furtki. Żeby tam dotrzeć, musiał przebiec przez całe podwórze. To była najkrótsza droga, jednak oświetlenie sprawiało, że pokonując ją, będzie doskonale widoczny. Oddychał szybko, serce biło jak oszalałe, ale rozumiał, że musi to zrobić.

Napiął mięśnie i wystartował. Patrzył tylko w jeden punkt – zbawienną szparę między furtką a ogrodzeniem. Jeżeli znajdzie się po drugiej stronie – będzie bezpieczny.

– Tam jest!

Huk wystrzału rozbrzmiał w nocnej ciszy. Na ten dźwięk psy w okolicznych gospodarstwach rozszczękały się hałaśliwie. W tym samym momencie wędrowiec dopadł do furtki, ale jednocześnie poczuł przeszywający ból. Jęknął głośno, lecz nie zatrzymał się.

Sił wystarczyło mu jeszcze na kilkadziesiąt kroków. Potem ból stał się już nie do zniesienia. Noga ugięła się i nie chciała go słuchać. Usiadł na skraju drogi, w niewielkim rowie. Biel śniegu znaczyły ciemne krople jego krwi, tworząc ścieżkę jasno wskazującą drogę do niego. Wiedział, że jeżeli zechcą, znajdą go bez trudu. Pozostawało mieć nadzieję, że mrók i mróz osłabią w nich chęci do ścigania zbiega.

Zresztą nie miało to znaczenia. Czuł przenikliwie zimno, cały drżał z bólu i zmęczenia. Próbował dowlec się do stojącej nieopodal wiaty przystankowej, ale nie dał rady. Nie wołał o pomoc, bo komu chciałoby się w taką noc zajmować brudnym, krwawiącym wędrowcem?

Położył się i patrzył w niebo, które tej nocy rozświetlały tysiące gwiazd. Zawsze lubił im się przyglądać – błyszczwały i miały w sobie coś uspokajającego. Teraz też te świecące punkciki sprawiły, że zaczął oddychać miarowo i spokojnie. Ból dokuczał, ale mróz sprawił, że coraz mniej czuł. Jedna z gwiazd błyszczała szczególnie jasno. Wpatrywał się w nią, dopóki oczy same się nie zamknęły...

Z pobliskiego domu dobiegał nierówny chór głosów. „Cicha noc, święta noc...” – niosło się echem wśród pól.



A potem były czyjeś ręce. Ciepłe, troskliwe i delikatne. Nie wiedział, do kogo należą, bo oczy nie chciały się otworzyć. Pomyślał, że powinien uciekać, że to na pewno jakaś pułapka, ale nie potrafił zmusić ciała do wykonania jego poleceń. Poddał się więc temu dotykowi.



– Mamo, co on tutaj robi? Dlaczego tak leży? – dziecięcy głos nie zwiastował niczego dobrego, jednak wędrowiec mógł tylko czekać na to, co się stanie. Był bezbronny, zdany na łaskę tych, którzy go znaleźli. I spodziewał się najgorszego.

– Biedak. – Tym razem przez ciemność dotarł do niego kobiecy głos. – Ledwie żyje. Prawie zamarzł...

– On chyba jest ranny...

I znowu te delikatne dłonie. Dotknęły jego nogi, ból powrócił. Jęknął cicho.

– Boli go.

– Na pewno.

– Nie zostawimy go tutaj, prawda?

– Oczywiście, że nie. Okryję go kurtką i za chwilę wrócimy samochodem. Jest za ciężki, żeby przenieść go do domu.

Poczuł, że otula go coś miłego i miękkiego. Głowa nie leżała już na zimnym śniegu, a na całym ciele zaczął powoli czuć ciepło.

– Zaraz wrócimy, nie bój się – powiedziała kobieta. – Wszystko będzie dobrze.

A potem chyba znowu zasnął.



Nie wiedział, gdzie jest, więc starał się jak najwięcej wyczuć i zachować czujność. Nie najlepiej mu to szło, bo nadal miał zbyt mało siły i raz po raz zapadał w sen. Budził go ból, ale zaraz pojawiała się ta kobieta o ciepłych dłoniach, gładziła go po głowie, robiła coś z jego nogą i ból ustępował. Kilka razy próbował się podnieść. Musiał przecież odejść, zniknąć, ukryć się jak najszybciej. Jednak nie dawał rady.

– Spokojnie! Nic ci nie zrobię – zapewniała, ale nie wierzył. Czekał tylko, aż będzie na tyle silny, żeby odejść.

Zjadał wszystko, co dostawał, obserwował otoczenie, opracowując plan ucieczki. Szybko poznał zwyczaje swojej opiekunki i jej syna. Wiedział, kiedy wychodzą i kiedy wracają do domu, obserwował drzwi i dumał, jak wymknąć się niepostrzeżenie.

Z czasem noga przestała go boleć, zaczął stawiać pierwsze niepewne kroki.

– Świetnie ci idzie – cieszył się mały. – Niedługo będziesz mógł biegać.

Wędrowiec jednak wiedział swoje. Chodził coraz lepiej, czuł, że nabrał ciała, ale siły nie wracały. Niepokoiło go to, bo przecież w drodze musi być sprawny i szybki.

Powoli przyzwyczajał się do mieszkańców domu i nabierał do nich zaufania. Jednak nadal wolał cały czas widzieć, co robią. Nie lubił, kiedy zbliżali się nieoczekiwanie, a każdy głośniejszy dźwięk sprawiał, że odruchowo napinał ciało, gotów do ucieczki lub obrony.

Oczywiście był im wdzięczny. Wiedział, że go uratowali, że bez ich pomocy

zostałby na zawsze w przydrożnym rowie. I nigdy już nie zobaczyłby pierwszych wiosennych liści, nie poczuł zapachu wiosennych kwiatów i słonecznych promieni przeszkadzających w drzemce.

Zachęcany, wyszedł kilka razy z małym do ogrodu. Bawili się piłką. Musiał przyznać, że podobało mu się to, ale wtedy zrozumiał także, że jego noga nigdy nie będzie już taka jak dawniej. Nie udawało mu się podskoczyć zbyt wysoko, a po kilku szybszych krokach ból wracał. Nie, nie tak silny jak na początku, ale na tyle dokuczliwy, że musiał siadać i odpoczywać.

– Będzie dobrze – pocieszała kobieta, widząc jego spojrzenie, ale wędrowiec czuł, że nie mówi prawdy. A ludzkie emocje zawsze wyczuwał doskonale.

– Nie martw się – powiedziała pewnego dnia, gdy siedział na tarasie i wpatrywał się w ciemną ścianę lasu na horyzoncie. – Przecież wiesz, że możesz u nas zostać. Tu będzie twój dom. Na zawsze. Jeśli tylko chcesz.

Wtedy poczuł, że ją kocha. Za te delikatne ręce, za spokojny głos, za opiekę i za to, co powiedziała. Nigdy wcześniej nie usłyszał czegoś takiego, nikt wcześniej nie zaoferował mu domu, nikt nie był dla niego tak dobry. Ale wiedział też, że nie zostanie z nimi długo. Czuł, że musi przygotować się do odejścia. Starał się jednak tego nie okazać. Nie chciał, żeby byli smutni – ona i mały.



Przyglądał się śpiącemu chłopcu. Dobrze było chociaż tak odwdzińczyć się za wszystko, co dla niego zrobili. Podziękować za ich miłość, opiekę, za to, że po tak długim czasie odnalazł wreszcie dom.

Wiedział jednak, że nadszedł czas. Pora rozstania. Tacy jak on zawsze to czują, rozpoznają, gdy nadchodzi ten moment. Musiał odejść.

Poczekał, aż mały się obudzi i dopiero kiedy sobie poszedł, wędrowiec ostrożnie zszedł z kanapy i powoli, żeby nie nadwyrężyć nogi, podszedł do szklanych drzwi prowadzących na taras. To było jego ulubione miejsce, widział stąd ogród i las.

Dużo lepiej znał to wszystko niż ciepło domu. Tęsknił za łąkami i drózkami pośród drzew. Tam czuł się wolny, swobodny i szczęśliwy. Oczywiście nie zapomniał o głodzie, zimnie i strachu, ale teraz to nie było ważne. Chciał przed odejściem widzieć to wszystko, przypomnieć sobie zapach wiatru i miękkość siana. Z tymi wspomnieniami pragnął wyruszyć.



– Mamo! Chodź szybko!

– Co się stało?

– Zobacz! On leży i wcale się nie rusza. Tylko patrzy. – Chłopiec spojrzał na matkę

ze łzami w oczach. – Mamo, czy on...?

Kobieta kucnęła, zerknęła na leżącego, a potem popatrzyła synowi w oczy.

– Odchodzi. Ale tak musi być. Wiesz przecież, że on zawsze wędrował. Teraz też wyruszył w drogę.

– Przecież było mu u nas dobrze, prawda?

– Myślę, że tak. Dlatego został tak długo, jak mógł.

– I dokąd teraz pójdzie?

– Tam, gdzie będzie szczęśliwy. Taką mam nadzieję.

Wędrowiec poczuł na grzbiecie ciepłe, troskliwe ręce. Gładziły go delikatnie. Inne, mniejsze i lekko drżące, dotknęły jego boku. Te dłonie sprawiły, że lata tułaczki przestały mieć znaczenie, a wszystkie złe wspomnienia znikły. Było mu dobrze. Nigdy nie było lepiej.

– Będę o tobie pamiętał – usłyszał cichy szept. – Bardzo cię pokochałem.

Wędrowiec westchnął i zamknął oczy. Jego psie serce zabiło po raz ostatni. Spokojny i szczęśliwy wyruszył w swoją ostatnią drogę.

Nic nie powiedział. Wszak wiadomo, że zwierzęta mówią ludzkim głosem tylko w wigilijną noc. Może to lepiej dla nas, ludzi? Przynajmniej dla niektórych...

Oswój swój strach

Agata Przybyłek

Mam na imię Magda i odkąd tylko pamiętam, boję się psów. Tak, wiem, że te słowa brzmią, jakbym była uczestniczką jakiejś terapii, ale ten dramatyzm jest potrzebny. Chciałabym, żebyście dobrze zrozumieli historię, którą mam do opowiedzenia. Do tej pory, gdy myślę o tamtych wydarzeniach, czuję ucisk w okolicach żołądka i mam wrażenie, że jakaś niewidoczna dłoń zaciska się na moim gardle. Trzyma mocno, aż zaczyna brakować mi powietrza. Tamte emocje wciąż we mnie żyją.

Wszystko zaczęło się od niewinnej zabawy na podwórku, gdy miałam zaledwie pięć lat. Moi rodzice zostali nauczycielami i mieszkali w jednym z trzech domków przeznaczonych dla pracowników pobliskiej szkoły. Były to niewielkie budynki, które zamieszkiwały trzy rodziny z małymi dziećmi. Mieliśmy wspólne podwórko.

Gdy byłam kilkuletnią dziewczynką, uwielbiałam fakt, że mam się z kim bawić. W sąsiednim domku mieszkało dwóch chłopców w moim wieku, a w trzecim z nich kilka lat starsza od nas Gosia. Wszyscy dobrze się dogadywaliśmy i uwielbialiśmy bawić się na niewielkim placu zabaw, który zbudowali dla nas ojcowie. Znajdował się on koło niedużej altanki i składał z dwóch huštawek, piaskownicy oraz małego domku, w którym zwykle bawiliśmy się w dom. Raz nawet udawaliśmy, że biorę ślub z jednym z chłopców i przebrałam się w tym celu w swoją najlepszą białą sukienkę, w której kilka chwil później z impetem wpadłam w kałużę. Nietrudno się domyślić, że moja mama nie była tym zachwycona. Właściwie to bardziej martwiła się sukienką niż moim zamążpójściem.

Kilka metrów od placu zabaw znajdował się kojec dla dużego psa moich sąsiadów. Był to mieszaniec o jasnym futrze, który uwielbiał czekać, gdy bawiliśmy się z dziećmi na podwórku. Rodzice zabraniali nam do niego podchodzić, ale chłopcy czasem przerzucali przez ogrodzenie kojca jakieś patyki, czasami wpadała im tam też piłka.

Tamtego pamiętnego poranka również bawiliśmy się na podwórku. Akurat robiłam babki z piasku z Gosią, gdy po okolicy rozszedł się głośny wrzask jednego z chłopców. Dorośli natychmiast oderwali się od swoich zajęć i wybiegli z domów, a ja z Gosią przerwałyśmy zabawę i popatrzyłyśmy w kierunku, z którego dobiegał krzyk. Sześciolatek Maciek leżał na ziemi zaledwie kilka metrów od nas, a nad nim stał rozwścieczony pies. Widocznie w jakiś sposób udało mu się wydostać z kojca.

Pomimo tego, że byłam małą dziewczynką, natychmiast zorientowałam się, że pies nie ma pokojowych zamiarów. Zaczęłyśmy z Gosią piszczeć i wrzeszczeć, ale to tylko go

rozwścieczyło, bo rzucił się na Maćka. Ojciec chłopców natychmiast chwycił dużą deskę i zaczął odciągać psa od dziecka. Mój tata odkręcił wodę z węża ogrodowego i skierował strumień na psa. Wszystko to działo się w tak szybkim tempie, że nawet nie wiedziałam, dlaczego właściwie to robią, zamiast po prostu odciągnąć rozsierzone zwierzę od dziecka. Dopiero później zrozumiałam, że dzięki temu uratowali Maćka. Pies był tak duży, że nie daliby rady złapać go i odciągnąć, zresztą pewnie ugryzłby wtedy również kogoś z nich.

Pies ustąpił dość szybko i wtedy podbiegły do Maćka kobiety. Właściciel psa złapał go za obrozę i zawłókł do kojca. Moja mama pierwsza znalazła się przy chłopcu i podniosła go z ziemi.

– Trzeba go zabrać na pogotowie! Marek, odpalaj samochód! – krzyczała do mojego taty, a ja wychyliłam się z piaskownicy, by zobaczyć, co dokładnie się stało. Wtedy dostrzegłam zakrwawioną twarz Maćka i zaczęłam wrzeszczeć jeszcze głośniejsze niż do tej pory. Pies zmasakrował niewinną buzię chłopca, a Maciek nie miał najmniejszej szansy, żeby się obronić, ponieważ był o wiele mniejszy od niego.

Rodzice Maćka natychmiast zabrali go na pogotowie. Postanowili nie czekać na przyjazd karetki, lecz włożyli chłopca do naszego samochodu i udali się do szpitala. Moja mama zaprowadziła mnie i jego brata do domu, gdzie w napięciu czekaliśmy na jakieś wieści o Maćku. To było zanim pojawiły się telefony komórkowe, więc mama oczekiwała przy stacjonarnym aparacie, który znajdował się w salonie. Razem z Tomkiem towarzyszyliśmy jej przez jakiś czas, jednocześnie starając się uspokoić. W końcu oboje zasnęliśmy zmęczeni i wycieńczeni gwałtownymi emocjami. Obudził mnie dopiero dźwięk telefonu, gdy wieczorem zadzwoniła mama chłopców. Otworzyłam oczy, lecz nie wstałam z kanapy i leżałam bez ruchu, nasłuchując głosów rodziców.

W końcu mama przestała rozmawiać z sąsiadką i zawołała tatę.

– Udało się uratować oko – powiedziała, nieco uspokojona. Bardzo martwiła się o syna sąsiadów, tata zaparzył jej nawet melisę. – Lekarze założyli mu dwanaście szwów, ale nie ucierpiały żadne nerwy. Mariola prosiła, żebyśmy zaopiekowali się dzisiaj Tomkiem. Chęć z mężem zostać w szpitalu, dopóki Maciek nie wybudzi się z narkozy.

– Bogu dzięki. – Tata odetchnął z ulgą.

– Czy Darek już... – spytała jeszcze mama, a jej słowa złowieszczo zawisły w powietrzu.

– Tak jak życzył sobie Grzesiek, zabrał psa do weterynarza i uspił.

Mama głośno odetchnęła. Kątem oka dostrzegłam, jak podeszła do taty i mocno się do niego przytuliła. Szukała ukojenia w jego ramionach.

– Nawet nie wiem, co bym zrobiła, gdyby zaatakował Madzię. – Zaczęła płakać w rękaw koszuli taty. – Przecież nigdy nie uciekał i wydawał się taki spokojny. Co mu się nagle stało?

Tata pogładził mamę po drżących plecach, chcąc dodać jej otuchy.

– Wszystko już dobrze, kochanie – wyszeptał jej do ucha, a po naszym domu niosły się kolejne głośnie szlochy. – Madzia jest cała, wszystko już dobrze.

Pamiętam, że tamtej nocy długo nie mogłam zasnąć. Mama dokooptowała Tomka do mojego łóżka, więc było mi trochę ciasno, ale tej bezsenności wcale nie powodowała

jego obecność. Po mojej głowie wciąż tłukły się słowa mamy, że pies mógł rzucić się na mnie. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak przeskakuje przez ogrodzenie kojca, doskakuje do mnie i zaczyna gryźć. Te obrazy powracały także w snach i przez następne tygodnie często budziłam się z krzykiem zlaną potem.

– Już dobrze, kochanie, już dobrze – szeptał do mnie wtedy tata, podobnie jak mówił do mamy tamtego wieczoru. Brał mnie w ramiona, sadzał sobie na kolanach i kołysał tak długo, dopóki nie zasnęłam. Dopiero wtedy odkładał mnie do łóżka i wracał do swojej sypialni.

Od tamtej pory unikałam psów jak ognia. Nie wchodziłam na podwórko dziadków czy wujostwa, gdy biegały po nim ich czworonogi i wpadałam w panikę, gdy szłam z mamą do sklepu, a po drodze pałętał się pies. Ani rodzice, ani nasi sąsiedzi już nigdy nie przygarnęli żadnego zwierzęcia, a twarz Maćka ozdobiły dwie duże blizny tuż pod okiem oraz ślady po szwach.

– Wyglądam jak pirat – żartował czasem, gdy był w dobrym humorze, ale ani ja, ani Gosia czy Tomek nigdy nie wracaliśmy w rozmowach do tamtego wydarzenia, by nie przywoływać złych wspomnień. Darowaliśmy sobie też jakiegokolwiek komentarze na temat blizn Maćka. Instynktownie wyczuwaliśmy, że nie chce o tym rozmawiać i udawaliśmy, że blizny nie są niczym nadzwyczajnym. Zresztą w końcu naprawdę przestały być. Stały się integralną częścią twarzy chłopca, tak samo jak jego oczy czy nos. A z czasem, gdy byłam już starsza, uznałam, że właściwie dodają mu uroku.

Mój lęk przed psami nigdy jednak nie zniknął. Nawet gdy już byłam dorosła i zamieszkałam razem ze swoim mężem na wsi, czułam niepokój, gdy sama szłam do sklepu i widziałam otwarte bramy sąsiadów, którzy posiadali psy. Drżałam za każdym razem, gdy podczas picia kawy na tarasie za naszym domem do moich uszu dobiegało głośne szczekanie. A kiedy jechaliśmy w odwiedziny do moich teściów, którzy mieli małego, domowego psa, nigdy nie weszłam do domu, nim nie zamknęli go w łazience.

Mój mąż, choć jest wspaniałym mężczyzną, nigdy nie rozumiał tego lęku i twierdził, że dramatyzuję.

– Przesadzasz – mówił, gdy jechaliśmy do jego rodziców. – Jak można bać się takiej małej, białej kulki? Ona prędzej wystraszy się ciebie, niż zrobi ci krzywdę.

Ale ja nie udawałam, bałam się naprawdę. Próbowałam wytłumaczyć Wojtkowi, że nie przesadzam, lecz nie był w stanie tego zrozumieć, co boleśnie uświadomił mi pewnego popołudnia, gdy poprosiłam go o pomoc...



Mimo mojego lęku, udawało mi się wieść normalne życie. Zostałam nauczycielką, podobnie jak moi rodzice, i dostałam pracę w szkole leżącej, bagatela, trzysta metrów od domu, w którym zamieszkaliśmy z Wojtkiem jakiś czas po ślubie. Widziałam duży budynek szkoły z jednego z okien w kuchni i z przyjemnością chodziłam do swojego miejsca pracy pieszo, ucinając sobie krótkie spacerki niezależnie od pory roku. Oczywiście

z początku bałam się chodzić do szkoły sama, tym bardziej, że nie wszyscy mieszkańcy miejscowości zamykali bramy, ale kilka rozmów załatwiło sprawę i zapewniło mi spokojne poranki.

– Dla pani, kochana Madziu, to ja bym nawet specjalnie ogrodzenie wymienił na mocniejsze, gdyby była taka potrzeba – żartował jeden z sąsiadów, po czym obiecał zamykać swojego psa, by nie wałęsał się beztrąsko po ulicy.

Byłam w tej naszej wiosce naprawdę szczęśliwa. Udało nam się z Wojtkiem dość tanio kupić dom i choć musieliśmy włożyć sporo wysiłku w remont, uwiliśmy przyjemne, bezpieczne gniazdko. Od strony podwórka, z dala od drogi, zbudowaliśmy sobie nieduży taras, na którym uwielbialiśmy przesiadywać wieczorami i wsłuchiwać się w szum przepływającej przez wioskę rzeczki oraz cykanie świerszczy.

– To taki nasz prywatny koniec świata, co? – żartował Wojtek podczas wspólnie spędzanych wieczorów na tarasie. Podwiesiłam pod sufitem dwa sznury lampek, które tworzyły wyjątkowy klimat i sprzyjały długim rozmowom. Latem niemal codziennie siadaliśmy na tarasie z dzbanuszkami własnoręcznie robionej lemoniady albo butelką wina. Gdy robiło się chłodniej, Wojtek przysuwał się bliżej, nakrywał nas kocem i przytulaliśmy się do siebie, dopóki nie ogarnęła nas senność.

Wszystko układało się idealnie. Mieliśmy własny kąt i oboje dostaliśmy pracę w okolicy. Co prawda nie zarabialiśmy kokosów, ale uniezależniliśmy się od rodziców i stać nas było na spłatę kolejnych rat kredytu, który zaciągnęliśmy, by nabyć tę naszą wymarzoną posesję. Każdego ranka, gdy budziłam się w słonecznej sypialni u boku Wojtka, dochodziłam do wniosku, że jestem najszczęśliwszą kobietą na ziemi. Budziłam go czułym pocałunkiem, a potem jedliśmy wspólnie śniadanie i każde szło w swoją stronę. Ja do szkoły, a Wojtek jechał do pobliskiego warsztatu samochodowego, w którym się zatrudnił.

Z czasem zaczęliśmy starać się o dziecko.

– Kiedy będzie na to lepszy czas niż teraz? – powiedział Wojtek, całkowicie rozwiewając moje wątpliwości, czy podołamy temu wyzwaniu finansowo. – Jesteśmy młodzi, mamy mnóstwo energii, a pieniądze... Sama wiesz, Madzia, jak to jest. Zawsze będziemy z jakiegoś powodu oszczędzać, ale przecież oboje chcemy mieć rodzinę – przekonywał mnie tak skutecznie, że w końcu uległam i jeszcze tego samego wieczoru dałam mu się zaciągnąć do sypialni.

Po około trzech miesiącach od tamtego dnia zrobiłam kolejny już test ciążowy i tym razem ujrzałam na nim nie jedną, ale dwie kreski. Już miałam krzyczeć z radości, gdy coś mnie tknęło i zrobiłam jeszcze jeden, tak dla pewności. Ten też dał jednak wynik pozytywny, dlatego wybiegłam z łazienki i oznajmiłam Wojtkowi tę radosną nowinę.

– Będziemy mieli dzidziusia – szeptałam ze łzami w oczach, gdy uradowany tulił mnie do siebie w naszym salonie.

– To najlepsza informacja, jaką mogłaś mnie uraczyć. – Wojtek pocałował mnie w usta, po czym, by w pełni uczcić ten dzień, zabrał na kolację do pobliskiego miasta. Wspólnie uznaliśmy, że poinformujemy naszą rodzinę dopiero, gdy lekarz potwierdzi moją ciążę, ale była to tylko formalność i już kilkanaście dni później świętowaliśmy podczas grilla w naszym ogrodzie.

– Tak się cieszę, kochani! Jak znam życie, to będzie najszcześniejsze dziecko na świecie. – Moja teściowa uściskała mnie wylewnie, a ja byłam w takiej euforii, że zupełnie zignorowałam fakt, iż pewnie przysze babcie raczą takimi słowami wszystkie matki swoich wnuków.

– Oczywiście, że będzie! – Przyszły ojciec przeżył dumnie pierś.

Kładąc się tamtego wieczora do łóżka, nie mogłam wyzbyć się z głowy myśli, że wiedliśmy tutaj na wsi prawdziwie sielankowe życie. Wyobraziłam sobie mydlaną bańkę otaczającą naszą rodzinę. Niestety, nie pomyślałam o tym, że może i mienia się one pięknie, ale bardzo szybko pękają. Moje szczęście też zostało wkrótce zmacone. A to wszystko dlatego, że w naszym życiu pojawił się pies...



Nigdy nie rozumiałam motywów ludzi, którzy wyrzucają swoje zwierzęta z samochodów. Za każdym razem, gdy słyszałam o takiej sytuacji od sąsiadów albo w telewizji, zalewała mnie krew. Może i sama nie przepadam za tymi zwierzętami, ale, na Boga!, gdy się na coś decydujesz, to bierz za te czyny odpowiedzialność, mówiłam, ze złością komentując takie wiadomości.

– Ciekawe, czy dziecko też by wyrzucił do lasu, gdyby nie mógł zabrać go do hotelu w wakacje – bulwersowała się sąsiadka, która miała podobne poglądy do moich. Ostatkiem sił powstrzymałam się przed tym, by jej przytaknąć. To straszne i okrutne, ale naprawdę istnieją ludzie, którzy nie cofnęliby się przed czymś takim. Zresztą nierzadko spotyka się osoby lepiej odnoszące się do zwierząt niż własnych dzieci. Wołałam jednak nie rozmawiać o tym zbyt długo z blisko siedemdziesięcioletnią staruszką.

Bezpański pies, który zaczął utrudniać mi życie, został wyrzucony z samochodu przed naszą wsią na początku czerwca. Jeden z gospodarzy widział, jak zatrzymuje się na poboczu wypakowany po brzegi zielony nissan. Jego kierowca bez najmniejszych skrupułów wyrzucił zwierzę na łąkę. Z początku pies błąkał się po okolicznych polach, ale gdy zgłodniał, zaczął przechadzać się po wsi w poszukiwaniu pożywienia.

– Głodny jest – mówili na jego widok sąsiedzi.

– Musi mu być trudno w takich warunkach, bo widać, że wcześniej właściciele o niego dbali. Czyściutki był na początku i zadbany. Teraz wiadomo, wychudł i wyliniał, ale pewnie oswojony.

– Na pewno oswojony! – wtrąciła jedna z sąsiadek. – Tyle razy zaglądał na moje podwórko i nawet nie szczeknął. Szkoda go. Czasami biedaka dokarmiam, ale mam trzy swoje. Czwartego przygarnąć nie mogę. Zbankrutowałby człowiek.

– U mnie podobnie... – Pokręcił głową ktoś inny, a pies po paru dniach wprowadził się pod mostek, który codziennie pokonywałam w drodze do szkoły. Z początku nawet tego nie zauważyłam, bo chował się pod nim lub w pobliskich zaroślach, ale któregoś popołudnia dostrzegłam go, gdy wracałam z pracy. Do domu dotarłam z duszą na ramieniu.

– Wojtek! – krzyknęłam zaraz po przekroczeniu progu. – Wojtek!

Mój mąż w piątki kończył pracę wcześniej niż ja, dlatego zastałam go rozłożonego na kanapie przed telewizorem.

– Co się stało? – Usiadł, bo po moim tonie głosu wywnioskował, że coś się stało.

– Tamten pies... – powiedziałam, za bardzo nie wiedząc, jak zacząć. – Tamten bezpański pies wprowadził się pod mostek. Spotkałam go, gdy wracałam z pracy.

– Nie musisz się go bać. Może i jest duży, ale łagodny. Rozmawiałem z ludźmi ze wsi, nikogo nie zaczepiał.

– A jeśli w końcu to zrobi?

– Nie sądzę – próbował zbyć mnie mój mąż.

– Nie wiadomo, do czego zdolne jest głodne zwierzę – upierałam się przy swoim.

– A jeśli on kogoś zaatakuje?

– Rozumiem, że tym kimś masz być właśnie ty? Madzia... – Wojtek pokręcił głową. – Wiem, że boisz się psów, ale on pewnie jest niegroźny. – Wrócił do oglądania telewizji.

Podeszłam bliżej i usiadłam na kanapie przy jego nogach.

– Przecież tu już nawet nie chodzi o mnie, ale o dzieci, które codziennie rano i po południu chodzą tamtędy na przystanek. – Natychmiast przypomniałam sobie o sytuacji sprzed lat i wzdłuż mojego kręgosłupa rozszedł się zimny dreszcz. Aż się wzdrygnęłam.

– To powiedz o tym swojej dyrektorce.

– Co ona może zrobić?

– Tyle samo co ja – mruknął zmęczony Wojtek.

– To znaczy?

– Zadzwoń do straży miejskiej i poproś, żeby zła-pali tego psa. Odwiozą go do schroniska i tyle. A teraz nie męcz mnie już, chcę odpocząć po całym tygodniu. – Wojtek sięgnął po pilota i pogłośnił telewizor, dając mi tym samym czytelny sygnał, że rozmowa została skończona.

Siedziałam przy nim jeszcze przez kilka chwil, aż w końcu westchnęłam i poszłam się przebrać. Zamierzałam posłuchać rady Wojtka i poinformować o psie swoją dyrektorę, ale gdy prasowałam bluzkę, którą chciałam założyć, uświadomiłam sobie, że mogę to zrobić najprędzej w poniedziałek. Zanim dyrektorka to zgłosi i strażnicy interweniują, na pewno upłynie jeszcze sporo czasu. Jak mam w tej sytuacji chodzić do szkoły?

Głowiłam się nad tym przez chwilę, aż w końcu postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce i działać. Zamiast zacząć gotować obiad, włączyłam komputer i wyszukałam w internecie numer do straży miejskiej.

– Halo? – Po kilku sygnałach usłyszałam z głośnika komórki szorstki, męski głos.

– Dzień dobry, czy dodzwoniłam się do straży miejskiej? – Podeszłam do okna w kuchni, gdzie zawsze był najlepszy zasięg.

– Tak, kto mówi?

– Magdalena Borowska – przedstawiłam się zwięźle, a potem powiedziałam, kim jestem oraz gdzie mieszkam i pracuję. – Dzwonię w sprawie bezpańskiego psa.

– Psa? – zdziwił się dyżurny.

– Tak. Nieopodal szkoły, w której pracuję, zamieszkał bezpański pies. Kilka tygodni temu ktoś wyrzucił go z samochodu. Pies wprowadził się pod mostek w naszej wsi, którą chodzą do szkoły i wracają do domów dzieci. Stwarza zagrożenie.

– Czy jest agresywny?

– Zdarza się. – Nieco podkolorowałam rzeczywistość.

– To znaczy? Atakuje ludzi?

– Czasem warczy i szczeka.

– Czy kogoś ugryzł? – spytał strażnik.

– Nie zdarzyło, się ale...

– ...droga pani. – Mężczyzna wpadł mi w słowo, nie dając skończyć. – Jeżeli pies nie próbował nikogo zaatakować, a jedynie warczy i szczeka, to nie wydaje mi się, żeby stwarzał zagrożenie.

– Co pan sugeruje? – Wzburzyłam się na dźwięk jego słów. – Że chce pan czekać z interwencją, dopóki komuś nie stanie się krzywda?

– Sama pani powiedziała, że pies nikogo nie atakuje.

– A jeśli zacznie? I jeśli ucierpi jakieś małe dziecko? – Krew zawrzała mi w żyłach.

– Przecież obok tego mostku jest szkoła. Weźmie pan na siebie odpowiedzialność?

Strażnik odetchnął głęboko, widać mając dość tej rozmowy.

– Droga pani – zaczął tym swoim szorstkim i nieprzyjemnym tonem. – Powiem pani tak. Schronisko, do którego moglibyśmy zawieźć tego psa, jest przepełnione, a koszty utrzymania jednego zwierzęcia są dość spore. Naszej gminy nie stać na to, żeby przejmować się każdym zgłoszeniem, tym bardziej, że sama pani powiedziała, że pies nikomu nie robi krzywdy. Poza tym jest piątek po południu, a ja nie mam ani klatki, ani pracowników pod ręką, by ich do pani wysłać. Proszę zadzwonić, gdy będzie chciała nas pani poinformować o realnym zagrożeniu. Do widzenia – powiedział, co wiedział, po czym rozłączył się, zostawiając mnie w szoku i niedowierzaniu.

– To tak właśnie służby troszczą się o swoich obywateli?! – zdenerwowałam się, po czym cisnęłam telefon na kuchenny blat, jednocześnie zastanawiając się, co jeszcze mogę zrobić. Kogo powinnam poinformować o takim lekceważeniu problemu przez strażnika? Policję? Naszą panią burmistrz? Bo że nie mogę tego tak zostawić, wiedziałam doskonale.

W końcu doszłam do wniosku, że w poniedziałek poproszę o pomoc dyrektorkę szkoły. Może ona będzie miała większą moc oddziaływania na strażników, w końcu zajmuje poważne stanowisko. Ugotowałam rosół i obiecałam sobie nie chodzić w stronę mostku przez weekend. Potem tak bardzo wciągnęły mnie obowiązki dnia codziennego, że do poniedziałku skutecznie zapomniałam o psie.

Problem jednak nie zniknął. Kiedy w poniedziałkowy poranek szłam do pracy, serce biło mi mocniej już od momentu opuszczenia podwórka. Na wszelki wypadek przeszłam na drugą stronę jezdni, by nie iść po tej, po której ostatnio spotkałam psa. Udało mi się na niego nie natknąć, a w pracy poinformowałam o problemie swoją przełożoną.

– Postaram się coś zrobić. Akurat będę dziś w mieście, więc podjadę do straży miejskiej i z nimi porozmawiam. Zadzwonię do ciebie, gdy coś załatwię – powiedziała, a ja na wszelki wypadek poprosiłam o podwózkę do domu po pracy swoją koleżankę, która

jechała akurat w moją stronę.

Przez następne kilka godzin w napięciu oczekiwałam na telefon swojej przełożonej.

– Coś się stało? – zmartwił się Wojtek, gdy wrócił z pracy i zobaczył mnie podenerwowaną.

– Nie, nic. – Pokręciłam głową, zerkając w jego kierunku. Ponieważ nie traktował mojego lęku poważnie, nie miałam ochoty rozmawiać z nim o tym, że czekam właśnie na informację, co dalej będzie z tym przeklętym psem.

– Na pewno? – Nie zabrzmiałam chyba zbyt przekonująco, bo Wojtek podszedł do krzesła, na którym siedziałam, i położył mi dłonie na ramionach. – Jesteś spięta – zauważył, po czym wykonał palcami kilka niedużych kółeczek pod moją szyją. – Coś nie tak z dzieckiem? – Odkąd dowiedział się, że zostanie ojcem, był na tym punkcie niemal tak przewrażliwiony jak ja.

– Z dzieckiem wszystko w porządku. – Odruchowo położyłam rękę na brzuchu. – Po prostu czekam na ważny telefon.

– Od kogo?

– Od swojej dyrektorki.

– Jakież problemy w pracy?

„Nie, z psem” – powiedziałam do siebie w myślach, ale Wojtkowi posłałam tylko uspokajający uśmiech.

– Wszystko dobrze. – Podniosłam się z krzesła. – Jesteś głodny? Odgrzać ci obiad?

– Poproszę. – Wojtek pokiwał głową. – Co jest dobrego?

– Wczorajsze gołąbki.

– Były pyszne. Pójdę tylko do łazienki, żeby się odświeżyć, i przebiorę się w czyste ubranie. Zaraz wrócę. – Pocałował mnie w czoło, po czym udał się do sypialni.

Zabrałam telefon ze stołu i przesłałam z nim do kuchni. Nadal co i rusz zerkałam na wyświetlacz i wyczekiwałam upragnionego dźwięku informującego o przychodzącym połączeniu.

Pani dyrektor zadzwoniła dopiero wieczorem, gdy już myślałam, że się tego nie doczekam. Wyszłam z telefonem na taras, by Wojtek nie słyszał naszej rozmowy. Niestety, nie miała dla mnie dobrych wiadomości.

– Strażnicy zbyli mnie tak samo jak ciebie – powiedziała. – Chciałam poinformować o tej arogancji naszą panią burmistrz, lecz ta przyjmuje interesantów jedynie w poniedziałki, środy i czwartki.

– Więc co teraz zrobimy? – zaniepokoiłam się tymi słowami.

– Poczekam do środy i wtedy podjadę do gminy.

– A dzieci?

– Może zrobimy jutro na dużej przerwie apel i uprzedzimy o zagrożeniu. Pomyślę też o spotkaniu z rodzicami, jeśli pani burmistrz w środę nic nie wskóra.

– Rozumiem.

– Tylko tyle mogłam dziś zdziałać.

– Bardzo dziękuję. Naprawdę – powiedziałam zupełnie szczerze, doceniając jej zainteresowanie. I tak przejęła się sprawą bardziej niż właściwe służby czy chociażby mój mąż.

Wróciłam do domu i przygotowałam się do snu. Wzięłam ciepły prysznic, włożyłam piżamę i wskoczyłam do łóżka. Niestety, nie spałam najlepiej. Całą noc męczyły mnie koszmary z tym bezpańskim psem w roli głównej. Budziłam się co kilkadziesiąt minut, aż w końcu wstałam i zaczęłam tuc się po domu, aby znaleźć sobie jakieś zajęcie.

– Chyba nie spałaś najlepiej? – zagadnął mnie rano przy śniadaniu Wojtek.

– Miałam złe sny. – Zerknęłam mu w oczy. Odkąd tylko wstałam, zastanawiałam się, jak poprosić go, by podwiózł mnie do szkoły, jednak w końcu odpuściłam sobie. Nie chciałam, żeby miał mnie za jeszcze bardziej przewrażliwioną i strachliwą, niż byłam w rzeczywistości.

Po śniadaniu zabrałam więc swoją torbę i wyszłam do pracy. Szłam w stronę mostku z szybko bijącym sercem, zastanawiając się, czy lepiej iść powoli, czy bieć. Nim doszłam do jakiegoś wniosku, zauważyłam kręcącego się po chodniku psa. Zastygłam w bezruchu i wstrzymałam oddech, gdy pies popatrzył wprost na mnie. Odwróciłam wzrok i zaczęłam gorączkowo szukać w głowie jakiegoś rozwiązania. W końcu bez rozglądania się w prawo i w lewo pospiesznie przeszłam przez jezdnię. Bliska łez ruszyłam w stronę szkoły, a kiedy tylko dotarłam za ogrodzenie, głośno się rozpłakałam.

– Coś nie tak? – zagadnęła mnie jedna z przechodzących w pobliżu matek.

– To tylko zapalenie spojówek. – Wysiliłam się na uśmiech, choć dygotałam jak galareta. By nie zwracać na siebie uwagi, weszłam do szkoły, a po dzwonku poszłam na zajęcia. Nie mogłam skupić się na pracy, a na dużej przerwie złapałam jedną z koleżanek, która ostatnio podwiozła mnie do domu, i znów poprosiłam ją o podwózkę.

– Jasne, nie ma sprawy – zgodziła się natychmiast, nieco poprawiając mi humor. Wiedziałam jednak, że to nie rozwiąże mojego problemu, a pies w żaden magiczny sposób nie zniknie.

Postanowiłam szczerze porozmawiać z Wojtkiem o swoim lęku i wymóc na nim interwencję. Po powrocie z pracy ugotowałam obiad, po czym usiadłam z herbatą na tarasie w oczekiwaniu na męża. Wrócił kilka godzin później. Jak zawsze poszedł wziąć prysznic i przebrać się, nim do mnie dołączył.

– Już jestem. – Pocałował mnie w policzek, siadając obok na ławce. – Jak ci minął dzień?

Wzięłam głęboki oddech i zaplotłam palce. Zastanawiałam się, od czego zacząć, ale w końcu po prostu opowiedziałam Wojtkowi o swoim problemie.

– Wiem, że pewnie uznasz, że przesadzam, ale ja naprawdę się boję. Dzisiaj dotarłam do szkoły zrana zimnym potem i z płaczem, przez kilka godzin nie mogłam się uspokoić. Zrób coś, Wojtek, bo ja wariuję... – Spuściłam wzrok. – Od kilku dni nie mogę z tego powodu nawet spać. Męczą mnie koszmary, w których atakuje mnie ten pies. Tak się nie da żyć... – Spojrzałam mu w oczy. – W dodatku przewlekły stres przecież szkodzi dziecku.

Dopiero ten ostatni argument przemówił do mojego męża. Chociaż w duchu na pewno pomyślał, że ożenił się z wariatką, otoczył mnie ramieniem i obiecał pomóc jeszcze dziś.

– Wymyślę coś – zapewnił, po czym weszliśmy do domu zjeść obiad. Po posiłku

zabrałam się za zmywanie, a Wojtek zniknął gdzieś na podwórku.

Ponieważ jego słowa nieco mnie uspokoiły, postanowiłam odespać bezsenne noce i zdrzemnęłam się na łóżku w sypialni. Chyba naprawdę potrzebowałam odpoczynku, bo obudziłam się kilka godzin później. Zaspana zaczęłam rozglądać się po domu za Wojtkiem, aż w końcu dostrzegłam go przez okno na podwórku i serce zabiło mi mocniej, ponieważ nie był sam, lecz w towarzystwie tego przeklętego psa.

– Wojtek! – Zdenerwowana otworzyłam okno i wrzasnęłam do niego co sił. Byłam tak przerażona, że serce omal nie wyskoczyło mi z piersi, a nogi miałam miękkie jak z waty. Czy on do reszty zgłupiał?!

– Wstałaś już. – Odwrócił się do mnie z młotkiem w rękę.

– Co ty robisz?!

– Kończę budować kojec. Poczekaj, zaraz do ciebie przyjdę – powiedział, a potem pogłaskał kręcącego się obok jego nóg psa.

Gdy to ujrzałam, z emocji zakręciło mi się w głowie. Usiadłam na kanapie w sypialni i starałam się uspokoić, ale zamiast tego z moich oczu trysnęły łzy. Nie, to nie mogła być prawda. Wojtek nigdy by mi tego nie zrobił, powtarzałam w myślach jak katarynka, ale ciągle powracał do mnie widok mojego męża i uszczęśliwionego psa, którego najwidoczniej postanowił przygarnąć.

Wojtek wrócił do domu dopiero kilkanaście minut później.

– Jestem! – zawołał od progu, po czym poszedł umyć ręce i dopiero wtedy do mnie dołączył.

– Czy ty na głowę upadłeś?! – zaatakowałam natychmiast, gdy go ujrzałam. – Co ty robisz?

– Interwenuję w sprawie psa.

– Kazałam ci go przepędzić, a nie przygarnąć! – krzyknęłam, wciąż zalewając się łzami. – Teraz nie tylko będę się bała chodzić do pracy, ale i przebywać na własnym podwórku! Czy ty w ogóle mnie słuchałeś?! Boję się tych cholernych zwierząt, a ty robisz mi coś takiego! – Ubolewałam nad bezmyślnością swojego męża.

– Madzia... – Wojtek pokręcił głową, usiadł przy mnie i ujął w dłonie moje ręce. – Kapsel jest naprawdę niegroźny.

– No proszę, już go nawet nazwałeś!

– A co miałem zrobić? Pozwolić mu umrzeć z głodu? Poszedłem na ten mostek, by ocenić, czy naprawdę mamy problem, czy po prostu przesadzasz. Szukałem tego psa przez kilkanaście minut, aż w końcu raczył wyjść do mnie z krzaków. Nie zaszczekał ani nie zawarczał, tylko ufnie popatrzył mi w oczy, jakby z nadzieją, że dam mu coś do jedzenia.

– Jakby z nadzieją? – powtórzyłam jego słowa. – Przecież to tylko pies!

– Nie miałem serca go tam zostawić. Wróciłem do domu po jakieś jedzenie, ale już spałaś i nie chciałem cię budzić. Wziąłem kielbasę z lodówki i poszedłem go nakarmić. Ku mojemu zaskoczeniu Kapsel dał mi się nawet pogłaskać, i to bez najmniejszych oporów. Jak miałem go tam zostawić?

– Normalnie?

– Nie dramatyzuj, jest naprawdę przyjazny. Zresztą przyda nam się pies. Mieszkamy na wsi, ktoś powinien pilnować podwórka.

- Ale ja się boję tych zwierząt! – powtórzyłam z uporem maniaka.
 - Wiem, dlatego zbudowałem mu kojec. Na razie prowizoryczny, ale szybko go wzmocnię.
 - Przecież takie ogrodzenie łatwo przeskoczyć.
 - Kapsel nie jest aż taki wielki. Zresztą minie trochę czasu, zanim wróci do formy. Widzisz, jaka z niego chudzina.
 - Dlaczego to właśnie ty musiałeś go przygarnąć? – Spojrzałam na Wojtka z wyrzutem. – Jeżeli nie chciałeś go tam zostawiać, mogłeś poprosić o pomoc jakiegoś sąsiada.
 - Madzia... – Wojtek pogładził mnie po włosach jak małą dziewczynkę. – Przyda nam się pies, a ty szybko się do niego przekonasz, zobaczysz. To tak przyjaźnie nastawione do ludzi zwierzę, że aż sam byłem w szoku. Nie musisz się go bać.
 - Łatwo ci mówić... Zresztą to także mój dom i moje podwórko. Czy ja nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia?
 - Oczywiście, że masz, ale z wiadomych względów nie byłabyś obiektywna. A teraz otrzyj te łzy i jak chcesz, to jedź ze mną do miasta.
 - Po co?
 - Trzeba kupić Kapslowi jakąś obrozę, miskę i przede wszystkim psią karmę.
 - Ledwie go przygarnąłeś, a już wiążą się z nim tylko wydatki. Przecież mamy kredyt, a za jakiś czas pojawi się dziecko. Jesteś nieodpowiedzialny – powiedziałam z wyrzutem, mając nadzieję, że ten argument go przekona.
- Wojtek jednak był nieugięty. Uparł się, by przygarnąć psa, i nie zamierzał na ten temat dyskutować. Posiedział przy mnie jeszcze kilka chwil, bym się uspokoiła. A potem pojechał do sklepu zoologicznego, zostawiając własną żonę na pastwę tego strasznego zwierzęcia! Co i rusz zerkałam na nie przez okno.
- Tak to jest prosić o pomoc mężczyznę! – krzyknęłam w końcu, nie mogąc już dłużej dusić w sobie emocji. Czy ten mój mąż był naprawdę taki głupi? A może przygarnął tego psa, żeby zrobić mi na złość?



Pierwsze dni życia z Kapslem na jednym podwórku były naprawdę trudne. Czułam opory przed każdym wyjściem z domu i nie zapuszczałam się w stronę kojca. Ba, nawet starałam się nie patrzeć w tamtym kierunku. Wojtek nadal przekonywał mnie, że Kapsel jest niezwykle łagodny, lecz nie zamierzałam wierzyć w te bzdury. Mój kontakt z tym zwierzęciem ograniczał się do nerwowego zerkania na nie przez okno.

- Mogłabyś przełamać się i chociaż podejść do ogrodzenia kojca – przekonywał mnie mąż, lecz zbywałam go wymownym spojrzeniem i wracałam do swoich obowiązków. Miałam do niego żal, że przygarnął to zwierzę i nie wierzyłam mu, gdy opowiadał, jaki to świetny i spokojny pies.

- Chyba jest nam wdzięczny za to, że się nim zaopiekowaliśmy – powiedział

któregoś wieczoru podczas kolacji. – Za każdym razem, gdy wchodzę do kojca, by go nakarmić, liże mnie po rękach i na mnie skacze.

– Nam? – prychnęłam ze złością. – Chyba tobie, bo ja nie miałam w tej kwestii niczego do powiedzenia. – Zabrałam ze stołu swój talerz i poszłam jeść do innego pokoju. Nie mogłam wybaczyć Wojtkowi tego, co zrobił. Temat psa stał się naszym prywatnym punktem zapalnym i wołałam, gdy nie wspominał o nim ani słowem.

Mijały tygodnie, a Wojtek spędzał z Kapslem coraz więcej czasu. Chociaż nadal byłam nieufna wobec zwierzęcia, musiałam przyznać, że mój mąż doskonale się nim opiekował. Nie tylko go karmił, ale i zabrał do weterynarza na szczepienie. Kupił mu gumowe zabawki i latający talerz, bo któregoś dnia odkrył, że Kapsel potrafi aportować. Od tamtej pory niemal co wieczór bawił się z nim na podwórku. Obserwowałam ich harce przez okno, ale nigdy nie odważyłam się wyjść chociażby na taras, gdy Kapsel był poza kojcem. Z czasem jednak, mimo że nadal się bałam, przestałam czuć paraliżujący lęk przed przebywaniem na własnym podwórku.

– Widzisz? Może niedługo będziesz bawiła się razem z nami – cieszył się tym faktem Wojtek.

– Nie sądzę – odpowiadałam, choć z mniejszą złością i uszczypliwością niż na samym początku, gdy przygarnął Kapsla. Podobno człowiek jest w stanie przyzwyczać się do wszystkiego, więc i ja przyzwyczałam się do naszego psa. Nigdy jednak nie przestałam się go bać i obawiałam się, że to nie nastąpi.

Moje życie powoli wracało do normy, jeżeli można nazwać normą fakt, iż zbliżał się czas mojego porodu. Od kilku tygodni wiedziałam już, że będziemy mieli córeczkę, dlatego z chęcią buszowałam po sklepach z artykułami dla niemowląt, ignorując gorączkowe przestrogi mojej matki i teściowej, że to przynosi pecha. Czasami macierzyństwo i zaabsorbowanie dzieckiem pochłaniało mnie do tego stopnia, że zupełnie zapominałam o psie.

Kapsel na szczęście nie stwarzał problemów. Wojtek zabierał go rano na przebieżki po okolicy, więc potem, zmęczony, odpoczywał w kojcu. Ponieważ byłam już na urlopie z powodu zbliżającego się wielkimi krokami porodu, często przesiadywałam sama na tarasie, a on zdawał się na mnie nie reagować. I dobrze. Ożywiał się dopiero, gdy Wojtek wracał z pracy i zbliżał się czas ich wspólnych zabaw. Ponieważ jednak mój mąż naprawdę angażował się w nową rolę ojcowską, ograniczył ich częstotliwość i wołał towarzyszyć mi w ostatnich dniach przed rozwiązaniem.

Tosia dołączyła do nas wczesną wiosną. Dopiero trzymając tę kruszynę w rękach, tuż po jej narodzinach, zrozumiałam te wszystkie młode mamy, które opowiadały mi, że widok dziecka zrekompensuje ból, jaki wiąże się z porodem. Patrząc w jej małe, niemal czarne oczka, byłam przekonana, że uczyniła mnie najszczęśliwszą osobą na świecie, a ten dzień na zawsze zostanie w mojej pamięci.

– Jaka ona maleńka... – wzruszył się towarzyszący mi Wojtek. Pierwszy raz w życiu dostrzegłam w jego oczach łzy. A kiedy wziął małą na ręce, by pierwszy raz ją potrzymać, mnie też zachciało się płakać. Widok mojego męża z naszą córeczką był jednym z piękniejszych obrazków, jaki kiedykolwiek zobaczyłam.

– Boję się, że ją upuszczę. Jest taką kruszynką – powiedział, a w jego głosie kryło

się nie tylko wzruszenie, ale i duma.

– Szybko się pan wszystkiego nauczy – zapewniła go kręcąca się po sali pielęgniarka. – Piękne macie maleństwo.

Dni spędzone w szpitalu minęły mi w okamgnieniu. Chociaż inne matki uskarżały się na płaczące dzieci czy czuły się obolałe, ja ignorowałam ten ból i spędzałam czas, wpatrując się w śliczną twarzyczkę swojej córeczki. Uwielbiałam błędzić wzrokiem po jej maleńkich policzkach, nosku i ustach. Nie umiałam powiedzieć, do kogo była podobna, ale ja widziałam w niej najpiękniejsze dziecko na świecie. I nie miałam wątpliwości, że pozostanie w moich oczach taka już na zawsze.

Wyszliśmy z Tosią ze szpitala trzy dni po porodzie. Wojtek przyjechał po nas autem z nosidełkiem, choć i tak złamałam przepisy i przez całą podróż trzymałam ją na rękach. Byłam zmęczona pobytem w szpitalu, dlatego razem z małą położyłam się w sypialni i zasnęłam. Przez kolejne dni poświęcałam jej całą uwagę i wszystkie siły. Wstawałam do niej za każdym razem, gdy tylko zapłakała i najchętniej nie wypuszczałam jej z rąk. Parę dni później zaczęli odwiedzać nas goście. Moi rodzice zobaczyli wnuczkę pierwszy raz już w szpitalu, ale teściowie dłużej czekali na ten dzień. Zjawiała się także siostra Wojtka z rodziną oraz moja kuzynka z mężem, z którą utrzymywałam dość dobry kontakt. Wszyscy zachwycali się małą, a ona nawet nie zapłakała, gdy przekazywali ją sobie z rąk do rąk.

– Jest do ciebie taka podobna – stwierdziła siostra Wojtka, gdy odbierałam od niej śpiącą Tosię, by położyć malucha do łóżeczka. – Wykapana mamusia.

– Wcale nie. Ma mój nos. Sama zobacz – zaprotestował Wojtek.

Uśmiechnęłam się, słysząc jego słowa. Powtarzał je niemal wszystkim, którzy nas odwiedzali, jakby fakt, że bardziej przypominała mamę, urażał jego męską dumę. Natomiast mnie to, do kogo była podobna Tosia, zupełnie nie interesowało. Kochałabym ją całym sercem i w pełni zaangażowała się w opiekę nad nią, nawet gdyby wyglądała zupełnie inaczej niż ja. Zajmowałam się nią z przyjemnością i z radością patrzyłam na to, jak rośnie. Na jakiś czas zupełnie zapomniałam o mieszkającym na naszym podwórku psie. Przypomniałam sobie o nim dopiero, gdy zrobiło się ciepło i zaczęłam wychodzić z Tosią na taras. A mój lęk nasilił się jeszcze bardziej, gdy zrobiła się starsza, zwłaszcza że uwielbiała bawić się na dworze. Apogeum strachu przypadło natomiast na jeden z letnich dni, kiedy miała trzy lata, a ja zaufałam Wojtkowi i na moment spuściłam ją z oczu. To wtedy wszystko się zmieniło...



Tosia, jak zawsze rano, uparła się, by po śniadaniu wyjść na dwór. Zwykle ustępowałam jej w tej kwestii i bawiłam się z nią w piaskownicy albo na huśtawce, którą zrobił dla niej Wojtek, lecz tego dnia miałam zamiar posprzątać. W kuchni od kilku dni piętrzyły się brudne garnki, podłoga lepiała się od resztek jedzenia, które rozrzucała Tosia, a meble w salonie pokrywała solidna warstwa kurzu.

– Ty sobie sprzątaj, a ja zajmę się małą – zaproponował dobrodusznie Wojtek, gdy próbowałam tłumaczyć Tosi, że tym razem zostaniemy w domu, na co ona zareagowała płaczem.

Nie miałam podstaw, by nie zgodzić się z Wojtkiem, dlatego założyłam małej na głowę różowy kapelusz i wypuściłam ich na dwór. Sama rozejrzałam się po domu, zastanawiając się, od czego zacząć sprzątanie. Zdecydowałam, że na pierwszy ogień pójdzie salon, potem zajmę się łazienką i kuchnią. Reszta pokoi nie była odwiedzana przez żadnych gości, więc mogła poczekać. Postanowiłam, że posprzątam w nich wieczorem, gdy Tosia pójdzie spać.

Włączyłam radio, jak zawsze, gdy kręciłam się po domu, i wyjęłam z szafki ściereczki oraz detergenty. Wynoszenie niepotrzebnych rzeczy szło mi dość opornie, ale z czyszczeniem mebli i odkurzaniem uwinęłam się szybko. Co jakiś czas na wszelki wypadek kontrolnie zerkałam przez okno na Wojtka i Tosię. Huśtał właśnie małą na bujaczce, a ona śmiała się wniebogłosy.

– Widzę, że macie fajne przedpołudnie! – zawołałam do Wojtka przez uchylone okno.

– Nawet bardzo! – odkrzyknął, a Tosia pomachała mi ręką. Miałam na końcu języka, by uważali na psa, do którego Tosia uwielbiała podchodzić, ale nie powiedziałam tego na głos. W końcu była z Wojtkiem. Nic złego nie mogło jej się stać.

Kiedy skończyłam sprzątać salon i łazienkę, zaczęłam porządkować kuchnię. Stanowiła dla mnie największe wyzwanie. Z radia płynęła spokojna muzyka, a przez uchylone okno wpadało do środka świeże powietrze i głośnie ujadanie Kapsła. Czemu on tak szczeka, pomyślałam? I wyrzałam na zewnątrz. To właśnie wtedy dostrzegłam, że Tosia jeździ po podwórku na swoim trójkołowym rowerku.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu Wojtka, lecz nigdzie go nie dostrzegłam, widocznie zajął się swoimi sprawami. Normalnie nie miałabym nic przeciwko, ale brama wyjazdowa z podwórka była otwarta. W dodatku Tosia jechała w tamtym kierunku, a Kapsel ujadał, patrząc na dziecko, co dodatkowo spotęgowało mój niepokój. Pospiesznie zdjęłam gumowe rękawiczki, ale odwracając się, potknęłam się o stojące na podłodze wiadro i upadłam. Chwilę trwało, nim podniosłam się z kolan i wybiegłam na zewnątrz, podczas gdy moja córeczka była zaledwie kilka metrów od ulicy.

– Tosia, stój! – wrzasnęłam w jej kierunku, jednak ani myślała się zatrzymać. Zaśmiała się tylko, przekonana, że chce ją gonić, po czym zaczęła jechać jeszcze szybciej.

– Tosia! – krzyknęłam po raz kolejny i ugięły się pode mną kolana. Zbiegłam ze schodów wystraszona, lecz wiedziałam, że nie zdążę jej zatrzymać, nim wjedzie na jezdnię. W dodatku kątem oka zarejestrowałam, jak Kapsel wskakuje na swoją budę, przeskakuje przez ogrodzenie kojca i pędzi w kierunku dziecka.

– Wojtek! – krzyknęłam imię męża, mając w głowie najczarniejsze wizje. Z bijącym szybko sercem biegłam do bramy, lecz Kapsel był szybszy. Wyprzedził mnie i pierwszy dopadł do Tosi. Ku mojemu przerażeniu wskoczył na nią łapami i zrzucił ją z rowerka dosłownie pół metra przed ulicą, po której ułamek sekundy później przejechał samochód.

– Tosia! – Ignorując swój lęk przed psem, pobiegłam do córeczki, by wziąć ją w

ramiona. Przestraszona zanosila się płaczem i z trudem łapała powietrze.

Chwilę później dołączył do mnie Wojtek.

– Nic jej się nie stało? – zapytał zdyszany. Musiał biec tuż za mną, gdy tylko zorientował się, co się dzieje.

– Chyba jest cała – odpowiedziałam po krótkich oględzinach. – Obtarła sobie tylko rączkę, gdy upadła na podjazd.

– Na pewno? – Wojtek zdjął małej z głowy kapelusz, by upewnić się, że nie uderzyła głową o twardą kostkę.

– Na pewno – przytaknęłam, tuląc ją do siebie. Powoli uspokajała się w moich ramionach.

Wojtek podniósł leżący obok nas rower i popatrzył na psa, który, ku mojemu zdziwieniu, grzecznie siedział obok i ani myślał się ruszyć. Z tych emocji zupełnie zapomniałam o jego obecności. Dopiero gdy podążyłam spojrzeniem za wzrokiem Wojtka, przypomniałam sobie, że cały czas nam towarzyszył.

– Dobry piesek. – Wojtek wyciągnął rękę w kierunku Kapsła i poklepał zwierzę po głowie. – Nie wiem, co by było, gdyby nie twoja interwencja, stary. Tylko jak ty uciekłeś z tego kojca, co?

– Wskoczył na budę, a potem dał susa przez ogrodzenie – wyjaśniłam.

– Dobry piesek. – Wojtek uklęknął przy psie i zaczął energicznie tarmosić go po głowie. Kapsel z przyjemnością poddawał się jego gestom. – Uratowałeś Toškę, bohaterze. Może teraz twoja pani chociaż trochę cię polubi?

Chcąc nie chcąc, musiałam przyznać mu rację. Gdyby nie Kapsel, Tosia prawdopodobnie wjechałaby pod samochód i... Nie. Wolałam nawet o tym nie myśleć. Zamiast tego nerwowo przełknęłam ślinę i zerknęłam na Kapsła, przełamując swoje dotychczasowe opory. Uświadomiłam sobie, że przebywam w jego obecności już od kilku minut, a on nie zrobił mi krzywdy. W dodatku, gdy lepiej mu się przyjrzałam, zobaczyłam, że ma całkiem sympatyczną mordkę.

– Twój pan ma rację – powiedziałam, patrząc w spokojne psie oczy. I choć wtedy nie odważyłam się go pogłaskać, z czasem na dobre przestałam się go bać. Wojtek mógł zlikwidować psi kojec, a Kapsel beztrasko hasa teraz po naszym podwórku, nawet gdy biega po nim Tosia. Moja córka uwielbia mu rzucać piłki i talerz do frisbee, za którym Kapsel biega z wywieszonym językiem. Właściwie to kiedy znajduje się obok niej, jestem o wiele spokojniejsza, niż gdy zostawiam małą samą z Wojtkiem. Wiem, że mogę ufać Kapslowi i jeśli dziecku działaby się krzywda, pies zainterweniuje albo zacznie ujadać, by wezwać pomoc.

– Powinniśmy go przechrzcić na Stróża – zażartował któregoś wieczoru Wojtek, gdy siedzieliśmy na tarasie, a Tosia bawiła się z Kapslem.

– Każdy z nas ma swojego anioła – odpowiedziałam, z radością patrząc, jak Tosia uśmiecha się i biegnie za psem, by zabrać mu kolorową piłeczkę.

Nie każdy anioł ma ludzką twarz.

Zostań ze mną

Natalia Sońska

Nie wiedziałam, jak to jest stracić najbliższą osobę. Nigdy też nie chciałam się tego dowiedzieć. Wiadomość o śmierci nawet w wyobrażeniu przynosiła ogromny żal i wywoływała ciarki na całym ciele. Doświadczenie tego musiało być porównywalne z przyjęciem na siebie ogromnego głazu, który trzeba udźwignąć resztką sił, a w pewnym momencie nachodzi nawet ochota, by przestać mu się przeciwstawiać i po prostu pozwolić przygnieść.

Nie miałam pojęcia, jak to jest przyjąć zawiadomienie o utracie kogoś bliskiego, jak się wówczas reaguje, jakie myśli przychodzą do głowy, jaka jest pierwsza czynność, którą należy zrobić. Do czasu, kiedy pewnego ranka to ja odebrałam telefon, a w słuchawce usłyszałam ponury głos dyspozytora pogotowia ratunkowego. Wówczas doświadczyłam wszystkich tych wyobrażeń, dodatkowo spotęgowanych rzeczywistością. Głos uwiązał mi w gardle, serce na moment się zatrzymało, by po chwili zacząć kołatać coraz szybciej. Na ułamek sekundy zapomniałam, jak się oddycha, a wzrok jakby zasnuł się czarnymi plamami. „Był wypadek”. „Pani ojciec nie żyje”. „Bardzo mi przykro”. „Pani ojciec nie żyje”. „Proszę przyjechać do szpitala...”. „Pani ojciec nie żyje”.

Nie byłam w stanie trwale zarejestrować żadnych innych komunikatów poza tym, który obijał się o moją, wydawało się wówczas pustą, czaszkę. Mój ojciec nie żył. Najdroższa mi na świecie osoba zostawiła mnie samą, bez pożegnania, bez słowa wyjaśnienia. Tak po prostu odszedł. Złość, wręcz wściekłość przyszła jako pierwsza, tuż po szoku. Jak mógł?! Jak mógł zginąć pod kołami rozpędzonej ciężarówki, której kierowca, wyprzedzając, nie zdążył zjechać z powrotem na swój pas?! Jak śmiał umrzeć i zostawić mnie samą?! Nie rozumiałam. Wydawało mi się to zupełnie niedorzeczne. Byłam pewna, że to zły sen, że to nieprawda, a ja za chwilę się ocknę i usłyszę głos taty wracającego z miasta. Czekałam. Długo czekałam, aż powróci jawa, niestety – w miarę upływu czasu coraz boleśniej docierało do mnie to, co przed chwilą usłyszałam. „Pani ojciec nie żyje”.

Ból rozpływał się po moim ciele, paraliżując je. Upadłam na kolana i usiłując złapać oddech, zaczęłam się dusić w bezgłośnym szlochu. Łzy płynęły po policzkach kaskadami, a ja nie potrafiłam ich zahamować. Istnienie zaczynało boleć. Serce pękało na pół, jakby ktoś wbijał w nie ostrze i torturując, przecinał z rozkoszą psychopaty.

— Dominiko! – usłyszałam jak zza grubej ściany, a później jak przez bardzo grubą kurtkę poczułam, że ktoś podnosi mnie z podłogi. Nie byłam jednak w stanie zareagować.

Wyparcie – to było to, czego wówczas potrzebowałam.

Przyszło później, gdy po pogrzebie straciłam uczucia. Już nic nie bolało. Ale nic też nie sprawiało przyjemności. Świat istniał, ale dla mnie jakby się zatrzymał. Czarne barwy przyozdobiły moją rzeczywistość. Sens gdzieś umknął, czmychnął, schował się, a ja wcale nie miałam ochoty go odnajdywać. Zostałam sama, choć w otoczeniu przyjaciół. Czułam się jak dryfujący okręt. Żyłam z nadzieją, że w końcu rozbiję się o jakieś skały.

Całe dni spędzałam w domu, nie obchodziło mnie to, co działo się na zewnątrz. Nie potrafiłam funkcjonować już wśród ludzi, którzy tak bardzo mi go przypominali. Wiedziałam, że rozumieją, wiedziałam, że są, ale jakby ich nie potrzebowałam. Uśpiona w letargu życia chciałam zasnąć naprawdę i już nigdy się nie obudzić.



Podświadomość jednak powoli dawała o sobie znać. Pobudzana przez ludzi, którym na mnie zależało, pukała do zamkniętego umysłu, sygnalizując, że przecież to ja muszę przejąć po nim obowiązki. Z dnia na dzień, choć wciąż boleśnie, życie przypominało, że ma jeszcze wobec mnie swoje plany. I przede wszystkim plany taty.

Miał marzenie – stworzyć duże gospodarstwo, sady, w końcu przy tym wszystkim stadninę. Realizował je krok po kroku, wyznaczając sobie kolejne cele, tworząc marzenia. Nie było dla niego niemożliwego, dlatego pewnego dnia, gdy oboje stanęliśmy na werandzie naszego pięknego domu na wsi i spojrzałam na jego spokojną, zadowoloną, ale jednocześnie wzruszoną twarz, wiedziałam, że chcę być taka jak on. Nieugięta, wytrwale zmierzająca do wyznaczonego sobie celu. On go osiągnął. Staliśmy wtedy, wpatrując się w blask zachodzącego słońca zalewającego całą naszą ziemię. Kilkadziesiąt hektarów zagospodarowanych marzeniami taty.

Jeszcze gdy byłam małą dziewczynką, zawsze powtarzał, że pewnego dnia jego uprawy zaczną zaopatrywać okoliczne sklepiki. Cieszyłam się razem z nim, kiedy kolejni kontrahenci przybywali do nas z coraz to lepszymi ofertami współpracy. Widziałam radość i niedowierzanie na twarzy taty, gdy zyski przerastały stukrotnie jego pierwsze założenia. Teraz nasze ekologiczne płody zapełniały półki nie tylko pobliskich warzywniaków, ale też dużych hipermarketów w największych miastach.

Tata jednak nie spoczął na laurach, chciał udowodnić sobie, że z życia należy korzystać, czerpać pełnymi garściami, nigdy nie zatrzymywać się w miejscu. Zawsze powtarzał, że człowiek po to żyje, by wytyczać sobie kolejne cele i sukcesywnie je osiągać. Kiedy więc jego pierwszy plan okazał się strzałem w dziesiątkę, postanowił poszerzyć swoje gospodarstwo o sady owocowe. Na początek zasadził tylko kilka drzewek i krzewów, by sprawdzić, jak ten pomysł się przyjmie. Nie było mowy o nieodniesieniu sukcesu. Po kilku latach mieliśmy więc porównywalny wielkością do upraw warzywnych ogromny sad.

Interes kwitł, w przenośni i dosłownie, tata był coraz szczęśliwszy, ale wciąż nie potrafił usiedzieć na miejscu. Kochał wieś, w której mieszkaliśmy, uwielbiał naturę, a

obcowanie z nią przynosiło mu ogromną satysfakcję. Codziennie doglądał swojego dobytku, a poranny obchód wzdłuż grządek i drzew stał się jego rytuałem. Nic więc dziwnego, że nie tylko flora stanowiła jego miłość. Zamiłowanie do zwierząt przejawiał, od kiedy tylko pamiętam. Dwa psy i cała gromadka kotów były w naszym domu czymś zupełnie normalnym. Nie zaskoczył mnie więc, gdy pewnego dnia przedstawił nam swój nowy pomysł. Siedzieliśmy wtedy przy stole w naszej przytulnej kuchni i jedząc obiad, rozprawialiśmy na różne tematy. Ojciec powiedział wówczas, że marzy o stadninie koni. Przypadkiem dowiedział się, że sąsiad, którego pole stało odłogiem przez kilkanaście lat, postanowił je w końcu sprzedać za przyzwoitą cenę. Było to idealne miejsce, by wybudować stajnie i odpowiednio duże wybiegi dla koni. Doskonale wiedziałam, że sąsiad nie chciał sprzedawać ziemi, a tata jakimś cudem go przekonał i najpewniej przepłacił za ten teren. Widząc jednak iskierki radości w jego oczach, podzielałam w zupełności jego pasję i chęć stworzenia czegoś, co po raz kolejny przyniesie mu niewysłowioną przyjemność i satysfakcję.



Od tamtego dnia każdego wieczoru stawałam na werandzie, by wraz z zachodem słońca mówić dobranoc naszemu gospodarstwu. W pochmurne dni było trudniej, bo wspomnienie wspólnych wieczorów spędzanych z tatą blakło i choć bardzo chciałam zatrzymać je w pamięci, pewne szczegóły zaczęły się zacierać. Musiałam więc bardzo się postarać, by zamykając oczy, widzieć jego uśmiechniętą, oświetloną promieniami słońca twarz.

Gdyby nie wszystkie osoby, które były zatrudnione przy gospodarstwie, już dawno zarosłyby ono chwastami. Brak motywacji wciąż mi doskwierał i choć z czasem przyzwyczajałam się do funkcjonowania bez taty, pogodzenie się z rzeczywistością było zbyt trudne. Najbardziej pomagał Adam. Przejął wszystkie obowiązki taty, a ponieważ znał się na uprawach niemal tak dobrze jak on, potrafił prowadzić nasze gospodarstwo. Ja jedynie podpisywałam jakieś umowy czy faktury, on zajmował się całą resztą. Był nieoceniony.



– Piękny wieczór, prawda? – usłyszałam pewnego razu głos Adama, gdy stałam jak co dzień na tarasie, z kubkiem gorącej herbaty w dłoni.

Zmierzchało, a pomarańczowe, sierpniowe niebo jaśniało w blasku słońca.

– Tutaj każdy wieczór jest piękny – odpowiedziałam i posłałam mu uśmiech. A przynajmniej starałam się to zrobić. Też się uśmiechnął, więc chyba mi się udało wykrzesać z siebie odrobinę uprzejmości.

– Ależ ta maciejka pięknie pachnie! To był świetny pomysł, by zasadzić ją tuż przy

domu. Wieczorami zaczyna pachnieć tak słodko i intensywnie, że można się odurzyć.

Adam wszedł po drewnianych schodkach, a kiedy był już na szczycie, jedna z desek przejmująco skrzypnęła. Tata miał ją naprawić w wolnej chwili. Nie zdążył.

– Jak ci minął dzień? – zapytał i już stał obok mnie, tak samo oparty o barierkę.

Wzruszyłam tylko ramionami. Doskonale wiedział, co robiłam w ciągu dnia. Był u mnie trzy razy. W związku z faktem, że przejeżdżałam w spadku całe gospodarstwo, każdy dokument musiał być opatrzony moim podpisem. Adam odwiedzał mnie więc kilka razy dziennie.

– Może zrobilibyśmy sobie wolne w najbliższy weekend i pojechali na małą wycieczkę?

– Dokąd? – zapytałam, lecz wcale mnie to nie interesowało.

– W Biłgoraju są targi rolnictwa, jakiś piknik, wspólne grillowanie, może być ciekawie.

– A my nie zgłosiliśmy się do udziału w tych targach? – Byłam zdziwiona, że wcześniej o nich nie słyszałam. Na ogół braliśmy udział w takich imprezach. Tata zawsze dbał o to, by skutecznie i odpowiednio zaprezentować nasze gospodarstwo.

– Zgłosiliśmy. To znaczy pan Piotr zgłosił... – Widziałam kątem oka, że Adam spuścił głowę, a jego głos zaczął cichnąć.

– I kto jedzie?

Usiłowałam zachować obojętność, nie dopuszczać do siebie uczucia żalu, które zaczęło nieprzyjemnie dobijać się do serca.

– Zosia, Janek i Bernadka. Zadbali o porządne stoisko. Będą wystawione skrzynki z owocami i przetworami, ulotki o stadninie i hipoterapii, zastanawiamy się, czy w ramach dodatkowej atrakcji nie zabrać któregoś kuca – powiedział już pewniejszym tonem, po czym niecierpliwie dodał: – To jak, zainteresowana?

Właściwie co mi szkodziło? Z tatą zawsze jeździliśmy na targi, tylko gdy studiowałam i nie było mnie akurat w domu, opuszczałam te imprezy, zazwyczaj jednak uczestniczyliśmy w nich, z powodzeniem prezentując nasze zbiory.

– Jedźmy, czemu nie.

Spojrzałam na Adama. Jego twarz nagle rozjaśnił uśmiech. Zrobiło mi się jakoś dziwnie przyjemnie na ten widok. Lubiłam go. Poznaliśmy się w liceum, przez trzy lata byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, ale później nasze drogi się rozeszły. Ja wyjechałam na studia do Lublina, on do Krakowa. Dopiero gdy oboje zakończyliśmy edukację, ponownie spotkaliśmy się w naszej małej miejscowości. Okazało się wówczas, że Adam ukończył rolnictwo na Uniwersytecie w Krakowie ze specjalnością agrobiologia. Spadł tacie jak z nieba, ponieważ już na studiach odbył mnóstwo praktyk i staży, dzięki którym zyskał ogromną wiedzę na temat biologicznych upraw, a tata właśnie kogoś takiego potrzebował do pomocy. W ten sposób od przeszło siedmiu lat Adam pracował jako prawa ręka taty, doradzając mu i pomagając w utrzymaniu gospodarstwa. A ja z powrotem miałam przy sobie mojego przyjaciela. Zawsze mogłam na niego liczyć, nie było sytuacji, w której odmówiłby mi pomocy. Tamtego dnia to on znalazł mnie na podłodze w kuchni, to on ocucił i był przy mnie do momentu, w którym choć odrobinę otrząsnęłam się z tego dramatu. Wiedziałam, że jest świetnym fachowcem, że tata cenił sobie jego pomoc jak

mało czyją, ja natomiast dopiero teraz zaczęłam zauważać, jak bardzo jest niezastąpiony.

– A jak się trzyma Fuksja? – zapytałam, gdy przez chwilę oboje wpatrywaliśmy się w szarzejące na horyzoncie niebo.

– Straciła nieco na wadze, brakuje jej apetytu, ale Michał ma ją pod stałą obserwacją.

Ulubiona klacz taty spodziewała się źrebięcia, niestety od początku pojawiły się jakieś komplikacje i weterynarz nie wróżył braku problemów. Byliśmy jednak dobrej myśli, ja zaś trzymałam się jej kurczowo. Nie dopuszczałam do siebie możliwości, by coś stało się klaczy czy źrebiątku. Fuksja była z nami od samego początku, była pierwszym koniem, którego tata sprowadził do stadniny i to dzięki niej rozpoczęliśmy też zajęcia z hipoterapii. Była esencją tego miejsca, filarem całej stadniny, bez którego jej równowaga zostałaby zachwiana.

Coraz częściej odwiedzałam ją w stajni, mając dzięki temu pretekst do wycieczek po całej stadninie. Obserwowałam, jak konie robią postępy, jak trenerzy szkolą źrebięta, jak turyści poznają piękno konnej jazdy pod czujnym okiem pracowników. Serce mi rosło, kiedy widziałam postępy terapii, jaką niepełnosprawne dzieci odbywały z trenerami w naszej stadninie. Doglądałam tego wszystkiego i z dnia na dzień coraz bardziej zdawałam sobie sprawę, że zaczynam wchodzić w skórę taty. Zawsze doceniałam nasze gospodarstwo, byłam z niego dumna, ale zazwyczaj to nie ja martwiłam się o nie. Miałam w głowie tylko te pozytywne, pozbawione trosk strony. Od kiedy zaś zaczęłam uważniej przyglądać się wszystkiemu, na co tata tak ciężko pracował, zrozumiałam, że jego głowa nie była wolna od zmartwień. Dużo zależało tu od pogody, to było oczywiste, nie zdawałam sobie jednak sprawy z rzeczy, które dopiero teraz zaczęły mnie zaskakiwać i zadziwiać.

Poczułam się jak prawdziwa spadkobierczyni wiejskiego interesu dopiero na targach. Nasi pracownicy świetnie radzili sobie w prezentowaniu tego, co mieliśmy najlepsze, jednak dotąd nie sądziłam, że właściciel zatrudniający wiele osób i tak może mieć aż tyle na głowie.

– Pani Dominiko! – zaczęła mnie pani Zosia, kiedy podczas targów razem z Adamem przechadzałam się wśród wystawców, z zaciekawieniem przyglądając się temu, co prezentowali na swoich stoiskach. – Jest przy naszym stoisku pan, który chciałby podjąć współpracę, mogłaby pani podejść? – zapytała lekko zdyszana i z nadzieją w oczach wskazała na nasze stoisko.

Zszokowana otworzyłam usta i nie wiedziałam, co powiedzieć. Popatrzyłam na Adama, mając nadzieję, że jakoś mnie nakieruje, on natomiast z łagodnym uśmiechem na twarzy, widząc moje zakłopotanie, wzruszył lekko ramionami i wskazał ręką stoisko, jakby chciał rzucić mnie na głęboką wodę. To w końcu ja byłam właścicielką, powinnam wiedzieć, jak załatwia się takie sprawy, nie sądziłam jednak, że tak szybko przypadnie mi w udziale pełnienie obowiązków zarządcy. Wiedziałam jednak, że Adam nie zostawi mnie samej. Choć jego wyraźny gest i niewypowiedziane słowo „płyn!” wciąż obijały się o mój umysł, spokój i pewność tego, że będzie obok, gdzieś w środku łagodziły narastającą panikę.

Po rozmowie z kontrahentem miałam mieszane uczucia. Bardzo starałam się

zaangażować całym sercem, pewne wycofanie jednak wciąż mi towarzyszyło i nie pozwalało się przełamać. W głowie miałam ciągle twarz taty podczas jego pertraktacji z klientami. Na samą myśl o tym łzy gromadziły się w gardle i nie pozwalały mi przepchnąć przez nie ani słowa. Staralam się negocjować, nie umiałam jednak podać racjonalnych argumentów, brak mi było odwagi, by stanąć na jego miejscu. Gdyby nie Adam, wyszłabym na zupełnie niedoświadczoną córkę, która przypadkiem stała się dziedziczką fortuny, o której nie miała pojęcia. Pomagał mi na każdym kroku, a w pewnym momencie przejął rozmowę tak, by wyglądało, że pozwoliłam mu samodzielnie prowadzić negocjacje. Patrzyłam na niego, jak płynnie operuje fachowymi terminami, jak swobodnie rozmawia z potencjalnym przyszłym klientem i nie mogłam uwierzyć, skąd w nim tyle determinacji i samozaparcia. Był pewny siebie, twardo stawiał warunki, jednocześnie hipnotyzując swoją charyzmą kontrahenta tak, że chwilę później byli umówieni na konkretną datę, by podpisać umowę dotyczącą współpracy. Na początku wyobrażałam sobie tatę, wspominając, jak rozmawiał z ludźmi w takich sytuacjach. Teraz widziałam Adama i żaden inny obraz nie mącił mi tego widoku. Uśmiechałam się do niego, szczerze, niewymuszenie, od czasu do czasu przytakując, gdy mnie o coś zapytał.

Po wydarzeniu na targach uświadomiłam sobie, że nie potrafię zarządzać tak dużym gospodarstwem. Byłam za słaba, za mało doświadczona, zbyt płochliwa w obecnym stanie, by poddać obowiązkowi, jakie spadły na mnie po śmierci taty. Bałam się, że przez swoje niedoświadczenie i brak chęci do walki zaprzepaszczę wszystko, na co tata tak ciężko pracował. Adam był w tym o wiele lepszy, dlatego poprosiłam go, by to on zajmował się sprawami formalnymi. Ja zaś doszłam do wniosku, że o wiele lepiej i swobodniej czuję się w stadninie. Zwierzęta mnie uspokajały, a jazda konna pozwalała wyciszyć się i odnaleźć pewną równowagę. Podczas przejażdżek po pobliskich lasach miałam czas na to, by myśleć lub całkowicie wyłączyć umysł. Niejednokrotnie odnosiłam wrażenie, że sama przechodzę swoją osobistą hipoterapię. Czas spędzany w ten sposób wpływał na mnie kojąco. Zaczynałam na nowo postrzegać życie nie tylko w ciemnych barwach. Pomagałam więc przy obrzędzie koni, nie raz brałam udział w terapii, czasem zastępowałam trenerów. Coś zaczynało powoli się we mnie otwierać, byłam jednak jeszcze zbyt obolała, by odważnie stanąć na nogi. Bałam się kolejnego upadku lub tego, że po prostu sobie nie poradzę. Błądziłam więc jak we mgle, raz zdeterminowana do walki, raz wycofana bardziej niż na początku. Ta huśtawka nie pozwalała na całkowity powrót do normalności. Czasem czułam potworne mdłości, marzyłam o tym, by się zatrzymać.

Tygodnie mijały, gospodarstwo wraz ze zmianą pór roku wymagało kolejnych nakładów pracy. Widziałam, jak wszystko się zmienia i dopiero teraz zdawałam sobie sprawę, ile czasu i wysiłku wymaga utrzymanie tak ogromnego majątku. Choć przeważnie zaszywałam się w stadninie, dostrzegałam, z jakim zapałem wszyscy zatrudnieni doglądają upraw. I widziałam też, ile serca wkładał w nasze gospodarstwo Adam.

– Nie jesteś zmęczony? – zapytałam pewnego razu, kiedy niosąc do stajni koce, natknęłam się na niego.

Studiował z zaangażowaniem trzymane w rękę papiery. Kiedy mnie usłyszał, omal nie wypuścił całej teczki w ogromną kałużę powstałą z roztopionego śniegu.

– Zmęczony? – zapytał zaskoczony, odrywając się od dokumentów.

– Pracą, ogarnianiem tego wszystkiego. – Rozejrzałam się dookoła. – Jeśli chciałbyś wyjechać na jakiś urlop... Od kwietnia niemal non stop pracujesz. Co ja mówię, nie miałeś ani jednego wolnego dnia, nie licząc kilku niedziel.

– Jeśli będę potrzebował przerwy, na pewno cię o tym poinformuję – powiedział wesoło. – Spokojnie, wyrabiam ze wszystkim. Chyba, że masz jakieś zastrzeżenia? – zapytał z troską w głosie.

– Nie! Nie... Absolutnie. Gdyby nie ty, to wszystko już dawno by... – nie mogłam wypowiedzieć tego słowa.

– Poradziłabyś sobie doskonale. Nigdy w to nie wątpiłem – powiedział stanowczo i posłał mi tak elektryzujące spojrzenie, że momentalnie zrobiło mi się na przemian gorąco i niezręcznie.

Spuściłam wzrok zawstydzona, podziękowałam mu i rzucając tylko, że gdyby mnie szukał, będę przy Fuksji, szybkim krokiem ruszyłam przed siebie. Coś zakłuło mnie przyjemnie w okolicy mostka, a dziwne łaskotanie w dole brzucha zmuszało, bym odwróciła się za siebie. Nie zrobiłam tego jednak, choć do momentu aż zamknęłam za sobą drzwi do stajni, czułam jego wzrok na sobie.



Fuksja coraz gorzej znosiła ciężę. Widziałam, że Michał, weterynarz, który pracował w naszej stadninie, nie chciał mnie martwić. Nie mówił mi, że szanse na to, by ona i źrebię przeżyli, były marne. Spędzałam więc z nią coraz więcej czasu, dodając jej i sobie otuchy. Kiedy jednak z dnia na dzień traciła siły, serce bolało mnie coraz bardziej. Każde rozwiązanie niosło za sobą ryzyko, postanowiliśmy więc poczekać, aż natura sama załatwi sprawę, mając nadzieję, że okaże się bardzo łaskawa. Pod koniec ciąży, wiosną, kiedy trawa się zieleniła, drzewa w sadzie kwitły, roztaczając słodki zapach po całym gospodarstwie, a ptaki wesoło świergotały w ich koronach, Fuksja przebywała już tylko w swojej zagrodzie. Boks stał się jej szpitalnym łóżkiem. Leki i kroplówki rzeczywiście podawano jej w końskich dawkach. Przesiadywałam więc u niej całymi dniami, a wszyscy, którzy mnie potrzebowali, wiedzieli, że nie znajdą mnie w domu, a właśnie przy niej.

Rozłożone na sianie koce były moim legowiskiem, a długie godziny spędzane z Fuksją zabijałam czytaniem książek. Nie potrafiłam jej zostawić, widząc, jak bardzo cierpi. Z pewnością też przeczuwała, że nie dzieje się najlepiej. Kiedy pewnego dnia weterynarz powiedział, że źrebię najprawdopodobniej urodzi się martwe, poruszyła się tak, jakby rozumiała ludzką mowę. Ujrzałam wówczas ból i troskę w jej pięknych, wielkich oczach. Pogłodziłam ją po kasztanowym pysku, przytuliłam i starając się przekonać samą siebie, próbowałam zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Sama wówczas zaczęłam rozważać, czy jeśli wie się o nadchodzącej śmierci kogoś najbliższego, łatwiej jest się z tym pogodzić, czy też jeszcze trudniej przyzwyczajają się do

narastającego bólu. Nie znalazłam odpowiedzi, a analizowanie uznałam za niestosowne i bezsensowne. Choć żal wciąż tlił się we mnie, musiałam być teraz silna dla niej. Tata zachowałby się tak samo. Wiedziałam, że dokładnie tak by było, bo przecież sam przeszedł przez podobny koszmar. Kiedy zmarła mama.

Tuż po moim urodzeniu, kiedy rodzice nie posiadali się ze szczęścia, witając na świecie długo wyczekiwane dziecko, dramat przysłonił ich dopiero co rozświetlony radością świat. Mama dostała groźnego krwotoku, w wyniku którego niedługo po porodzie zmarła. Medycyna nie była wówczas na tyle rozwinięta, by lekarze potrafili sobie z tym poradzić. Długo walczyli, aby utrzymać ją przy życiu, niestety los chciał inaczej. Zabrał tacie ukochaną żonę, zostawiając go samego z maleńką córeczką. Choć tata bardzo przeżywał śmierć mamy, musiał szybko poradzić sobie z żalem. Czekają na niego małe dziecko, które potrzebowało opieki. Stał więc na nogi i pozbierawszy się, stawiał czoła przewrotnemu losowi. Ja też musiałam więc odnaleźć w sobie tę siłę, którą niegdyś wskrzesił w sobie mój ukochany tata.

Dni mijały, gospodarstwo wiosennie budziło się do życia, wciąż pomocny Adam przejął ostatecznie wszystkie obowiązki, którym ja nie mogłam poddać. Paradoksalnie, kiedy wszystko nabierało nowej energii, Fuksja wciąż ją traciła. Bywały dni, że nie chcąc zostawiać jej samej, zasypiałam w stajni, nie zważając na chłód, który wkradał się w noc, wciąż jeszcze nie tak ciepłe. Nie raz zasypiając, słyszałam głosy pracowników, którzy żalowali klaczy taty i z zadziwieniem obserwowali, jak każdą wolną chwilę spędzam właśnie przy niej. Czasem ktoś przynosił mi coś ciepłego do picia, czasem ktoś, myśląc, że śpię, przykrył mnie dodatkowym kocem. Ludzie byli nieoceniceni.

– Dominika – usłyszałam pewnego wieczoru łagodny głos Adama, który delikatnie pogładził mnie po ramieniu.

Otworzyłam powoli oczy, podnosząc się lekko ze swojego posłania na kilku ułożonych w wygodne łóżko balach słomy.

– Coś się stało? – zapytałam zdezorientowana i od razu spojrzałam na Fuksję. Spała, oddychała spokojnie, a ja odetchnęłam z ulgą.

– W nocy będzie burza, już robi się zimno i nieprzyjemnie. Chodź, zaprowadzę cię do domu. – Pomógł mi wstać, a ja jak na komendę pozwoliłam mu się podnieść.

– Chyba straciłam rachubę czasu – powiedziałam, kiedy po wyjściu ze stajni okazało się, że jest już prawie noc.

– Ostatnio w ogóle mam wrażenie, że żyjesz w innym wymiarze – zażartował.

Wzruszyłam ramionami.

– Martwię się o nią. Boję się, że stanie jej się coś złego...

– A ja martwię się o ciebie. – Widziałam kątem oka, jak Adam posłał mi znaczące spojrzenie. – Dominika, Fuksja jest pod opieką dwóch świetnych fachowców, zobaczysz, że wyjdzie z tego bez szwanku. To silna klacz, która chce walczyć o siebie. A ja chciałbym, żebyś i ty o siebie zawalczyła. I może nie tylko o siebie...

Popatrzyłam na niego lekko zaskoczona, ale kiedy ujrzałam jego przejmujące spojrzenie, nie wytrzymałam. Spuściłam wzrok i zagryzłam wargi. Nie byłam naiwna, widziałam, że zaczyna tworzyć się między nami więź o wiele silniejsza niż ta, która łączyła nas do tej pory. Adam pomagał mi na każdym kroku nie tylko z uprzejmości, a

mnie jego pomoc bardzo odpowiadała nie tylko z powodu wygody. Od kiedy zaczęliśmy bliżej współpracować, spędzać ze sobą więcej czasu, nie zawsze poświęcając go na sprawy gospodarstwa, zauważyłam, że rodzi się coś, na co nie mam wpływu, albo wręcz czego nie chcę ograniczać i hamować. Uczucie, jakie wypełniało moje zamrożone dotąd serce, przyjemnie je rozgrzewało, przynosząc dawno zapomniane ukojenie i spokój.

– Chodź. – Uśmiechnął się łagodnie i chwyciwszy delikatnie za dłoń, poprowadził do domu. – Musisz się wykąpać.

Przystanąłam zaskoczona. Odwrócił się w moją stronę i rozbawiony dodał:

– Wybacz, ale śmiesz się stajnią. Godziny spędzone z końmi robią swoje. A długa i odprężająca kąpiel pozwoli ci nie tylko pozbyć się tego... specyficznego zapachu, ale też cię zrelaksuje. Nie przyjmuję odmowy. Ja w tym czasie zrobię kolację.

Uśmiechnęłam się pogodnie, czując, jak od środka zalewa mnie fala przyjemności. To było niezwykle, jak odkrywanie w sobie czegoś na nowo, a odkrywanie tego dzięki Adamowi i z nim było dodatkowo przejmujące.

Kiedy pachnąca i czyściutka wróciłam do jadalni, ponownie przeżyłam słodkie zaskoczenie. Zastawiony stół był przybrany polnymi kwiatami i wypalonymi już do połowy świecami. Adam, komicznie nieporadny, coś jeszcze przygotowywał w kuchni, a ja obserwowałam po cichu jego pokraczne ruchy. Kiedy zobaczył mnie przy stole, aż podskoczył z niesioną przez siebie, gorącą zapiekanką, starając się ukryć grymas na twarzy spowodowany najprawdopodobniej parzącym go naczyniem.

– Już po kąpieli? – zapytał, postawiwszy z ulgą półmisek na stole.

– Już. Gdybym poleżała w wannie jeszcze przez kilka minut, rozmokłabym.

– Zrelaksowana?

– I pachnąca – dodałam, udając powagę.

– I zaczyna żartować...

Adam podszedł do mnie i nalał wino do kieliszka. Podając mi lampkę, delikatnie pogładził moją dłoń, a deszcz, jaki poczułam, był niepokojąco przyjemny. Zjedliśmy, rozmawiając o wszystkim. Począwszy od gospodarstwa, przez okoliczne wydarzenia, po wspomnienia z licealnych czasów. Odkryłam, że na nowo potrafię beztrudnie się śmiać, a obecność Adama wyjątkowo mi to ułatwiała. Nie krępowałam się, czułam się przy nim tak swobodnie, że niemal zapominałam o wszystkim, co do tej pory zaprzętało moje myśli. Nasze dyskusje raz po raz przerywały groźne grzmoty, a przeszywające granatowe niebo pioruny, które widziałam za oknem, dodatkowo wzmacniały ciarki na plecach. Deszcz rzeczywiście lał jak z cebra, dudniąc o parapety i drewniane schody na zewnątrz.

– Myślisz, że Fuksja rzeczywiście się wylizuje? – zapytałam w pewnym momencie, kiedy oboje zamilkliśmy w zamyśleniu, siedząc na kanapie w salonie.

Widziałam, że zacisnął usta, bądź w niewiedzy, bądź nie chcąc sprawiać mi przykrości.

– Tak jak już ci powiedziałem, to silna klacz, będzie walczyć. Tego jestem pewien. Cała reszta w rękach lekarzy. Bądźmy dobrej myśli.

– Nie wiem, co zrobię, jeśli i ona... – Nie mogłam tego z siebie wydusić.

– Hej... – zaczął łagodnie. – Wszystko będzie dobrze. Nie możesz myśleć inaczej.

– Ona naprawdę wiele znaczyła dla taty, jest symbolem tego miejsca, tak jak tata...

Ona nie może... – Czułam, jak łzy zbierają się w kącikach moich oczu.

– I nic jej się nie stanie, słyszysz? Wiesz co oznacza końskie zdrowie, prawda? Ludzie nie bez powodu wymyślili to powiedzenie.

Uśmiechnęłam się lekko. Potrafił mnie pocieszyć.

– Dziękuję...

– Za co? – odparł wyraźnie zdumiony.

– Za to, że tak mi pomogłeś, że zająłeś się interesem, że nie odwróciłeś się, gdy byłam do niczego... Za to, że przy mnie jesteś... – Nieco skrępowana ściszyłam głos, a nie mogąc wytrzymać jego przenikliwego spojrzenia, spuściłam wzrok.

Uniósł palcem mój podbródek i zajął mi głęboko w oczy. W jego spojrzeniu było coś tak magnetycznego, że chciałam chłonąć je bez końca.

– Nigdy nie byłaś do niczego. Zabraniam ci tak o sobie myśleć – powiedział twardo, po czym kontynuował: – To zrozumiałe, że musiałaś przeżyć po swojemu utratę ojca, nie możesz mieć tego sobie za złe. A cała reszta... Po to tu właśnie jestem. By stać obok, pomagać i wspierać. Nie tylko w sprawach gospodarstwa. Dominika, nie pomyśl się chyba, jeśli stwierdzę, że czujesz to co ja? Masz świadomość tego, że między nami zaczęło się dziać coś, co nie pozwala, przynajmniej mnie, na spokojny sen?

Miałam tego świadomość. I właśnie dlatego, zaskakując samą siebie, nachyliłam się w jego stronę, dając wyraźny znak. Odczytał go bez problemu, zatapiając swoje usta w moich. Był delikatny, subtelny, ale kiedy zdał sobie sprawę, na jak wiele jestem w stanie jemu, ale i sobie pozwolić, przyciągnął mnie pewnym ruchem i trzymając w ramionach, całował mnie coraz intensywniej, a ja nie pozostawałam mu dłużna. Stapialiśmy się w tym słodkim pocałunku, mając świadomość, że była to jedynie zapowiedź tego, co miało nadejść w ciągu najbliższych chwil. Dreszcz, jaki wywołała we mnie ta myśl, rozszedł się po moim ciele, obdarzając przyjemnością każdy jego zakamarek. Adam z pewnością to wyczuł, bo wzięwszy mnie na kolana, zamknął w silnym, bezpiecznym uścisku, dając tym samym znak, że nie wypuści mnie szybko ze swoich objęć.

– Zostań ze mną... – szepnął jeszcze, a ja w mig odczytałam głębszy sens jego słów. Wiedziałałam, że od śmierci taty martwił się o mnie każdego dnia.

Poranek był zarazem fantastyczny i przejmujący. Wydawało się, że mógłby trwać bez końca, pozbawiony trosk, wypełniony błogim uczuciem spokoju. Wtulona w ramiona Adama nie bałam się już niczego. Mogłam stawić czoła okrutnemu losowi, chciałam wykrzyknąć, jak silna stałam się dzięki temu, że ktoś uwierzył we mnie, kiedy ja spisywałam własne życie na straty. Zdawało mi się, że w końcu przełamalam strach. Tkwiłam w tej świadomości szczęśliwa i spełniona. Niestety, sen szybko okazał się złudny. Co prawda obudziłam się w objęciach Adama, ale głośnie łomotanie do drzwi nie pozwoliło mi się nacieszyć tą chwilą. Z obawą zbiegałam po schodach, spodziewając się najgorszego. Moje przypuszczenia się potwierdziły. Zadrżałam, kiedy w progu ujrzałam jednego ze stajennych.

– Pani Dominiko, Fuksja...

Nie byłam w stanie dopytać, co się stało, widziałam jednak w jego oczach przerażenie. Nie mówiąc nic, szybko ubrałam kalosze stojące w przedsiionku, zarzuciłam

gruby sweter wiszący na wieszaku przy drzwiach i nie zważając na pogrążonego we śnie w mojej sypialni Adama, pobiegłam za pracownikiem.

Michał i drugi z weterynarzy już czuwali przy Fuksji. Cierpiała, a strach był wyraźnie widoczny w jej ogromnych oczach, przymglonych teraz bólem. Lekarze wymieniali się pomysłami, co pomogłoby uśmierzyć ból i pozwoliło jej spokojnie... Nie!

– Dominiko, ona nie przeżyje. Jej źrebię również – powiedział w pewnym momencie Michał, kiedy zdenerwowana zwróciłam im uwagę, by w końcu doszli do jakiegoś konkretnego wniosku.

– Najlepiej będzie, jeśli ją uśpimy... – dodał nieśmiało drugi lekarz. – Przerwiemy jej męki...

– Nie zgadzam się! Pozwólcie jej urodzić i pomóżcie jej w tym!

– Ale...

– Proszę... – Łzy potoczyły mi się po policzkach, kiedy popatrzyłam na Michała, po czym przylgnęłam mocniej do Fuksji. – Zostań ze mną – wyszeptałam jej do sterczącego ucha i zacisnęłam mocno powieki.

Nie mogłam jej stracić.

Trwałam przy Fuksji przez cały czas, walcząc z samą sobą, czy moja decyzja nie była jednak tą gorszą. Widziałam, jak klacz taty cierpi i ból rozsadał mnie od wewnątrz, a myśl, że może faktycznie powinnam pozwolić jej odejść, ulżyć w cierpieniach, złowrogo objęła się o przyćmiony żalem umysł. Lekarze mnie posłuchali, dostrzegałam jednak w ich gestach, wymienianych między sobą spojrzeniach, że nie widzą szansy na jakąkolwiek poprawę. Ale ja musiałam o nią walczyć. Poczułam, że jeśli ja tego nie zrobię, ona także się podda! Adam, który kilka minut po mnie pojawił się w stajni, też był teraz obok. On pocieszał mnie, ja Fuksję. Nie wiedziałam nawet, która była godzina, bo czas dłużył się niemiłosiernie. Prawie wszyscy pracownicy stajni zebrali się wokół boksu i każdy tak samo drżał z obawy.

Chciałam, żeby Fuksja walczyła. Żeby pokazała, jak jest silna, że przetrwa najgorsze! Kiedy w końcu źrebię się urodziło, weterynarze zgodnie stwierdzili, że jest martwe i szybko zajęli się dogorywającą klaczą. Jej ostatnie chrapliwe sapnięcia brzmiały tak przejmująco, że nie potrafiłam już powstrzymać potoku łez. Łkałam na głos, gładząc jej miękką, lśniąca sierść. Przytulałam się do jej pyska, czując jeszcze na sobie ciepłe powietrze wydobywające się z jej nozdrzy. Nie wierzyłam w to, co się dzieje, nie mogłam dopuścić do siebie myśli, że ona też umiera, że też mnie zostawi!

I wtedy stało się coś, czego chyba nikt się nie spodziewał. Wszyscy zajęci byli Fuksją, nikt nie zwracał uwagi na leżące obok źrebiętko, które w tym momencie nagle się poruszyło! Najpierw myśleliśmy, że to może Fuksja ruszyła kopytem, jednak kiedy źrebię podniosło głowę, po czym usiłowało pokracznie stanąć na nogi, wszyscy zamarliśmy w osłupieniu. Nie wiedzieliśmy, jak to się stało, jakim cudem nagle ożyło! Weterynarze popatrzyli na siebie jeszcze bardziej zdezorientowani, a we mnie nagle zaczęła wstępować nadzieja. Wciąż przytulona do Fuksji obserwowałam, jak źrebię wykonuje swoje pierwsze ruchy, jak zwraca na siebie uwagę, przewracając się na sianie.

– Natura nie zna granic... – westchnął Michał i zaraz zajął się źrebięciem.

Ja zaś z drugim weterynarzem wciąż trwaliśmy przy Fuksji, która też nie przestała

nas zadziwiać. Uniosła lekko łeb i kiedy zobaczyła, że jej małe żyje, mogłabym z całą pewnością powiedzieć, że odetchnęła z ulgą. Jej rozpacz jakby odpłynęła, klacz zaczęła oddychać spokojniej, a kontrolujący jej parametry życiowe lekarz ze zdumieniem stwierdził, że jej stan zaczyna się poprawiać! Znów się popłakałam, tym razem ze szczęścia. Przytuliłam się do niej i podziękowałam za wolę walki.

– Pani Dominiko – usłyszałam nagle pogodny głos Michała. – Zdaje się, że ten maluch nie zamierza nas opuszczać, trzeba mu nadać imię.

– Bruno – powiedziałam bez zastanowienia.

To był pomysł taty. Gdy tylko dowiedział się, że Fuksja jest w ciąży, wybrał imię dla jej dziecka. Teraz pasowało idealnie, bo oznaczało dokładnie tyle co silny i wytrwały.

To był bardzo trudny dzień. Tyle emocji towarzyszyło mi od samego ranka, że kiedy Adam niemal siłą wyciągnął mnie pod wieczór ze stajni, zapewniając, że Fuksja i Bruno są pod dobrą opieką i nic im już nie zagraża, byłam tak zmęczona, jakbym przebiegła maraton. Ale wychodziłam spokojna i szczęśliwa, w niedowierzaniu obracając się jeszcze w stronę stajni. Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co się stało. Wola walki o własne życie, jaką pokazało to małe, niewinne źrebiątko, dała mi poważnie do myślenia, ale to przede wszystkim Fuksja mnie zadziwiła. Nigdy nie sądziłam, że zwierzęcy instynkt potrafi być aż tak zbliżony do ludzkiego. Kiedy tylko wyczuła, że jej dziecko jednak żyje, sama podjęła walkę! Wiedziała, że będzie mu potrzebna, że choć na początku zrezygnowana otarła się o śmierć, zmotywowana postanowiła pokazać, że jest silna, że potrafi, że podoła i stanie ponownie na nogi! Dla Bruna. I dla nas, którzy tak w nią wierzyliśmy.



Od tamtego dnia niewiele się zmieniło. Wciąż przesiadywałam w stajni, doglądając powracającej do sił Fuksji i pełnego chęci do życia Bruna. Co prawda oboje wymagali jeszcze opieki lekarzy, ponieważ Fuksja złapała jakąś paskudną infekcję po porodzie, jednak to, jak bardzo chciała żyć, pozwalało mieć pewność, że już tak łatwo się nie podda. Bruno zaś, choć wciąż jeszcze słaby, skradł serca wszystkich pracowników. Wyczuł w mig, że stał się centrum zainteresowania całego gospodarstwa, że wszyscy mu kibicowali, że nie było osoby, która nie pokochałaby go za tę wolę walki. Starał się więc każdego dnia robić kolejne postępy, zadziwiając tym niejedną osobę, w tym nawet weterynarzy. Był bardzo silny, udawadniał to codziennie, a jego pierwsze kroki, na chwiejących się chudych nogach, wyglądały tak zabawnie, że trudno było nie wybuchnąć śmiechem na ten widok. I Fuksja coraz częściej wstawiała, z zaciekawieniem doglądając jego poczynąń. Choć fizycznie wciąż cierpiała, widziałam w jej oczach ulgę i szczęście.

– Jest niesamowita... – westchnęłam pewnego dnia z uśmiechem na ustach, kiedy stojąc z Adamem na werandzie, oboje obserwowaliśmy, jak jeden ze stajennych wyprowadza klacz taty na wybieg. – Pozbierała się w tak krótkim czasie.

– Zaskoczyła wszystkich, samą siebie chyba też. Ale ten mały jest jeszcze lepszy,

popatrz. – Adam wskazał głową na mniejszą zagrodę, w której Bruno wesoło podrygiwał, ucząc się z trenerem chodu.

Oboje roześmialiśmy się na głos, wymieniwszy się przelotnym spojrzeniem. Bruno rzeczywiście nie wyglądał na źrebię, które cudem uniknęło śmierci. Był radosny i pełen energii. Chciał pokazać wszystkim, jakim jest walecznym stworzeniem. Z niesłabnącym uśmiechem obserwowaliśmy jego poczynania. Jak zawsze żegnałam dzień wraz z zachodem słońca, wtulając się mocniej w ramiona Adama. Z nim też układało się coraz lepiej. Jego bliskość sprawiała mi niewysłowioną przyjemność, a każda jego nieobecność wywoływała tęsknotę. Przywiązanie i uczucie, jakie się między nami zrodziło, od tamtego dnia tylko stale rosło, a ja wcale nie miałam zamiaru tego hamować. Adam zresztą też nie. Od kilku tygodni nosiłam na serdecznym palcu pierścionek.

To był przełomowy dzień chyba dla nas wszystkich. Coś się zmieniło, pewna życiowa zwrotnica przekierowała nas na te właściwe tory, czułam to doskonale. Ale nie tylko ja i Adam odczuliśmy skutki tego cudu, który wydarzył się tamtego poranka w stajni i otworzył nam oczy na pewne życiowe wartości. Również każdy z pracowników od tamtego momentu z większym optymizmem patrzył na życie, bez problemu dało się to zauważyć. Uśmiechnięte twarze wypełniały całe gospodarstwo, nie wspominając już o stadninie. Ja też coraz częściej się uśmiechałam, tak bez powodu. Czułam, jak lód w moim sercu topnieje i wcale nie przeszkadzało mi to, że zaczęłam dopuszczać do siebie cieplejsze uczucia. Nie bałam się już upadku, wiedziałam, że mam w sobie tyle siły, by w razie czego się podnieść. Wiedziałam też, że obok zawsze będzie osoba, która pomoże mi wstać i będzie o mnie walczyć. Tak jak ja walczyłam o Fuksję.

Z każdym dniem uświadamiałam sobie, jak bardzo kocham to miejsce. Jak wiele satysfakcji przynosi mi nie tylko doglądanie plonów, zbiorów, ale przede wszystkim obserwowanie tych pełnych życia, radosnych zwierząt, które hodowaliśmy. Ich nie zaprzętały troski, chciały po prostu żyć i dawać szczęście innym. Zaczynałam rozumieć tatę w pełni i nie mogłam pojąć, że przez tak długi czas po jego śmierci mogłam patrzeć obojętnie na to wszystko. Fuksja i Bruno pokazali mi, jak należy walczyć o siebie. Uświadomili, jak wiele można stracić i jaki ból można sprawić innym, nie podejmując nawet starań o to, by wszystko się w końcu ułożyło. Zwierzęta, którymi kierował głównie instynkt, były mądrzejsze od człowieka! Mądrzejsze ode mnie. Z każdym dniem więc czułam, jak zaczyna wstępować we mnie nowa energia i wraca dawna beztroska. Uświadomiłam sobie, że muszę żyć w pełni, bo potrzebują mnie inni, a bycie komuś potrzebnym okazało się uczuciem niebywale przyjemnym. Jedna chwila, chwila grozy i trwogi o życie dwóch niewinnych stworzeń, otworzyła mi oczy! Jaka byłam egoistką, kiedy chciałam po prostu przestać istnieć...

Zrozumienie śmierci taty zajęło mi sporo czasu, pogodzenie się z nią nie należało do najłatwiejszych zadań, wiedziałam jednak, że muszę żyć dalej, by wszystko to, na co pracował, mogło istnieć i przynosić radość innym. Zdałam sobie sprawę, że człowiek w życiu doświadcza wielu nieprzyjemności, że nie raz wystawiany jest na próbę i tylko siłą woli może pokonać przeciwności. Uświadomiłam sobie, że samotność, która doskwierała mi od tamtego momentu, była moim własnym życzeniem. Miałam przecież wokół siebie mnóstwo życzliwych ludzi, gotowych wspierać mnie na każdym kroku! Z żalu jednak nie

chciałam ich do siebie dopuścić, otaczając się drutem kolczastym. W końcu zdałam sobie sprawę z tego, że żałoba, żal i ból nie są niczym złym, nie można się ich wstydzic, trzeba jednak umieć w końcu się z nimi pogodzić i stawiając czoła, przewyciężyć strach, który im towarzyszy. Strach o dalszy los, o życie, o to, jak sobie poradzimy. Ja wyciągnęłam lekcję z własnych doświadczeń, a wnioski pozwoliły mi stać się silniejszym człowiekiem, zdolnym do przeżywania szczęścia i dawania szczęścia innym.

Spacer

Agnieszka Lis

Zawiodłaś mnie dzisiaj, wago. O co ci chodzi? Nie kumam. Przecież nie jem. Nic nie szamam. Nie mogę ćwiczyć, nie mam pałeru. Spróbuj ćwiczyć, będąc o wodzie od prawie dwóch tygodni. Że jak? Że niektórzy nie jedzą miesiąc?

Nie rozumiesz, wago. Nie chcę zostać anorektyczką. Wieszakiem, na którym nawet skóra naciągnięta na kościach wydaje się gruba. Chcę tylko być szczupłą, ładniara, taka bjuti. Ogarniam, że zrzucenie dwudziestu kilo w dwa tygodnie to słabo trochę, ale mam mało czasu. Zostałam w domu sama tylko na pięć dni. Potem wrócą parentsi i znów będzie łamanie rąk, jak ty schudłaś, córeczko, jaka mizerna, chodź kochanie, mama da pojeść, batonika może? Będą mnie gniesć i cisnąć. Pytać, ile zjadłam, i wciskać jeszcze trochę, łyżeczkę, odrobinę, okruszek.

Muszę wykumać, jak nie jeść, kiedy wrócą. Nie mogę tak wyglądać. Trzydzieści dziewięć kilo! Oblecha ze mnie. Żeby tak z dziesięć jeszcze zgubić. No wiem, wago, wiem, mówiłam o dwudziestu, ale ważyć mniej niż dwadzieścia kilo w wieku trzynastu lat to chyba trochę nie halo. Bez sensu. A może nie, jak sądzisz?

W sumie nie jest tak strasznie. Mogę nic nie szamać, nie czuję głodu. Odwykłam od jedzenia, to git. Nie jest potrzebne. Czytałam gdzieś, że są ludzie, którzy odżywiają się energią słoneczną. Bretarianie. Niestety, mam za mało słońca.



– Jak to: nie ma? – W głosie ojca pobrzmiwało zdziwienie. – Musi być.

– Ale nie ma – upierałem się.

– To zadzwoń do niej – odpowiedział tata spokojnie.

– Dzwoniłem.

Wyczułem jego niecierpliwość. Był w pracy, a ja mu przeszkadzałem. Mamy nie ma, to będzie, a tam czekały na ojca jakieś ważne sprawy.

– Dobrze, ja zadzwonię – odpowiedział, jakby jego telefon potrafił wykonywać lepsze połączenia.

Oddzwonił po kilku minutach.

– Mama nie odbiera, coś jej pewnie wypadło. Zrób sobie coś do jedzenia.

Łatwo powiedzieć. Jedzenie zawsze przygotowywała mama. Jak się robi jedzenie? No dobra, głupi nie jestem, jedzenie jest w lodówce, chleb w chlebaku. Pokroić, coś tępy ten nóż, gruba kromka, trudno. Masło, coś na chleb.

Wieczorne zdenerwowanie ojca.

– Nie wróciła? Nie ma?

Powtarzał zdumiony, obchodząc w kółko nasze trzy pokoje z kuchnią. Rozglądał się, jakby mama mogła, w ramach dowcipu, rozpląszyć się za regałem w moim pokoju. W końcu wziął do ręki telefon. Ja oglądałem telewizję.

– Mama miała wypadek – powiedział potem. Nie słyszałem, kiedy wszedł do pokoju. Miał twarz bez wyrazu, zdenerwowania tyle, co na plastikowej masce bandyty podczas napadu na bank. Akurat o tym oglądałem film. Tylko ojciec mrugał często. Spoglądałem na niego bez lęku. Co się mogło stać? Co za wypadek?

– Leży w szpitalu, pojedę do niej – powiedział.

Wstałem i ruszyłem do przedpokoju.

– Fakt, nie możesz zostać sam w nocy. Odwiozę cię do babci.

– Chcę do mamy – odpowiedziałem spokojnie.

– Na razie do babci.

Protestowałem, ale ojciec mnie nie słyszał. Jakbym mówił do ściany czy coś.



Zobacz, wago, tu mam jeszcze fałdkę, i tutaj. Tłuszcz! Locha po prostu! Nie, tu nie, to żebro.

Co jest, znowu? Ile razy można wychodzić na spacer? Byłeś wczoraj! Pimpel, przestań drapać!

Co za pies! Że też musieli zostawić mnie z tym kundlem.

No dobrze, wiem, wago, nie krzycz. Sama go chciałam. To mój pies, wiem. Wiem, pamiętam! Mieli go zostawić w hotelu dla psów – gdybym z nimi pojechała.

Po co miałabym jechać? Będą siedzieć albo w basenie, albo w stołówce. Żarcie, jedzenie, posiłki, tony żarcia, wchłanianie, wtrącanie, wtrącanie, potrawy tłuste, niewymyślne, a może i wymyślne. I to wieczne czepianie, zjedz jeszcze, odrobinę, jeszcze dwie łyżeczki, jak gęsi wpychają we mnie gastrunek. Matka, gdyby mogła, rurą by mnie karmiła. Mamucica jedna.

Cud w sumie, że pojechali sami. Pierwszy raz pozwolili mi zostać bez nich w domu na kilka dni. Trochę nafoliowałam... Gdyby nie Zośka, toby się nie udało. Ale by jej mamcią dziwko chapło, że się mną opiekuje! Zośka jest równa dziewczyna, tylko gruba trochę, taka szlampa. Ale jeszcze się podciągnie, pokażę jej, jak to się robi.

Wszystkie te wredne laski w szkole zobaczą jeszcze. Te paskudne barbiszony, dziunie malowane. Po wakacjach wrócę odmieniona. Piękna niczym gwiazda filmowa.

Przestań! Nie drap wreszcie w te drzwi!

Dobra, już wyjdę z tobą, wyjdę. Nie możesz sikać co drugi dzień? Ja mogę. Jak nie

będziesz tyle żarł, to i nie będziesz musiał wychodzić. Tylko mnie nie ciągnij! Pamiętaj, nie szarp, nie mam siły cię trzymać. Jak będziesz się rzucał, to cię do latarni przywiążę, od niej nie uciekniesz.

Nie, wcale mi nie do śmiechu!

Daj się ubrać, powoli. Chcę coś fajnego znaleźć. Ałtfit jakiś musi być. A tu wszystko okropne. Nie to, nie to, nie to... Niemodne. Wygniecione. Za luźne. W tym widać mój tłuszcz.

Niech będzie. Tunika, niezbyt obcisła, nie widać wałków. Ufajnię się. Jeszcze obuw jakiś debeściarski.

Powoli, nie tarłoś smyczy. Muszę zamknąć mieszkanie. Wolniej!



Lubiłem jeździć do babci. Miała siwe, kręcone włosy, pomarszczonymi rękami ugniatała ciasto, dla mnie specjalnie posypując je dodatkową porcją cukru. Często wychodziła ze mną na spacer. Ona szła powoli, ostrożnie stawiając kroki, ja biegałem wkoło. Kiedyś próbowałem pospieszać jej powolny chód, kręciła wtedy głowę.

– Nie te lata – odpowiadała i dalej dreptała powoli, a ja podskakiwałem wokół niej.

Na takim spacerze, gdy kiedyś poszliśmy znacznie dalej niż zwykle, aż w pobliże niewielkiego zagajnika, usłyszałem coś, dostrzegłem. Miał długi ogon i nieokreślony kolor.

– Babciu, popatrz – powiedziałem, wskazując palcem na psa. Babcia nie lubiła, gdy pokazywałem palcem. Tego dnia jednak nie zwróciła na to uwagi.

Babcia mruknęła coś niezrozumiale.

– Słucham?

– To jeszcze szczeniak, choć wyrosnięty. Odwiąż go – powiedziała spokojnie.

– Idziesz z nami – dodała po chwili, głaszcząc psa. – Strasznie jesteś brudny.

Od tego dnia miałem u babci swojego psa, dzięki temu lubiłem u niej przebywać jeszcze bardziej.

Mama nie przepadała za zwierzętami, kazałaby mi oddać Lunę do schroniska. Tata, zajęty nieobecnością mamy, nie zwrócił na psa większej uwagi. Na nic zresztą nie zwracał uwagi.

Jeździł do szpitala codziennie po pracy. Miałem o to żal do niego, bo ja mogłem odwiedzać mamę tylko w soboty i niedziele.

– Ty musisz się uczyć – powtarzał. – Mama nie byłaby zadowolona, gdybyś opuścił się w nauce.

Pewnie nie byłaby. Ale jej przecież nie było i bardzo za nią tęskniłem.

Nieobecność mamy zagłuszałem spacerami. Wychodziłem z Luną zawsze, niezależnie od pogody. Czasem długo wycierałem jej łapy przed wejściem do domu. Babcia mówiła, że taki piękny pies nie może być brudny. Deszcz, śnieg – my chodziliśmy na spacer. Czasem zakładałem słuchawki. Czasem słuchałem deszczu. Tata kupił mi

specjalny płaszcz, wyglądałem w nim jak dementor. Długi, z ogromnymi kieszeniami i wielkim kapturem, w którym chowałem twarz. Chodziliśmy z Luną tam, gdzie ją znalazłem. Nie bała się tego miejsca, merdała czasem ogonem. Ciekawe, co myślała.

Zamiast chodzić do mamy – chodziłem z Luną na spacer. Szybko zamieszkała z nami, codzienne bieganie do babci, żeby wyprowadzić psa, zajmowało mi za wiele czasu. Ale rozmawiałem cały czas z mamą. O tym co w szkole, co czytam. Czasem wydawało mi się, że odpowiada. Karciała za jakąś lekturę albo smuciła się czwórka. Opowiadałem o stołkówych obiadach i – wiem to na pewno – krzywiła się wtedy. Na stołkówkę zacząłem chodzić dopiero po wypadku mamy. Wcześniej ona zawsze gotowała, smacznie, ale czasem nie chciało mi się jeść. Teraz zjadłbym od niej wszystko, bez grymaszenia. U mamy nie udawało mi się uciec od zjedzenia obiadu, na stołkówce nikt tego nie pilnował.

Kiedyś pomyślałem, że to smutne. Nikt mnie już nie pilnuje, nie tak jak mama.

Chodziłem tymi samymi alejkami całe tygodnie, nieoczekiwany w domu przez nikogo. Rozmawiałem z mamą wciąż na te same tematy, aż poczułem, że nie bardzo ją już znam.

Zacząłem więc rozmawiać z Luną i było jakby lżej. Jakby znów mama się pojawiła. Musiałem przygotować jedzenie sobie i psu. Musiałem wyprowadzić zwierzaka na spacer. Musiałem odrobić lekcje. Posprzątać. Czekać na tatę, najlepiej już po kąpieli i w pizamie. Tyle rzeczy musiałem i koniecznie chciałem o tym opowiedzieć mamie.

– Wiesz, Luna, to głupie, ale jestem trochę jak ty. Już widzę, jak by mnie wyśmiali w szkole. Wszystkie te matole od bucików za siedemset. Porównuję się do psa!

I trudno. Też czasem się czuję, jakby ktoś mnie przywiązał do drzewa. Na smyczy.



– Dzień dobry pani.

I zaczyna się lamentowanie. Masz ci los. Nie mogę nie odpowiedzieć sąsiadce, bereciara od razu Januszom doniesie.

– Ja wychudzona? Nie, to tylko to ubranie. Wszystko dobrze, dziękuję pani. Nie, ja zejść po schodach, dziękuję pani.

Też ją nadało, baburę jedną. Nie pojedę z nią windą, o czym z raszplą rozmawiać? Ale schodami ciężko. Tylko nie ciągnij, Pimpel!

Nie tak szybko, piesku, nie tak szybko. Nie ćwiczę ostatnio, nie mam kondycji, nie ciągnij tak, piesku.

Ale przystojny! I ten kolor włosów, uwielbiam rude pióra. Niech wciągnę tylko brzuch, żeby bebza nie widział. Spojrzał na mnie! Ciekawe, jak ma na imię. Nie widziałam go tu wcześniej? Może na wakacje przyjechał. Do naszej podbazy nie chodzi przecież.

Wreszcie się przyda na coś ten kundel. Jego pies i mój, razem, koło siebie. Sikają. Bardzo romantycznie. Jest od czego zacząć.

Odpowiedział na uśmiech!

– Jestem Janusz.

Cholerka, co za imię.

– Anka. – I wiesz, wago, wyciągnęłam do niego rękę. Miał taką ciepłą i suchą. Moja była zimna i mokra, a on ją po prostu uściśnął. Miły, chociaż imię nie ten tego. Ale towar prima sort. A jak się uśmiechał, wago! Od razu poczułam, że jest mnie ze trzydzieści deko mniej.

Tylko ten Pimpel gdzieś mnie ciągnął.

– Ładny pies – powiedział Janusz.

– Twój też.

– Goldeny są w ogóle ładne – powiedzieliśmy właściwie równocześnie.

Czy to jakaś wróżba? Równocześnie?

Uśmiechałam się, wago, i tyle pamiętam.



Tamtego wieczoru babcia nie lepila ciasta; siedziała w fotelu, popijając herbatę. Kolację dostałem mizerną, jak na babcine standardy. Kanapka z marmoladą zamiast naleśników albo racuchów, o pierogach nie wspominając.

Babcia patrzyła w telewizor, nie miała ochoty rozmawiać. Szkoda, bo miałem wrażenie, że coś ją martwiło. Przydałby się tata, może by coś poradził. Jak na złość, przyjechał późno. Zasnąłem już w wąskim łóżku pachnącym lekko stęchlizną. Obudził mnie szmer głosów. Wyszedłem z łóżka po cichu, chciałem zrobić ojcu niespodziankę.

Rozmawiali w kuchni, właściwie to szeptali do siebie. Wcale nie ucieszyli się na mój widok, przynajmniej babcia. Przytuliła mnie, ale bez radości. Płakała. Ojciec stał naprzeciwko z opuszczonymi rękami. On się w ogóle mało uśmiechał, ale w tamtej chwili wyglądał jak Seth po śmierci Kendry w Baśnioborze.

Od tego dnia razem odwiedzamy mamę w szpitalu, minęły miesiące, wciąż się nie obudziła.



To pikanie było okropne. Metaliczne jak smak krwi w ustach. I zimno, jakbym zaparkowała w kostnicy. Czy ja umarłam?

Może myśl o kostnicy mnie tak przeraziła, może coś innego. Może zimno. Albo po prostu byłam gotowa. Otworzyłam oczy.

Usłyszałam: „Obudziła się!”. Chociaż wcale nie pamiętam, że bym spała.

Obok siedzieli parentsi.

„Haluny jakieś mam?” – pomyślałam.

– Córeczko, córeczko, Anulko – powtarzali, a ja nie kumałam, dlaczego się tak rozczulali. Leżałam, dookoła białło, zimno i strasznie byłam wykamana, ale przecież nie umarłam.

Zamknęłam ajsy, tak było wygodniej.

– Znowu śpi – powiedział ktoś inny. Nie znałam tego głosu, ale nie chciało mi się sprawdzać, kto to. Co za różnica? Przecież nie śpię.

Otworzenie oczu nie jest wcale tak proste, wago. Nawet, kiedy nie kimasz. Leżałam wygodnie, tylko mogli mnie czymś przykryć. Ta myśl mnie zmobilizowała.

Znów otworzyłam oczy.

– Przykryjcie mnie – powiedziałam głośno, ale nikt tego nie słyszał.

– Przykryjcie mnie! – powiedziałam jeszcze raz, tym razem bardzo głośno. Widziałam mamę, jej głowa oparta na zgiętych łokciach leżała tuż koło mnie. Chciałam jej dotknąć.

„Musi być bardzo zmęczona, skoro nie obudził jej krzyk” – pomyślałam. – „Ale dlaczego właściwie jest tak zmęczona? I kiedy wrócili? Mieli przyjechać za dwa dni”.

– Mamo! – krzyknęłam znowu i lekko się poruszyła.

Kamienny sen, naprawdę. A przecież zawsze słyszała wszystko, co się działo w domu. Jak to nazywał ojciec? Snem zajęczym.



Pies okazał się suką, po kąpieli prawie białą, z delikatnie kręconą sierścią. Rosła i była coraz piękniejsza. I większa, wymagała coraz dłuższych spacerów.

A my zamieszkaliśmy u babci.

– Jak chcesz dziecko wychować, z kluczem na szyi? Mieszkanie wynajmij, tu miejsca mamy dość – powiedziała babcia pół roku po wypadku.

Ojciec zwlekał. Wciąż nie miał dla mnie czasu. Zdecydował pod koniec roku szkolnego.

Moja poprzednia wersalka została w starym mieszkaniu, w którym nie pachniało już mamą. Babciny tapczan poszedł na śmietnik, a my kupiliśmy nowy. Po rozpakowaniu i ustawieniu wzdłuż ściany napełnił pokój wonią nowości, drewna, kleju. Nie bardzo pasował do starego domu z grubymi murami.

U babci nawet w upalny dzień było chłodno. Otwierała szeroko okna, żeby wywietrzyć zapach starości i trochę nagrzać pomieszczenia. Ojciec okropnie tego nie lubił.

– Naleci pełno komarów – mówił, ale babcia kręciła głową. Wieczorem robiła obchód z packą w rękę, pozostawiając czasami na ścianach ślady po owadach ciałach. Następnego dnia zmywała je ściereczką z płynem do zmywania.

W moim pokoju stała stara szafa, ze skrzypiącymi drzwiami, które lubiły otwierać się niespodziewanie. Przestraszyły mnie kilkakrotnie. Kiedyś wystartowałem z łóżka w środku nocy, wpadając do sypialni ojca i lądując mu na nosie. Krwawił. Na szczęście nic mu nie zламаłem. Następnego dnia naprawił zawiasy w szafie, zajęło mu to kwadrans.

Poza tym w moim pokoju wisiał obraz Jezusa z promienistym sercem w ramie z plastiku, który imitował drewno, a okno zdobiła zrobiona przez babcię firanka.

– Dla twojej mamy ją robiłam – powiedziała któregoś dnia. – Lubiła ten wzór.
– Nie mów o niej w czasie przeszłym! – zdenerwował się wtedy tata. W ogóle dużo się denerwował.

– Dzisiaj już nie lubi. Woli kupne koronki – odpowiedziała spokojnie babcia.

Grube mury domu ogrzewały za to jesienią. Latem łapały słońce, które zazdrośnie przechowywały aż do mrozów. Oddawały ciepło powoli, babcia mówiła, że łaskawie traktują jej rachunki.



– Mamo – powtórzyłam.

Podniosła głowę, mrugając. Patrzyła przez chwilę wokół, zdezorientowana, aż nasze oczy się spotkały. Wtedy skoczyła na równe nogi, zakryła usta dłonią, szarpnęła tatę, którego nie zauważyłam wcześniej.

– Przykryj mnie – powtórzyłam głośno, bardzo głośno.

– Co mówisz, córeczko? – zapytała, przybliżając ucho do moich ust.

Ogłuchła czy co?

– Przykryj. Zimno.

Natychmiast wybiegła. Strasznie szybko się poruszała. Tata stał przy mnie, ścisnął mi rękę, też miał ją ciepłą, jak Janusz. Janusz? Kto to jest Janusz? Co za kretyńska ksywa. Jaka ciężka ta kołdra, wcale mi nie jest od niej ciepłej.

– Gdzie jestem? – zapytałam, nic nie odpowiedzieli. Z wiekiem ogłuchli?

– Córeczko, jak dobrze, że jesteś.

– Gdzie jestem? – powtórzyłam, wolno i wyraźnie, jak czasami w szkole mówiłam do takiego jednego dekla, co to zawsze chodził sam i miał dziwną fryzurę.

– W szpitalu.

Kiwnęłam głową.

– Jak dobrze, że jesteś – powtórzyła matka.

Jak to, że jestem?

– Tak się martwiliśmy.

O co się martwili?

– Tak długo tu jesteś...

Długo? Przespałam się chwilę, to fakt, ale długo? Co oni?

– Gdyby nie Janusz, pewnie byłoby krucho. – To mama. Znowu jakiś Janusz?

– Cały czas jest krucho – stwierdził tata.

Wszedł ktoś nowy. Trochę mi się rozmazywał wzrok, ale na pewno go nie znałam.

– Proszę nas zostawić z pacjentką – powiedział.

Z pacjentką? To na pewno nie kostnica. Tam się nie leczy.

– Jak się czujesz? – zapytał, a potem zasypał gradem pytań. Kiwnęłam ze trzy razy głową, nie chciało mi się odpowiadać. Niemiętowo jakoś było.

Zasnęłam. Potem znowu głowa mamy przy mojej ręce, taty nie było.



Przed domem był niewielki ganek, z tyłu ogródek.

– Kiedyś uprawiałam tu marchewkę i pomidory – powiedziała któregoś dnia babcia. Zdziwiłem się, bo zupełnie nie było tam miejsca na warzywnik. Rósł za to klon, wielki, z grubym pniem.

– Kiedyś był malutki – powiedziała babka, widząc moje wahanie. – Twoja mama włożyła nasionko w ziemię, to jej drzewo. Pozwoliłam mu wyrosnąć, coraz mniej siły miałam na warzywa, szczypiorek tylko został. I to. – Wskazała ręką na skraj działki. Wzdłuż niewysokiego ogrodzenia, od strony osiedlowej ulicy rósł szczypior, który uwielbiałem z babciną jajecznicą. Dopiero niedawno dotarło do mnie, dlaczego smakował inaczej niż kupny. Babcia zbierała go tuż przed skrojeniem i wrzucała na talerz jeszcze ciekący sokiem, szczypiący w język. Wzdłuż drugiego ramienia płotu babka co roku wysiewała fioletowe kwiaty.

– To są kosmosy tak niezgłębione, jak moja miłość do ciebie – mawiała. Trzecia strona ogródka, do której przytulało się wielkie drzewo, przylegała do placu zabaw, babcia niczym jej nie obsadzała. Czasem tylko zbierała papierki po lodach albo butelki po soku, nie narzekała.

Wzdłuż domu wieczorami babka ustawiała miski, dla kotów. Przychodziły około dziewiątej, zjadały wszystko. Latem siadała przy wyjściu z domu, obok starych, balkonowych drzwi z wielokrotnie malowaną białą futryną. Tata chciał je koniecznie wymienić. Zimą babka, w tajemnicy przed ojcem, wkładała w okna watę. Twierdziła, że mają dusze. Okna dusze?

Czasem któryś kot podchodził do niej bliżej, wyciągała wtedy rękę, głaskała. Ale szła do misek dopiero, gdy wszystkie już się nasyciły, a większość odeszła.

– Nie mam siły zadbać o nie bardziej. Odrobaczać, sterylizować, prowadzić do weterynarza – mówiła ze smutkiem. – Tylko tyle mogę, nakarmić i napoić. Jak któryś przyjdzie pomruczeć w moim towarzystwie – dobrze. Jak nie – niech idą do swoich kocich spraw.

Zimą wystawiała miski wcześniej, obserwowała kocie posiłki przez okno. Nie zapalała światła, odsuwała tylko firankę.

Od czasu, gdy z nią zamieszkałem, pomagałem wystawiać miski, ale nie wychodziłem na dwór. Nie przychodziły, gdy siadałem obok babki.

Pod klonem znajdowała się namiastka trawnika. Ojciec kosił czasami zbyt wysoką, rzadką trawę poprzerastaną chwastami, nie pozwalał mi tego robić. Czasem wchodziłem w zielsko, zrywałem kilka kłosów i pokazywałem babce. – To kostrzewa łąkowa. A to życica trwała – mówiłem. – I jeszcze tymotka łąkowa.

Babka wtedy przytulała mnie i uśmiechała się, jakbym sprawił jej jakąś wielką radość.

Było jeszcze lato, ale już z uwagą obserwowałem koronę drzewa. Gdy liście klonu

zaczynały czerwienieć, w domu z grubymi murami wciąż było ciepło. Otwierałem wtedy okna, by przewietrzyć, na chwilę.



– Gdzie tata? – zapytałam.

Tym razem mama podniosła się od razu.

– W pracy, córeczko.

– Ile spałam?

– Długo – odpowiedziała.

Nie miałam siły się kłócić. Mamut zawsze podawała konkrety. Do dzisiaj. Wiesz, wago, czasem mnie to nawet straszliwie wpieniało. Zawsze potrafiła wszystko wyliczyć, ściślak jeden. Tyle musisz się uczyć, żeby zaliczyć na szóstkę. Taką musisz mieć średnią. Tyle musisz zjeść. Tyle musisz spać. A teraz – długo.

– Gdzie jestem? – zapytałam pro forma. Pewnie w szpitalu. Lekarz, jarzeniówki i pikanie, co to mogło być innego.

– Pytałaś już. – Mama przyglądała mi się uważnie.

– Pytałam? – Zupełnie tego nie pamiętałam.

– W szpitalu. Kiepsko by było, gdyby nie Janusz.

Znowu? Powariowali z tym imieniem.

– Chłopak naprawdę się znalazł – kontynuowała mama.

Wzruszyłam ramionami.

– Kiedy zemdląłeś, zawiadomił pogotowie, a potem próbował znaleźć jakiś kontakt. Telefon, nazwisko, cokolwiek. Pani Józefa wracała z zakupów akurat, jak karetka odjeżdżała. Zostawiłaś chłopaka z Pimplem, stał podobno na środku chodnika jak twój tata, gdy go poprosiłam o rękę.

Chłopaka? Z Pimplem? O rękę?

– Pani Józefa poznała Pimpla, chłopak poszedł pod nasze drzwi, ale oczywiście nikogo nie zastał. Pani Józefa zadzwoniła do nas, że jesteś w szpitalu. Przyjechaliśmy następnego dnia, nie dało rady szybciej. Wyobraź sobie, że ten chłopak wziął Pimpla do siebie. Znasz go? Jakiś kolega?

Pokręciłam głową. Chciało mi się spać. Powiem ci, wago, że masakrycznie dużo gadała ta moja mama. Nie miałam siły tego słuchać.



Ojciec założył babce centralne ogrzewanie, ale nie lubiła z niego korzystać. Prosiła mnie czasami, ukradkiem wtykając kosz w ręce – zejdź do piwnicy, przynieś węgiel. Potem z przyjemnością dotykała ciepłych kaflów pieca, który pamiętał chyba jeszcze czasy przedwojenne.

Ojciec zmienił mi także dywan w pokoju. Wyrzucił stary, przetarty i też pachnący starością, jak tapczan. Babka była smutna.

– Ten kobierzec kupił dziadek na naszą dziesiątą rocznicę ślubu – powiedziała. – Po znajomości.

Ojciec nie miał sentymentów, położył w moim pokoju miękką, beżową wykładzinę, przy okazji wykładając nią także dwa inne pokoje. Tylko salonu babcia nie dała ruszyć.

– Tu zostanie, jak jest, aż do mojej śmierci – powiedziała. – Stół na środku, telewizor na serwetce pod oknem i kanapa nakryta narzutą.

Ojciec pokręcił głową, ale nie dyskutował.



Następnym razem otworzyłam oczy w ciszy. Nic nie pipczało, było ciemno i nie dostrzegłam głowy mamy koło mojej lewej ręki.

Leżałam. O niczym nie myślałam, myślówka męczyła, szczególnie w takim zimnie. Niby dali dodatkowy koc, ale ciągle marzłam. Jak oni tu wytrzymywali, w takiej temperaturze?

Przestraszyłam się, gdy usłyszałam szmer. To tata siedział gdzieś z boku, spał chyba, bo westchnął głęboko.

Potem chrapnął, więc kimał na pewno.

Chciałam się podnieść. Skoro tak długo śpię, to powinno mi się chcieć sikać, prawda? Pimpel zawsze chciał sikać, co najmniej raz dziennie, ja też powinnam. Poruszyłam nogą, nie posłuchała mnie. Z ręką było lepiej, machnęłam, trąciłam coś. Metalowe i zimne, jak wszystko tutaj.

Ojciec obudził się.

– Córeczko?

Chociaż ktoś zauważył moje mizerne próby.

Głaskał mnie po głowie, ale mówił niewiele. On zawsze działał, gadanie pozostawiał matce. Teraz siedzieliśmy w ciszy, tak było lepiej. Od jego ciepłej ręki, od tego głaskania zrobiło mi się trochę cieplej. Zasnęłam.

Gdy obudziłam się po raz kolejny, siedziała koło mnie mama. Musiał być dzień, ruszyłam ręką, już o nic nie zaczepiając. Stelaż do kroplówki udało mi się ominąć o centymetry, tym razem dostrzegłam go w porę.

Mama doskoczyła do mnie, tak po prostu. Też głaskała.

– Jesteś – powtarzała, i to było lepsze od ciągłego trajkotania.

– Co dalej? – zapytałam, gdy głaskanie już mnie zmęczyło.

Od razu wiedziała, o co pytam.

– Janusz przychodzi tu codziennie.

– Od kiedy?

– Od kiedy tu leżysz.

No najsowo. Zrobiłam jedną ze swoich min. Wywrócenie oczami, machnięcie

rzęsami, pokręcenie głową, prawy kącik ust opuszczony. Tylko wzruszenie ramion mi nie wyszło. Mamut uśmiechnęła się.

– Od półtora tygodnia.

Próbowałam unieść głowę z wrażenia.

Wiesz, wago, ile może ważyć głowa? Nie wiesz. Ty jesteś tylko głupia waga, co to ważysz bezrozumnie, nic nie wiesz. A ja wiem, że bez głowy byłabym znacznie lżejsza.

– Jest dwudziesty piąty lipca – powiedziała mama. – -Janusz pewnie dziś też przyjdzie.

Pokręciłam głową. Dosko, naprawdę.

– Nie denerwuj się, widział cię już w gorszej kondycji, a ciągle chce przychodzić. Powiedział, że jak ktoś w stanie takiego wyczerpania myśli o wyprowadzeniu psa, to musi być dobrym człowiekiem. Dlatego przychodzi.

Myśli o wyprowadzeniu psa? Zaśmiałam się, zabrzmiało to jak paskudny charkot, matka się przestraszyła. Najchętniej bym tego psa po prostu wypuściła z domu. Wcale o nim nie myślałam, ty to wiesz, wago.

– Będzie chodził z tobą do szkoły, jeśli szybko dojdiesz do siebie.

– Jak to dojdę? – zapytałam. Skrótowo, nie chciało mi się mówić dłużej. No dobra, i tak wszystko wiesz, wago, nie miałam siły mówić.

– Lekarze powiedzieli, że miesiąc może nie wystarczyć.

– Na co? – zdziwiłam się, o nic więcej jednak nie pytałam, bo właśnie wszedł Janusz. Nigdy się chyba nie pogodzę z tym, że ktoś może nosić takie imię.



– W wakacje może znajdziesz jakichś przyjaciół – powiedział do mnie ojciec bez przekonania wkrótce po przeprowadzce.

Przyjaciół – skrzywiłem się w duchu. Przyjaciele to książki. Gry komputerowe mnie nudziły, w szkole czytały poza mną tylko dwie dziewczyny, a i one ciągle podśmiewały się z mojej fryzury. Fakt, włosy miałem poskręcane jak kłęb miedzianego drutu, dosłownie. Loki i ten kolor, gorszy zestaw trudno byłoby wymyślić. Z takim wyglądem, co ja mogłem? Żebym błysnął jakimś ciuchem albo chociaż piwo przyniósł do szkoły... Ale kieszonkowego nie dostawałem, nie potrzebowałem zresztą, na ekstraciuchy rodzice nie mieli, tak przynajmniej mówili. Na książki jednak mieli zawsze, to czytałem.

Chodziłem więc na spacer z psem. Zwykle szliśmy pod las, tam gdzie znalazłem moją przybłądę. Babcia często spacerowała ze mną.

– Mało się uśmiechasz – powiedziała do mnie pewnego dnia.

– Martwię się o mamę – odparłem.

– Twoje zamartwianie nic jej nie pomoże. Może jakichś przyjaciół byś poszukał, co?

Znowu ci przyjaciele. Poza tym nie lubiłem, gdy babka kończyła zdanie pytającym

„co?”. Czułem się wtedy zobligowany do udzielenia odpowiedzi. Jakby babka rzucała tym „co?” na mnie czar. Musiałem odpowiedzieć, i to prawdę.

– Ja... – zająknąłem się, bo wcale nie miałem ochoty odpowiadać. – Ja nie lubię przyjaciół.

Babka nie zaśmiała się.

– Może poszukaj takich, co ich polubisz?

– Ale gdzie? Babciu, ja mam przyjaciół w książkach.

– Oni są najlepsi – zgodziła się babka. Mądra była, może i dlatego lubiłem z nią przebywać.

Dlatego w wakacje, kiedy nie chodziliśmy na spacer, a ojciec był jeszcze w pracy, zapalała w salonie ocienionym gęstymi liśćmi klonu dwie lampy stojące na skrajach kanapy i czytaliśmy. Podsuwała mi różne książki, nie było ich w bibliotekach.

– Twój dziadek był leśnikiem – mówiła. – To i ty o tym poczytaj. Trawy już znasz. – Uśmiechała się.

Czytałem, podczas gdy babka chwytiała robótkę. Szydełko błyskało jej w rękach.

Pewnego dnia podsłuchiłem, jak przyszła do niej pewna pani, która twierdziła, że wyszydełkowana sukienka jest za mała dla jej wnuczki. Nie mieszkałem wtedy jeszcze u babki na stałe, przyszedłem tylko wyprowadzić psa i zostałem chwilę dłużej. Chwilę trwającą talerz pierogów, kompot i ciasto z truskawkami.

– Tu mam zapisane wymiary – broniła się babka.

– Ale niech pani zobaczy, no? – Kobieta była uparta. Przyciągnęła ze sobą dziewczynkę, widywałem ją czasami na trzepaku.

– Urosła przecież – znów usłyszałem babkę.

– Nie urosła aż tak – stwierdziła z przekonaniem przybyła.

Babka była wtedy smutna przez kilka dni. Sukienkę wzięła, widziałem potem zwoje nierównej białej wełny porozwieszane na oparciach krzesel. Potem przez jakiś czas nie robiła szydełkiem.

– Za bardzo to lubię – powiedziała jednak pewnego dnia, znów sięgając po motek.

I tak siadywaliśmy. Wakacje, za oknem upał, w domu chłodno, okna otwarte, lampy zapalone – ja czytałem, babka szydełkowała.



Miał na sobie krótkie spodnie i t-shirt. Zgrabny ałtfit, tylko trochę bez polotu. Wyjątkowo odporny chłopak, w takie zimno tak lekko się ubierać.

– Cześć! – Ucieszył się. Chyba.

Ja też się ucieszyłam, aż przełknęłam ślinę, zakrztusiłam się i dopiero potem zdałam sobie sprawę, że mu nie odpowiedziałam. Czy ja mam na niego krasza?

– Cieszę się, że cię widzę – powiedział później. Siedział koło mamy, ja głównie mrugałam, on mówił. Gadał prawie tyle co moja matka, ale zupełnie inaczej się słuchało.

– Przestraszyłem się, kiedy upadłaś. Nie zdążyłem cię złapać, lupnęłaś na ziemię z

hukiem. Aż się zdziwiłem, że ktoś tak drobny mógł narobić tyle hałasu.

Drobny? Ja? No bez beki. Z tymi wszystkimi wałkami tłuszczu?

– Twój pies lizał cię po twarzy, ja też próbowałem cucić, ale moja suka mnie odciągała. Trochę spanikowałem, wiesz, na nikim jeszcze nie zrobiłem tak piorunującego wrażenia, żeby ktoś mdlał po dwóch zdaniach. Szczęście, że komórkę miałem. Chciałem w domu zostawić, ale wiesz, ojciec mi kazał. Miał rację.

To Janusze mają ojców? – zdziwiłam się, ale nic nie mówiłam. Trudno było przerwać chłopakowi. Zresztą, wcale nie chciałam przerywać. Wiesz, wago, dobrze się go słuchało. Słuchanie go przesuwalo się coraz wyżej na mojej chciejliście.

– I jak przyjechała karetka, to musiałem się tłumaczyć. Że cię nie znam i tak dalej. Odmówili zajęcia się psem, więc go wziąłem. Nie chciałem nawet myśleć, jaką ojciec będzie miał minę, kiedy zobaczy mnie z dwoma psami. Wiesz, tę naszą sukę też kiedyś znalazłem. Wcale nie chcieliśmy psa. Ojciec nie bardzo miał głowę do tego. Mama by się pewnie nie zgodziła...

Przerwał na chwilę, a ja nie zajarzyłam, że coś tam się u niego nie zgadzało z tą mamą. Po prostu słuchałam.

A on tak gadał i gadał, aż usnęłam.



Książki od babki były inne. Nie zawierały przygód, tylko opisy drzew. Poprosiłem ojca, żeby zabrał mnie do najbliższego arboretum.

– Gdzie? – zdziwił się.

– Tam gdzie Henryk drzewa sadił – odpowiedziała babka.

Potem ojciec kupił mi kilka książek. Według nich drzewa miały mieć duszę. Nigdy w to nie wątpiłem.

– A w sobotę pojedziemy do Ustanowa – powiedziała babka do ojca. Była środa, ojciec wrócił z pracy, pogięty i szary jak zwykle. Podniósł głowę znad rosółu, ułożył usta w pytanie, ale tylko wzruszył ramionami i zjadł dwie kolejne łyżki zupy.

– Dobrze – powiedział, wycierając usta.

Nie miałem pojęcia, gdzie to jest i po co mamy tam jechać.



Następnego dnia obudziłam się późno. Było już prawie wpół do dziesiątej, obok stały kwiaty, niewielkie, ogrodowe kosmosy. Mama wysiewała je czasami pod blokiem, pod oknem sąsiadki, za jej zgodą. Podobno Janusz przyniósł. Czyli był już, przespałam jego wizytę.

A gdy kolejnego dnia lekarz mi powiedział, co mnie teraz czeka, od razu zapomniałam o Januszu. I o wszystkim innym. Wago! Lekarz mi powiedział, że muszę

jeść! No zajedwabiście. Byłam taka dumna, że się odzwyczaiłam od jedzenia, że mi się udało, że wreszcie schudłam! Już prawie byłam bretarianką. W tym szpitalu mieli zmarnować tyle miesięcy mojego racjonalnego odżywiania się, zmniejszania porcji, wyrzucania tłuszczów i wszystkich kalorii ukradkiem do kosza, w nocy, kiedy wydawało mi się, że matka już śpi!

– Karmimy cię teraz dożylnie.

Karmią mnie! Nie chcę! Powinnam się stąd amputować. Strzelę chyba zaraz bulwersa.

– Dzięki temu dochodzisz do siebie. Ale tylko od ciebie zależy, czy wrócisz we wrześniu do szkoły.

Przecież do podbazy ma też chodzić Janusz, muszę tam być.

– Porozmawiasz jeszcze z psychologiem.

Nie chcę rozmawiać z żadnym psychologiem. Chcę normalnie wrócić do szkoły, tylko nie zmuszajcie mnie do jedzenia!

Lekarz wyszedł, na szczęście nie słyszał, co myślałam. Działał mi na system, nie ma co. Mamut patrzyła tak dziwnie.

– Będziesz musiała, córeczko.

– Nie chcę! – wykrzyknęłam. Tylko że ciągle mój krzyk był ledwo słyszalny.

Matka chwyciła mnie za dłoń. Wyjęłam ją z jej ręki, chociaż chciałabym powiedzieć, że wyrwałam. Jeszcze tyle siły nie miałam.

– Nie wrócisz do szkoły, jeśli od jutra nie zaczniesz pracować z psychologiem. Nie pozwolę na to. Twoje odchudzanie doprowadziło cię na skraj śmierci.

Śmierci? Co matka opowiada! Do dednięcia mi daleko. Zaczynam dopiero wyglądać przyzwoicie, jak prawdziwa cziksa. Wreszcie te głupie flądry, cyniary jedne, wszystkie te Samanty, Zuzki i Paulinki w adasiach, najach i kornsach przestaną ze mnie kręcić bekę. Jestem szczuplejsza od nich, jestem piękniejsza!

Pokręciłam głową.

– Nie musisz nic mówić – kontynuowała matka.

Mówiłam ci już, wago, że z moją matką nie da się normalnie pogadać, cnie? W mówieniu nie można jej zatrzymać.

– Po prostu jutro porozmawiasz z panią psycholog. A ja już dzisiaj pójde. Wprawdzie mam wakacje, ale muszę zadbać o dom. Tata i ja też musimy żyć. Tak jak ty.

I mamut wyszła. Tak po prostu. Zostawiła mnie! Swoją śliczną, cudowną, ukochaną bjudi córeczkę! Ja też powinnam stąd wyjść. Asapowo. Zaczynam się cykać.



Podróż nie trwała długo. I właściwie na miejscu nic nie było. Ślad po ogrodzeniu. Rozsypująca się buda. Miałem wrażenie, że wystarczy popchnąć, a drewniana konstrukcja rozleci się jak domek z kart, który kiedyś pokazała mi babcia.

– Tylko nie mów tacie, że ci się kartami pozwoliłam bawić – powiedziała wtedy.

Bawić... Miałem trzynaście lat. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym się czymś „bawić”.

Teraz babka wyjęła z torebki klucze i otworzyła drzwi.

– Rudera – stwierdził ojciec, a babka pokiwała głową.

Suka wybiegła z samochodu uszczęśliwiona. Wąchała, chodziła w kółko, potem położyła się na słońcu.

Domek miał dwa pokoje, kuchnię, w której stał stół i mikrokomódka pod ścianą, oraz łazienkę wielkości napastrka. Gdy tam wszedłem, nie mogłem usiąść na sedesie bez zaczepiania o drzwi. Całe szczęście, bo klozet był nieczynny.

W jednym z pokoi stały dwa tapczany, takie jak ten u babci, który tata wymienił na moje nowe łóżko. Znajdowały się tak blisko siebie, że trzeba było przechodzić bokiem do końca pokoju, gdzie ustawiono regał z książkami. Byłem zdumiony. Książki, tutaj? Same pozycje o leśnictwie. Stałem zafascynowany, babka weszła do pokoju i od niechcenia powiedziała, że mogę wziąć, co chcę. Wszystko chciałem.

Ojciec załamał ręce.

– Ten kurz i grzyb do domu będziesz zwoził?

Babka złapała go za łokieć i pokręciła głową. Machnął więc tylko ręką.

– Nie mam tylu kartonów – powiedziała.

Dlatego zapakowałem tylko część.

W drugim pokoju stała wersalka, wyglądała jak paszcza hipopotama. Szara, otwarta.

– Wietrzy się – powiedziała babka. W środku leżały jakieś kołdry, poduchy. – To już pewnie do wyrzucenia – stwierdziła ze smutkiem. – Twoja mama, twój dziadek Janusz i ja często tu kiedyś przyjeżdżaliśmy. Tu spędzaliśmy wakacje.

– Na działce? – zdziwiłem się. Wakacje ludzie spędzali nad morzem, w ciepłych krajach, w hotelach. Wszyscy oprócz mnie, to wiadomo, ja nie miałem z kim pojechać, może na kilka dni, z tatą, jak się wyrobi z pracą, tak przynajmniej obiecał.

Babka tylko kiwnęła głową.

– Zanim powstał ten dom, spaliśmy w namiocie.

– W namiocie? – Oczy mi się zaświeciły. – Chciałbym kiedyś spać w namiocie – wyrwało mi się.

Ojciec się skrzywił.

– Tato? – zapytałem.

– Może kiedyś.

Kiedyś, kiedyś. Dla ojca zawsze miało być kiedyś. Odkąd mama leżała w szpitalu, nawet nie można z nim było porozmawiać.



Po południu przyszedł Janusz. Całe szczęście. Nie spałam już, nudziłam się. Zmuliło mnie kompletnie. Nie miałam siły czytać, wstać, nawet tivi nie było. Pomyślałam,

że może matka przyniosłaby mi jakiegoś audiobooka.

Ucieszyłam się, kiedy chłopak wszedł do sali. Wiadomka, wstyd się przyznać, ale wbrew woli gęba mi się śmiała. Bosz! Jak on wyglądał!

Nie rozmawialiśmy wiele. On się czerwienił, a ja to chyba cała byłam malinowa.

– Przystajesz być już taka przeraźliwie blada – powiedział.

Ja, blada? Miałam porcelanową cerę, świetlistą, z odrobiną gotyku w cieniach pod oczami.

– To dobrze – kontynuował. Chwycił mnie za rękę. – Nie pozwalają tu przynosić kwiatów, tylko wtedy raz się zgodzili. Nie mam zresztą jak, tylko takie rosną u mojej babki w ogrodzie.

– Daleko mieszkasz? – zapytałam wbrew sobie. Bo jak to tak pytać wprost?

– W tym domu niedaleko waszego bloku. Jeden taki się ostał, pomiędzy numerem osiem a dwanaście.

– To twój dom? – Nie powstrzymałam zdumienia. Fleszbek mi nie pasił za bardzo.

W tym domu mieszkała kocia wariatka. Tak nazywaliśmy tę wiecznie rozczochaną wiedźmę, która wystawiała przed domem codziennie kilka misek z kocim żarciem. Dziewczyny mówiły, że u niej śmierdzi, ja nigdy tam nie podchodziłam.

Wiesz, wago, zapachy to delikatna sprawa. Kiedy jest się niejedzącą, kiedy odzwyczajasz się od żarła, wszystko pachnie mocniej. Aż do bólu głowy. Skoro więc tam miało śmierdzieć, nie chodziłam pod numer dziesięć.

Jednak to było nielogiczne. Jeśli u babety śmierdziało, to Janusz też powinien... pachnieć inaczej. A on nic. Jakieś dezo może.

Kiedyś z daleka przylukałam, jak przychodziły do niej koty. Stałam z boku, od strony parkingu, bo z naszego balkonu nic nie było widać, wielki klon zasłaniał wszystko. Kocury wsadzały nosy w metalowe miski, starucha postawiła stółek niedaleko, niektóre podchodziły do niej. Część się łąsiła, wtedy ona wyciągała rękę i je głaskała. Niektóre tylko skubały trochę z michy i odchodziły. Potem kobieta zbierała pojemniki i zanosila do domu. Po kocim żarciu!

Chociaż w sumie przecież po psim jedzeniu też myjemy miskę, nie śmierdzi. I jeśli Pimpel jest wykąpany, nie ma zapachu.

– Moja babcia nie zgodziła się go sprzedać, chociaż oferowali dobrą cenę. A gdy mama... teraz mieszkamy tam we trójkę, babcia, tata i ja. Zaczęliśmy remont, dlatego tak wyglądam.

Dopiero teraz zwróciłam uwagę na trzy białe plamki na nosie i na poskręcane hery trochę ochlapane farbą. W niczym to nie odbierało Januszowi atrakcyjności. Cały czas był epicki. Difoltowo się uśmiechnęłam.

– Pomagacie jej? – zapytałam cicho.

– Nie ma już tyle siły, co dawniej. Ciągłe przychodzą te koty, chociaż znacznie ich mniej, bo przstraszyły się Luny. Ale mnie to nie przeszkadza, wolę psy niż koty.

– Zmęczyłem cię chyba – powiedział po długiej chwili milczenia, podczas której panicznie zastanawiałam się, co powiedzieć, żeby nie wyjść na łajniarę. Nie powiedziałam nic, jak idiotka właśnie. – Wiesz, że będę chodził do tej samej szkoły co ty?

– Słyszałam. – Uśmiechnęłam się. Chyba blado, bo kręciło mi się w głowie. Znowu.

– Do siódmej be.

Siódma be? No aksamitnie wprost. Moja klasa! Ratunku!

– Pójdę już, odpocznij.



Kiedy wyszliśmy przed dom, babka przystanęła na trawie. Właściwie łące, wysokiej, od lat niekoszonej, w której odznaczała się jedynie wydeptana przez nas ścieżka.

– To wszystko będzie kiedyś twoje.

Odwróciłem się w jej stronę przekonany, że mówiła do ojca. Patrzyła jednak na mnie.

– Mamo – przerwał jej tata.

Uciszyła go gestem.

– Tak będzie. Dom w Warszawie i to.

Chodziłem w milczeniu, deptając trawę. Rozpoznawałem wiele gatunków, ale jeszcze nie wszystkie. Ojciec grzechotał kluczykami.

– Teraz coś zjemy – powiedziała babka.

– Mamo, wracajmy, zjemy w domu. Mam dużo pracy. – Ojciec ostatnio zawsze miał dużo pracy. Kiedyś, kiedy mama mieszkała jeszcze z nami, nie zabierał tylu papierów do domu. Wieczorami oglądaliśmy razem telewizję albo coś czytał, albo po prostu siedzieli z mamą przy stole i rozmawiali. Czasem głośno, czasem szeptali. Czasami się kłócili, głównie o wakacje. Mama zawsze uważała, że trzeba wyjechać. Tata – że nie ma pieniędzy. Teraz nie mówił, że nie ma pieniędzy. Teraz nie miał czasu.

– Praca nie zajac – odpowiedziała babka.

– Gdzie zajac? – zainteresowałem się, bo usłyszałem tylko końcówkę wypowiedzi babci.

– Na razie nigdzie – odpowiedziała babcia, a tata spojrzął na mnie niezadowolony.

– Ale zajęcy tu jest bez liku. Tak jak innych zwierząt. Duży kawałek tego lasu przynależy do tej działki. Będzie twój.

– Jak duży? – zapytałem odruchowo, bo odpowiedź nie miała dla mnie znaczenia.

– Bardzo – odpowiedział za babcię ojciec. – Chodźcie coś zjeść.

Wszedł do domu. Tata nie widział, że babcia przygotowała trzy wielkie kosze z jedzeniem. Były w samochodzie, sam je tam zaniósłem.

– Tam nie ma jedzenia – powiedziała babka, a ojciec zatrzymał się w pół kroku. Nie byłem tu rok, zerknij lepiej do bagażnika.

Ojciec potrząsnął głową, ostatnio coraz częściej tak robił, jakby zrzucał z siebie jakąś pajęczynę, opędzał się tak dziwnie. Nie miał wcześniej tego nawyku.

Smakowało mi jak nigdy. Jedliśmy przy kuchennym stole wyłożonym ceratą w niebieską kratę. Każdy z talerzy był inny, niektóre miały obtłuczenia. Mama by na to nigdy nie pozwoliła. Dbała, aby wszystko ładnie wyglądało. Nawet zastawa. Na stole

stawiała talerze z tym samym wzorem, a obtłuczone od razu wyrzucała.

Może nie od razu. Część z nich najwidoczniej znalazła się tutaj, poznawałem desenie. Wiele razy powtarzała: „Ten talerz jest nie od kompletu, przynieś inny. Ten talerz już do wyrzucenia...”.

– Babciu, dlaczego nie przyjeżdżaliśmy tu wcześniej?

– Przyjeżdżaliśmy, tylko nie pamiętasz – odparł ojciec, nie patrząc mi w oczy.

– To dlaczego nie przyjeżdżaliśmy od tak dawna, że tego nie pamiętam?

– W końcu może trzeba z tym skończyć – powiedziała babka, a ojciec wzruszył ramionami.

– Twój dziadek był myśliwym.

– Mówiłaś, że leśniczym?

– Niezupełnie. Chciał być leśniczym, ale ułożyło się inaczej. Dlatego w arboretum sadził drzewa jako ochotnik, wtedy wiele rzeczy robiło się w czynie społecznym, nawet pewnie nie wiesz, co to jest. Dziadek pracował na Belgijskiej, w laboratorium chemicznym. U dawnego Gąseckiego, tak mówiliśmy. Kiedyś wytwarzali tam tabletki, takie słynne, na ból głowy, z kogutkiem. Jak dziadek tam pracował, to produkowali już inne lekarstwa, ale warszawiacy te kogutki ciągle wspominali.

Patrzyłem na babkę skonsternowany.

– No i?

– Po latach Janusz kupił ten kawałek ziemi, razem z lasem. Nie został prawdziwym leśniczym, ale mógł tu chodzić po lesie, spacerować. Zaczął polować już wcześniej, przywoził do domu zające, czasem coś większego. Dużo dziczyzny. Tutaj był już na rencie, miał kłopot z lewą ręką. Przyjeżdżaliśmy często, dziadek lubił nocować w lesie, na ambonie. Nie ma jej już – zastrzegła od razu, widząc mój wzrok. – Najpierw trochę się bałam, zostawałyśmy tu z twoją mamą same. Więc dziadek wybudował nam domek, właśnie ten. Mieszkałyśmy tu czasem całe lato, dziadek często chodził do lasu, bywało, że wracał następnego dnia. Nie denerwowałam się. Aż pewnego dnia nie wrócił. Przestałam lubić to miejsce. Dziadek spadł z ambony, być może źle chwycił szczeble chorą ręką, nie wiem. Przeleżał kilka godzin, to był okropny widok. Nawet nie pamiętam, kto go znalazł. Od tego czasu unikałam przyjeżdżania tu, twoja mama też przestała lubić to miejsce. Zaglądałam do domku tylko po to, by trochę w nim posprzątać.

– Pewnie po dziadku masz zamiłowanie do lasu i zwierząt. – Uśmiechnęła się do swoich myśli. – Może będziesz chciał kiedyś tu mieszkać.

– O, są zające – powiedziałem, patrząc na sąsiadujący z działką ugór.

– Na pewno – odparł ojciec, podnosząc się zza stołu.

W drodze powrotnej pies ułożył się na moich kolanach, chwilę później zasnęłam.



Droga wago, spadaj z mojego życia. Nienawidzę cię. Oszukiwałaś mnie cały czas. Nie chcę cię. Nie chcę już ważyć trzydziestu dziewięciu kilo. Janusz tego nie lubi.

Droga wago! Jednak cię nie wyrzucę. Zawrzyjmy kompromis. Ja nie będę wchodzić na ciebie z psem na rękach, a ty będziesz zawsze pokazywać pięćdziesiąt osiem kilo. Jak już do nich dojdę.

Nienawidzę jedzenia.

Muszę jeść.

Żyję dzięki jedzeniu.

Chcę żyć.



– Do licha! Przestańcie – krzyczałam.

Droga wago, wcale nie do ciebie, przecież to liczba mnoga. Krzyczałam do swoich dzieci.

– Przestańcie mi tu wnosić piach z podwórza!

– I igły, mamó. I igły z lasu przynieśli. Sosnowe – pochwaliła się moja najmłodsza córka.

Przy niej przytyłam najwięcej. Ważyłam tuż przed porodem siedemdziesiąt jeden kilo!

Janusz patrzył z dużą uwagą, kontrolując każde moje wejście na wagę.

– Nie schudnij, tylko za bardzo nie schudnij – powtarzał codziennie po każdym porodzie. – Nie lubię chudzielców.

– Przecież zakochałeś się w chudzielcu, prawda? – Uśmiechałam się. Teraz miałam siły na uśmiech. Miałam siły na krzyk. Miałam gęste włosy i cerę, która przestała być przezroczysta. I nie kręciło mi się w głowie, chociaż czasami bolała.

– Zakochałem się w kimś, kto nie miał siły zejść po schodach, ale wychodził z psem na spacer.

Może kiedyś mu powiem prawdę.

Pimpel, który po powrocie do domu nie odstępował mnie ani na krok, który lizał mnie po rękach i twarzy, jeśli nie zdążyłam go odgonić, a przez pierwsze dni nie miałam siły na odganianie, uratował mnie, wyciągając na ten zniechęcony spacer. Na który nigdy bym nie poszła, gdyby nie jego skamlenie, drapanie i upierdliwe domaganie się wyjścia, co miałam mu tak bardzo za złe.

Pimpel, który leży teraz w rogu naszej zalesionej posesji. Obok Luny. Na działce, którą oficjalnie podarowała nam babcia Janusza w dniu moich osiemnastych urodzin. Powiedziała, że życzyłaby sobie tego dziadek. A ja myślę, że życzyłaby sobie tego także mama Janusza. Nie poznałam jej, ale duchem na pewno jest z nami. Tu, na działce, na której nic nie było, gdy ją po raz pierwszy zobaczyłam. Tylko las, zaraz obok, resztki jakiegoś fundamentu i widok, którego nie oddałabym za nic.

– Zabierzcie te psy! – krzyknęłam bez przekonania do dzieci.

Goldeny, oczywiście, kremowobiałe. Trzy, dla każdego dziecka po jednym. Mają je chronić przed głupimi pomysłami, a dzięki ciepłym jęzorom nigdy nie pozwolić na to,

żeby przeniknęło je zimno.

Droga wago, nienawidzę cię.

Wszystko przez Kazika

Agnieszka Olejnik

Pani Jadwiga tłukła się po kuchni zakopiańskiej willi Macierzanka niczym otumaniona dymem pszczoła. Zapewne nie miała pojęcia, co ze sobą zrobić i jak zapanować nad nerwami. Ja natomiast obgryzałam skórki przy paznokciach niemal do krwi. Nie próbowałam nawet ukryć zdenerwowania. Całą energię włożyłam w to, żeby nie wybuchnąć płaczem, ponieważ z jakiegoś kompletnie nielogicznego powodu wydawało mi się, że w ten sposób chronię Adama. Mogłam sobie pozwolić na lęk, strach, niepokój, obawę, przerażenie, czy nawet panikę (zresztą żadne z tych określeń nie wydawało mi się właściwe, wszystkie były niewystarczające, słabe i jakieś rozmyte w porównaniu z tym, co kotłowało się w mojej duszy), jednak poddać się rozpacz, znaczyłoby wydać wyrok. Zupełnie jakbym podjęła decyzję o zakończeniu poszukiwań.

– Pan Adaś przyjeżdża do mnie od lat – powiedziała pani Jadzia, odwracając się wreszcie i stawiając przede mną talerzyk z rogalikami orzechowymi. – Zaraz jeszcze zrobię kawę. No więc pan Adaś przyjeżdża tu od lat i dobrze zna góry. Jeszcze jako dziecko odwiedzał mnie z ojcem.

Przecież doskonale o tym wiedziałam. Znałam na pamięć każdą z jego tatrzańskich opowieści.

– Na pewno zmienił zamiar, poszedł innym szlakiem i teraz jest gdzieś u Słowaków, bo tu po naszej stronie, pani Oleńko, ani czubka własnego buta by nie dojrzał, taka mgła.

O tym także wiedziałam. Przeanalizowałam skrupulatnie zmieniającą się z godziny na godzinę pogodę oraz warunki na szlakach. Wspólnie z ratownikami próbowaliśmy odgadnąć, w jakim kierunku powędrował mój mąż, dokąd mógł pójść, jeśli nie było go na grani Orlej Perci, nie zszedł także ani do schroniska Murowaniec, ani do Doliny Pięciu Stawów Polskich. Znałam Adama na tyle dobrze, że nie mieściło mi się w głowie, aby bez powiadomienia mnie zmienił decyzję i udał się na zupełnie inny szlak. Wiedziałam, że Orlą Percé traktował jak rozgrzewkę przed Rohaczami, ale to była zupełnie inna część Tatr. Musiałby pojechać do wylotu Doliny Chochołowskiej albo zabrać się do Rohaczy od słowackiej strony, a przecież kiedy z nim ostatnio rozmawiałam, był w Kuźnicach.

Dlaczego nie zadzwoniłam jeszcze raz, wściekałam się na siebie. Dlaczego nie upewniłam się, czy postanowił podchodzić na Zawrat, czy może chciał zacząć wędrowkę granią jeszcze przed Świnicą?

Znałam odpowiedź: byłam zbyt pewna, poczułam się zbyt bezpiecznie – oboje się tak czuliśmy. Adam był doświadczonym turystą, więc nie przyjmowałam do wiadomości,

że grozi mu jakiejkolwiek niebezpieczeństwo. Zupełnie jakby szlaki wiodące w Tatry były spacerową alejką wokół malowniczego jeziora. Tego dnia nie poszłam z mężem w góry, bo byłam jeszcze słaba z powodu rozstroju żołądka, którego nabawiłam się po zjedzonym w przydrożnej knajpcie bigosie. Adam pielęgnował mnie przez cały weekend. Przynosił gorzką herbatę i sucharki, ale w poniedziałek – właśnie tego feralnego dnia – powiedziałam, żeby poszedł w góry sam.

– Bez przesady z tą troskliwością, ja tu sobie świetnie poradzę – oznajmiłam. – Nie mam jeszcze siły iść tak wysoko, ale przejdę się na zakupy, dokupię butlę z gazem w Alpinusie, przyda się nam na Słowacji. A potem poczytam albo obejrzę jakiś film z kolekcji pani Jadzi. Ostatecznie, jeśli będzie mnie zżerała nuda, wyjdę ci naprzeciw i poczekam w Murowańcu.

Poszedł więc. Gdyby zepsuła się pogoda, bo zawsze brało się to pod uwagę, mógł zejść z grani znacznie wcześniej. Najłatwiejsze były zejścia z Zawratu albo Koziego Wierchu na stronę Pięciu Stawów, więc te dwa szlaki zasugerowałam ratownikom. Odpowiedzieli, że gdyby nimi schodził, to prawdopodobnie doszedłby bezpiecznie do schroniska. Gorzej, jeśli we mgle stracił orientację i poszedł jedną ze ścieżek, które tylko wydają się szlakami.

Analizowaliśmy jego wyprawę godzina po godzinie. Pogoda zepsuła się na dobre dopiero po południu, a ja znałam tempo Adama. Moim zdaniem był już wtedy za połową grani, może na Granatach. Kiedy powiedziałam o tym goprowcom, zrobili niewesołe miny. Doskonale wiedziałam, że to nie jest dobra wiadomość. W okolicach tych szczytów znajdowało się niewiele miejsc, gdzie można bezpiecznie zejść z grani. Szczerze mówiąc – nie było ich wcale.

We wtorek czułam jeszcze względny spokój, ale kiedy śródowe poszukiwania także nie przyniosły rezultatów, stałam się kłębkiem nerwów. Tatry nadal tonęły w chmurach, było mokro i bardzo zimno, akcja poszukiwawcza z użyciem śmigłowca nie wchodziła w grę. Telefon Adama milczał, musiał być wyłączony albo znajdował się poza zasięgiem.

– Niechże pani je, pani Olu – powiedziała gospodyni, podstawiając mi rogaliki niemal pod brodę. – A tu kawa, proszę. Ja też sobie zaparzę i posiedzę z panią, w końcu nic wielkiego nie mam do roboty.

Nie odpowiedziałam. Spojrzałam na wypieki, pokryte karmelizowaną skórką. Wyglądały apetycznie, ale ja od dwóch dni nie byłam w stanie nic przełknąć, zupełnie jakby w moim żołądku zamieszkało coś żywego, co reagowało buntem na samą myśl o wciśnięciu tam czegoś jeszcze. Mogłam jedynie pić – i piłam kawę za kawą, potem, z rozsądku, bo serce zaczynało mi łomotać jak szalone, herbatki ziołowe, aż wreszcie zapijałam przerażenie wodą. Pani Jadzia proponowała śliwownicę, jednak bałam się, że po alkoholu wyleje się ze mnie płacz, a tego przecież musiałam za wszelką cenę uniknąć. Dopóki nie płakałam, Adam żył. Wierzyłam w to, nawet jeśli była to głupia wiara.

– A jak wy się właściwie poznaliście? – zagadnęła pani Jadzia, przysiadając się do mnie ze swoją kawą. – Bo pan Adaś przyjeżdżał najpierw z rodzicami, potem przez kilka lat sam, tylko raz na studiach przywiózł grupę przyjaciół i była tam wprawdzie jakaś dziewczyna, ale chyba nic ich nie łączyło... A potem to już z panią, pani Olu. I jakoś nigdy nie zapytałam, czy wy się właśnie w górach zeszliście, czy jak.

Doskonale wiedziałam, że próbuje mnie zagadać, żebym choć na chwilę przestała się bać. Westchnęłam. To była długa historia, a ja nie czułam się na siłach jej teraz opowiadać. Zresztą nie miałam pojęcia, od czego musiałabym zacząć...



Pociąg relacji Gdańsk – Poznań kołysał się miarowo z boku na bok. Ten łagodny stukot zawsze pozwalał mi się wyciszyć. Przeważnie zasypiałam już po piętnastu minutach jazdy; dzięki temu podróż mijала mi szybciej i znośniej.

Nie cierpiałam moich cotygodniowych dojazdów do akademika. Większość podróży wlepiала wzrok w książki lub kolorowe gazety. To były czasy, kiedy o telefonach komórkowych nikt jeszcze nawet nie marzył. Dziś ta scena wyglądałaby zupełnie inaczej: podróżni mieliby w rękach smartfony, na kolanach laptopy, a w uszach słuchawki. Wtedy jedynym, co pozwalało umilić sobie jazdę, było staroświeckie czytanie albo jeszcze bardziej staroświecka rozmowa.

Tego dnia w przedziale nikt nie rozmawiał, panowała smętna cisza, przerywana jedynie szelestem odwracanych kartek. W moim przypadku czytanie odpadało. Po prostu w czasie jazdy nie mogłam patrzeć na litery; mój błędnik natychmiast wariował i robiło mi się niedobrze. Autobusem nie jeździłam nigdy, pociągiem odważyłam się dopiero po maturze, trochę dlatego, że nie miałam innego wyjścia. Okazało się, że nie jest tak źle, pod warunkiem, że siedzę przodem do kierunku jazdy. O jedzeniu ani picciu w podróży nawet nie myślałam, nie mówiąc już o nauce (a szkoda, bo akurat trwała sesja letnia i chętnie powtórzyłabym to i owo z gramatyki historycznej). Tak więc na ogół pozostawał mi jedynie sen.

Tamtego dnia o drzemce nie było jednak mowy. Nie z tego powodu, że któryś z pasażerów zachowywał się głośno – wyłącznie dlatego, że pod oknem w moim przedziale siedział ON. Znałam go z widzenia, mieszkał w akademiku o nazwie Eden. Ja dostałam miejsce w sąsiednim Babilonie.

Przystojniak z zamyślonymi, szarozielonymi oczyma. Brunet, ciemne brwi, pociągła twarz, okulary w cienkich oprawkach. Czasem zapuszczał kilkudniowy zarost i wtedy podobał mi się najbardziej, ale najwyraźniej nie mógł się zdecydować albo po prostu nie zależało mu specjalnie na konsekwencji w stylu, bo co jakiś czas golił się na gładko i wtedy wyglądał jak nastolatek. Był bardzo wysoki i szczupły, ale kilka razy widziałam go na basenie, bo oboje wybraliśmy pływanie jako obowiązkowy WF, i wówczas przekonałam się, że ta jego chudość to mięśnie. Nie jakies przesadnie wyrzeźbione, ale jednak. Bardzo mi się podobał.

Miał zajęcia w Collegium Maius albo w okolicach – tyle wywnioskowałam z jego preferencji tramwajowych. Mógł studiować geografię, biologię, coś z nauk przyrodniczych. W owym czasie nie było jeszcze wielkiego kampusu na Morasku. W każdym razie ja miałam zajęcia przy alei Niepodległości i dlatego rzadko natykałam się na niego w tramwaju albo autobusie. A już w pociągu – nigdy. Właśnie dlatego teraz,

kiedy wsiadłam do przedziału i zobaczyłam, że siedzi pod oknem – oniemiałam, zarumieniłam się okropnie i straciłam rezon.

Zresztą nigdy nie umiałam zagajać, zawierać znajomości. Tym bardziej z kimś, kto wydawał się tak niedostępny, może nawet zarozumiały. W ogóle się nie uśmiechał, chmurne spojrzenie miał zawsze utkwione gdzieś w dal. Teraz także nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi – wpatrywał się w migające za oknem widoki, a kiedy odwracał oczy, to tylko po to, żeby wpisać brakujące hasło do krzyżówki. Robił to jednak od niechcenia, jakby wcale nie zależało mu na rozwiązaniu całości.

Siedziałam tuż przy drzwiach. Żeby nie zerkać ciągle na przystojniaka, przyjrzałam się pozostałym pasażerom zajmującym nasz przedział. Naprzeciwko mnie siedziała nastolatka w tym wyzywającym stylu, którego szczególnie nie lubiłam. Miała ostry makijaż i lekko natapirowane włosy. Nosiła džinsowe spodenki tak krótkie, że nie było ich widać spod różowej koszulki i przez chwilę wydawało mi się, że dziewczyna jest w samych majtkach. Cóż, zdecydowanie nie moje klimaty.

Obok niej, rozparty wygodnie na dwóch siedzeniach, siedział mężczyzna w nieodgadnionym wieku, przynajmniej dla mnie – nigdy nie umiałam ocenić, czy ktoś ma lat czterdzieści, czy na przykład o dziesięć więcej. Zwłaszcza u tego typu facetów, którzy nie dbają o siebie, zapuszczają piwny brzusek, mają tę samą fryzurę od czasów, kiedy skończyli technikum, a ubierają się tak, jakby za wszelką cenę chcieli stać się niewidzialni. Spodnie nieokreślonego koloru, do którego najbardziej pasuje określenie „bury”, beżowa koszulka polo i jesienne buty, choć była już końcówka maja, a w dodatku nękała nas pierwsza w tym roku fala upałów.

Oprócz tej trójki w przedziale znajdowały się jeszcze dwie kobiety, ale siedziały po mojej stronie, toteż nie mogłam im się przyjrzeć. Jedna z nich była otyła, siedziała na dwóch siedzeniach, lecz nie dlatego, że rozparła się wygodnie, jak facet z naprzeciwka – po prostu nie mieściła się na jednym. Druga pasażerka, elegancka, szczupła i powściągliwa, siedziała przy oknie z nosem w książce.

W pewnej chwili moją uwagę przykuła starsza pani, która powoli szła korytarzem. Musiała wsiąść na ostatniej stacji – rozejrzałam się, ale po jednostajnym krajobrazie za oknem nie mogłam wywnioskować, gdzie właściwie jesteśmy. Staruszka zajrzała kolejno do kilku przedziałów, lecz z każdego się wycofywała, zapewne usłyszawszy odpowiedź, że nie ma wolnych miejsc. Dopiero po chwili zauważyłam, że pod pachą niosła małego pieska – coś jakby skrzyżowanie ratlerka z chihuahua.

Zrobiło mi się przykro, patrząc, jak kobieta odchodzi od kolejnych drzwi. Znałam ten sposób, wiele razy wykorzystywali go moi znajomi. Nazywałam go „metodą na ludozercę” – oczywiście tego z wiersza Różewicza. Siada się na jednym siedzeniu, a kurtkę albo bluzę wieszają naprzeciwko. Kiedy intruz pyta, czy jest wolne miejsce, przepraszającym tonem mówi się, że niestety nie – i wskazuje na wiszącą na wieszaku odzież. Delikwent uznaje, że nieobecny pasażer udał się do toalety, i odchodzi. Wszyscy w przedziale oddychają z ulgą, bo jest więcej miejsca na nogi, siedzenia i ramiona. Zwłaszcza jeśli się jedzie w nocy.

Ale teraz mieliśmy dzień, zaś szukająca miejsca pasażerka była staruszką. To po pierwsze. A po drugie – ni stąd, ni zowąd przypomniała mi się książka, którą czytałam

jako nastolatka. Któraś z części *Jeżycjady* Musierowiczowej. Nie pamiętałam już treści, ale w głowie mignęło mi wspomnienie klubu ESD, którego członkowie wysyłali ludziom Eksperymentalne Sygnały Dobra, żeby sprawdzić, czy owo dobro do nich wróci, niczym odbite w jakimś magicznym lustrze.

Pod wpływem impulsu, kiedy staruszka odsunęła drzwi naszego przedziału, uśmiechnęłam się – niestety nieco sztucznie – i uprzedzając jej pytanie, powiedziałam:

– Prosimy, są dwa wolne miejsca. A piesek jaki śliczny!

Kłamałam w żywe oczy. Aż mi się zrobiło wstyd. Bo miałam przed sobą najbrzydsze stworzenie, jakie w życiu widziałam. Taka była prawda. Oczka wylupiaste, przy czym jedno wyraźnie większe od drugiego. Siwiejący pyszczyk się nie domykał, bo sterczały z niego krzywe ząbki. Grzbiet był przygarbiony, łapki drobniutkie, ze zbyt długimi, zawiniętymi pazurkami, i pokryte czymś w rodzaju strupów, a całe ciało trzęsło się, jakby w przedziale panował kilkustopniowy mróz.

– Nie bój się – powiedziała staruszka do psa, sadwiąc się na miejscu między facetem z brzuszkiem a chłopakiem moich marzeń, który na moment oderwał wzrok od pejzażu za oknem i przelotnie zerknął na czworonoga. – Tu są sami dobrzy ludzie.

Przez chwilę panowała cisza. Piesek przyknął oczka z zadowoleniem, kiedy właścicielka położyła dłoń na jego grzbiecie.

– Jak się wabi? – odezwała się zniecierpliwiona grubsza z kobiet siedzących po mojej stronie.

– Kazik – odparła nowa pasażerka. Przez chwilę milczała, a potem nieoczekiwanie zachichotała; jej drobna twarz zmarszczyła się niby suszona morela. – Tak jak mój nieżyjący mąż. Jest naprawdę spore podobieństwo.

Wszyscy się uśmiechnęliśmy, nawet chłopak spod okna, a nastolatka parsknęła cichym śmiechem. W przedziale zrobiło się nagle sympatyczniej.

Mój ojciec miał na imię Kazimierz – powiedziała ta druga kobieta, szczupła i elegancka, zamykając książkę, którą przedtem czytała. Zerknęłam na okładkę, były to *Lochy Watykanu*. – W zasadzie jestem przeciwna nadawaniu zwierzętom imion ludzkich, ale muszę przyznać, że do tego pieska pasuje „Kazik”.

– A co, tatuś też tak wyglądał? – zainteresowała się staruszka.

– Niezupełnie. Chociaż może jest coś podobnego w zgryzie...

– On miał kiedyś bardzo ładne ząbki, równiutkie – podchwyciła właścicielka Kazika. – Ale wie pani, z wiekiem wszystko się człowiekowi wykrzywia, to znaczy psu, chciałam powiedzieć. Zresztą, każdemu się wykrzywia.

Spojrzała na chłopaka pod oknem, jakby szukała u niego potwierdzenia swoich słów. Zdziwiony, odpowiedział spojrzeniem i po chwili wahania pokiwał głową. Potem – o niebios! – zerknął na mnie i uśmiechnął się leciutko. Serce rozkołatało mi się w piersiach. Przez jeden absurdalny moment miałam wrażenie, że wszyscy słyszą, jak mocno wali.

– Ja na przykład, wiecie państwo – teraz staruszka mówiła już do nas wszystkich, a my, o dziwo, słuchaliśmy z zainteresowaniem – miałam w młodości piękne nogi. Naprawdę, nie chwałę się, ogólnie nie grzeszyłam urodą, ale nogi miałam ładne i już. Powykrzywiały mi się dopiero na starość, teraz to takie pałaki. Ale jak byłam młoda, to

ho ho... Jeden taki ważny inżynier z Solca Kujawskiego, bo pochodzę z Kujaw, no więc on się zakochał we mnie. Ale nie chciałam go, bo był strasznie czerwony.

– Jaki? – nie zrozumiała nastolatka z wyzywającym makijażem.

– Czerwony. Komunista – wyjaśniła starsza pani. – Teraz już można to nazywać po imieniu. Wtedy wszyscy albo byli czerwoni, albo udawali, że są. Ale on był z tych podłych. Donosił na kolegów i podwładnych. Wiesiek mu było na imię. Pracował w fabryce obuwia, był tam kimś ważnym. Wysyłali produkcję nawet do Anglii, bo to dobre buty robili, naprawdę. „Kobra” się ten zakład nazywał. No i proszę sobie wyobrazić, że pewnego dnia chłopcy się zorganizowali i urządzili ognisko, wódki trochę popili... No i tak sprytnie zrobili, że ten Wiesiek utonął.

– Ale że... utopili go? – zapytał wstrząśnięty facet z brzuszkiem, który słuchał staruszki z uwagą.

– Nie, gdzież tam, przecież bym za mordercę nie wyszła. Bo mój Kazimierz też tam był, na tym ognisku. Rozumiecie, złociutcy, jak się ten komuch napił, to nietrudno go było podpuścić, żeby pokazał, jak pływa. A w Wiśle koło Solca już niejeden chojrak utonął. Tam są okropne wiry.

Wszyscy (poza Kazikiem, naturalnie) pokiwaliśmy głowami, choć podejrzewałam, że pozostali pasażerowie, podobnie jak ja, nie mieli pojęcia o wirach na Wiśle.

– Mąż za życia nie chciał się zgodzić na psa. Co ja się nabłagałam – ciągnęła starsza pani. – A on tylko nie i nie. Że pies śmierdzi, że wszędzie kłaki zostawia, że to tylko obowiązek, a w zamian nic. Kury byś mogła trzymać na balkonie, mówił, to choć jajeczka własne by były.

– Kury na balkonie? – nie wytrzymałam, choć zasadniczo rzadko wtrącałam się do rozmów. – Przecież to niemożliwe.

– O, kochana, w stanie wojennym ludzie nawet w piwnicy kury trzymali! Ty pewnie nie pamiętasz, musiałaś być wtedy dzieckiem. No ale mniejsza z tym. W każdym razie jak Kazimierz umarł, to oczywiście nie tak, że od razu, ale po jakimś czasie zrozumiałam, że tak mi pusto jakoś, człowiek nie ma do kogo ust otworzyć... Sami rozumiecie. No i chciałam kupić psa. A żeby było mało sprzątania, bo trochę jednak się bałam tej sierści, to sobie wymyśliłam chińskiego grzywacza, ale bez włosów. Widziałam zdjęcie w jednej gazecie. Że to niby psy dla alergików.

Nastolatka siedząca naprzeciwko westchnęła.

– Śliczne są – powiedziała marzycielskim tonem.

Chłopak spod okna rzucił w jej stronę spojrzenie wyrażające niedowierzanie. Ucieszyło mnie to niewymownie. Kiedyś czytałam artykuł o psach tej rasy. Jego autorka stwierdziła, że to naprawdę niekłopotliwe stworzenia – nie trzeba wyczesywać, a jedynie od czasu do czasu wycisnąć wągry. Naprawdę: wągry. To wystarczyło, abym nigdy w życiu nawet nie pomyślała o chińskim grzywaczu.

– Ale taka rasa jest na pewno okropnie droga – zauważyła gruba kobieta.

– Droga, żeby pani wiedziała, zwłaszcza te z rodowodem, bo bez rodowodu to bym nie kupiła. Nie dlatego, że mam jakieś rasistowskie przekonania czy coś. Tylko raz mi siostrzenica wytłumaczyła, że to jest pseudohodowla, że ludzie oszukują, i jak się ma kupić z takiej pseudohodowli, to już lepiej ze schroniska wziąć jakąś bidę.

Chłopak spod okna pokiwał głową, a ja momentalnie dodałam mu dziesięć punktów w moim prywatnym rankingu kandydatów na ukochanego. W którym zresztą figurował jedynie on, no i może Brad Pitt, w którym po obejrzeniu *Thelmy i Louise* zakochałam się w sensie czysto estetycznym.

– Więc wybrałam się do weterynarza – kontynuowała właścicielka Kazika, który podczas tej opowieści oparł pyszczek na jej kolanie i zasnął. – Zapytałam, czy w takim na przykład schronisku to znajdę bezwłosego grzywacza. I w ogóle gdzie jest najbliższe schronisko, bo ja się nigdy dotąd nie interesowałam takimi sprawami. A on mi na to, że grzywacza tam nie będzie. I że w ogóle ze schroniska to się nie bierze psa dlatego, że jakoś tam wygląda. Ładny czy brzydki, jednakowo potrzebuje pomocy. Więc ostatecznie przygarnęłam Kazika, bo był najszeptniejszy.

– Ale człowiek ma prawo mieć jakieś preferencje co do wyglądu, prawda? – odezwała się elegancka kobieta. – Nic w tym złego. Ja na przykład nie przepadam za czarnym umaszczeniem. Nie mam na myśli pani pupilka – dodała szybko, bo Kazik niewątpliwie musiał być kiedyś czarny. Teraz jego sierść miała kolor, którego nie da się opisać żadnym znanym mi słowem. Było tam sporo siwizny, trochę wypłowiałej rudości i barwy brudnego popiołu. – Ale wie pani, te czarne jak smoła psy, nawet jeśli wypielęgnowane, lśniące i tak dalej, to jednak budzą we mnie niechęć. Natomiast białe, futrzaste... – westchnęła. – Na przykład taki owczarek podhalański...

– Dużo sprzątania – ucięła kategorycznie starsza pani. – Zresztą owczarek, jak nazwa wskazuje, powinien wypasać owce. On potrzebuje przestrzeni, proszę pani. I swojego stada do pilnowania. Siostrzenica mi wszystko wytłumaczyła – dodała wyjaśniająco. – Ona się interesuje kynologią, była nawet hodowcą przez jakiś czas.

– A jaką rasę hodowała? – zainteresowała się nastolatka.

– Golden retriever – brzmiała odpowiedź. – To taki złocisty futrzak, wiecie państwo.

Pokiwaliśmy głowami, chłopak spod okna mruknął coś niezrozumiale pod nosem. Może chciał powiedzieć, że jakoś szczególnie lubi tę rasę. Strasznie chciałam się dowiedzieć, jak ma na imię, w ogóle chciałam o nim wiedzieć jak najwięcej. Druga taka okazja, jak dziś, nieprędko się trafi – musiałam coś zrobić, żeby go poznać.

– Ja dobrze wiem, jaki to jest pies, ten golden – powiedział nagle mężczyzna. – Życie mi uratował jeden taki.

– Jak to: życie? – zapytała otyła kobieta. – Z ruin jakichś czy coś? Pies ratownik?

– Nie, skądże. – Machnął ręką i przez chwilę wyglądało na to, że nic więcej nie powie, ale nagle nabrał powietrza i zaczął opowiadać. – Straciłem żonę. To znaczy nie że teraz niedawno, nie, to historia sprzed kilku lat. Miałem trzydziestkę z hakiem, Anna była młodsza o dwa lata... Ja jestem Marian, przepraszam, nie przedstawiłem się. Poznałem ją w Bibliotece Raczyńskich, bo ja jestem poznaniak z dziada pradziada... Ona pochodziła z Trzcianki, mieszkała na stacji, była studentką filologii angielskiej. Kilka miesięcy później, właśnie u Raczyńskich, czekając na realizację rewersu, pocałowałem ją po raz pierwszy. – Mężczyzna rozejrzał się spłoszony, ale widocznie uznawszy, że nastolatka jest już wystarczająco dorosła, aby słuchać, kontynuował. – Dobrze byłoby móc powiedzieć, że tam też się Ani oświadczyłem, ale to ona wzięła sprawy w swoje ręce,

oznajmiając mi, że jest w ciąży i że ślub weźmiemy u jej rodziców w Trzciance. Pobraliśmy się w pośpiechu i w tym samym stylu przyjęliśmy pierwszą ofertę pracy, jaką nam złożono: ona zaczęła uczyć angielskiego, a ja historii w urokliwym miasteczku Mokra, wyłącznie dlatego, że miało się urodzić dziecko, a nam zaoferowano niewielkie, ale całkiem przyzwoite mieszkanie. Wtedy były takie przepisy, że nauczycielom przysługiwały mieszkania komunalne. Nie zastanawiając się specjalnie, zdecydowaliśmy się i na pracę w szkole, i na przeprowadzkę. Całkiem niepotrzebnie, jak się okazało. Anka poroniła w piątym miesiącu. Umowy o pracę były już podpisane, a ściany nowego mieszkania pomalowane na biało. Zresztą przez jakiś czas byliśmy w takim stanie psychicznym, że podjęcie decyzji o powrocie do Poznania i rozpoczęciu wymarzonej kariery naukowej na uczelni, podjęcie w ogóle jakiegokolwiek decyzji, przerastało nasze możliwości. Zostaliśmy w Mokrej, bo nie mieliśmy siły na nic innego.

W przedziale zapadła cisza. Kobieta spod okna wykonała taki ruch ręką, jakby prosiła o ciąg dalszy.

– Nie było źle w tej Mokrej – ciągnął opowieść pan Marian. – Kochaliśmy się, choć może nie tak jak w filmach, raczej było nam ze sobą spokojnie i bezpiecznie. Następnego dnia po jej pogrzebie, żeby jakoś sobie ulżyć, próbowałem wyliczyć wszystkie nasze kłótnie, bezsensowne sprzeczki i awantury. Chciałem udowodnić samemu sobie, że wcale nie było sielankowo, że nie straciłem najcudowniejszej kobiety na świecie, bo miewała też złe dni. Poza kilkoma, które zawsze zdarzały się po kolejnych poronieniach, innych nie umiałem sobie przypomnieć. Poronień było pięć. Po tym ostatnim Anka uznała, że nie będziemy więcej próbować.

– Ale dlaczego nie mogła mieć dzieci? – zapytała staruszka, która słuchała uważnie. Nie wydawała się jednak tak wzruszona jak pozostali. Musiała być bardzo konkretną osobą. – Zawsze jest jakaś przyczyna.

– Nie wiem – odparł. – Może kiedyś byśmy się tego dowiedzieli, ale nie zdążyliśmy. Pewnego dnia po prostu nie wróciła do domu, a w nocy odebrałem telefon z policji. Był wypadek, Anka wracała z Trzcianki, bo teść się rozchorował... Mokra była tylko piętnaście kilometrów od jej rodzinnego domu. Robiło się ciemno, na drogę wyskoczył jeleni, podobno wielka sztuka, a żona nie była zbyt pewnym kierowcą, skręciła, tyle że za późno, w panice zamiast hamulca wcisnęła gaz i walnęła w drzewo. Jeleni też zresztą zginął, bo go potrafiła i potem go dobili.

Cisza, jaka zapanowała po tym wyznaniu, wydawała się dzwonić nam w uszach. Przez chwilę miałam wrażenie, że nawet pociąg stukocze jakoś delikatniej. Pan Marian westchnął i potarł dłonią powieki, jakby ścierał z nich tamte łzy sprzed lat.

– No nieważne, nieważne, nie o tym chciałem mówić. Wicie państwo, czasem człowiek nie ma zamiaru, a i tak historia z niego wypłynie... Ja właściwie nigdy nikomu nie opowiadałem o tamtych dniach.

– Mów, synku, mów. – Staruszka poklepała go uspokajająco po przedramieniu, a wówczas on znowu otarł oczy, choć były zupełnie suche.

– Najtrudniej było z pończochami – podjął wreszcie, a my wstrzymaliśmy oddech, chyba wszyscy jednakowo zaskoczeni tymi słowami. – Wisiały na kaloryferze w łazience, zawieszono krzywo; jedna wydawała się dłuższa i cieńsza, zupełnie jakby Anka miała

nieproporcjonalne nogi. Nie byłem w stanie ich zdjąć, ba, nie mogłem nawet poprawić tej ich nierówności. Zresztą niczego nie potrafiłem usunąć. Przez kilka miesięcy z kubka na umywalce sterczała szczoteczka z odrobinę wygniecionym włosiem, w koszyku z rattanu leżał grzebień, w który wplątały się dwa złociste włosy. Anka nigdy nie była pedantką. Nie wszystkie kobiety jakoś szczególnie dbają o porządek.

Patrzył na nas, kolejno szukając zrozumienia u mnie, otyłej kobiety, szczupłej z książką, nastolatki, a wreszcie u staruszki. Pokiwałam głową, żeby mu jakoś pomóc. Odetchnął, jakby mu na moim kiwnięciu zależało.

– Nie chciałem niczego osiągnąć, pozostawiając te przedmioty na swoich miejscach; to nie tak – tłumaczył. – Nie było w tym żadnej ukrytej myśli, za zaniechaniem kryła się wyłącznie niemoc. Zwyczajnie nie miałem siły, rozumiecie państwo. W dniu, w którym dowiedziałem się, że Anka odeszła, opuściła mnie energia i mogłem wykonywać tylko niezbędne czynności, te powtarzane dzień w dzień mechanicznie, dziejące się niejako samoistnie. Niestety, stałem się niezdolny do pracy. Szedłem do szkoły, siadałem za biurkiem i wpatrywałem się w uczniów. Można by się spodziewać, że będą rozrabiać, rozniosą klasę, ale nie, wręcz przeciwnie. Siedzieli cichutko. Teraz myślę, że musieli być przerażeni. Obłąd widać jak na dłoni, musiałem mieć wypisane na twarzy, że tracę zdrowe zmysły. Delikatnie mi zasugerowano, że są skargi, rodzice napisali petycję, żeby mnie odsunąć od pracy z dziećmi, bo one się mnie boją, nie chcą chodzić na lekcje historii. Psychiatra wypisał mi jedno zwolnienie lekarskie, potem drugie. Siedziałem w domu pełnym sprzętów należących do Ani i wariowałem coraz bardziej. Aż pewnego dnia moja matka postanowiła wkroczyć do akcji. Zmusiła mnie do sprzedania mieszkania i przeprowadzki do niej, na Jeżyce. To mnie trochę postawiło na nogi. Chyba potrzebowałem, żeby ktoś za mnie podjął decyzję.

– Ja też mieszkam na Jeżycach – wtrąciła się elegancka kobieta z książką. – Krystyna mam na imię.

– W okolicach rynku może?

– Nie, przy Cienistej.

– A, to wiem, gdzie. Przyjemna uliczka – powiedział pan Marian, po czym wrócił do przerwanej opowieści. Zerknęłam na przystojniaka pod oknem; siedział zasłuchany, zapomniał o zaczętej krzyżówce. – Pamiętam, że w dniu przeprowadzki byłem okropnie zdenerwowany. Puste ściany, pozbawione luster, obrazków i zdjęć, których przez lata przybywało, wydały mi się bardzo brudne. Jakoś nie byłem w stanie stamtąd wyjść. Matka mnie ponaglała, zupełnie jakby się bała, że lada moment resztki mojej równowagi psychicznej mogą zostać strzaskane w drobny mak. Pobiegnę do śmietnika i przyniosę z powrotem wszystkie te drobiazgi, te Anczyne pończochy, których ostatecznie nie umiałem wyrzucić, więc musiała to za mnie zrobić mama; podobnie jak zgarnęła do worka na śmieci kosmetyki, taką śmieszoną gąbkę do nakładania pudru na twarz, apaszki i buty. No więc przyniosę to wszystko, a potem usiądę i zacznę płakać, wyc, wrzeszczeć, że nigdzie nie jadę, nie wyprowadzę się, odwołujemy wszystko, nie mogę przecież zostawić mieszkania, które jeszcze pachnie moją żoną, oddać go komuś, kto pomaluje ściany na jakiś absurdalny kolor, którego Anka nie lubiła, zresztą na ścianach tolerowała tylko biel.

– Mój Boże – westchnęła otyła pasażerka.

Spojrzałam na nią kątem oka i dopiero wtedy zauważyłam, że płacze. Łzy płynęły po jej nalanej twarzy, a kiedy znalazły się u dołu policzków, ona niecierpliwie strącała je palcami pulchnymi jak serdelki.

– Niech pani nie płacze – powiedział ciepło pan Marian. – Ta historia ma dobre zakończenie. Choć wtedy nie wierzyłem, że cokolwiek jeszcze będzie dobrze. Jakimś cudem wyszedłem z mieszkania. Udało się. Przeżyłem to i nie rozsypałem się na kawałki. Rzecz w tym, że kiedy znalazłem się w Poznaniu, wróciła do mnie cała tamta pustka, tamta rozpacz. Zmieniła się tylko dekoracja, sprzęty były inne, inne drzewa za oknem, ale tak samo ciężko było oddychać, identyczną trudność sprawiało mi wstawanie, jedzenie, nie mówiąc już, żeby chociaż zęby umyć... Nie wiem, czy ktoś z państwa miał kiedyś depresję?

Tym razem wszyscy zgodnie pokręciliśmy głowami.

– To jest tak, jakby powietrze w płucach ważyło trzysta kilo – wyjaśnił. – Jakby każda ręka i każda noga też tyle ważyły. Życie po prostu okropnie męczy, kiedy się ma depresję.

– Mój wujek miał – wtrąciła się nastolatka. – Rzucił się do rzeki.

– Utonął? – spytała domyślnie pani Krystyna.

– Nie, akurat był niski poziom wody i złamał kręgosłup. Żyje do tej pory, tylko jest sparaliżowany.

– Patrz, kochanie, jak to biednemu zawsze wiatr w oczy – westchnęła staruszka z Kazikiem na kolanach. Piesek otworzył jedno oko, ale po chwili przymknął je znowu. – Ale mówił pan, panie Marianie, że jakiś zwierzak panu życie uratował.

– Tak, tak, właśnie. Na czym to ja skończyłem?

– Na depresji – podsunął przystojniak.

– O, dziękuję, młody człowieku. Więc mama, kiedy zobaczyła, co się ze mną dzieje, zaczęła mnie zmuszać do codziennych spacerów. Jej koleżanka leczyła się w Wałczu na oddziale psychiatrycznym, bo miała nerwicę, i opowiadała, że tam obowiązkowym elementem terapii są wyjścia do miasta. Chcąc nie chcąc, włóczyłem się po Poznaniu. To gdzieś gofra zjadłem, to poszedłem na kawę, to do kina. Ale wcale mi się nie robiło lepiej. Powiem wam szczerze – tu pan Marian ściszył głos, a my jak na komendę pochyliliśmy się odrobinę do przodu – że planowałem się zabić. Tak jak panienki wujek – zwrócił się do nastolatki. – Tylko nie byłem pewien, czy skok do rzeki ma sens, bo ja bardzo dobrze pływam. Z kolei gaz mógłby zniszczyć matce dom, a tego przecież nie chciałem jej zrobić. Któregoś dnia, właśnie rozmyślając o tym, jakim sposobem rozstać się z życiem, poszedłem spacerkiem do parku Mickiewicza i usiadłem przy fontannie. Wiecie, gdzie?

Ja, przystojniak i pani Krystyna pokiwaliśmy głowami; reszta najwyraźniej nie знаła Poznania.

– Nie po raz pierwszy smętnie rozmyślałem nad tym, że w zasadzie nic nie potrafię, do niczego się nie nadaję. Znajomość historii i doświadczenie w pracy pedagogicznej nie przydawały się w codziennym życiu. Co mógłbym robić, czym się zająć? Czuję się nieprzydatny, bezużyteczny, skończony. Z tego niewesołego zamyślenia wyrwał mnie zimny dotyk na dłoni. Prawie podskoczyłem z obrzydzenia; wyobraziłem sobie wielkiego ślimaka albo inne oślizgłe stworzenie, tymczasem był to tylko psi nos. Kudłaty czworonóg

o barwie niedopieczonego biszkopta trącał mnie w rękę.

– Golden? – zapytaliśmy chórem.

Kazik otworzył jedno oko na pełną szerokość, drugie zaś tylko w połowie, obejrzał się na swoją panią, ale widocznie to, co zobaczył, uspokoiło go, bo znów położył pyszczek na jej kolanach i zasnął.

– Właśnie golden. W pierwszej chwili pomyślałem, że zerwał się komuś ze smyczy. Rozejrzałem się, czy ktoś go nie szuka, nie woła. Potem jednak przyjrzałem się uważniej. Był brudny jak nieboskie stworzenie, miał portki z błota i czarne śpiochy w oczach, pozlepianą sierść za uszami... Najwyraźniej błąkał się dość długo. Albo był uciekinierem, albo zgubą. Tak czy inaczej, nie odstępował mnie na krok. Może dlatego, że wcześniej jadłem hot doga i ubrudziłem sobie spodnie sosem. Musiało mu apetycznie pachnieć. W każdym razie polazł za mną na przystanek i nawet wsiadł do tramwaju, więc wysiadłem już na moście Teatralnym, bo jeszcze tego brakowało, żebym musiał za przybłądę płacić mandat.

– Ale na Jeżyce to miał pan blisko – zauważyła pani Krystyna.

– Otóż to. Poszedłem więc pieszo, a pies szedł grzecznie przy nodze. Mama wpadła w szal, kiedy go zobaczyła, bo ona była z tych, co lubią sterylną czystość. Potem jednak zauważyła, że się trochę ożywiłem, że ten pies to coś, na czym zaczęło mi choć trochę zależeć... Wykąpaliśmy go, nakarmiliśmy, a następne dni spędziłem, rozwieszając w całym mieście ogłoszenia. Niestety, nikt się po psa nie zgłosił.

– Nie miał adresówki? – chciała wiedzieć staruszka. – Mój Kazik zawsze nosi adresówkę, o proszę. – Pokazała maleńką, aluminiową zawieszkę przy obroźce swojego pupila.

– Nie miał nic, proszę pani. Nie miał nawet obroży.

– I zostawił go pan sobie? – zapytała domyślnie tęga pasażerka.

– Tego zrobić nie chciałem. Rozumiecie, ja ciągle jeszcze myślałem o tym, żeby ze sobą skończyć. Samobójca nie przygarnia zwierząt, prawda?

Tym razem nikt nie pokiwał głową. Po pierwsze, było to pytanie retoryczne, po drugie zaś najwyraźniej nikt z nas nie miał absolutnie żadnego pojęcia na ten temat.

– Przyszło mi wówczas do głowy, żeby zamieścić informację w lokalnej prasie. Skoro psina była tak brudna, to być może przebiegła wiele kilometrów, może błąkała się bardzo długo. To mógł być przecież pies z Pobiedzisk, z Kiekrza albo na przykład ze Swarzędza. Wybrałem kilka gazet i dałem ogłoszenie, że taki to a taki pies szuka swojego właściciela. Że codziennie o osiemnastej będzie czekał pod fontanną w parku Mickiewicza. Pomyślałem sobie, a była to głupia myśl, ale zważcie, że trzymała mnie przy życiu, że jest to ostatnia rzecz, którą mam do załatwienia. Będę czekał do skutku i ponawiał to ogłoszenie, bo przecież coś się w końcu wydarzy. Albo znajdzie się ten cholerny właściciel, albo pies zdechnie, albo mnie szlag trafi. Coś się musi stać. Tak myślałem. I wiecie co? Zrozumiałem, że każda z tych możliwości ma jakiś sens.

– Czyli jaki? – nie rozumiała nastolatka.

– Jeśli znajdzie się właściciel, to będzie happy end, tak czy nie? Jeśli pies zdechnie, to przynajmniej kłopot z głowy. Trochę smutny finał, racja, ale jak by nie patrzeć, byłby to koniec problemów. Jeśli ja... to, proszę wybaczyć naiwność, bo zawsze wierzyłem, że

po drugiej stronie coś tam musi być... Więc jeśli ja, to może spotkam się z Anią.

Zamyśliłam się. Może pan Marian miał rację. Coś się w końcu zawsze wydarzy. Nawet jeżeli sytuacja wydaje się nie mieć rozwiązania, ono po prostu pewnego dnia przychodzi. Wydarza się samo.

– Ale szlag pana nie trafił – zauważyła pogodnie starsza pani. – Przynajmniej do dziś.

– To prawda, jeszcze się jakoś trzymam. – Mężczyzna uśmiechnął się. – Co więcej, jestem teraz szczęśliwszy niż kiedykolwiek przedtem. Widzicie państwo, jak to się wszystko dziwnie potoczyło. Przychodziłem pod tę fontannę dzień w dzień przez kilka miesięcy, czekałem na właściciela Morusa, bo tak w końcu nazwałem psa, i z każdym dniem coraz bardziej pragnąłem, żeby ten właściciel, kimkolwiek jest, nigdy się nie znalazł. Zaczynałem kochać tego zwierzaka. Nigdy z nikim nie rozmawiało mi się tak dobrze... To znaczy nikt tak nie umiał słuchać jak Morus. A pewnego dnia zorientowałem się, że mniej więcej o tej samej porze spaceruje tam pewna kobieta. Nasze psy lubiły się razem bawić. Właściciele psów łatwo zawierają znajomości, zauważyła pani? – zwrócił się do staruszki, a ona z zapalem pokiwała głową. – No i tak, proszę państwa, poznałem moją obecną żonę. Mamy córeczkę, w tym roku pójdzie do szkoły.

– A pies? – zapytał chłopak spod okna.

– Pożył jeszcze trzy lata, potem trzeba go było uśpić. Miał taką chorobę kręgosłupa, spondyloza się nazywa. Pod koniec już całkiem nie władał tylnymi łapami.

– I to koniec? – zapytała wyraźnie rozczarowana tęga kobieta. – Tak po prostu?

– Tak po prostu – zgodził się pogodnie pan Marian. – Przepraszam, jeśli oczekiwała pani czegoś sensacyjnego. To jest taka bardzo zwyczajna historia.

– Zwyczajne historie są najlepsze – podsumowała staruszka. – I właśnie zwyczajne rzeczy często ratują człowiekowi życie. Nie jakieś akcje jak z filmów, zabili go i uciekł. Tylko zwyczajne rzeczy. To, że ktoś do kogoś zagada, że rękę poda albo da pieniądze na chleb. Ja na przykład wierzę, że my z Kazikiem sobie oboje życie uratowaliśmy. Ja go wyciągnęłam z potrzasku, bo on był, moi kochani, zupełnie zastraszonego w tym schronisku. Nawet jeść nie mógł, tak się bał. Zresztą te większe psy go do miski nie dopuszczały. A on mnie? Może nie tyle uratował, ale na pewno przedłużył mi życie. Przecież ja już bym się dawno zabrała na tamten świat, gdyby nie ta chudzina. Kiedyś poważnie zachorowałam; to było może z sześć, może z siedem lat temu. Wyobraźcie sobie, złamałam kość udową i potem przyplątało się zapalenie płuc. Lekarz mówi: pani Zdzisławo, pani musi być świadoma, że w pani wieku zapalenie płuc to bardzo poważna choroba. Innymi słowy, kazał mi się szykować, że umrę. Testament i tak dalej. A ja sobie pomyślałam: jakie umrę, jakie umrę? Nie mogę umrzeć, bo w domu czeka na mnie Kazik. Przecież takiej maskary nikt po mojej śmierci nie przygarnie. I wyobraźcie sobie, wygrałam z chorobą. Pamiętajcie, zwłaszcza wy, młodzi, że dopóki ktoś was kocha, komuś jesteście potrzebni i ktoś na was czeka, nie wolno wam się poddać. W żadnej sprawie.

Patrzyła na paskudny pyszczek Kazika z taką czułością, mówiąc te słowa; tak ładnie, łagodnie i delikatnie dotykała jego chorych łapek, że oczy zaszklily mi się nagle od łez. Podniosłam wzrok i napotkałam spojrzenie chłopaka spod okna, tak samo

zamglone jak moje. Oboje zawstydziliśmy się wzruszenia i każde z nas natychmiast odwróciło głowę.

Staruszka zaczęła opowiadać o siostrzenicy, do której właśnie jechała w odwiedziny, ale ja już nie słuchałam. Jakies piętnaście minut później pociąg wjechał do Poznania, a ja postanowiłam wysiąść na Garbarach i przejść się pieszo przez Cytadelę. Plecak miałam lekki, wieczór był piękny, powietrze pachniało majem, a ja musiałam ochłonić po podróży i poukładać sobie w głowie wszystko, co usłyszałam.

Pożegnałam się z pasażerami, zdjęłam bagaż z półki i udałam się korytarzykiem w stronę wyjścia. Kiedy pociąg się zatrzymał, wysiadłam i odwróciłam się, żeby zamknąć za sobą drzwi. Dopiero wtedy zobaczyłam, że chłopak spod okna stoi tuż za mną.

– Też mieszkasz na Dożynkowej, prawda? Idziesz pieszo czy czekasz na siedemdziesiąt jeden? – zapytał.

– Idę pieszo – odparłam, rumieniąc się nieznośnie.

– Ja też.

Zarzuciłam plecak na ramiona, on zrobił to samo.

– Mam na imię Adam, studiuje geografię – powiedział, ruszając w stronę Cytadeli.

– A ty jesteś...?

– Ola. Aleksandra. Studiuje polonistykę, niestety.

– Dlaczego niestety?

– Na ogół „stety”, ale teraz właśnie mam przed sobą egzamin z gramatyki historycznej, więc chwilowo „niestety” – zaśmiałam się.

– Rozumiem – odparł Adam. – Niesamowita była ta staruszka, prawda? I ten jej Kazik, brzydki jak kupa, ale miał coś takiego mądrego w mordce. Jeśli będę kiedyś miał psa, dam mu na imię Kazik, serio.



– Pani Olu? – powtórzyła gospodyni. – Pytałam, jak się poznaliście z panem Adasiem. W górach?

Westchnęłam. Czułam się tak, jakby ktoś mi nawkładał do piersi jakichś okropnych ciężarów.

– Nie, nie w górach. Właściwie poznaliśmy się przez... Przez Kazika.

Pani Jadzia nabrała powietrza i otworzyła usta; pewnie chciała zapytać, kto to taki, ten Kazik, czy to wspólny znajomy, ale nie zdążyła, bo w tym momencie zadzwonił jej telefon. Spojrzałyśmy na siebie, a potem obie rzuciłyśmy się do aparatu. Ona była bliżej, więc dopadła go pierwsza.

– No, słuchom cię, Kacperku – rzuciła, akcentując po góralsku pierwsze sylaby, a ja wstrzymałam oddech, bo doskonale wiedziałam, że Kacper, jej bratanek, był jednym z ratowników górskich. – Tak. Tak. To piknie, dobrzeście się spisali. Za kwilkę będziemy dzwonić.

– Trzeba dzwonić do szpitala – powiedziała natychmiast, gdy tylko się rozłączyła.

– Pan Adaś jest przytomny, ale bardzo słaby, wyziębiony. Strażnik TPN usłyszał wołanie w rejonie Wołoszyna, ratownicy poszli tam z psem i znaleźli zgubę. Był już nisko, przez cały czas musiał schodzić.

I rozplakała się rzewnie; zanosila się takim płaczem, jakby to właśnie była najgorsza z możliwych wieści. Co do mnie, także szlochając, pobiegłam do sieni, założyłam buty i bluzę z polaru. Nie zamierzałam nigdzie dzwonić, musiałam tam pojechać i już, zaraz, natychmiast zobaczyć na własne oczy, że Adam żyje, nic mu nie jest, a nawet jeśli coś jest, to przecież damy radę, nie z takich rzeczy ludzie wychodzą. W drzwiach zatrzymałam się na moment, bo oczywiście doskonale wiedziałam, że gospodyni zechce pojechać ze mną, więc poczekałam, aż ochłonie nieco i otrze z rumianej twarzy niepotrzebne już łzy.

W szpitalu nie od razu pozwolono nam zobaczyć się z Adamem. Kiedy jednak ta chwila wreszcie nadeszła, obie rozplakałyśmy się na nowo. Pani Jadzia cmoknęła go w białą jak śnieg rękę i uciekła, a ja zostałam przy mężu przez całą noc. Dopiero rano, kiedy po kilku kroplówkach poczuł się lepiej, wygonił mnie do Macierzanki i kazał się wyspać. Rzeczywiście był wycieńczony, ale też poobijany. Okazało się, że zabłądziwszy w okolicach Granatów, ześlizgnął się we mgłę i spadł kilka metrów, ale na szczęście jedynie niegroźnie się potłukł. Podczas upadku wypadł mu z kieszeni telefon. Adam z trudem wspiął się z powrotem na ścieżkę i próbował kontynuować wędrówkę, bo kiedy siedział, robiło mu się bardzo zimno. W plecaku miał tylko resztkę herbaty w termosie, tabliczkę czekolady, bułkę z serem i plastry na otarcia.

– Musiałem mieć zaćmienie umysłu – powiedział – skoro nie rozpoznałem, że jestem już na przełęczy. Zamiast spokojnie zejść z Krzyżnego do Murowańca, poszedłem dalej granią. Znalazłem się na Wołoszynie, gdzie w ogóle nie prowadzi szlak, rozumiesz? Tam jest ścisły rezerwat.

– Była straszna mgła – przypomniałam mu. – A ty byłeś w szoku po upadku.

– Kiedy pomyślę, co musiałas przeżywać – mruknął, całując wewnątrz mojej dłoni – jestem wściekły na siebie.

– Ja wolę sobie nie wyobrażać, co ty przeżywałeś – odpowiedziałam, starając się powstrzymać łzy. – Wyczerpany, zmarznięty, przemoczony od mgły, wychłostany wiatrem, bo na grani przecież potwornie wieje, bez telefonu, z jedną tabliczką czekolady... I w dodatku w miejscu, gdzie choćbyś nie wiem jak szukał, zwyczajnie nie ma oznakowanej ścieżki. Gdybyś opadł z sił albo poddał się i przestał wołać o pomoc, nikt by cię nie znalazł. Nie wróciłbyś do mnie.

– Poddać się? Nigdy. – Próbował zacisnąć pięść w geście kulturysty, ale widocznie zabolalo go w miejscu wklucia wenflonu, bo tylko zrobił groźną minę.

Jakiś czas później, kiedy już mogliśmy o tym rozmawiać bez emocji, Adam opowiedział mi, o czym myślał, kiedy wędrował granią Wołoszyna. Był sam w ciemności, próbował się zmusić do kolejnego kroku, żeby nie zasnąć i nie wychłodzić się na śmierć, a podobnie jak ja wspominał nasze pierwsze spotkanie w pociągu.

– Przypomniałem sobie słowa tamtej staruszki, pamiętasz ją? Powiedziała, że dopóki ktoś nas kocha, dopóki ktoś na nas czeka, dopóty nie wolno nam zrezygnować,

poddać się bez walki. Musiałem iść dalej, musiałem do ciebie wrócić. Tak jak ona wtedy do Kazika.

– Więc jestem twoim Kazikiem? – zażartowałam, żeby się nie rozkleić.

– Tak, kochanie. – Nachylił się i pocałował mnie czule, po czym odsunął się na pewną odległość i zmarszczył brwi, udając, że badawczo mi się przygląda. – Wiesz, właściwie to jest nawet spore podobieństwo. Coś w oczach... i w zgrzyzie...

Karmel

Joanna Szarańska

Najpierw nazwano go Karmel. Był niespodzianką, którą pewien popularny aktor przekazał w prezencie zaręczynowym swojej przyszłej żonie. Pamiętał, jak kobieta gładziła dłonią jego jedwabistą sierść. Pamiętał jej długie palce podsuwające marchewki i kostki cukru. Pamiętał, że nosiła jasny żakiet z dużymi kieszeniami i śmiała się, gdy wtykał do nich pysk w poszukiwaniu przysmaków. Pamiętał, jak szeptała mu do ucha: „Karmel, Karmelku”, przytulając twarz do jego pyska. Odwiedzała go codziennie w stadninie za miastem, gdzie miał swój pachnący sianem boks. Nawet jeśli nie znalazła czasu na przejażdżkę, wpadała, by powiedzieć mu „dzień dobry” i pogłodzić białą plamkę między jego oczami.

A potem zdarzył się ten straszny wypadek. Była dobrą amazonką, dobrą i odważną, ale w chwili, gdy skierowała go na przeszkodę, gdzieś w oddali wystrzelił gaźnik. Spłoszył się i stanął dęba, zrzucając ją z siodła, a potem pokłusował w kierunku porośniętej rżesą sadzawki i nerwowo skubał źdźbła, obserwując pełzające po trawie światła ambulansu. Już nigdy nie zjawiała się w stadninie, choć wypatrywał jej niecierpliwie, postukując kopytami i rżąc z tęsknoty. Kilka razy odwiedził go jej mąż, ale w zaciśniętych gniewnie pięściach nie pojawił się żaden przysmak, a zamiast pieszczotliwego imienia z ust padały słowa, których nie znał. Skurwiel. Gnój. Śpiączka. Śmierć. Wyczuwał w głosie mężczyzny furię i intuicyjnie domyślał się jego nienawiści.

Pewnego dnia przyszło ich dwóch. Oglądali go, wymieniali uwagi i kiwali głowami. Na koniec uścisnęli dłonie i wyszli. Wieczorem drugi mężczyzna wrócił sam i wyprowadził go do ciasnej, zbitej z desek przyczepki. Poczł panikę, ale nie dano mu wyboru. Wsłuchiwał się w trzask kamieni miażdżonych kołami samochodu, a potem w jednostajny szum opon przesuwających się po asfaltowej szosie. Strzygł uszami i usiłował dostrzec coś w ciemności. W końcu dojechali na miejsce. Nowy właściciel wyprowadził go z przyczepki i kamienistym podjazdem poprowadził w kierunku ciemnej obory. Przypiął do drewnianego żłobu, a potem niezdarnie poklepał po rdzawym boku. Zadrzał pod wpływem obcego dotyku.

– Spokojnie, Kuba, spokojnie – usłyszał.

Zyskał nowe imię.

– To mutyzm. – Słowa lekarza powracały do Kingi każdego dnia. Przywoływała je, gdy o świcie otwierała oczy. Wracały, kiedy zmywała naczynia, wpatrując się w wyłożoną

niebieskimi kafelkami ścianę. Na spacerze. Przy popołudniowej kawie. Wieczornej kąpieli. I kiedy czytała Marcysia ulubione bajki o księżniczkach. Czasami świadomie zawieszala głos w najciekawszym momencie i z mocno bijącym sercem oczekiwała jakiegokolwiek reakcji. Okrzyku zniecierpliwienia. Protestu. Ponaglenia. Jednego słowa.

Na próżno.

– To minie – mówiono, a ona łapała się tych dwóch krótkich słów jak tratwy ratunkowej. I tak jak rozbitek oczekuje zbawiennego łądu, ona wypatrywała na horyzoncie padających z ust słów, dających nadzieję, że jej córeczka ponownie zacznie mówić.

To miało minąć, ale nie mijalo. Ze ściśniętym ze strachu sercem wspominała chwile, gdy Marcysia radośnie paplała, zasypując ją pozornie banalnymi informacjami na temat otaczającego je świata. Każdy kamyk, każdy listek i odkryty na ścieżce robaczek był wart wesołego szczebiotu córki. Każde zdarzenie wymagało dziecięcego komentarza. Kobieta nie potrafiła uwierzyć, że niegdyś paplanina córeczki działała jej na nerwy, że czując zbliżający się ból głowy, marzyła o samotnym kwadransie i filiżance kawy wypitej w absolutnej ciszy. Masz teraz ciszę, wyrzucała sobie w myślach, rozpaczliwie modląc się o krótkie „mama”.

– Przyczyną problemów Marcysi jest coś na kształt blokady. Fizycznie nic jej nie dolega, narządy artykulacyjne są jak najbardziej w porządku – tłumaczyła logopeda. – Problem tkwi tutaj. – Dotknęła czubkiem palca skroni dziewczynki.

Kinga skinęła głową. Słyszała to już wiele razy. Marcysia, rezolutna pięciolatka, uwielbiająca skoczne piosenki i bajeczki o księżniczkach, potrafiła mówić, nie miała wad wymowy, doskonale się rozwijała. Była pogodnym i rozgadany dzieckiem do czasu, kiedy wraz z grupą przedszkolaków pojechała na wycieczkę do kina i uczestniczyła w wypadku samochodowym. W czasie kolizji poważnie ucierpiała jedna z jej najbliższych koleżanek, kilkoro dzieci miało lżejsze urazy, połała się krew. Ku przerażeniu Kingi Marcysia niespodziewanie zamknęła się w sobie. Początkowo kobieta sądziła, że córka potrzebuje czasu, by otrząsnąć się z nieprzyjemnych doznań i odzyskać poczucie bezpieczeństwa. Zagadywała, zadawała pytania, które pozostawały bez odpowiedzi, później na sugestię pediatry odpuściła, dała dziewczynce kilka dni na powrót do równowagi. Na próżno. Psycholog, która po wypadku pojawiła się w przedszkolu, aby porozmawiać z dziećmi, doradziła poszukanie specjalistycznej pomocy. Rozpoczęła się wędrówka po gabinetach psychologów, pedagogów i logopedów. Niezliczone godziny terapii, w których dziewczynka chętnie uczestniczyła, ale które nie pomogły jej wydobyć z siebie głosu. Kinga wpadała w rozpacz. Nie, nie traciła nadziei, ale coraz częściej odczuwała coś na kształt paniki.

Wpatrując się w drzwi, za którymi Marcysia odbywała czterdziestopięciminutową sesję z psychologiem, Kinga poczuła napływające łzy. Kiedy klamka drgnęła, pospiesznie przetarła oczy wierzchem dłoni i uśmiechnęła się do wychodzącej z gabinetu córki. Marcysia spojrzała na nią wielkimi, poważnymi oczyma, a Kinga ścisnęło się serce.

– To co? Idziemy na lody? – zagadnęła pozornie pogodnym głosem.

Córeczka uśmiechnęła się szeroko i wolno pokiwała głową. Kinga podała jej różowy plecak z Kopciuszkiem i popchnęła lekko w kierunku drzwi wyjściowych. Idąc

za córką, grzebała w kieszeni w poszukiwaniu skrawka chusteczki higienicznej, by powstrzymać napływające łzy.

Powoli zapominał zakiet z wielkimi kieszeniami. Nowy właściciel nosił kamizelkę przesiąkniętą mieszaniną potu i tytoniu. Nie miał najmniejszej ochoty szukać w niej przysmaków, zresztą przysmaki należały do innego świata, do świata Karmela, a on już nim nie był. Teraz nazywano go Kubą i przypinano do wielkiego, zadaszzonego wozu, którym wraz z drugim koniem, dzień w dzień, słońca czy pogoda, świątek czy piątek woził turystów popularną turystyczną trasą. Asfaltowa nitka drogi wiała się malowniczą doliną wśród drzew, gdzieniegdzie przecinaną spienionymi górskimi strumieniami, a po obu stronach szosy góry pięły się w niebo. Pogoda bywała nieprzewidywalna. Czasami z nieba lał się bezlitosny żar, parząc jego rdzawe boki, czasem z chmur opadały strumienie lodowatego deszczu, a on brnął przed siebie, mozolnie ciągnąc wóz i zadowolonych z siebie ludzi rozpartych na drewnianych ławeczkach i zasłuchanych w opowieści gazdy, który za każdym razem informował turystów, że Kuba należał do żony *tego* sławnego aktora. O wypadku i jego następstwach właściciel nie wspominał. Może bał się, że uznają konia za narowistego i będą omijać szerokim łukiem?

Dni upływały mu jeden za drugim. Turyści przychodzili i odchodzili. Wsiadali i zsiadali. Śnieg pokrywał dolinę białym całunem, a potem topniał i zalewał asfaltową drogę wodą. Powoli zapominał, jak wcześniej wyglądało jego życie. Przyzwyczajał się do nowej rzeczywistości i nowego właściciela. Wierzył, że jego codzienność właśnie tak ma wyglądać.

I wtedy poślizgnął się na oblodzonej drodze. Upadł i poczuł przenikliwy ból.

Wezwana na miejsce zdarzenia weterynarz tylko potrząsnęła głową.

Nie nadawał się już do wożenia turystów.

Dla takich jak on była tylko jedna droga.



– Daję trzy tysiące. Trzy i pół! – Magda poślizgnęła się na łacie topniejącego śniegu i opadła na jedno kolano. Poczowała ukłucie i skrzywiła się boleśnie, ale zaraz poderwała się na nogi i podbiegła do ponurego mężczyzny o nalanej twarzy. – Trzy i pół tysiąca za siwka.

– Daj mi spokój, babo!

– No, co panu zależy? Nie szkoda panu? Ma iść do rzeźni, tak? Tak?! Kawał chu... z pana! – wrzasnęła w kierunku pleców oddalającego się mężczyzny. Odwróciła się na pięcie i przetykając palące łzy, ruszyła przed siebie. Rozglądała się na boki nerwowo, rejestrując spłoszone zwierzęta zaganiane do prowizorycznych zagród i podstawionych przyczep.

Konie sprzedawane na targu w Rybkach trafiały do włoskich rzeźni, a tam... Magda wolała sobie tego nie wyobrażać. Od kilku miesięcy była zaangażowana w

działalność fundacji ratującej stare i okaleczone zwierzęta trafiające na targi podobne do tego. Wraz z innymi wolontariuszami zbierała fundusze, zaczepiała ludzi, uświadamiając ich, jak dramatycznie wygląda sytuacja oddawanych na rzeź koni, odwiedzała gospodarzy, o których doszły ją słuchy, że zamierzają sprzedać konie „na mięso”. Przekonywała, targowała się o każdą złotówkę, żebrała o końskie życie. Sfrustrowana sięgała po własne pieniądze, z wściekłością rejestrując fakt, że kiedy na scenie pojawiali się miłośnicy zwierząt, ceny drastycznie rosły. Właściciele koni dobrze wiedzieli, że dla nich życie takiego Siwka czy Kasztana jest bezcenne i że zrobią wszystko, by zgromadzić wymaganą kwotę.

– Magda, mamy pięć stów od darczyńcy z Facebooka – usłyszała gdzieś za plecami. Nie oglądając się za siebie, ruszyła w kierunku kotłowniny, gdzie jakiś facet przekrzykiwał się z kupującymi, a piękny wierzchowiec o rdzawej sierści nerwowo dreptał w miejscu. Podobne datki były coraz powszechniejsze. Media społecznościowe pozwoliły dotrzeć do milionów ludzi na całym świecie i uświadamiać ich o krzywdach, jakie wyrządzano zwierzętom. Część osób, jak Magda, angażowała się w pomoc potrzebującym, inni – niedysponujący wystarczającym czasem i energią – okazywali swoje wsparcie materialne, by podkreślić, że zgadzają się z działalnością fundacji.

Magda podeszła do klócących się mężczyzn i delikatnie dotknęła rdzawego boku zwierzęcia.

– Jak ma na imię?

Właściciel zwierzęcia łypnął na nią, oszacował szybkim spojrzeniem i odwrócił się z niechęcią. Wyczuł, kim jest, podobnie jak ona wyczuła jego.

– Kuba – burknął pod nosem i ponownie zwrócił się w kierunku kupca. Magda poklepała konia po szyi i cichutko wyszeptała jego imię. Zwierzę zwróciło ku niej pysk, a ona wprost zatoneła w wielkich, czekoladowych oczach. Pysk Kuby natychmiast powędrował w kierunku kieszeni na połach jej kurtki. Zaśmiała się.

– Szukasz czegoś dobrego? – mruknęła, oglądając go ze wszystkich stron. – Przykro mi, dziś nic nie zabrałam, ale może następnym razem?

Natychmiast skarciła się za tak głupie słowa. Dla Kuby nie będzie następnego razu. Lada chwila zostanie sprzedany, zapakowany do wielkiej naczepy, w której konie tratowały się, gnioły i dusiły w drodze do dalekiej rzeźni w Italii lub innym miejscu. Pochyliła się i zmierzyła wzrokiem kończyny zwierzęcia. Zaklęła pod nosem.

– Ta noga nie zrosła się dobrze. – Złapała właściciela za ramię i mocno nim potrząsnęła. Niechętnie oderwał się od kupca i spojrzał na nią, wzruszając ramionami.

– No i?

– Jego to boli! – Z trudem powstrzymała się, by nie dodać jakiegoś soczystego epitetu.

Mężczyzna westchnął i pokręcił głową, jakby rozmawiał nie z dorosłą kobietą, ale z małą dziewczynką, której właśnie trzeba wytłumaczyć, dlaczego nie może pójść na ulubione lody.

– Weterynarz powiedział, że nic więcej nie można dla niego zrobić.

– Ja jestem weterynarzem.

– Wyleczy go pani? Tak żeby mógł dalej pracować? – zadrwił. Magda wytrzymała

jego spojrzenie.

– Mój wujek miał kiedyś konia zaprzęgowego. Kary złamał nogę i to tak poważnie, że musiano go uśpić. Wujek płakał jak dziecko. Nawet przez myśl mu nie przeszło, by oddać przyjaciela do rzeźni.

– Proszę pani, ja nie mam przyjaciół, ja mam biznes.

– I nie ma pan serca – warknęła. – Biorę go – wypaliła nagle.

– Co? – Mężczyzna zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Chcę kupić Kubę.

– Proszę bardzo. Osiem tysięcy.

– Ile?! Chyba pan żartuje! – Poczwała, że jeszcze chwila, a rzuci się mężczyźnie do gardła. – Kiedy podchodziłam, wyraźnie usłyszałam, że stanęło na czterech. Ja daję pięć i zabieram konia.

– Myli się pani. – Właściciel rdzawego wierzchowca uśmiechnął się szyderczo. – Stanęło na ośmiu. A ja nie zamierzam się targować.

– To jest skurwysyństwo.

– To jest biznes. Dałem za tego konia dziesięć tysięcy. Należał do...

– Wsadź sobie w dupę te osiem tysięcy – przerwała mu bezceremonialnie.

– To nie pani sprawa, co z nimi zrobię – skwitował i zaśmiał się złośliwie.

Magda odwróciła wzrok w obawie, że jeśli padnie jeszcze kilka słów, wydrapie właścicielowi Kuby oczy. Pospiesznie przywołała jedną z wolontariuszek i wskazała na konia.

– Pilnuj mi go, a gdyby właściciel próbował jakichś sztuczek, narób rabanu. Muszę pojechać do bankomatu.

Kilka chwil później stanęła przed siedzibą banku i stanowiskiem do wypłacania pieniędzy. Przez moment wahała się, trzymając palec nad klawiaturą, aż w końcu dwukrotnie pobrała kwotę czterech tysięcy. Miała kupić nowy samochód, stary już ledwie zipsał, a w jej pracy dobry samochód to podstawa. Cóż, zakup musiał trochę poczekać, życie Kuby było pilniejsze!

Wróciła na targ i wcisnęła właścicielowi konia pieniądze. Nawet ich nie przeliczył, tylko szeroko uśmiechnięty wcisnął plik banknotów w kieszeń spodni i poklepał zwierzę po rdzawym boku. Koń zastrzygł uszami i nieznacznie odwrócił łeb w kierunku znajomego głosu.

– Trzymaj się, Kuba.

Magda nie odezwała się ani słowem. Przytuliła głowę do ciepłej końskiej szyi i odczekała, aż były właściciel sobie pójdzie. Dopiero kiedy znikł w plątaninie ludzi i zwierząt, zeszło z niej całe napięcie. Rozluźniła mięśnie i poczuła, że dygocze. Zerknęła na Kubę i napotkała mądre spojrzenie ciemnych oczu. „To dopiero początek, mój mały” – pomyślała, gładząc białą gwiazdkę między jego oczyma.

Kinga zatrzymała się przed wystawą butiku w galerii handlowej i z uznaniem spojrziała na błękitną sukienkę w drobne kwiatki. Właśnie czegoś takiego szukała – kobiecego, a równocześnie wygodnego i przewiewnego. Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że jeśli ma zamiar przymierzyć kreację, musi się pospieszyć. Zajęcia w

poradni kończyły się za kwadrans, a przecież nie chciała, by Marcysia musiała na nią czekać.

Na myśl o córeczce poczuła lekkie ukłucie w piersi.

Nadal żadnych zmian, ani jednego słowa, które sprowokowałoby lawinę kolejnych. Potrzeba czasu, uspokajała siebie w myślach, by nie zatruć sobie tego pięknego, letniego dnia. Potrzeba czasu.

Odetchnęła i zrobiła krok w kierunku wejścia do butiku, gdy niespodziewanie poczuła na ramieniu mocny uścisk. Drgnęła przestraszona i odwróciła się gwałtownie. Natychmiast napotkała roześmiane spojrzenie ciemnobrązowych oczu.

– Magda! – wykrztusiła zaskoczona. Po chwili ścisnęły się jak szalone. Albo po prostu jak przyjaciółki, które nie widziały się blisko dziesięć lat. – Co ty tutaj robisz? Co słyhać? – zasypała koleżankę kolejnymi pytaniami, zupełnie zapominając o błękitnej sukience.

– Miałam coś do załatwienia w mieście i przy okazji pos-tanowiłam kupić mocne buty. I kilka innych drobiazgów. Widzę, że i ty wyrwałaś się na zakupy? – Magda znacząco spojrzała na manekina stojącego w oknie butiku.

– No, tak... – Kinga nieznacznie się zawahała. W liceum były z Magdą nierozłączne. Do samej matury siedziały w jednej ławce, po lekcjach uczyły się razem do egzaminu dojrzałości, chodziły na spotkania i imprezy. W kolejnych latach ich drogi się rozeszły. Magda studiowała weterynarię, Kinga wybrała filologię polską, czasu na spotkania było coraz mniej, pojawili się inni znajomi. A na domiar wszystkiego rodzice przyjaciółki odziedziczyli po krewnych duży dom za miastem i wkrótce cała rodzina przeniosła się na wieś. Początkowo Magda i Kinga wymieniały listy, e-maile i SMS-y, ale z czasem kontakty się poluzowały i po licealnej przyjaźni pozostały tylko wspomnienia. Kinga uświadomiła sobie nagle, że przyjaciółka co roku przysyła jej życzenia świąteczne, a ona... ona, cóż, w natłoku nowych obowiązków i problemów po prostu o nich zapomniała.

– Gdzie Marcysia? Pewnie w przedszkolu? – trajkotała Magda.

– Marcysia... – Kinga spojrzała z rozpaczą na dawną przyjaciółkę i nagle z jej gardła wydarł się niekontrolowany szloch.

– Kinga, co się dzieje? – Kobieta przeraziła się. Natychmiast złapała Kingę pod ramię i podprowadziła do stojącej nieopodal ławki. Przysiadły na jej brzegu, Kinga ukryła twarz w dłoniach i zapłakała. Zdenerwowana Magda zaczęła zadawać pytania. Po kilku minutach znała już niemal całą historię związaną z wypadkiem przedszkolnego busa i milczeniem Marcysi.

– Ale specjaliści mówią, że to minie, tak? – dopytywała.

– Ludzki umysł to zagadka – wyrecytowała z lekkim sarkazmem Kinga, ocierając oczy chusteczką. – Boję się o moją córkę, Magda.

– To oczywiste. I teraz Marcysia jest na terapii?

– Boże! – Kinga zerwała się z ławki z uczuciem nagłej paniki. – Zapomniałam na śmierć, przecież muszę ją odebrać za kilka minut!

– W porządku. Kinga, posłuchaj... Wiesz, że odziedziczyłam po rodzicach gospodarstwo pod Wadowicami? Prowadzę tam praktykę weterynaryjną. – Kinga

mechanicznie potakiwała, myślami była już przy córce. – Zapiszę ci adres. Chciałabym, żebyś tam przyjechała z Marcysią.

– Weterynarze nie leczą dzieci – pozwoliła sobie na żart. Magda parsknęła śmiechem.

– Oczywiście, że nie! Ale świeże powietrze na pewno pozytywnie wpłynie na Marcysię. Poza tym mam tam niezwyklego lokatora. Słyszałaś o hipoterapii?

Kinga skinęła głową. Miała wrażenie, że słyszała już o wszystkim. Że łapała się już niemal wszystkiego. Gdyby w tej chwili jakiś lekarz zapewnił ją, że Marcysia zacznie mówić, jeśli matka odda jej własny mózg, z pewnością natychmiast rozpoczęłyby przygotowania do przeszczepu.

– Nie wahaj się. Przyjedź. Nawet jeśli ta wizyta nie da natychmiastowych efektów, to przynajmniej spędzimy razem trochę czasu, a Marcysia pobawi się ze zwierzakami. Mam tam niezłą ferajnę. Przemyśl to.

– Dobrze, przemyślę. – Kinga niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę. Przemyśli to, ale potem. Teraz liczyła się tylko Marcysia, która za parę minut wyjdzie z gabinetu i niespokojnie rozejrzy się za oczekującą matką. Pospiesznie cmoknęła Magdę w policzek i biegiem rzuciła się w kierunku wyjścia.

Kinga zerknęła na wyświetlacz nawigacji i stwierdziła, że zbliżają się do celu. Do gospodarstwa Magdy pozostało dwanaście kilometrów. Obejrzała się na córkę, która siedząc w foteliku na tylnym siedzeniu, mocno tuliła do siebie ulubionego pluszaka. Jakiś czas po wyjeździe z Krakowa u dziewczynki pojawiły się mdłości, ale przerwa w podróży połączona z dłuższym spacerem uratowała sytuację i pozwoliła kontynuować jazdę. Marcysia uśmiechnęła się słabo.

– W porządku, córeczko? – Lekkie kiwnięcie jasnej główki. – Już niedługo będziemy na miejscu.

Kinga wcisnęła przycisk kierunkowskazu i włączyła się do ruchu, równocześnie myśląc, jak niewiele brakowało, żeby zrezygnowała z przyjazdu do Magdy. Zupełnie zapomniała o propozycji przyjaciółki, pogrążając się w kolejnych godzinach zajęć i terapii dla Marcysi. To psycholog zauważyła, że im obu – dziewczynce i jej mamie – potrzebny jest odpoczynek. Przerwa w zajęciach na zregenerowanie sił. Kinga chciała zaprotestować, bo taka przerwa była dla niej niepotrzebną stratą czasu, oddalającą upragniony moment, gdy Marcysia znowu przemówi, ale ugryzła się w język. Terapeutka wiedziała lepiej. Z pewnością zauważyła, że Marcysia nie współpracuje już z taką energią jak na początku i potrzebuje chwili oddechu.

– Jedźcie w jakieś ładne miejsce i odpoczywajcie – zasugerowała pani Alicja.

– A słyszała pani o hipoterapii? – W chwili, gdy Kinga wypowiedziała te słowa, zrozumiała, jak głupio musiały zabrzmieć w uszach specjalistki. Mimo to pani Alicja uśmiechnęła się ciepło.

– No pewnie! Hipoterapia, dogoterapia, w wielu przypadkach dają znakomite rezultaty. Jeśli macie okazję spędzić nieco czasu w towarzystwie koni, zachęcam. Między zwierzęciem a dzieckiem wytwarza się wyjątkowa więź!

Tego samego dnia, gdy utuliła już Marcysię do snu i przeczytała kolejną bajkę o

księżniczkach, Kinga sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Magdy. Z ulgą przyjęła fakt, że przyjaciółka jest zachwycona ich przyjazdem. Umówiły się na konkretny termin. W ostatnim tygodniu lipca Kinga i Marcysia zapakowały trochę ubrań, najpotrzebniejsze rzeczy oraz ulubione książeczki dziewczynki, a następnie wyruszyły do prowadzonego przez panią weterynarz gospodarstwa.

Domostwo Magdy znajdowało się na szczycie zalesionego wzgórza. Prowadziła tam dość stroma, wysypana kamieniem droga, na widok której w pierwszym momencie Kinga wpadła w popłoch. Okazało się jednak, że niepotrzebnie. Ich wysłużony opel poradził sobie i po chwili stały już przed bramą zbitą z jasnych desek. Magda czekała przy wjeździe, radośnie do nich machając. Uchyliła skrzydła bramy, a gdy samochód już przejechał, ponownie je zawarła. Kinga zaparkowała na niedużym placu wysypanym takim samym kamieniem, tuż za starą, odrapaną terenówką. Jej auto przy pojeździe Magdy wyglądało jak nówka wprost z salonu!

Gospodyni podbiegła do samochodu i zajrzała do środka, szeroko się uśmiechając i wykrzykując powitania. Natychmiast przejęła z rąk Kingi wypchaną sportową torbę i zarzuciła ją sobie na ramię, gdy przyjaciółka oswobadzała córkę z szelek fotelika. Dziewczynka wyskoczyła na kamienisty podjazd i zerknęła przelotnie na Magdę. Weterynarz przykucnęła przy niej i lekko dotknęła palcem jej dłoni.

– Cześć, jestem Magda, ale dla ciebie mogę być ciocią. Jeśli zechcesz.

Marcysia skinęła głową i natychmiast rozejrzała się dookoła. Takie otoczenie było dla niej zupełną nowością. Wysokie drzewa z lekko rozkołysanymi koronami. Rabatki pełne wielokolorowych kwiatów i fruujące nad nimi białe i cytrynowe motyle. Płoty zbite z surowych desek, wydzielające charakterystyczny zapach. Drewno, żywica? – główkowała Kinga, otaczając ramionami szyję przyjaciółki. Uświadomiła sobie, że Marcysia nigdy wcześniej nie widziała wsi! Ona sama nie była na wsi... pewnie z dwadzieścia lat!

– Tu jest pięknie! – szepnęła z podziwem, wpatrując się w niski domek przycupnięty między drzewami. Po lewej stronie znajdował się na wpół dziki sad, nawet taka amatorka jak ona potrafiła rozpoznać wiśnie i jabłonie. Na prawo rosły wielkie dęby i lipy. Z ceglanego komina unosił się dym.

– Robię, co w mojej mocy – przyznała skromnie Magda. Położyła dłoń na ramieniu Marcysi i wskazała drewnianą werandę prowadzącą do domku. – Wejdziemy do środka? Czas, abyś poznała pozostałych lokatorów domu. Zamknęłam ich w środku, bałam się, że ich entuzjazm zwali was z nóg.

Dziewczynka ponownie skinęła główką. Magda delikatnie popchnęła ją w kierunku domu. Kinga szła na końcu, nie spuszczać wzroku z córki. Uchyłone drzwi zaprowadziły je do dość ciemnego wąskiego korytarzyka, który najwyraźniej ciągnął się przez całą długość domu. Jego centralną część zajmowały drewniane schody prowadzące na strych lub poddasze. Magda nacisnęła klamkę drzwi po prawej stronie i w jednej chwili pomieszczenie wypełnił radosny pisk. Psisko o biszkoptowej sierści skakało po swojej opiekunce, starając się dosięgnąć imponujących rozmiarów jęzorem jej dłoni i twarzy. Kobieta śmiała się, opędzając od kudłatego potwora. Kinga zerknęła niepewnie na Marcysię. Dziewczynka wpatrywała się w tę scenę jak urzeczona.

– To Kapsel. – Magda dokonała prędkiej prezentacji, łapiąc psisko za skórzaną obrozę i podprowadzając do dziecka. – Spokojnie, piesku, pokaż naszym gościom trochę kultury. Możesz go pogłaskać – zwróciła się do Marcysi. – Bardzo to lubi. Z pewnością nie da ci spokoju.

Dziewczynka zachichotała. Kinga drgnęła. Uświadomiła sobie, że już dawno nie słyszała u córki tak radosnego śmiechu. Przełknęła ślinę, rozglądając się po dużej, urządzonej w starym stylu kuchni. W kącie stał ogromny piec, obłożony grubymi brązowymi kaflami. Na blasze postawiono garnek, a w nim pyrkała jakaś apetycznie pachnąca zupa. Magda podłapała jej spojrzenie i zaczerwieniła się po korzonki włosów.

– Niestety, średnio gotuję. To gotowa mrożona mieszanka.

– Chętnie wezmę przyrządzanie posiłków na siebie – zaoferowała Kinga ze śmiechem. Przypomniała sobie, że za licealnych czasów Magda przypaliła wodę na kawę, którą zamierzała ją poczęstować.

– W takim razie musicie zostać co najmniej do końca wakacji – zażartowała pani weterynarz. – Chodźmy, oprowadzę was po naszym skromnym domostwie i pokażę wam pokój, w którym będziecie spać.

Z kuchni białe drzwi prowadziły wprost do sporego pokoju. Na środku stał duży okrągły stół, jedną ścianę zajmowała długa meblościanka na wysoki połysk, drugą wersalka zaściewana narzutą w kolorowe pasy. Na kolejnej znajdowały się dwa wąskie okienka wychodzące na ogród i łąkę. Kinga zauważyła, że meble pokrywa cieniutka warstewka kurzu, a firanki są lekko poszarzałe. „Najwyraźniej pani weterynarz niezbyt lubi prace domowe”, pomyślała z mieszaniną czułości i rozbawienia.

Tymczasem Magda uchyliła drzwi znajdujące się między wersalką a imponującym fikusem w drewnianej donicy i ponownie wyprowadziła je na korytarz. Kapsel nie odstępował Marcysi na krok. Gospodyni pokazała im swoją sypialnię, która znajdowała się naprzeciwko pokoju gościnnego i również miała okna wychodzące na łąki, po czym zaprowadziła je do ostatniego pokoiku, znajdującego się tuż przy wejściu, tyle że po lewej stronie. W kwadratowej izdebce znajdowała się wiekowa szafa i podwójne drewniane łóżko. Pod oknem stała sofa obita zieloną tkaniną, a na niej co najmniej piętnaście wielobarwnych poduszek w szydełkowych powłóczkach.

– Piękny! – Kinga miała wrażenie, jakby za sprawą wehikułu czasu przeniosła się do domku prababci Józi, który odwiedzała jako kilkuletnia dziewczynka. – Czy to...? – Wskazała łóżko.

– Pierzyny. – W oczach Magdy pojawił się figlarny błysk. – Jeśli zamierzasz poskakać, lepiej od razu przynieś odkurzacz – zachichotała. – Gdyby było wam pod nimi za gorąco, w szafie znajdziecie koce. Prawdopodobnie nie zjadł ich jeszcze żaden mól. Pójdę zerknąć na zupę, a wy się rozgoście. To Bandytka – wtrąciła mimochodem, wskazując poduszki. Zaskoczona Kinga stwierdziła, że z kłębowiska wielobarwnych poduch wystaje czarny ogon. Po chwili jego właścicielka uniosła się na łapach, wyprężyła grzbiet i nie zaszczycał gości ani jednym spojrzeniem, wymaszerowała do sieni.

Magda zaśmiała się krótko i rozłożyła ręce.

– Poznałyście już niemal całą moją rodzinę. Został tylko Kuba.

– Kuba? – Kinga uniosła pytająco brwi.

– Potem – przerwała gospodyni. – Najpierw zupa.

Zupa, choć z mrożonki, była zaskakująco smaczna, a apetyty po podróży dopisywały, więc talerze raz dwa zostały opróżnione, opłukane w zlewie i ustawione na plastikowej suszarce. Magda poklepała się po brzuchu i spojrzała pytająco na swoich gości.

– Macie siły na spacer, czy wolicie odpocząć po obiedzie?

Oczywiście nie zamierzały odpoczywać! Kinga spojrzała pytająco na córkę, ale dziewczynka już była przy drzwiach, gdzie czekał Kapsel dzierżący w pysku sporych rozmiarów patyk. Widząc spojrzenie dziewczynki, Magda wyjaśniła:

– Lubi pobiegać za patykiem. Chcesz mu porzucić? – Marcysia skinęła głową.

Wyszły przed dom. Magda odebrała Kapslowi patyk i zademonstrowała rzut. Kiedy psisko wróciło do niej z odrapanym kijkiem, wskazała mu Marcysię. Zachwycony zwierzak natychmiast zaczął zaczepiać dziewczynkę. Magda i Kinga obserwowały zabawę w milczeniu. W pewnej chwili gospodyni objęła przyjaciółkę ramieniem i spojrzała jej poważnie w oczy.

– Cieszę się, że przyjechałyście.

– Ja też się cieszę – przyznała Kinga.

– Nadal bez zmian?

– Nadal. – Kinga głośno przełknęła ślinę.

– Nie powiem, że będzie dobrze, bo to banał. Nawet jeśli tak czuję.

– Dziękuję. Słyszałam już dość banałów.

– Ale jestem z wami. Zawsze możecie tu przyjechać i być z nami. Uważam, że to świetne otoczenie dla dziecka. Zwierzęta uczą empatii, odpowiedzialności, ale również zabawy i miłości. A jeśli znudzi ją zabawa z Kapslem czy Kubą... nieco dalej jest od groma dzieci. – Kinga skinęła głową. Magda przez moment wpatrywała się w nią, jakby chciała coś dodać, ale ostatecznie zrezygnowała. Zamiast tego wesoło zawołała do dziewczynki: – Chodźmy teraz do Kuby!

Kapsel najwyraźniej zrozumiał polecenie, bo pozostawiwszy patyk na trawniku, pokłusował ścieżką niknącą między owocowymi drzewami. Marcysia, nie czekając na matkę i jej przyjaciółkę, natychmiast pobiegła za nim. Kinga otworzyła usta, by zaprotestować, ale Magda położyła uspokajająco dłoń na jej ramieniu.

– Nic jej nie będzie.

Minęły sad i wyszły na łąkę położoną na zboczu łagodnego wzgórza. Przecinały ją płoty zbite z desek. Marcysia stała w połowie ścieżki, wpatrując się z uchylonymi ustami w padok i biegającego po nim konia. Kapsel radośnie poszczekiwał, opierając przednie łapy na ogrodzeniu. Piękny wierzchowiec o rdzawym umaszczeniu wesoło przyklusował w ich stronę i wyczekująco zatrzymał się przy płocie, strzygąc uszami. Kinga gwizdnęła cichutko. Nawet ona, chociaż zupełnie nie znała się na koniach, potrafiła docenić urodę zwierzęcia.

– Kuba? – zdziwiła się. – To imię jest dla niego zbyt pospolite. Spójrz na ten kolor. Już bardziej Karmel.

Magda skinęła głową.

– Czasami tak do niego mówię. Bardzo to lubi.

Kinga powoli otworzyła oczy. W pierwszej chwili nie mogła rozpoznać otoczenia, poczuła nagłą dezorientację. Jednak gdy tylko spojrzała na stertę wielobarwnych poduszek, przypomniała sobie wydarzenia poprzedniego dnia i przyjazd do domku Magdy. Po odwiedzinach u Kuby zaliczyły jeszcze spacer po okolicznych wzgórzach, który tak bardzo zmęczył Marcysię, że marudząca dziewczynka padła jak kawka. Kinga ułożyła się u jej boku tylko na chwilę, aby rozprostować nogi i sama nie wiedząc kiedy, również zasnęła. Przespała całą noc w ubraniu i pełnym makijażu.

Marcysia siedziała na brzegu łóżka i bawiła się ulubionym pluszakiem. Kinga przez krótką chwilę obserwowała ruchy dziewczynki, ciesząc oczy sielskim obrazkiem, a potem przywołała ją do siebie, by mocno przytulić i szepnąć do ucha: „Dzień dobry”. Marcysia objęła ją za szyję szczupłymi ramionkami, ale zaraz zeskoczyła z posłania i podbiegła do drzwi. Posłała matce wyczekujące spojrzenie.

– Chcesz wyjść? Do łazienki? – zapytała domyślnie Kinga. Marcysia potrząsnęła głową i zmarszczyła ponagląjąco jasne brewki. Nacisnęła klamkę, a wtedy drzwi na korytarz stanęły przed nią otworem. Myk i już nie było jej w pokoju. Zaintrygowana kobieta podniosła się z łóżka i ruszyła za córką. Dziewczynka stała przy drzwiach wyjściowych. Włożyła już kalosze, w których spacerowała poprzedniego dnia, i dreptała w miejscu zniecierpliwiona.

– Na zewnątrz? Teraz? – Rozbawiona Kinga pokręciła głową, ale posłusznie narzuciła na siebie sweter i wzięła dziecko za rękę. Wyszły na podjazd i przez moment stały, wsłuchane w świergot ptaków, oszołomione blaskiem porannego słońca przebijającego się przez korony rosnących naokoło drzew. Kinga spojrzała na córkę z uśmiechem. – A może na spacer wybierzemy się po śniadaniu? Nie? Teraz? No to prowadź!

Marcysia tylko na to czekała. Puściła rękę mamy i biegiem ruszyła między owocowe drzewa. Było oczywiste, że chce się ponownie spotkać z mieszkańcem padoku, więc zaniepokojona Kinga przyspieszyła kroku. Gdy wyszła na łąkę, z daleka ujrzała Magdę, która właśnie oporządzała zwierzę. Marcysia oparła się o drewniane ogrodzenie, zabawnie przebierając nogami. Z całej jej postaci emanowało radosne podekscytowanie. W chwili, kiedy Kinga dotarła na miejsce i oparła łokcie o mocny płot, opiekunka Kuby podawała dziewczynce marchewkę.

– Połóż ją na wyciągniętej ręce, o tak... dobrze. Spokojnie, nie bój się, to może trochę łaskotać. Niewykluczone, że cię obślini, ale na pewno nie zrobi ci krzywdy. Świetnie. Widać, że cię polubił – zauważyła.

Kinga obserwowała emocje malujące się na twarzy Marcysi. Dziewczynka z mieszaniną lęku i fascynacji wpatrywała się w zbliżający do niej koński łeb. Gdy Kuba dotknął chrapami jej dłoni, nie cofnęła ręki, ale zachichotała cichutko i zerknęła, czy matka widzi, jak świetnie się bawi. Zaraz jednak ponownie skupiła uwagę na zwierzęciu i sięgnęła w kierunku Magdy po kolejną porcję warzywa.

– Chciałabyś się przejechać? – zagadnęła pani weterynarz.

– Eeee, to chyba... – zaczęła Kinga, ale widząc pełne nadziei spojrzenie

dziewczynki, zamilkła. Magda uśmiechnęła się półgębkiem i spojrzała na przyjaciółkę z politowaniem.

– No przecież, że nie sama. I nie galopem. – Nachyliła się w kierunku dziewczynki i dotknęła jej ramienia. Marcysia wpatrywała się w nią jak urzeczona. – Zrobimy tak... pójdziemy teraz na śniadanie i damy mamie godzinę, by oswoiła się z tą myślą. A potem wrócimy do Kuby. Zgadzasz się?

Wierzchowiec zarżał radośnie, a Marcysia z powagą skinęła głową. Gdy szły w kierunku domu, co parę kroków oglądała się za siebie i wpatrywała w kłusujące po pastwisku zwierzę. A Kuba patrzył za odchodzącą dziewczynką i zabawnie podrzucał grzywą.

Podczas posiłku odezwała się wysłużona komórka Magdy. Na widok telefonu przyjaciółki Kinga mimowolnie parsknęła śmiechem. Właścicielka domku odebrała połączenie, wymieniła z dzwoniącym kilka uwag, rozłączyła się i sięgnęła po kubek z kawą. Posłała Kindze pobłażliwe spojrzenie.

– Ciekawe, czy ty zabierałabyś wypasionego smartfona między krowie kopyta. Moja nokia jest stara, ale wytrzymała. Przeżyła już niejedno.

– To akurat widać – zauważyła ze śmiechem druga kobieta, gryząc kawałek bułki. Magda pokazała jej język, a potem nachyliła się nad Marcysią. Dziewczynka zajadała z apetytem kakaowe kulki z mlekiem. Według jej mamy był to niezawodny przysmak, który „wchodził” nawet przy najgorszym braku apetytu czy chorobie. Zestresowana gospodyni, znająca się lepiej na żywieniu zwierząt niż dzieci, kupiła przed przyjazdem dziewczynki trzy torby słodkich chrupek.

– Obawiam się, że trzeba naszą przejażdżkę odłożyć do popołudnia. Muszę pojechać do miasta.

Marcysia wyglądała na bardzo rozczarowaną. Utkwiła spojrzenie w mieszaninie mleka i kulek i nie podnosiła głowy. Magda zaklęła w duchu. Nagle jej wzrok spoczął na pęczku dojrzałej marchewki leżącym na blacie.

– Jeśli chcesz, możesz odwiedzić Kubę z marchewką, drugie śniadanie dobrze mu zrobi – zaproponowała wesoło. Marcysia natychmiast poderwała głowę i spojrzała na nią roześmianymi oczkami. Kinga skinęła lekko głową.

– Zawsze sądziłam, że konie pogryzają kostki cukru – mruknęła.

– Bo pogryzają i często bardzo lubią – przyznała Magda. – Ale podobnie jak ludziom cukier im szkodzi. Jest wiele zdrowszych smakołyków dla koni. W specjalistycznych sklepach można kupić nawet dropsy. Ja rozpieszczam Kubę marchewką i jabłkiem.

– A suchy chleb dla konia?

– Owszem, ale naprawdę suchy i w żadnym razie spleśniały czy posmarowany masłem. To mogłoby się nieciekawie skończyć. Leczyłam już wiele zwierząt dotkniętych boleściami po takim poczęstunku. Zresztą Kuba nie przepada za chlebem.

– To zupełnie jak Marcysia. – Kinga ucałowała lekko wilgotne czoło córki. Upał już dawał się we znaki. – A gdzie się wybierasz?

– Mam małe kłopoty z miejscowymi. Nie wszystkim podoba się, że sprowadziłam

tutaj zwierzęta.

– Przecież to tylko jeden koń! – oburzyła się Kinga. Magda odpowiedziała łobuzerskim uśmiechem.

– Nie zawsze jeden. Mam ku temu warunki, więc czasami biorę na przechowanie konie uratowane przez fundację. Tymczasowo. Kuba jest moim jedynym stałym lokatorem, ale czasem miewa towarzystwo. Raz zamieszkała z nami lama...

– La... – Kinga otworzyła szeroko oczy. – Co to za kłopoty?

– Nieduże. Dostałam kilka nieprzyjemnych wiadomości, nic wielkiego. Ale nie mogłam tego zlekceważyć i zaniósłam je na policję. Właśnie dzwonił komisarz. Mają podejrzanego i muszą ze mną porozmawiać. Komisarz chciał przyjechać tutaj, ale wolę nie stresować Marcysi. I Kapsła. Bardzo nie lubi mundurowych. Postaram się szybko wrócić, a wy czujcie się jak w domu. – Na widok miny przyjaciółki dodała: – Nie denerwuj się. Jeśli nie chcesz, by Marcysia podawała Kubie warzywa, gdy mnie nie ma, połóż po prostu marchewkę na płocie, rozłóżcie koc na łące i obserwujcie jego zabawy z daleka. Zobaczycie, że sam się poczęstuje. Do tego nie trzeba go namawiać.

– Dziękuję. – Kinga wyglądała jak ktoś, komu z serca stoczył się wielki głaz. – Ja wiem, że panikuję, ale on... jest taki duży.

– To mikrus przy innych koniach, ale w pełni cię rozumiem – śmiała się gospodyni, zbierając do torebki dokumenty i potrzebne drobiazgi. – Pa, kochani. Bawcie się dobrze!

Po wyjściu Magdy w kuchni zapanowała przytłaczająca cisza. Kinga dopiła kawę i uśmiechnęła się do córki zachęcająco.

– Jak chcesz spędzić przedpołudnie, kochanie? – Czekwała, wpatrując się w pogodną buzię dziewczynki. Nie doczekawszy się odpowiedzi, delikatnie pogłaskała zachlapaną mlekiem brodę. – Chcesz pójść na spacer? Może do zagajnika na wzgórzu?

Marcysia gwałtownie pokręciła głową i znacząco wskazała marchewkę. Kinga westchnęła głęboko, spoglądając na kołyszającego ogonem psa.

– Muszę spróbować – mruknęła.

– Ale może to nie jest najlepszy pomysł – oponowała Kinga, gdy Magda zakładała na głowę Marcysi mały kask. – Ona jest jeszcze malutka.

Gospodyni wróciła tuż po dwunastej, przywożąc ze sobą zapach pieczonego kurczaka. Pobieгла pod prysznic, a w tym czasie Kinga z pomocą Marcysi i kręcącego się pod nogami Kapsła nakryła do stołu i podała dostarczony obiad. Po posiłku przez chwilę odpoczywały za stołem, aż w końcu nadeszła chwila, której matka Marcysi obawiała się bardziej niż diabeł święconej wody. Magda zaproponowała przejażdżkę na grzbiecie Kuby.

– Dla ciebie zawsze będzie malutka – zaśmiała się teraz, sprawdzając uprząż. – A ja widywałam w siodle dużo mniejsze dzieci.

– Na kucykach.

– Też. Nie zamierzam jej ani na chwilę puścić. Będę szła tuż obok i trzymała ją mocno. Kuba jest łagodny, ale nie zamierzam powierzać mu życia twojej córki. Kinga, dzieci uczestniczą w terapii na końskim grzbiecie. To znana i ceniona forma rehabilitacji. Naprawdę. Widziałas te fluidy między Kubą a Marcysią? Wyczułaś je? Będą

przyjaciółmi. Już nimi są.

– Możliwe – przyznała Kinga. Kiedy Magda sadzała Marcysię w siodle, zacisnęła dłonie w pięści i podniosła do ust. Bezwiednie skubała strupek po ugryzieniu komara, aż poczuła w ustach metaliczny smak krwi. Z irytacją otarła dłonie o nogawkę szortów i wcisnęła ręce do kieszeni. W tym czasie Magda zatoczyła z Kubą i Marcysią niewielkie koło. Na widok rozpromienionej twarzyczki dziecka Kinga poczuła mieszaninę wzruszenia i euforii. Magda miała rację, Marcysia pokochała wierzchowca. Natychmiast zaczęła przetrząsać pamięć w poszukiwaniu informacji o stadninie położonej w pobliżu ich mieszkania w Krakowie, gdzie mogłaby zabierać dziewczynkę na podobne zajęcia. Ale w głębi ducha podejrzewała, że chodzi o to konkretne zwierzę, o Kubę. Magda zerknęła przelotnie w jej kierunku i znacząco uniosła brew. „Widzisz?” – mówiły jej roześmiane oczy. Kinga powoli rozluźniła napięte mięśnie. Oparta o ogrodzenie obserwowała córeczkę na końskim grzbiecie i czuła niczym nieskrępowaną radość.

Kolejne dni płynęły utartym torem. Codziennie rano Marcysia zrywała się z łóżka bladym świtem i ciągnęła matkę na padok, gdzie Magda oporządzała wierzchowca. Na widok dziewczynki Kuba potrzasał grzywą i radośnie rżał, wypatrując w małych rączkach ulubionego przysmaku. Po porcji uśmiechów i pieszczot Kinga zaganiała pozostałe kobietki na śniadanie. Musiała być stanowcza, bo obydwie najchętniej spędziłyby w końskim towarzystwie cały dzień.

Po śniadaniu Magda zajmowała się swoją pracą, a one szły na spacer do pobliskiego lasu albo po prostu rozkładały pled w pobliżu wybiegu konia i oddawały się ulubionym rozrywkom. Kinga nie zaniechała prób wciągnięcia córki w rozmowę, choć nie przynosiło to żadnych skutków. Starła się odgonić czarne myśli i czerpać radość z czasu spędzanego z Marcysią. Musiała przyznać, że już dawno nie widziała dziewczynki tak podekscytowanej i radośnie uśmiechniętej. Zupełnie jakby wcześniej małą zamknięto w szczelnej skorupie. „I tak w pewnym sensie było”, myślała rozżalona.

Obiad zazwyczaj zjadały we trójkę, pochłaniając to, co Magda przywiozła z miasta lub Kinga wcześniej przygotowała. Nadeszły męczące upały, więc apetyty słabo im dopisywały i właściwie tylko Marcysia pałaszowała, aż się jej uszy trzęsły. Kobieta nie mogła się temu nadziwić: „Naprawdę? Ta sama Marcysia, która po dwóch łyżkach pomidorowej z kluseczkami była taka najedzona?”. Upały nie przeszkadzały też dziewczynce w rozwijaniu nowej pasji. Codziennie ciągnęła matkę i nową ciotkę na padok. Z radością oczekiwała, aż Magda najpierw przygotuje ją do jazdy, a chwilę później posadzi na końskim grzbiecie.

Wieczorami Magda siodłała Kubę i zabierała go na ciut dłuższe przejażdżki. Kluczyli po okolicznych polach, a Kinga i Marcysia stały na szczycie wzgórza i obserwowały ciemny punkcik przesuwający się wśród zieleni. Po kolacji dziewczynka szykowała się do snu, z euforią przyjmując to, że czarna kotka zajmuje coraz większy kawałek posłania, a kobiety siadały przed domem i dyskutowały. Wspominały dawne czasy i wygłupy, rozmawiały o zwierzętach oraz planach Magdy, ale jeden temat nigdy nie przewijał się w tych dysputach. Kinga unikała mówienia o mutyzmie córki jak ognia.

– Pięknie tutaj – szepnęła któregoś wieczoru, patrząc na opadające łagodnie łąki i

poła oraz położoną u stóp wzgórza rzekę, której koryto znaczył pas ciemniejszych drzew. – Aż dziw, że jeszcze nie masz sąsiadów. Sama zamieszkałabym w takim bajkowym miejscu. Piekłabym chleb, zbierała grzyby, uprawiała pomidory w ogródku i jeździła do pracy rowerem... – rozmarzyła się, a Magda zareagowała spontanicznym wybuchem śmiechu.

– Chciałabym to zobaczyć – przyznała. – A co do sąsiadów, masz rację tylko w części. Już ich mam i niestety nie takich, jakich bym sobie życzyła. Całkiem możliwe, że tuż za płotem wybudują mi luksusowe spa...

– Jak to?

– Nie chcę o tym teraz myśleć. – Magda potrząsnęła głową i uśmiechnęła się dzielnie, ale Kinga zauważyła przemykający przez jej twarz cień. – Cieszymy się pięknem wieczoru i tym, że po latach możemy spędzić ze sobą trochę czasu.

– Za wspólny czas. – Kinga uniosła w geście toastu literatkę mrożonej herbaty.

Każdego wieczoru Kinga dzwoniła do męża. Opowiadała mu, jak upłynął im dzień i rozbawiona wysłuchiwała utyskiwań na złośliwość domowych sprzętów, które pod nieobecność osobników płci żeńskiej stawały się mniej skore do współpracy. Do rozmowy próbowała nakłonić też Marcysię, licząc, że tęsknota za ukochanym tatusiem wyrwie z jej ust upragnione słowa, ale chociaż dziewczynka z entuzjazmem brała do małej dłoni komórkę, a na dźwięk pieszczotliwych słów ojca jej buzię rozjaśniał szczególny rodzaj uśmiechu, nie przemówiła. Pewnego dnia kobieta odczekała, aż córka w pogoni za Kapslem wybiegnie z pokoju, i powiedziała:

– Myślę, że pora wracać do domu.

– Jesteś pewna?

– Nie powinnam myśleć o cudach, bo one przecież się nie zdarzają? – prychnęła pozornie lekceważąco, choć tak naprawdę coś dławilo ją w gardle. – I tutaj także się nie zdarzył i się nie wydarzy. Ale osiągnęliśmy bardzo wiele. Powinieneś ją zobaczyć, tę rumianą twarzyczkę, rozpromienione jakimś dziwnym światłem oczy. Kilka razy miałam nawet wrażenie, że otwiera usta i chce coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili ją blokuje...

– Może wciąż nie pojawił się impuls, który by ją do tego skłonił? – zastanawiał się mężczyzna.

– Możliwe, ale co mogłoby być takim impulsem?

– Nie mam pojęcia – przyznał.

– Boję się, jak Marcysia przyjmie rozstanie z Magdą, Kubą i resztą tej ferajny. Bardzo się do nich przywiązała.

– Cóż, możemy ich przecież regularnie odwiedzać. To nie jest aż tak daleko...

– Naprawdę?

– No pewnie, głuptasie. Nie zamartwiaj się. Wierzę w naszą dziewczynkę. Idź i pooddychaj jeszcze troszkę tym świeżym powietrzem, skoro tak ci spieszo do krakowskiego zaduchu – zażartował. Pożegnali się czułymi słowami i Kinga odłożyła komórkę na blat nocnego stolika. Przez chwilę leżała na łóżku, wpatrując się w sufit i przywołując z pamięci roześmianą twarz córki. Konieczność uświadomienia dziewczynce, że trzeba pomyśleć o powrocie do miasta, martwiła ją bardziej, niż

przyznała przed mężem. Marcysia pokochała Kubę całym sercem, rozstanie może więc nie być dla niej łatwe i nawet zapowiedź rychłych odwiedzin go nie osłodzi.

– Przydałby się deszcz, wszystko jest potwornie wysuszone – zauważyła przy śniadaniu Magda.

– Nie lubię deszczu. – Kinga w odpowiedzi skrzywiła się.

– Na wsi deszcz jest bardzo potrzebny, nie padało od przeszło dwóch tygodni, bo te liche pięciominutowki trudno nazwać porządnym deszczem. Wszystko poschło i poszarzało. Zboże już zebrane, więc ludzie martwią się o inne plony i wypatrują deszczu.

– No skoro tak mówisz, to przyłączam się do życzeń o deszcz. Ale może niech popada, kiedy my wyjedziemy?

– A kiedy planujecie jechać? – Mina Magdy wyrażała rozczarowanie.

– Nie patrz tak na mnie. – Kinga uśmiechnęła się leciutko. Obejrzała się przez ramię i stwierdziła, że pochłonięta zabawą Marcysia nie poświęca uwagi temu, co działo się za stołem. – Najchętniej zostałabym z tobą przez całe lato, ale czekają na mnie inne obowiązki. Marcysia powinna wrócić na terapię, poza tym Franek na pewno za nami okropnie tęskni.

– Następnym razem przyjedźcie we trójkę. Dla Franka zawsze znajdę jakąś robotę – zaproponowała gospodyni.

Kinga upiła łyżeczek kawy i zachichotała na myśl o swoim eleganckim, ubranym w garnitur mężu zasuwającym z widłami lub podtykającym marchewki pod pysk Kuby. Mimo to skinęła głową.

– A to jest świetny pomysł – stwierdziła.

Po śniadaniu wyruszyły w kierunku pastwiska, ale kiedy zbliżyły się do ogrodzenia, zauważyły, że Kuba jest niespokojny. Krążył po łące i nerwowo podrzucał grzywą. Marcysia spojrzała na Magdę przestraszonymi ślepkami. Kinga przełknęła ślinę.

– Jest chory? – zapytała cicho.

– Hmm, raczej zdenerwowany, ale zbadam go na wszelki wypadek.

Zawróciła do samochodu po torbę z przyrządami lekarskimi, a następnie ostrożnie wsunęła się na padok. Po krótkiej chwili powróciła do stojących przy ogrodzeniu i potrząsnęła głową.

– Wszystko wskazuje na to, że jest zdrowy jak ryba. Na ogół zachowuje się w ten sposób, kiedy jest zdenerwowany. Może przechodzili tędy jacyś ludzie i zaczepiali go? Bardzo tego nie lubi. – Pokręciła głową. Kinga zauważyła, że oczy jej przyjaciółki rzucają gniewne błyski i pojęła, że Magda kogoś podejrzewa. Najwyraźniej nie pierwszy raz w podobny sposób dręczono wierzchowca. Tymczasem pani weterynarz pochyliła się nad Marcysią. – Dzisiaj zrezygnujemy z jazdy i pozwolimy Kubie odpocząć. Zamiast tego zrobimy sobie najprawdziwszy piknik. Znam pewne piękne miejsce. Zgadzasz się?

Marcysia pokiwała główką, ale kiedy dwie starsze kobiety chciały zawrócić w kierunku domu, mocno złapała za spódnicę Kingi i buntowniczym spojrzeniem wskazała wygniecioną trawę. Kobieta westchnęła głęboko, siadając na ziemi. Zadowolona dziewczynka oparła się plecami o kolana matki i utkwiała spojrzenie w poruszającym się po pastwisku koniu.

– Wybacz, ale piknikowym prowiantem musisz zająć się sama – podsumowała Kinga.

Upał ani myślał zelżeć, termometr przy oknie wychodzącym na południe wskazywał trzydzieści dziewięć stopni. W cieniu było niewiele lepiej – zaledwie trzydzieści trzy. Magda spakowała do plastikowego pojemnika trochę sałatki z makaronem, serem feta, suszonymi pomidorami i oliwkami, po czym wsunęła naczynie do lodówki i zajęła się szorowaniem dużego, wiklinowego kosza odnalezionego w graciarni. Podśpiewywała pod nosem, zadowolona, że spędzi przyjemne popołudnie w miejscu, do którego miała szczególny sentyment. Starła się nie myśleć o tym, że ktoś ponownie wszedł na jej ziemię i rozdrażnił Kubę. Nie chciała, by coś zepsuło jej być może ostatni wieczór z przyjaciółką i jej córeczką.

Na piknik wyruszyły tuż przed szesnastą. Magda zaprowadziła je na piękną zieloną polankę otoczoną młodymi brzożami i delikatnie opadającą w kierunku szemrzącej rzeki. W jednym miejscu spiętrzone kamienie utworzyły naturalny basen, w którym woda sięgała ponad kostki i przyjemnie się nagrzewała. Zachwycona Marcysia brodziła w nim, chlapiąc na wszystkie strony.

Kinga i Magda rozłożyły duży kraciasty koc na trawie i wydobyły z kosza przyniesione wiktuały. Wpół siedząc, wpół leżąc, gawędziły i obserwowały bawiącą się przy brzegu dziewczynkę. Zziajany Kapsel ułożył się w cieniu brzozy, z dala od bryzgającej wody, ale na tyle blisko, by nie spuszczać z oka rozłożonych na kocu smakołyków.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolona z pobytu – zapytała cicho Magda. Kinga uśmiechnęła się do przyjaciółki i lekko ścisnęła jej dłoń. Dobrze wiedziała, że pytanie, które chciała zadać kobieta, tak naprawdę brzmiało trochę inaczej. Czy nie jesteś rozczarowana, że u Marcysi nic się nie zmieniło?

– Magda, ja naprawdę nie liczyłam na cud – powtórzyła słowa, którymi wcześniej uraczyła męża.

– Ale...?

– Nie ma żadnego ale. Jestem zachwycona pobytom w twoim domu i jeśli tylko nas przyjmiesz, chętnie tutaj wrócimy. Już dawno nie widziałam na twarzy mojej córki takiego szczerego, niczym nieskrępowanego uśmiechu. Dawno nie widziałam w jej oczach tak bezbrzeżnego szczęścia. Więc może jednak cud się wydarzył?

Magda poczuła, że wzruszenie łapie ją za gardło. Odkaslnęła i zaśmiała się, ocierając dziwnie wilgotne oczy.

– Zawsze jesteście tu mile widziane. Będziemy na was czekać, Kuba i ja...

– Czy to nie dziwne, że tak szybko złapali kontakt?

– W ogóle. Kuba też ma swoją historię, wcale niewesołą. Być może wyczuł w Marcysi swój własny smutek i zechciał ją pocieszyć? Konie to nieskończenie mądre zwierzęta...

– To prawda. Martwisz się o niego, prawda?

– To aż tak widać? Nie daje mi spokoju, że był dziś taki rozdrażniony. Miał poważną kontuzję, zanim do mnie trafił. Oby teraz nic mu nie dolegało. Chyba zostawię

was za jakiś czas i pobiegnę na chwilę do domu sprawdzić, jak się miewa.

Kinga parsknęła śmiechem, sięgając po kiść jasnych winogron. Ruchem brody wskazała pochłoniętą zabawą Marcysię.

– Naprawdę sądzisz, że możesz pójść do Kuby bez obstawy? Nie ma mowy. Razem wrócimy do domu i dokończymy nasz piknik na łące w pobliżu jego zagrody.

– Dziękuję. – Magda uśmiechnęła się z wyraźną ulgą.

Spędziły na polanie jeszcze blisko godzinę, jedząc przygotowane przysmaki i wesoło żartując. Pakując naczynia do koszyka, Magda dyskretnie obserwowała, jak przyjaciółka z czułością ociera Marcysi stopy i pomaga założyć balerinki z dziewczęcymi kokardkami. Pomyślała, że będzie za nimi tęskniła. Chociaż na co dzień wystarczało jej towarzystwo Kapsła, Kuby i Bandytki, a przy tym miała częsty kontakt z przyjaciółmi i ludźmi z fundacji, czasami w domku na wzgórzu doskwierała jej samotność.

Zadowolone i uśmiechnięte wyszły z zagajnika i brzegiem łąki ruszyły w kierunku domku. Słońce zbliżyło się już do horyzontu i przybrało przyjemny, pomarańczowy kolor, kładąc się na trawach i polach świetlistymi refleksami. Nagle idąca przodem Kinga przystanęła bez ostrzeżenia i osłoniła dłonią oczy, jakby wypatrywała czegoś w oddali. Magda ledwie wyhamowała i ze stęknieniem podrzuciła na biodrze niesiony koszyk.

– Co tam? – zapytała.

– Spójrz, jak dziwnie padają promienie słońca na tę skarpe... Wyglądają, jakby tańczyły. – Wskazała.

Magda spojrzała i zadrzała. Cisnęła trzymanym koszykiem gdzieś w trawę i biegiem rzuciła się w kierunku wzgórza.

– Co się dzieje? – wołała za nią zdumiona Kinga.

– To nie słońce! – krzyknęła w odpowiedzi. – To ogień. Dzwon po pomoc! Pali się skarpa przy pastwisku Kuby!



Kiedy dotarły na podwórko przed domem, zdenerwowana Magda wskazała budynek.

– Zamknij psa! Biegnę na pastwisko! Zostań! – wydała stanowcze polecenie i trudno było jednoznacznie określić, czy odnosiło się ono do Kapsła czy matki i córki.

– Uważaj na... – zdążyła zawołać Kinga, ale Magda już zniknęła. Jedynym śladem jej wcześniejszej obecności była gałąź jabłoni kołysząca się nad ścieżką prowadzącą za dom. Roztrzęsiona Kinga przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi do sieni. Kapsel wyczuł napiętą atmosferę, przemknął do środka dziwnie przycupnięty przy ziemi, z podkulonym pod siebie ogonem. Kobieta złapała Marcysię za ramiona, odwróciła ją do siebie i poważnie spojrzała jej w oczy. – Zostań tutaj z psem, nie wychodź na zewnątrz. Pomogę cioci i zaraz do ciebie wrócę – tłumaczyła. – Rozumiesz mnie? Nie wolno ci wychodzić.

Dziewczynka powoli skinęła głową. Na jej buzi malował się przestach. Kinga

zakłęła w duchu. Znała ten wyraz twarzy. Oglądała go zaraz po wypadku przedszkolnego busa. Podprowadziła córeczkę do łóżka i wsunęła jej w ramiona pluszaka. Potem spojrziała na Kapsla i zachęcająco poklepała posłanie. Kiedy wybiegła przed dom, przez myśl przemknęło jej, że powinna zamknąć drzwi na klucz, ale zamek w drzwiach był pusty. Gdzie podział się ten cholerny klucz? – Miotła się po korytarzu. Najwyraźniej w nerwach wyszarpnęła go z zamka i gdzieś położyła. Zdenerwowana przygryzła wargę niemal do krwi, posłała przelotne spojrzenie w okno pokoju, do którego zaprowadziła córkę, i rzuciła się biegiem w kierunku ścieżki, na której zniknęła wcześniej Magda.

Gdy dobiegła do zagrody wierzchowca, przystanąła oszołomiona i próbowała objąć wzrokiem to, co miała przed sobą. W płomieniach stała cała skarpa na lewo od wybiegu Kuby. Wyschnięte krzaki jeżyn strzelały przeraźliwie, pochłaniane przez oszalały żywioł, a dym gryzący boleśnie oczy i gardło unosił się w górę wielkimi, żółtawymi kłębami. „Magda miała rację, deszcz byłby bardzo potrzebny”, pomyślała z rozpaczą Kinga, usiłując dojrzeć coś przez siwą zasłonę spowijającą łąkę, na której na co dzień biegał wierzchowiec. W pewnej chwili dostrzegła poruszający się ciemny kształt i przycisnąwszy skraj bluzki do nosa, popędziła w jego stronę. Ledwie widziała przez łzawiące oczy, ale kierowała się odgłosami uderzeń, pomiędzy których co jakiś czas przebijał się sygnał nadjeżdżającej straży. Matko Boska, przecież oni tutaj nie dojadą, myślała spanikowana, zbliżając się do przyjaciółki. Magda trzymała w dłoniach wielką derkę i z szaleństwem w oczach uderzała palące się ogrodzenie. Jej twarz była zaczerwieniona oraz brudna od sadzy. I mokra. Kinga nie potrafiła powiedzieć, czy to od gorąca i potu czy może od płynących łez. Złapała przyjaciółkę za ramię i zaczęła odciągać ją od padoku. Dym stawał się coraz gęstszy, szczypał w oczy, wdzierał się do nosa oraz ust. Magda kasłała, jakby miała wypluć płuca, ale wyrывała się w kierunku poczerniałych desek, szarpiąc za sobą tłącą się derkę. Kinga zrozumiała, że nie ma chwili do stracenia. Uderzyła przyjaciółkę w twarz. Magda spojrziała na nią nieprzytomnie. Z jej oczu wyzierała rozpacz.

– Nie mogę znaleźć Kuby... nie rzy, słyszysz?! Nie rzy! Nie rzy! – krzyczała.

– Cii... musimy stąd iść, rozumiesz? Podusimy się!

– Wracaj do Marcysi. Nie pójdę, dopóki nie znajdę Kuby!

– Nie możesz tu zostać.

– On na mnie liczy, obiecałam, że się nim zaopiekuję. Że już nikt go nie skrzywdzi, zostaw mnie! Kuba! – wrzasnęła ile sił w płucach i natychmiast zaniosła się potwornym kaszlem. – Kuba!

Kinga rozejrzała się nieprzytomnie naokoło, choć przez łzawiące oczy niewiele była w stanie dostrzec. Wyczuła, że temperatura rośnie, miała też coraz większe trudności z oddychaniem. Pożar rozprzestrzenił się. Suche zarośla porastające teren poniżej łąki były dla niego idealną pożywką. Nie wiedziała, co robić. Widziała miotającą się przyjaciółkę i wciąż słyszała przeraźliwe nawoływania: „Kuba, Kuba, Kuba!”. Kinga czuła, że z każdym okrzykiem jej serce napętnia się większym strachem i pomyślała, że jeszcze chwila, a eksploduje. W tym momencie dotarło do niej jednak, że poza nawoływaniami Magdy słyszy również cichutkie, dobrze znane popiskiwanie. Natychmiast je rozpoznała: wielokrotnie żartowali z Frankiem, że Marcysia ma głosik

podobny do myszy. Nowe odkrycie dodało jej zupełnie nieoczekiwanych sił. Złapała Magdę za rękę i szarpnęła mocno w stronę, skąd dochodziły okrzyki córeczki. Ciągnęła przyjaciółkę przez zasłonę dymu, aż upadły na pokryty szarymi strzępkami popiołu trawnik, wprost u stóp zapłakanej dziewczynki, która teraz już cichutko powtarzała:

– Kuba. Mama. Kuba. Mama. Kuba... Kuba!!!

Kinga podniosła się na klęczki i mocno przyciągnęła do siebie szlochającą córeczkę. Kątem oka dostrzegła targaną torsjami Magdę i przebiegających obok strażaków. Jedną ręką tuliła przerażoną Marcysię, drugą położyła pocieszająco na ramieniu drżącej przyjaciółki. Cichutko powtarzała, że wszystko będzie dobrze, chociaż sama powątpiewała w swoje słowa.

Akcja ratownicza trwała kolejne godziny. Marcysią, Kingą i Magdą zajął się lekarz z wezwanego przez strażaków pogotowia. Dziewczynka i jej mama właściwie tylko nałykały się dymu, ale lekarz zdecydował, że na wszelki wypadek mała powinna spędzić noc w szpitalu. Kinga z niepokojem spojrzała na przyjaciółkę. Chciała być przy dziecku, ale na myśl, że zostawia zrozpaczoną Magdę, czuła bolesny ucisk w piersi. Kobieta miała poparzone dłonie i przedramiona, białe opatrunki mocno kontrastowały z ogorzałą skórą i warstwą sadzy oraz brudu pokrywającą włosy, ubranie i skórę. Kinga wiedziała, że ledwie znikną, Magda wstanie z podsuniętego krzeselka, by ruszyć na łąkę...

– Co tutaj zaszło? – zainteresował się lekarz. Magda wzruszyła ramionami. Nie patrzyła na nich, spojrzenie jej oczu utknęło gdzieś ponad koronami drzew.

– To pewnie od upału. Kawałek szkła w zaroślach, promienie słoneczne i już... – mruknęła.

– Nie – wtrącił przechodzący nieopodal strażak. Przystanął kilka kroków od ambulansu i podrapał się po brudnym czole. – Na ścieżce poniżej łąki znaleźliśmy zapalki. Ktoś zabrał się za wypalanie zarośli.

– W pobliżu domu? I konia? – Lekarz uniósł brwi w wyrazie zdumienia i pokręcił głową zniesmaczony. – Ludzie mają pasztet zamiast mózgu...

– Podpalenie? – powtórzyła Magda, wpatrując się z niedowierzaniem w strażaka.

– To wygląda na celowe działanie – przyznał stropiony mężczyzna.

– Co za skurczybyk podpala krzaki, widząc, że obok biega koń? – zawołała zrozpaczona. Nagle pobladła gwałtownie i pochyliła się do przodu wstrząsana kolejnymi torsjami. Po kilku minutach uniosła załzawioną twarz i otarła usta wierzchem dłoni. – Kuba zapłacił życiem, bo jakiemuś ciulowi przeszkadzało, co robię na swojej ziemi? – zapytała z niedowierzaniem. Kinga objęła ją ramieniem i mocno ścisnęła.

– Nie znaleźliśmy konia. – Strażak pokręcił głową. – Pewnie uciekł, gdy poczuł dym.

– C-co? – Magda poderwała się na nogi, ale osłabiona natychmiast opadła na krzeselko. – Ale jak... przecież był zamknięty!

– Najwyraźniej dał radę – zawołał wesoło lekarz. – Mądre zwierzę. Trzeba szybko znaleźć łobuza, zanim wpadnie komuś pod koła. Ktoś musi się za nim rozejrzeć... ale nie pani! – wykrzyknął, widząc, że właścicielka ponownie gramoli się ze stołka. – Pani ma odpoczywać!

Magda dochodziła do siebie. Na zabarwione sadzą policzki wracały rumieńce. Załzawione oczy posłały lekarzowi ostre spojrzenie.

– Nie jest pan potrzebny w szpitalu, doktorze? – zapytała słodkim tonem. Kinga parsknęła śmiechem.



Kuba odnalazł się na pobliskiej łące. Spokojnie skubał trawę, strzygąc uszami i odganiając ogonem atakujące owady. Na widok kuśtykającej Magdy powoli ruszył w kierunku wzgórza. Kiedy podeszła do niego i wtuliła twarz w rdzawą grzywę, wyczuła mocny zapach dymu. Na myśl, jak niewiele brakło, by straciła przyjaciela, czuła napływające łzy. Po-woli założyła ogłowie i delikatnie pogładziła białą gwiazdkę na czole.

– Wracajmy do domu, Kubuś – szepnęła. Koń wpatrywał się w nią mądrymi, ciemnymi oczami, a kiedy pociągnęła go za sobą, posłusznie ruszył ku zabudowaniom na wzgórzu.

Matka i córka czekały przed domem. Dziewczynka sprzeciwiła się wyjazdowi do szpitala przed powrotem Kuby i choć nie wyraziła tego słowami, Kinga czuła radosne podniecenie. Przekonała lekarza, że dojadą na oddział zaraz po spotkaniu z wierzchowcem. Słyszając pierwsze od bardzo dawna słowa padające z ust córeczki, poczuła nagły przyływ nadziei. Nadziei tak wielkiej, że niemal w całości pokryła strach i emocje ostatnich godzin. Wiedziała, że nie nastąpi to ot tak, ale kiedyś Marcysia przemówi...

Magda i Kuba powoli podeszli wysypanym kamieniem podjazdem i zatrzymali się w pobliżu zabudowań gospodarczych. Właścicielka konia wyglądała na wyczerpaną i przez myśl Kingi przemknęło, że to nie ona prowadzi zwierzę do stajni, ale Kuba czuwa, by to Magda dotarła do domu cała i zdrowa. Wzięła Marcysię za rękę i podeszły do przybyłych. Kinga objęła przyjaciółkę za szyję i przyciągnęła ją do siebie, a ta szeptała jej do ucha podziękowania. To ja ci dziękuję, myślała, bo ściśnięte gardło nie pozwalało jej wypowiedzieć słowa. Zafascynowana obserwowała, jak Kuba pochyla ku Marcysi wielki łeb i delikatnie muska jej włosy, jakby składał leciutki pocałunek. Dziewczynka poruszyła ustami i choć nie wydobył się z nich żaden dźwięk, wargi ułożyły się w znajome imię.

Uwięziona

Magdalena Wala

Łup!

Jola podskoczyła w fotelu. Pracowała nad swoim najnowszym projektem, więc niespodziewany hałas ją wystraszył. Niewielki nożyk, którym właśnie cięła miękki wosk, formując ozdobną świecę, wyslizgnął jej się z ręki i lekko naciął opuszkę palca. Zapieкло. Odruchowo wypuściła narzędzie z dłoni i podniosła zraniony kciuk do ust. Na języku poczuła charakterystyczny smak krwi. Skrzywiła się z niezadowoleniem. Ostatecznie nie była już dzieckiem i zdawała sobie sprawę, że całowanie ran nie przyspiesza ich gojenia. Wstała z fotela i ruszyła do łazienki, żeby zdezynfekować niewielką ranę i przykleić sobie plaster. Następnie zamierzała ponownie zatopić się w pracy. „Zamówienie czeka, a rachunki nie zapłacą się same” – powtórzyła w duchu ulubione powiedzenie swojej mamy.

Gdy przechodziła obok drzwi wejściowych, usłyszała kolejny trzask, a zaraz potem dość głośne przekleństwo. Zatrzymała się i zaciekawiona spojrzała przez wizjer. Wąska sień była zastawiona przez meble i kartony, z których wyglądały naczynia oraz książki. Drzwi mieszkania znajdującego się naprzeciwko ktoś zostawił szeroko otwarte, a dwóch mężczyzn ciężko sapało, wnosząc po stromych, drewnianych schodach sporych rozmiarów kanapę.

– Mogli zacząć od niej, a dopiero potem przynieść kartony z drobiazgami – mruknęła do siebie.

Rzeczywiście chwilę później ciężko oddychający mężczyzna szczęśliwie wspiął się na piętro, a następnie potknął się o najbliższy karton i prawie wywrócił. W ostatnim momencie przytrzymał ciężki mebel przed zsunięciem się na kumpla, którego jasna czupryna mignęła jej przez moment, nim ponownie zniknęła za szerokim oparciem. W zasadzie powinna wyjść i zaoferować pomoc, ale nie mogła. Na samą myśl o otwarciu drzwi i wysunięciu nosa za próg bezpiecznego mieszkania poczuła przechodzący po plecach zimny dreszcz.

„Jesteś beznadziejna, Balcerzak, wiesz o tym...” – pomyślała z niesmakiem o swoim tchórzostwie, po czym z westchnieniem odeszła od drzwi.

Po opatrzeniu niewielkiej ranki przeszła do pokoju dziennego i odchyliwszy lekko firankę, zerknęła przez szybę na dół. Faktycznie na ulicy przed budynkiem stała sporych rozmiarów furgonetka. Połowa mieszkańców kamienicy zgromadziła się, żeby obserwować rozładunek, a przy okazji udzielać dobrych rad. Nikt jednak nie kwapił się

do pomocy, co Joli nie dziwiło, biorąc pod uwagę, że średnia wieku mieszkańców wynosiła około sześćdziesięciu lat i to wliczając samą dziewczynę, której sporo jeszcze brakowało do ukończenia trzydziestki. Chyba panowie zakończyli z sukcesem operację „kanapa”, ponieważ właśnie z wnętrza furgonetki wyłoniła się okazałych rozmiarów komoda. Po chwili i ona zniknęła w drzwiach familoka.

Jola odsunęła się od okna. Poszła do pracowni i znowu rozpoczęła pracę nad świecą. Ręce miała zajęte, ale jej podekscytowany umysł błędził po mieszkaniu znajdującym się naprzeciwko. Lokal po starej Motykowej został wynajęty. A ona będzie miała nowego sąsiada albo sąsiadów. Młodych. Może mają dzieci? Uśmiechnęła się do siebie, kończąc ozdabiać świecę. Nowi sąsiedzi oznaczali przełamanie monotonii, która ostatnio nawiedziła jej życie.

Nie mogła się już ich doczekać.

Po tygodniu uważnego obserwowania sieni swoje uczucia mogłaby nazwać jednym słowem. Rozczarowanie. Do mieszkania naprzeciwko nie wprowadziła się rodzina, ani nawet młode małżeństwo. Jedyne mieszkaniem, którego z rzadka miała okazję obserwować, to ów blondyn, który jej mignął podczas wnoszenia kanapy. Być może los obdarował ją sąsiadem introwertykiem, który żył nad wyraz spokojnie. Z jednej strony pasowało jej to, ponieważ nie życzyła sobie, aby ktoś naruszał tak pożądaną przez nią spójność codziennymi imprezami. Z drugiej jednak przydałoby się trochę życia. Jakieś spotkanie z przyjaciółmi, może od czasu do czasu randka. Jednak nic z tego. U pana z naprzeciwka nikt nie bywał, a ona widywała go w drodze do pracy albo z zakupami. Czasem zamiast garnitur zakładał coś luźnego i wychodził. Może poćwiczyć lub do pubu. Nie wiedziała, ale i tak zazdrościła, cokolwiek potem robił.

Raz prawie ją przyłapał na obserwacji. Szedł gdzieś dość wcześnie rano, a Jola akurat wyszła z łazienki. Słyszając w sieni dźwięk przekręcanej w zamku klucza, odruchowo spojrzała przez wizjer. Była sobota, więc chyba nie wybierał się do pracy. Na spotkania towarzyskie nikt tak wcześnie nie chodził, zresztą szare spodnie, które nosił, i czarna koszulka nadawały się bardziej na siłownię. Włożył klucz do kieszeni, po czym ruszył w stronę schodów. Odetchnęła, a następnie odsunęła się od drzwi. I w tym momencie poczuła potężne wiercenie w nosie, które zakończyło się głośnym kichnięciem. Nawet nie zdążyła zakryć ust dłonią.

Czy ją usłyszał? Starając się poruszać bezszelestnie, znowu zerknęła przez wizjer. Sąsiad zatrzymał się w połowie schodów, w skupieniu spoglądając w górę. Po chwili wzruszył ramionami i zbiegł piętro niżej. Przez dłuższą chwilę słyszała jeszcze odgłos jego szybkich kroków.

Odetchnęła z ulgą. Nie wiedziała, jak zareagowałaby, gdyby zapukał do jej drzwi, żądając wyjaśnień. Dlaczego go obserwuje? Śledzi? Nie, wbrew temu, co mógłby pomyśleć, nie była nim zainteresowana jako mężczyzną. Nie była też niebezpieczną stalkerką czy wścibską sąsiadką, która musiała wszystko o wszystkim wiedzieć, by potem przekazać szczegóły reszcie świata. Interesowała się nim jako człowiekiem. Jednym z niewielu ludzi, z którymi miała jakiś stały kontakt, jeśli jej ukradkowe obserwacje można było tak nazwać.

Skomplikowana. Tak, w zasadzie to słowo świetnie określało ją i jej życie.

Następnego dnia już wiedziała, co w wolnych chwilach robił sąsiad. Okna jej mieszkania wyglądały na Promenadę i w wolnych chwilach Jola obserwowała przechadzające się rodziny, ojców z synami udającymi się na stadion Mosiru, starszków siedzących na ławkach przy głównej alei, spacerujących z psami albo śmigających w dół ulicy rowerzystów. Jednak w niedzielne poranki główna parkowa aleja pozostawała pusta, nie licząc samochodów służb miejskich, które przejeżdżały ulicą. Istna oaza spokoju i relaksu w samym centrum kilkudziesięciotysięcznego miasta. Jola w takie spokojne letnie poranki uwielbiała przesiadywać przy oknie i pijąc poranną kawę, obserwować, jak wiatr igrał z gałęziami drzew, jak nieopodal jej domu przelatywały świergoczące ptaki, spiesząc się z załatwieniem swych ważnych ptasich spraw.

I wtedy go zauważyła. To znaczy początkowo, gdy dostrzegła blond biegacza, nie zdawała sobie sprawy, że to jej nowy sąsiad. Dopiero kiedy się zbliżył, zmarszczyła brwi, uzmysławiając sobie, że sylwetka mężczyzny wygląda znajomo. A gdy biegacz wpadł do jej kamienicy, a po minucie rozległo się przytłumione dudnienie sportowych butów na schodach, знаła kolejny element jego codzienności. Następny puzzel został dopasowany do większej układanki. Nie łudziła się. Mężczyzna wyprowadzi się, nim położy ostatni element, by skompletować obraz. Nigdy nie dowie się o nim wszystkiego. To było niemożliwe. Nawet samej siebie jeszcze do końca nie rozpracowała. Ale i tak była zadowolona z poczynionego przez przypadek odkrycia.



Właśnie pakowała ostatnią świecę do pudełka, kiedy rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Spojrzała na wiszący na ścianie, odziedziczony po mamie staroświecki zegar z kukułką. Dwadzieścia po dwunastej. To oznaczało, że najprawdopodobniej właśnie pod jej drzwi dotarł kurier z zakupami. Zerknęła przez wizjer. Faktycznie stojąca za drzwiami kobieta miała na bluzie logo z emblematem jej ulubionego marketu. Otwierając, pomyślała, że internet jest cudownym wynalazkiem. Wystarczyło kilka kliknięć na interesujące ją produkty i masło, jajka, sery oraz mięso lądowały w wirtualnym koszyku. Szybka płatność kartą i parę godzin później zakupy dostarczano pod drzwi jej mieszkania. Idealne rozwiązanie dla matek z małymi dziećmi, zapracowanych, ewentualnie chorych lub takich, którzy z różnych powodów nie mogli udać się do sklepu.

Zaakceptowała fakturę i wniosła pełne reklamówki do kuchni. Po ułożeniu produktów w lodówce westchnęła zadowolona. Jedzenia wystarczy na tydzień, może nawet na trochę dłużej. Milenka z parteru powinna pojawić się po powrocie ze szkoły, by wyrzucić śmieci. W ten sposób obie odnosiły korzyść. Jola co trzeci dzień pozbywała się odpadów, a Milena zwiększała swoje kieszonkowe. Idealny układ.

Dzień później ze snu wyrwał ją dźwięk dzwonka. Nie patrzyła nawet na ekran komórki. Krótki dźwięk, który wwiercał jej się w uszy, oznaczał wizytę. Tylko kto mógłby do niej wpaść o godzinie szóstej czterdzieści trzy rano. W sobotę!

Dzwonek zadzwonił ponownie, więc Jola z wyrazem niezadowolenia na twarzy zwlokła się z łóżka, wymacała stopami porzucone przy łóżku kapcie, otuliła się szlafrokiem i półprzytomna poszła do drzwi. Uniosła brwi, gdy zobaczyła w wizjerze sąsiada z naprzeciwka. Cóż mógłby od niej chcieć o tej nieludzkiej porze? Wzruszyła ramionami, po czym zdecydowała się otworzyć, zostawiając jednak łańcuch. Z jednej strony tak rzadko rozmawiała z innymi ludźmi, że każdy, nawet krótki kontakt był dla niej bezcenny. Z drugiej nigdy za wiele ostrożności. Nie wszyscy ludzie mają dobre intencje. Coś na ten temat mogła powiedzieć. Gdy uchyliła drzwi na szerokość łańcucha, musiała się skupić, aby usta nie rozwarły jej się ze zdziwienia. Jeszcze nigdy nie zaobserwowała na swój widok takiego wyrazu czystego zachwyty na męskiej twarzy. Zwłaszcza wiedząc, jak prezentuje się o szóstej czterdzieści pięć rano. Niewyspana i rozczochrana, w zbyt obszernym szlafroku w owieczki. Nie wspominając o tym, że owych spojrzeń nie przyciągała, kiedy była młodsza, nawet w pełnym makijażu.

– Dzień dobry. Nazywam się Łukasz Konieczny i mieszkam naprzeciwko.

Mężczyzna spojrział na Jolę wyczekująco.

– Jolanta Balcerzak – mruknęła.

– Miło mi. – Uśmiechnął się, po czym odchrząknął. – Mam do pani ogromną prośbę. Dziś rano okazało się, że muszę pilnie wyjechać na parodniowe szkolenie i już nie zdołam znaleźć nikogo, kto się zajmie moim zwierzakiem. W zasadzie już powinienem być w drodze...

Łukasz przerwał, po czym zakłopotany przeciągnął dłonią po głowie. Wzrok Joli automatycznie powędrował do jego włosów, które lekko zaczęły się przerzedzać nad czołem. Tylko co jego wyjazd miał z nią wspólnego?

– Nie bardzo rozumiem...

– Czy mogłaby pani zajrzeć raz dziennie do Rabusia, nakarmić go i nalać mu do miski świeżej wody? Zostawię pani klucze. Wiem, że to nagła prośba i w ogóle to się jeszcze nie znamy, ale naprawdę jestem zdesperowany...

Czy on chciał, żeby zajęła się jego zwierzęciem w jego domu? Opuściła swoje mieszkanie i poszła do niego? Nerwowy uśmieszek zamarł na jej ustach. Żądał od niej niemożliwego!

Chyba wziął tę reakcję za odmowę, bo zaczął tłumaczyć bardzo szybko, a w tonie głosu pojawiły się błagalne nuty.

– Przeprowadziłem się do Mysłowic całkiem niedawno z Bydgoszczy. Tam została cała moja rodzina i przyjaciele, tu dopiero nawiązuję kontakty. Obdzwoniłem wszystkich nowych znajomych, a potem przeszedłem po mieszkaniach sąsiadów. Część w ogóle nie otworzyła, państwo Dębscy wyjeżdżają, córka państwa Jezierskich ma uczulenie na sierść, a staruszka z parteru stwierdziła, że nie toleruje zwierząt, po czym zatrzasnęła drzwi. Została mi tylko pani...

Sierść oznaczała, że nie hodował jakiegoś pokrytego łuskami stworza. Spojrzała na niego bardziej przychylnie. Samotny facet. Jakie mógł mieć zwierzę? Najbardziej oczywisty byłby pies, ale w takim wypadku nie będzie mogła się zgodzić. Pomimo tego, że nigdzie nie wyjeżdżała i nie miała alergii na sierść.

– A pana kolega? Ten z którym wnosił pan meble... – -rozpoczęła i urwała. Tylko

tego brakowało, żeby się przyznała do obserwowania jego mieszkania. I tak wymusnęła jej się o jedno słowo za dużo.

Łukasz uniósł brwi.

– To tylko pracownik firmy przeprowadzkowej. Nikt znajomy...

Mogła podobnie jak pani Krysia z parteru stwierdzić, że nie toleruje sierściuchów i na tym zakończyć temat, ale wiedziała, że to było kłamstwo. Kochała zwierzęta i nawet jako dziecko chciała mieć pieska. Teraz tylko strach powstrzymywał ją przed kupnem pupila. Musiałaby wyjść z domu, żeby wybrać przyszłego towarzysza. A gdyby zachorował, nie mogła zawsze wzywać weterynarza na wizyty domowe. Fajnie natomiast byłoby mieć kogoś, do kogo mogłaby się odezwać, stworzenie, którym mogłaby się zaopiekować. Zaczęła się łamać...

– Nie dam rady wychodzić z psem...

– Nie mam psa – zapewnił. – Mieszkam z kotkiem... Zajmie się nim pani? – Mężczyzna wbił w nią błagalne spojrzenie.

Kotkiem? Nie wyglądał jej na wielbiciela kotów, zresztą te zwierzęta stereotypowo i pewnie niesprawiedliwie kojarzyły jej się ze starymi pannami. Może dla niej także byłby to właściwy towarzysz?

– Chciałabym panu pomóc, ale nie mogę się nim zajmować u pana. To niemożliwe – stwierdziła kategorycznie.

Już miała zamknąć drzwi, kiedy złapał za klamkę.

– Rozumiem, pewnie czułaby się pani nieswojo w obcym mieszkaniu.

Jola wdzięczna za jego wniosek, postanowiła nie wyprowadzać go z błędu. Lepiej, by uznał ją za tchórza niż za psychiczną dziwaczkę.

– Może mąż...?

Pokręciła głową, ale nie wdała się w wyjaśnienia. Spojrzał na nią z namysłem, a Jola prawie widziała, jak w jego głowie obracają się trybiki.

– A może przyniosłbym go wraz z całym majdanem do pani? Naprawdę jestem niegroźny... Słowo honoru! – Położył dłoń na sercu, drugą uniósł do góry, tak jakby właśnie składał przysięgę. – Naprawdę nie mogę go zostawić samego na cztery dni...

Może była nieuleczalną idiotką, może nie powinna być tak ufna, ale nie potrafiła odmówić człowiekowi, a w zasadzie zwierzęciu w potrzebie. Westchnęła.

– Proszę go przynieść...

Uśmiech, który rozjaśnił jego zmartwioną twarz, był wystarczającą nagrodą.

– Naprawdę? Jest pani aniołem! – wykrzyknął roześmiany, po czym prawie pobiegł do swojego mieszkania.

Po chwili wyłonił się z niego, niosąc... kotka? Kocisko właściwie. Czy w naiwności swojej zdecydowała się zająć minutygrysem?

Kot był rudy, pręgowany i wpatrywał się w nią dużymi bursztynowymi oczami. Koniec długiego, puchatego ogona poruszał się raz w jedną, raz w drugą stronę. Wyraz kociej mordy ewidentnie wskazywał na irytację. Najprawdopodobniej też nie lubił, aby go budzić z samego rana.

– Faktycznie, kotek... – stwierdziła z przekąsem.

Łukasz podniósł kocisko do góry i uważnie mu się przyjrzał.

– Może rzeczywiście Rabuś trochę wyrósł, ale nakarmiony jest zupełnie nieszkodliwy. I straszny z niego pieszczoł. Uwielbia na przykład, jak się go drapie za uchem.

Mężczyzna szybko potarł kota za rudym uchem. Powietrze wypełnił głuchy pomruk, widocznie zwierzak naprawdę lubił pieszczoty. Delikatnym ruchem postawił go na wyłożonej gresem posadzce.

– Zaraz przyniosę resztę jego rzeczy.

Odwrócił się i szybkim krokiem ruszył do siebie. Jola zamknęła za nim, tymczasem Rabuś spojrział na nią i miauknął przeciągle. Jego ogon poruszył się dwa razy na boki, po czym znieruchomiał. Obniżył łeb i powąchał posadzkę. Najwyraźniej znaleziony zapach musiał uzyskać kocią aprobatę, ponieważ zwierzak wszedł głębiej. Stąpając bezszelestnie, zbliżył się do jej nóg i otarł najpierw policzkiem, a potem grzbietem. Miauknął jeszcze raz, a następnie usiadł pod drzwiami i spojrział na nie oczekująco. Koniec jego ogona znowu lekko się poruszał.

Najwidoczniej musiał usłyszeć swojego pana, bo za chwilę rozległo się dość głośne pukanie. Jola otworzyła Łukaszowi, mając nadzieję, że jej nowy domownik nie postanowi w tym czasie się wymknąć.

Łukasz stał obładowany milionem rzeczy, tak się przynajmniej wydawało dziewczynie. Złożył wszystko w przedpokoju, po czym znowu poszedł do siebie. Rabuś zbliżył się do leżącego na podłodze posłania i obwąchał je. Po chwili namysłu ułożył się na nim, pyszczkiem zwrócony w stronę drzwi.

Łukasz w następnym rzucie przytargał jeszcze sporych rozmiarów drapak i kuwetę.

– Gdzie to mogę położyć? Sugerowałbym łazienkę...

Jola wskazała pomieszczenie, gorączkowo starając się sobie przypomnieć, czy jest odpowiednio czysta. Rozgrzebaną pościelą w pokoju dziennym nie zamierzała się przejmować. W końcu sam wyciągnął ją z łóżka...

Łukasz tymczasem nasypał do kuwety żwirku.

– Miałaś kiedyś kota? – spytał nieoczekiwanie.

Oparła się o framugę i pokręciła głową. Łukasz w pewnym momencie przeszedł na ty, a Joli to absolutnie nie przeszkadzało. Atmosfera stała się bardziej swobodna, a dziewczyna dawno nie czuła się w męskim towarzystwie zrelaksowana. I sama nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej tego brakowało.

– To krótka instrukcja obsługi. Żwirek wybierasz codziennie, tak żeby miał czysto. Jeśli tego nie zrobisz, załatwi się na przykład w twojej pościeli lub ulubionej torebce. Karmisz codziennie i zmieniasz wodę. Po pół miarki z tego i ćwierć z tego worka. Tu są jego smakołyki. – Wcisnął jej do ręki nylonowy woreczek, wywołując natychmiastowe zainteresowanie Rabusia, który obszedł mężczyznę dookoła, mruczając i ocierając się o jego nogi. Spoglądał przy tym na trzymany przez Jolę woreczek i oblizywał się. Łukasz westchnął. – Schowaj w szafce. Rabuś jest bardzo skoczny i jakimś cudem mieści się na najmniejszych i najwęższych półkach. Raz go zastałem, jak zwisał na jednej łapie, a drugą szukał smakołyków. Niedobre kocisko – powiedział z uczuciem i potarł sierść na jego głowie. Rabuś lekko pacnął go łapą. – Drapak połóż, gdzie ci wygodnie. On raczej nie ostrzy sobie pazurów na kanapach. Ale może się nie oprzeć twoim firankom. Jakby

co, zapłacę za wszystkie szkody.

Jej firanki składały się z cienkich, wiszących obok siebie sznureczków. Faktycznie mogły się stać ulubioną kocią zabawką.

– Prosiłbym cię, żebyś nie otwierała okien, jeśli przebywa sam w pomieszczeniu. Nie masz ich zabezpieczonych siatką, a on potrafi się wcisnąć w bardzo wąskie szczeliny. Nie chciałbym, żeby przez kocią ciekawość stała mu się krzywda.

Rozejrzał się jeszcze raz dookoła i spojrzął na zegarek. Na jego twarzy pojawił się wyraz komicznego przerażenia.

– To by było na tyle. Bardzo cię przepraszam, ale naprawdę muszę lecieć.

Podał jej biały kartonik.

– Zapisałem ci swój numer. Gdybyś miała jakieś pytania albo cokolwiek się działo, dzwoń – poinstruował, po czym zniknął za drzwiami.

Jola spojrzała na Rabusia.

– Wychodzi na to, że zostaliśmy sami, kocie...

Rabuś na jej stwierdzenie zareagował, kładąc się na panelach w pokoju i rozpoczął poranną toaletę. Joli nie zaszczycił ani jednym spojrzeniem.

Reszta dnia minęła jej na obserwacjach. Najpierw wyszukała strony z instrukcjami dla świeżo upieczonych właścicieli kotów, potem zafascynowana czytała kolejne artykuły na temat kociego języka ciała. Szkice natychmiast porównywała z Rabusiem, który według informacji podanych obok grafiki leżał zrelaksowany. Chwilę potem przeciągnął się, przęcając tułów i wyciągając przed siebie łapy z wysuniętymi pazurami.

– Długie i ostre – zauważyła, uważnie przyglądając się szpiczastym koniuszkom. – Osobiście nie chciałabym, abyś mnie nimi potraktował.

Rabuś zamknął oczy i lekko zamruczał. Natychmiast je otworzył, gdy poruszyła się na krześle.

– Chyba nie bardzo mi ufasz, co? Całkiem słuszna taktyka, kolego. Przecież jeszcze nie zdążyłam zasłużyć na twoje zaufanie...

Zostawiła kota w spokoju, starając się go nie dotykać, jednak była ciekawa, czy skusi się na smakołyk. Może weźmie go z ręki, a jeśli nie, to na jaką odległość będzie musiała odejść, żeby się połakomił? Faktycznie po otwarciu drzwiczek szafki kot zmaterializował się w kuchni, a jego postawa i odrobinę opuszczony ogon mówiły o zainteresowaniu. Ale i ostrożności.

Powąchała ciasteczko. Dla niej śmierdziało rybą, ale mina Rabusia wyrażała pewną nadzieję. Oblizął nos oraz pyszczek, raz i drugi. Jola wyciągnęła przed siebie dłoń z przekąską. Sam smakołyk trzymała jednak czubkami palców, nie chcąc w razie kociego ataku zostać poszkodowana. Rabuś oblizął jeszcze raz nos, po czym zaczął ostrożnie... skradać się, bo tylko tym słowem mogła określić jego ruchy. „Za chwilę zaczniesz uderzać ogonem po bokach i rzuci mi się do gardła”, pomyślała, obserwując stworzenie. I faktycznie, Rabuś wykonał szybki skok, dosłownie wrywając ciasteczko spomiędzy jej palców. Trzymając je w zębach, wycofał się za lodówkę i tam w ukryciu zaczął je konsumować.

– Rzeczywiście skoczny – skomentowała. – Ale bracie, jakim cudem się tam zmieściłeś? Między ścianą a lodówką nie ma za wiele przestrzeni. Obyś się tylko tam nie

zaklinował. Wolę nie pomagać ci stamtąd wychodzić, bo moja skóra może nie przetrwać kontaktu z twoimi pazurami.

Pozostawiła kota w kuchni, a sama przeszła do pracowni, aby wykonać dzisiejszą partię zamówień. Gdy była w samym środku lania świecy, na jej stół miękko wskoczył kot. Chwilę się pokręcił po obrzeżach, ale konopny sznurek zbyt korcił futrzaka, aby mógł zostawić go w spokoju. Niewinnie trącił go łapą, po czym wycofał się, spoglądając na nią z miną mówiącą: „To nie byłem ja, tak ci się tylko wydawało!”

Jola zabrała kulkę, nie chcąc, żeby ostre pazurki kota ją zmechaciły, jednak Rabusia to nie zniechęciło. Wbił wzrok w naczynia z roztopionym kolorowym woskiem.

– Na twoim miejscu trzymałabym się od nich z daleka. Możesz się poparzyć – ostrzegła. – Nie chcę się potem tłumaczyć przed twoim panem, że te łyse placki na twojej skórze to efekt depilacji woskiem – zażartowała.

Rabuś jeszcze chwilę pokręcił się po stole, raz zbliżając, raz oddalając się od gorących naczyń. Zaniepokojona Jola rozmyślała, czy odważy się zabrać kota ze stołu. Nie chciała wykonywać żadnych gwałtownych ruchów, aby go nie wystraszyć. Wtedy dopiero mógłby sobie zrobić krzywdę. Jednak kocisko podczas kolejnej próby zaspokojenia ciekawości najwyraźniej uznało, że płyn w pojemnikach niebezpiecznie przypomina wodę i na dodatek jest gorący. Rabuś obrócił się tyłem do Joli i dziewczyna mogła po raz pierwszy podziwiać jego puszysty ogon. Następnie skoczył na parapet. Tam ułożył się wygodnie i zerknął przez szybę. I pozostał nieruchomy w tej pozycji sfinksa przynajmniej przez godzinę. Cokolwiek tam obserwował, było dla niego zdecydowanie bardziej interesujące niż dziewczyna i jej świece.

– Wiesz, odzwyczaiałam się już od towarzystwa – tłumaczyła Rabusiowi następnego ranka, wsypując do jego miski karmę. – Zdaję sobie sprawę z tego, że nie jesteś w stanie mi odpowiedzieć, ale to i tak lepsze niż rozmowa z lustrem. Albo własnym odbiciem w szybie. Przynajmniej nie mam wrażenia, że jestem kompletnym cudakiem.

Rabuś na razie skończył posiłek, usiadł i spojrzał na nią wyczekująco.

– Pewnie chcesz smakołyk – domyśliła się dziewczyna. – Patrzysz na mnie tymi bursztynowymi ślepiami, kiedy do ciebie mówię i mogę choćby wyobrazić sobie, że mnie słuchasz. Że mam kogoś, przed kim mogę się wygadać, kto mnie zrozumie i pocieszy. – Rabuś miauknął wyczekująco i oblizął pyszczek. – Tak, wiem, że z tym pocieszaniem to na razie nie za bardzo ci wychodzi, ale możesz jeszcze zrobić postępy – przekonywała, otwierając szafkę.

Podanie smakołyku było kopią wydarzeń z wczoraj. Rabuś upolował swoją zdobycz, po czym uciekł za lodówkę. Zza niej rozległy się odgłosy chrupania.

Poszła do pokoju i korzystając z niedzieli, zagłębiła się w lekturze. Gdy na zegarze wybiła jedenasta, zauważyła, że kot wrócił do pokoju dziennego i ułożył się na swoim drapak. Faktycznie jej koci towarzysz chodził bezszelestnie, bo nawet nie zauważyła, kiedy pojawił się w pomieszczeniu. Obecnie obserwował ją zmrużonymi oczami. Odłożyła książkę i lekko się wychyliła w jego stronę. Bardzo ostrożnie, powoli wyciągała w jego kierunku rękę, ale nim zdołała go dotknąć, syknął ostrzegawczo i lekko nastroszył ogon. Natychmiast się cofnęła.

– Za wcześnie na takie poufałości, co? – odezwała się, widząc, że Rabuś znowu się rozluźnił na drapakach. – Szkoda... Tak dawno nikogo nie dotykałam, jeśli nie liczyć momentów, kiedy przekazuję kurierowi paczkę. Ale to nie wystarcza, tak naprawdę, nigdy nie wystarczało. – Zamyśliła się. – Milena wpada jak po ogień. Zabiera śmieci i pieniądze, i już jej nie ma. Sąsiedzi mają swoje sprawy, swoje życie.

Rabuś zamruczał, jak gdyby zgadzał się z jej zdaniem. A przynajmniej w to chciała wierzyć.

To miłe, w końcu móc w coś wierzyć...

– Moja rodzina... Pozostał jedynie starszy brat, ale on mnie nie odwiedza. I rzadko dzwoni. W licealnych czasach przyjaźniłam się z Anią, ale niedługo po ukończeniu szkoły wyszła za męża. Potem miała coraz mniej czasu, żeby do mnie wpaść. Gdy urodziła bliźniaki, jej wolny czas skurczył się do zera. A potem... Jej mąż dostał pracę w innym mieście i przeniosła się do Łodzi. Teraz dzwonimy do siebie z okazji urodzin albo świąt. W ostatnią Wielkanoc przysłała SMS-a i propozycję, bym założyła sobie konto na Facebooku. Pisała, że będę miała dużo znajomych i przestanę się nudzić. A cóż mi po takich znajomych, których nie można nawet zobaczyć, dotknąć czy usłyszeć ich głosu. Chyba że nakręcę filmik z sobą w roli głównej. Po co mi ich zdjęcia z wakacji czy z zabawy w klubach albo fotografie pierwszych kroków ich pociech. Chciałabym żyć prawdziwym życiem, a nie wirtualnym! – wybuchła w końcu, ocierając niechcianą łzę z oka.

Rabuś cały czas się w nią wpatrywał i pocieszająco miauknął.

– Chciałabym, ale nie mogę... Zbyt się boję – dodała szeptem.

Kot, widząc, że Jola umilkła i tylko tępo wpatruje się w poduszkę, którą trzyma na kolanach, miękko przeskoczył i ułożył się centralnie na niej.

Zaskoczona dziewczyna zamarła i nie próbowała go dotykać w obawie, by się nie spłoszył.

– To bardzo miłe. Teraz już rozumiem, dlaczego tyle samotnych osób posiada zwierzęta. Przestałam wychodzić z domu i nagle nie istnieję dla przyjaciół i znajomych, a nawet rodziny. Kiedy mama żyła, jeszcze od czasu do czasu byłam w stanie pójść z nią na spacer po Promenadzie. Przejść się do bramy wjazdowej, jedyne zachowanego elementu posiadłości Sułkowskich na Słupnej. Albo iść nad rzekę. Od czasu kiedy umarła... Od jej pogrzebu siedzę tutaj zamknięta. Nawet nie mogę zająć się nagrobkiem, chociaż cmentarz jest niedaleko, tylko opłacam firmę, która to za mnie robi. Mój brat nie ma czasu, pracuje... – Westchnęła.

Kot przeciągnął się, wstał i skoczył na parapet. To, co działo się na dworze, było bardziej interesujące niż wysłuchiwanie jej wynurzeń. I użalania się nad sobą.

Wieczorem osiągnęła kolejny etap osvajania. Rabuś pozwolił się podrapać za uchem i nawet zamruczał usatysfakcjonowany. Tak sobie przynajmniej wmawiała.

Kiedy następnego ranka obudziła się, pierwsze, co zobaczyła, to wpatrzone w nią kocie oczy. Rabuś miękko pacnął ją łapą, przypominając o swojej obecności. I tym, że najwyższy czas na jego śniadanie. Obliznął się i dalej wbijał w nią wzrok pełen oczekiwania. Jola ziewnęła, przeciągnęła się pod ciepłą kołdrą i zdecydowała się wstać.

Ponieważ dopiero wybiła siódma, stwierdziła, że po ogarnięciu kocich potrzeb może na jakąś godzinkę wrócić do łóżka. Ostatecznie, nigdzie się tego dnia nie wybierała. Sypiąc do miski karmę, doszła do wniosku, że wszystko wydaje się takie naturalne, i uśmiechnęła się do siebie. Kot leżący na poduszce, poranna pobudka, wrażenie czyjejś obecności, świadomość bycia potrzebną. To było takie właściwe. Dobrze. Chyba powinna sobie sprawić własnego kota. Po chwili posmutniała. To będzie inny kot, nie Rabuś, i na pewno będzie inaczej...

Do obiadu zdążyła spakować wykonane zamówienia, odebrać nowe i zarezerwować kuriera. Kiedy siadała do krokietów z kapustą i grzybami, które zostały jej od wczoraj, zadzwonił telefon. Aż podskoczyła, słysząc ten rzadki w jej domu dźwięk. Spojrzała na wyświetlacz – Marcin.

– Cześć, siostra – oznajmił i na tym skończył uprzejmości. – Pakuj tyłek w autobus i przyjeżdżaj. Jesteś mi potrzebna.

– Cześć, Marcin. Stało się coś poważnego? Ktoś zachorował? Mariolka?

– Mariolka dzięki Bogu zdrowa, ale znowu nam niania wymówiła robotę. To już, wyobraź sobie, trzecia. – Jola odsunęła telefon od ucha, gdy głos brata przybrał na sile. – Ludzie są po prostu niepoważni! A powinni okazać wdzięczność! Przecież dajemy im dobrą pracę.

Dobra praca według Marcina to zajmowanie się domem i jego trzyletnią córką, która nie była, delikatnie mówiąc, najgrzeczniejszym dzieckiem. Wychowywanie bezstresowe przynosiło efekty. Jola ponad tydzień leczyła siniaki, gdy Mariolka ją uszczypnęła, ponieważ ciotka wyłączyła telewizor.

– Dlaczego wymówiła?

– Zmyślała jakieś kłamstwa na temat naszego aniołka...

Jola doskonale wiedziała, do czego był zdolny ów aniołek. Z różkami chyba i wielkimi widłami...

– Więc ją zwolniłeś – stwierdziła i westchnęła.

– Zwróciłem jedynie uwagę. A ona, wyobraź sobie, z miejsca odeszła. Oczywiście w takich warunkach nie będziemy w stanie jej zapłacić... Nie wywiązała się ze swoich obowiązków.

Najprawdopodobniej Marcin i Mariolka dali kobiecie tak popalić, że ta wołała odejść z pracy, nawet nie oglądając się na wypłatę. Jola najlepiej wiedziała, do czego zdolny był Marcin.

– Chcę, żebyś zajęła się przez kilka dni małą, dopóki nie znajdę nowej niani. I tak nie masz nic lepszego do roboty, więc wyjątkowo możesz zrobić coś pożytecznego.

Nie robi nic pożytecznego? A jej praca? Przecież nie otrzymywała żadnej renty ani zasiłku. Musiała sobie jakoś radzić nawet w niesprzyjających okolicznościach.

– A Sandra?

– Ma już jakieś umówione spotkania na jutro i nie mogła przesunąć kosmetyczki, więc jesteś potrzebna za dwie godziny. Zbieraj się.

Marcin zaczął się niecierpliwić. Jola nawet nie musiała patrzeć na brata, by rozpoznać nutki rozdrażnienia w jego głosie.

– Marcin, wiesz, że ja nie mogę... – zaczęła ostrożnie.

– Znowu wyskakujesz z tymi głupotami? Tak rzadko o coś cię proszę, a ty tylko powtarzasz nie mogę i nie mogę! Wiesz, jak mam ciebie i twojej głupiej gadki dość?

Jola zrobiła głośny wdech i wydech. Policzyła do pięciu, starając się, aby jej głos nie zadrżał.

– Możesz przywieźć Mariolkę do mnie...

– Ty myślisz, że mam na to czas? Wozić dziecko w tę i we w tę – ryknął. Jola skrzywiła się, słysząc dzwonięcie w uchu. – Poza tym Mariolka nie chce do ciebie przyjeżdżać. Mówi, że się u ciebie nudzi i nie ma czym się bawić. Tu są przynajmniej jej zabawki...

Temperament Marcina uaktywniał się, gdy coś szło nie po jego myśli.

– Poza tym jutro wychodzimy do znajomych i ktoś musi popilnować małej w nocy – dodał niechętnie.

A więc to były te ważne spotkania Sandry...

– Nie przyjadę do was. Wiesz...

– Gdybyś brała piguły, które ci przepisał ten lekarz od czubków, to nie wymigiwałabyś się, kiedy cię potrzebuję. Ta twoja agorafobia to tylko wymówka, tobie po prostu się nie chce zrobić niczego dla rodziny, prawda?

Do manipulacji też zdążyła się przyzwyczaić. I gdyby nie jej problem i kot, po takim stwierdzeniu pewnie już sprawdzałyby, o której odjeżdża najbliższy autobus.

– Marcin, proszę cię... – jęknęła.

– Nie dość, że głupia, to jeszcze udaje psychiczną... Nic dziwnego, że żaden facet cię nie chciał. A jak się jeden na tyle głupi znalazł, to narobiłaś krzyku o byle co.

O byle co...

– Zaczynaj się w końcu leczyć. Weź pigułę i przyjeżdżaj...

– Marcin... Mówię, że nie mogę. Nawet gdybym była w stanie wyjść, to mam zwierzaka pod opieką. Nie mogę na kilka dni opuścić mieszkania. Zrozum. Przywieź Mariolkę do mnie.

– Żeby zaatakowało ją jakieś zwierzę? Mowy nie ma! Co to za zwierzak i skąd go masz? Pewnie się przybłąkał, a ty jak ostatnia debilka wzięłaś sobie na głowę kłopot. Zawieź go do schroniska... Może być wściekły.

– To kot sąsiada – wytłumaczyła szybko.

– Kot sąsiada! Dobre sobie. To własną bratanicą nie chcesz się zająć, bo niańczysz jakiegoś dachowca! Kretynka!

– Marcin...

– Łaski bez – sarknął.

W słuchawce zapadła kłopotliwa cisza. Po chwili obrażonym tonem dodał:

– Zadzwoń do mamy Sandry. Od razu trzeba było tak zrobić, ale pomyślałem, żeby dać ci szansę. Tylko nie dzwoń do mnie, jak będziesz czegoś chciała...

Telefon zamilkł. Widocznie wściekły Marcin się rozłączył.

– Przecież nigdy nic od was nie chciałam – powiedziała jeszcze cicho Jola. I rozplakała się.

Zapomniany krokiet stygł na talerzu, a ona wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze i obserwowała, jak po twarzy zaczynają jej płynąć łzy. Jedna za drugą, prawie

tworząc na policzkach rwące strumienie. Z ust wydobył się cichy szloch, aż w końcu miała ochotę krzyczeć. Widziała swoje czerwone oczy, jak zaczyna jej cieć z nosa, jak dłoń praktycznie z własnej woli podnosi się, żeby zakryć usta i stłumić wydawane przez nie dźwięki. Świadczyły one o tak długo ukrywanych negatywnych emocjach. Tych, o których sama nie wiedziała, że istnieją. I od nie wiadomo jak dawna ją zatruwały.

Nie poznawała siebie. Przecież pogodziła się ze swoim życiem i starała radować tym, co ma. Wiedziała, że na bracie nie może polegać, że musi być dzielna i radzić sobie jak najlepiej sama. Doceniać wszystkie drobiazgi zsyłane przez los. Cieszyć się nimi. Nigdy tak emocjonalnie nie reagowała na telefony Marcina. Zawsze starała się zrozumieć... Tylko co właściwie? Że miała za brata roszczeniowego dupka? Egoistę i egocentryka? O tym akurat wiedziała od dawna. Nigdy nie mogła na niego liczyć. Nikt nie mógł, ponieważ Marcin układał sobie życie tak, jak mu było wygodnie.

Więc skąd ta nagła rozpacz, ten płacz? Nie usłyszała od brata nic nowego. Chyba izolacja coraz bardziej jej doskwierała. I świadomość impasu. Tak naprawdę była skazana wyłącznie na siebie. Nie miała nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić o pomoc. Gdyby coś jej się stało, gdyby nagle zachorowała albo miała wypadek, jej nieobecność nikogo nie zaniepokoi, nikt się nie przejmie, że nie odbiera telefonów, nie pisze maili. Sąsiedzi przyzwyczaili się, że Jola nigdy nie opuszcza mieszkania. Żyła w pustce...

Pograżona w czarnych myślach wyobraziła sobie, jak sąsiedzi wchodzi do jej mieszkania, by znaleźć rozkładające się zwłoki. Albo Marcin po latach odnalazłby jej szkielet. Pewnie byłby wściekły, bo miałyby kłopot z organizacją następnego pogrzebu... Kolejne pełne żalu dźwięki wydobywały się z jej ust. Przestała je tłumić, bo przecież i tak nikt do niej nie przyjdzie, nikt się nie zainteresuje....

I wtedy, gdy rozpląkała się na całego, poczuła nagle, jak coś miękkiego i ciepłego ociera się o jej nogi. Coś albo raczej ktoś zamruczał i potarł wąsatym policzkiem o jej łydkę.

Rabuś.

Kochane kocisko chyba spostrzegło, w jakim jest dołku, i postanowiło zasygnalizować swoją obecność. „Daj spokój” – mówił jego uniesiony do góry ogon. – „Nie zostałeś sama. Ja tu przecież jestem. Nadaję się na przyjaciela i powiernika w jednym. I możesz być pewna, że nikomu nie zdradzę twoich tajemnic” – obiecywało jego spojrzenie.

Jola skończyła z ostrożnością. Nie myśląc wcale o ewentualnych ranach, podniosła Rabusia i zatopiła twarz w jego miękkim futrze i tak trwała wstrząsana szlochami. Przytuliła się dość mocno, ale zwierzakowi to nie przeszkadzało. W końcu, gdy uspokoiła się trochę, ułożyła go na swoich kolanach i zaczęła głaskać przegowane futerko w jednostajnym rytmie. Kot odpowiedział pełnym ukontentowania mrużeniem.

Chciałyby coś zrobić ze swoimi problemami, chciałyby żyć normalnie, ale zdawała sobie sprawę, że bez pomocy to nigdy się nie uda. Kiedy żyła mama, brała lekarstwa i terapia w końcu zaczęła dawać efekty. Gdy nagle zmarła... Jednego dnia piły razem kawę, a następnego Marcin zadzwonił, że w nocy miała zawał i nie zdołano jej uratować. Na ostatnich tabletkach przetrwała uroczystości pogrzebowe. Gdy leki się skończyły... Nie znalazła w sobie odwagi, by wyjść do lekarza po receptę. Ani też ochoty. Bo niby dla

kogo miałyby wychodzić?

I dopiero w to popołudnie cichutki głosik w jej wnętrzu podpowiedział: „Dla siebie. Przede wszystkim dla siebie”.

– Wiesz, nie zawsze taka byłam – zaczęła się tłumaczyć. – Jako dziecko całe dni spędzałam na dworze, a mama miała problem, żeby mnie zwabić do domu. Uwielbiałam godzinami włóczyć się po lasach czy łąkach. Zaglądałam na Trójkąt Trzech Cesarzy, spacerowałam na rynek, a stamtąd było już blisko do parku Zamkowego. Latem chodziłam na Słupną na basen. Miałam szczęśliwe dzieciństwo. – Uśmiechnęła się do swoich radosnych wspomnień i przez moment zaiskrzyły jej oczy. Jednak szybko spochmurniała. – A potem... Potem ojciec wyjechał, założył nową rodzinę i nie byliśmy mu już potrzebni. Przeprowadziliśmy się z Mysłowic do mniejszego mieszkania w Katowicach, skąd mama miała bliżej do pracy i wtedy zaczęły się moje problemy...

Pograżona w niemiłych wspomnieniach nawet nie zauważyła, jak mocniej zacisnęła palce na futrze Rabusia. Kot parsknął i ostrzegawczo się wyprężył, wysuwając pazury.

– Och, przepraszam cię. – Jola natychmiast rozluźniła dłonie. – Mam nadzieję, że nie zrobiłam ci krzywdy... – Zmartwiona przyjrzała się sierściuchowi, który odprężony zwinął się w mrużący kłębek.

Przez chwilę milczała, ale w końcu znowu zabrała się za kontynuowanie swojej trudnej opowieści. Może jak to z siebie wyrzuci, poczuje się w końcu lepiej... Ostatecznie o tych wydarzeniach nigdy nie wspominała nikomu, nie przyznała się mamie. Jej lekarz skupił się przede wszystkim na wypisywaniu recept. A ona nie była zbyt chętna, żeby się otworzyć. A teraz znalazła wreszcie słuchacza. Takiego, który jej nie oceni ani nie skrytykuje.

– Kilka lat starsi ode mnie chłopcy wiecznie przesiadywali na klatce schodowej naszego bloku. Marcin dość szybko się z nimi skumplował, nigdy też nie powiedział ani słowa w mojej obronie. Nigdy. Aczkolwiek – przerwała i pokręciła głową – nie mogę być niesprawiedliwa, ponieważ hamowali się przy nim. Jednak kiedy go z nimi nie było... Gdy wracałam do domu, wspięcie się na schody i zrobienie tych kilku kroków do drzwi wejściowych stawało się coraz większą męczarnią. Na początku zaczepiali, potem wyzywali od pasztetów i poczwar, później, gdy byłam trochę starsza, zmienili repertuar na bardziej wulgarny. Pewna sytuacja utkwiła mi w pamięci... Jeden zaproponował, że z litości się ze mną umówi, bo przecież nikt inny nie zechce... Rechotał przy tym, jakby powiedział najlepszy dowcip świata... A jego kumple?! A kumple mu wtórowali... Jeszcze podżegali... Pamiętam do dziś wyraz jego oczu pełnych pogardy. Do mnie... Podobnych sytuacji było mnóstwo i powtarzały się za każdym razem, gdy wracałam, a oni tam stali. Modliłam się, idąc ze szkoły do domu i błagałam o ich nieobecność. Albo choćby o zignorowanie mnie. Czasem mi się udawało... Musiałam uczyć się na lekcje, ale powoli przestałam wychodzić z domu. Niechętnie szłam na zakupy czy spotkać się z koleżankami i najbezpieczniej czułam się we własnym pokoju. Na szczęście Marcin nie sprowadzał kumpli do domu, ponieważ tego bym już nie przetrwała. Zaczęłam coraz więcej się uczyć, coraz więcej czytać. Odkryłam też, że umiem robić ładne przedmioty. Bizuterię, kartki, koronkowe drobiazgi, świece. One nie mogły mnie skrzywdzić ani

zranić. W tym otoczeniu czułam się w miarę bezpiecznie.

„Tak” – pomyślała. – „Tak się zaczęła przygoda z rękodziełem, które teraz pozwala mi zarobić na życie”. Uniosła kąciki ust w uśmiechu. Była wreszcie gotowa, by zmierzyć się z ostatnią częścią swej historii. Wzięła głęboki oddech i zaczęła w skupieniu gładzić kocie futro.

– Byłam wtedy w maturalnej klasie. Wychodziłam jedynie do szkoły, po powrocie żadna siła nie zmusiłaby mnie do opuszczenia naszego mieszkania. Ponieważ w czasach licealnych wolałam przebywać w domu, zamiast po szkole spotykać się z kolegami, szybko zostałam odludkiem. Nazwali mnie dziwaczką. Mama w końcu zauważyła, że coś się niedobrego dzieje, ale nie chciałam z nią na ten temat rozmawiać. Wtedy uważałam, że to moja wina, że sobie w jakiś sposób na takie traktowanie zasłużyłam. Że faktycznie byłam inna, dziwna. Mój brat ciągle mi powtarzał, żebym przestała cudaczyć i wzięła się za siebie. I nie przynosiła mu więcej wstydu, bo patrzeć na mnie nie może. W zasadzie wtedy poczułam się odrobinę pewniej. Część moich dręczycieli wyjechała na studia, część poszła do pracy. Mieli mniej czasu i widywałam ich rzadziej. Ale jak dla mnie i tak za często. W końcu przed samą maturą Ania poprosiła mnie, żeby jej pomóc z poezją. Miała duże problemy z interpretacją wierszy i bała się, że na nich polegnie. Ponieważ musiała pilnować młodszej siostry, nie mogła wyjść z domu i jakimś cudem ubłagała mnie, żebym do niej poszła.

Jola westchnęła. Z perspektywy czasu wiedziała, że gdyby wcześniej nie ignorowała swoich dręczycieli, nie unikała problemów, zwróciła się z prośbą o pomoc, do wypadków kwietniowej nocy najprawdopodobniej wcale by nie doszło. Ale nie zrobiła tego, podobnie jak po tym wydarzeniu, zamknęła się w sobie. Na długie lata. Może pora z tym skończyć.

– Przystanąłam, ponieważ rozwiązało mi się sznurowadło w trampku. I wtedy zauważyłam, że przy krzakach ktoś leży. Nie wiedziałam, czy zasłabł, może poważnie się rozchorował? Teraz wiem, że to głupota – zaśmiała się gorzko – ale nie mogłam zostawić kogoś potrzebującego pomocy i iść sobie dalej. Prawda? Prawda?!

Znowu zaczerpnęła powietrza, szukając odpowiednich słów. Rabuś zamruczał zachęcająco, spojrział na nią i przeciągnął się. Jola zebrała się w sobie i drżącym głosem kontynuowała:

– Zbliżyłam się, pochyliłam nad nim, a chwilę potem potrząsnęłam go za ramię. On nagle się odwrócił i zionął mi kwaśnym od alkoholu oddechem prosto w twarz. Najgorsze, że dopiero wtedy zobaczyłam jego rysy. To był mój główny dręczyciel. Od jakiegoś czasu już mnie nie zaczepiał, ale przy naszych spotkaniach coś w jego wzroku powodowało, że czułam na plecach nieprzyjemne dreszcze. Na dodatek czasami bywał u nas w domu. W tę noc nie zdążyłam odskoczyć, a on jak na zalanego praktycznie w trupa, miał dość dobry refleks. A może to ja nie ruszałam się wystarczająco szybko? Zaczęliśmy się szarpać, prosiłam, żeby mnie puścił... Nie słuchał. Po prostu ignorował moje prośby, śmiejąc mi się prosto w twarz. Mówił, że sama się napraszałam, że... go prowokowałam, a teraz zaczepiłam... Pamiętam, jak głośno waliło mi serce, jak lał się ze mnie pot... Czy krzyczałam? Nie pamiętam, pewnie tak... Nikt jednak nie pospieszył mi z pomocą, a on... On się śmiał... Rechotał, dotykając mnie, macając...

Jola aż się otrząsnęła, słysząc swój ochryply głos. I czując, jak znowu po policzkach zaczynają jej spływać łzy. Ale tym razem cieszyła się z tego, ponieważ zmywały całe obrzydzenie, cały strach, przerażenie młodej dziewczyny, którą wtedy była. I która nadal gdzieś w niej tkwiła. Rabuś zeskoczył z jej kolan, usiadł tuż przed nią i wbił w nią bursztynowe oczy. Jego pyszczek przybrał taki wyraz, że pomimo zagłębiania się w trudną przeszłość, nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

– Tak... Też się krzywię, jak o nim myślę.

Kot otarł łapą wąsiska i przechylił głowę.

– Mam nie myśleć? Dobry pomysł – pochwaliła. – Postaram się, ostatecznie poza tym, że najadłam się strachu, nic takiego mi się nie stało. W końcu zdołałam uderzyć go w nos, kopnąć i przeturlać się. Uciekłam. Po powrocie do domu zamknęłam się w pokoju i nie chciałam z nikim rozmawiać. Całe dni siedziałam skulona w łóżku, przyciskając do piersi poduszkę. I tylko kołysałam się z nią... Tam i z powrotem... Tam i z powrotem... Wtedy i tylko wtedy miałam namiastkę bezpieczeństwa... Moja mama pytała, co się stało, co się wydarzyło, ale nie byłam w stanie otworzyć ust i jej o tym opowiedzieć. Okropieństwo tego wydarzenia utkwilo mi w gardle. Tłumiłam to w sobie i tylko płakałam. Na maturę oczywiście nie poszłam. Nie umiałam zmusić się, aby opuścić swoje sanktuarium. Mama, widząc, że nie jestem w stanie się otworzyć, zapisała mnie na wizytę do psychologa, a ja dla świętego spokoju zgodziłam się pójść. Ale dzień wcześniej usłyszałam w mieszkaniu jego głos. I coś we mnie wtedy pękło, bo wpadłam w histerię. Zaczęłam krzyczeć, wrzeszczeć, żeby wynosił się z naszego domu... Chyba czymś w niego rzuciłam... Marcin wściekł się na mnie, a ja zdecydowałam, że w domu nie jestem dłużej bezpieczna. Zadzwoiłam do babci i przeniosłam do tego mieszkania. Mama nie protestowała... Od tej pory mieszkam tutaj i nie wychodzę... Będzie już osiem lat...

Kot miauknął wyczekująco.

– On? Wtedy widziałam go po raz ostatni. Nie wiem, co się z nim potem stało. Nie chcę wiedzieć.

Westchnęła.

– Dość o mnie. Zajmijmy się tym, co ważne. Chciałbyś dostać ciasteczko?

Kot wyprężył się.

– Widzę, że tak...

W nocy coś ją obudziło. Jakiś ciężar, który umiejscowił się jej na brzuchu. Poruszyła się niespokojnie, a ciężar nagle zaczął mruścić. Serce, które waliło w piersi, nagle zwolniło. Wyciszyło się. Rabuś podniósł się, przeciągnął i zaczął udeptywać kołdrę. W końcu zszedł z dziewczyny i zwinął się w kłębek na poduszce. Tuż pod jej twarzą. Joli to jednak nie przeszkadzało. Uśmiechnęła się i przymknęła oczy. Od dawna nie czuła się tak spokojnie, tak cudownie, tak lekko...



– Zadomowił się u pani. – Następnego dnia Łukasz uśmiechnął się do niej. Wrócił

już ze swej podróży i przyszedł, by zabrać kota. Rabuś, chodząc wokół jego nóg z wyprężonym jak struna ogonem, pomrukiwał radośnie. Jola tylko tak mogła nazwać dźwięk, który wydobywał się z kociego gardła.

– Radziliśmy sobie – odpowiedziała na jego uśmiech Jola. – Proszę mi tylko powiedzieć, bo umieram z ciekawości, skąd się u pana wziął ten rozrabiaka?

– Znalazłem Rabusia, wtedy jeszcze kociaka, pod własnymi drzwiami. Siedział na wycieracze i cały się trząsał, wbijając we mnie te swoje bursztynowe oczy. – Łukasz podniósł kota i zaczął drapać za uchem. Ten, zachwycony, zmrużył ślepią. – Przepadłem od razu, a że był luty, nie zastanawiałem się długo. Towarzyszy mi od ponad dwóch lat i nie wyobrażam już sobie powrotu do pustego domu... – Obdarzył zwierząka czułym uśmiechem. Następnie odwrócił się i zabrał go do swojego mieszkania. Wrócił jeszcze po rzeczy kocura. Przyniósł nawet bukiet kwiatów w podziękowaniu. A potem zniknął u siebie.

I już była jak zawsze – sama.

Brakowało jej go. Cichych kroków, delikatnego mrużenia czy nawet rozwalającego się na niej ciężaru. Mieszkanie wydawało się puste, zbyt puste i duże jak dla jednej osoby. Nie była w stanie pracować. Często wyobrażała sobie niewidzialnego kota, który przechadza się po pokojach. Albo ucina sobie drzemkę na parapecie. I uśmiechała się do swoich marzeń. Rozmawiała sporadycznie z bratem, z politowaniem przyjmując jego pretensje. I przez cały ten czas miała przed oczami obraz pręgowanego kota. Jak jakiś talizman chroniący ją przed złym urokiem.

Natomiast gdy znalazła w szafce jego przysmaki, rozpląkała się. Siedziała w fotelu i trzymała je w ręce. Tak mocno, aż się pokruszyły. A nawet wtedy nie była w stanie ich wyrzucić do kosza.

Tęskniła.

Raz nawet miała ubrane buty i zamierzała wyjść, pójść do schroniska po przyjaciela tylko dla niej. Otworzyła drzwi i stanęła na progu. I dalej nie ruszyła. Nie umiała wykonać tego ostatniego kroku. Albo pierwszego. Bo to przecież nie byłby Rabuś... Rabuś mieszkał naprzeciwko. Za brązowymi drzwiami mieszkania Łukasza. Tak blisko i jednocześnie zbyt daleko. Zamknęła cicho drzwi. Jej życie wróciło na dawne tory. Bezpieczne, ale mało satysfakcjonujące.

Pewnego dnia usłyszała dzwonek. Ktoś stał pod jej drzwiami. Zdziwiła się, bo przecież niczego tego dnia nie zamawiała. Oderwała się od rzeźbionej właśnie świecy. Któż to mógł być?

Otworzyła.

– Pan Łukasz?

Stał tam i uśmiechał się.

– Zepsuła mi pani kota – powiedział. – Rabuś przestał jeść.

Oślupiała.

– Przysmaków nie odmawia, ale widocznie za panią tęskni. Dzisiaj trzeci raz, jak wychodziłem do pracy, uciekł z mieszkania i warował przed pani drzwiami. I parskał na mnie, niezadowolony, gdy go wносиłem do siebie.

Jola, zaskoczona, lekko zmarszczyła brwi. Był pod wejściem do jej mieszkania, a ona nie wiedziała... Co za strata...

– Tak sobie pomyślałem... Może dałaby się pani namówić na wizytę u mnie. Naprawdę jestem niegroźny, a i gotuję wcale nieźle. Nakarmiłbym i panią, i mojego kota-huncwota.

Zamilkł i tylko z oczekiwaniem na nią patrzył.

Jola spojrzała na długą przestrzeń korytarza, na brązowe drzwi, za którymi przebywał Rabuś. Chwyciła klucze. Czując, jak oblewa się potem, postawiła stopę na progu. Wzięła głęboki oddech, by uspokoić szalejące tętno.

„Dla siebie i dla niego” – pomyślała i uśmiechnęła się blado do Łukasza.

Wolno uniosła drżącą nogę.

Szczęściarz

Izabela M. Krasińska

Eliza Wojciechowska otworzyła oczy i zdecydowanym ruchem nacisnęła czerwony przycisk na wyświetlaczu telefonu. Nigdy nie ustawiała drzemek. Budzik dzwonił o szóstej trzydzieści, więc wstawała o szóstej trzydzieści. Drzemki były zdradliwe i niepewne. A ona nie pozwalała sobie i innym na niesubordynację.

Miała trzydzieści dwa lata i zdecydowanie zasługiwała na miano kobiety sukcesu. Była inteligentna, wykształcona, a do tego piękna i zgrabna. Wiedziała, że jest atrakcyjna, co wykorzystywała jako atut zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym. Prowadziła salon kosmetyczny, który dobrze prosperował. Lubiała, kiedy wszyscy otaczający ją ludzie chodzili jak w zegarku. Nieustannie kontrolowała siebie i innych, dzięki czemu miała pewność, że nad wszystkim panuje.

Była władcza i egoistyczna, ale nie traktowała tych cech jako wad. Uważała, że jedni rodzą się, by rządzić, a inni po to, by nimi rządzono. Ona bez wątplenia zaliczała się do tej pierwszej grupy. Partnerzy, a było ich wielu, zarzucali jej oziębłość i brak serca. Zazwyczaj mówili to po kilku dniach, kiedy oznajmiała im, że już się nimi znudziła i nadszedł czas rozstania. Eliza niewiele sobie robiła z ich zarzutów. Sądziła, że to typowy bełkot odrzuconych kochanków. Nigdy niczego żadnemu z nich nie obiecywała i nie rozumiała, dlaczego ci idioci tak szybko się do niej przywiązywali, podczas gdy ona potrzebowała ich jedynie po to, by zaspokoić swoje potrzeby seksualne. Może i czasami przesadzała, ale to nie jej wina, że faceci lecieli do niej jak ćmy do ognia. Nie była naiwną kretynką, by wierzyć w czułe słowa, które szeptali w chwilach miłosnych uniesień. Seks traktowała jako formę rozrywki, a nie sposób na wyrażanie uczuć i oznakę bliskości. Nie czuła potrzeby, by zbliżać się do kogoś ze swoich kochanków. Była niezależna, zamożna i bezwzględna. Nie zamierzała bawić się w głupawe kompromisy, na których jedynie by straciła. Za naczelną zasadę uznawała nieangażowanie się i niepokazywanie mężczyźnie, że chociaż trochę jej zależy. Zresztą, jak dotąd, żaden nie zdołał zainteresować jej na dłużej. No, może prócz Łukasza... Ale on także należał już do przeszłości. Jeden, jedyny raz postąpiła wbrew swoim żelaznym zasadom i teraz wiedziała, że nigdy więcej tego nie uczyni. Łukasz już nic dla niej nie znaczył. Tak, zdecydowanie był jej obojętny. Może gdyby nie próbował na siłę zmieniać, kształtować wedle swojego uznania, wywierać takiej presji... Trudno. Zmarnował swoją szansę i tylko wprowadził niepotrzebny chaos w jej życie.

Eliza zdjęła koronkową koszulę nocną i weszła do kabiny prysznicowej.

Skierowała na siebie strumień wody i sięgnęła po ulubiony magnoliowy żel pod prysznic. Rozprowadziła go po ciele i z przyjemnością wciągnęła jego upajający zapach. Tak, lubiła sobie dogadzać. Nie bała się czerpać z życia pełnymi garściami i uważała, że należy jej się to, co w nim najlepsze.

Kwadrans później rozczesywała przed lustrem swoje piękne, długie i lśniące czarne włosy. Przypomniała sobie, jak w dniu rozstania Łukasz nazwał ją Elzą. Zarzucił, że ma serce z lodu i mentalność Królowej Śniegu. Że potrafi tylko brać, a zaraz potem ranić. Że nie potrafi nikogo naprawdę pokochać i pewnego dnia gorzko zapłaci za swój egoizm. Eliza wysłuchiwała z zainteresowaniem jego zarzutów, po czym kazała mu się wynosić. Z jej domu i życia. Łukasz bez sprzeciwu wykonał polecenie. Dlaczego więc poczuła się nieswojo, gdy stanął przy drzwiach i spojrzał na nią tymi swoimi piwnymi, smutnymi oczami niczym bezdomny psiak? Przez chwilę odczuwała wtedy coś w rodzaju wyrzutów sumienia, ale na szczęście szybko stłumiła ten przejaw słabości. Zapomniała o Łukaszu, tak jak zapomniała o wszystkich facetach, którzy byli przed nim. Ot, kolejny odhaczony cel na liście, nic więcej. Nie zamierzała się przejmować jego złamanym sercem. Bo tak właśnie jej powiedział. Że złamała mu serce. Wzruszające, doprawdy. Niech się cieszy, że nie połamała mu czegoś innego.

Niespełna godzinę później wyszła z domu i włączyła alarm. Zamknęła dokładnie drzwi i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Uwielbiała patrzeć na swój dom, który rok temu wybudowała na wsi. Stał na uboczu, z dala od ciekawskich spojrzeń sąsiadów. Zadbana o to, aby był funkcjonalny i urządzony ze smakiem. Nie żałowała pieniędzy na meble i dodatki. Chciała, by wszyscy go jej zazdrościli, i osiągnęła swój cel. Nieliczne koleżanki, jakie miała, z trudem ukrywały ogarniającą je zaraz po przekroczeniu progu zawiść. Eliza obserwowała reakcje, gdy oprowadzała gości po kolejnym pomieszczeniu i opowiadała, do czego służy każdy gadżet i ile kosztowały kafelki, na których znajdowały się drobinki prawdziwego kryształu. Kobiety uśmiechały się do niej i wyrażały swój zachwyt, ale Eliza z łatwością dostrzegała ich prawdziwe emocje. Były wściekłe i piekielnie zazdrosne. Najchętniej wrzuciłyby ją do wielkiej wanny z jacuzzi i utopiły. Bawiło ją to i zarazem satysfakcjonowało. Równocześnie zyskiwała pewność, że nikomu nie można ufać, że ludzie są interesowni i zawistni.

Tak, nie miała prawdziwych koleżanek ani przyjaciółek. Nie odczuwała potrzeby zwierzenia się ze swoich problemów i sekretów obcej babie, która zaraz wyklepałaby to kolejnej przyjaciółce. Eliza nikomu nie ufała. Uważała, że tak jest bezpieczniej. Kiedy było jej źle, kupowała swoje ulubione, francuskie wino i wypijała je, słuchając starych płyt Stinga i wpatrując się w migocący płomień w kominku. To ją uspokajało i odprężało. Zresztą, momentów, gdy czuła się podle, było niewiele. Zazwyczaj nie użalała się nad sobą. To właśnie dzięki takiej postawie tyle osiągnęła. Gdyby była krucha i delikatna, zapewne skończyłaby jako kura domowa, otoczona gromadką dzieci i czekająca na męża, który pije gdzieś z kolegami albo zdradza ją ze swoją sekretarką. Nie, takie życie zdecydowanie do niej nie pasowało. Nie zamierzała być zależna od jakiegokolwiek faceta, rodzić mu kolejnych bachorów, prać jego gaci i czekać cierpliwie z obiadem, aż jasnie pan wróci zmęczony z pracy i łaskawie zechce skosztować przygotowanej przez nią w pocie czoła strawy. Nie chciała skończyć jak jej matka.

Przed oczami Elizy stanęli rodzice. Przypomniała sobie ojca, tego wiecznie surowego i milczącego egoistę, który kochał tylko swoją cholerną pracę. Nigdy nie widziała, by okazał matce czy jej jakiegokolwiek uczucia. Eliza doskonale pamiętała te długie, zimowe wieczory, kiedy czekała na niego z czołem wspartym o zimną szybę. Każdego dnia wmawiała sobie, że dzisiaj będzie inaczej, że tata wróci wesoły i kupi jej czekoladę, a potem przytuli i poczyta bajkę. Niestety, ojciec wracał naburmuszony i milczący jak zawsze. Spoglądał tylko na nią z niechęcią i zaraz po kolacji, którą podtykała mu pod nos matka, zamykał się w swoim gabinecie. Na początku jego ignorancja strasznie ją bolała. Była tylko dzieckiem, nie rozumiała, dlaczego tata jej nie kocha. Jako nastolatka zaczęła go lekceważyć, traktować jak powietrze. Już nie pragnęła bliskości tego łysiejącego, zgarbionego mężczyzny, który zdawał się nie dostrzegać, że jego córka za moment stanie się dorosłą kobietą. Elizie nigdy nie udało się naprawić relacji z ojcem. Czasami tego żałowała, ale wystarczyło, że przypomniawszy sobie jego posępny wyraz twarzy, i natychmiast przestawała czynić sobie wyrzuty.

Najbardziej współczuła matce. Gdy Eliza oglądała zdjęcia z jej młodości, nie mogła uwierzyć, że ta pulchna, zrezygnowana kobieta kiedyś była taka piękna i zgrabna. A potem na strychu natknęła się przypadkiem na stary, pożółkły zeszyt z rysunkami. Kiedy zachwycona pokazała go matce, z pytaniem, kto jest autorem tych pięknych portretów, ta uśmiechnęła się smutno i szepnęła, że ona je naszkicowała. Wyznała córce, że kiedy była młoda, bardzo lubiła malować. Wszyscy zachwycali się tymi rysunkami i wróżyli jej wielką, malarską karierę. Chciała nawet здаwać na ASP, ale wtedy poznała ojca Elizy. Był wysokim, przystojnym brunetem z burzą włosów, z pamięci deklamował wiersze Baudelaire'a. Kończył studia polonistyczne i zamierzał się doktoryzować. Matka Elizy zupełnie straciła dla niego głowę. Niedługo potem zaszła w ciążę. Jej narzeczony wściekł się i zarzucił, że zrobiła to specjalnie, że przez nią zawali się jego naukowa kariera. Ich ślub był szybki i skromny. Matka Elizy nigdy nie usłyszała od męża żadnego komplementu ani miłego wyznania. Z każdym rokiem trwania małżeństwa stawał się coraz bardziej milczący. Jedyne, co go fascynowało, to pisanie kolejnych naukowych artykułów i czytanie książek. Żona i córka były dla niego transparentne.

Matka Elizy próbowała jeszcze malować, ale liczne obowiązki i małe dziecko sprawiły, że na zawsze zrezygnowała ze swojej pasji. Postanowiła poświęcić się domowi, podczas gdy jej mąż zdobywał następne awanse i tytuły naukowe. Ich życie przypominało wegetację. Eliza zapamiętała, że w domu zawsze musiało być cicho, bo tata pisał kolejny ważny artykuł albo rozprawę i nie wolno mu było przeszkadzać. Wojciechowska uświadomiła sobie pewnego dnia, że nienawidzi tego człowieka, że prawie go nie zna, że jest dla niej obcy.

Eliza postanowiła nigdy nie wychodzić za mąż i nie chciała mieć dziecka. Nie mogła dopuścić do tego, by stać się zależną finansowo i emocjonalnie od jakiegokolwiek mężczyzny. Jej oschłość i dystans, jaki stwarzała, stanowiły tarczę. Nie potrzebowała uczuć ani bliskości, gdyż nigdy ich właściwie nie zaznała. Jej matka również nie była zbyt wylewna. Eliza zastanawiała się często, czy ona także nie miała żalu do córki, że zniszczyła jej świetnie zapowiadającą się karierę malarską.

Tak, zdecydowanie była niechcianym dzieckiem i odczuwała to przez całe swoje

dzieciństwo. Kiedy dowiedziała się, że rodzice zginęli w wypadku samochodowym, nie poczuła nic. Żadnego żalu, przerażenia, rozpaczy. Zero emocji.

Ukończyła kosmetologię oraz liczne kursy kosmetyczne i zatrudniła się w znanym salonie kosmetycznym. W czasie studiów miała się różnych zajęć, by zdobyć pieniądze na szkolenia i pierwsze zestawy do makijażu. Już wtedy zyskała wierne grono klientek, które do dzisiaj odwiedzały jej własny salon. Doskonale pamiętała swoje początki. Wolno jej było jedynie patrzeć na pracę innych kosmetyczek. Minął prawie rok, zanim pozwolono jej wykonywać manicure czy pedicure. Jej przełożona szybko zorientowała się, że Eliza ma prawdziwy dar do wykonywania zabiegów kosmetycznych. Wkrótce terminarz Wojciechowskiej był wypełniony na kilka tygodni naprzód. Eliza nie spoczęła jednak na laurach. Prosto z pracy jechała do domów swoich klientek i za połowę ceny malowała im paznokcie albo robiła makijaż na specjalne okazje. Zarobione w ten sposób pieniądze odkładała na założenie własnego salonu kosmetycznego. Udało jej się to dwa lata temu. Do dzisiaj pamiętała minę swojej szefowej, kiedy oznajmiła jej, że odchodzi. Razem z nią odeszły wszystkie jej klientki, które teraz tłumnie odwiedzały „Elisa style”.

Otworzyła garaż i uśmiechnęła się pod nosem. Elza. Właściwie to przezwisko, jakie nadał jej Łukasz, nie było takie złe. Gdyby tylko posiadała tę moc, co bohaterka *Krainy lodu*! Zamroziłaby cały świat i nigdy nie pozwoliła go odmrozić. A ona stałaby się królową tego mroźnego chaosu.

Wsiadła do nowiutkiej toyoty yaris i włączyła radio. Kochała swoje życie. Lubiała wydawać pieniądze i kupować drogie rzeczy. Nie żałowała sobie niczego. Tyle lat harowała, by osiągnąć sukces, tyle upokorzeń znosiła, tyle razy płakała... Dlatego teraz postanowiła zrekompensować sobie tamten podły czas i korzystać z życia, ile się dało. Nie obchodziło jej, co na to powiedzą inni. Jej rodzice nie żyli, nie miała rodzeństwa, od lat była zdana tylko na siebie. Ta myśl nie napawała jej jednak przerażeniem, raczej utwierdzała w przekonaniu, że nikt nie zadba o nią lepiej niż ona sama.

Zaparkowała pod salonem kosmetycznym i pewnym krokiem weszła do środka. Justyna, jej pracownica, natychmiast wstała i zapytała, czy zrobić jej kawę. Łaskawie skinęła głową i zapytała, ile klientek zarezerwowało na dziś wizytę. Dziewczyna otworzyła pospiesznie zeszyt i przeczytała zapisane nazwiska i rodzaj zamówionej usługi. Eliza uśmiechnęła się z aprobatą, po czym weszła do małego pomieszczenia socjalnego, gdzie przebrała się w służbowy uniform. Lubiała porządek i ład. Tego samego wymagała od swoich pracownic. Zdawała sobie sprawę, że czasami przesadza, że bywa zbyt surowa. Nie tolerowała jednak niesubordynacji i lenistwa. Kto nie przestrzegał jej zasad, zostawał natychmiast zwalniany. Justyna pracowała w salonie prawie rok. Eliza musiała przyznać, że dziewczyna bardzo się starała, jednak nie zamierzała jej niczego ułatwiać. Woliała, żeby pracownica się jej bała. Wojciechowska wychodziła z założenia, że metodą zastraszania osiągnie więcej niż dobrym słowem.

Kiedy Justyna przyniosła jej kawę, Eliza podziękowała niedbale, po czym zapytała chłodno, dlaczego na szybie drzwi wejściowych widać odciski palców. Dziewczyna zbladła i szepnęła, że zaraz je wytrze. Wojciechowska upiła łyk kawy i zmarszczyła gniewnie brwi. Justyna pobladła jeszcze bardziej i szybko pobiegła po cukier. Eliza uśmiechnęła się pod nosem. O to właśnie chodziło. W ten sposób utrzymywała dyscyplinę

w swoim salonie. Nie musiała nawet podnosić głosu. Zerknęła z satysfakcją przez okno i nagle wzdrygnęła się. Zobaczyła starszą panią, która niosła na rękach swojego pieska i przemawiała do niego czule. Kiedy cmoknęła go w pyszczek, Eliza odwróciła z odrazą wzrok i odstawiła gwałtownie filiżankę z kawą. Na myśl o tym, że miałyby pogłaskać jakiegoś śmierdzącego psa czy kota, robiło jej się niedobrze. Zwierzęta uznawała po prostu za nosicieli bakterii. Nie rozumiała, jaką przyjemność może sprawiać trzymanie czegoś takiego w domu. Nie wzruszały jej ani małe, słodkie kotki i pieski, ani bezdomne zwierzaki. Może i była bez serca, ale nie obchodziło jej to. Dla niej liczyły się tylko pieniądze oraz przyjemności. Nie miała zamiaru tego zmieniać. Wiedziała, czego chce, więc sukcesywnie realizowała cele, jakie sobie stawiała. Jeśli jakiś mężczyzna jej się spodobał, prędzej czy później łądowali w łóżku. Nie dbała o to, czy jest żonaty, czy ma dzieci. Niczym modliszka najpierw wykorzystywała swoją ofiarę, a potem bez żalu ją porzucała. Z czasem nauczyła się, że wszystko i wszystkich można kupić. Skutecznie więc pozbyła się wszelkich skrupułów i robiła to, na co miała ochotę. Wprawdzie czasami dopadały ją wyrzuty sumienia, ale potrafiła sobie z nimi skutecznie radzić. Była bezlitosna i bezkompromisowa, ale właśnie tym cechom zawdzięczała swój sukces.

Kiedy do salonu weszła pierwsza klientka, Eliza wstała i uśmiechnęła się do niej szeroko. Zależało jej na tym, by kobiety i mężczyźni odwiedzający salon wychodzili z niego zadowoleni i usatysfakcjonowani. To oznaczało, że nie tylko wrócą do niego ponownie, ale również wspomną o nim swoim znajomym. Eliza planowała otworenie nowego, większego salonu, więc teraz zależało jej na klientach bardziej niż kiedykolwiek. Była zdolna do wszystkiego, aby osiągnąć kolejny cel. Wystarczyło jedynie cierpliwie poczekać. Prędzej czy później zawsze realizowała swoje zamierzenia. I biada temu, kto próbowałby stanąć wówczas na jej drodze.

Nie pamiętał, jak znalazł się na tym świecie. Jego pierwsze wspomnienie sięgało czasów, gdy był malutki i ssał mleko swojej mamy. Pamiętał, że lizała go zachęcająco po pyszczku, kiedy stawiał pierwsze, nieporadne kroki i przewracał się co chwila, cicho popiskując. Jego mama pomagała mu się podnieść, po czym znowu rozpoczynał swoją wędrówkę. Był ślicznym pieskiem. Tak przynajmniej na początku o nim mówiono. Miał krótkie łapki i czarną, puszystą sierść pokrytą białymi łatkami. Wszyscy brali go na ręce i zachwycali się, jaki jest mięciutki, jakie ma ładne oczka, jaki zabawny wyraz mordki. Jego rodzeństwo też było urocze. Miał trzy siostry i dwóch braci. Pamiętał, jak bawili się wszyscy razem, skacząc na siebie i podgryzając wzajemnie. Często te harce były tak głośne, że mama spoglądała na nich karcąco. Gdy to nie pomagało, warczała krótko, co natychmiast dawało odpowiedni skutek.

Piesek żył szczęśliwie, nieświadomy tego, co dzieje się wokół niego. Pewnego dnia obudził się i spostrzegł, że w legowisku brakuje jednej z sióstr. Biegał dookoła i szukał jej jak oszalały. Co chwila spoglądał zdziwiony na mamę, która leżała na boku, osowiała i smutna. Pozostałe pieski również były dziwnie spokojne. Następnego dnia do pomieszczenia, w którym przebywał na co dzień z mamą i rodzeństwem, wszedł ich pan w towarzystwie jakiejś pani z małym chłopcem. Kiedy cała trójka zbliżyła się do ich legowiska, mama pieska zawarczała cicho. Pan pogłaskał ją po łbie i zapytał chłopca,

który szczeniaczek najbardziej mu się podoba. Dziecko namyślało się przez chwilę, po czym wskazało na jednego z piesków. Po chwili cała trójka wyszła z pomieszczenia razem z psiakiem, który popiskiwał żałośnie wtulony w objęcia chłopca.

Piesek siedział jak oniemiały i spoglądał w kierunku oddalającego się braciszka. Gdy zamknęły się drzwi, przeniósł przerażone spojrzenie na mamę. Ta wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w wejście. Gdy dotarło do niej wreszcie, że szczeniaczek nie wróci, zaskomlała żałośnie i zwinęła się w kłębek. Piesek podszedł do niej i wtulił się w jej miękką sierść. Było mu bardzo smutno. Nie rozumiał, dlaczego pan zabrał jego braciszka i siostrzyczkę. Gdzie teraz przebywali? Czy również za nim tęsknili?

Po kilku dniach piesek został sam ze swoją mamą. Pan codziennie przychodził i zabierał jedno szcenię. Pewnego dnia otworzył drzwi i wpuścił do środka małżeństwo, któremu towarzyszyła dziewczynka ubrana w białą sukieneczkę z falbankami. Dziecko spojrzało tylko na szczeniaczka i natychmiast do niego podbiegło. Pan złapał przezornie mamę pieska za obrozę, by nie rzuciła się na dziewczynkę w obronie szczenięcia. Elegancka pani zapytała córkę, czy chce zabrać ze sobą psa, na co ta kiwnęła ochoczo głową. Ojciec dziewczynki uśmiechnął się łagodnie i przypomniał jej, że będzie musiała się nim zajmować i wyprowadzać go na spacer. Dziecko ponownie skinęło głową i mocniej przytuliło do siebie drżącą kulkę.

Piesek zerkał co chwila przerażonym wzrokiem na swoją mamę, która próbowała wyswobodzić się z żelaznego uścisku właściciela. Ten jednak trzymał ją mocno za obrozę. Szczeniak zapiszczał smutno, na co cała trójka parsknęła śmiechem. Dziewczynka pogłaskała go po łebku i po chwili wyszła z pomieszczenia. Piesek próbował wyszarpnąć się z jej ramion, żeby pobiec do mamy, ale dziecko przycisnęło go do siebie i zaczęło do niego pieszczotliwie przemawiać. Drzwi zamknęły się i ostatnie, co zobaczył piesek, to pełne cierpienia i bólu spojrzenie jego mamy. Nie zdążył się z nią nawet pożegnać. Nie wiedział, dokąd zabierają go ci ludzie. Byli dla niego mili i dobrzy, ale on potwornie się bał i chciał wrócić do mamy.

Ojciec dziewczynki włożył go do zamykanego koszyka, który postawił na tylnym siedzeniu, obok fotelika córeczki. Piesek cofnął się w najdalszy kąt i rozejrzał dookoła trwożnie. Znajdował się w jakiejś maszynie z wieloma szybami. Zapiszczał ze strachu, kiedy poczuł, że ziemia usuwa mu się spod łapek i dziwny pojazd rusza. Kiedy odważył się unieść powieki i wyjrzeć przez szybę, natychmiast tego pożałował. Wszystko, co widział za oknem, przesuwało się w zastraszającym tempie. Po jakimś czasie szczeniaczek przyzwyczaił się do tego zdumiewającego zjawiska. Kiedy dziewczynka otworzyła wieko koszyka i zaczęła głaskać pieska uspokajająco, ułożył się wygodnie na kocyku i poddał ufnie jej pieszczotom. Już nie tęsknił tak bardzo za mamą.

Piesek zamieszkał ze swoimi nowymi właścicielami w ich pięknym, dużym domu. Godzinami wylegiwał się w swoim koszyku, bawił z Amelką i objadał pyszną karmą. Wszyscy nosili go na rękach i całowali. Czuł się kochany i on również kochał swoich właścicieli wiernie i szczerze, jak na psa przystało. Był ulubieńcem całej rodziny. Kiedy coś spsocił, nikt nie miał serca na niego krzyczeć. Wystarczyło, że uniósł zawadiacko jedno ucho i przekrzywił pyszczek, by jego winy zostały mu natychmiast odpuszczone. Był słodki i puchaty, niczym pluszowy miś. Uwielbiał chodzić na spacer i ganiać koty.

Trochę bał się ptaków, które próbowały atakować go swoimi ostrymi dziobami. Na wszelki wypadek omijał je z daleka. Piesek dostał też nowe imię. Gdy tata zapytał Amelkę, jak chciałaby nazwać swojego pupila, dziewczynka podumała chwilkę, po czym zaproponowała, by wabił się Szczęściarz. Wszyscy jej przyklasnęli i od tej pory zwracali się do czworonoga tylko w ten sposób.

Mijały kolejne tygodnie i piesek stawał się coraz większy. Nie tęsknił już w ogóle za mamą i rodzeństwem. W nowym domu żyło mu się dobrze i wesoło. Poznał wiele komend i sztuczek. Problemy nadeszły wraz z ząbkowaniem. Jego właściciele kupowali mu gryzaki, ale to nie pomagało. Piesek obgryzał wszystko, co tylko znalazło się w zasięgu jego mordki. Dopóki były to mało wartościowe rzeczy, nikt na niego nie krzyczał. Pierwszego klapsa dostał, gdy pogryzł skórzany but swojego pana. Kolejnego, kiedy poszarpał zębami fotel w salonie. Stopniowo wszyscy zaczęli tracić do niego cierpliwość. Ciągłe mówili, że jest złym i nieposłusznym psem, że żałują przygarnięcia go. Kiedy piesek słyszał te przykre słowa, podkulał ogon i maszerował do swojego koszyka. Szczęściarz starał się być grzecznym psem, ale zawsze coś mu w tym przeszkadzało. Był bardzo ciekawski i psotny. Nieustannie więc ściągał na siebie gniew właścicieli, którzy patrzyli na niego z coraz większą dezaprobatą. Codziennie dostawał po kilka klapsów, czego śmiertelnie się bał. Kiedy widział nad sobą wściekłą twarz pana, pani albo Amelki, kładł się na grzbiecie i okazywał im swoją uległość w nadziei, że mu wybaczą. Niestety, nikt już nie nabierał się na jego słodkie i niewinne minki.

Pewnego dnia, kiedy zrzucił ze stołu obrus wraz z zastawą, pani nie wytrzymała. Uderzyła go mocno ścierką i wypędziła na zewnątrz. Kiedy powiedziała o wszystkim mężowi, ten wpadł w złość. Postanowili, że piesek zamieszka na dworze. Kupili mu kojec i budę. Tak oto Szczęściarz został psem podwórzowym. Na początku był zafascynowany swoim nowym lokum oraz tym, co działo się dookoła niego. Po pewnym czasie zatęsknił jednak za domem, za swoim koszykiem i zabawkami. Za spaniem w jednym łóżku z Amelką, za zabawami z nią, za aportowaniem i robieniem sztuczek. Teraz wszystko, na co mógł sobie pozwolić, to bieganie wzdłuż dziesięciometrowego boksu, które szybko stało się nudne i denerwujące. Kiedy pani albo pan przynosili mu jedzenie, łaścił się do nich i kręcił wesoło ogonem, okazując swoją radość na ich widok. Żadne z nich nie wyglądało jednak na ucieszone jego obecnością. Stawiali mu szybko miskę przed nosem i oddalali się, nie wypowiadając do niego nawet jednego krótkiego słowa. Szczęściarz siedział wtedy zasmucony nad pełną miską jedzenia i patrzył z gasnącą nadzieją na odchodzącą osobę. Z każdym dniem czuł się coraz bardziej samotny i opuszczony. Potwornie tęsknił za czasami, gdy był małym psiakiem. Wszyscy go kochali i rozpieszczali. Kiedy urósł, nagle cała rodzina przestała się nim interesować. Nie był już malutką, puszystą i piękną maskotką, którą można było nosić na rękach. Miał nadzieję, że chociaż Amelka się nim przez chwilę zajmie, ale ona również omijała go z obojętnością. W rezultacie Szczęściarz stawał się coraz chudszy i smutniejszy.

Pewnego dnia jego pani niedokładnie zamknęła furtkę od kojca. Pieskowi udało się wydostać na zewnątrz. Zaczął biegać po całym podwórku, popiskując ze szczęścia. Tak bardzo mu tego brakowało! Jego właściciele dawno już przestali wyprowadzać go na spacer, więc ta przypadkowo odzyskana wolność niezmiernie go ucieszyła. Niestety, pan

zauważył, że pies znajduje się poza boksem, a to bardzo go rozgniewało. Wyszedł na zewnątrz i przywołał Szczęściarza do siebie. Psiak rzucił się w jego stronę i skoczył do góry, opierając się ubłoconymi łapami o czyste spodnie właściciela. Tego było już za wiele. Ojciec Amelki uderzył go w pysk i odepchnął brutalnie. Zaskoczony i zamroczony ciosem Szczęściarz upadł na grzbiet. Pan poszedł do samochodu zaparkowanego przed garażem i otworzył tylne drzwi. Zagwizdał na psa, ale ten nie zareagował. Bolała go mordka i cały trząsał się ze strachu. Właściciel westchnął, po czym wszedł na chwilę do domu. Wrócił stamtąd z torebką ulubionych chrupiek Szczęściarza i rzucił mu jedną. Pies podszedł powoli do przysmaku i po chwili zastanowienia zjadł go. Pan pogłaskał zwierzątko po łbie i postukał otwartą dłońią o tylną kanapę swojego land rovera. Psiak zrozumiał komendę. Uszczęśliwiony tym, że tata Amelki już się na niego nie złości, wskoczył posłusznie do środka. Mężczyzna zatrzasnął drzwiczki samochodu i po chwili ruszyli.

Znaleźli się poza miastem, ale pan jechał dalej. Szczęściarz z zainteresowaniem spoglądał przez szybę. Miał nadzieję, że pan zabierze go na długi spacer. W końcu właściciel zatrzymał auto na jakiejś leśnej drodze. Zgasił światła, ale nie wyłączył silnika. Wysiadł i położył na ziemi kilka chrupiek. Przywołał psa i gestem wskazał mu jego ulubiony przysmak. Szczęściarz wyskoczył z land rovera i zaczął pałaszować jedzenie. Pan uśmiechnął się do niego, po czym sięgnął po kolejną chrupkę i rzucił ją przed siebie, na polanę. Pies ruszył pędem w tamtą stronę, przekonany, że tata Amelki będzie się z nim bawił w aportowanie. Uszczęśliwiony odnalazł szybko przysmak i zawrócił, by zanieść go panu. Nagle usłyszał pisk opon, a po chwili zorientował się, że jego właściciel odjechał. Szczęściarz zostawił swój przysmak i zaczął biec za samochodem. Pędził, ile sił na swoich krótkich nóżkach, ale na nic się to zdało. Jego pan jechał tak szybko, że pieskowi zabrakło w końcu tchu. Stał jak wryty i patrzył tylko za odjeżdżającym land roverem, za którym unosił się tuman kurzu. Usiadł na środku drogi i wpatrywał się nieruchomym wzrokiem w miejsce, gdzie zniknął samochód. Dyszał przy tym ciężko. Cały czas wierzył w to, że tata Amelki po niego wróci, że odjechał gdzieś na chwilę. Przecież nie zostawiłby go samego w środku wielkiego lasu! Szczęściarz poszedł po chrupkę i zjadł ją z apetytem. Usiadł ponownie na swoim miejscu i znowu zaczął wpatrywać się w jeden punkt. Czekał tak, aż zrobiło się zupełnie ciemno. Jego pan nie wrócił.

Piesek czuł się coraz bardziej nieswojo. Dookoła niego szumiały złowrogo drzewa, słyszał też jakieś trzaski dochodzące z lasu. Zaskamlał żałośnie i ruszył powoli przed siebie. Postanowił odnaleźć drogę do domu. Po kilkunastu metrach poczuł, że jest spragniony. Zatrzymał się i rozejrzał dookoła, w nadziei, że znajdzie gdzieś jakieś źródło. Wszedł powoli do lasu, trzęsąc się z zimna i ze strachu. Był koniec października i o tej porze wieczory robiły się coraz chłodniejsze. Szczęściarz biegał jak oszalały między drzewami, ale niczego nie znalazł. Zrezygnowany i coraz bardziej głodny zwinął się w końcu w kłębek i zasnął. Był pewny, że pan przyjedzie po niego rano. Może zabłądził i nie potrafił do niego trafić? Może coś mu się stało? Piesek zwinął się mocniej w kulkę i zapiszczał smutno. Było mu bardzo zimno, w dodatku tak strasznie bał się tego ogromnego lasu! Miał wrażenie, że dookoła niego krążą jakieś upiory, które tylko czekają, by go pożreć.

Nazajutrz Szczęściarz wrócił na swoje miejsce na drodze i ponownie zaczął wpatrywać się w jeden punkt. Właśnie tam poprzedniego dnia zniknął samochód pana. Ten jednak nie nadjeżdżał. Mijały kolejne godziny, ale nikt się nie pojawił. Piesek czuł coraz większy głód i pragnienie. W końcu postanowił poszukać czegoś do jedzenia. Był tak wycieńczony, że nie miał siły iść. Ruszył powoli drogą i po kilkunastu minutach dotarł do pierwszych zabudowań. Zanim udało mu się do nich zbliżyć, usłyszał tupot ciężkich łap, a po chwili został obszczekany przez wielkiego owczarka niemieckiego. Piesek zaczął uciekać, ale na szczęście okazało się, że pies był zamknięty w kojcu. Szczęściarz wołał jednak nie ryzykować. Jego serce waliło jak oszalałe, gdy biegł szybko w stronę lasu. Postanowił, że dzisiaj również tu przenocuje. Bał się ponownie zbliżyć do wsi, przekonany, że natychmiast rozszarpia go bestie podobne do napotkanego owczarka.

Ruszył powoli w stronę polany, gdzie zostawił go jego pan i po kilku metrach natrafił na worki ze śmieciami, które ktoś wyrzucił do lasu. Zupełnie jak jego... Piesek podszedł do śmieci i rozerwał zębami jeden z worków. Ku jego uciesze, znalazł tam resztki ziemniaków z obiadu. Zjadł je ze smakiem, zupełnie jakby to była wykwintna psia karma. Kiedy udało mu się zaspokoić największy głód, zwinął się w kłębek i zasnął. Tej nocy było jeszcze chłodniej niż poprzedniej. Szczęściarz trząśł się z zimna. Tak bardzo tęsknił za domem, ciepłem, ulubionym koszykiem, za Amelką... Zamiast tego znajdował się w wielkim, mrocznym lesie, zziębnięty i wycieńczony. Co takiego złego zrobił, że pan go tu zostawił? Gdyby tylko dał mu drugą szansę, Szczęściarz byłby najgrzeczniejszym psem na świecie. Nauczyłby się jeszcze więcej sztuczek i zawsze słuchałby swoich właścicieli. Gdyby tylko mógł wrócić do domu...

Następnego dnia piesek podjął kolejną próbę dotarcia do wsi. Tym razem udało mu się przejść niepostrzeżenie obok posesji, na której znajdował się agresywny owczarek niemiecki. Niestety, został zwietrzony przez inne psy. Zaczęły na niego wściekle ujadać. Nagle jeden z nich wyskoczył z otwartej bramy i ruszył z przeraźliwym warczeniem w stronę Szczęściarza. Spanikowany piesek zmuszony był ratować się ucieczką. Biegł najszybciej, jak umiał, ale z wycieńczenia ledwo poruszał łapami. Minął już prawie wszystkie domy i stracił nadzieję, że uda mu się uciec przed groźnym brytanem, któremu niemal udało się schwycić go w swoje wielkie zęby. Nagle Szczęściarz zobaczył, że furka do jednej z posesji jest uchylona. Niewiele myśląc, wpadł tam i szybko schował się pod stojącym na podwórku samochodem. Ścigający go pies zatrzymał się przy aucie i zaczął go wściekle obszczekiwać. Piesek był pewny, że jest już stracony, że ten olbrzymi wilczur go pożre. Kiedy popiskując ze strachu, wcisnął się głębiej pod toyotę, do jego uszu dobiegł niespodziewanie dźwięk otwieranych drzwi. Po chwili usłyszał głośnie bluźnierstwa. Wilczur, który obszczekiwał go przy samochodzie, podkulił ogon i czmychnął czym prędzej z posesji. W ślad za nim poleciał but i kilka siarczystych przekleństw. Przerażony Szczęściarz obserwował całą sytuację spod auta. Kiedy upewnił się, że zły pies już go nie dopadnie, wyszedł z ukrycia, merdał radośnie ogonem i łąsił się do kobiety, która go uratowała. Był tak szczęśliwy, że nie zauważył zdenerwowania na twarzy swojej wybawicielki. Nagle ładna pani znowu zaczęła mówić brzydkie słowa. Zanim zrozumiał, co się dzieje, ta tupnęła nogą i zaczęła na niego krzyczeć. Szczęściarz czym prędzej uciekł z jej podwórka, przekonany, że on również zostanie trafiony butem. Kiedy zatrzymał się

w bezpiecznej odległości, dostrzegł, że kobieta zamyka starannie furtkę do swojej posesji. Nawet na niego nie spojrzała.

Eliza weszła do domu i westchnęła z emfazą. Mieszkanie na wsi przyrównywała do sielanki, ale miało też swoje wady. Oprócz odśnieżania podwórka były to również problemy z bezpańskimi zwierzętami. Wzdrygnęła się odruchowo, myśląc, ile bakterii i pcheł miał na sobie ten pies. Swoją drogą, po co przygarniać zwierzaka, a potem go wyrzucać? Jej filozofia była prosta – nie lubiła sierściuchów, więc ich nie posiadała. Poza tym pokochanie kogokolwiek zawsze kończyło się łzami. Kiedy była dzieckiem, chciała mieć jakieś zwierzątko. Mama zgodziła się na rybkę. Było to bezpieczne rozwiązanie, bo podobnie jak Eliza i jej mama, rybka nie miała głosu.

Zajmowała się Lisą, bo tak ją nazwała, niemal bez przerwy. Godzinami przesiadywała przed akwariem i wpatrywała się w gupika. Udawała, że nie dostrzega kpiących spojrzeń ojca i jego demonstracyjnych westchnień. Lisa była jej jedyną przyjaciółką, jedyną towarzyszką w tym domowym grobowcu. Ale umarła.

Pewnego dnia, gdy Eliza wróciła ze szkoły, zauważyła, że Lisa unosi się nieruchomo na powierzchni wody. Dziewczynka wybuchnęła płaczem i przypadła do akwarium. Matka bezceremonialnie wyrzuciła gupika do sedesu. Właśnie wtedy Eliza obiecała sobie, że już nigdy nie będzie miała żadnego zwierzęcia.

Wojciechowska zerknęła przez okno i spostrzegła, że pies siedzi pod jej ogrodzeniem. Zaklęła głośno i chwyciła stojący przy wieszaku parasol. Podeszła zdecydowanym krokiem do furtki i chcąc wystraszyć zwierzę, postukała parasolem o metalowe pręty w ogrodzeniu. Psiak spojrzał na nią przerażony, podkulił ogon i uciekł w pobliskie zarośla. Eliza odprowadziła go wzrokiem, po czym ruszyła w stronę drzwi wejściowych. Nie wiedziała, dlaczego z wszystkich domów na wsi wybrał akurat jej posesję, ale nie zamierzała bawić się w dobrą samarytanek i dokarmiać przybłądę. Liczyła na to, że skutecznie wystraszyła zwierzaka, dzięki czemu wreszcie się od niej odczepi.

Następnego dnia otworzyła bramę, by wyprowadzić swoje auto i rozejrzała się odruchowo dookoła. Nagle jej wzrok spoczął na psie, który leżał dokładnie tam, skąd go poprzedniego dnia przegoniła. Niewiele myśląc, Eliza nachyliła się i sięgnęła po kamyk. Cisnęła nim w uciekające zwierzę i uśmiechnęła się z satysfakcją, słysząc jego pisk. Trafiła! I bardzo dobrze. Może to go oduczy siedzenia pod jej ogrodzeniem.

Wojciechowska wsiadła do toyoty i wycofała auto na drogę. Zamknęła dokładnie bramę i furtkę, po czym ruszyła z piskiem opon. Kiedy wyjrzała przez boczną szybę, jej wzrok spotkał się ze spojrzeniem bezdomnego psa, którego przegoniła. Przez chwilę poczuła wyrzuty sumienia, ale na szczęście szybko je stłumiła. Tego jeszcze brakowało, żeby przygarnęła znajdę, którą wyrzucił jakiś frajer. Życie było brutalne. Przeżywali tylko najsilniejsi. Widocznie ten psiak się do nich nie zaliczał.

Szczęściarz nie rozumiał, dlaczego ładna pani najpierw uratowała go przed groźnym wilczurem, a potem przegoniła i uderzyła kamieniem. Jej cios sprawił, że bardzo bolała go tylna łapka. Piesek od kilku dni niczego nie jadł. Na szczęście spadł deszcz, dzięki czemu udało mu się chociaż ugasić pragnienie. Niestety, noce były coraz

chłodniejsze, a on nie miał się gdzie podziać. Czekał więc cierpliwie, aż zgasną wszystkie światła w domu ładnej pani, po czym wracał pod jej ogrodzenie. Zwijał się ostrożnie w kłębek i zasypiał, trzęsąc się z zimna i głodu. Na szczęście wilczur już mu nie dokuczał. Siedział zamknięty na swoim podwórku i tylko powarkiwał na niego zza bramy. Szczęściarz bardzo tęsknił za domem, za Amelką i jej rodzicami, za ciepłem i ulubionym koszykiem. Tak bardzo chciał, aby ktoś go nakarmił, pogłaskał, uśmiechnął się do niego. Oddałby wszystkie chrupki świata, żeby tylko znowu być ze swoim właścicielem. A może jego pan wrócił i szukał go gdzieś po lesie? Szczęściarz uniósł się nieco, niepewny, czy nie lepiej byłoby wrócić na drogę, gdzie ostatni raz widział samochód taty Amelki. Był jednak wycieńczony i obolały, więc natychmiast porzucił tę myśl. Zrozumiał, że jest nikomu niepotrzebny. Nikt za nim nie tęsknił, nie czekał na niego, nie martwił o to, czy ma co jeść i gdzie spać. Był samotny, zziębnięty i przeraźliwie głodny. Gdyby teraz zdechł, nikt by nawet po nim nie zapłakał.

Piesek zapiszczał cicho i zwinął się mocniej w kłębek. Kiedy zasypiał, po jego pyszczku toczyły się łzy. Wierne i szczere, psie łzy.

Eliza zaklęła pod nosem i zaciągnęła gwałtownie hamulec ręczny. Tego było już za wiele! Ten kundel naprawdę działał jej na nerwy. Znowu siedział pod jej ogrodzeniem. Widać uderzenie kamieniem niczego go nie nauczyło. Może jak dostanie jeszcze raz, to dotrze do niego, że nie jest tu mile widziany, a jej posesja to nie przytułek dla bezdomnych psów. Wojciechowska wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę zwierzęcia. Zamachnęła się na psa, który spojrzał na nią z przerażeniem i zaczął uciekać. Zauważyła, że jest bardzo słaby i nadal kuleje. Znowu poczuła ten dziwny ucisk w klatce piersiowej, ale szybko doprowadziła się do porządku. Pewnie, jeszcze tego brakowało, żeby wzruszyła się losem tej pokraki. Niech go inni przygarniają.

Wściekła, wsiadła z powrotem do samochodu i pojechała prosto do urzędu gminy. Zignorowała protesty zaskoczonej sekretarki i wparowała do gabinetu wójta. Warknęła, że nie życzy sobie, żeby pod jej domem przesiadywał jakiś brudny i zapchlony pies, a gmina ma zakichany obowiązek zająć się każdym bezdomnym kundlem i, do cholery, dostają na to stosowną pulę pieniędzy. Wójt popatrzył na nią ze źle skrywanym sarkazmem, po czym oznajmił ze stoickim spokojem, że gmina nie posiada już funduszy na odławianie bezpańskich psów. Korzystając z chwili, w której Elizę aż zatkało z oburzenia, dodał, że jeśli piesek tak jej przeszkadza, zawsze może go przygarnąć. Gmina będzie jej za to wdzięczna i może nawet kupi worek karmy na dobry początek.

Słyszac to, Wojciechowska wpadła w szał. Zaczęła wymyślać mężczyźnie, groziła, że pójdzie do prasy, że wezwie policję, że zrobi tu piekło, jakiego nie powstydziliby się Dante Alighieri. Wójt próbował ją uspokoić, ale Eliza spojrzała tylko na niego z wściekłością, po czym wybiegła z urzędu i wsiadła do swojego samochodu. Odpaliła silnik, który zawył żałośnie, i odjechała z piskiem opon spod budynku gminy.

Kiedy weszła do swojego salonu kosmetycznego, nadal była zdenerwowana. Justyna, widząc wyraz jej twarzy, pobladła i natychmiast pobiegła po kawę. Wojciechowska ryknęła za nią, że nie ma ochoty na pieprzoną kawę. Poszła przebrać się w uniform i usiadła na fotelu, czekając na pierwszą klientkę. Po kilku godzinach

zapomniała zupełnie o incydencie w urzędzie oraz wstrętnym psie. Kiedy po całym dniu pracy wyszła z salonu, spostrzegła ze zdziwieniem, że spadł pierwszy śnieg. Eliza szybko zrobiła zakupy i pojechała do domu. Czuła lekką ekscytację, ponieważ miała dzisiaj randkę z Andrzejem, trenerem personalnym, którego poznała w siłowni. Facet był nie tylko przystojny, ale i niegłupi. Stanowiło to miłą odmianę po jej ostatnim partnerze, Norbercie. Romans z nim był bez wątpienia porażką, jakich powinna na przyszłość unikać. Eliza mimowolnie wróciła myślami do Łukasza. Dlaczego nie potrafiła o nim zapomnieć, wyrzucić go z pamięci, tak jak wyrzuciła go ze swojego życia? Czemu w każdym kolejnym kochanku doszukiwała się podobieństw do niego? Byli ze sobą zaledwie kilka miesięcy, co i tak stanowiło wyjątek. Normalnie rozstawiała się z mężczyznami po kilku tygodniach, a nawet dniach. Z Łukaszem było inaczej. Poznali się w... myjni samochodowej. Zabrakło jej drobnych, a on akurat podjechał na stanowisko obok. Spytała go, czy mógłby rozmienić dziesięć złotych. Uśmiechnął się do niej i spełnił tę prośbę. Sama nie wiedziała, co najbardziej jej się w nim spodobało. Ten delikatny, jakby nieśmiały uśmiech czy piwne oczy, w których dostrzegła ciepło i serdeczność. W ramach podziękowania zaprosiła go na kawę, a on się zgodził. Ujął ją nie tylko swoją dobrocią, ale i manierami. Był szarmancki i dyskretny, a przy tym piekielnie inteligentny. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna tak jej nie zaimponował swoją wiedzą, nie zaciekał do tego stopnia. Z niecierpliwością czekała na kolejne spotkanie z Łukaszem i łapała się na tym, że ciągle o nim myśli. Parę razy urządziła mu karczemną awanturę tylko po to, by sprawdzić, jak zareaguje. Łukasz cierpliwie znosił jej wybuchy gniewu, co złościło ją jeszcze bardziej. Nie poznawała samej siebie. Wbrew sobie zaczęła się zakochiwać w tym niepozornym facecie. Dotychczas sądziła, że tak naprawdę łączy ich tylko seks okraszony przyjemnymi rozmowami przy winie. Tęskniła jednak za nim i nieustannie zerkała na telefon, oczekując wiadomości od Łukasza. Właśnie wtedy postanowiła to zakończyć. Bała się, by sprawy nie zaszły za daleko i uczucia nie wzięły góry nad rozsądkiem. Pewnego dnia oznajmiła mu po prostu, że to koniec. Nie zamierzała się tłumaczyć, nie czuła się winna. Zaczęła żyć jak wcześniej, wiązała się z kolejnymi mężczyznami, których szybko porzucała. Jednak jej myśli uparcie wracały do Łukasza, do tych kilku miesięcy, które z nim spędziła. Starła się bezskutecznie wyprzeć go ze swojej świadomości, zagłuszała wspomnienie o nim kolejnymi romansami i pracą.

Wojciechowska zatrzymała samochód pod bramą i oczywiście dostrzegła leżącego pod ogrodzeniem psa. Wsiadła z auta, żeby znowu go przegonić. Nagle kundel uniósł powoli głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Eliza zamarła w miejscu z uniesioną dłonią. Popatrzyła na trzęsącego się z zimna i głodu psa. Przysypany cienką warstwą śniegu leżał zwinięty w kłębek i oddychał z trudem. Wojciechowska poczuła, że wilgotnieją jej oczy. To trwało zaledwie kilka sekund. W końcu odzyskała rezon i tupnęła nogą, aby przepłoszyć psa. Nie krzyczała jednak ani nie rzuciła w niego żadnym przedmiotem. Patrzyła tylko, jak odchodzi powoli spod jej ogrodzenia, kiwając się na boki z wyczerpania.

Zaparkowała auto w garażu, następnie zamknęła dokładnie bramę i furtkę. Wzięła prysznic i zajęła się przygotowywaniem kolacji. Mimo że nie chciała, jej myśli uparcie

wracały do psa i tego momentu, gdy na nią spojrział. Eliza popatrzyła nagle na trzymany w dłoni kawałek mięsa. Zanim zastanowiła się, co robi, zarzuciła na siebie płaszcz i wyszła szybko z domu. Podeszła zdecydowanym krokiem do furtki i rzuciła ochłap w stronę psa, po czym odwróciła się na pięcie i weszła z powrotem do środka.



Kiedy Szczęściarz zobaczył, że ładna pani idzie do ogrodzenia, niosąc coś w dłoni, zerwał się odruchowo z miejsca i zaczął uciekać. Po chwili jednak zatrzymał się. Nie miał już siły na ucieczkę. Było mu wszystko jedno. Czuł tylko głód i wyczerpanie.

Bardzo się zdziwił, gdy spostrzegł, że to, co rzuciła mu ładna pani, nie było kamieniem, ale smacowym kawałkiem mięsa. Podeszedł niepewnie do ochłapu i powąchał go ostrożnie. Mięso było świeże i pachniało kusząco. Piesek nie zastanawiał się dłużej. Rzucił się na ochłap i połknął go niemal w całości. Kiedy uniósł głowę, kobieta już zniknęła.

Gdy Andrzej zapytał ją, czy pies leżący pod ogrodzeniem należy do niej, natychmiast zaprzeczyła. Zrobiło jej się głupio, więc dodała szybko, że to przybłęda, którego dokarmia. Zaczęła pomstować na urząd gminy, który wydawał pieniądze z podatków na głupoty, zamiast zająć się problemem bezpańskich psów. Kolacja upłynęła im w przyjemnej i romantycznej atmosferze. Andrzej sprawił, że szybko zapomniała o bezdomnym kundlu, a nawet o całym świecie...

Kiedy wychodził od niej o drugiej nad ranem, psiaka nie było już pod ogrodzeniem. Eliza ucieszyła się, że ten zapchlony przybłęda wreszcie sobie poszedł. Jednak rano zwierzak znowu siedział na swoim stałym miejscu. Gdy zobaczył Wojciechowską, zamachał do niej radośnie ogonem. Eliza zauważyła u psa wystające żebra. Sama nie wiedziała dlaczego, ale weszła do domu i przyniosła mu kawałek niedojejzonej pieczeni. Był tak słaby, że nawet przed nią nie uciekał. Patrzyła, jak psiak żuje powoli mięso, i poczuła gwałtowne pieczenie pod powiekami. Wstała szybko i skierowała się do samochodu. Przez cały dzień nie potrafiła się na niczym skupić. Jej myśli mimowolnie wędrowały do psa, do tego jak spojrział na nią tamtego dnia, gdy spadł śnieg. Oczyma wyobraźni widziała jego wystające kości, no i te przeraźliwie smutne oczy... Była zła na siebie, że zamiast zająć się pracą, cały czas rozmyśla o jakimś zawszonym kundlu.

Po powrocie do domu od razu skierowała wzrok na ogrodzenie. Kundel, widząc ją, z trudem uniósł się i zamachał niemrawo ogonem. Wojciechowska popatrzyła na niego krytycznie. Uznała, że psiak jest całkiem ładny, tylko strasznie zaniedbany i wynędzniały. Uśmiechnęła się do niego delikatnie, po czym szybko zamknęła furtkę i weszła do domu.

Od tej pory co rano i co wieczór dawała mu jeść i pić. Jednak nie pozwalała pieskowi się do siebie zbliżyć. Zwierzę cieszyło się na jej widok, ale ona pozostawała obojętna na jego wyrazy sympatii. Nie zamierzała go przecież przygarniać.

Pewnego dnia dostała SMS-a od Łukasza. Zdziwiła się, bo napisał, że ciągle o niej

myśli i chciałby się z nią spotkać. Wojciechowska nie rozumiała jego zachowania. Potraktowała go jak każdego innego mężczyznę, nawet wyrzuciła z domu, a mimo to nie odpuszczał. Odpisała mu, żeby dał jej spokój, bo jest z kimś związana. Było to oczywiście kłamstwo, gdyż jej przygoda z Andrzejem zakończyła się po kilku spotkaniach. Uznała, że trener personalny może i jest przystojny, błyskotliwy i dobry w łóżku, ale równocześnie egocentryczny. Kiedy po raz kolejny wysłuchała jego fascynującej opowieści o tym, jak zdobył główną nagrodę w plebiscycie na najlepiej ubranego trenera, uśmiechnęła się słodko, po czym oznajmiła, że nie ma już ochoty go widzieć. Andrzej zmył się jak niepyszny, a ona wreszcie odetchnęła z ulgą. Po wiadomości od Łukasza ponownie wróciła myślami do czasu, gdy z nim była.

Musiała przyznać, że ten facet miał w sobie coś szczególnego. Nie był przesadnie przystojny ani umięśniony, jednak coś zadecydowało o tym, że zwróciła na niego uwagę i zaprosiła go na kawę. Łukasz jak nikt znał się na literaturze, kinie i muzyce. Uzmysłowała sobie, że może słuchać godzinami jego melodyjnego głosu, że dobrze czuje się w jego towarzystwie. Nie próbował od razu zaciągnąć jej do łóżka. Właściwie to ona wykonała pierwszy krok. Jego nieśmiałość i grzeczność najpierw ją śmieszyły, ale z każdym kolejnym spotkaniem zaczynała to doceniać. Po raz pierwszy jakiś mężczyzna nie patrzył na nią jak na łatwy cel, ale jak na kobietę, którą należy szanować i wielbić. Zaimponowało jej to. Kiedy zerwała z nim, nie chciała myśleć o tym, co poczuł. Elza... Też coś! Może i była bez serca, ale nie zamierzała płakać po żadnym facecie, nawet po nim. Nie jej wina, że za dużo sobie wyobrażał. Niczego mu przecież nie obiecywała. Dlaczego więc teraz, gdy do niej napisał, jej serce niebezpiecznie zadrżało? Co się z nią, do licha, działo? Najpierw ten pies, a teraz Łukasz. Czyżby miała w sobie resztki empatii?

Szczęściarz po raz pierwszy od dawna uwierzył, że jest dla kogoś ważny. Ładna pani wprawdzie nie pozwalała mu nawet polizać swojej dłoni, ale codziennie go karmiła i przynosiła mu wodę. Mimo że zawsze patrzyła na niego srogim wzrokiem i pilnowała, by nie zbliżał się do niej, piesek i tak ją lubił. Nie cierpiał już głodu i pragnienia. Odzyskiwał powoli siły, jednak nieustanne przebywanie na dworze sprawiało, że bolały go wszystkie kości. Marzył niemiłosiernie, jednak nie uskarżał się na swój los. Było mu tylko smutno, że nie może wrócić do swojego domu, do Amelki i jej rodziców. Jego właściciele już go nie chcieli. Szczęściarz wiedział, że pan nie zapomniał o nim w lesie. Specjalnie wywiózł go tak daleko, by uniemożliwić mu powrót do domu. Piesek bardzo tęsknił za nimi, choć często go bili i krzyczeli na niego. Psiak znosiłby to wszystko dalej, byleby tylko mógł znowu zasnąć w swoim koszyku, albo nawet tej wielkiej budzie, byleby znowu mógł ich zobaczyć... Ładna pani była dla niego dobra, ale nie chciała go. A Szczęściarz tak bardzo marzył o tym, by ktoś go pogłaskał, przytulił i pozwolił mu na nowo uwierzyć w to, że na świecie są jeszcze dobrzy ludzie.

Nadeszła zima. Eliza nadal dokarmiała psiaka, jednak nie zamierzała zrobić dla niego niczego więcej. Uważała, że i tak wystarczająco się poświęca. Cały czas miała nadzieję, że ktoś przygarnie bezdomnego kundla albo ten sam gdzieś odejdzie. Niestety, co rano widziała go pod swoim ogrodzeniem. Nie chciała przyznać sama przed sobą, że

czuła się nieswojo, kiedy leżała przy kominku owinięta ciepłym kocym, podczas gdy psiak marzył na zewnątrz.

W dodatku te wiadomości od Łukasza! Kiedy napisał jej, że ją kocha, sama nie wiedziała, jak powinna zareagować. Z jednej strony te słowa ją rozbawiły, z drugiej jednak – zdumiały. Dlaczego nie chciał odpuścić, dlaczego pisał do niej, mimo że tak podle go potraktowała? Co sprawiło, że wciąż była dla niego ważna? Poczowała nagły przypływ radości. Pierwszy raz w życiu komuś na niej zależało, ktoś na nią czekał, myślał o niej. Równocześnie powróciła tęsknota za Łukaszem, jego ramionami, w których czuła się bezpieczna i kochana. Nie odpisała jednak na żadnego SMS-a. Ich historia była definitywnie zakończona. Eliza chciała być wolna. Wolna od zobowiązań, obietnic, uczuć i wyznań. Miłość według niej ograniczała, czyniła człowieka słabym i podatnym na zranienia. Ogłupiała i pozbawiała racjonalnego myślenia. Eliza nie mogła sobie na to pozwolić. Zawsze była sama i zamierzała wytrwać w swoim postanowieniu. Liczyła na to, że Łukasz w końcu się zniechęci i da jej spokój. Jednocześnie ta myśl napawała ją lękiem. Wstydziła się przyznać sama przed sobą, ale bardzo jej go brakowało. Był jedynym wartościowym mężczyzną, jakiego spotkała na swojej drodze, i równie wiernym jak ten bezdomny pies. Podobnie jak on, czekał na chociaż odrobinę czułości, najmniejszy gest, dobre słowo. Eliza nie zamierzała jednak dawać niepotrzebnej nadziei ani psu, ani mężczyźnie. Dopóki trwała w swoim mroźnym pancerzu, czuła się bezpiecznie i była pewna siebie. Choć spotykała się z różnymi mężczyznami, w jej sercu panował nieustanny chłód.

Zima stawała się coraz ostrzejsza, a temperatura na zewnątrz obniżyła się do prawie minus dziesięciu stopni Celsjusza. Szczęściarz próbował znaleźć sobie jakąś kryjówkę, gdzie mógłby przetrwać najgorsze mrozy, jednak ostatecznie i tak wracał pod ogrodzenie. Na szczęście ładna pani przynosiła mu ciepłe posiłki, dzięki czemu mógł się nieco rozgrzać i choć na chwilę zapomnieć o zimnie. Piesek z każdym dniem coraz bardziej się do niej przywiązywał, lecz kobieta nadal pozostawała obojętna. Szczęściarz wodził za nią smutnym wzrokiem, kiedy zamykała furtkę i wracała do swojego domu. Nie wiedział, czy ładna pani go lubi, czy nie. Tak bardzo chciałby wyrazić jakoś swoją wdzięczność i sympatię, ale kobieta zdawała się nie zauważać jego uczuć. Piesek widywał ją zaledwie dwa, trzy razy dziennie. Za każdym razem wstawał i machał do niej radośnie ogonem. Zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu podchodzić zbyt blisko do ładnej pani, żeby się nie zdenerwowała. Szybko pojął reguły, na jakich oparta była ich relacja. Respektował je, choć kompletnie nie rozumiał. Dlaczego wszyscy go odrzucali, traktowali jak powietrze? Co takiego złego nieustannie robił? Szczęściarz był gotowy nauczyć się każdej sztuczki, każdego polecenia, byleby tylko ktoś go pokochał. Jego psie serce wypełniał ból, a on sam z każdym dniem stawał się coraz bardziej transparentny. Brak miłości sprawiał, że piesek zniknął, zapadał się w otchłań cierpienia i obojętności. Tak niewiele potrzebował, by być naprawdę szczęśliwym. Niestety, nikt nie chciał podarować mu nawet tej odrobiny radości. Imię, jakie nadała mu Amelka, stało się jedynie pustym frazesem, ironicznym i groteskowym podsumowaniem jego nędznej, psiej egzystencji, na jaką skazali go ludzie, których tak bardzo kochał.

Eliza otworzyła drzwi i aż wzdrygnęła się, czując mroźny powiew na twarzy. Termometr wskazywał minus jedenaście stopni. Wojciechowska poprawiła szalik pod szyją i ruszyła wolno w stronę furtki. Przez głowę przemknęła jej myśl, że pies mógł zamarznąć. A wszystko przez to, że nie chciała go przygarnąć, dać mu jakiegoś kącika, gdzie schroniłby się przed zimmem. Podeszła powoli do ogrodzenia i stanęła jak wryta. Zwierzę leżało zwinięte w kłębek i nie ruszało się. Eliza poczuła, że do oczu napływają jej łzy. To ona doprowadziła do tego, że pies zamarznął. Po co robiła mu niepotrzebne nadzieje, skoro i tak nie zamierzała go przygarnąć? Teraz to nie miało już znaczenia.

Nagle krzyknęła cicho, widząc, że się poruszył. Spojrzał na nią swoimi mądrymi ślepiami, w których nieodmiennie czaiły się smutek i cierpienie. Pies wstał z trudem, ciężko oddychając i dygocąc z zimna.

Eliza odetchnęła z ulgą. Nie chciała się do tego przyznać, ale ucieszyło ją, że piesek żyje. By zagłuszyć wyrzuty sumienia, obiecała sobie, że w najbliższym czasie pomyśli o jakimś kącie dla tego niechcianego lokatora. Postawiła przed nim miskę z ciepłym posiłkiem i szybko odeszła. Zamierzała właśnie zamknąć furtkę, gdy nagle poślizgnęła się i upadła z impetem na oblodzony chodnik. Zanim dotknęła podłoża, usłyszała jeszcze nieprzyjemny, charakterystyczny dźwięk łamanej kości. Zawyla z bólu i chwyciła za nogę. Kątem oka dostrzegła, że telefon wyslizgnął się jej z kieszeni kurtki i sunąc po lodzie, zatrzymał kilkanaście metrów od niej.

Zakłęta pod nosem i spróbowała się poruszyć. Po milisekundzie wiedziała już, że po pierwsze to był kiepski pomysł, a po drugie, paskudnie złamała nogę. Ten fakt potwierdzała wystająca z łydki kość piszczelowa. Kobieta zauważyła powiększającą się kałużę krwi wokół swojej nogi, przez co omal nie zemdląła. Resztkami sił, płacząc z bólu, podczołgała się do furtki i oparła plecami o słupek. Spojrzała na telefon. Był za daleko, by mogła go dosięgnąć. Zerknęła na złamaną, spuchniętą i krwawiącą nogę, po czym rozplakała się jeszcze bardziej. Ból był tak silny, że zaczęła tracić przytomność. Nagle poczuła na swojej twarzy coś mokrego. Uniosła powoli powieki i zobaczyła przed sobą mordkę pieska. Zapiszczał żałośnie i ponownie polizał ją delikatnie po policzku, jakby próbował dodać jej otuchy, pokazać, że nie jest już sama. Eliza popatrzyła na niego zrezygnowana.

Nieoczekiwanie do głowy przyszła jej pewna myśl. Wskazała zwierzęciu telefon i zakomenderowała, aby go przyniósł. Psiak początkowo nie zrozumiał polecenia. Polizał ją po wyciągniętej dłoni i usiadł obok Elizy. Kobieta cierpliwie powtórzyła komendę i wykonała gest, jakby rzucała patyk. Nagle oboje usłyszeli dźwięk dzwoniącej komórki. Piesek nadstawił uszy, po czym podbiegł do smartfona i popatrzył na niego ciekawie. Przypomniał sobie, że jego pan też kazał mu przynosić czasami swój telefon. Zrozumiał wreszcie, że ładna pani prosi go o to samo. Psiak pochylił się i delikatnie złapał aparat między zęby. Ruszył powoli, ale nagle ten wypadł mu z pyska. Eliza jęknęła i spróbowała się poruszyć. Przeszywający ból w nodze udaremnił jej jednak jakiegokolwiek manewry. Kątem oka dostrzegła, że piesek ponownie sięga po telefon. Zacisnął nieco mocniej zęby na gumowej obudowie samsunga i krok po kroku zaczął iść w kierunku Wojciechowskiej. Kiedy zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki, Eliza chwyciła komórkę i przygarnęła psa

do siebie. Wtuliła się w jego skundloną, mokrą sierść i pogłaskała go czule. Podziękowała mu szeptem, natomiast piesek polizał ją po twarzy. Zadzwoiła szybko po karetkę, a potem do... Łukasza.

Gdy mężczyzna usłyszał, co się stało, powiedział, że zaraz u niej będzie. Nie czynił jej żadnych wymówek, nie ironizował, po prostu oznajmił, że już jedzie. Eliza odłożyła telefon i oparła się wygodniej o lodowaty słupek. Wyciągnęła dłoń, po czym przytuliła psa do siebie. Uświadomiła sobie, że wygląda teraz zupełnie jak on. Ranna, zziębnięta, głodna, bezradna i wycieńczona. Popatrzyła na zwierzę, które co chwila lizało ją pocieszająco po ręce, i ponownie się rozplakała. Płakała z bólu, ale również dlatego, że dopiero teraz rozumiała, jak okrutnym człowiekiem dotychczas była. Odrzucała każdą osobę usiłującą się z nią zaprzyjaźnić albo pokochać ją. Nie pozwoliła zbliżyć się do siebie tym, którzy teraz okazali jej najwięcej wsparcia. Bezdomny pies jako pierwszy przybiegł na pomoc, mimo że go uderzyła, odganiała i traktowała jak śmiecia. Siedział tu teraz obok niej i robił wszystko, by ulżyć jej w cierpieniu. Nie oczekiwał nic w zamian, po prostu zrobił to, co dyktowało mu jego wierne, psie serce. Podobnie Łukasz. Mógłby ją wyśmiać, rozłączyć się, tak jak ona czyniła to wiele razy, nawymyślać jej, tymczasem on nie odwrócił się od niej. Eliza czuła potworny wstyd i żal, że zmarnowała tyle czasu na bezwartościowe relacje i hedonistyczne uciechy. Samotność, którą wybrała, początkowo dawała jej mnóstwo satysfakcji, ale potem stała się więzieniem. Krótkie romanse, w jakie się wikała, były zaledwie namiastką szczęścia. Okłamywała się, że nikogo nie potrzebuje. Wszystko zmieniło się, kiedy spotkała Łukasza. To właśnie on pokazał jej, jak być szczęśliwym bez ranienia siebie i innych. Przy nim uspokoiła się i zaczęła częściej uśmiechać. A potem go porzuciła. Bała się tej nieznannej części swojej osobowości, emocji, nad którymi nie panowała, uczuć, które dawno pogrzebała na dnie swojej duszy. Nie potrafiła jednak zapomnieć o tym facecie o piwnych oczach, w które mogła wpatrywać się godzinami, o jego elektryzującym dotyku, o pięknym, niskim, uspokajającym głosie, o ciepłym uśmiechu, który sprawiał, że sama bezwiednie się uśmiechała. Leżąc zakrwawiona i cierpiąca na własnej posesji, przed swoim pięknym domem, za jedyne go towarzysza mając bezdomnego psiaka, który okazał jej więcej serca niż ona komukolwiek przez całe swoje życie, Eliza uzmysłowiła sobie, że kocha Łukasza. Im bardziej go odpychała, tym bardziej za nim tęskniła, bo jako jedyne zdołał przebić się przez pancierz jej obojętności i chłodu.

Wojciechowska płakała nieprzerwanie, gdy przyjechała karetka, a zaraz po niej Łukasz. Kiedy sanitariusze zabrali ją do ambulansu, Eliza nieśmiało przywołała do siebie mężczyznę. Wyszepiała mu do ucha, że go przeprasza i poprosiła, by zajął się psem. Właśnie tak, poprosiła, nie rozkazała, nie zażądała, jak to miała w zwyczaju. W niczym już nie przypominała władczej i niedostępnej bizneswoman, jaką była na co dzień. Bez makijażu, wyczerpana z bólu i przemarznięta, wyglądała jak krucha, biedna dziewczynka. Mężczyzna zapewnił, że zaopiekuje się zwierzęciem, a potem przyjedzie do niej, do szpitala. Eliza podziękowała mu jeszcze raz. Już się nie bała. Po raz pierwszy w życiu miała pewność, że nie jest zupełnie sama. Niemal dosłownie czuła, jak topnieje bryła lodu, która pokrywała jej serce. Niczym bajkowa Elza, chciała wykrzyknąć: „Mam tę moc”, by uwolnić euforię i szczęście, które ją wypełniły.



Szczęściarz nie mógł uwierzyć, że to wszystko, co go spotkało, zdarzyło się naprawdę. Pies obrócił się na bok i wtulił mocniej w mięciutki kocyk. Był najedzony, czysty, wyczesany, wypoczęty i było mu ciepło. Obok jego koszyka leżały zabawki i ulubiona kość do obgryzania. Nie pragnął niczego więcej. Jego nowy pan nieustannie go rozpieszczał i okazywał mnóstwo czułości. Szczęściarz starał się być grzeczny, ale czasami pokusa była silniejsza. Pan wybaczał mu porwany papier toaletowy, obgryzanie dywanu, nawet to, że potłukł kilka naczyń. Wystarczyło zrobić smutną minkę i zasłonić sobie łapką oczy, by jego właściciel natychmiast się rozpogodził i odpuścił mu jego przewinienia. Szczęściarz znalazł w końcu swój wymarzony dom i człowieka, który szczerze go pokochał. Spełniło się jego największe, psie marzenie.

Kiedy zobaczyła Łukasza w drzwiach szpitalnej sali, nie kryła swojej radości. Zachęciła go gestem, aby podszedł. Chciała powiedzieć mu tak wiele, jednak wzruszenie całkiem odebrało jej mowę. Zatopiona w myślach dopiero po chwili zorientowała się, że Łukasz również przygląda jej się bez słowa. W spojrzeniu mężczyzny nie zauważyła jednak ulgi ani radości, wręcz przeciwnie, jego wzrok był nieprzenikniony i obcy. Eliza wyciągnęła dłoń, ale on nieznacznie się odsunął. Wojciechowska popatrzyła na niego zaskoczona. Wtedy mężczyzna uniósł wzrok i zaczął mówić. Wyznał jej, że kiedy zaproponowała mu tamtą kawę, czuł się jak najszczęśliwszy facet na świecie. Nie mógł doczekać się kolejnego spotkania. Pamiętał każdy szczegół ich pierwszego pocałunku. To, jak poszli do łóżka. To, jaki był szczęśliwy, nawet wówczas, gdy zmieniała się w żołąć i wyraźnie robiła mu na złość. Budził się wcześniej tylko po to, by popatrzeć na nią, kiedy spała. Wydawała mu się wtedy taka krucha i delikatna, taka bezbronna. Każdy jej uśmiech, każdy czuły gest, jakim go obdarzała, były dla niego nagrodą, wyróżnieniem. Wybaczał jej wszystko. To, jak go traktowała, jak pisała SMS-y do innych mężczyzn w przekonaniu, że on tego nie widzi, jak kpiła z jego samochodu, jak wyładowywała na nim swoją frustrację. Znosił wszystko, bo wydawało mu się, że Eliza w końcu dostrzeże, że robi mu krzywdę swoim zachowaniem. Wierzył, że zdoła ją zmienić, bo jego miłość ociepli jej lodowate serce, a ona w końcu szczerze go pokocha. Kiedy powiedziała mu, że między nimi wszystko skończone, jego świat legł w gruzach. Każdego dnia łudził się, że Eliza zmieni zdanie. W chwilach totalnego załamania wysyłał jej miłosne SMS-y, w nadziei, że skruszy tym jej pancierz. Był zły na siebie, bo nie potrafił po prostu odpuścić. Próbował wmówić sobie, że już mu na niej nie zależy. Początkowo bezskutecznie, lecz gdy jego telefon milczał, w końcu zrozumiał, że Eliza potraktowała go jak kolejny cel do zdobycia i już dawno o nim zapomniała. Kiedy nagle zadzwoniła, nie wahał się jednak ani minuty. Był przy niej, bo go potrzebowała, współczuł jej, ale nic ponadto.

Spojrzał na nią po raz ostatni i skierował się do wyjścia, życząc jej szybkiego powrotu do zdrowia. Eliza wyciągnęła dłoń, jakby próbowała go zatrzymać, jednak nie

potrafiła wydobyć z siebie choćby jednego słowa. Chciała go przeprosić, wytłumaczyć się, zapewnić, że już nie jest taka jak dawniej. Tak wiele miała mu do powiedzenia...

EPILOG

Rok później

Łukasz zatrzymał się na leśnej polanie i usiadł na pniu ściętego drzewa, by nieco odpocząć. Spojrzał z uśmiechem na Szczęściarza beztriosko biegającego wokół niego. Wyrósł na pięknego i ciekawskiego psa, którego zawsze wszędzie było pełno. W niczym już nie przypominał wychudzonego i smutnego zwierzęcia, jakie Łukasz zabrał do swojego domu spod ogrodzenia Elizy. Było w nim tyle energii, że Łukasz zastanawiał się czasem, czy zwierzak nie ma psiej odmiany ADHD. Przywiązał się do Szczęściarza i nie wyobrażał już sobie życia bez niego. Początkowo rozważał, czy nie powinien zmienić tego imienia. Poprzedni właściciel nie zdjął psu obroży, na której ktoś niewprawnym pismem wykaligrafował jedno słowo: „SZCZĘŚCIARZ”. Biorąc pod uwagę, w jakim stanie pies do niego trafił, to imię brzmiało co najmniej ironicznie.

Łukasz wstał z pnia i odszukał wzrokiem pupila. Postanowił zejść z leśnej ścieżki na asfalt. Zagwizdał na Szczęściarza, który uganiał się na polanie za motylami. Gdy usłyszał wołanie właściciela, rzucił się pędem w jego stronę. Nie zatrzymał się jednak przy nim, ale wybiegł na drogę. Łukasz zawołał go, ale było już za późno. Samochód, który uderzył w psa, pojawił się właściwie znikąd. Prędkość, z jaką jechał, sprawiła, że zwierzę przeleciało kilkanaście metrów i upadło ciężko na jezdnię.

Łukasz zaczął biec w stronę Szczęściarza. Osunął się na kolana przy jego ciele i dotknął go delikatnie. Niewiele widział przez załzawione oczy. Nagle wydało mu się, że pies poruszył powieką. Po chwili to samo uczynił z lewą łapą. Prawą miał wygiętą pod dziwnym kątem, z rany na jego brzuchu sączyła się obficie krew. Łukasz usłyszał, że drzwi samochodu otwierają się. Uniósł głowę i nagle zamarł. Znał ten samochód i jego właścicielkę. Eliza również go rozpoznała. Zatrzymała się przy aucie, ale po chwili ruszyła w ich stronę. Przypadła do psa i zakryła usta dłonią, widząc jego obrażenia. Spojrzała z przerażeniem na Łukasza. Ten kazał jej cofnąć i rozłożyć koc na tylnym siedzeniu. Wojciechowska bez wahania spełniła jego polecenie. Usłyszała, jak wgnieciony zderzak szura po asfalcie, ale zignorowała to.

Łukasz uniósł ostrożnie Szczęściarza i ułożył go na kanapie. Psiak uchylił powieki i zamerdał niemrawo ogonem. Mężczyzna przełknął ciężko ślinę, z trudem powstrzymując płacz. Pogłaskał zwierzę i spojrzał na Elizę. Ta bez słowa usiadła po stronie pasażera.

Kiedy gnali do najbliższej lecznicy dla zwierząt, Łukasz nawet przez chwilę nie wierzył, że pies z tego wyjdzie. Po dojechaniu na miejsce Szczęściarz od razu trafił na stół operacyjny. Eliza i Łukasz wyszli na zewnątrz i usiedli na ławce. Nadal się do siebie nie odzywali. W końcu Wojciechowska wstała i poszła do samochodu. Po chwili wróciła z paczką papierosów i zapalniczką. Łukasz bez słowa sięgnął po jednego i zaciągnął się chciwie. Milczeli oboje, paląc swoje papierosy. W końcu Eliza odważyła się przerwać

krępującą ciszę. Powiedziała, że jechała za szybko, by w porę zahamować. Szczęściarz pojawił się nagle, nie dając jej najmniejszych szans. Wyciągnęła kolejnego papierosa, po czym wybuchnęła płaczem.

Łukasz popatrzył na nią i uzmysłowił sobie, że drugi raz w życiu widzi ją w takim stanie. Eliza wydała mu się jakaś inna. Nie miała w sobie dawnej drapieżności i wyniosłości, wydawała mu się teraz bezbronną i zwyczajną kobietą. Zmieniła nawet styl ubierania. Patrzył na kobietę z zaskoczeniem, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. W końcu przełknął ślinę i wyciągnął w jej kierunku rękę. Eliza wtuliła się w niego, uświadamiając sobie, jak bezpiecznie się kiedyś czuła w tych ramionach. Trwali tak dłuższą chwilę, pełni strachu o Szczęściarza i wynik operacji.

Cztery godziny później usłyszeli w końcu dźwięk otwieranych drzwi, a po chwili na zewnątrz wyszedł zmęczony weterynarz w poplamionym krwią fartuchu. Kiedy oznajmił im, że pies przeżył, Eliza i Łukasz spojrzeli na niego jak na wariata. Widzieli przecież, w jakim stanie trafiło tu zwierzę. Weterynarz uśmiechnął się i powiedział, że rzeczywiście pierwszy raz spotkał się z takim przypadkiem. Choć siła uderzenia była ogromna, spowodowała jedynie oczopląs, doszło także do złamania przedniej łapy, kilku żeber i kości udowej. Pies miał też niewielki wylew wewnętrzny, ale udało się go w porę zatamować.

Eliza i Łukasz ponownie padli sobie w objęcia. Zaczęli płakać i śmiać się na przemian. W końcu odsunęli się od siebie zawstydzeni. Eliza uparła się, że zapłaci za operację, na co Łukasz się nie zgodził. Zaczęli się sprzeczać, aż w końcu umilkli, słysząc wymowne chrząknięcie weterynarza. Mężczyzna spojrział na nich pobłaźliwie i zaproponował, żeby zapłacili po połowie. Gdy zapytał ich, czy są parą, oboje równocześnie zaprzeczyli, po czym popatrzyli na siebie i parsknęli śmiechem.

Weterynarz wpisał dane Łukasza do komputera, po czym spytał, jak wabi się pies. Słyszac odpowiedź, uśmiechnął się pod nosem. Szczęściarz. No tak, to wiele wyjaśniało.

Ucieczki Lorda Jima

Joanna Gawrych-Skrzypczak

Skwer

Starsza, przygarbiona kobieta siedzi na zielonej ławeczce. Powoli odwraca twarz do słońca. Dookoła hałaśliwie toczy się życie wielkiego miasta – ludzie się spieszą, samochody trąbią, świat pędzi naprzód, lecz tutaj, na niewielkim skwerze, panuje spokój. Kilku nastolatków okupuje murek otaczający fontannę. Choć to raczej niepodobne do młodzieży w tym wieku, zachowują się cicho, przyklejeni do smartfonów. Czasami tylko któryś z nich wykrzyknie:

– Widziałeś? Dobrze, co nie?

– Aha – odpowie inny i nie podejmie rozmowy.

Starsza pani sprawia wrażenie, jakby przyglądała się im uważnie, ale tak naprawdę jej wzrok jest zupełnie nieobecny. Kobieta wspomina inną rzeczywistość, przygląda się obrazom zachowanym pod powiekami. W pewnym momencie wypowiada kilka słów. Chłopcy przy fontannie, zdziwieni, na chwilę podnoszą głowy znad telefonów. Starają się zrozumieć słowa staruszki. A brzmią one mniej więcej tak:

– W tym miejscu stała kanapa...

Obrazek I

Trzeba się podkraść cichutko, cichuteńko. Rzut oka przez szparę w drzwiach do kuchni: siedzi przy dużym kafłowym piecu i struga ziemniaki, jak zwykle. Kucharka Julcia, okrągła i rumiana, pachnąca rosółem. Nie jest najważniejszą osobą w domu, ale daje jeść – codziennie, w tym samym miejscu, koło ciepłego pieca. Najsmaczniejsze są kacze podroby z kaszą i jarzynami. Mniem!

Ale dość mlaskania, bo jeszcze Julcia usłyszy i nici z zabawy. Siedzi tyłem do drzwi. To dobrze. Ma na sobie fartuch, jego kieszenie na obfitych biodrach rozwierają się niczym paszcze. Zdobycz wystaje z tej po prawej. Kroczek za kroczeniem, pomalutku, blisko, bliżej i cap! Jest! Miękka, biała chusteczka z różową mereżką, którą się tak wspaniale pruje! A teraz chodu! Szybko, szybko, na kanapę! Ułożyć się u nóg pani i zrobić niewinną minkę. To zawsze działa.



Lord Jim biegł przez pokoje olbrzymiego mieszkania, przebijając chudymi łapkami tak szybko, jak się dało. Przy pomocy ostrych pazurków zahamował w miejscu, w którym korytarz skręcał w stronę buduaru starszej Pani L. Wiedział, że znajdzie Panią L. w środku – przed obiadem zwykle czytała na ulubionej czerwonej, aksamitnej, zdobionej złotymi pasami kanapie.

Państwo L. zajmowali piękne mieszkanie na pierwszym piętrze śródmiejskiej paradnej kamienicy w stołecznym mieście. Sześć pokoi, z czego trzy w amfiladzie od ulicy, gabinet, nowoczesna łazienka z ostatnim krzykiem mody, urządzeniem do hydroterapii, kuchnia, służbówka – na to wszystko pozwalały dobrze prosperujące interesy Pana L. w przemyśle naftowym.

Poza Państwem L. mieszkanie należało do Lorda Jima, rasowego pinczera o imieniu znacznie większym niż jego postura. Był już drugim Lordem Jimem w tym domu – poprzedni skończył tragicznie, spadając z balkonu, na którym usiłował upolować tłustego gołębia. Po Lorda Jima numer dwa, zwanego też pieszczotliwie Jimusiem albo Musiem, wyruszyła wówczas cała wyprawa z Panią L. na czele. Mimo niespokojnego czasu i pogłosek o nadchodzącej wojnie Pani L. udała się do renomowanej hodowli baronostwa Z., prowadzonej od ponad pięćdziesięciu lat w bogatym podberlińskim majątku. Zdaniem Pani L. tylko pinczery baronostwa były wartościowymi przedstawicielami swojej rasy i w wieku – jak lubiła mówić – dojrzałym nie zamierzała zmieniać poglądów, nawet gdyby cały świat nagle zwariował. Mało było rzeczy, które Panią L. mogły przestraszyć. Lub wpłynąć na jej zdanie. A tak naprawdę, to nic nie doprowadzało do zmiany raz podjętej przez nią decyzji.

Panienka Lala, piękna, jasnowłosa córka Pani L., wybuchnęła śmiechem, gdy z otwartego okna spostrzegła powracających z wyprawy. Na czele kroczyła Pani L., otulona w pelisę z wielkim kołnierzem ze srebrnego lisa, za nią dreptała służąca Magda z walizkami w obu dłoniach, a na końcu maszerował kierowca Antoni, dumnie trzymając w wyciągniętych przed siebie rękach mały koszyczek. W koszyczku popiskiwało stworzonko z łapkami jak zapalki, okrągłą główką i nieco wylupiastymi oczami: Lord Jim Drugi.

Kiedy już szczeniak opuścił koszyk ustawiony na środku salonu, zabrał się za obwąchiwanie wszystkich kątów. Domownicy przyglądali mu się z zaciekawieniem. W tej wiekopomnej chwili w salonie zgromadzili się i państwo, i służba, co Musia najwyraźniej nie zbiło z tropu – po paru sekundach nerwowego poruszania zadartym, czarnym noskiem z wdziękiem podniósł łapę i oznaczył teren, a konkretnie – zdobną nóżkę ludwikowskiego fotela. Wyczyn ów skwitowały skrywane chichoty służby, „A fe, Musiu, nieładnie” wypowiedziane z naganą przez Panią L., „Hm, tego ten” Pana L. i perlisty śmiech panienki Lali. To właśnie do niej, merdając zamasyście ogonkiem, podszedł Lord Jim. Lala wzięła pieska na ręce, przytuliła do policzka – i stało się. W tej jednej chwili Musio pokochał dziewczynę całym swoim tycim sercem.

Owszem, uznawał, że jego właścicielką jest Pani L. – przyjmował od niej łaskawie wszystkie podsuwane mu łakocie, rezydował na kanapie u jej stóp i dawał się nosić na rękach, bywając w ten sposób w najlepszych salonach. Ale to Lalę kochał. Jej ojca, Pana L., z wyniosłą miną omijał szerokim łukiem, tym bardziej, że ów rzadko bywał w domu. Jako wysokiej rangi oficer rezerwy całe dnie spędzał na tajemniczych sztabowych spotkaniach, które miały przygotować kraj do wojny. Jednej osoby jednak Musio nie znosił serdecznie: Jerzego, przystojnego adoratora Lali.

Jerzy był miły, miał nienaganne maniery, studiował medycynę i kochał się w Lali od dziecka. Ich rodziny od lat spędzały letnie wakacje w uzdrowisku w Truskawcu, dokąd wożono Lalę, by leczyć jej chroniczne przeziębienia dzięki stosowaniu tamtejszej słynnej wody Naftusi. Jerzy, chłopak o melancholijnym, romantycznym usposobieniu, z trudem dotrzymywał kroku żywej jak iskra dziewczynie. Studiował medycynę zgodnie z życzeniem apodyktycznej matki, ale skrycie wołał pisać wiersze. Lala czasem śmiała się z Jurka, ale przywykła do jego milczącej obecności.

Nigdy jednak nie polubił jego towarzystwa Lord Jim. Gdy tylko Jerzy pojawiał się na horyzoncie, Musio groźnie szczyrzył małe ostre ząbki i cicho powarkiwał, rywalizując o względy i uwagę Lali.

Jesienią trzydziestego ósmego utalentowana Lala rozpoczęła studia na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Zaplanowano, że za rok wyjedzie na praktyki do którejś ze znanych pracowni w Paryżu. Jurek modlił się, żeby stało się coś, co uczyniłoby ten wyjazd niemożliwym. Musio, gdyby mógł poznać myśli rywala, z pewnością podzieliłby jego pobożne życzenia. Tymczasem Lala całe dnie spędzała na uczelni. Wracała stamtąd późnymi popołudniami, przesiąknięta zapachami werniksów, terpentyn i farb, więc Lord Jim, obwąchując ją z czułością, kichał dramatycznie i z rozmachem, niemal rozbijając sobie szczękę o posadzkę hallu. Nic jednak, nawet Jerzy i kichanie, nie było mu w stanie odebrać radości z przebywania w pobliżu Lali.

– Musiu! Jesteś lepszy od gumy arabskiej! Odkleić się ciebie nie da! – żartowała Lala śpiewnym głosem. Z wielkim zaangażowaniem tłumaczyła psu, że ma siedzieć grzecznie na dziwnej konstrukcji ustawionej pośrodku salonu. Lala zmontowała ją po to, by namalować Lorda Jima w towarzystwie ogromnej głowy dzika, którą przytaszczyła z gabinetu ojca. Wszystkie swoje myśliwskie trofea Pan L. musiał trzymać właśnie w gabinecie, ponieważ Pani L. uważała, że obwieszanie domu szczątkami martwych zwierząt jest w wyjątkowo złym guście.

Musio nie bardzo rozumiał, dlaczego ma siedzieć koło śmierdzącej głowy ubitego zwierzaka, w dodatku absolutnie przerażająco szczyrzyjącej kły. Siedział jednak posłusznie, od czasu do czasu powarkując w stronę potwora, by ten przypadkiem nie zechciał ożyć. Dla Lali wszystko.

Latem następnego roku coś się zmieniło. Pani L. zarządziła, że tym razem nie jedzie się do Truskawca, najwyżej na parę tygodni do nieodległego Milanówka – tak, aby w każdej chwili można było szybko wrócić. Plany wakacyjne nieoczekiwanie stały się przedmiotem ożywionej dyskusji między Panią L. i jej na ogół spokojnym mężem. Pan L. twierdził, że żona powinna wynająć willę gdzieś na Riwierze, zabrać całą rodzinę i wyjechać czym prędzej, bo wojna wisi na włosku.

– A wiem, co mówię, tego ten! – podkreślał, znacząco wyciągając palec w górę, jakby miał kontakt z Opatrznością.

– Nie wierzę w żadną wojnę! – unosiła się Pani L. – Ludzie jeszcze tak nie oszaleli! Wy, mężczyźni, zawsze widzicie świat w czarnych barwach! Nigdzie nie wyjadę i nie zostawię ani ciebie, ani domu!

Stanęło więc na kompromisowej wyprawie do Milanówka, która i tak nie potrwała tyle, ile zaplanowano. W połowie sierpnia bagaże znowu spakowano i rodzina wróciła do Warszawy. A wówczas zawsze pogodna Lala wpadła w rozpacz: zmobilizowano Jerzego! Melancholijny student medycyny i poeta był też świetnym jeźdźcem. W ułańskim mundurze wyglądał poważnie, męsko, jednak zdaniem Lali – przerażająco smutno.

– Mamo, Jurek na wojnie?! Jak on da sobie radę, z tym delikatnym usposobieniem? Przecież jest artystą! – Załamywała ręce.

Lord Jim niewiele z tego rozumiał. Nie miał pojęcia, dlaczego ludzie nagle zaczęli zachowywać się inaczej niż zwykle. Przesuwali meble, pakowali walizki, coś wynosili, a potem przynosili, zaklejali okna papierem, wychodzili o innych porach niż zwykle, odwiedzali się nieoczekiwanie.

Na Lorda Jima nikt nie zwracał uwagi. Pałętał się po pokojach, przeganiany z kąta w kąt. Spacerzy z Julcią wcale nie były zabawne, ot, przejść się na skwerek, obwąchać parę krzaczków i wrócić. Już nie mógł podkraść kucharce chusteczek, już nie miał z kim się wylegiwać na kanapie. Pani L. zaniechała życia towarzyskiego. Z trwogą, bez wiary czytała w prasie o optymistycznych zapewnieniach generałów i ministrów. Wiedziała lepiej: trzeba było gromadzić zapasy, planować wydatki, uwolnić Julcię od nadmiaru obowiązków. Lala całe dni spędzała z Jurkiem, a kiedy wyjechał do pułku, postanowiła go odwiedzić, mimo kategorycznego sprzeciwu matki. Lord Jim wpadł w rozpacz.

Nie wiadomo, kto zapomniał zamknąć kuchenne drzwi. Śledztwo prowadzone później przez Panią L. niczego nie wyjaśniło. W każdym razie Musio, gdy tylko zobaczył szparę w drzwiach, wetknął w nią pyszczek. Rozejrzał się, nastawił uszy, powęszył chwilę. Zapachy były obce, nieznanne – dotąd Lord Jim, prawdziwy psi dandys, nie odwiedzał kuchennych schodów i raczej nie był skłonny do ryzykownych peregrynacji. Teraz jednak zaświtała mu w małej główce myśl, że może gdzieś niedaleko znajdzie Lalę. Zbiegł po schodach. Nic, żadnego śladu zostawionego przez ukochaną. Ulica taka sama jak zawsze, tylko atmosfera bardziej nerwowa. Stróż Jacenty, który zwykle miał dla Musia kawałek herbatnika w kieszeni, tym razem zamiast machać miotłą, zawzięcie dyskutował z listonoszem. Ludzie szybko maszerowali chodnikami, samochody na jezdni dokądś pędziły, ale Lali nigdzie nie było.

Poszukiwania przedsięwzięte przez Musia zaczęły zataczać coraz szersze kręgi. Najpierw pobiegł na skwerek, gdzie zwykle spacerował z Julcią. Potem dalej i dalej, jedna ulica, druga, zakręt w lewo, zakręt w prawo, umknąć przed dzwoniącym tramwajem, zejść z oczu groźnemu buldogowi, ominąć policjanta na skrzyżowaniu. Wreszcie Musio zatrzymał się, dysząc z wywieszonym językiem. Sytuacja nie wyglądała dobrze. Nie znalazł Lali, za to zgubił dom. Podreptał chwilę w miejscu, obwąchał bruk, popatrzył w górę na przechodniów.

– Co ty, piesuniu, zgubiłeś się? – życzliwie zagadała do niego młoda kobieta w

czerwonej sukience. Wyciągnęła rękę.

Lord Jim grzecznie merdnął ogonem, cofnął się jednak i zawrócił. Właśnie przypomniał sobie, że jest psem i jego własne ślady powinny wskazać mu drogę do domu. To zajęło znacznie więcej czasu niż bezładna gonitwa w poszukiwaniu Lali, ale wieczorem, na bolących łapkach, Musio dotarł do bramy domu, w której nerwowo podskakiwała Julcia i piskliwym głosem nawoływała:

– Musioooooo! Musioooooo!

Lord Jim podszedł do niej z miną bywałego obieżyświata, dał się wziąć na ręce i zanieść na górę, prosto w objęcia Pani L. Wycalowany, wyściskany, setki razy napomniany, mógł wreszcie pójść do kuchni i zjeść ogromną micę podrobów. Zasypiał z uczuciem, że przygoda była ekscytująca i należy ją powtórzyć przy najbliższej sposobności.

Tego wieczoru był w domu jedynym stworzeniem pozytywnie nastawionym do świata. Kiedy Musio smacznie spał, wtulony w kraciasty miękki kocyk, mężczyźni wybierali się na wojnę. Poszedł kierowca Antoni, poszedł ślusarz Józef, ukochany kucharki Julci, wkrótce poszedł poeta Jerzy i poszedł też Pan L. – w pięknie szamerowanym pułkownikowskim mundurze. Żegnani łzami, błogosławieństwami i znakami krzyża.



Biegnę. Pędzę. Skok, zakręt, potem przed siebie. Jestem wielki i dzielny, nikt mnie nie dogoni! Znajdę Lalę i razem będziemy szczęśliwi jak zawsze! Ale co tak wyje przeraźliwie? Jaki huk! Co się dzieje?! Lepiej zawrócę, Lala pewnie już jest w domu. Znowu huk, huk, huk! Może to dlatego, że uciekłem? Dokąd biegną ci wszyscy ludzie? Dlaczego goni nas okropny, wielki ptak?

Obrazek II

Dzisiaj będę grzeczny. Naprawdę. Ani razu nie warknę na wstrętne owczarka, który siedzi przy pasiastej budzie. I nie warknę na jego pana w wielkich, podkutych buciorach. Te buciory są okropne. Noszą je wszyscy ludzie, którzy spacerują po ulicach w szarozielonych mundurach. Robią mnóstwo hałasu. Jeden z szarozielonych mężczyzn kiedyś na mnie tupnął. Obszeczkałem jego psa, no i mężczyzna tupnął, ale prawie wcale się nie przestraszyłem.

Dzisiaj jednak będę grzeczny, u pani na rękach nie może być inaczej. A kiedy wrócimy do domu, podkradnę się pod drzwi gabinetu. Pewnie znowu będą tam siedzieć – Lala, Jerzy i ich hałaśliwi koledzy. Nie wiem, o czym rozmawiają. Wychodzą potem pojedynczo, jakby nie mogli wszyscy razem, a ja muszę czekać. Lala prosi, żebym był cicho i nie szczeakał, dostaję w nagrodę kostkę cukru. Czekam. Nawet warto.



Kiedyś nikt by nie przypuszczał, że wygodne i obszerne mieszkanie Państwa L. stanie się niemal ciasne. Powierzchnia pozostawała ta sama, ale wojna przygnała w ich progi licznych gości. Także nieproszonych.

Dwa najładniejsze pokoje od frontu zajął oficer Abwehry w stopniu majora, o którym pozostali lokatorzy nigdy nie mówili inaczej niż „Niemiec”. Niemiec, na początku traktujący wszystkich z chłodną pogardą, znacząco zmienił swoje nastawienie po poznaniu Lorda Jima. Okazało się, że w domu, gdzieś daleko pod francuską granicą, zostawił podobnego pinczera, suczkę o wdzięcznym imieniu Dolly. Opowiedział o niej Pani L. ze łzami w oczach. Gdy na dodatek okazało się, że Lord Jim urodził się w słynnej hodowli baronostwa Z., w zachowaniu Niemca pojawiło się nawet coś w rodzaju szacunku. Próbował kilka razy skaptować psa takimi smakołykami jak na przykład szynka – ale bez skutku. Tylko raz Lord Jim skusił się na te niespotykane od wybuchu wojny frykasy. Lala stwierdziła wtedy, że nie będzie przytulać wstrętnego psa kolaboranta, więc Musio postanowił zadowalać się wyłącznie kaszą. Drobiowe podroby, które kiedyś uwielbiał, zniknęły z jego jadłospisu wraz z niepodległością, a przysmaków od wroga przyjmować nie wypadało.

Jeden z pokoi zajęła na początku wojny daleka krewna Pani L. – stara panna o imieniu Wanda, która uciekła ze Lwowa przed Sowiecami. Ślepa jak kret, nie grzeszyła urodą, była namiętną palaczką i w całym mieszkaniu tłukła szklane lufki do papierosów. W dawnym gabinecie zainstalowali się wygnańcy z Poznania, inżynierostwo S. z dwójką małych dzieci. Musio serdecznie ich nie znosił, bo gdy nikt nie widział, dzieciaki miały zwyczaj ciągnąć go za uszy i ogon. Najmniejszy pokój od podwórza wynajmowała Jadzia, smutna czterdziestolatka, wojenna wdowa.

„Prawie kołchoz” – mawiała o tym niedopasowanym zgromadzeniu Pani L., choć nikt nie był pewny, skąd wiedziała, jak wygląda sowiecka gospodarka kolektywna. Niemniej to właśnie ona utrzymywała cały ten rozgardiasz w ryzach. A musiała radzić sobie sama – krótko po ustaniu działań wojennych dowiedziała się, że Pan L. został wzięty do niewoli i uwięziony w oflagu w Murnau, w odległej Bawarii.

Wszyscy gdzieś pracowali, rzeczywiście albo tylko dla *ausweisu*, który chronił przed wywózką na roboty do Niemiec. Lala zatrudniła się w firmie produkującej święte obrazki, ciesząc się dużą popularnością w tych ciężkich czasach. Jerzy, który wrócił z frontu bez dwóch palców u lewej dłoni, pracował w firmie przewozowej założonej przez Antoniego, dawnego kierowcę Państwa L. Pieniądze nie miały już żadnej wartości, trzeba było wyprzedawać biżuterię.

Zgromadzenia, których tak nie lubił Lord Jim, były tajnymi kompletami, w czasie których Jerzy nadal zgłębiał tajniki medycyny, a Lala studiowała sztukę. Na takie spotkania mieli zgodę Pani L. Mogły się odbywać tylko w czasie, gdy Niemca nie było w domu – na szczęście dzięki precyzji, z jaką układał plan dnia, ukrycie przed nim tajnych

kompletów nie było trudne. Pani L. nie wiedziała jednak, że podczas spotkań nauka często przekształca się w zajęcia podchorążówki, że Lala jest łączniczką, a Jerzy dowódcą jednego z oddziałów konspiracyjnej siatki. Pewnego letniego dnia potajemna działalność Lali i Jurka o mały włos nie skończyła się tragicznie. A Lord Jim nieomal nie przypłacił całej sytuacji życiem.

Wszystko zaczęło się od tego, że nie sposób omawiać działanie broni bez broni. W wyznaczonym dniu miały się więc odbyć zajęcia praktyczne.

– *Si vis pacem, para bellum* – powiedział Jerzy, kładąc na stole pistolet z długą lufą.

Zgromadzeni wokół stołu chłopcy, podnieceni widokiem broni, wybuchnęli gromkim śmiechem, rozpoznając popularną parabelkę. Jerzy uciszył ich gestem dłoni, a do parabelki dołożył jeszcze visa i walthera.

Lala przyglądała się Jerzemu spod rzęs. W wysokim, stanowczym mężczyźnie z trudem rozpoznawała tamtego subtelnego, cichego chłopca, który kiedyś był towarzyszem jej dziecięcych zabaw. Z jednej strony Lala żałowała, że Jurek nie pisze już wierszy, z drugiej jednak podziwiała i coraz mocniej kochała tego dzisiejszego, twardego i nieustępliwego Jerzego, a teraz żołnierza podziemia, porucznika Jura.

– Lama, skup się, nie będziemy tego powtarzać – poprosił Jerzy, wyrywając dziewczynę z zamyślenia. Nazwał ją pseudonimem, który narodził się jeszcze zanim Lala została zaprzysiężona. Jerzy przedstawiał ją wtedy jednemu z przełożonych. Ten, wskutek wybuchu granatu pozbawiony słuchu w jednym z uszu, spytał:

– Jak? Lama?

Zgromadzeni wokół koledzy zwijali się ze śmiechu i, choć Lala stanowczo protestowała, już na zawsze została konspiracyjną Lamą.

Po zakończeniu spotkania Lala obserwowała, jak Jerzy zbiera się do wyjścia.

– Uważaj na siebie – poprosiła cichym głosem. – Julcia mówiła, że dziś strasznie łapią na mieście. Zaniosę broń, gdzie trzeba, mnie łatwiej będzie przejść. Zgódź się, proszę – przekonywała.

Jerzy niechętnie przystał na jej propozycję. Lala, nie marnując czasu, zapakowała pistolety do słomianego koszyka. Gwizdnęła na psa, który przybiegł natychmiast, zachwycony perspektywą spaceru z ukochaną panią.

– Chodź, Musiu, będziesz moją obstawą – powiedziała, przypinając smycz do białej, lakierowanej obróżki Lorda Jima.

Już po chwili Musio dumnie kroczył obok pięknej dziewczyny. Lala, ubrana w zgrabną kwiecistą sukienkę, jak zawsze przyciągała spojrzenia przechodniów. Szła swobodnie, na pozór pewna siebie – ot, panienka na spacerze z psem. Kiedy po półgodzinie skręcili w jedną z ulic, Lala spostrzegła, że kilkadziesiąt metrów dalej żandarmi sprawdzają papiery i bagaże przechodniów. Było już za późno, żeby zawrócić, podniosła więc wysoko głowę i ruszyła w stronę patrolu. Przechodząc obok żandarmów, uśmiechnęła się czarująco. Ten, który stał bliżej, oddał uśmiech i machnął ręką, nakazując jej iść dalej. Starając się zachować spokój, Lala pokonała kilkadziesiąt metrów. Nagle usłyszała głośnie:

– *Halt!*

Szła dalej, zdrętwiała z przerażenia. Nie oglądała się za siebie.

– *Halt! Fräulein mit Hund!* – wrzask brzmiał jak wyrok.

Lala zwolniła, rozglądając się wokół. Musio popatrzył na nią zdziwiony. Czuł, że dzieje się coś złego. Dziewczyna dostrzegła otwartą bramę po lewej stronie. Nie namyślając się, krzyknęła:

– Musiu, uciekaj! Do domu! – Puściła smycz i wskoczyła do bramy, zatrzaszkując ciężkie drzwi za sobą.

Musio stanął jak wryty. Nastawił uszu i podbiegł do bramy, popiskując. W tej samej chwili usłyszał krzyki żandarmów i tupot podkutych butów. Wspiął się na bramę, drapnął kilka razy, a kiedy nie ustąpiła, rzucił się do ucieczki. Usłyszał gwizdy pocisków. Pędził, ile tylko miał sił w łapkach. Świst wokół nie ustawał.

W pewnej chwili Musio poczuł piekący ból.

Zaskowyczał, podskoczył, lecz nie ustawał w szalonej ucieczce. Wiedział, że coś stało się z jego ogonkiem. Czuł słodki zapach krwi. Już go znał. Tak pachniał stróż Jacenty, kiedy leżał przed bramą, a straszne, metalowe ptaki zasłoniły niebo. Tak pachniał młody chłopak upadający z rozrzuconymi rękami na bruk. Seria z pistoletów maszynowych ścieła nieszczęśnika, gdy próbował wyrwać się z łapanki. Musio siedział wtedy na rękach Pani L. Kobieta nie wystraszyła się wrzasku żandarmów, którzy właśnie zagradzali ulicę. Podeszła do dowodzącego oficera i płynną niemczyzną zakomunikowała, że skandalem jest zatrzymywanie jej w momencie, gdy udaje się na pilne zakupy ze służącą – tu wskazała na kuzynkę Wandę. „Poza tym proszę nie straszyć pieska – dodała. – Bo Gräfin Z. bardzo by się zmartwiła, gdyby coś mu się stało”. Oficera zamurowało. Uprzejmie przeprosił, po czym kazał natychmiast przepuścić Panią L. Martwy chłopak został na ulicy w kałuży krwi.

Zapach rany drażnił, ból przeszkadzał, ale Musio gnał niemal bez tchu. Nie wiedział, że kula oderwała pokaźny kawałek ogona, nie wiedział, że obficie krwawi. Zostawiał za sobą czerwony ślad. Przechodnie ustępowali z drogi temu dziwacznemu, pokiereszowanemu stworzeniu, a on pędził, pędził, pędził przed siebie, pewien, że Lala będzie w domu.

I była. Na szczęście była. Uciekając, schowała się w piwnicy – dzięki temu przetrwała pogoń. Ledwo żywa wróciła do domu tuż przed godziną policyjną. Musio przywitał ją wylewnie, bardzo niezadowolony tylko z tego, że nie może odpowiednio mocno machać ogonkiem.

Od czasu tej historii już zawsze Lalę i Musia dręczyły złe, męczące sny.



Biegnę, pędzę, nie dam się. Gonią mnie huki i wielkie ptaki, ale im też ucieknę. Potworny owczarek szczyrzy zęby. Wielki, kudłaty i głupi. Nie wie, że mogę mu uciec, że biegam, jakbym frunął. Zawsze mi się udaje!

Obrazek III

Zabierz rękę! Zabieraj! Bo ugryzę!

Nie mogę schować się głębiej, dziura jest za mała. Nie mam wyjścia. Gryzę! Raz, drugi, trzeci. Nie będę twoim obiadem, wstrętny człowieku! Zabieraj brudne łapska! Krwawisz? Dobrze ci tak. Nie zjesz mnie, jestem przecież już taki chudy. Same kości, nie ma co jeść.

Poszedł. Obaj poszli. Na szczęście. Chyba ugryzienie zabolowało, bo wrzeszczał i trzymał się za rękę. Gryźć jeszcze potrafię. Poczekam chwilkę i wyjdę, muszę biec do domu, jakoś się przemknę, chociaż ze wszystkich stron słychać huki. Wejdę do domu przez wielką dziurę w ścianie, a potem przejdę między tymi wszystkimi ludźmi, którzy pachną krwią. Może Julcia da mi coś do zjedzenia?

Jestem już przecież taki chudy...



Kamienica przetrwała pierwsze trzy tygodnie powstania. Mieli prąd i wodę. Mieszkanie Państwa L. właściwie nie było już mieszkaniem. W wielkich pokojach urządzono szpital polowy. Wszędzie leżeli ranni. Docierali tu z pierwszej linii – okrwawieni, nieprzytomni lub wyjący z bólu.

Pani L. trwała na posterunku. Po tym, jak zaczęły się walki, stanowczo odmówiła schodzenia do jakiegokolwiek piwnicy.

– Nie będę się kryła w żadnej norze. Jeśli mam zginąć, wolę lepsze miejsce, a takim z pewnością jest mój dom – tłumaczyła zdesperowanej Julci, która w piwnicy urządziła prowizoryczne lokum dla rodziny. Pod ziemią nie chciał się także chować Musio, uciekał od Julci do Pani L. Razem rezydowali w dawnej służbówce. Lord Jim był pewny, że Lala w końcu wróci do domu. Zamierzał na nią czekać. Tak długo, jak będzie trzeba. Zawsze.

Lala pożegnała się z rodziną ostatniego dnia lipca czterdziestego czwartego roku. Pani L. siedziała w salonie, z książką w rękę, ale ani nie widziała liter, ani nie rozumiała słów. Do pokoju weszła Lala. W szarej spódnicy, niebieskiej bluzce, ciemnej kurtce oraz grubych, turystycznych butach wyglądała tak, jakby wybierała się na wakacyjną wyprawę w góry. Na głowę założyła ciemny beret, z ramienia zwisał jej brezentowy chlebak. Podeszła do Pani L.

– Mamo, idę. Już czas – powiedziała cicho.

Wyjęła z kieszeni biało-czerwoną opaskę. Pokazała ją matce, jakby skrawek materiału miał wszystko wytłumaczyć.

Pani L. wstała z fotela. Nie zauważyła, że książka zsunęła się jej z kolan niemal wprost na małe ciało Lorda Jima.

– Musisz? – spytała, choć nie miała nadziei na zaprzeczenie.

– Wiesz, że muszę. Nie martw się o mnie, mamo kochana, to przecież potrwa tylko kilka dni. Pokonamy Niemców i wrócę do was. – Lala uśmiechnęła się, próbując zademonstrować bojowy nastrój.

Pani L. ze wszystkich sił usiłowała zachować spokój.

– Moje dziecko, uważaj na siebie. Noce są już chłodne i... – urwała.

– Wiem, mamó, ubrałam się ciepło. Wszystko będzie dobrze, naprawdę. Na mnie już czas. – Wyciągnęła ręce do matki.

Pani L. mocno przytuliła córkę.

– Niech cię... Niech was Bóg prowadzi – wyszeptała w pachnące, jasne włosy.

Lala pochyliła się jeszcze nad Musiem, który popiskiwał ze zdenerwowania.

– Nie bój się piesku, pilnuj mamy. Kiedy wrócę, pójdziemy na długi spacer. Obiecuję.

Pocałowała psa w okrągły łeppek, odwróciła się i wyszła z pokoju szybkim krokiem, bojąc się, że za chwilę zabraknie jej sił, by zrobić to, co chciała i powinna. Lord Jim podbiegł za nią kilka kroków, ale zawrócił, jakby wiedział, że tym razem nie może jej towarzyszyć. Wrócił do Pani L., która bez sił opadła na fotel.

Głośne strzały usłyszeli już pierwszego sierpnia, pod wieczór. Pani L. stała w oknie, przyciskając ręce do piersi. Z przerażeniem myślała o tym, że jej piękna, wspaniała, wychuchana i jedyna córka, łączniczka Lama, była wśród walczących, wśród kul i śmierci. To wydawało się tak straszne, że aż nie do pojęcia.

Kiedy władze powstańcze zdecydowały, że parter kamienicy zajmie szpital polowy, Pani L. poprosiła, żeby i u niej, na piętrze, ulokować pacjentów. Mieszkanie wypełniło się błyskawicznie. Wszystkie łóżka, kanapy i materace przeznaczono dla rannych. Oddano im całą pościel, koce oraz poduszki. Jedzenia było niewiele, ale Julcia starała się wszystkich wykarmić. Później, gdy zabrakło wody w kranach, razem z Panią L. nosiły wodę ze studni na podwórzu. Pani L. miała nadzieję, że ciężką pracą, dyżurowaniem przy cierpiących, czytaniem im książek zdoła zagłuszyć wyjący w jej głowie strach o Lalę.

Musio był równie zmęczony. Dreptał za Panią L. krok w krok – ona po wodę, on za nią, ona po opatrunki, on za nią, ona rozwiesić pościel, on za nią. Jego świat ograniczył się do nieustannego maszerowania, zmartwienia i głodu. Bardzo wychudł. Jako posiłek musiała mu wystarczyć kromka chleba albo garść twardej kaszy bez smaku. Starał się nie tracić z oczu Pani L. albo Julci. Jedzenia brakowało, więc psy i koty bywały łakomym celem. Musio przekonał się o tym na własnej skórze, gdy nieopatrznie zapuścił się za róg kamienicy, niedługo po tym, jak pocisk zburzył całą boczną część budynku. W mieszkaniu była ogromna dziura zamiast ściany – korytarz wyglądał tak, jakby nie miał końca. Rannych dla bezpieczeństwa przeniesiono na parter oraz do piwnic. Pani L. wciąż jednak mieszkała na piętrze, mimo że wiatr hulał po zrujnowanym wnętrzu, nie było ściany, a w oknach ani jednej szyby. Noce spędzali z Musiem w kuchni, oświetlanej już tylko płomieniami pożarów. To tutaj stała teraz przeniesiona z buduaru czerwona kanapa w złote pasy.

Tamtego feralnego dnia Lord Jim wyszedł dosłownie na chwilę. Na dworze było ciepło, wiatr niósł żar i popiół od płonących dzielnic miasta, śmierdziało spaleniną. Musio już miał zawracać, gdy nagle drogę zagroziło mu dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach.

– Ty, mały, chodź no tu. – Jeden z nich, stary i łysy, przykucnął i wykrzywił usta

w brzydkim uśmiechu.

– Zostaw go, chudy jak szczapa – odezwał się drugi, w kraciatej czapce z daszkiem.

– Nie gadaj, na zupę się nada. Pomóż go złapać.

Starszy wyciągnął rękę i niemal dosięgnął obróżki Musia. Pies przez chwilę stał zeszytywniały ze strachu, w końcu cofnął się gwałtownie, rozejrzał za kryjówką. Wpełził pod grubą deskę przywaloną cegłami. Zaraz jednak zrozumiał, że popełnił błąd – nie miał już żadnej drogi ucieczki. Do lichej kryjówki podszedł mężczyzna w kraciatej czapce, przyklęknął i wsunął ramię pod deskę. Musio tuż przed noskiem zobaczył brudną dłoń z krótkimi palcami macającymi powietrze w poszukiwaniu zdobyczy. Nie namyślał się długo: z całej siły wbił zęby w miękkie ciało.

Mężczyzna wrzasnął i błyskawicznie zabrał rękę. Na ziemię pociekła krew.

– Dziabnął mnie, cholera! – złorzeczył. – Ty kundlu, zaraz ci pokażę!

Schylił się znowu, ale powstrzymał go starszy kolega:

– Chodź, nie warto. Nie najesz się, a łapa ci odpadnie.

I poszli, a Musio, cały drżący z emocji, wrócił do Pani L.

Pewnego dnia, pod koniec sierpnia, do szpitala trafił ranny porucznik Jur.

– Synku, bój się Boga, co tobie?! – z przerażeniem zawołała Pani L., gdy zobaczyła Jurka z twarzą zalaną krwią. Podtrzymało go dwóch chłopców z jego oddziału.

– To nic, proszę pani, drobiazg – odparł cicho i osunął się na chodnik.

Miał przestreloną lewą rękę, kula przeorała też skórę na głowie i prawie pozbawiła go ucha. Dwie godziny po przybyciu Jerzego, po tym jak lekarz poskładał strzaskaną rękę chłopaka i zaszył rany na głowie, do szpitala nieoczekiwanie wpadła Lala. Zakurzona, brudna, w podartej kurtce, z siną ze zmęczenia twarzą. Musio oszalał z radości. Piszczął, skamlał, tańczył na dwóch łapkach, chcąc koniecznie zaprezentować Lali tę nową sztuczkę, której nauczył się od jednego z rannych powstańców. Był szczęśliwy, gdy Lala zauważyła i pochwaliła jego występ.

Gdy tylko dziewczyna przekonała się, że stan Jerzego nie jest bardzo zły, zaczęła zbierać się do drogi.

– Muszę wracać, mam pilny meldunek do dostarczenia. Nawet nie wiem, czy tam jeszcze ktoś żyje – powiedziała do matki.

– Umyj się chociaż, jest trochę wody, zjedz coś – błagała Pani L., szybko przygotowując w kuchni kanapkę z ciemnego, suchego chleba i resztek marmolady.

– Mamo kochana, muszę ci coś powiedzieć. – Lala przysiadła na chwilę przy kuchennym stole. – Rozmawiałam z Jerzym. Będzie tu do jutra, potem chce wracać do oddziału. Nie wiem, jak sobie poradzi z tymi opatrunkami, ale spodziewa się rozkazu natarcia i musi być ze swoimi ludźmi. Mamo – wzięła głęboki oddech – jutro weźmiemy ślub.

– Jak to ślub? – spytała oszołomiona Pani L.

– Nie chcemy czekać. W każdej chwili... – nie dokończyła. – Przyjdę jutro, razem ze mną pewnie parę dziewczyn i chłopców, przyprowadzą księdza. Planowaliśmy to wcześ-niej, ale teraz Jurek jest ranny i... Nie ma na co czekać. – Popatrzyła na matkę, odgarniając z czoła kosmyk jasnych włosów, który wymknął się spod zielonej furażerki.

– Rozumiem, Lalo, oczywiście. – Pani L. odzyskała oddech. – Pomogę ci, wszystko urządzimy, nie martw się – obiecała, choć nie miała pojęcia, jak może wyglądać ślub w takich warunkach.

Kiedy Lala wybiegła, Pani L. z nieodłącznym Musiem u boku popędziła do piwnicy, by obwieścić Julci nowinę. Nie znośła schodzić pod ziemię. W ciemnościach ledwo rozświetlanych świeczkami i karbidówkami gnieździł się ludźmi, dla których piwnica stała się jedynym domem. Było gorąco, duszno, śmierdziało stęchlizną, dzieci płakały, jęczeli ranni.

– Julciu – wyszeptała Pani L., gdy odnalazła dawną służącą, a teraz wierną towarzyszkę niedoli. – Lala jutro wychodzi za mąż – mówiła cicho, nie chcąc, by wieści dotarły do uszu wszystkich lokatorów piwnicy.

– O rany! – tylko tyle wydusiła z siebie Julcia.

Wiedziały obie, że muszą zrobić wszystko, żeby ślub ich ukochanej Lali wypadł tak dobrze, jak to tylko możliwe w tych warunkach. Modląc się, żeby nie przeszkodził im ostrzał, zabrały się do pracy. Wysprzątały salon w dawnym mieszkaniu na parterze – jedyne pomieszczenie, które wyglądało w miarę porządku. Przyniosły trochę ocalałych mebli i dywan, wszystko odkurzyły z pyłu. Gdy na chwilę przysiadły na fotelach, Pani L. zasępiła się.

– Julciu, a co Lala założy? – spytała. – Nie pamięta może Julcia, gdzie jest moja ślubna suknia?

– Zawsze była w kufrze w małym pokoju – powiedziała Julcia. – Ale teraz nie da się tam wejść, nie ma ściany, wszystko może się zawalić... Nie powinna pani! To niebezpieczne! – zawołała, widząc, że Pani L. podnosi się z miejsca.

– I tak pójdę. Przytrzymaj Musia, żeby za mną nie pobiegł – nakazała Pani L.

Pomimo ryzyka postanowiła odnaleźć suknię. Przeszła przez ruiny tego, co kiedyś było jej pięknym mieszkaniem, do ostatniego pokoju, który miał już tylko trzy ściany i w którym wszystko pokryte było sinym pyłem. Tam odnalazła stary podróżny kufer. Na szczęście okazał się na tyle solidny, że przetrwał bombardowanie – a wraz z nim przetrwała piękna suknia z kremowej koronki, którą trzydzieści lat temu Pani L. nosiła na własnym ślubie.

– Boże mój, przecież wtedy też była wojna – uświadomiła sobie.

Ogarnęła ją rozpacz. Przyciskając do piersi zwiewną suknię, oparła się o skrzynię i wpatrzyła w przestrzeń za zrujnowaną ścianą, w mury stojących jeszcze, ale poranionych odłamkami domów, ze ślepymi oczodołami okien, w pożary na horyzoncie, które ogarniały całe miasto, w krwawą lunę na niebie.

„Przecież Lala powinna teraz malować krajobrazy Prowansji, cieszyć się życiem, tańczyć i śpiewać, a nie biegać z meldunkami i kryć się za barykadami! Przecież żyjemy w mieście w środku Europy i moja córka ma prawo wziąć cudowny wymarzony ślub! Te wszystkie piękne dziewczęta i ci wspaniali chłopcy mają prawo do normalnego życia – po to ich rodziliśmy i wychowywaliśmy! Dlaczego, Boże, umierają tak strasznie? Dlaczego nasz świat ginie?” – myślała, bezsilnie buntując się przeciwko losowi. I tylko ten jeden jedyny raz od początku wojny zapłakała, bezradnie skarżąc się Bogu na rzeczywistość, której nie potrafiła pojąć.



Jeżeli w powstańczej Warszawie mógł się odbyć piękny ślub, to ślub Lali i Jerzego z pewnością był taki: ona śliczna, w jasnej sukni, on elegancki, w mundurze, choć z ręką na temblaku i obandażowaną głową. Była też uczta przygotowana ze zdobytych z trudem wiktuałów, wino, które przynieśli żołnierze z oddziału porucznika Jura, a nawet skoczna muzyka skrzypiec. Na noc poślubną Pani L. odstąpiła młodym kuchnię – była to pierwsza noc, którą Pani L. i Musio spędzili w piwnicy.

Lord Jim także tego weselnego dnia czuł się wyjątkowo. Jak za dawnych, dobrych, przedwojennych czasów! Oczywiście towarzyszył Lali – wytworny, w czerwonej kokardzie, którą zawiązała mu Julcia, prezentował przedwojenny wygląd i maniery psiego dandysa.

Nazajutrz, skoro świt, Lala w zwykłym żołnierskim stroju pobiegła do dowództwa po kolejne rozkazy. Jerzy, mimo bolących ran, wrócił do oddziału.

Trzy dni później jeden z jego żołnierzy przyniósł Pani L. wiadomość, że porucznik Jur zginął, dowodząc podczas natarcia na cel, który był nie do zdobycia. O tym, że została wdową, dwudziestoczteroletnia łączniczka Lama, odcięta wówczas od oddziału przez niemieckie kontrnatarcie, dowiedziała się dopiero tydzień po śmierci męża.

Gdy po raz ostatni spotkała matkę, zaczynał się październik. Powstanie dogasało. Kamienica, trafiona bombą, już nie istniała. Pani L., Julcia i Lord Jim znaleźli schronienie w piwnicy sąsiedniego budynku, wśród innych wygłodzonych i wyczerpanych ludzi.

Lala uśmiechnęła się smutno na widok Musia merdającego przyciętym niemiecką kulą ogonkiem. Już nie było w jej oczach dawnego blasku, wyglądała, jakby ktoś starł z jej twarzy młodość.

– Mamo, za chwilę ogłoszą kapitulację – mówiła ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Wyjdę z miasta razem z moim oddziałem. Z tym, co z niego zostało... Idziemy do niewoli. Cywili mają wypuścić, idźcie razem ze wszystkimi.

– Dobrze, dziecko... – Pani L. tylko pokiwała głową. Nie zostało już nic do powiedzenia. Nie było żadnych słów. Bo co powiedzieć i jak pożegnać się z dzieckiem, które idzie do niemieckiej niewoli? Jak znaleźć siłę, by dalej żyć?

Gdy Lala spakowała parę rzeczy do plecaka i poszła w nieznane, spakowały się też Pani L. i Julcia. Jedna walizka, jakiś tobolek, nie było tego wiele. Następnego dnia pod ruiny kamienicy podjechali niemieccy żołnierze – Pani L. i Julcia wyszły wraz z innymi z piwnic, poganiane niemieckimi krzykami. Julcia dźwigała walizkę, Pani L. założyła plecak. Na rękach niosła drżącego Musia. Do szarego pochodu ludzi, których Niemcy wyginali z miasta, dołączali wciąż nowi, objuczeni bagażami, podtrzymujący starców, piastujący płaczące dzieci. Tłum gęstniał.

Posuwali się powoli już dobre pół godziny. Musio, wciąż niesiony przez Panią L., rozglądał się nerwowo, zaniepokojony coraz bardziej. Ten spacer zupełnie mu się nie podobał. Oddalali się od domu, od miejsca, w którym zawsze czekał na Lalę. W pewnym

momencie piesek krótko szczeknął. Raz, drugi.

– Cicho, Musiu, spokojnie – poprosiła Pani L.

Ale on już nie słuchał. Podjął decyzję. Skoczył na ziemię. Przewrócił się, zaskomlał, ale podniósł się natychmiast i pognał. Biegł tak szybko, jak tylko mógł, wracał do zasnutego dymami miasta.

– Musiu, nieeee! – krzyknęła rozpaczliwie Pani L.

Chciała pobiec za nim, ale Julcia przytrzymała ją za rękę.

– Musimy iść, nie pozwolą nam wrócić – szepnęła, wskazując na pilnującego uciekinierów żołnierza. Widział, co się wydarzyło i najwyraźniej uznał to za bardzo zabawne, bo zaśmiał się głośno, lufą pistoletu maszynowego wskazując koledze kierunek, w którym pobiegł śmieszny pies na chudych łapkach.

Pani L. zdążyła tylko zobaczyć, jak Lord Jim znika wśród ruin.



W styczniu czterdziestego piątego, kiedy już zwycięska defilada przemaszerowała ulicami zamordowanego miasta, pod ruiny śródmiejskiej kamienicy podjechała mała furmanka. Wiozła kilkoro pasażerów, ale tylko dwie kobiety wysiadły w tym miejscu. Była to zgarbiona i postarzała Pani L. w towarzystwie nieodłącznej Julci – obie, choć okutane w chusty i kożuchy, przemarznięte po długiej podróży z Milanówka. Rozglądały się teraz bezradnie pośród ruin.

– Chodź, pani, szkoda czasu, tu niczego nie ma! – zawołał furman, chuchając w skostniałe, czerwone dłonie.

Pani L. sprawiała wrażenie, jakby niczego nie słyszała. Przedzierała się niezdarnie przez gruzowisko. Nagle osunęła się na kolana przy stercie pogruchotanych cegieł. Kiedy Julcia podeszła bliżej, zobaczyła, że kobieta klęczy przy brudnej i połamanej, niegdyś czerwonej kanapie w złote pasy, obejmując ją rozpaczliwym gestem.

Pani L. bezgłośnie płakała. Drugi raz w czasie tej wojny.

Julcia zajrzała jej przez ramię i zrozumiała dlaczego.

Na środku mebla leżał mały psi szkielecik. Teraz już było wiadomo: ostatnia ucieczka Lorda Jima udała się. Wrócił do domu.

– Patrz, pani – rzucił furman do pozostałych pasażerów na wozie. – Tyle nieszczęścia dookoła, a ta nad kanapą płacze...



Biegnę, biegnę, tak szybko jak potrafię. Jedna sterta kamieni, hop, zaraz następna, hyc, ją też przeskoczę. Musi mi starczyć sił. Żeby tylko znaleźć właściwy ślad. Trzeba biec, pędzić. Teraz powoli, zatrzymać się, powąchać... Nic, to chyba nie tu. Dalej! Biegnę dalej!

Jest! Znalazłem! Nasz dom!

Pusto i cicho. Nawet dobrze. Odpocznę. Stoi przecież kanapa. Dziwne, że na dworze, ale to nasza kanapa. Pachnie domem. Poleżę sobie. Odpocznę. Zasnę. Poczekam na Lalę.

Skwer

– Tak, w tym miejscu stała kanapa – powtarza starsza kobieta, kiwając głową.

Siedzący wokół fontanny chłopcy patrzą na siebie, jeden mruga do pozostałych. Zapewne chce powiedzieć: „Wiadomo, stara wariatka”. Koledzy śmieją się ze zrozumieniem.

Tymczasem starsza kobieta powoli podnosi się z ławki. Opiera się mocno na lasce, poprawia torebkę zawieszoną na szyi, rozgląda wokoło. Uśmiecha się, dostrzegając małego pieska na chudych łapkach, wesoło bawiącego się w trawie.

– Chodź, Musiu, chodź do Lali! Pójdziemy do domu, już czas – mówi po chwili.

Piesek podbiega grzecznie. Starsza pani przypina smycz do białej, lakierowanej obróżki na jego szyi. Po chwili oboje znikają za krzewami kalin i hortensji, które otaczają skwer.

Chłopcy chowają smartfony, żegnają się, rozchodzą w różne strony, szybko zapominają o starszej kobiecie. Tylko jeden z nich zatrzymuje się na chwilę i przygląda fontannie.

– Tutaj stała kanapa – powtarza z namysłem.

Nie znajduje rozwiązania zagadki, wzrusza więc ramionami i idzie w swoją stronę. Skwer pustoszeje.

KONIEC

Wszystkim zwierzakom, które giną na wojnach

Inspirowane prawdziwą historią

Powrót do domu

Małgorzata Mroczkowska

Tego dnia w Londynie padało od samego rana. Niby nie była to żadna nowość, biorąc pod uwagę fakt, że Anglia w całym świecie słynęła z takiej, a nie innej pogody. Deszcz po prostu uwielbiał padać w Wielkiej Brytanii częściej niż w innych państwach Europy. I chociaż Ewa wiedziała o tym doskonale, to pomimo że mieszkała w Londynie od ponad trzech lat, nadal nie umiała się przyzwyczaić do tej pogody.

– Znowu to samo... – jęknęła, wyglądając przez okno swojego pokoju, który znajdował się na trzecim piętrze wysokiego wieżowca.

Od trzech lat wynajmowała niewielki pokój na spokojnym osiedlu w północnej części miasta. Jej współlokatorami były dwie dziewczyny w podobnym do niej wieku, obydwie również przyjechały z Polski. Tak jak Ewa liczyły, że za granicą czeka na nie lepsze życie.

– Trzy Polki mieszkające na trzecim piętrze w trzeciej strefie Londynu – śmiały się często podczas kolacji, którą od czasu do czasu jadły wspólnie w niewielkim salonie, jedynym pokoju, gdzie znajdował się telewizor.

– I wszystkie trzy samotne – dodawała zwykle Iwona, która z całej trójki była największą pesymistką.

– Poczekaj, nim się obejrzysz, wszystko się zmieni, zobaczysz! – pocieszała ją Lidka.

– Już to widzę.

– A poza tym, jeśli miałabyś trafić na takiego drania jak mój były, to zapewniam cię, że lepiej być samotną aż po grób.

Lidka, jako jedyna z nich trzech miała w przeszłości męża, z którym jednak szybko się rozwiodła. Czasem opowiadała im o tej marnej przygodzie, jak nazywała swoje pierwsze małżeństwo, ale sama również nie lubiła wracać do tamtej historii.

– Byłam młoda i głupia! – tłumaczyła. – Teraz jestem stara, ale nadal głupia, co zrobić. – Wzruszała ramionami.

– Dobrze, że uciekłaś od tego drania – dodawała Iwona.

– Gdyby tylko pił, to jeszcze mogłabym to jakoś zaakceptować. Nawet planowałam zapisać go na terapię, człowiek miał dobre serce – zamyślała się, po czym szybko dodawała: – Ale jak pewnego dnia podniósł na mnie rękę, to powiedziałam sobie jasno: Lidka, uciekaj, bo skończy się to dla ciebie bardzo źle. Spakowałam się w ciągu jednego dnia i wróciłam do rodziców.

– I on tak pozwolił ci odejść?

– Akurat! Przychodził, przesiadywał na klatce schodowej, błagał, żebym do niego wróciła. Ale ja nie chciałam. Nie kochałam go już. Czar prysł, jak to mówią. Koniec balu, panno Lulu! Tato pomógł mi w sądzie i szybko się z tym uwinęliśmy. Na szczęście nie mieliśmy dzieci, więc rozwód dostaliśmy już na drugiej rozprawie.

– I nie żałujesz? – zapytała Ewa.

– Jeszcze czego! Takiego drania najgorszemu wrogowi bym nie życzyła. Żeby na kobietę z łapami się rzucać?

– Masz rację, Lidka.

– Ale wiesz, co? – zamyśliła się. – Jest jedna rzecz, której faktycznie żałuję.

– Pewnie tego, że w ogóle go poznałaś – podpowiedziała jej Iwona.

– Nie. – Lidka zagryzła wargi. – Może to głupie, ale żałuję, że nie zdążył zrobić mi dziecka.

– Lidka, co ty pleciesz? Po co by ci było dziecko z takim draniem?

– Sama bym je wychowała na porządnego człowieka. A tak, zostałam z niczym. Zmarnowałam przy nim tyle czasu... Najlepsze lata mi zabrał.

– Najlepsze lata dopiero przed tobą – powiedziała Ewa. – Zobaczysz!

– A mnie się zdaje, że ja już nikogo nie spotkam, a nawet jak stanie się cud i się zakocham, to pewnie w takim samym draniu, niestety. Podobno są osoby, które przyciągają do siebie nie najciekawsze typy mężczyzn. Myślicie, że ja jestem taką kobietą?

– Myślę, że powinniśmy już iść spać – odparła Ewa, wstając z kanapy. – Jutro wszystkie musimy rano wstać do pracy.

– Masz rację – przyznała Iwona. Zbierała ze stołu puste kubki po herbacie. – Nigdy nie wiadomo, co przyniesie kolejny dzień. Może spotkam kogoś w autobusie?

– Niby kogo? – Lidka wzruszyła ramionami. – Co najwyżej kanara, który poprosi cię o bilet.

– Kanar też musi mieć serce!

– Nawet jeśli je ma, w co bardzo wątpię, to zazwyczaj to serce jest już zajęte. Już prędzej powinnaś rozejrzeć się wśród swoich pacjentów.

Iwona, słysząc słowa Lidki, popukała się w czoło.

– Tak się składa, że średnia wieku pacjentów, którymi się opiekuję, sięga osiemdziesięciu lat. Oni są w takim stanie, że większość z nich niewiele kojarzy i jest im już z grubsza wszystko jedno.

– No to tym bardziej! – Lidka uśmiechnęła się zalotnie. – Nie leży tam u ciebie przypadkiem jakiś milioner, w dodatku samotny? Podobno można wziąć ślub nawet na łożu śmierci.

– Wiesz co, wstydzilibyś się takie głupoty opowiadać! – odpowiedziała jej na to oburzona Iwona.

– No co! Takie rzeczy się zdarzają! Sama czytałam nie raz.

– To jest obrzydliwe i nieetyczne! Ja nie umiałabym tak się zachować.

– I dlatego jakaś inna, sprytniejsza pielęgniarka i do tego brzydsza od ciebie sprzątnie ci fortunę sprzed nosa. A ty, bidulko, będziesz czekać na swojego księcia z bajki.

– Trudno, poczekam – odpowiedziała zdecydowanie. – Nie będę wychodzić za mąż dla pieniędzy, tylko z miłości.

– I masz rację! – dodała Ewa.

Zrobiło się faktycznie trochę późno i wszystkie trzy musiały już kłaść się spać. W końcu pieniądze na opłacenie czynszu w tym bloku nie spadną z nieba. Trzeba było pracować, i to ciężko, by jakoś związać koniec z końcem i powoli realizować swoje marzenia.

Ewa uchyliła okno w swoim pokoju. Była ciepła, majowa noc. Po deszczu został tylko zapach. Nad Londynem wisiało ciemnogrnatowe niebo przetykane gwiazdami, które świeciły złotym blaskiem. Wysoko w górze, nad dachem bloku, w którym mieszkały, przelatywał właśnie jakiś samolot. Ludzie cały czas dokądś lecieli, podróżowali w odległe strony świata, każdy szukał swojego szczęścia i wierzył, że w końcu gdzieś je odnajdzie.

I kiedy położyła w końcu policzek na poduszce, którą zresztą przywiozła z Polski, jej oczy niespodziewanie zaszczyły łzami.

Nie lubiła takich chwil. Nigdy nie użalała się nad sobą, nie należała do takiego typu ludzi, którzy mieli pretensje do losu. Wręcz przeciwnie, uważała, że i tak ma dużo szczęścia w życiu, jest zdrowa, wolna i może robić, co tylko chce. A że wciąż jest samotna? No przecież nie ona jedna! Lidka i Iwona też były młode i samotne. I żadnej z nich niczego nie brakowało, były atrakcyjnymi kobietami, w dodatku niezależnymi, samodzielnie zarabiającymi na swoje utrzymanie. Dlaczego więc tak trudno było im spotkać tę drugą połowę?

Ewa nie raz zastanawiała się nad tym, co to jest szczęście. Dlaczego, pomimo że mieszkała w jednym z największych miast na świecie, czuła się taka samotna? Jej współlokatorki miały zresztą podobne odczucia. Wiele razy przegadały całą noc, znały się na wylot. Każda z nich oddałaby wszystko za tego jednego, jedyne. Nie mogły zrozumieć, dlaczego los nie dawał im żadnej szansy. Były do siebie podobne niczym siostry.

Poznały się w polskiej agencji pośrednictwa pracy, która obsługiwała w tamtym czasie Polaków. Ewa nie miała przy sobie długopisu, zapytała, czy któraś z dziewcząt jej go pożyczy i tak od słowa do słowa się poznały.

Wszystkie trzy były w Londynie od niedawna i tylko Lidka miała tę przewagę, że wcześniej mieszkała w Manchesterze. Dowiedziały się o tym już w poczekalni, gdzie trzeba było wypełnić ankiety pracownicze. Było tam pytanie: „Od kiedy mieszkasz w Wielkiej Brytanii?”.

– Pracowałam w magazynie z butami sportowymi w Manchesterze, ale tam była jakaś masakra – oznajmiła głośno Lidka. – Powiedziałam, że za takie małe pieniądze to niech sobie sami dźwigają te ciężkie pudła. Ja nie jestem pierwsza naiwna, żeby zdrowie sobie tak szargać. Zmiany też były długie, a przerwy za krótkie, nawet dobiec do łazienki się nie dało.

– Straszne rzeczy opowiadasz – jęknęła nieco przerażona Iwona.

– A coś ty myślała, że tutaj jest jak w rajku? Może i jest, ale zanim do niego trafisz,

to musisz się nieźle narobić. Tak że pamiętajcie, dziewczyny, nie dajcie się nabrać na jakieś lewe warunki. Nie ta praca, to inna, zawsze się coś znajdzie. To oni nas potrzebują, a my zawsze możemy sobie znaleźć coś lepszego, co nie?

Prostolinijność myślenia Lidki i jej życiowa zaradność od samego początku urzekły zarówno Iwonę, jak i Ewę. Może faktycznie wydawała się trochę szorstka, zwłaszcza przy pierwszym poznaniu, ale w gruncie rzeczy była dziewczyną, na której zawsze można polegać. Nadawała się i do tańca, i do różańca, jak mawiała mama Ewy. Lidka wszystko umiała załatwić, znaleźć najtańsze mieszkanie i najlepsze oferty w sklepie spożywczym. Miała oko do wyprzedaży i żadna przecena nie mogła jej ominąć. Z kimś takim żyło się wszystkim wygodnie i przede wszystkim tanio, co nie było bez znaczenia w drogim mieście, jakim był i zawsze będzie Londyn.

I kiedy znalazły już mieszkanie, w którym mogły poczuć się jak u siebie, wszystko wydawało się prostsze. Nawet codzienne wstawanie do pracy nie było już taką męką jak dawniej. Przecież miały do czego wracać! Każda z nich uwiła swoje gniazdko we własnym pokoju. A wieczorami spotykały się w salonie przy herbacie. Tam rozmawiały najdłużej, i na najciekawsze tematy.

– Boże, dziewczyny, ile ja bym dała, żeby móc sobie kupić kota albo psa – westchnęła Iwona. – No ile można tak siedzieć samemu?

– Masz przecież nas – powiedziała Ewa. – Nie jesteś sama.

– Ale was nie można pogłaskać...

– Mnie można! – zażartowała Lidka. – A tak na serio, to właściciel naszego mieszkania na pewno nie zgodzi się na żadnego zwierzaka. Mamy to przecież w kontrakcie.

– Niestety wiem – westchnęła Iwona.

Ewa nie odzywała się do tej pory. Przypomniała sobie o czymś, co zostawiło ranę w jej sercu. Przecież też kochała zwierzęta, a zwłaszcza psy. Miała nawet jednego, swojego ukochanego. Cały czas go miała, chociaż nie mieszkali już razem.

– Dziewczyny, nawet nie mówcie mi o psie... – westchnęła głośno.

– Fajnie by było, prawda? Pomyślcie tylko, że takie stworzenie witałoby nas po powrocie do domu. Przynajmniej ktoś cieszyłby się na mój widok.

– Tak, a pomyślałaś, ile z tym kłopotów?

– Jakich kłopotów?

– No przecież takiego psa trzeba wyprowadzić! Chyba nie chcesz, żeby nam się załatwiał na tę angielską wykładzinę? Chociaż, z drugiej strony – rozważała Lidka, przechylając głowę – jakby tak pies zniszczył ten stary dywan, to może w końcu wymieniliby go na coś nowszego? Przecież ta wykładzina ma ze trzydzieści lat!

– Wyprowadzanie to faktycznie kłopot, zwłaszcza że tu ciągle pada – dodała Iwona.

– Ale przecież można mieć kota! Kot siedzi w domu.

– I sika do kuwety, a żwirek kosztuje! – skwitowała to Lidka jednym zdaniem. – W ogóle nie bierzecie pod uwagę, że zwierzęta chorują, a weterynarz to tutaj jak dentysta! Pożeracz kasy. Nie, ja bym się w życiu nie zdecydowała na taką fanaberię jak zwierzę domowe.

– A ja miałam w Polsce psa – powiedziała Ewa. – I bardzo żałuję, że musiałam go zostawić z mamą.

– Miałaś psa? – zapytała z ciekawością Iwona. – Jakiej rasy?

– Najlepszej na świecie, czyli mieszanej. Brązowy, podobny do jamnika i cudowny pod każdym względem. Moja ukochana suczka.

– Ale super!

– Przynajmniej tyle dobrego, że mały – stwierdziła Lidka. – Mały pies, to mały kłopot. I mniej żre.

– Nie żre, tylko je – poprawiła ją Iwona.

– Zwierzę to nie człowiek. – Wzruszyła ramionami. – Moim zdaniem miejsce zwierzęcia nie jest w domu, tylko na dworze. Taki pies to się w mieszkaniu tylko męczy, zwłaszcza w bloku. Rozumiem dom z ogródkiem! Tam przynajmniej może się wybiegać. Ale żeby trzymać takiego psa dajmy na to na szóstym piętrze w małym mieszkaniu? Masakra.

– Nie zgadzam się z tobą – odezwała się w końcu Ewa, która nie mogła już dłużej słuchać „mądrości” swojej współlokatorki.

– Pies to też zwierzę, takie samo jak świnia czy słoń – odpowiedziała tymczasem Lidka, nastawiając wodę na herbatę. – Nie mogę słuchać, jak ktoś mówi, że pies to mój najlepszy przyjaciel.

– Bo tak jest, i to bardzo często! – powiedziała Iwona, która właśnie podlewała kwiatki rosnące w doniczkach na oknie w salonie. – Takie czasy, że ludzie zaprzyjaźniają się bardziej ze zwierzętami niż z innymi ludźmi.

– Ale to jest głupie! – broniła się Lidka. – Kto chce herbaty?

– Ja poproszę – odpowiedziała Ewa.

– Nie rozumiem, jak można zaprzyjaźnić się z kimś, kto nie mówi i nic dla nas nie zrobi.

– No wiesz! – odezwała się Ewa. – Moja Łapka merdaniem ogona i wzrokiem może okazać więcej niż niejeden człowiek gadaniem!

– Ale to nie wystarczy.

– Zapewniam cię, że wystarczy.

Lidka postawiła dwa kubki z herbatą na niskim stoliku, który stał tuż przy sofie.

– Nie zapominaj, że to właśnie pies został najwcześniej udomowiony ze wszystkich zwierząt.

– A ja myślałam, że kot – dodała Iwona, która odstawiała plastikową konewkę na lodówkę i naląła sobie do szklanki wody gazowanej.

– Wszystko jedno – stwierdziła Lidka.

– Zobacz – zaczęła Ewa – jak niezwykły charakter ma pies, skoro nauczył się, że nie wolno załatwiać się w domu, w którym mieszka razem z człowiekiem, że je się z miski, a nie z ziemi, i że śpi się na posłaniu, tak jak człowiek śpi w łóżku. Pies zaczął naśladować ludzi i jest w tym całkiem niezły.

– Ale mówić się nie nauczył!

– Ale umie szczekać na zawołanie i wykonywać różne polecenia. Nie mówiąc już o tym, że są psy, które towarzyszą niewidomym w codziennym życiu. Psy są

niesamowite!

– Albo te psy, co odnajdują ludzi zasypanych w lawinie albo trzęsieniu ziemi! – dodała Iwona. – Sama widziałam w telewizji, jak mówili o tym trzęsieniu ziemi we Włoszech, że polskie psy musieli wysłać, bo nasze są najlepiej wyszkolone.

Lidka się nie odzywała. Dopiero po chwili dodała:

– I tutaj widzę sens posiadania takiego psa. Jest przynajmniej potrzebny, pomaga człowiekowi. Ale żeby trzymać w domu...?

– A wiesz, ilu jest ludzi samotnych, dla których pies jest jedynym towarzyszem i sensem życia?

Lidka nie odpowiedziała na to ani jednym słowem.

– Nie masz pojęcia, z jakim bólem w sercu musiałam zostawić mojego psa w Polsce – powiedziała Ewa ze smutkiem. – To była najtrudniejsza decyzja.

– No przecież nie wyrzuciłaś jej na ulicę!

– Nawet tak nie żartuj. – Ewa pokręciła głową. – Dla mnie ludzie, którzy wyrzucają psy, są jak przestępcy i tak powinni być traktowani za swoje czyny.

– Zgadzam się.

– Zostawiłam Łapkę z moją mamą, wiem, że jest jej u niej dobrze i razem mieszkają, ale co z tego, skoro to nie ja mogę ją głaskać i o nią dbać? Zawsze, jak jadę do mamy, to Łapka śpi przy moim łóżku.

– Pamięta cię?

– No pewnie! Pies nigdy nie zapomni swojego właściciela. Nawet jeśli nie widział go przez lata. I ja też nigdy o niej nie zapomnę.

Tamtej nocy Ewa znowu nie mogła długo zasnąć.

Wszystko powracało do niej, jakby wydarzyło się wczoraj. Dzień, w którym znalazła Łapkę i przygarnęła ją, pozostanie w jej pamięci do końca życia.



To było na czwartym roku studiów. Ewa kończyła pisać pracę magisterską z socjologii kultury. Szło jej gładko, bo przez pięć lat studiów na uniwersytecie nigdy nie miała większych problemów z nauką. Wszystkie egzaminy zdawała w terminie, nigdy nie musiała podchodzić do zaliczenia dwa razy. Nie znajdowała się w czołówce studentów, byli od niej lepsi, ale nigdy też nie wylądowała wśród tych najslabszych. Lubiła uczelnię i była pewna, że kierunek, który wybrała, jest najlepszym z możliwych.

– Co ty będziesz robić po tej socjologii? – pytała ją matka, kiedy złożyła dokumenty na uniwersytet.

– To samo, co ty po filozofii – odpowiadała jej Ewa z uśmiechem. – Będę żyć i pracować tam, gdzie mnie przyjmą.

– Ale ja nie chcę, żebyś musiała się tak męczyć jak ja, kiedy szukałam pracy. Miałam magistra w kieszeni i żadnego zawodu.

– I jakoś znalazłaś pracę, więc i ja znajdę.

Mama Ewy od dwudziestu lat pracowała w urzędzie miejskim, ale jej stanowisko nie miało nic wspólnego z kierunkiem, który skończyła. Przekładała papierki, wypełniała rubryki i odbierała telefon. Skoro to jej wystarczało, Ewa była pewna, że wystarczy także i jej.

W kwietniu, kiedy szła na konsultacje do swojego promotora, który sugerował jej pewne drobne zmiany w ostatnim rozdziale pracy magisterskiej, przechodząc obok kiosku, kupiła lokalną gazetę. A że do spotkania z profesorem miała jeszcze dobre pół godziny, usiadła w parku przed uczelnią i otworzyła gazetę. Prawdę powiedziawszy chciała poszukać ogłoszeń o pracy. Myślała o tym już od pewnego czasu. Gdy szukała rubryki z anonsami, jej uwagę przykuł pewien artykuł. Pisali o szokującym znalezisku, jakiego strażnicy miejscy dokonali przy śmietniku jednego z osiedli. Obok artykułu zamieszczono zdjęcie kartonowego pudełka ze szczeniakami. Okazało się, że jakiś nieludzki właściciel wyrzucił szczeniaki, których najprawdopodobniej nie udało mu się sprzedać. Pieski wyglądały na już odchowane, więc logiczne było, że ktoś nie pozbył się ich od razu po urodzeniu, ale próbował na nich zarobić. A skoro to się nie powiodło, sięgnął po najłatwiejsze rozwiązanie: zapakował do pudełka i zostawił pod śmietnikiem.

Ewa była tak poruszona opublikowaną historią, że natychmiast zadzwoniła do schroniska z zapytaniem, czy znaleźli się już nowi właściciele dla szczeniaków. Okazało się, że zostało już tylko jedno zwierzątko, najmniejsza suczka, której nikt nie wziął z obawy, że jest na coś chora.

Nie zastanawiała się ani chwili.

Po spotkaniu z promotorem, na którym w ogóle nie mogła się skupić, bo w głowie miała już tylko jedną sprawę, pojechała od razu do schroniska dla bezdomnych zwierząt, gdzie czekała na nią Łapka. Imię wymyśliła w autobusie, mając przed oczami zdjęcie szczeniaków w gazecie, na którym najmniejszy z piesków wystawiał przednią łapkę z pudełka, jakby chciał koniecznie z niego uciec.

Kiedy pierwszy raz zobaczyła Łapkę, wiedziała już, co ludzie mają na myśli, mówiąc, że ktoś zakochał się od pierwszego wejrzenia. Tak właśnie stało się z Ewą. Piesek był nie dość, że maleńki, to jeszcze niezwykle uroczy. Kiedy Łapka zobaczyła swoją nową właścicielkę, od razu zamerdała ogonem, który od tej chwili chodził jej w lewo i w prawo bez przerwy, jakby miał się urwać. Ewa kucnęła i pozwoliła, by szczeniak lizał jej dłoń.

– Jak ktoś mógł w ogóle cię wyrzucić? – zapytała głośno.

– Pani zdaje sobie sprawę, że ze szczeniakiem jest sporo kłopotów? – zapytał ją pracownik schroniska.

– Kłopoty to są z ludźmi, proszę pana – odpowiedziała mu. – Jeżeli ktoś tak traktuje zwierzęta, to aż boję się pomyśleć, jaki ma stosunek do ludzi.

I tak Łapka zamieszkała z Ewą.

Mama Ewy, która mieszkała w pokoju za ścianą, miała oczywiście na początku pewne opory, ale już po kilku chwilach spędzonych z Łapką wszelkie obawy przysły. Tego psa po prostu nie dało się nie lubić. Łapka potrafiła skraść serce każdemu, nawet niemiłemu sąsiadowi z parteru, któremu wszystko przeszkadzało i denerwowały go nie tylko psy, ale również dzieci. Odkąd poznał Łapkę, uspokoił się i zaczął zauważać inne

rzeczy na świecie, a nie tylko te, które załazyły mu za skórę.

– Wiesz, że ja nigdy nie zgadzałam się na żadne zwierzę – powiedziała jej mama pewnego listopadowego dnia, kiedy spacerowały z Łapką po parku.

– Wiem, mamó, nigdy. Nawet kiedy tata umarł i ja tak strasznie płakałam, powiedziałaś, że mamy wystarczająco dużo kłopotów i nie potrzebujemy kolejnego.

– Przepraszam... – Chwyciła córkę za ramię – Człowiek się zmienia, i ja też się zmieniałam. Wtedy wydawało mi się, że pies to same problemy.

– A teraz co myślisz?

– Teraz wiem, że się myliłam. – Spojrzała na ich psa, który podbiegł do drzewa i zaczął je intensywnie obwąchiwać. – Gdyby ktoś wtedy powiedział mi, że w taki pochmurny, jesienny dzień będę spacerować po parku, tobym się popukała w głowę.

Ewa zaśmiała się głośno.

– No widzisz, co ten pies z tobą zrobił, mamó?

– Widzę. I sama nie mogę w to uwierzyć. A wcześniej, kiedy nie miałyśmy Łapki, patrzyłam przez okno na pana Tadeusza, wiesz, tego spod szóstki. Wychodził z tym swoim bokserem, nawet jak lało i grzmiało. A ja głupia, cieszyłam się, że przynajmniej nie mam takiego kłopotu i mogę sobie siedzieć w ciepełku. Boże, jaki człowiek był kiedyś dziwny. I wygodny! – dodała po chwili. – Wielka mi rzecz wyprowadzić psa, gdy pada deszcz.

– I można się trochę poruszać – powiedziała Ewa.

– Żebyś wiedziała. Ja nie mam teraz wiele okazji do tego, żeby tak sobie spacerować po parku. I w ogóle nie przychodziłam tu od lat. – Rozejrzała się wokół. Aleja parkowa wysadzona była starymi dębami, które szeleściły na wietrze listkami w rudym, prawie brązowym odcieniu. – Ostatni raz byłam tu z tobą. Tak! To przecież w tym parku stawiałaś swoje pierwsze kroczki.

– Naprawdę?

– Przychodziliśmy tu z twoim ojcem często. On pchał wózek, a ja kupowałam lody w takiej drewnianej budce pomalowanej na zielono. Już jej tu nie ma. Teraz wszędzie są kawiarnie, a dawniej lody sprzedawało się z takich budek. Boże, ile się rzeczy zmieniło od tamtego czasu... – Zamyśliła się.

– To musiały być dla ciebie piękne chwile – powiedziała Ewa. – Dla ciebie i dla taty.

– Najpiękniejsze lata. Aż żal serce ściska, że przestałam odwiedzać ten park. Nie wiem, dlaczego tak się stało.

– Może po prostu nie miałaś z kim tutaj przychodzić?

– Może...

– Łapka! – Ewa zawołała głośno psa, który pobiegł w krzaki i po chwili w nich zniknął. – Czego ten pies może tam szukać?

– Przygód – odpowiedziała jej z uśmiechem mama.

Po chwili Łapka wybiegła spod pozbawionego już liści żywopłotu. W wąskim pyszczku trzymała piłeczkę tenisową. Piłka była cała ubrudzona błotem, mimo to pies zachwycony znalazł się bez przerwy merdał ogonem.

– Łapka, zostaw! – zawołała natychmiast Ewa. – To nie twoje!

– Bardzo panią przepraszam, ale pani pies porwał właśnie piłkę naszej Funi.

Obydwie odwróciły się zaskoczone w stronę żywoplotu, za którym stał starszy mężczyzna ubrany w grubą pikowaną kurtkę, choć tego dnia wcale nie było tak zimno.

– Bardzo pana przepraszamy – odpowiedziała szybko mama Ewy. – Łapka, oddawaj!

– Nasza Funia uwielbia łapać piłki. Panie też rzucacie? – zapytał mężczyzna.

– Nie za bardzo – odpowiedziała Ewa.

– Nasza Funia to wyżeł, ma duszę łowcy, wiadomo, to pies myśliwski, więc kocha polowania – opowiadał właściciel Funi, nie kryjąc dumy.

– Jakim cudem więc dała sobie odebrać piłkę? – zdziwiła się Ewa.

– Po prostu bywa czasem trochę rozkojarzona – chrząknął.

Ewa tymczasem wyjęła z pyszczka Łapki piłkę i oddała ją mężczyźnie.

– Mam nadzieję, że nie jest zbyt mocno zabłocona – powiedziała.

– Funia uwielbia skakać przez kałuże. Potem musimy ją kąpać w garażu, żeby nie niosła na dywany błota. A pań pies to zdaje się bezrasowiec?

– Słucham...? – Ewa się skrzywiła. – Ależ to jest kundelek, najzdrowsza rasa, bo nie sztuczna, tylko prawdziwa. Nie wiedział pan?

– Coś tam czytałem... – bąknął pod nosem.

– One zostały poczęte z prawdziwej miłości, a nie przez sztuczny dobór.

Mężczyzna puścił uwagę Ewy koło uszu i nie komentując, ukłonił się, po czym powiedział:

– Do widzenia, muszę gonić Funię. Miło było poznać panię.

– Do widzenia. Łapka, trzymaj! – Ewa rzuciła jej kawałek ułamanego patyczka, za którym pies pobiegł jak szalony. – Jak złapiesz, to masz prawo zdeptać błotem dywany.

– Też wymyślił z tymi dywanami! – Mama Ewy uśmiechnęła się pod nosem, po czym dodała: – Ale z tą prawdziwą miłością między psami to już przesadziłaś! – Skarciła ją wzrokiem.

– Co chcesz, taka prawda!

– Może i prawda, ale co ten biedny człowiek mógł sobie o nas pomyśleć? Że jesteśmy jakieś wariatki, w dodatku psiary.

– Ja też sobie o nim coś pomyślałam, mamo. Ale nie będę ci tego mówić, bo nie warto sobie psuć tak pięknego dnia. Wracajmy już do domu. Mam ochotę na gorącą herbatę.

– Z cytryną?

– Oczywiście. I z herbatnikiem!



Rok po skończeniu studiów Ewa znalazła wreszcie wymarzoną pracę. Mogła prowadzić badania społeczne w dużej firmie, która inwestowała w młodych pracowników po studiach. Była przeszczęśliwa, bo znalezienie w ich mieście pracy zgodnej z

wykształceniem wcale nie było takie proste. Mama Ewy nie mogła uwierzyć w szczęście córki. Niestety, praca skończyła się szybciej, niż obydwie myślały. Firma ogłosiła bankructwo i z dnia na dzień wszyscy pracownicy znaleźli się na bruku. Ci, którzy pracowali dłużej, dostali przynajmniej odprawy. Ewie przysługiwała jedynie równowartość trzech pensji.

– Dobrze i to – powiedziała mamie podczas kolacji, którą jadły wspólnie w ich maleńkiej kuchni.

– Jak ty teraz dziecko znajdziesz coś nowego?

– Mamo, jestem młoda, zdrowa i do tego wykształcona. No kto jak nie ja?

– Obyś się nie myliła.

Ewa szukała nowej pracy codziennie przez dwa tygodnie. Odwiedzała biura pośrednictwa pracy, wysyłała swoje CV i odpowiadała na większość ogłoszeń, które chociaż trochę były zbliżone do tego, co mogłaby robić. W końcu poddała się i zaczęła dzwonić tam, gdzie szukali sprzedawców. Po dwóch tygodniach bezowocnego poszukiwania pracy była gotowa myć okna, nawet brudną szmatą, byleby za to płacili. Jakież było jej zdziwienie, kiedy okazało się, że nawet do takiej pracy nikt nie chciał jej przyjąć.

I wtedy na portalu społecznościowym, na którym głównie śledziła zdjęcia swoich dawnych znajomych, przeczytała pozdrowienia swojego kolegi z liceum. Okazało się, że skończył farmację i wyjechał do pracy do Włoch. Zachwalał nowe życie, pogodę, jedzenie, a przede wszystkim warunki, jakie oferował mu włoski pracodawca. Jednym słowem wszystko wyglądało u niego jak w raju.

– Pewnie tak tylko opowiada, bo chciał się przed starymi kolegami czymś pochwalić! – stwierdziła mama Ewy, nie kryjąc swojego sceptycyzmu.

– Ależ, mamo! On nie należał do ludzi, którzy fantazjowali. Właśnie dlatego poszedł na farmację, bo lubił mocno stąpać nogami po ziemi. Przynajmniej takiego go zapamiętałam... – Ewa się zamyśliła. – Zobacz, jak dziwnie potoczyły się nasze losy. A ja ciągle mieszkam z tobą.

– I co on ma z takiego życia na emigracji? – Mama Ewy wzruszyła ramionami.

– Wygląda na to, że ma lepiej, niż gdyby został tutaj.

– Ale musiał wszystko zostawić, rodziców również, nie pomyślałaś o tym?

– Mamo, w pewnym wieku i czasie trzeba iść do przodu i odkrywać nowe lądy.

– Tutaj też jest jeszcze wiele rzeczy do odkrycia, dziecko.

– Ale tam za to samo odkrywanie przynajmniej lepiej płacą.

– Może i tak – powiedziała matka ze smutkiem. – Ale nie żyje się tylko dla pieniędzy. Na szczęście ty nie musisz nigdzie wyjeżdżać. Masz dach nad głową i nawet nie musisz dokładać się do rachunków. Czy jest ci tu źle? No sama powiedz.

Jednak po tej rozmowie przy kolacji Ewa długo nie mogła zasnąć. Myślała o tym, jak inne mogłoby być jej życie, gdyby odważyła się i wyjechała, by poszukać pracy gdzie indziej. Nie w innym mieście, nie w Warszawie, do której teraz wszyscy jechali, ale jeszcze dalej. A gdyby zrobić tak samo jak jej kolega? Gdyby tak wyjechać za granicę? Może nie do Włoch, bo jednak bariera językowa odstraszała ją skutecznie, ale na przykład do Anglii? W końcu znała język angielski jeszcze ze studiów i całkiem nieźle sobie z nim

radziła. Dużo pamiętała i co więcej, taki wyjazd pozwoliłby jej go utrwalić. Przecież teraz nie miała zbyt wielu okazji do posługiwania się tym językiem. Tylko co miałyby w takiej Anglii robić? I do kogo wyjechać? Przecież nie można pojechać całkiem w ciemno? Chociaż z drugiej strony ludzie tak właśnie robili, czytała przecież o takich przypadkach. Nawet ostatnio był jakiś amerykański film w telewizji o chłopaku, który wyjechał do Ameryki z pięcioma dolarami w kieszeni, bez znajomości języka, a zrobił fenomenalną karierę i został milionerem. Przecież Ewa znała język i miała pieniądze na początek.

Nie mogła zasnąć, więc wyciągnęła rękę do Łapki, która spała zwinięta w kłębek w jej nogach. Zaczęła ją delikatnie głaskać. Łapka miała ciepłe i miłe w dotyku futro, które układało się gładko pod palcami dziewczyny. Uspokajało to Ewę tak bardzo, że w końcu zasnęła.

Rankiem obudziło ją jak zawsze to samo: Łapka lizła ją po twarzy.

– Przestań, Łapka, uspokój się... – broniła się Ewa, ale pies był uparty i nie przestawał. – Dobrze już, dobrze. Wstaję.

I dopiero wtedy, kiedy pies był pewien, że Ewa mówi poważnie, zeskakiwał z łóżka i pędził truchcikiem do kuchni, nie odrywając oczu od swojej pani. Ewa w tym czasie otwierała szafkę i wyjmowała pudełko z karmą, które przechylała nad miską Łapki.

Uwielbiała na nią patrzeć. Pies był niewielki i sięgał jej do połowy łydki. Miał zadziorny wzrok i jedno ucho nieco bardziej oklapnięte od drugiego, co tylko dodawało mu uroku.

– Jak mogłabym cię zostawić? – powiedziała głośno.

– Wybierasz się gdzieś? – Ewa usłyszała głos matki za plecami. – Nie wiedziałam, że już wstałaś, w końcu jest sobota.

– Łapka nie dała mi poleżeć dłużej.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytała ponownie mama, ziewając.

– Nie. Dlaczego?

– Usłyszałam, że tak właśnie mówiłaś do psa.

– Ach, to... – Uśmiechnęła się, siadając przy kuchennym stole. – Tak sobie powiedziałam, pod nosem.

– Tylko mi nie mów, że znowu chodzi ci po głowie ten wyjazd za granicę?

– A jeśli nawet, to co?

– Ewa, to nie dla ciebie.

– Skąd to możesz wiedzieć, mamo?

– Bo cię znam. – Usiadła naprzeciwko niej i zaczęła kroić chleb na śniadanie. – Zostałaś tutaj wychowana i tu jest twoje miejsce.

– Czasy się zmieniły, mamo. Ludzie szukają swojego miejsca na ziemi na drugim końcu świata.

– I ty też byś tak chciała? Rozumiem, że ci to imponuje?

Ewa wyjęła masło z lodówki i zaczęła smarować nim kromki.

– Mamo, nie mogę tu znaleźć pracy, nie stać mnie na mieszkanie, przecież nie mogę całe życie mieszkać z tobą.

– Dlaczego nie? Spiesz ci się gdzieś? – Matka kładła na kanapki plasterki żółtego sera. – Rozumiem, gdybyś kogoś miała. Ale samej mieszkać i płacić za wszystko to jest

bez sensu.

- Chciałabym po prostu spróbować. A bez pracy nie uda mi się to.
- Ale czy od razu trzeba jechać tak daleko? Nie wystarczy do Warszawy albo do

Poznania?

- Czasami trzeba skoczyć na głęboką wodę, mamó.
- Oby tylko to się nie skończyło utonięciem, czego oczywiście ci nie życzę.
- Mamó!
- Już dobrze, dobrze. Zrobisz, jak zechcesz, jesteś w końcu dorosła.

Weekend spędziły na działce. Nie było to nic wielkiego, ot zwyczajna działka pracownicza. Przejęły ją po babci. Kilka metrów ziemi, którą co wiosnę trzeba było porządnie skopać, a potem regularnie podlewać. Mama Ewy uwielbiała spędzać czas, pochylając się nad zasadzonymi w równych rzędkach warzywami. Pielęła je, usuwała zeschnięte liście, a kiedy przychodził czas zbiorów, z dumą prezentowała sąsiadom najcenniejsze, najdorodniejsze pomidory i cukinie, którymi chętnie się z nimi dzieliła. Ewa pomagała jej, jeśli tylko miała wolną chwilę, chociaż nie przepadała za pieleniem grządek. Woląла przebywać wśród kwiatów rosnących po drugiej stronie ich małej, drewnianej altanki. Kwiaty nie wymagały aż takiej troski jak warzywa. Przyjemnie się na nie patrzyło, nie mówiąc już o picciu herbaty w tak pięknych warunkach. W letnie dni Ewa rozkładała koc na trawie i czytała książki tuż przy różanych krzewach. Łapka zazwyczaj kładła się obok niej, chociaż nie wytrzymała zbyt długo takiego leżenia na słońcu i po chwili uciekała z wysuniętym językiem w cień. Ewa wystawiała twarz do słońca, bo lubiła naturalną opaleniznę. I nawet nie przeszkadzały jej pszczoły, które często przelatywały koło nosa. Na działce panował tak idylliczny spokój, że zdawało się jej nie raz, iż czas się tam zatrzymywał.

Wieczorem zrywały z mamą pomidory, które dojrzewały w słońcu przez cały dzień, i z koszykami pełnymi dorodnych warzyw biegły na przystanek, by wrócić do domu. Po dniu spędzonym na działce sen zawsze przychodził bez problemów.

W poniedziałek z samego rana Ewa postanowiła odwiedzić biuro pośrednictwa pracy, gdzie była zarejestrowana od jakiegoś czasu. Kiedy stanęła w otwartych drzwiach, od razu zobaczyła wzrok pracownika biura, który znał ją już doskonale.

– Niestety, nie mamy dla pani nic nowego – powiedział. – Ale zwolniło się miejsce w mleczarni pod miastem. Może zechciałaby pani zerknąć? Tylko że tam trzeba by dojeżdżać i to jest praca fizyczna.

- Fizyczna, mówi pan? – powiedziała, podchodząc do jego biurka.
- No właśnie.
- Mówił pan coś ostatnio o pracy w Norwegii czy Szwecji, prawda?

Mężczyzna spojrzał na nią osłupiały.

- Ale z tego co pamiętam, nie była pani zainteresowana pracą za granicą?
- Bo wtedy faktycznie nie byłam.
- Rozumiem.

Pracownik biura szybko spojrzał w komputer.

- Mam ofertę pewnej firmy z Liverpoolu, to znaczy z Anglii.
- Naprawdę? – ucieszyła się.

– Tak, ale tam szukają osób do pracy w fabryce.
– Wspaniale.
– Tak pani myśli? – Zmarszczył czoło. – Nie sędzę, żeby pani długo w takiej pracy wytrzymała. O, jest jeszcze coś z angielskiej farmy, na której mogłaby pani zrywać kapustę.

– Bardzo lubię warzywa! – dodała.
– Jeść, ale chyba nie zrywać?
– Przynajmniej jest to praca na świeżym powietrzu – broniła się.
– Owszem, ale od bladego świtu, w deszczu, który, jak pani zapewne wiadomo, w Anglii lubi padać całkiem często.

– Ale chyba daliby mi jakieś kalosze?
– Kalosze tak, ale o parasolce może pani zapomnieć. – Chrzęknął. – Nie da się zrywać kapusty jedną ręką. Proszę pani, to jest ciężka praca fizyczna, a pani jest z miasta, po studiach humanistycznych...

Słyszając to, miała ochotę się zwyczajnie i po dziewczynsku rozplakać. Domyślała się, że skończenie studiów humanistycznych nie gwarantuje jej żadnej konkretnej pracy w przyszłości. Ale nie wiedziała, że sytuacja jest aż tak beznadziejna.

– No to co mogłabym w tej Anglii robić? – zapytała załamany głosem.
Mężczyzna westchnął, po czym powiedział:
– Najszybciej to chyba znalazłaby pani pracę w restauracji.
– W restauracji? – powtórzyła. – Ale ja nie umiem gotować.
– A kto mówi o gotowaniu? Ma pani młode nogi i mogłaby pani pracować jako kelnerka.

– W zasadzie mogłabym. A dałoby się z tego wyżyć?
– Jeszcze jak! Z napiwków miałaby pani drugą pensję. To co, jest pani zainteresowana taką ofertą?

– To pan ma ofertę z restauracji w... Anglii? – spytała wyraźnie zaskoczona.
– Powiedzmy, że coś takiego dla pani zorganizuję.
– Naprawdę?
– Po prostu nie mogę już na panią dłużej patrzeć.
Ewa spojrzała na niego ze zdziwieniem.
– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie to chciałem powiedzieć, oczywiście – tłumaczył się. – Po prostu nie mogę patrzeć, że taka młoda, wykształcona osoba nie może sobie znaleźć żadnej pracy...

– No przecież przychodzę do pana biura regularnie.
– Wiem, wiem. – Ponownie chrzęknął. – Teraz jest najwyraźniej jakaś zapaść na lokalnym rynku pracy, dlatego znajdę dla pani coś w Londynie.
– Obiecuję pan? – zapytała z niedowierzaniem.

Tego dnia wracała do domu jak na skrzydłach i pomyślała nawet, że ludzie nie bez przyczyny wymyślili takie powiedzenie. Przecież właśnie tak się czuła, jakby urosły jej pióra, które niosły ją ponad ziemią! Szła tak lekko i swobodnie, że nawet buty, które cały ranek ją obcierały, były teraz bez znaczenia. Wstąpił w nią nowy duch, nowa nadzieja,

która pozwoliła spojrzeć jaśniej w przyszłość. Wyjazd do pracy za granicę potraktowała jako przygodę i szansę, która już może się nie powtórzyć.

Pozostało tylko o wszystkim powiedzieć mamie. I to zdawało się obecnie o wiele trudniejsze niż kupno biletów do Anglii i znalezienie mieszkania.

– Widzę, że już się zdecydowałaś – powiedziała mama do Ewy po powrocie z pracy.

– Mamo, przecież rozmawialiśmy.

– Tak, wiem.

Matka Ewy postawiła siatkę z zakupami na krześle w kuchni. Nawet nie zdążyła jeszcze umyć rąk, ale po minie córki i jej błyszczących oczach poznała od progu, że coś się stało.

– I myślisz, że to będzie dla ciebie dobre? – spytała bez entuzjazmu. – Po to kończyłaś studia, żeby teraz ludziom kawę podawać?

– Mamo, to uczciwa praca i w dodatku dobrze płatna. Od czegoś trzeba zacząć.

– Tylko żebyś nie została w tym cateringu do końca życia.

– Na pewno w przyszłości znajdę coś lepszego.

– To ty zamierzasz *tam* zostać w... przyszłości? – Mama Ewy była wyraźnie zaniepokojona.

– Miałam na myśli rok, najwyżej dwa.

– Ewa, po co ci to?

– Już ci mówiłam – odparła, rozpakowując siatki. – Podszkolę język, poznam Londyn. Z takim zapleczem dużo szybciej znajdę atrakcyjną pracę po powrocie do Polski.

– Tak, tak. – Matka pokiwała głową. – Ileż to ja takich historii już się nasłuchałam. A potem czas leci i nim się człowiek obejrzy, osiedla się za granicą. Tego sobie, wybac, ale nie wyobrażam.

– Ja także, mamo.

– I w ogóle, gdzie ty się tam zatrzymasz? Gdzie będziesz mieszkać?

– O nic się nie martw, mamo – próbowała uspokoić matkę.

– Jak mam być spokojna, skoro jedziesz w nieznane.

– Już znalazłam całkiem tani hotelik.

– Jak to, znalazłaś? – powtórzyła z niedowierzaniem matka. – Jak?

– Normalnie, mamo. W internecie znalazłam.

Matka machnęła ręką.

– No, tak – westchnęła. – Teraz wszystko załatwiacie przez ten internet. Nie to, co dawniej. Trzeba było zatelefonować, mapę kupić. Nie nadążam za tym waszym światem.

– To jest także twój świat, mamo.

– Jakoś mi coraz trudniej w to uwierzyć. Teraz żyje się całkiem inaczej niż w czasach młodości mojej i twojego ojca.

Zawisło między nimi niewygodne milczenie. Temat ojca zawsze był bolesny, jego nagła śmierć pozostawiła w ich sercach niezagojoną ranę. Ewa nie chciała o nim rozmawiać, nie teraz.

– No więc zatrzymam się w tym hoteliku na początek – powiedziała, wracając do tematu. – A potem wynajmę jakiś pokój.

– I mówisz to wszystko z takim spokojem...

– A jak mam mówić?

Matka rozejrzała się wokół.

– Całe życie mieszkałaś w tych czterech ścianach – dodała.

– I czas najwyższy to zmienić!

– Dziecko, ja rozumiem, że cały świat stoi przed tobą otworem, ale ja mam tylko ciebie jedną. Nie zapomnij o swojej starej matce. No i o Łapce nie zapomnij w tym Londynie.

I wtedy poczuła, że coś zaczyna drapać ją w gardle.

– Jak ja ją tutaj zostawię... – jęknęła.

– Przecież zostawiasz ją w dobrych rękach! – oburzyła się mama. – Poza tym, będzie nam tutaj raźniej we dwie. Poczekamy, aż wrócisz na dobre, prawda, Łapka?

Pies, słysząc to, zamerdał ochoczo ogonkiem.

Ewa miała łzy w oczach, patrząc na jej wąski pyszczek i oczy, które przypominały dwa okrągłutkie węgielki. Tak bardzo się z nią zżyła, że sama myśl o rozstaniu z suczką, sprawiała jej ból. „Życie bywa okrutne” – pomyślała, ale nie miała odwagi, by powiedzieć to na głos.

– Wróć do was – powiedziała, całując Łapkę w pyszczek. – Czas szybko zleci.



Pierwsza praca, w której Ewa zaczęła się na początek, okazała się nieporozumieniem. Właściciel kawiarni chciał, żeby Ewa oprócz podawania kawy i ciastek, również sprzątała, zmywała naczynia i najlepiej, gdyby jeszcze do tego piekła ciasta i w ogóle nie chodziła spać. Zmiana trwała od bladego świtu do późnej nocy. Ponieważ kawiarnia znajdowała się przy teatrze, klienci przychodzili nawet przed północą, kiedy spektakle się kończyły. Miało to oczywiście swoje dobre strony, bo dzięki temu do kieszeni Ewy wpadały napiwki. Jednak w pewnym momencie okazało się, że tej pracy jest po prostu za dużo, o wiele za dużo jak na barki jednej Ewy. Poza tym, Ewa nie zdążyła nawet zobaczyć miasta, bo ciągle była w pracy. Nie podobało się jej to i postanowiła poszukać czegoś innego. I tak wytrzymała w tej pracy dwa miesiące, co uznała za swój życiowy rekord. W tym czasie schudła całe pięć kilo, co mama zauważyła od razu, kiedy rozmawiały na Facetimie. Lubiła taką formę komunikacji z nią, bo dzięki temu mogła na ekranie telefonu zobaczyć również ukochaną Łapkę.

– Ewa, czy w tej Anglii nie dają ci jeść?! – Mama była przerażona.

– Mamo, przecież wiesz, że zawsze chciałam schudnąć, więc wybaczone, ale nie będę z tego powodu narzekać.

– Ty się, dziecko, przepracowujesz w tym Londynie. Ja rozumiem, że Anglicy uwielbiają tę swoją herbatę z mlekiem, ale bez przesady. Musisz o siebie bardziej dbać, bo zostaną z ciebie tylko skóra i kości!

– Nie ma obawy, mamo. Lepiej powiedz, co tam u was?

– Nic się nie dzieje – stwierdziła. – Chodzimy sobie do parku, jesień już przyszła. Ale opowiadaj, co u ciebie, jak Londyn?

– Też chciałabym wiedzieć – westchnęła. – Muszę zmienić pracę, bo nie mam czasu go nawet zwiedzić. Ale przynajmniej język sobie podszkoliłam i teraz nie wstydę się już odzywać po angielsku.

– No przecież miałaś angielski na studiach!

– Mamo, ale tutaj to jest zupełnie co innego. Oni mówią z takim akcentem, że na początku w ogóle ich nie rozumiałam. Ale teraz idzie mi już lepiej.

– Jesteś taka zdolna, Ewo, że na pewno już niedługo będziesz miała taki sam akcent jak oni.

Ewa postanowiła nie komentować słów mamy.

Następnego dnia oznajmiła szefowi, że będzie musiał poszukać sobie kogoś nowego na jej miejsce. Na początku nieco się zdziwił, ale po chwili zapytał, czy Ewa nie ma jakiejś koleżanki na swoje miejsce.

– Pierwszy raz zatrudniłem Polkę – powiedział. – Zaryzykowałem i nie żałuję. Jeśli wszyscy z waszego kraju mają takie podejście do pracy, to chętnie zatrudnię kogoś z twojego polecenia.

Ewa podziękowała za komplement i powiedziała, że nie zna nikogo i będzie musiał sam się tym zająć. Szczerze powiedziawszy, nawet gdyby kogoś takiego znała, to nie poleciłaby mu tego miejsca. Szef był bardzo wymagający i płacił niewiele. Gdyby nie napiwki, Ewa ledwie uzbierałaby na opłacenie pokoju. A przecież przyjeżdżając tu, nie o to jej chodziło. Miała plan, żeby znaleźć lepszą pracę i lepszy pokój, bo ten, w którym mieszkała do tej pory, w ogóle jej się nie podobał. Jej współlokatorki sprowadzały do swoich pokoi coraz to nowych kolegów, z którymi imprezowały do białego świtu. Ewa nie zwracała im uwagi na hałasy, bo byli dorośli i w końcu mogli robić, co tylko chcieli. To Ewa musiała poszukać sobie czegoś nowego.

W darmowej, polskiej gazecie, którą znalazła przy ladzie polskiego sklepu, w którym robiła zakupy raz w tygodniu, zauważyła ogłoszenie polskiego biura pośrednictwa pracy. To właśnie w nim poznała swoje nowe współlokatorki, Lidkę i Iwonę.

Od razu przypadły sobie do gustu i znalazły wspólny język. Łączyło je nie tylko to, że wszystkie przyjechały z Polski, ale również to, że szukały i pracy, i mieszkania.

– A może zamieszkamy razem? – zaproponowała Lidka. – Właściwie nie znamy się, ale wyglądacie na całkiem normalne.

– Jesteś pewna, że nie okazemy się dla ciebie za nudne? – spytała Iwona. – Wyglądasz na raczej szaloną dziewczynę.

– Ja już się wyszalałam – odpowiedziała jej na to. – Teraz interesują mnie tylko poważne oferty.

Wszystkie roześmiały się, co było znakiem, że faktycznie chyba do siebie pasowały. Były samotne, młode i ciekawe świata. Tamtego dnia żadnej z nich nie udało się znaleźć nowej pracy, ale przynajmniej odnalazły siebie. Od tej pory zamieszkały razem i wspólnie pokonywały problemy codziennego dnia, z którymi musi zmagać się każdy człowiek przebywający na emigracji. W trójkę było im znacznie łatwiej. Nie miały w Londynie nikogo, ani rodziny, ani znajomych, co bardzo zbliżyło je do siebie.

Jeszcze w tym samym tygodniu znalazły przytulne mieszkanie położone w północnej części miasta. Nie było drogie i każda z nich mogła zamieszkać w osobnym pokoju. Nie zastanawiały się ani chwili dłużej. I tak zostały trzema współlokatorkami mieszkającymi na trzecim piętrze, w trzeciej strefie Londynu.

W tym czasie wszystkie trzy znalazły pracę, która im odpowiadała. Iwona, jako wykwalifikowana pielęgniarka, opiekowała się staruszkami w brytyjskim domu opieki. Lidka sprzątała biura, bo twierdziła, że przynajmniej w tej pracy nie musi podszkalać swojego angielskiego i nikt się jej nie czepia. Ewie natomiast udało się zostać recepcjonistką w małym hoteliku na Covent Garden. Praca nie była ciężka i w przeciwieństwie do Lidki cieszyła się, że ma okazję do szlifowania języka. Goście hotelowi przyjeżdżali z całego świata i Ewa nie tylko przydzielała im pokoje, ale musiała również udzielać podstawowych informacji o Londynie. Podobało się jej w tej pracy, bo uwielbiała mieć kontakt z ludźmi, którym mogła w jakiś sposób pomóc. Goście także ją lubili, bo była miła i zawsze uśmiechnięta. Od czasu do czasu zdarzali się też turyści z Polski, którzy byli zachwyceni faktem, że w obcym kraju mogą o wszystkim porozmawiać z kimś na recepcji w swoim ojczystym języku. Poza tym mieli większe zaufanie do Ewy niż do angielskich pracowników i to zawsze właśnie u niej zasięgaliby języka i pytali o najciekawsze zakątki Londynu, które warto było odwiedzić.

– I co ty im wtedy mówisz? – dziwiła się mama. – Przecież sama przyznałaś się, że nie miałaś jeszcze za dużo czasu, żeby ten Londyn porządnie zwiedzić.

– W tej pracy na szczęście mam jeden dzień w tygodniu wolny, więc staram się wychodzić z domu, mamo.

– Poczekaj, poczekaj... – przerwała jej. – Powiedziałaś jeden dzień.

– No tak!

– Czyli to nie jest... niedziela?

– Mamo. – Ewa westchnęła do telefonu. – Pracując w branży turystycznej, trzeba być *flexible*...

– A co to znaczy?

– Trzeba się dostosować, być elastycznym. Akurat tak się składa, że w niedzielę mamy sporo gości i to jest dla hotelu ważny dzień. Mam wolne wtorki, jeśli cię to interesuje.

– We wtorek przynajmniej muzea są otwarte.

– W Londynie muzea otwarte są nawet w poniedziałki, mamo. Tutaj pracuje się na okrągło, nawet w Wigilię.

– Co ty powiesz? – zdziwiła się. – A wracając do mojego pytania, to skąd czerpiesz taką wiedzę o tym mieście, żeby polecać ciekawe miejsca turystom?

– Już ci mówiłam, że sama zwiedzam. A poza tym powiem ci w sekrecie, że najwięcej o Londynie dowiedziałam się od naszego pana Petera.

– A kto to jest? Nie wspominałaś mi o nim wcześniej.

– To nasz portier hotelowy. Ma już swoje lata, ale nadal nieźle się trzyma. Urodził się w Londynie i jak sam mówi, to miasto nie ma przed nim tajemnic. Kiedy siedzimy sobie na przerwie na lunch i pijemy herbatkę...

– Z mlekiem? – wtrąciła zaciekawiona opowieścią matka.

– On z mlekiem, a ja bez. No więc opowiadamy sobie. On lubi słuchać o Polsce, a ja o Londynie. Wiesz, że jego dziadkowie przyjechali z Polski do Londynu?

– Naprawdę?

– Tak, to było w czasach kryzysu w latach trzydziestych ubiegłego stulecia. Powiedział nawet, że całe wsie wyjeżdżały wtedy z Polski za ocean. A jego dziadkowie woleli osiedlić się bliżej, czyli w Europie. Tak im się wtedy zdawało, że będzie bliżej, a koniec końców okazało się, że już nigdy do Polski nie wrócili.

– No popatrz, jakie te nasze polskie losy są pogmatwane.

– To prawda – zgodziła się Ewa. – I wyobraź sobie, że Peter nie zna nawet jednego słowa w języku, którym posługiwali się jego dziadkowie. Chociaż nie – poprawiła się. – Zna jedno zdanie. „Na zdrowie”.

– A tak. To akurat, zdaje się, wszyscy obcokrajowcy znają.



Dni mijały Ewie szybko.

Londyn, pomimo upływającego czasu, nie przestawał jej zachwycać. Miasto było tak ogromne, że nie sposób było się w nim nudzić. Ewie najbardziej przypadło do gustu to, że większość galerii i muzeów można było zwiedzać całkowicie bezpłatnie. Nareszcie udało się jej pojechać do miejsc, w których wisały dzieła najwybitniejszych artystów i zobaczyć je, w dodatku za darmo. Kto by nie skorzystał z takiej okazji! W słoneczne dni, które czasem zdarzały się nawet w tym deszczowym bądź co bądź mieście, jeździła pod Buckingham Palace, gdzie mieszkała rodzina królewska. Lubiła włóczyć się po parku otaczającym pałac. W Hyde Parku siadała na ławce nad brzegiem jeziora i rzucała kawałki sałaty kaczkom. Tak, sałaty, a nie suchej bułki, jak pouczył ją pewnego dnia pracownik parku.

– Kaczki wcale nie lubią chleba, proszę pani – powiedział uprzejmym głosem. – Ludzie nie wiedzą, że im najbardziej smakują warzywa, a za gotowaną kukurydzą wprost przepadają!

Od tamtej pory Ewa przynosiła im to, co sama włożyłaby sobie do kanapki, i zauważyła, że kaczki, zadowolone, zjadały nawet plasterki pomidorów.

Lubiła je karmić, bo to przypominało jej o ukochanym psie, który został w Polsce. Oczami wyobraźni zobaczyła dawną siebie, jak co rano napełnia miskę Łapki karmą, by patrzeć, jak po chwili psina zachwycona śniadaniem merda ogonkiem.

– Nie tak szybko, bo się udławisz! – karmiła ją Ewa. – Przecież nikt ci tej miski nie zabierze!

Jednak instynkt, który prawdopodobnie Łapka zachowała w sobie jeszcze z czasów, kiedy psy nie były udomowione i mieszkały w lasach z wilkami, podpowiadał jej, że strawę należy zjeść jak najszybciej i bez gadania, a raczej szczekania.

Tęskniła za nią. Tęskniła za głaskaniem jej, za wyprowadzaniem na spacer i w ogóle za przebywaniem razem z nią. I zawsze obiecywała sobie w myślach, że gdy

pojedzie wreszcie z wizytą do Polski, to zagłaska Łapkę na śmierć.

Zauważyła, że Anglicy również kochają psy. Często widziała właścicieli spacerujących po mieście ze swoimi pupilami. Zaskoczyło ją to, że w Londynie psy mogły wchodzić razem ze swoim panem czy panią nawet do pubu. W wielu kawiarniach przy drzwiach były wystawione miski ze świeżą wodą dla czworonogich pupili, którzy towarzyszyli gościom restauracji.

Przyjeżdżając do Londynu, Ewa nie spodziewała się, że zamiast Anglików na ulicach spotykać będzie w zasadzie samych przyjezdnych, czy to turystów, czy to ludzi, którzy przeprowadzili się tu za pracą, podobnie jak ona.

Liczba mieszkających w nim osób, które pochodziły z najbardziej odległych zakątków świata, fascynowała ją. Codziennie na ulicy w drodze do pracy spotykała kogoś, kto wyglądał, jakby pochodził z innego świata. A przecież to byli tacy sami ludzie jak ona, o innym kolorze skóry i fakturze włosów, w innych, bardziej kolorowych ubraniach, ale wciąż to byli po prostu ludzie. Lubiła różnorodność Londynu i uważała, że właśnie to dodaje niezwykłego uroku ulicom i piętrowym autobusom, które tak uwielbiali turyści.

Nim się obejrzała, stuknął jej trzeci rok pobytu nad Tamizą.

Pewnego wieczoru, kiedy siedziała na kanapie obok swoich współmieszkanek, oglądając jakiś stary film, zapytała, czy myślały o powrocie do Polski.

– Ja to w ogóle nie chciałam kiedyś wracać – powiedziała Lidka. – Niby do czego miałabym wrócić? Na wieś, gdzie wszyscy pamiętali mojego pierwszego męża? Wiecie, jak u nas się patrzy na rozwódki, w dodatku takie młode.

– Nie wierzę – powiedziała Iwona. – Mówisz, jakbyśmy żyli w średniowieczu!

– W moich stronach to o średniowieczu jeszcze nawet nikt nie słyszał – stwierdziła.

– Tam nadal trwa epoka kamienia łupanego. Wiercie mi lub nie, ale u nas mówią, że lepiej być z byle jakim chłopem niż z żadnym. Nawet według mojej babci dom bez kalesonów suszących się na sznurze to nie dom. Tak samo zresztą mówi o rodzinach bez dzieci, że to niby nie rodzina. To ja się jej pytam, co to jest w takim razie, babciu?

– I z tego powodu nie będziesz wracać? – zapytała w końcu Ewa.

– Nie wiem. – Lidka wzruszyła ramionami – Nie mam do czego wracać, a tutaj przynajmniej nikt mi głowy nie zawraca. A ty?

– Właśnie zaczęłam się ostatnio nad tym zastanawiać – powiedziała. – Przyjechałam tu, żeby podszkolić język. No to podszkoliłam. I jeszcze, żeby coś odłożyć. Też mi się to udało. Więc po co tu dłużej siedzieć?

– Ja to bym wróciła choćby dzisiaj – stwierdziła Iwona. – Tylko że ja nie mam do czego. Ani domu, ani rodziców, u których mogłabym zamieszkać, jednym słowem bida z nędzą. Zazdroszczę wam, że macie kogoś, kto na was czeka.

– Na mnie nikt nie czeka! – poprawiła ją Lidka, obierając nożem jabłko ze skórki.

– Co najwyżej czekają na moje pieniądze. I prezenty z Londynu! Na to oni bardzo czekają.

– No widzisz, a ja nie mam nawet komu tych prezentów wysłać czy zawieźć.

– Smutne to nasze życie, co dziewczyny? – powiedziała Ewa pod nosem.

– Mów za siebie – odfuknęła jej na to Lidka. – Mnie tam jest wszędzie dobrze. Nie tu, to gdzie indziej. I jedno wam powiem, dziewczyny: wszędzie dobrze, gdzie nas nie

ma. Nie ma co narzekać.

– Masz rację.

Tamtej nocy Ewa długo nie mogła zasnąć. Rozmyślała, co by było, gdyby teraz wróciła do Polski i znowu zamieszkała z matką. Czy zmieniłoby się cokolwiek na lepsze? Podobno sytuacja na rynku pracy znacznie się poprawiła i nie było już tak tragicznie, jak wtedy, kiedy Ewa wyjechała z kraju. Może nadeszła pora na powrót? „Przecież nie można całej młodości spędzić w wynajmowanym pokoiku” – pomyślała i zamknęła zmęczone powieki.

Następnego dnia zupełnie niespodziewanie dostała awans w pracy. Szefowie hotelu uznali, że Ewa nie tylko będzie pracować na recepcji, ale zostanie jej kierownikiem i od tej pory może zatrudnić jeszcze dwie dodatkowe osoby, by przejęły część jej dotychczasowych obowiązków. W zamian za to Ewa miała zająć się nadzorowaniem pokojówek.

– Przecież co druga z nich pochodzi z Europy Wschodniej – powiedziała szefowa.

– Tobie będzie łatwiej się z nimi dogadać.

– Ale ja nigdy nie przyjmowałam ludzi do pracy – broniła się.

– To nic trudnego. Nauczysz się. Ja nie dam rady już dłużej się tym zajmować, bo mamy od niedawna drugi hotel i jestem tam potrzebna, przecież wiesz.

– Wiem, ale...

– No dobrze, dołożę ci w takim razie jeszcze sto funtów dodatkowo miesięcznie.

Zgoda?

Ewa nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Nawet nie zdążyła poinformować szefowej o swoich planach powrotu do Polski.

– Niech już będzie – powiedziała w końcu.

– Wspaniale! – Szefowa była zachwycona. – Oczywiście wiesz, że twoja mama lub ktoś z rodziny może zatrzymać się u nas na pięć dni za darmo?

– Dziękuję – odpowiedziała zaskoczona. – To bardzo uczciwa oferta. Na pewno z niej skorzystam.

Była zadowolona, bo przecież od dawna zamierzała zaprosić mamę do Londynu, ale wiedziała, że u niej, w tym małym pokoiku, nie ma warunków do tego, by mogła przenocować. Oczywiście Ewa musiałaby w tym czasie spać na sofie w saloniku, co znowu nie do końca mogłoby odpowiadać Lidce i Iwonie. Chociaż z drugiej strony na pewno by się zgodziły. Tak czy siak, problem miała z głowy, bo mama mogła spać jak królowa w pierwszej strefie, w samym centrum Londynu. I to było teraz najważniejsze!

Nikomiu nie przyznała się, że miała nawet jakiś plan powrotu do Polski. Życie znowu podjęło decyzję za nią. Może tak właśnie miało być?

Wieczorem zadzwoniła do mamy.

– Jak przyjedziesz, to od razu zabiorę cię do pałacu Kensington.

– Ale po co od razu taki kłopot?

– Chcę, żebyś zobaczyła dom, w którym mieszkała księżna Diana. Po jej śmierci, kiedy zginęła w wypadku samochodowym w Paryżu, to właśnie pod bramą pałacu Kensington tysiące ludzi składały kwiaty.

– Pamiętam! – zawołała mama Ewy. – Widziałam to w telewizji, bez przerwy

pokazywali te kwiaty.

– Anglicy nadal ją uwielbiają. I pamiętają. W końcu była królową ich serc.

– Naprawdę pokażesz mi pałac, w którym mieszkali razem z księciem Karolem? – zapytała, nadal nie wierząc w to, co mówiła Ewa.

– Naprawdę, mamó! – odpowiedziała z radością. – Wszystko ci pokażę! I Big Bena, i dzielnicę chińską, w której nawet nazwy ulic są napisane po chińsku, i przejedziemy się piętrowym autobusem. Tak się cieszę, że do mnie w końcu przylecisz.

– Ale ja się tak strasznie boję latać samolotami – jęknęła.

– Przecież nigdy nie leciałaś, więc nie wiesz, czy jest sens w ogóle się bać.

– Po prostu to jest jakieś dziwne, żeby człowiek leciał w powietrzu, nie uważasz?

– Nie człowiek, tylko samolot będzie leciał, mamó. A poza tym, skoro ja doleciałam, to i ty sobie poradzisz.

– Ale wolałabym jednak przyjechać autobusem, to nawet taniej wyjdzie.

– No proszę cię! – zaprotestowała Ewa. – Nie będziesz się tłuc dwa dni przez całą Europę. Podróż samolotem szybko zleci i w ogóle nie będziesz zmęczona.

– Nie wiem, jak ja to przeżyję...

– Oj, mamó! Nie zaczynaj znowu. Trzeba żyć i cieszyć się życiem.

– Skoro tak mówisz.

Ewa przerwała nagle.

– Stało się coś? Ewa?

– Nie, nic. Tylko – chrząknęła – nie pomyślałam zupełnie o naszej psinie. Co my zrobimy z Łapką?

– O to już się nie martw – powiedziała mama Ewy. – Może uda mi się poprosić którąś koleżankę z pracy, żeby przechowała ją przez tych kilka dni u siebie.

– Myślisz, że ona da radę?

– Na pewno ktoś się zgodzi. Ludzie muszą sobie pomagać.

– Miałam na myśli Łapkę. Czy ona to przeżyje? No wiesz, żeby sobie nie pomyślała, że my ją tam oddajemy na zawsze. Boże...

– Ewa, uspokój się. Na pewno takie rozstanie będzie dla niej stresujące, zresztą ja też będę przeżywać to wszystko. Ale przecież potem po nią wrócę, tak?

– No tak. Ale jakoś tak smutno mi się zrobiło.

– Łapka przeżyła twój wyjazd do Anglii, to przeżyje też moją wycieczkę, zwłaszcza że to tylko kilka dni.

– Masz rację, mamó. Jak zawsze zresztą.

Ewa ustaliła z matką, że ta przyjedzie do niej pod koniec kwietnia, czyli za kilka tygodni. To był najbliższy wolny termin, kiedy obydwie mogły wziąć sobie wolne z pracy i nacieszyć się do woli swoim towarzystwem. Matka Ewy z niecierpliwością czekała na ten wyjazd, chociaż nadal bardzo przeżywała lot samolotem i na samą myśl o tym robiło się jej słabo. Ewa zaś codziennie odliczała dni do jej przyjazdu i w głowie układała już plan wycieczek.

I właśnie w dniu, w którym miała zamiar kupić bilety na samolot dla mamy, w środku dnia zadzwoniła jej komórka. Na telefonie wyświetlił się nieznany numer z kierunkowym z Polski. Ewie od razu zrobiło się gorąco. Nie miała pojęcia, kto mógł do

niej dzwonić i po co.

– Halo? – odpowiedziała, podchodząc do okna, skąd rozciągał się widok na gwarną o tej porze dnia uliczkę.

– Dzień dobry, pani Ewo – usłyszała w słuchawce głos obcej kobiety.

– Dzień dobry – odpowiedziała niepewnym głosem.

– Pani Ewo, dzwonię do pani, bo już sama nie wiem, co robić.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem...

– No tak, nie przedstawiłam się. – Kobieta chrząknęła do słuchawki. – Jestem koleżanką z pracy pani mamy. Suhecka, moje nazwisko.

– O, Boże... – Ewa poczuła, jak fala gorąca wlewa się do jej serca. – Coś z mamą...?

– Tak. To znaczy nie. Niech się pani nie denerwuje. – Kobieta próbowała uspokoić Ewę, ale było już na to za późno.

– Jak mam się nie denerwować? Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani do mnie zadzwoniła?

– Bo widzi pani, pani matkę właśnie zabrało od nas pogotowie...

– Jezus Maria... – Ewa osunęła się na fotel.

Przed oczami zrobiło się jej nagle ciemno. To był ten moment, to była ta chwila, której gdzieś tam w podświadomości bała się najbardziej. Mieszkać tak daleko, kiedy twojej najbliższej osobie dzieje się coś złego i nie móc być przy niej. Bezsilność tamtej chwili odebrała jej głos.

– I ona bardzo prosiła – kontynuowała pani Suhecka – żeby do pani nie dzwonić, żeby pani nie denerwować. Tylko zdążyła dać mi klucze od mieszkania, bo psa trzeba wyprowadzić. Boże, jak ona zawsze o wszystkim myśli i pamięta, co to jest za kobieta, proszę pani!

– Dobrze. – Ewa wzięła głębszy oddech. – Ale co konkretnie stało się z mamą?

– A bo ja pani nie powiedziałam w końcu? Boże, jestem taka zdenerwowana, proszę mi wybaczyć...

– Niech pani mi powie wreszcie, błagam... – przerwała jej.

– Pani mama upadła na schodach i tak nieszczęśliwie się poślizgnęła, że ma zdaje się pęknięte czy złamane biodro z przemieszczeniem. Ma mieć operację jeszcze dzisiaj, a potem nie wiadomo, czy nie będzie trzymać nogi na wyciągu. Dać pani numer do tego szpitala? Bo ja wszystko sobie gdzieś tutaj zapisałam...

„A więc to nie zawał. Uf”, Ewa odetchnęła z ulgą.

Kiedy już pożegnała się z Suhecką, usiadła przy biurku, żeby zebrać myśli. Zadzwoiła na komórkę mamy, ale nikt nie odbierał. „Może jest już pod narkozą?” – pomyślała i szybko zadzwoniła do szpitala na numer, który dostała od Suheckiej. Niestety, przez telefon nie chciano udzielić żadnych szczegółowych informacji i kazano zadzwonić wieczorem, kiedy pacjentka wybudzi się już po zabiegu. Dopiero wtedy lekarz będzie mógł powiedzieć coś konkretnego. Zmartwiło to Ewę jeszcze bardziej. Nie wiedziała nic poza tym, że jej mama złamała biodro i że była właśnie operowana.

Powinna zacząć działać. Musiała zebrać się w sobie, i odłożyć na bok sentymenty.

Nie była pewna, od czego ma zacząć, co robić najpierw. Bo co do tego, że musi

natychmiast lecieć do Polski, nie miała najmniejszych wątpliwości.

Jeszcze tego samego dnia rozmówiła się z szefową, której wyjaśniła, co się stało. Od ręki dostała tydzień wolnego.

Po powrocie do domu sprawdziła w internecie wszystkie połączenia do Polski. Okazało się, że najbliższy samolot, którym mogłaby polecieć, miała jeszcze tego samego dnia, wieczorem, o dziesiątej. Zaczęła się szybko pakować.

Do walizki, tej samej, z którą przyleciała do Londynu trzy lata temu, zaczęła wrzucać na oślep bluzki i spódnice.

– Boże, co ja robię? – zapytała się na głos, wyjmując z walizki swoją granatową spódnice, w której codziennie szła do pracy w hotelu.

Była tak zdenerwowana, że nie wiedziała, co właściwie ma ze sobą zabrać. Z tego wszystkiego zaczęła ponownie dzwonić do mamy. Znowu nikt nie odbierał.

– Mamo...

Pierwsza wróciła z pracy Lidka. Zobaczyła Ewę szarpiącą się z zamkiem walizki.

– Co tu się dzieje...? – zapytała od progu. – Ty wyjeżdżasz?

– Moja mama miała wypadek.

– Jezu...

– Jest już w trakcie operacji, złamane biodro, nic więcej nie wiem, nic nie wiem...

– Ewa, uspokój się.

– Myślisz, że nie próbowałam!

Usiadła bezradnie na fotelu i wtedy Lidka powiedziała:

– Weź ty się dziewczyno porządnie wypłacz.

– Mam siedzieć i płakać? – spojrzała na nią szklącym się wzrokiem.

– Tak właśnie masz zrobić. Siedź i płacz sobie. A potem wstań, doprowadź się do porządku i jedź na lotnisko, bo chyba taki miałaś plan, tak?

Ewa skinęła głową.

I tak, jak poradziła jej Lidka, rozplakała się na dobre.

– Jadłaś coś dzisiaj? – spytała po chwili współlokatorka.

Ewa pokręciła głową przecząco.

– To dobrze. Zaraz upichcę coś na szybko. Teraz powinnaś jeść, dbać o siebie. Musisz być silna, rozumiesz?

– Tak...

– Złamane biodro to nie koniec świata. Przecież mogło być znacznie gorzej.

– Ja wiem, ale tak mi przykro, ona tam, ja tu...

– Koniec mazania się. Trzeba brać się do roboty. Przecież lecisz do mamy jeszcze dzisiaj, tak?

Ewa skinęła głową i wytarła nos w chusteczkę.

– Wiesz, Lidka – powiedziała. – Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tego, jak szczęśliwe miałam życie do tej pory. Wszystko jakoś mi szło, wszystko się układało. Nawet po śmierci taty przetrwałyśmy. Aż do teraz...

– Ewa, poradzisz sobie. Zobaczysz, z mamą wszystko będzie dobrze.

– Nie mam nikogo poza nią – powiedziała. – Ona jest dla mnie wszystkim, co

najcenniejsze. Dopiero teraz to do mnie dotarło.

Lidka postawiła przed Ewą talerz gorącej pomidorówki.

– Jedz – powiedziała, siadając naprzeciwko niej. – Teraz ty będziesz musiała taką zupę gotować dla mamy.

– Dobrze, że były bilety na dzisiaj – powiedziała Ewa, mieszając niepewnie łyżką w talerzu.

– Nie smakuje ci?

– Przepraszam cię, Lidka, wiesz, jak uwielbiam twoje zupy, ale nie mam zupełnie teraz głowy do jedzenia.

Wstała i wróciła do pokoju, żeby sprawdzić po raz setny, czy schowała do torebki wszystkie dokumenty i klucze do mieszkania w Polsce. I właśnie wtedy, kiedy wrzucała do walizki jeszcze jeden sweter, o którym zapomniała, przed oczami stanęła jej Łapka.

Przecież mama nie będzie mogła teraz jej wyprowadzać. Jeśli to biodro nie zechce szybko się zrosnąć, to być może czekają ją długie dni, a może nawet tygodnie spędzone w łóżku. Poza tym tyle się teraz pisało o powikłaniach po wszelkich operacjach. Mama nie była już taka młoda, a psa należało wyprowadzić przynajmniej trzy razy dziennie.

Przez chwilę Ewa pomyślała, że może będzie musiała zabrać Łapkę do Londynu, żeby odciążyc mamę. A może trzeba było wdroyć w życie inny plan, który cały czas czekał na zrealizowanie na dnie marzeń?

Spojrzała na zegarek.

Zrobiło się już późno. Ewa powinna udać się do metra, które miało ją zawieźć na lotnisko.

– Pożegnaj ode mnie Iwonę, jak wróci – powiedziała, całując Lidkę w policzek.

– Trzymaj się.



– Mamo!

Ewa podbiegła do łóżka, na którym rozpoznała postać matki. Nie było to wcale takie proste, bo mama, zawsze taka elegancka, z nienaganną fryzurą i makijażem, teraz wyglądała raczej przygnębająco. Ciemne włosy miała w lekkim nieładzie, o czym pewnie nawet nie wiedziała. Skóra na jej smutnej twarzy zrobiła się jakby papierowa i sina, ale może tylko tak się Ewie wydawało. Może to ta szpitalna pościel sprawiała, że wszystko wokół wyglądało tak ponuro?

Łóżko, na którym leżała mama Ewy, stało w końcu sali, pod samym oknem. Oprócz niego, w pokoju znajdowały się jeszcze trzy łóżka, na których spały inne, zupełnie obce kobiety.

– Ewa?

– Mamo, chciałam do ciebie przyjść jeszcze wczoraj, ale przyleciałam po północy i powiedzieli, że o tej porze nie ma odwiedzin.

– Ty przyleciałaś specjalnie do mnie? Dziecko...

– Mamo, mamo. – Ewa siedziała na łóżku i nie mogła oderwać oczu od matki.

– Usiądź na stołku, proszę. – Wskazała jej metalowy stołek pomalowany na biało, który stał pod oknem. – Inaczej pielęgniarka zaraz zwróci ci uwagę.

– Ale na co?

– Nie wolno siedzieć na łóżku pacjenta. – Wzruszyła ramionami. – Szpitalne procedury.

Ewa usiadła na stołku i od razu się rozplakała.

– Ewa...

– Przepraszam, mamo. – Wytarła nos. – Po prostu nigdy wcześniej nie widziałam cię w szpitalu. To wszystko jest takie okropne.

– Przecież operacja się udała. Najdalej za dwa miesiące będę mogła nawet tańczyć! Tak przynajmniej mówi mój doktor.

– Wiem, mamo. Tak się cieszę, że wszystko poszło dobrze.

– No widzisz! – Uśmiechnęła się sucho. – Niepotrzebnie przylatywałeś. Cały ten kłopot...

– Mamo, nie mów tak, proszę cię. Przecież mamy tylko siebie. Gdyby mnie spotkało coś takiego w Londynie, to też byś pewnie przyleciała.

– No jasne.

Patrzyła na mamę, na jej szczupłą dłoń, w którą wbito wenflon do podawania kroplówki. Opatrunek przyklejony do skóry był pobrudzony kropelką krwi.

– Po co to? – zapytała Ewa.

– Muszą podawać mi leki i takie tam.

– Boli cię?

– Już coraz mniej. Przy okazji badań okazało się, że mam dość zaawansowaną osteoporozę i moje kości są w środku puste i łamliwe. Starość nie radość, moje dziecko.

– Przecież nie jesteś stara!

– Ja nie. – Mama się uśmiechnęła. – Ale moje kości już się zestarzały. Mów lepiej, co u ciebie, jak z pracą? Tak po prostu dali ci wolne?

– O nic się nie martw, mamo.

– O Boże! – powiedziała, nagle marszcząc czoło – A co z psem? Bo wiesz, wzięła ją moja koleżanka...

– Mamo, już dawno odebrałam Łapkę od pani Sucheckiej.

– Tak? – zdziwiła się.

– To ona mnie zawiadomiła o twoim wypadku.

– No przecież prosiłam, żeby nie dzwoniła! Taki kłopot, taki szmat drogi musiałas pokonać. I bilet kupiony w ostatniej chwili musiał cię kosztować majątek.

– Ale najważniejsze, że już jestem. I że z tobą wszystko dobrze.

Po powrocie ze szpitala Ewa zabrała się za sprzątanie domu. Właściwie z nudów, bo nie bardzo wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Poza tym pomyślała, że mamie będzie przyjemnie wrócić do mieszkania pachnącego świeżością. Odkurzyła dywany, uprała firanki i właśnie miała zabierać się za mycie podłogi, kiedy przyszło jej do głowy, że może lepiej najpierw wyprowadzić psa, zanim zdąży zadeptać jej robotę.

Tego dnia wiało i lało. Wiosna nie rozpieszczała. Ewa szybko wyciągnęła smycz i

ubrawszy się w ciepłą kurtkę przeciwdeszczową, którą dodatkowo owinęła szalikiem, zawołała psa.

– Łapka, idziemy!

Pies, który spał sobie smacznie na swoim posłaniu, zerwał się nagle i szybko wbiegł do przedpokoju.

– Wiem, że jest jeszcze trochę za wcześnie na długi spacer – powiedziała, zapinając klamerkę smyczy przy obroży Łapki. – Ale chcę mieć to już z głowy. Jeszcze mnie czeka mycie podłóg w całym domu, rozumiesz?

Pies zamierzał ogonkiem.

Ewa zamknęła za sobą drzwi i razem zeszły szybko po schodach.

Osiedlowy park rozciągał się tuż za ich blokiem. Nie był tak okazały jak park miejski położony w centrum, ale Ewa bardzo lubiła chodzić do tego pobliskiego. Na samym środku znajdował się mały staw, który zawsze obchodziły z Łapką dookoła. Na szczęście deszcz przestał chwilowo padać, więc nie było na co czekać.

Rozejrzała się. Drzewa wciąż nie miały liści, a zielone pączki nie zdążyły się jeszcze nawet zawiązać. Wszystko wokół wyczekiwało z wytęsknieniem słońca i ciepła, ale najwyraźniej należało na to jeszcze chwilę poczekać. Pogoda była zdecydowanie bardziej jesienna niż wiosenna. Dziewczyna szła alejką przed siebie i nie zwróciła uwagi na Łapkę, która pobiegła w tym czasie ścieżką w przeciwnym kierunku. Dopiero głośne szczekanie suczki, dochodzące zza pleców Ewy, zaniepokoiło ją. Szybko się odwróciła.

– Łapka! Chodź tu! Natychmiast wracaj! – zawołała.

W oddali zobaczyła jakiegoś mężczyznę, który szedł ze swoim psem. Tamten pies był trzymany na smyczy, a Łapka ujadła na niego.

– Bardzo pana przepraszam... – powiedziała Ewa, podbiegając do Łapki. – Nie wiem, co jej się stało...

– Nic nie szkodzi – odpowiedział łagodnym głosem. – Po prostu pani pies chce się bawić, a mój nie bardzo ma na to ochotę.

– Tak pan myśli?

– Mój Roki jest bardzo wystraszony po tym, jak zeszłej jesieni zaatakował go pewien spory wilczur.

– Bardzo mi przykro – powiedziała Ewa. – Łapka jest całkowicie niegroźna. I bardzo łagodna.

– Wygląda sympatycznie – dodał mężczyzna, po czym zwrócił się do swojego pupila: – Roki, może jednak zdecydujesz się pobiegać?

– Mam pewien pomysł – powiedziała Ewa i wyjęła z kieszeni kurtki piłeczkę. – Zawsze mam ją przy sobie, odkąd Łapka ukradła piłkę tenisową pewnemu wyżłowi. Może teraz Roki też za nią pobiegnie?

– To waleczna z niej psina! A mówiła pani, że taka łagodna... Możemy spróbować. Tak bardzo chciałbym, żeby Roki znowu przekonał się do innych psów, a nie tylko się ich panicznie bał.

Ewa zamachnęła się i rzuciła piłeczką, która potoczyła się daleko za drzewa. Łapka pobiegła za nią natychmiast, a Roki odczekał bezpieczną chwilę i ruszył w pogoń.

– Jednak nadal ma instynkt łowiecki! – powiedział mężczyzna zadowolonym

głosem. – To mieszaniec z foksterierem.

– Bardzo ładny pies – dodała Ewa.

– No proszę, jak pięknie się bawią... – stwierdził, nie odrywając od psów oczu.

Zwierzęta właśnie zaczęły się obwąchiwać. Ewa nie wiedziała, co powiedzieć. Sytuacja zrobiła się lekko niezręczna. Właściwie mogła już iść dalej swoją drogą, ale jakoś tak głupio się jej zrobiło i nie chciała być niegrzeczna.

– Mieszkam w tych blokach niedaleko – powiedział. – Przeprowadziłem się niedawno, ale nigdy wcześniej pani tu nie widziałem. Chociaż pieska poznaję. Widziałem go chyba kilka razy, wyprowadzała go taka starsza pani...

– To moja mama.

– Przepraszam.

– Za co? – Uśmiechnęła się.

– Miałem na myśli, że ta pani była starsza od pani, a nie, że była w ogóle starsza.

Ewa zaśmiała się w kołnierz kurtki.

– Mama jest teraz w szpitalu – powiedziała.

– Bardzo mi przykro. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Za kilka dni powinna być w domu, ale na razie nie będzie mogła wyprowadzać Łapki. Więc musiałam przyjechać i zająć się wszystkim sama.

Mężczyzna skinął głową.

– Z daleka pani przyjechała? – zapytał. – Przepraszam, że tak pytam, ale widzi pani, ja sam przeprowadziłem się tutaj z Warszawy. Dla mnie było tam za głośno i za tłoczno. Tutaj, to co innego.

– Tak, tutaj jest spokój, to prawda – powiedziała Ewa. – Przyleciałam z Londynu. Tam to dopiero mamy jak w ulu.

– No proszę, aż z zagranicy. Mieszka tam pani na stałe, jak rozumiem?

Ewa skinęła głową.

– Ja bym chyba tak nie umiał.

– Na początku ja też tak myślałam. Ale człowiek do wszystkiego może się przyzwyczać.

– Ma pani rację – powiedział z lekkim smutkiem w głosie. – Ja też przyzwyczałem się do tego, że jestem sam. I pewnie tak już zostanie. Dlatego kupiłem sobie psa. Żeby było mi weselej.

Zauważyła, że się uśmiechnął jakby niechący. Ten uśmiech był pełen sarkazmu i niedowierzania.

Ewa zaczęła ukradkiem mu się przyglądać. Najpierw zauważyła, że jego dzinsy miały lekko obszarpane nogawki i była wściekła na siebie, że zawsze musi zwrócić uwagę na takie mało istotne szczegóły. Przecież teraz takie spodnie nosili wszyscy! No tak, ale mama powiedziałaby, że to nie nonszalancja, tylko zaniedbanie, i że szanujący się mężczyzna nie powinien tak się ubierać. Po chwili Ewa uśmiechnęła się do swoich myśli, gdy zobaczyła jego buty. Była bowiem pewna, że akurat ten element ubrania zrobiłby na jej matce ogromne wrażenie. Kto dzisiaj nosił porządne, skórzane obuwie? Jego buty miały szerokie noski i sznurowadła w takim samym kolorze naturalnej skóry.

– Dlaczego pani im się tak przygląda? – zapytał niepewnie, widząc wzrok Ewy

utkwiony w jego butach. – Może są nieco zabłocone, ale dzisiaj mamy taką paskudną pogodę.

– Po prostu ma pan ładne buty – odpowiedziała lekko zmieszana. – Mało kto dzisiaj nosi skórzane... – Ugryzła się w język. – Bardzo pana przepraszam, głupoty opowiadam jakies. – Stuknęła się w czoło.

– Nie, dlaczego – powiedział niskim głosem. – To miłe, że się pani spodobały moje buty.

Znowu zawisło między nimi niewygodne milczenie.

To była właśnie ta chwila, kiedy obydwójce zaczęli jakby ukradkiem obserwować się nawzajem. Jakby świat się zatrzymał, a chwila pękła, jakby dopiero teraz siebie zauważyli naprawdę, choć przecież rozmawiali ze sobą już od jakiegoś czasu, to dopiero teraz dostrzegli siebie nawzajem w tej deszczowej, ponurej scenerii.

– A więc mieszka pan tu w okolicy? – zapytała w końcu Ewa, bo nie mogła już dłużej znieść tego złowrogiego milczenia. Przecież tak przyjemnie jej się z nim rozmawiało, nie chciała dłużej milczeć.

– Mieszkam tutaj. – Wskazał na blok obok parku. – Te dwa okna na ostatnim, czwartym piętrze są moje.

– My mieszkamy bliżej szkoły – powiedziała.

– Tak więc jesteśmy sąsiadami.

Uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

– Miło będzie razem spacerować z naszymi pupilami – powiedział. – Wygląda na to, że się nawet polubiły.

Spojrzeli w kierunku psów, które właśnie biegały wokół stawu.

– O, Boże, mam nadzieję, że Łapka tam nie wskoczyła! Znowu wróci do domu cała w błocie...

– Nie zauważyłem, żeby wskakiwały do wody – powiedział. – Szczerze mówiąc, tak się z panią zagadałem, że kompletnie wyleciało mi z głowy pilnowanie Rokiego podczas spaceru.

Ewa zawołała psa, po czym odwróciła się w stronę mężczyzny i wyciągnęła do niego prawą dłoń.

– Ewa – powiedziała. – Skoro mamy spotykać się na spacerach z naszymi pupilkami, to warto się poznać.

– Jacek. – Uścisnął jej rękę. – Też już miałem dość tego oficjalnego zwracania się do pani, to znaczy do ciebie – poprawił się szybko.

Ewa zaśmiała się, a Łapka zamerdala ogonem, bo nie rozumiała, co tak rozbawiło jej panią.

– A może wstąpicie do nas na herbatę? – zaproponował Jacek.

– Z przyjemnością – odpowiedziała. – Ale następnym razem, dobrze?

– Dobrze. To co? Do zobaczenia jutro o tej samej porze?

Skinęła głową.

– Do jutra! – zawołał, odchodząc.

Wydawało się jej, że teraz jego głos był jakby weselszy, ale może miała tylko takie wrażenie?

Ewa odwiedzała mamę codziennie w szpitalu i za każdym razem kupowała inne owoce. Przynosiła też jej ulubiony sok i kawę w papierowym kubku z kawiarenki obok szpitala, która w przeciwieństwie do tej z automatu miała przynajmniej smak.

– Ewa, po co to mi znosisz? – buntowała się mama za każdym razem. – Przecież ja mam tutaj wszystko.

– Musisz się wzmocnić, a owoce są najlepszym źródłem naturalnych witamin – odpowiadała jej spokojnym tonem.

– Ale to wszystko przecież kosztuje.

– Mamo... – przerywała jej Ewa, kręcąc głową. – Dlaczego nie pozwolisz mi, żebym trochę cię porzypieszczała?

– Bo potrzebujesz pieniędzy. Przecież niedługo musisz wrócić do tego swojego Londynu...

Ewa spuściła głowę, ale nic nie powiedziała. Mimo to matka zauważyła jakąś iskierkę w jej oczach.

– Ewa? – zapytała, nie odrywając od niej wzroku. – Ty coś ukrywasz?

– Nie, dlaczego? – skłamała.

– No widzę przecież.

– Co widzisz, mamo?

– Ewa! – Matka się uśmiechnęła. – Ty jesteś jakaś inna. Ja od razu to zauważyłam, już kilka dni temu rzuciło mi się w oczy, że ciągle się uśmiechasz, że promieniejesz. Ewa, czy ty chcesz mi powiedzieć, że... nie wracasz tam?

Ewa wzięła głęboki oddech.

– Mamo, nic przed tobą nie da się ukryć.

– Zgadłam? Boże, dzięki ci! – Uniosła wzrok ku niebu. – Tak się o to modliłam! Nareszcie. To jest najlepsze, co mogło mnie spotkać po wyjściu z tego szpitala.

– Ale jest jeszcze coś, mamo... – jęknęła.

– No mów! Już teraz możesz mi wszystko powiedzieć.

– Poznałam kogoś, mamo.

– Ale gdzie? Kiedy?

– Sama się zdziwiłam – wymamrotała.

– Gdzie ty mogłaś go poznać? No chyba że tutaj, w szpitalu...

Zaśmiała się głośno.

– Nie. Wyobraź sobie, że poznałam go pod naszym domem.

– Jak to pod... domem?

– Zwyczajnie. To nasz sąsiad.

– Jaki sąsiad? Przecież ja znam wszystkich w naszym bloku.

– On mieszka kilka ulic dalej.

– I to dla niego postanowiłaś wrócić do domu?

– Może. A może dla ciebie. I dla siebie – dodała. – Może już czas to wszystko skończyć tam, żeby tutaj zacząć od początku?

– Ewuniu, tak się cieszę...

Mama chwyciła ją za dłoń, którą mocno ścisnęła.

- Zobaczysz, teraz wszystko się ułoży po twojej myśli.
- I pomyśleć, że to wszystko przez naszą Łapkę...
- Jak to przez Łapkę?
- Opowiem ci, ale jak już wrócisz do domu, dobrze mam?
- A nie możesz teraz?
- Teraz Jacek czeka na mnie z kolacją i nie chciałabym się spóźnić.
- Jacek?

– Tak ma na imię. Przepraszam, zapomniałam ci powiedzieć, ale sama jestem zaskoczona, że to się tak szybko potoczyło.

Matka skinęła głową.

– To przeznaczenie – powiedziała łagodnym głosem. – Czy wiesz, że my z twoim ojcem podjęliśmy decyzję o naszym ślubie zaledwie w kilka dni po tym, jak się poznaliśmy? I to była nasza najlepsza decyzja.

– Rzeczywiście – odpowiedziała Ewa. – Zawsze mi opowiadałaś o tej historii, ale dopiero teraz zwróciłam na to uwagę...

Mama Ewy spojrzała za okno. Jej wzrok zatrzymał się na drzewie, które łagodnie kołysało się na wietrze.

– To jest przeznaczenie, Ewuniu. – Przeczesła dłonią włosy. – Możesz szukać miłości, gonić za nią, a ona i tak dogoni cię wtedy, kiedy sama uzna to za stosowne.

Ewa nic nie odpowiedziała.

Nigdy wcześniej nie przeżywała podobnych emocji. Jakby ktoś albo coś odczarowało jej zmysły. Jakby dopiero teraz czuła zapach kwiatów i słyszała szum wiatru, jakby to wszystko nigdy wcześniej nie istniało.

Czy to właśnie było szczęście? I czy to możliwe, że wszystko stało się dzięki niemu?

Jacek...

„Jak to możliwe, że mogłam żyć bez niego, i to tak długo? I pomyśleć, że jeszcze miesiąc temu, co ja mówię, dwa tygodnie temu nawet go nie znałam...”

Ewa spojrzała na zegarek i szybko pożegnała się z matką. Biegła po szpitalnych schodach lekko, jakby była motylem. Chciała już być obok niego, chciała, by objął ją ramieniem, przytulił, zapytał, jak zawsze, o mamę i o to, kiedy wyjdzie ze szpitala. To było takie cudowne mieć kogoś, z kim można porozmawiać, podzielić się najbardziej skrywanymi sekretami. Jacek zawsze jej słuchał. Przez tych kilka dni bardzo się do siebie zbliżyli. Może fakt, że obydwójce mieli już swoje lata, że żadne z nich nie było już beztróskim nastolatkiem, sprawił, że nie chcieli czekać? Spieszyło im się do siebie. Każdą wolną chwilę spędzali razem. Spotykali się od razu, gdy tylko Jacek wracał z pracy. Jakby znali się od lat, jakby od dawna byli dobrymi przyjaciółmi, albo nawet kimś więcej.

W dniu wyjścia mamy Ewy ze szpitala Jacek zaproponował pomoc przy przewiezieniu jej do domu.

– Mogę zamówić taksówkę – powiedziała Ewa.

– Ale po co, skoro ja mam samochód. To naprawdę żaden kłopot dla mnie.

I kiedy już mieli wyjść z domu, Łapka zaszczekała jakby na pożegnanie i zamerdała

ogonkiem.

– Zaraz wracamy! – uspokoiła ją Ewa, przykucnęła i pogłaskała ją po głowie.

– I pomyśleć, że... – Jacek urwał nagle, uśmiechając się do swoich myśli.

– Dokończ.

– Pomyśleć, że gdyby nie te nasze czworonogi, to pewnie przeżylibyśmy całe życie obok siebie, w tych bezbarwnych blokach i nawet nie wiedzielibyśmy o swoim istnieniu.

Ewa podniosła się z podłogi i przytuliła mocno do ciepłych ramion Jacka.

– Najważniejsze, że udało nam się odnaleźć... – szepnęła w jego szary sweter.

– Obiecuj, że nie uciekniesz mi już do tego Londynu.

– Chyba, że z tobą.

– Ja się tam nie wybieram. – Pocałował ją w czubek jej lekko zadartego nosa.

– W takim razie już postanowione.